PRZEGLĄD

POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY PIERWSZY. — TOM CXXIII.

LIPIEC, SIERPIEŃ-WRZESIEŃ.

1914.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1914.

Charakter św. Pawła.

Profesor berliński Adolf Deissmann w oryginalnym szkicu kulturalno-biograficznym p. t. *Paulus, eine Kultur und religionsgeschichtliche Skizze* opowiada, że gdy zwiedzał świeżo pole pracy Apostoła Pawła w Tarsie, byli jego przewodnikami dwaj studenci anatolijscy z amerykańskiego St. Paul Institute. „Otóż, gdy tam w małej oberży siedzieliśmy przy stole, jeden z moich przewodników, chcąc mi powiedzieć grzeczność, wynosił naszą filozofię i w przeświadczeniu swojej wiedzy rzucił mi z dumą te słowa: „wy macie Kanta?“ Odpowiedziałem mu nie konwencyonalnym frazesem, ale przejęty zupełnie postacią, która w cichej dolinie cylicyjskiej wśród chmar ptactwa wędrownego i na ruinach grodu tarskiego wobec cieśni syryjskiej i cylicyjskiej w duszy mojej przyoblekła się w życie i ciało, rzuciłem w odpowiedzi te słowa: „czy znacie Pawła!“

Ale bo też Paweł z Tarsu był i jest olbrzymem duchowym, który ruszył z posad świat rzymsko-helleński i podbił w moc Chrystusową ziemie i ludy państwa rzymskiego. A dużą i istotną część duszy tajemniczego tego człowieka odsłaniają nam listy jego, w których wyraziście odzwierciedla się geniusz i bogata dusza.

Kto powierzchownie tylko rozpatrzy się w tych wyznaniach listownych, odniesie wrażenie: że autor tych fragmentów jest wielkim i niezwykłym i nadzwyczajnie uzdolnionym człowiekiem. I ci, którzy wielkiego człowieka chętnie mierzą miarą formalną, wnioskując tylko z formy, łatwo przekonać się mogą, że charakterystyczną cechą twórczości Pawła jest ulewająca

się świeżość i genialna, na miarę Heraklita siła plastyczna, którą on bez trudu i po mistrzowsku włada.

Litera zabija, a Duch ożywia.
τὸ γὰρ γράμμα ἀποκτέννει, τὸ δὲ πνεῦμα ζωοποιεῖ.
Ktoby tylko te słowa lapidarne wypowiedział, jużby zapewnił sobie nieśmiertelność.
„Żydowie cudów się domagają i Grekowie mądrości szukają".
Ἰουδαῖοι σημεῖα αἰτοῦσιν καὶ Ἕλληνες σοφίαν ζητοῦσιν.
„Nie w mowie jest królestwo Boże, ale w mocy".
Οὐ γὰρ ἐν λόγῳ ἡ βασιλεία τνῦ θεοῦ, ἀλλ' ἐν δυνάμει.
„Umiejętność nadyma, miłość buduje".
ἡ γνῶσις φυσιοῖ, ἡ δὲ ἀγάπη ἀκοδομεῖ.
„Po części znamy, po części prorokujemy".
ἐκ μέρους γὰρ γινῶσκομεν.

„Od takich aforyzmów lśni i błyszczy raz po raz w listach jego, które przecież nie są obliczone na poklask literackich salonów, ale w ukryciu i bez pretensyi dochodziły do nieznajomych, ażeby im dopomódz w potrzebach duszy przez pomoc z góry. Niema w nich nic sztucznego, nic z retoryki, układającej rytm, ale naturalne promieniowanie utajonej potęgi twórczej. Przypuśćmy na chwilę, że wszystkie te lapidarne sentencye nie doszły nas w osnowie listowej, lecz jako fragmenty, jak to się przydarzyło Heraklitowi z Efezu, rozprószone w literaturze antycznej z przeciągu lat tysiąca — czyż wydawca, któryby po raz pierwszy zebrał je i ukazał publiczności, nie uznałby ich za fragmenta herosa?" [1])

Książka prof. Deissmanna, poświęcona prof. Harnackowi i owiana jego duchem, nic nowego nie przynosi, ale bije z niej jakiś entuzyazm, który pobudza do myślenia i uwypukla niektóre rysy w fizyognomii duchowej wielkiego Apostoła. Ona też dała powód do skreślenia niniejszej sylwetki jego charakteru i pracy misyjnej w najogólniejszych zarysach w państwie rzymskiem.

Apostoł Paweł urodził się w Tarsie w Cylicyi i kształcił się w Jerozolimie. Słynny rabban Gamaliel był jego mistrzem.

„Jam jest mąż Żydowin, urodzony w Tarsie w Cylicyi —

[1]) str. 42.

mówi on do Żydów przed uwięzieniem swojem w Jerozolimie — lecz wychowan w tem mieście u nóg Gamalielowych".

Młodość jego była chmurna i groźna. Zakon groźny, grzech, śmierć już za wczesnej młodości rzuciły na życie jego ponure cienie. I ja kiedyś w zaraniu życia — mówi on — w czasie dziecięcej niewinności żyłem „bez zakonu. Lecz, gdy przyszło rozkazanie", gdy odezwało się sumienie „grzech ożył. A jam był umarł". I przykazanie, które miało być ku żywotowi i zakwitnąć cnotą, stało się dla mnie drogowskazem ku krainie śmierci. Bo grzech, podjudzony przez przykazanie, zwiódł mnie jak Adama i Ewę i zrodził w wnętrzu duszy śmierć przez przykazanie. (Rzym. VII. 4—11).

Paweł, pisząc te słowa, ma tu w żywej pamięci straszne spustoszenie, jakie w duszy jego dziecięcej, wrażliwej na natchnienia nieba, uczynił pierwszy grzech. „Grzech, wziąwszy przyczynę przez przykazanie, zwiódł mnie" i miałem wrażenie, że zakosztowałem śmierci: „a jam był umarł".

Chmurne jak burza usposobienie zawiodło go do sekty faryzeuszów i do szkoły Gamaliela, gdzie owionął gorącą jego i do ideałów rwiącą się duszę ponury formalizm zakonu bez ducha i miłości. Pod mroźnem tchnieniem tego formalizmu zaskrzepło serce i skamieniało w dumie narodowej i religijnej, a dusza przyoblekła się w świętość niezliczonych przepisów i tradycyjnych przykazów.

Bo czem była, na czem zasadzała się pobożność faryzeuszów? Na zewnętrznem nabożeństwie, na paskach modlitewnych, na płaceniu dziesięciny z mięty i aniżu, na zachowaniu mnóstwa przepisów, które mają stać na straży czystości ciała i duszy. Żyd pobożny na każdym kroku musi przestrzegać nieprzeliczonych praw i żyje ustawicznie w trwodze, żeby nie splamić tej czystości. Wystarczy zetknąć się z osobą lub rzeczą nieczystą, i potrawy i napoje i bielizna i meble mogą być splamione nieczystością.

Oczywiście tego rodzaju etyka, praktykowana przez wieki, musiała na duszy żydowskiej niezatarte wycisnąć piętno duchowe. Że w tym splocie przykazań i dialektyki kazuistycznej

zatarła się częstokroć różnica pomiędzy tem, co złe, a co dobre, że w tym odmęcie subtelnej kazuistyki przepadła prawdziwa cnota i pobożność i miłość i żywe i uczuciem drgające serce ludzkie, rzecz prosta.

Pod wpływem tej etyki i dialektyki kazuistycznej wychowywał i kształcił się Paweł w szkole słynnego mistrza Gamaliela.

Scena biblijna dwunastoletniego Jezusa, siedzącego w pośrodku doktorów w kolumnadzie świątyni Jerozolimskiej, stawia nam przed oczy metodę nauczania rabinów. Cała metoda ta polegała na ciągłem ćwiczeniu pamięciowem, na ścisłem, dosłownem przyswajaniu sobie nauki i zwrotów mistrza. „W nauczaniu każdy powinien się trzymać słów mistrza swego", mówi mischna, a uczeń powinien być podobny do „cysterny wapnem wyłożonej, która żadnej nie uroni kropli". Mistrz przedkłada uczniom różne zagadnienia do rozwiązania, każe im odpowiadać albo sam je rozwiązuje. Z drugiej zaś strony również uczniowie stawiają pytania i zarzuty mistrzowi do rozwiązania. Uczniowie siedzą na ziemi, a mistrz na podwyższeniu. Taką była uczelnia, która kształciła i rzeźbiła duszę faryzeusza, taką była szkoła, w której wychowywał się Paweł, o którym czytamy w *Dziejach Apostolskich*, „że był wychowan w tem mieście u nóg Gamalielowych παρὰ τοὺς πόδας Γαμαλιήλ.

Że w szkołach tych truła się dusza narodu, a przedewszystkiem tych, którzy przewodzili narodowi, rzecz jasna. Żrące i palące się pod tym względem słowa świętego Pawła, który w liście do Rzymian kreśli nam wierny obraz faryzeuszów.

„Tuszysz, żeś ty sam jest wodzem ślepych,
„światłością tych, którzy są w ciemnościach,
„mistrzem bezrozumnych,
„„nauczycielem dziatek, mających kształt znajomości i prawdy w zakonie".
„Który tedy uczysz drugiego, siebie samego nie uczysz;
„który opowiadasz, żeby nie kradziono, kradniesz;
„który mówisz, żeby nie cudzołożono, cudzołożysz;
„który się brzydzisz bałwany, świętokradztwo pełnisz;

„który się w zakonie chlubisz, przez przestępowanie zakonu Boga nie czcisz.

„Albowiem „imię Boże dla was bluźnione bywa między pogany", jako napisano".

Ze słów tych bije odblask dumnego poczucia dawnego faryzeusza, hardo wynoszącego głowę ponad inne narody i lud prosty i ciemny amhaarez i zarazem całe wypaczenie moralne tych wodzów, którzy dla swej dumy hardej i znikczemniałej duszy stali się wraz z religią Jehowy przedmiotem pogardy u pogan.

Prawda, Pawła przed znikczemnieniem duszy uchronił szczery idealizm i szlachetne w gruncie rzeczy, choć dumne serce, ale i na jego duszy faryzaizm wycisnął straszne swe piętno, prawda Paweł kształcił się w szkole Gamaliela, która różniła się dużo od rygorystycznego kierunku słynnego mistrza Schammaja, ale czyż humanizm Gamaliela uchronił go od dzikiego fanatyzmu religijnego, od zawziętej nienawiści do Jezusa z Nazaretu, którego straszliwe „biada wam" tak dojmująco dźwięczało mu w duszy?

Po skończonych studyach Paweł wrócił, zdaje się, do Tarsu. W czasie bowiem krwawej tragedyi na Golgocie nie było go w Jerozolimie. Jezusa on po raz pierwszy widział dopiero w drodze do Damaszku. A w Tarsie co czynił? Czy pracował nad rozszerzeniem nauki faryzaizmu wśród pogan, czy się uczył w warsztacie ojca swego tkactwa, nie wiadomo? Może jedno i drugie.

Faryzeusze podówczas ruchliwą rozwijali działalność misyjną na lądzie i morzu, jak czytamy w Ewangelii, ażeby jak najwięcej wśród pogan zdobyć prozelitów dla blizkiego królestwa. Ognista dusza Pawła, żarliwa o chwałę zakonu, subtelny umysł jego, w dialektyce talmudystycznej dobrze wyćwiczony, czyż nie rwały się do pracy, do szermierki słownej w sprawie szerzenia mozaizmu? Równocześnie zaś z pracą apostolską szła praca w warsztacie tkackim, ażeby stosownie do zwyczajów ojców mieć jakieś rzemiosło w ręku i zdobyć sobie podstawę ekonomiczną egzystencyi. Pracę apostolską z pracą warszta-

tową i później uprawiał Paweł, gdy walczył pod znakiem Chrystusa.

Gdy nad młodą gminą chrześcijańską pierwsza zawisła burza prześladowania, Pawła spotykamy już w Jerozolimie. Młody ten faryzeusz zionie gniewem i mordem przeciwko chrześcijanom.

W jednej z synagog helleńskich, uczęszczanej przez Żydów cylicysskich rozpoczął dyakon Szczepan uczone dysksye które godziły w naukę faryzeuszów i egzystencyę świątyni Jerozolimskiej i w polityczne ideały mesyańskie Izraela i obracały w perzynę główne i podstawowe zasady faryzaizmu i mozaizmu. I te wykłady i dyskusye wywołały gniew jego i zbudziły dziki fanatyzm dumnego i w blizką realizacyę ideałów mesyańskich zapatrzonego faryzeusza. Chrześcijanizm to najgroźniejsza w oczach jego sekta, która godziła w sam rdzeń faryzaizmu i mozaizmu. Propagandzie więc chrześcijańskiej trzeba rychło przeciwstawić propagandę siły, aby stłumić w zarodku szerzący się kult nowy Jehowy. Zaopatrzony tedy w pismo arcykapłana jął organizować propagandę prześladowania i gwałtu i udaje się do Damaszku, aby tam krwią przygasić tlejącą iskrę chrystyanizmu. I tu nastąpił w duszy jego przełom wielki.

Gdy Szaweł wraz z towarzyszami zbliżał się do miasta, nagle światłość z nieba, przechodząca blask światła słonecznego, ogarnęła wszystkich. Szawłowi ukazuje się Jezus i powołuje go na apostoła swego: „Aby się nawrócili z ciemności do światłości, a z mocy szatańskiej do Boga, aby wzięli odpuszczenie grzechów i dział między świętymi przez wiarę, która jest w mię". (Dz. Ap. XXVI, 18).

Objawienie to stawia Paweł w listach swoich na równi z Chrystusem, przestającym po zmartwychwstaniu z apostołami. Chrystus, który mu się okazał, to Chrystus żywy, zmartwychwstały z grobu i krainy śmierci. Było to widzenie i wrażenie w rozumieniu jego jedyne i specyalne, różniące się od wszystkich nawiedzeń i objawień nadprzyrodzonych, w które obfitowało życie jego. On widział Chrystusa na żywe oczy i rozmawiał z nim podobnie jak inni apostołowie, którzy przesta-

wali z Jezusem po zmartwychwstaniu jego. I na skutek tej aparycyi nastąpił w duszy jego i w poglądach zupełny przełom. Ażeby pokazać na oko tę zmianę w duszy, używa Paweł wspaniałego porównania: jak w chwili kreacyi, mówi on, światłość wybłysła z odwiecznej ciemności, tak w chwili owej na obliczu Chrystusa jaśniejący majestat Bóstwa rozświetlił w duszy powołanie do królestwa Syna Bożego i apostolstwa Chrystusowego.

Odtąd Paweł stał się zupełnie innym człowiekiem. Chrystus przemienił najwnętrzniejszą jego istotę i napełnił go nowem życiem i niezłomnem przekonaniem nowej wiary. Chrystus uczynił go wielkim apostołem i bierze go w służbę swoją, żeby wobec Żydów i pogan świadczył o prawdzie i chwale Syna człowieczego.

Gdy judaiści zaatakowali jego misyę apostolską i podawali w wątpliwość jego naukę ewangeliczną, Paweł, broniąc się w liście do Galatów, taką stawia tezę: misyę apostolską i Ewangelię bezpośrednio otrzymałem od Boga przez ręce Chrystusa podobnie jak inni apostołowie, a więc misya moja i nauka są autentyczne i gruntują się na powadze Boga samego.

Zdawałoby się, że broniąc swojej powagi apostolskiej, Paweł powoła się na apostołów, którzy rozpatrywali i uznali jego misyę specyalną i naukę ewangeliczną i przyjęli go do grona swego. Rozumowanie takie nasuwało się samo, tymczasem on rozpoczyna list swój od słów, że misya ta nie pochodzi ani z woli, ani z wyboru Apostołów, ale bezpośrednio od Boga i dla tego nie opiera się na decyzyi, ani nie wymaga aprobaty Kolegium Apostołów. „Paweł Apostoł nie od ludzi, ani przez człowieka, ale przez Jezusa Chrystusa i Boga Ojca".

Argument to niewątpliwie śmiały w piśmie, wystosowanem do buntujących się chrześcijan. Miasto apologii zasłania się majestatem Boga, miasto tłumaczenia się uchyla cały problem i przenosi go w głębokiem poczuciu swojej powagi do sfery, niedostępnej dla dyskusyi.

A co się tyczy nauki Ewangelii i ona „nie jest wedle człowieka. Bom jej nie od człowieka wziął, anim się nauczył: ale

przez objawienie Jezusa Chrystusa" otrzymałem. I tu następują dowody z własnego życia zaczerpnięte i przysięgą stwierdzone.

Słyszeliście przecież, mówi, „iżem nad miarę prześladował Kościół Boży i burzyłem go", iż w obronie zakonu i tradycyi ojców przechodziłem najżarliwszych Żydów. Jakże tedy umysł i serce, spowite duchem i formalizmem faryzajskim mogły przyjąć prawdę ewangeliczną?

„Lecz gdy się podobało temu, który mię odłączył z żywota matki mojej i wezwał przez łaskę swoją, aby objawił Syna swego we mnie... natychmiast" zerwałem z przeszłością. Alem nie poszedł do Jeruzalem, nie zwróciłem się do Apostołów po naukę, czy wskazówki i informacye, „alem szedł do Arabii i wróciłem się zasię do Damaszku. Zatem po trzech leciech poszedłem do Jeruzalem, abym oglądał Piotra: i mieszkałem u niego piętnaście dni. A inszego z Apostołów żadnegom nie widział, jedno Jakóba, brata Pańskiego. A co wam piszę, oto przed Bogiem, żeć nie kłamam. Potem przyszedłem do krajów Syryi i Cylicyi".

Najprzód tedy po owem cudownem wydarzeniu i chrzcie udał się Szaweł do Arabii, ażeby się schronić przed Żydami, a głównie skupić wewnętrznie i zaczerpnąć siły u źródeł życia na nowej drodze Chrystusowej.

Samotność pustynna i tchnienie bezmiarów mamią serce swoją surową pięknością i mają urok nieporównany dla umysłu kontemplacyjnego i ubogaconej w doświadczenie i naukę duszy. I Pawła, którego duszę, podobną podówczas „do płodu poronionego", ogarnęły na przemiany tchnienie śmierci i jasność Chrystusowa, pociągnął i omamił urok pustyni *incredibili solitudinis captus amore*, jak czytamy później w legendach o wielkich anachoretach.

Cisza i bezmiary pustyni zbliżają do Boga i do wieczności, pogrążają umysł w modlitwie i rozmyślaniu, oczyszczają serce i hartują wolę i przygotowują ją do wielkich przedsięwzięć.

W dodatku pustynia synajska była kolebką i twardą szkołą ludu żydowskiego i rzeźbiła jego duszę namiętną i przyziemną. Tam u stóp Sinai odbyły się zaślubiny narodu z Jehową, tam

lud żydowski otrzymał zakon religijny i społeczny, który przetrwał wieki, tam rozmawiał Mojżesz i Eliasz z Bogiem. Na pustyni wyrósł Jan Chrzciciel na olbrzyma. I Paweł nosi w sercu tajemniczą wokacyę i ma ruszyć z posad świat i podbić dla Chrystusa ludy i kraje zachodniej cywilizacyi. Samotność pustynna podziała kojąco na duszę jego i umocni go w tych wielkich postanowieniach.

Po rozmyślaniach pustynnych wrócił Szaweł przez Damaszek do Jerozolimy, „aby oglądać Piotra". Głównym tedy celem podróży było zapoznanie się ἱστορῆσαι z Piotrem, który był głową apostołów i w którym streszczał się cały chrystyanizm. Wielki Paweł, mówi Bossuet, po powrocie z trzeciego nieba odwiedził święte miasto, żeby widzieć się z Piotrem i zapoznać się z nim osobiście. I zwyczaj ten przetrwał wieki i stał się dla biskupów świata katolickiego obowiązkiem kanonicznym. W Jerozolimie też zwiedził Paweł, który nie chce znać nic prócz Jezusa i to ukrzyżowanego, drogę krzyżową i wszystkie życiem i działalnością Chrystusa Pana uświęcone miejsca. Równocześnie zaś podobnie jak uprzednio w Damaszku jako Apostoł Chrystusowy żywą rozwija działalność misyjną. Wieść o tej pracy rozchodzi się szeroko w Judei: oto ten, który nas prześladował, teraz opowiada wiarę Chrystusową — opowiadają sobie chrześcijanie.

Z powodu wrogiej jednak postawy Żydów, którzy nastawali na jego życie, zmuszony był przerwać pracę misyjną i wyjechał, pokrzepiony nowem widzeniem i rozkazem z góry do Tarsu.

W perspektywie proroczej ukazuje mu się rozległe pole pracy wśród pogan. „Spiesz się a wynijdź rychło z Jeruzalem... bo do pogan ów daleko poślę cię", brzmi rozkaz Chrystusa w ekstazie.

W drodze do Damaszku powołał go Pan na apostoła swego wogóle, tu otwiera się przed nim nowe pole pracy apostolskiej wśród pogan. O tem jednak, kiedy ma rozpocząć się ta praca, widzenie nie mówi. Paweł miał snać czekać na rozkaz z góry, miał się specyalnie przygotować do przyszłej tej misyi.

Do przygotowania takiego nadawało się wybornie rodzinne jego miasto Tars, kwitnące sztuką i nauką i współzawodniczące z Atenami i Aleksandryą. W Jerozolimie u stóp i pod okiem Gamaliela ćwiczył się Paweł w teologii i egzegezie Pisma świętego według tradycyi rabinów. W Tarsie kształcić się będzie w szkole cywilizacyi helleńskiej. Prawda, greczyzna Pawła odbiega bardzo od ówczesnego języka literackiego, ale bądź co bądź w listach jego uderza częstokroć mistrzowskie władanie językiem greckim i doskonała znajomość Septuaginty. Na każdej karcie niemal znać, że mimo znajomości oryginału hebrajskiego słowa greckiego tłumaczenia Pisma gwałtem cisną mu się pod pióro, że styl jego ciężki i urywany, układa się niekiedy do pięknego rytmu i zaokrąglenia zdań. Wystarczy tu wskazać na budowę wspaniałego hymnu miłości. W Betahammidrosch Gamaliela, ani w helleńskiej synagodze Jerozolimskiej chyba trudno było się tego nauczyć. Pozostaje więc tylko miasto Tars, kwitnące cywilizacyą i oddychające atmosferą helleńską. Rozumie się samo przez się, mówi jeden z wybitnych historyków czasów apostolskich, że Paweł jako uczony w przekonaniu, że ma być posłan do pogan czas przed misyą obrócił na przygotowanie się do pracy apostolskiej przez lekturę i studyum. (Dok. nast.).

Ks. Leonard Lipke.

Z listu św. Pawła do Żydów[1)]

rodz. III—VII.

(próba przekładu).

ROZDZIAŁ III.

1. A tak, bracia święci, uczestnicy wezwania niebieskiego, patrzcie na zwiastuna i arcykapłana wiary naszej Jezusa.

2. Wiernego temu, który go postanowił, jako był i Mojżesz we wszystkim domu jego.

3. Albowiem chwała, której on dostąpił, o tyle jest większa od chwały Mojżesza, o ile chwała budowniczego większa jest od chwały domu, który on zbudował.

4. Każdy dom ma kogoś, kto go zbudował, ale wszystkie rzeczy stworzył Bóg.

5. Mojżesz był wiernym we wszystkim domu jego jako sługa, by świadczył o wszystkiem, co mu kazano było mówić:

(tłómaczenie O. Wujka).

Rozdział III.

1. Ztąd bráćia święći, uczeſtnicy wezwánia niebieſkiego, obaczćie Apoſtołá y naywyſſzego Kápłaná wyznánia náſzego Iezuſá:

2. Ktory wiernym ieſt temu ktory uczynił, iáko y Moyzeſz we wſzytkim domu iego.

3. Abowiem więtſzey chwały ten godny ieſt miány niżli Moyzeſz: im więtſzą cześć ma niż dom, ten, ktory go zbudował.

4. Bo każdy dom bywa budowan od kogo: á ktory wſzytko ſtworzył, Bog ieſt.

5. A Moyzeſz wprawdźie wiernym był we wſzyſtkim domu iego iáko ſługa ná świádectwo tego, co miáło bydź mowiono:

[1)] Uprosiliśmy Dostojnego Autora, że z swego przekładu listów św. Pawła udzielił nam łaskawie kilka rozdziałów. Tekst Wujka, celem porównania, umieściliśmy na własną rękę. *Redakcya.*

6. Ale Chrystus jest jako syn w domu jego, a tym domem jesteśmy my, jeżeli ufność i chlubę nadziei aż do końca mocno chowamy.

7. Przetoż, jak mówi Duch święty, *dzisiaj jeżeli usłyszycie głos jego.*

8. *Nie zatwardzajcie serc waszych, jak w rozdrażnieniu, w dzień kuszenia na puszczy,*

9. *Kędy mię kusili ojcowie wasi: doświadczali mię, i patrzyli sprawy moje,*

10. *Przez czterdzieści lat: i dlatego też rozgniewałem się na ten naród, i rzekłem: Zawsze ci błądzą sercem: nie poznali oni dróg moich:*

11. *przetożem poprzysiągł w gniewie moim: Nie wnijdą oni do odpocznienia mego.*

12. Patrzcież, bracia, iżby snadź nie było w którym z was serca złego i niewiernego, by miało odstąpić od Boga żywego:

13. Ale napominajcie codzień jeden drugiego, dopóki trwa czas, nazwany Dzisiaj, aby którego z was nie zatwardziła uluda grzechu.

14. Staliśmy się wprawdzie uczestnikami życia Chrystusowego, ale potrzeba nam jesz-

6. Ale Chryſtus jáko ſyn w domu ſwym: ktory dom my ieſteſmy, ieſliże ufność y chwałę nádźieie áż do końcá mocną záchowamy.

7. Przeto iáko mowi Duch święty: Dźiś ieſlibyśće głos iego uſłyſzeli,

8. Nie zátwardzayćieſz ſerc wáſzych iáko w rozdraźnieniu według dniá kuſzenia ná puſczy,

9. Gdźie mię kuśili oycowie wáſzy: doświádczyli, y widźieli ſpráwy moie,

10. Przez czterdźieści lat. Y dla tegoż gniewałem śię ná ten narod, y rzekłem: Záwſze błądzą ſercem. A oni nie poználi drog moich,

11. Iákom przyśiągł w gniewie moim, ieſli wnidą do odpoczynienia moiego.

12. Pátrzćieſz bráćia, iżby ſnadź nie było w ktorym z was ſerce złe, niedowiárſtwá, do odſtąpienia od Bogá żywego:

13. Ale nápominayćie sámi śiebie ná káżdy dźień, poki śię Dźiśia názywa: iżby ktory z was nie był zátwardzon oſzukániem grzechu.

14. Abowiem ſtáliſmy śię uczeſnikámi Chryſtuſowymi: ieſli tylko początek iſtnośći

cze, abyśmy początek życia jego dochowali wiernie aż do końca:

15. Dopóki się mówi: Dzisiaj, jeżeli usłyszycie głos jego, nie zatwardzajcie serc waszych jak w onem rozdrażnieniu.

16. Albowiem niektórzy z tych, co byli słyszeli te słowa, rozgniewali go, aczkolwiek nie wszyscy, którzy pod wodzą Mojżesza wyszli byli z Egiptu.

17. Na kogóż tedy gniewał się przez lat czterdzieści? Czyż nie na tych, którzy zgrzeszyli i których trupy legły na puszczy?

18. A którymże poprzysiągł, iż nie mieli wnijść do odpocznienia jego, jeżeli nie tym, którzy nie byli wierni?

19. Widzimy tedy, że nie mogli oni tam wnijść dla niedowiarstwa swego.

iego aż do końca mocny záchowamy.

15. Poki bywa mowiono, Dźiś ieſlibyśćie głos iego uſłyſzeli, nie zátwárdzayćie ſerc wáſzych iáko w onym rozdráźnieniu.

16. Abowiem niektorzy uſłyſzawſzy rozdráźnili: ále nie wſzyſcy, ktorzy wyſzli z Egyptu przez Moyzeſzá.

17. A ná ktoreż śię rozgniewał przez czterdźieści lat? Izali nie ná te, ktorzy zgrzeſzyli: ktorych trupy poległy ná puſczy?

18. A ktorymże przyśiągł, iż nie mieli wniśdź do odpocznienia iego: iedno tym, ktorzy niewierni byli?

19. Y widźimy, że nie mogli wniśdź dla niedowiárſtwá.

Rozdział IV.

1. Bójmyż się przeto, aby snadź, dopóki pozostawiona jest jeszcze obietnica wnijścia do odpocznienia jego, nie zabrakło którego z was.

2. Bo jako im, tak też i nam oznajmiono ją: im jednak nie pomogło słowo, które słyszeli,

Rozdział IV.

1. Przetoż śię boymy, áby zániechawſzy obietnice weſzćia do odpocznienia iego, nie zdał śię ktory z was, że go niemáſz.

2. Abowiem y nam opowiedźiáno ieſt, iáko y onym: ále nie pomogłá onym mowa fłu-

bo nie przydali wiary do tego, co usłyszeli.

3. Ale my, którzyśmy uwierzyli wnijdziemy do odpocznienia, wedle tego, co on powiedział: Jakom poprzysiągł w gniewie moim: Nie wnijdą ci do odpocznienia mego, toć mówił, gdy tworzenie dzieł było już dokonane od założenia świata.

4. O dniu siódmym bowiem tak gdzieś powiedziano: I *odpoczął Bóg dnia siódmego od wszystkich dzieł swoich.*

5. Na tem zaś miejscu mówi się: *Nie wnijdą ci do odpocznienia mego.*

6. Gdy tedy niektórzy jeszcze wnijść tam mają, a ci, którym to najpierw oznajmiono było nie weszli dla niedowiarstwa swego,

7. Bóg po upływie długiego czasu, jako się wyżej rzekło, naznacza znowu przez Dawida dzień niejaki *Dzisiaj. Dzisiaj jeżeli usłyszycie głos jego, nie zatwardzajcie serc waszych.*

8. Bo jeśliby Jozue dał im był odpocznienie, nigdyby o innym dniu napotem nie mówił.

9. Pozostaje tedy dla ludu Bożego dzień odpocznienia:

chánia, nie przymieſzána do wiáry tego co ſłyſzeli.

3. Abowiem wnidźiemy do odpocznienia, ktorzyſmy uwierzyli: iáko powiedział: Iakom przyśiągł w gniewie moim, ieſliż wnidą do odpocznienia moiego: choć dźiełá od záłożenia świáta były dokończone.

4. Abowiem rzekł ná niektorym mieyſcu o śiodmym dniu ták: Y odpoczął Bóg dniá śiodmego od wſzytkich dźieł ſwoich.

5. A ná tym záś: Ieśli wnidą do odpocznienia moiego.

6. Gdyż tedy zoſtawa że niektorzy máią wniśdź do onego, á ći ktorym pierwey opowiedziano było, nie weſzli dla niedowiárſtwá:

7. Záśię náznácza dźień niektory: Dźiśiá, mowiąc przez Dawida, po ták długim cząśie, iáko śię wyżey rzekło: Dźiś ieſlibyśćie głos iego uſłyſzeli: nie zátwárdzayćie ſerc wáſzych.

8. Abowiem ieſliby im był Iezuſ dał odpocznienie, nigdyby o inſzym dniu nápotym nie mowił.

9. A ták zoſtawa sobotowánie ludowi Bożemu.

10. Bo kto wszedł do odpocznienia jego, ten odpoczął od dzieł swoich, jak Bóg odpoczął od swoich.

11. Spieszmyż się tedy wnijść do odpocznienia tego, aby snadź kto nie poszedł za przykładem niedowiarstwa.

12. Bo żywe jest słowo Boże, i skuteczne i ostrzejsze od wszelkiego miecza obosiecznego: przenika aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów też i szpiku: sędzią jest myśli i zamiarów serca:

13. I niemasz żadnego stworzenia, któregoby nie widział, lecz wszystko jest nagie i odkryte przed oczyma tego, o którym mówimy.

14. Mając tedy wielkiego arcykapłana, który przeniknął niebiosa, Jezusa Syna Bożego, trzymajmy się wyznania.

15. Bo nie mamy arcykapłana, któryby nie mógł się ulitować nad słabościami naszemi lecz doświadczonego we wszystkiem na podobieństwo z nami, prócz grzechu.

16. Zbliżmy się tedy śmiało do tronu łaski, abyśmy dostą-

10. Abowiem ktory wſzedł do odpocznienia iego, ten też odpoczął od dźiełow ſwych, iáko Bog od ſwoich.

11. Spieſzmy śię tedy ábyſmy weſzli do onego odpocznienia: iżby kto w tenże przykład niedowiárſtwá nie wpadł.

12. Bo żywa ieſt mowá Boża y ſkuteczna, y przeráźliwſza niżeli wſzelaki miecz po obu ſtron oſtry: y przenikáiąca áż do rozdźielenia duſze y duchá, ſtáwow też y ſzpikow, y rozeznawáiąca myśli y przedśięwźięćia ſerdeczne.

13. A niemáſz żadnego ſtworzenia niewidźiálnego przed oblicznośćią iego: lecz wſzytkie rzeczy obnażone ſą y odkryte oczom iego, do ktorego nam mowá.

14. Máiąc tedy nawyſzego Kápłáná wielkiego, ktory przeſzedł niebioſá, Iezuſá Syná Bożego: trzymaymy śię wyznánia.

15. Abowiem nie mamy nawyſzego Káplána, ktoryby się nie mogł ulitować nád krewkośćiámi náſzemi: lecz kuſzonego we wſzytkim ná podobieńſtwo oprocz grzechu.

16. Przyſtąpmy tedy z ufnośćią do ſtolice łáſki: ábyſmy

pili zmiłowania, i znaleźli pomoc łaski w potrzebie.

Rozdział V.

1. Albowiem każdy arcykapłan wzięty z pomiędzy ludzi, stanowi się dla ludzi w rzeczach, które należą do Boga, aby ofiarował ofiary za grzechy,

2. I mógł się litować nad nieumiejętnymi i błądzącymi, ponieważ i sam jest obleczon słabością,

3. I dlatego musi jako za lud, tak też i za samego siebie ofiarować ofiary za grzechy.

4. A nikt się nie poważa brać tej godności, jedno kto jest wezwan od Boga, jak Aaron.

5. Tak i Chrystus nie sam siebie odznaczył, zostając arcykapłanem, ale ten, który rzekł był do niego: *Tyś jest syn mój, jam ciebie dziś zrodził.*

6. Jako i na innem miejscu powiada: *Tyś jest kapłanem na wieki według porządku Melchizedecha.*

7. On to za życia swego w ciele, ofiarując temu, który mógł go wybawić od śmierci, modlitwy i pokorne prośby z wołaniem potężnem i ze

otrzymáli miłośierdźie, y łáſkę náleźli do pogodnego rátunku.

Rozdział V.

1. Abowiem káżdy Nawyſſzy káplan z ludźi wźięty, dla ludzi bywa poſtánowion wtym co do Bogá należy: áby ofiárował dáry y ofiáry zá grzechy.

2. Ktoryby śię mogł użalić tych, co nie umieią y błądzą: gdyż y on obłożon ieſt krewkośćią:

3. A dla tego powinien ieſt, iáko zá lud, tákże y ſam zá śię ofiárować zá grzechy.

4. A żaden ſobie czći nie bierze: iedno ktory bywa wezwan od Bogá, iáko Aron.

5. Ták y Chryſtus nie ſam śiebie wſławił że śię ſtał Nawyſſzym káplanem: álé ktory do niego mowił: Syn moy ieſteś ty, iam ćiebie dźiś urodźił.

6. Iáko y ná inſzym mieyſcu mowi: Tyś ieſt káplánem ná wieki, według porządku Melchiſedechowego.

7. Ktory zá dni ćiałá ſwego, modlitwy y pokorne prośby temu, ktory go mogł wybáwić od śmierći, z wołaniem potężnym, y łzámi ofiarowawſzy,

łzami, został wysłuchanym dla swej pobożności,

8 I chociaż był synem Bożym, z tego, co wycierpiał, nauczył się posłuszeństwa:

9. I będąc doskonałym, stał się dla wszystkich, którzy są mu posłuszni, przyczyną zbawienia wiecznego,

10. nazwany od Boga arcykapłanem według porządku Melchizedecha.

11. Mielibyśmy o tem wiele rzeczy do powiedzenia, których atoli niełatwo wam objaśnić, boście się stali słabymi w pojmowaniu ich.

12. Bo gdy do tego czasu moglibyście już być mistrzami, potrzebujecie znowu, aby was uczono pierwszych początków nauki Bożej: i staliście się podobni do tych, którym mleka potrzeba a nie mocnego pokarmu.

13. Bo każdy, kto jeszcze ssie mleko, nie może rozumieć mowy o sprawiedliwości, jest bowiem niemowlęciem.

14. Ale doskonałym daje się pokarm mocny: tym, którzy przez ćwiczenie swych władz umysłowych nabrali wprawy do rozpoznawania dobrego i złego.

był wyſłuchan dla ſwey uczćiwośći.

8. A chociaż był ſynem Bożym, náuczył śię z tego, co ćierpiał poſłuſzeńſtwa:

9. A doſkonáłym zoſtawſzy, ſtał śię wſzytkim, ktorzy mu poſłuſzni ſą przyczyną zbáwienia wiecznego.

10. Názwány od Bogá Nawyſſzym káplánem, według porządku Melchiſedechá.

11. O ktorym nam wielka rzecz y nie wypráwna do mowienia: bośćie śię ſtali ſłábymi do ſłuchania.

12. Abowiem gdyśćie mieli dla czaſu bydź náuczyćielámi: záśię potrzebuiećie, áby waſ uczono, ktore ſą początki záczęćia mow Bożych: y ſtaliśćie śię ktorymby mleká trzebá, á nie twárdego pokármu.

13. Bo każdy, ktory ieſt mleká uczeſtnikiem, nie świádom ieſt mowy ſprawiedliwośći ábowiem dźiećiątkiem ieſt.

14. A doſkonáłych ieſt twárdy pokarm: tych ktorzy przez zwyczáienie ímyſły máią wyćwiczone do rozeznánia dobrego y złego.

Rozdz. VI.

1. Pominąwszy przeto pierwsze początki nauki Chrystusowej, przejdziemy do rzeczy doskonalszych, nie zakładając na nowo fundamentów przez naukę o nawracaniu się od uczynków martwych i o wierze w Boga,

2. O chrzcie i wkładaniu rąk, o zmartwychwstaniu ciał i o sądzie wiecznym.

3. Uczynimy i to, jeśli Bóg pozwoli.

4. Niepodobna bowiem, aby ci, którzy raz oświeceni, skosztowali też daru niebieskiego, i stali się uczestnikami Ducha świętego,

5. I zakosztowali także słodkiego słowa Bożego i mocy przyszłego wieku,

6. A potem odpadli, dali się odnowić po raz drugi przez pokutę: oni, którzy nanowo krzyżują w sobie syna Bożego, i wystawiają go na urągowisko.

7. Bo ziemia, która pije często spadający deszcz na się, i rodzi rośliny użyteczne dla tych, którzy ją uprawiają, bierze błogosławieństwo od Boga.

8. Ale ta, która wydaje ciernie i osty, odrzucona jest

Rozdział VI.

1. Przeto zániechawſzy mowy poczynánia Chrystuſowego, mieymy ſię do doſkonáłſzych rzeczy: nie znowu zákładáiąc gruntu pokuty od uczynkow martwych, y wiáry do Bogá.

2. Náuki chrzczenia, rąk też wkładánia, y powſtania z martwych, y ſądu wiekuiſtego.

3. Y to uczyniemy ieſli Bog dopuśći.

4. Abowiem nie podobna ieſt áby ći, ktorzy raz ſą oświeceni, ſkoſztowali też dáru niebieſkiego, y uczeſtniki ſię ſſtali Duchá świętego,

5. Skoſztowáli nie mniey dobrego ſłowà Bożego, y mocy przyſzłego wieku.

6. A upádli, áby zaś byli odnowieni do pokuty, znowu krzyżujący ſami ſobie ſyná Bożego, y ná pośmiewiſko máiący.

7. Bo ziemiá, ktora deſcz częſto ná ſię pádáiący piie, y rodźi źiele użyteczne tym, przez ktore bywa ſpráwowana, bierze błogoſławieńſtwo od Bogá.

8. Lecz ktora rodźi ćiernie y osty, odrzucona ietſ, y blizka

i blizka przeklęstwa, a koniec jej — spalenie.

9. Lecz o was, najmilsi, tuszymy sobie coś lepszego, i co jest raczej bliższem zbawienia, aczkolwiek w ten sposób przemawiamy do was.

10. Boć nie jest Bóg niesprawiedliwy, iżby miał zapomnieć waszej pracy i miłości, którąście okazali dla imienia jego, kiedyście służyli świętym, a i teraz jeszcze służycie.

11. Ale pragniemy, aby każdy z was okazywał tęż samą gorliwość aż do końca, aby nadzieja wasza była pełna:

12. abyście nie zgnuśnieli, lecz byli naśladowcami tych, którzy przez wiarę i wytrwałość odziedziczą obietnice.

13. Bo gdy Bóg dawał obietnicę Abrahamowi, a nie miał nikogo większego, na kogoby mógł przysiądz, przysiągł na samego siebie,

14. mówiąc: *Zaprawdę ubłogosławię ciebie i rozmnożę ciebie bez miary.*

15. I gdy on oczekiwał cierpliwie, dostąpił tego, co mu obiecano było.

16. Ludzie bowiem zwykli przysięgać na wyższego od siebie, a przysięga wykonana ku

przeklęctwá, ktorey koniec ná ſpalenie.

9. Ale tuſzymy ſobie o was coś lepſzego namileyſzy y zbáwienia bliżſzego, chociaż ták mowimy.

10. Abowiem nie ieſt nieſpráwiedliwy Bog, áby zá pámiętał roboty wáſzey, y miłośći, ktorąśćie ukazáli w imię iego, ktorzyśćie poſługowáli świętym y poſługuiećie.

11. A żądamy, áby káżdy z was toż ſtáránie ukazał ná wypełnienie nádźieie áż do końcá:

12. Abyśćie śię nie ſtáli gnuśnymi, ále náſzládowcámi tych ktorzy przez wiárę y ćierpliwość odźiedźiczą obietnice.

13. Abowiem Bog obiecawſzy Abráhámowi, iż nie miał nikogo przez ktoregoby przyśiągł więtſzego, przyśiągł przez sámego śiebie.

14. Mowiąc: Ieſli niebłogo, ſłáwiąc błogoſławić ćię będę, y rożmnażáiąc nie rozmnożę ćię.

15. A ták długo ćierpli wieczekawſzy, doſtał obietnice.

16. Abowiem ludźie przez więtſzego niż sámi przyśięgáią: á káżdego ſporu ich koniec

potwierdzeniu czegoś, kończy spór wszelki.

17. Przetoż i Bóg, aby tem skuteczniej okazać dziedzicom obietnicy nieodmienność wyroku swego, dodał przysięgę,

18. abyśmy w tych dwóch rzeczach niezawodnych, w których niepodobna jest, by nas Bóg omylił, najmocniejszą mieli pociechę, my, którzyśmy się uciekli i uchwycili podanej nam nadziei,

19. i trzymamy się jej jako bezpiecznej i mocnej kotwicy dla dusz naszych, która przenika za zasłonę, aż do wnętrza,

20. dokąd, przodując nam, wszedł Jezus, stawszy się arcykapłanem na wieki według porządku Melchizedecha.

Rozdz. VII.

1. Albowiem ten Melchizedech, król Salemu, kapłan Boga najwyższego, który był wyszedł na spotkanie Abrahama powracającego z porażki królów i błogosławił mu;

2. Któremu też Abraham wydzielił dziesięciny ze wszystkiego: którego nazwa pierwsza wykłada się król sprawiedliná potwierdzenie, ieſt przyśięgá.

17. W czym chcąc Bog dźiedźicom obietnice obficiey pokázáć nieodmienność rády ſwey, przyśięgę uczynił:

18. Abyſmy przez dwie rzeczy nieodmienne, w ktorych bydź nie może żeby Bog kłamał namocnieyſzą poćiechę mieli, ktorzyſmy się ná odźierżenia wyſtáwioney nádźieie ućiekli,

19. Ktorą mamy iáko kotwicę duſze bezpieczną y mocną, y wchodzącą áż wewnętrzności żaſłony,

20. Gdźie przewodnik zá nas wſzedł Iezus, według porządku Melchiſedechowego, Nawyſzym káplanem ſtawſzy śię ná wieki.

Rozdział VII.

1. Abowiem ten Melchiſedech krol Sálem, káplan Bogá nawyſzego, ktory wyſzedł przećiw Abráhámowi wrácáiącemu śię z porażki krolow, y błogosławił mu:

2. Ktoremu y dźieśięćiny wſzytkiego wydźielił Abráhám: naprzod ktory wykłáda śię krol ſprawiedliwości: potym

wości, a druga — król Salemu oznacza króla pokoju :

3. bez ojca, bez matki, bez rodowodu, jakby nie miał ani początku dni, ani końca żywota, i dlatego przypodobany do syna Bożego, pozostaje kapłanem na wieki.

4. Przypatrzcie się tedy, jak zacny jest ten, któremu sam Abraham patryarcha dał dziesięciny z najbogatszych łupów.

5. Wprawdzie i ci z synów Lewi, którzy przyjmują kapłaństwo, mają rozkaz pobierać dziesięciny od ludu wedle prawa, to jest od braci swoich, chociaż i ci wyszli z biódr Abrahama :

6. Ale tam brał dziesięcinę od Abrahama ten, którego ród nie był poczytan między nimi, i błogosławił tego, który otrzymał był obietnice :

7. Nikt zaś nie zaprzeczy, że błogosławieństwo bierze niższy od wyższego.

8. Krom tego, tu biorą dziesięciny ludzie, którzy umierają, a tam, człowiek, który ma świadectwo, że żyje :

9. I Lewi, który dostał dziesięciny, sam je zapłacił (że tak powiem) w osobie Abrahama,

też y krol Sálem, co ieſt, krol pokoiu.

3. Bez oycá, bez mátki, bez wyliczenia rodu, nie máiąc áni początku dniow àni końcá żywotá : á przypodobany Synowi Bożemu, trwa kápłanem ná wieki.

4. A przypátrzćie śię iáko to wielki, ktoremu też dźieśięćinę z rzeczy przednieyſzych dał Abráhám Pátryárchá.

5. A iśćie z ſynow Lewi, urząd kápłáńſki przyimuiący, roſkazánie máią áby bráli dźieśięćinę od ludu według zakonu, to ieſt, od bráćiey fwoiey : choćiaż y oni wyſzli z biodr Abráhámowych.

6. Lecz ktorego narod nie ieſt poczytan między nimi, dźieśięćinę brał od Abráhámá, y tego ktory miał obietnice błogoſławił.

7. A bez wſzelákiego ſporu, co mnieyſzym ieſt, od lepſzego bywa błogoſławione.

8. A tu iednák, ludźie, ktorzy umieráią, dźieśięćiny biorą : lecz tám świádectwo ma iż żywie.

9. A (iżby śię tak rzekło) przez Abráhámá, y Lewi, ktory brał dźieśięćiny, oddał dźieśięćinę.

10. bo był jeszcze w biodrach ojca swego, gdy przeciwko niemu wyszedł Melchizedech.

11. Jeżeliby tedy kapłaństwo lewickie czyniło ludzi doskonałymi (bo pod niem naród otrzymał prawo), jakaż byłaby potrzeba, aby nastał inny jeszcze kapłan, i przytem mianowany według porządku Melchizedecha, a nie według porządku Aarona?

12. A ze zmianą kapłaństwa musiała też nastąpić i zmiana prawa:

13. Ten bowiem, o którym to powiedziano, z innego jest pokolenia, z którego nikt nie służył ołtarzowi:

14. Boć rzeczą jest jawną, że Pan nasz poszedł z Judy, to jest z pokolenia, o którym Mojżesz nie mówi, iżby miało kapłanów.

15. A staje się to jeszcze jawniejszem, gdy ten inny kapłan powstaje na podobieństwo Melchizedecha,

16. I postanowion jest nie wedle przepisów prawa cielesnego, ale dlatego, że ma w sobie moc żywota nieskazitelnego.

17. Bo, oto, jakie mu się daje świadectwo: *Ty jesteś*

10. Abowiem ieſcze był w biodrách oycowych, gdy wyſzedł przećiw niemu Melchiſedech.

11. Ieſliż tedy doſkonáłość była przez káplánſtwo Lewitſkie (bo pod nim lud wźiął zakon) coż ieſcze było potrzebá, áby naſtał inſzy kápłan według porządku Melchiſedechowego, á nie był rzeczon według porządku Aronowego?

12. Bo zá przenieśieniem káplańſtwa, trzebá żeby śię y zakonu przenieśienie ſtało.

13. Bo o ktorym śię to mowi, z inſzego ieſt pokolenia, z ktorego żaden nie pilnował ołtarzá.

14. Abowiem iawna ieſt, iż z Iudá poſzedł Pan naſz: w ktorym pokoleniu nic o kapłaniech nie mowił Moyzeſz.

15. A ieſcze dáleko więcey iáwna rzecz ieſt: ieſliże ná podobieńſtwo Melchiſedechá po wſtáie inſzy kápłan,

16. Ktory nie według zakonu roſkazánia ćielefnego ſtał śię, ále według mocy żywota nieſkáźitelnego.

17. Abowiem świádczy: iż ty ieſteś kápłanem ná wieki,

kapłanem na wieki według porządku Melchizedecha.

18. A tak prawo stare zostało zniesione, jako nieudolne i nieużyteczne:

19. Albowiem prawo to nic nie przywiodło do doskonałości: natomiast zaś nastała nadzieja lepsza, przez którą zbliżamy się do Boga.

20. A że się to stało nie bez przysięgi (bo tamci zostawali kapłanami bez przysięgi,

21. ten zaś z przysięgą przez tego, który rzekł był do niego: *Przysiągł Pan, a nie będzie mu żal: tyś jest kapłanem na wieki*),

22. Dlatego Jezus stał się rękojmią daleko lepszego przymierza.

23. Przytem tamtych kapłanów było wielu, bo śmierć nie pozwalała im pozostawać nazawsze,

24. Ten zaś ponieważ pozostaje na wieki, ma wieczne kapłaństwo:

25. Przetoż i zbawiać może na wieki tych, którzy przez niego przystępują do Boga, bo żyje zawsze, aby się wstawiał za nami.

26. Przystało bowiem, abyśmy takiego mieli arcykapłana, świętego, niewinnego, niepoka-

według porządku Melchiſedechowego.

18. Odrzucenie iśćie ſtáie śię przeſzłego przykazánia: dla słabośći iego y niepożyteczności.

19. Bo zakon niczego nie przywiodł do doſkonáłości: ále wprowádzenie lepſzey nádźieie, przez ktorą przybliżamy śię do Bogá.

20 A ponieważ iest nie jbez przyśięgi (Bo inni bez przyśięgi kápłany zIſtali:

21. A ten z przyśięgą przez tego, ktory rzekł do niego: Przyśiągł Pan, á nie będzie mu żal: tyś iest kápłanem ná wieki.)

22. Tym łepſzego teſtamentu ſfał śię Iezuſ rękoymią.

23. A innychći wiele śię kápłany ſſtawáło, dla tego iż im śmierć trwáć nie dopuſczáłá;

24. Ale ten iż na wieki trwa wiekuiſte ma kápłáńſtwo.

25. Przetoż y zbáwić na wieki może przyſtępuiące przez niegoż doż do Boga: záwſze żywiąc áby śię wſtáwiáł zá nami.

26. Albowiem przyſtało, abyſmy tákiego mieli náwyſſego kápłána świętego, niewin-

lanego, odłączonego od grzeszników, wyższego nad niebiosa,

27. Który nie potrzebuje, jak oni arcykapłani, w każdy dzień doroczny ofiarować ofiary najpierw za przewinienia swoje, a potem za przewinienia ludu, bo to uczynił raz jeden, ofiarowawszy samego siebie.

28. Bo prawo stanowi arcykapłanów podległych słabościom, a przysięga, która późniejsza jest od prawa, stanowi Syna wiecznie doskonałego.

Ks. Fr. A. Symon.

nego, niepokalanego, odłączonego od grzefników, y ktory się ſtał wyſſzy nád niebioſá.

27. Ktory nie ma potrzeby ná káżdy dźień, iako káplán pierwey zá wyſtępki ſwoje ofiarowáć, potym zá ludzkie: bo to uczynił raz, śiebie ofiárowáwſſzy.

28. Albowiem zakon ludźie poſtanawiał káplany krewkości podległe: lecz nowá przysięga, ktora iest po zákonie, Synà ná wieki dofkonáłego.

Stanisław Brzozowski
w świetle swego Pamiętnika.

Brzozowski to bezsprzecznie nie tylko jeden z wybitniejszych lecz także najciekawszych w Polsce umysłów ostatniej doby. Zadziwia u niego różnorodność poruszanych tematów, zdumiewa bogactwo materyału jaki w swym aparacie myślowym przefiltrował — a zdumiewać musi tembardziej, jeśli się wspomni w jak krótkim czasie i wśród jakich stosunków tego wszystkiego dokonał.

Główne etapy rozwoju jego umysłu widoczne były z wydawanych dzieł, samo zaś stawanie się, droga i sposób jej przebywania obserwowane moment po momencie dopiero w „Pamiętniku" być mogą. Ten nieregularnie prowadzony dyaryusz z ostatnich miesięcy życia, mówi nam dużo. Zdrowie nie pozwala wówczas Brzozowskiemu intenzywnie twórczo pracować, czytając tylko wiele zapisuje myśli w miarę jak ukazywały się one, świadomy tego „że te nieprodukcyjne godziny i tygodnie to zarazem rosnąca przyszłość jego". Te rachunki z poszczególnych dni, a następnie niektóre wspomnienia retrospektywne, zawarte w „Pamiętniku" kreślą nam diagram jego życia duchowego i dają sylwetkę umysłowości.

„Choroba całej mej młodości to rozrzutne niechlujstwo zainteresowań umysłowych". Ona to rzuca Brzozowskiego od autora do autora, od teoryi do teoryi. Wokół piętrzy się przed młodym umysłem pełno zagadek i problemów. Podsuwa je Brzo-

zowskiemu nie tyle może przewalające się koło niego życie, wiele książki, pisarze, ich poglądy jakie zajmują. Wierzy, że jest takie stanowisko, z którego wszystko przejrzeć będzie można, wszystko zrozumieć — chodzi tylko o to, by doń się dostać. W poszukiwaniu przechodzi od literatury rosyjskiej przez Bouckle'a, darwinizm i biologiczne uogólnienia podarwinowskiej epoki do studyów socyologicznych. Zajmuje się teoryą poznania pod wpływem F. A. Langego, utylitaryzmem i etyką ewolucyonistyczną — potem przychodzi Avenarius, literatura Francyi drugiego cesarstwa, Renan i Taine w szczególności, Maeterlinck i symbolizm, Przybyszewski i Nietzche, wreszcie Twórczość „Młodej Polski" i marksizm, Kant i spekulacya pokantowska. Ślad odbytej drogi znaczą szkice, rozprawy i prace większe rozsiewane przeważnie po pismach. Widzimy w pobieżnym ich zestawieniu, że napotkać tu można skoki już nietylko z jednej gałęzi wiedzy w inną, ale nierzadko wprost z ostateczności w ostateczność. Jestto idące za „powiewem ducha" bogacenie umysłu dla osobistych potrzeb czy zadowolenia, zbieranie skarbów dla poczucia, że się jest bogatym.

Z czasem jednak ulega Brzozowski wewnętrznej przemianie, która nadaje jego pracy stałą kierunkowość. Sprowadza ją autor z którym się przypadkowo może zapoznaje a jest nim Sorel. Przejmuje od niego wiele a przedewszystkiem „stało się dla niego prawdą filozoficzną, że nie tylko wybieramy sobie swą historyę lecz ją tworzymy"[1]) Konsekwencye wiary w to, że historya jest dziełem człowieka — przepłaszają na plan dalszy dotychczasowe, egoistyczne pobudki pracy. Ich miejsce zajęły impulsy, wypływające ze społecznego świata. Tarcie w kierunku zagadnień związanych ściśle ze sprawami społecznemi objawiało się i dotychczas u Brzozowskiego (praca w partyi) obecnie bierze ona nad nim przewagę, zamienia się w pasyę. Inaczej mówiąc pod wpływem Sorela staje się Brzozowski społecznikiem w tem znaczeniu, że całość jego pracy umysłowej i działalności literackiej obraca się około myśli o przemianie współczesnych umysłowych kierunków w Polsce a przez nią pchnięcie całego naszego życia na zdrowsze

[1]) Pamiętnik S. 212.

i przyszłość przed sobą mające tory. „Nie chodzi mu już teraz o jego teorye osobiste, lecz o sprawy życia i śmierci umysłów, urabiających się i kształcących z nim razem w Polsce“ [1])

To co jest i tak jak jest nienadzwyczajne, pozwala stawiać horoskopy. Krytyka, która uważa za „analizę naszego oddychalnego powietrza, wykrywającą genezę jego pierwiastków i ich wartości“ [2]) pokazała mu, że w całej „Młodej Polsce“ jej literaturze uderza brak współczesnej świadomości narodowej a „jej potępieniem jest brak „wogóle myśli“. Atmosfera w jakiej żyjemy, a co ważniejsza w jakiej wychowują się przyszłe pokolenia, jest okropna. Pierwiastki z których się składa to nic więcej jak tylko dalsze emanacye romantyzmu, podobne do emanacyi radu, żyjących nieraz tylko dniami a najwyżej trwających miesiące.

„Nie możemy odrzucić historyi — historyi ludzkości, jako ostatniego najgłębszego dzieła, gdyż nie mielibyśmy ich czem zastąpić“ [3]) ale starać się powinniśmy choć częściowo się wyzwolić z jej wpływów i nie ulegać tylko jej urokowi. Trzebaby przełamać dominujący wpływ romantyzmu — dojść do jakiegoś realizmu pracy i myślenia, tak jak to uczynił zachód Europy. A więc trzeba iść do innych narodów po naukę, studyować dzieje ich umysłowości. Dokumentami minionych czasów — żywymi dzisiaj jeszcze są dzieła literatury — branej w jak najszerszem znaczeniu. Ona jest jednym z najważniejszych czynników wychowania a więc *pro futuri temporis bono* trzeba „zmienić charakter polskiej literatury na całe pokolenia“ [4]).

Ta myśl staje się dla Brzozowskiego pobudką pracy i dyrektywą poczynań. Ona opanowuje całą jego istotę, pcha do nieustających studyów, każe zapomnieć o kłopotach codziennego życia, nędzy i chorobie. Ogrom to pracy, przechodzący absolutnie siły jednostki. Czuje to sam Brzozowski, kiedy zaraz na pierwszej stronie pamiętnika narzeka na braki w przygotowaniu, na wszystkie swoje zaniedbania. Narzeka i wierzyć się musi w szczerość słów wobec zamiarów jakie projektuje i szerokości planów

[1]) Pam. Str. 170.
[2]) ib. str. 15.
[3]) ib. str. 65.
[4]) Pam. Str. 40.

w których dokonać tego zamierza — szkicując je w Pamiętniku. I w tym okresie nie znika to „rozrzutne niechlujstwo zainteresowań umysłowych" nie skraży się już jednak Brzozowski na nie, usprawiedliwiając się przed sobą celem do jakiego zmierza.

Całe życie umysłowe autora, *Legendy*, przyrównać można do wałęsania się po górach. Zobaczywszy pierwszy szczyt wdrapuje się nań, ciekaw widoku, który się z tych wyżyn roztacza. Z chwilą dojścia na sam wierzchołek pokazuje się, że część widnokręgu zasłania pasmo górskie. Nad cały zwał gór wyszczela najwyżej jeden szczyt. A więc namby dostać się trzeba, by widzieć jak najszerzej. Ale z dojściem do celu powtarza się znowu to, co uprzednio i tak dalej i dalej. Oto wędrówka Brzozowskiego po wybijających się wśród ludzkości genialnych jednostkach.

Wszedłszy na szczyt zapomina o tem, co doznał i widział po drodze, obcem mu jest również zdawanie sobie sprawy ze ścieżek, któremi codopiero kroczył. Zetknąwszy się z jakimś nowym systemem myśli nie troszczy się o dokładne jego poznanie i przedstawienie. Zachwyca go wszystko, co z nowego stanowiska może zobaczyć. Snuje zaraz swe subjektywne czysto poglądy, przedstawia swe wrażenia i myśli rad, że zajmując nową placówkę, może osądzać współczesne objawy życia i literatury. Stąd też czytelnik biorąc do ręki studyum Brzozowskiego — czy ono będzie o Nietzschem lub Avenariusie czy o Wyspiańskim lub Żeromskim nie znajdzie tam przedstawionych szczegółowo poglądów danego autora. Rozczaruje się, bo zobaczy tylko co z tego punktu widzenia ogląda się, odczuwa i myśli o świecie, napotka stopione z sobą myśli Brzozowskiego oryginalne, tudzież poglądy autora o którym mówi. Tworzy się w ten sposób aliaż myśli, gdzie ogół czytelników nieobznajmionych dokładnie z materyałem jakiego dostarcza pisarz o którym Brzozowski prawi—nie zdoła od siebie oddzielić części składowych tej mieszaniny. Słusznie też może się skarżyć autor Pamiętnika, że „cały rój myśli — zawarty w Legendzie i Ideach — zginął" w apatyi filozoficznej i że wogóle to, co jest jego myślą w pismach najmniej zajmuje[1]).

Zachwyt jaki przeważnie zawsze porywa Brzozowskiego

[1]) Pam. Str. 73 i 74

w chwili zetknięcia się z nieznanym autorem nie pozwala kontrolować dróg, któremi do zajmowanego stanowiska doszedł — usuwa precz jakąkolwiek krytykę czy wątpienie.

Nie znaczy to by krytyka, by ocena i sprawdzanie było Brzozowskiemu obce. Owszem — potrafi on być krytycznym i przenikliwym wobec niesympatycznych dla siebie autorów czy poglądów albo też, wobec miłych sobie, ale dopiero po pewnym czasie, kiedy oswaja się z danym poglądem. Wtedy niejedno z dawnych mamideł blaknie, niejedna w dobrej wierze przyjmowana moneta okazuje mu się najordynarniejszym liczmanem, drogie kamienie zwyczajnym falsyfikatem. Dowodem na to choćby stosunek Brzozowskiego do „Młodej Polski" a specyalnie w „Pamiętniku" — bijące w oczy — stanowisko wobec Newmanna.

Ta zmiana sądów, przekonań i oryentacyi jaka się u niego dokonywała jest przyczyną sprzeczności którą u Brzozowskiego napotkać można. Istnieją one tylko dla czytelnika dzieł, mającego do swej dyspozycyi nic więcej jak w pracach skrystalizowane już myśli — inaczej mówiąc obserwować może martwe przecięcia całego pasma rozwoju duchowego. Nie widzi ich Brzozowski, widzieć nie może, gdyż zawsze ma przed sobą do dyspozycyi całość drogi, przeglądnąć ją może każdej chwili i każdy krok w niej uzasadnić. Trafnie też powiada W. Klinger „praca Brzozowskiego, zdumiewająca swą energią, prowadziła nietylko do mechanicznego pomnażania zasobów wiedzy, ale także do nieustannego rozszerzania horyzontu duchowego, do coraz to nowych oryentacyi myślowych, które tylu mu tworzyły wrogów"[1]). Ten w całem słowa tego znaczeniu *homo faber* — fanatyk czynu — nie przeszedłszy żadnej szkoły ni myślenia ni pracy, którąby ujęła w ryzy jego upodobania a w każdym razie dała mu metodę postępowania — „a szkoły nie zastąpi nic"[2]) — chodzi samopas „za powiewem ducha". „Żyjąc nieraz w całkowitej rozterce duchowej nie umiał przewidzieć — dokąd go zaprowadzi własna ego praca"[3]).

Problemy filozoficzne — jak to powyżej podniosłem — na-

[1]) W. Klinger: St. Brzoz. jako człowiek S. 14.
[2]) Słowa Brzoz. w liście do Kl.
[3]) Tamże. S 21.

suwają mu „mistrze". Jednak odpowiedzi na nie często nadzwyczaj oryginalne sam daje, dochodząc do własnych uogólnień przykłada się do budowy filozoficznej myśli. Spotkać można wprawdzie podobne rozwiązania problemów z innych współczesnych — ale dzieje się to głównie dlatego, że odpowiedzi drzemią jakoby w duchu czasu i pojawiają się u kilku myślicieli równocześnie. Dość wspomnieć powstanie pragmatyzmu.

Rola mistrzów spada na ogół do obudzenia w umyśle Brzozowskiego pewnych zainteresowań. Zrozumiałem też już w zupełności przejście jego do katolicyzmu. Zbliżyły go doń, tak kręte drogi, jak teorye Bergsona, a zaprowadził Newman. On zwłaszcza, ten najbardziej przez Brzozowskiego ubóstwiany nauczyciel, pokazał mu, że „katolicyzm zawiera sumę najgłębszych, najszerszych i najbogatszych prawd[1])". Wszedłszy zaś raz na to nowe stanowisko zaczyna rozglądać się w niem coraz dokładniej, przemyśliwać i zastanawiać.

Zachwyca tego poszukiwacza bezwzględnych prawd — czy prawdy — cały „przepych struktury", niepoznanego dotychczas gmachu. Znika mu z oczu „poliformizm prawdy" bo znalazł tutaj skarb upragniony i olśniony jego blaskiem, mówi: „Spinoza stworzył wielki świat, Hegel większy, Goethe jeszcze większy — katolicyzm jest wspanialszy niż to wszystko, szerszy, potężniejszy"[2]). „Wyróżnia zaś myśl katolicką od innych postaci myśli to, że jest najbardziej bezpośrednią i głęboką formą w jakiej żyje obecnie w naszej kulturze świat klasyczny, kultura grecko-rzymska — a dalej — że najkonsekwentniej uznaje ona życie nasze, życie konstruktywne ludzkości. Natomiast Spencer, buddyzm, Lefcadia Hearn etc. wszystko to są usiłowania znalezienia prawdy w drodze niezależnej od udziału w konstruktywnem życiu ludzkości[3])". Zdumiewa Brzozowskiego i zachwyca to dziwne bogactwo w tej na pozór nadzwyczajnej prostocie. Coraz bardziej opanowywał go czar mistyczny katolicyzmu, budzić się w nim poczynała wiara.

---

[1]) Pam. Str. 36.
[2]) Ib. Str. 102.
[3]) Ib, Str. 89 podkreślenia Brzozowskiego.

„Człowiek jest niezrozumiałą zagadką bez Kościoła — bo nieuchronnym w samej idei człowieka zakorzenionym faktem jest Kościół[1])". Takie ma przekonanie i przyjmuje je za pewnik. Im dokładniej to pojmował tem tragiczniej „czuł się w dziwnej i strasznej roli człowieka, widzącego prawdę lecz nie zdolnego przejąć się nią. Aby bowiem wiara stała się żywą i gorącą potrzebne jest względnie bodaj rozwinięte i obudzone uczucie, a przedewszystkiem wola. Tymczasem organizacya psychiczna Brzozowskiego pozbawiona była tej właśnie strony. Nie dbał nigdy o nic, tylko o to, co jest myślą i jej wypowiedzeniem był też „zimny a mózg był najgorętszą częścią jego istoty"[2]). Kosztem uczucia rozwijał się intelekt „wypaczając duszę, która już nigdy nie potrafiłaby się wyprostować. "

Brzozowski to typ intellektualisty.

Stąd płynie jego wartość i znaczenie ale równocześnie tragizm życia, działalności i literackiej spuścizny.

W tym wiecznie czynnym młynie myśli ścierało się wszystko co niejasne, słabe, lub kiepskie na pył i musiało odpadać. W ten sposób koniecznością dlań było rozstawanie się z wielu drogimi poglądami a „takie likwidacye są zawsze przykre i trudno się oprzeć wrażeniu, że mają coś z wiarołomstwa[3])". Odbywały się one w nim jednak niejako wbrew jego woli z koniecznością procesów fizycznych i było zawsze bezinteresowne — choć stanowiły przedmiot zgorszenia dla wielu.

Drogami tego niezwykłego życia były przeważnie manowce, manowcami także zbliżył się do katolicyzmu. To ostatnie zbliżenie było jednak o tyle głębsze, że pociągnęło za sobą praktyczne następstwo. Na łożu śmiertelnem pogodził się z Kościołem. Człowiek, ktory rozpoczął publiczną działalność od walki z katolicyzmem, skończył na afirmacyi katolicyzmu.

Dr. Zygmunt Gutek.

---

[1]) Pam. Str. 168.
[2]) List do Klingera.
[3]) Brzozowski do Klingera.

Istota i rodzaje systemów filozoficznych.

Dziwnym się wydaje niejednemu fakt, że istnieje tak wielka liczba najrozmaitszych, często wzajemnie się wykluczających poglądów na świat, tyle syntez filozoficznych, z których każdy rości pretensyę do prawdy, do zgodności swoich twierdzeń z rzeczywistością. Gdzie leży tego faktu przyczyna? Odpowiadam krótko — w naturze ludzkiej, a raczej w naturach ludzkich, które posiadają różne upodobania, różne usposobienia, różne kąty, pod którymi patrzą na świat i stosownie do tych usposobień, upodobań oraz uzdolnień jużto wybierają odpowiednie kierunki filozoficzne, jużto sami je wytwarzają. Ale ta nasza uwaga dotyczy głównie syntez indywidualnych, przejściowych, zależnych od tych lub innych osobistości. Lecz, idąc dalej i głębiej, trzeba jeszcze postawić pytanie, dlaczego i systematy filozoficzne, które stale się powtarzają, w dziejach myśli, systematy tak przeciwne sobie, jak idealizm i materyalizm, sceptycyzm i dogmatyzm, subjektywizm i objektywizm są także w przekonaniu, iż każdy z nich odpowiada naturze rzeczy? I tu podobnież lepszej odpowiedzi dać nie można, jak tylko wytłumaczyć je ustrojem przyrody człowieczej, zwracając przytem uwagę na głębsze jej pokłady.

Otóż od tych rodzajów systemów filozoficznych, jakie wytworzyła ludzkość, uzależnione są w lwiej części wszystkie nasze zapatrywania poszczególne, t. j. twierdzenia i uogólnienia, rozważające pojedyncze rzeczy i pojedyncze kwestye. I tak

wyznawca sceptycyzmu wszystko będzie negował i krytykował, wyznawca racyonalizmu przyjmie tylko to, co da się stwierdzić faktami i rozumem uzasadnić; natomiast empirysta skrajny uzna jedynie to, czego sam zmysłami i własnem doświadczeniem dozna, a i to jeszcze, będąc konsekwentnym, będzie uznawał tylko za prawdopodobne. Znowu idealista zupełnie przeciwnie będzie twierdził. Dla niego rzeczy empiryczne i wszystko, co zmienne, materyalne, będzie miało wartość podrzędną, podczas gdy idee, rzeczy pozadoświadczalne, trancendentalne oraz to, co jest poza materyą, zjawiskami, idealista będzie cenił jako jedynie prawdziwe. Podobnie rzecz się ma z każdym, wyznającym jeszcze inne poglądy, tłomaczące po swojemu wszechświat.

Widzimy więc, że kierunki filozoficzne są niezmiernej wagi, gdy chodzi o rozwiązywanie rzeczy poszczególnych, tych jakby ułamków bytu. A że w pracy nad poznawaniem rzeczywistości często zachodzą spory, dotyczące najrozmaitszych kwestyi jednostkowych, te spory zaś i różnice w poglądach mają pierwsze i najważniejsze źródło w różnych systemach filozoficznych, przeto zastanowienie się bliższe nad istotą i ich rodzajami nie będzie pozbawione aktualności, a praca nasza bez pożytku.

I.

Systemy filozoficzne są dziełem człowieka. Myśl ludzka, pracująca od wieków nad poznaniem i zbadaniem świata w rozmaity sposób różnymi czasy usiłowała wniknąć śmiałym rzutem oka w tajemnice natury, ogarnąć je w całości z pewnego punktu widzenia i wytworzyć sobie jednolity pogląd na świat, t. j. mieć wytłumaczone wszystkie zagadnienia, które zawsze dręczą człowieka. W tym celu tworzono narazie różne poglądy, systemy filozoficzne, przeważnie sobie przeciwne, które miały zadowolić wymagania człowieka i jego potrzeby duchowe, a nawet temperamenty różnych ludzi, szczególniej zaś samych ich twórców. Systemy te, oczywiście nie posiadały i nie mogły

posiadać odrazu tej doskonałości, do jakiej z czasem dopiero doszły. W czasach młodzieńczej kultury ludzkiej nosiły na sobie piętno młodości, brak wykończenia, chaotyczność, mimo śmiałych, choć zgruba narysowanych odpowiedzi na również niedołężnie postawione zagadnienia.

Z początku owe koncepcye były pomieszane i najczęściej wyrosłe na tle religijnem lub mistycznem. Jedne z nich były wspólne całym społecznościom, inne więcej oryginalne były tworem i przekonaniami ludzi wydatnych i wybitnych umysłowością, których ciekawość i skłonności twórcze pchały do wymyślania coraz to nowych, coraz to bardziej wyróżniających się systemów i kierunków. Pomiędzy zaś owymi systemami powstawały walki, dysputy, które z jednej strony przyczyniały się do większego ich rozwoju, a z drugiej nadawały im rozgłosu i zjednywały zwolenników. I w ten sposób nowopowstałe syntezy filozoficzne nabrały znaczenia, gdyż treść ich powoli poczęła przenikać do świadomości szerszych kół ludzi, których podobne kwestye interesowały. Jak świadczy historya filozofii, brzegi morza Śródziemnego, a zwłaszcza brzegi północno-wschodnie najwięcej takich koncepcyi filozoficznych wydały. Dziwna rzecz, że człowiek swoje badania i poznanie świata zaczął od najwyższych uogólnień, od dedukcyi. Nie poznanie poszczególnych rzeczy i przedmiotów, jak dzisiaj, ale zagadnienia najogólniejsze, podstawowe bytu, stanowiło zasadnicze dążenie pierwszych badaczy i myślicieli. Fakt ten właśnie dowodzi, że nowa teorya biologiczna, wyprowadzająca naszą wiedzę z walki o byt, jest historycznie błędna. Teorya ta polega na tem, że wszelkie poznanie rozwinęło się jedynie z potrzeb biologicznych, cielesnych, a nie z potrzeb wyższych ducha ludzkiego. Obrona od czynników szkodliwych i samozachowanie zbudziły w człowieku myśl, przez którą począł poznawać najbliższe swoje otoczenie, rzeczy, zjawiska i przedmioty. Zatem podług tej teoryi pierwotny człowiek rozpoczynał zdobywać swoją wiedzę od szczegółów, drogą indukcyi, zamiast dedukcyi, jak świadczy historya. Stąd nie tu należy szukać właściwego źródła systemów filozoficznych.

Prócz wyżej podanej ogólnej genezy syntez świata, są inne jeszcze przyczyny je rodzące. Duch epoki, nastrój i właściwości narodowe, indywidualności filozofów-twórców, ich temperament, zdolności i uczucia tworzą takie systemy filozoficzne już nowe, już przekształcają stare i dostosowują je do swoich potrzeb i wymagań duchowych. Czynniki te grają wielką rolę w dziejach filozofii i są głównymi sprawcami różnic w zapatrywaniach filozoficznych. W nich kryje się z jednej strony tajemnica przeciwieństw i sprzeczności pomiędzy systemami, a z drugiej — główne ich źródło, zwłaszcza co się tyczy ich liczby, ponieważ istotna treść syntez filozoficznych wynika z głębszych podstaw, a mianowicie z natury ludzkiej, z jej duchowo-cielesnego ustroju. Dlaczego nie jest całkowicie słusznem zdanie R. Falkenberga, który w swej „*Historyi filozofii nowożytnej*" twierdzi: „Poglądy na świat, wyrastające z czasowych nastrojów ludzkości, jako kwiaty ogólnego rozwoju cywilizacyi, stanowią nie tyle myśli, ile rytm myślenia, nie teorye, lecz raczej przesiąknięte uczuciem zapatrywania, o które można się spierać, ale które nie dadzą się ani stwierdzić, ani zaprzeczyć przekonywającymi dowodami. Nie tylko optymizm i pesymizm, determinizm i nauka o wolności, ale i panteizm lub indywidualizm, idealizm lub materyalizm, nawet racyonalizm i sensualizm wyrastają ostatecznie z uczuciowości". [1]). Znany historyk historyi filozofii nowszej zdaje się ignorować w człowieku władze poznawcze, które w tym wypadku, t. j. w wytwarzaniu ogólnych poglądów na świat mają znaczenie niewątpliwie pierwszorzędne, szczególniej co się tyczy systemów trwałych, stale się powtarzających, jak n. p. racyonalizm, empiryzm i inne, z których czas wszelkie uczucie powoli potrafił usunąć. To się zaś inaczej stać nie mogło, jak dzięki funkcyom poznawczym człowieka. Okazuje się więc, że oprócz ducha czasu, nastroju narodu, indywidualności myślicieli i ich osobistych potrzeb duchowych jest jeszcze inne głębsze źródło, skąd również powstają systemy filozoficzne. A tem źródłem

[1]) R. Falkenberg, Historya filozofii nowożytnej. Wł. M. H. Kozłowskiego, str. 3, 4.

jest umysłowość ludzka, połączona razem z przedmiotem swego badania czyli z rzeczywistością. Wyrosłe z tego pnia systemy są trwałe jak ludzkość, ponieważ opierają się na głębokich podstawach i zawierają w sobie najwięcej prawdy, o co właśnie roszczącemu pretensyę do prawdy systemowi przedewszystkiem chodzić powinno. Wprawdzie zgodności z rzeczywistością jeden tylko system całkowicie odpowiedzieć może, a tymczasem jest ich więcej, co znaczy, że każdy z owych systemów pewną część tylko prawdy w sobie zawiera. I rzeczywiście, systemy filozoficzne, często przeciwne stanowisku w stosunku naszym umysłowym do świata, występują licznie ze strony tak podmiotowej jak i przedmiotowej i czynią niemożliwą zgodność w poglądach na najwyższe zagadnienia oraz przeszkadzają spojeniu poszczególnym badaczom rzeczy w jednolitą całość ich przekonań i wniosków naukowych. Każdy prawie myśliciel, twórca systemu widzi tylko pewne części rzeczy, pewne tylko uwzględnia problemy, reszty albo nie dostrzegając albo pomijając jużto dlatego, że nie zgadzają się z jego przekonaniami, potrzebami i dążeniami, już, że przyjęcie ich naruszyłoby jednolitość i konsekwencyę jego własnego poglądu. Lecz te osobiste względy i pierwiastki są najsłabszą stroną podobnych koncepcyi rzeczywistości. Trwałem jest tylko to, co się opiera na rzeczach i prawach umysłu.

Jak widzimy z powyższego, że cztery są źródła jedynie racyonalnie tłumaczące genezę syntez filozoficznych: duch czasu, właściwości narodu, indywidualność myślicieli oraz umysłowość nasza (natura ludzka) spojona z rzeczywistością. Z pierwszych trzech źródeł wypływają systemy nowe, zmienne, ostatnie znowu źródło odnosi się do syntez „starych", trwałych, najwięcej zbliżonych do prawdy.

Oryginalną genezę systemów filozoficznych podał Trendenlenburg. Podług niego istnieją dwie przeciwne sobie siły: ślepa i świadoma, które w dążeniu do jedności wytwarzają trojaki stosunek do siebie. Pierwszy stosunek ma miejsce wtedy, kiedy siła ślepa stoi przed myślą, t. j. siłą świadomą, drugi, kiedy myśl stoi przed siłą ślepą i trzeci — kiedy się utożsa-

miają z sobą siła ślepa ze świadomą. W pierwszym wypadku powstanie materyalizm, w drugim — idealizm, w trzecim — panteizm. Te trzy systemy są zasadnicze, z których powstały i powstają inne im pokrewne. Aczkolwiek nie można odmówić niemieckiemu filozofowi głębokości co do tłumaczenia powstania różnych poglądów na świat, ale także nie można mu przyznać zupełnej racyi, gdyż rozumowanie jego jest zanadto oderwane od istotnego biegu rzeczy. Gdyby wszakże Trendenlenburg swoją teoryę więcej zastosował do konkretnych stosunków w ten n. p. sposób, że siłą ślepą byłaby cała rzeczywistość, a siłą nasz umysł, kwestya cała nabrałaby większej siły dowodowej i prawdopodobieństwa[1]). Poznawszy główne źródła powstawania systemów filozoficznych, wniknijmy teraz w ich istotę.

System filozoficzny — jestto jednolita konstrukcya umysłu ludzkiego, wyjaśniająca całość wszechbytu na podstawie jednej lub kilku zasad ogólnych. W określeniu tem znajdujemy trzy rzeczy najważniejsze: pierwszą z nich jest pojęcie konstrukcyi, drugą — ogarnięcie czyli wyjaśnienie wszechbytu, trzecią — wytłumaczenie tego bytu na podstawie jednej lub kilku zasad ogólnych. Te trzy rzeczy są wspólne każdemu systemowi. Zdajmy sobie z nich sprawę. Przez konstrukcyę rozumieć tu należy harmonijne, zgodne z sobą, jednolite skupienie różnych części, składników w jedną architektoniczną całość. W naszym wypadku, gdy chodzi o system filozoficzny — konstrukcya będzie skupieniem rozmaitych zagadnień, rzeczy, stosunków, zjawisk, ugrupowanych tak, aby jedno od drugiego zależało, jedno drugie tłumaczyło zależnie od swojego znaczenia i stanowiska w całości kosmosu. Oczywiście, takie konstrukcye są przedewszystkiem wynikiem pracy poznawczej, przeważnie twórczej danego człowieka, narodu, epoki. Wchodzą tu także często w grę czynniki estetyczne, moralne, które razem z czynnikami poznawczymi składają się na te lub inne koncepcye rzeczywistości. Następne pojęcie, jakie wchodzi w skład definicyi systemu — to ogarnięcie całości wszechbytu czyli treść, przedmiot systemu filozoficznego. Tu wystarczy powiedzieć, że wszelki

[1]) Trendenleburg. *Przyczynki historyczne do filozofii*, tom II, 1855 r.

system filozoficzny jest uniwersalny, obejmujący wszystkie zagadnienia, wszystkie rodzaje bytu, przedmioty i zjawiska. Wreszcie ostatni pierwiastek istotowy systemu polega na tem, że każdy system objaśnia i tłumaczy rzeczywistość jedną lub dwu zasadami ogólnemi, będącemi duszą danego systematu. Te trzy pierwiastki stanowią istotę każdego systemu filozoficznego. Ale oprócz tego, w syntezach filozoficznych dadzą się jeszcze wyróżnić pewne właściwości wspólne. I tak każdy system jest z natury rzeczy metafizyczny, ponieważ usiłuje tłumaczyć po swojemu zagadnienia bytu pozazjawiskowe, pozadoświadczalne, bez względu na to, czy te tłumaczenia będą afirmatywne czy negatywne. W ten sposób więc wszelki system zajmuje pewne, mniej więcej określone stanowisko względem istoty rzeczy. Nawet nietylko systemy filozoficzne, mające zadania i cele wyłącznie metafizyczne, jak teizm, panteizm, monizm, dualizm, ale i kierunki teoryi poznania, etyki najczęściej są przesiąknięte metafizyką. A zwłaszcza dzisiaj, w dobie prawie ekskluzywnych badań nad istotą poznania, ta cecha metafizyczna występuje w tego rodzaju kierunkach wcale niedwuznacznie. Empirya, krytycyzm, biologizm, skrajny idealizm są tego dowodem, gdyż każdy z zwolenników jednego z powyższych kierunków posiada gotowe lub konsekwentnie wynikające z kierunku odpowiedzi na zagadnienia metafizyczne, ontologiczne. W większym jeszcze stopniu panuje metafizyka w kierunkach etycznych, jako w dziedzinie silnym węzłem z metafizyką związanym.

Dalszą właściwością systemów filozoficznych jest mniejsza lub większa jednostronność, jako najsłabsza ich strona. Już sama a niemała liczba systemów i pojęcie jednej prawdy i jednej rzeczywistości na to wskazują. Ale główną przyczyną tej jednostronności jest objaśnianie przez dany system jedną ideą, zasadę rozmaitych rodzajów wszechbytu, n. p. wyprowadzanie świata albo z materyi, albo z ducha, z siły, albo z woli, albo wreszcie z rzeczy w stosunku do całości świata wprost paradoksalnych jak miłość i nienawiść, liczba, powietrze, pożytek. Otóż te pojęcia, zasady i rzeczy, wzięte oddzielnie, jak również

i inne, że człowiek jest miarą rzeczy, że świat to splot zmysłowych czuć, służące za podstawy tworzenia systemów, nie mogą być nigdy wszechstronne i bezstronne, ale zawsze są i będą jednostronne, ponieważ dla swojej ciasności albo pewne byty pomijają, albo je źle tłumaczą. Stąd, choć w każdym prawie systemie jest część prawdy, o ile tenże ujmuje istotne stosunki rzeczy, to jednak każdy system nie jest zupełnie zadawalający pod wszelkim względem. I to jest źródłem walk, dysput i różnic w poglądach na świat. To jest przyczyna rzeczowa jednostronności koncepcyi filozoficznych. Są jeszcze inne jej przyczyny, przyczyny natury podmiotowej, a mianowicie wspomniane już wyżej nastroje epok, duch narodu, właściwości umysłowe i temperament twórców systematów, które to czynniki wyciskają swoje piętno również na swoich dziełach i w ten sposób sprawiają jeszcze większe różnice i jednostronności pomiędzy filozofami.

Pomimo tej jednostronności nie da się wszakże zaprzeczyć i pewna łączność między systemami i kierunkami czyli inaczej przenikanie się systemów. Mam tu na myśli fakt, że istnieją jakby pewne wśród ogólnych syntez filozoficznych, które się w różny sposób ze sobą łączą i spotykają albo konsekwentnie ze siebie wynikają. Oto n. p. materyaliści są jednocześnie monistami, empirystami, naturalistami, deterministami, mechanicystami, ateuszami, podczas. gdy spirytualiści liczą się do racyonalistów, indeterministów, teistów, dogmatyków. Teista znowu każdy będzie teleologistą, dualistą, indeterministą, podobnie jak racyonalista. Subjektywista wreszcie może być sceptykiem, relatywistą, agnostykiem. Owa łączność i przenikanie się systemów tłumaczy się tem, że w gruncie rzeczy jest kilka tylko zasadniczych systemów najogólniejszych, a reszta, jako mniej ogólnych, obejmujących mniejszy zakres rzeczy, da się pod pierwsze podporządkować. Są więc owe mniejsze systemy, jak n. p. teleologizm, determizm, ewolucyonizm, atomizm i inne jakby gałęziami już monizmu lub dualizmu, już idealizmu albo materyalizmu, teizmu albo panteizmu. Z tych zasadniczych systemów metafizycznych wyrastają ich odcienia

i odłamy dla tem pełniejszego ujęcia przez dany system rzeczywistości i odbicia jej w sobie, gdyż systemy filozoficzne — to obrazy świata, jego kopie, czynione na tyle różnych sposobów, ile jest istotowo różnych systematów.

Wreszcie ostatnią wybitną cechą syntez filozoficznych jest ich uniwersalność w stosunku do swego przedmiotu, którym jest rzeczywistość, wszechbyt. Jak przedmiotem filozofii wogóle są wszystkie najogólniejsze, podstawowe zagadnienia i przyczyny bytu, wszystkie rodzaje przedmiotów i działy istnienia, tak każdy system filozoficzny, jako jednolita całość, usiłuje na swój sposób te kwestye i rzeczy wyjaśnić. Przedmiotem więc każdego głównego systemu jest metafizyka, teorya poznania, etyka, psychologia, estetyka. Wszystkie zagadnienia poruszane w tych dyscyplinach filozoficznych stanowią przedmiot systemów.

Celem wszelkiego systemu filozoficznego, jak wogóle filozofii, jest wytworzenie jednolitego poglądu na świat, danie odpowiedzi na wszystkie zagadnienia i rzeczy, któreśmy dopiero podali. Zatem wytworzenie obrazu świata według pewnej podstawy, przyjętej za najogólniejszą zasadę, jest głównem dążeniem systematów, którym przedewszystkiem chodzi o to, ażeby dany pogląd na świat był jednolitym, aby tłumaczył wszystkie rzeczy, a szczególniej kwestye ogólne co się tyczy Boga, człowieka, świata i wzajemnych między nimi stosunków. Systemy filozoficzne bardziej i więcej dążą do jedności w ogarnięciu całej rzeczywistości, aniżeli do jej dokładnego zbadania i poznania czyli do prawdy. Raczej zadowolenie całkowite wszystkich potrzeb ludzkich, w które wchodzą nietylko wymagania umysłowe, ale i estetyczne oraz życiowe, jest ich ideałem, aniżeli zadosyćuczynienie ideałom prawdy i naukowości, pomimo, że wymagania nauki są zasadniczymi ich kryteryami. Bo w istocie rzeczy system filozoficzny zawsze odnosi się głównie do treści świata, którego, podług siebie, chce dać kopię jak najwierniejszą i najbardziej do prawdy zbliżoną. Jednak syntezy filozoficzne ze względu na swoją liczbę i przeciwieństwa wzajemne nie mogą być wyrazem prawdy całkowitej, nie mogą dać prawdziwego

obrazu rzeczywistości, ani wzięte z osobna ani w całości, ale natomiast dają jednolity, mniej więcej zaokrąglony i usystematyzowany pogląd na świat — i to właśnie jest ich głównem zadaniem.

Oceniając wartość systematów filozoficznych, zwrócić musimy uwagę na to, jaką one rolę odgrywają w dziejach filozofii, kultury i życia. Przyznać tu trzeba, że to są potęgi, przewodnicy i regulatorzy postępowania i rozwoju umysłowego, ponieważ jak już mieliśmy sposobność przekonać się, że grunt ich głęboki, a zadanie ważne, bo nadawanie kierunku myślom ludzkim, wytwarzanie ich treści. Nauka, wiedza ludzka, poznawanie drobiazgowe świata biegnie powoli, zwolna też odkrywa tajemnice natury, tymczasem systemy, oparte w części na intencyi, w części na twórczości i w części na rzeczywistości odrazu na swój sposób przebijają mgły, pokrywające istotę rzeczy i dają ludziom odpowiedzi na wszystko, co dręczy ducha ludzkiego.

Systemy filozoficzne są zatem koniecznością naszej natury, która musi sobie zdać sprawę w ten czy inny sposób z otaczających ją rzeczy i wynikających z nich problemów. To też od początku istnienia człowieka aż po dziś dzień istnieją syntezy umysłowe, ogarniające i tłumaczące wszechbyt. Wartość zaś naukowa owych syntez jest względna, zależna od mniejszej lub większej ilości pierwiastków przedmiotowych, jakie się w nich znajdują. Pod tym względem należy zauważyć, że choć niema ani jednego choćby najbardziej fantastycznego systemu, któryby nie opierał się zupełnie na czynnikach przedmiotowych, to wszakże i z drugiej strony w najwięcej przedmiotowym systemie, najwięcej zgodnym z rzeczywistością, znajdują się pierwiastki ludzkie, twórcze, które go czynią do pewnego stopnia jednostronnym, biorącym rzeczy ze swojego punktu widzenia. Dlatego żaden system filozoficzny jako taki, nie daje w zupełności prawdziwego obrazu rzeczywistości. Są jednak systemy, które w przeważnej części swych twierdzeń i założeń zgadzają się z właściwym stanem rzeczy, zbliżają się więcej, aniżeli inne do prawdy i przez to służą nietylko jako gotowe poglądy na

świat, ale także wielkie usługi oddają nauce. Czynią to zaś w ten sposób, że uprzedzają, antycypują bardzo często wyniki badań naukowych. Nie dosyć na tem, One jeszcze wiążą, koordynują, sprawdzają, uogólniają swe wyniki wiedzy a nawet same z nich korzystają i do nich się dostosowują. Tego rodzaju systemy posiadają w sobie najwięcej prawdy przedmiotowej. Im zaś który z nich więcej zgadza się z nauką i z nią się liczy, tem więcej jest zgodny z istotą rzeczy, którą usiłuje tłumaczyć. Takim systemem zdaje się być analizm, objektywizm i im pokrewne.

Wreszcie ostatni wzgląd co do waloru systematów polega na tem, że wszystkie syntezy filozoficzne w ciągu dziejów myśli ludzkiej przez wzajemne walki między sobą, przez nowe ujęcia rzeczy, przez odkrycia nowych stron, nowych punktów widzenia przyczyniają się doskonale do postępu wiedzy i pełniejszego rozwoju umysłowego ludzkości.

Oto są wartości dodatnie i ujemne systematów filozoficznych. Jaki więc z powyższego rozważania wniosek wypływa? Ten, że ze stanowiska naukowego i rzeczowego systemów wogóle nie można w czambuł potępiać, ale i bezwzględnie im ufać. Jakże? Więc wszystkie systemy są uprawnione, kiedy jest tylko jedna prawda, jedna rzeczywistość? Jeżeli z tego punktu widzenia oceniać je będziemy, to musimy odpowiedzieć stanowczo, że tak nie jest, że są uprawnione mniej lub więcej niektóre tylko systemy, a jeden z nich najwięcej. Jeżeli znowu weźmiemy pod uwagę wartości kulturalne wszystkich syntez, to twierdzimy, że każdy z nich w swoim czasie jakąś rolę dodatnią mógł odegrać.

Wszystkie systemy filozoficzne dadzą się podzielić na dwa działy: systemy ogólne, będące wynikiem pracy ogółu i systemy indywidualne, jako własności poszczególnych filozofów-twórców. Do pierwszego działu należą kierunki i systemy, które zawierają w sobie dużo pierwiastków objektywnych, ponieważ na ich powstanie i udoskonalenie formalne składała się praca myśli licznych wieków i epok oraz licznych twórców i narodów, które rozwijały i oczyszczały ziarna, rzucone udatnie na grunt żyzny, t. j. odpowiadający potrzebom pewnej części

ludzi. Natomiast drugi rodzaj systemów stoi pod tym względem od pierwszego o wiele niżej, gdyż syntezy pierwszego rodzaju są rezultatami długich i wspólnych wysiłków ogółu i dlatego noszą na sobie cechy większej doskonałości formalnej i większej zgodności z przedstawianą rzeczywistością, niż systemy powstałe z jednej głowy lub ducha epoki albo ducha jednego narodu. Z tej więc racyi wynikają cechy wybitne, wyróżniające jedne systemy od drugich, systemy ogólne od indywidualnych.

Co się tyczy różnicy pierwiastków formalnych, to te również są widoczne, jak i objektywne, o których dopiero co była mowa. Syntezy ogólne są w znacznie większym stopniu wykończone, zaokrąglone, przeprowadzone konsekwentnie odnośnie do wszystkich rzeczy i zagadnień bez względu na to, czy to będzie materyalizm czy spirytualizm, dualizm czy monizm, teizm czy panteizm, empiryzm czy idealizm. Tymczasem poglądy filozoficzne indywidualne zawsze prawie grzeszą brakiem konsekwencyi i wykończenia, oraz pełne są rozmaitych luk, co w tamtych rzadko da się zauważyć.

Następnie, systemy pierwszego rodzaju pozbawione są naleciałości osobistych, zmiennych, zależnych albo od ducha czasu albo indywiduum. To jest trzecia cecha systemów ogólnych, z której także wynika czwarta, a mianowicie, że te systemy nie są oryginalne, ale trwałe, idące po przez wszystkie czasy i miejsca. Przyczynę tego faktu łatwo wytłumaczyć. Tkwi ona, jak już wspomniałem, w czynnikach przedmiotowych, które, w mniejszej lub większej ilości zawarte w danych syntezach świata, czynią je trwałemi, niezmiennemi. A gdy zważymy, że ten lub inny z systemów omawianej kategoryi odpowiada potrzebom i dążeniom duchowym pewnych kół ludzi, którzy znowu zawsze nad ich udoskonaleniem pracują i dostosowują treść przez siebie obranego systemu do ogólnego biegu rozwoju umysłowego — to zrozumiemy, dlaczego systemy ogólne tak trwałe, niezmienne, zawsze stare a zawsze mające zwolenników.

Tego przymiotu trwałości nie posiadają systemy indywidualne, twórcze, oryginalne. Wprawdzie i ten rodzaj syntez

filozoficznych jest często oparty na którymś z systemów ogólnych, lecz dla czynników osobistych albo też pochodzących z ducha czasu został prawie każdy z tego rodzaju systemów tak zmieniony, przekształcony, że mało między jednym a drugim znajduje się podobieństwa. Stąd wniosek, że systemy drugiej kategoryi znacznie mniejszą posiadają wartość naukową i dziejową aniżeli systemy ogólne. Wszystko tu, jak widzimy, zależy od zawartości objektywizmu w danych syntezach filozoficznych oraz od wykończenia pierwiastków formalnych. Jedno i drugie znowu ma zapewnione większe szanse tam, na co się składa praca i geniusz ogółu oraz wieków, niż praca poszczególnych epok i albo geniusz jednostek.

II.

Podział systemów filozoficznych na ogólne i indywidualne albo stałe i zmienne, podany wyżej, uczyniliśmy ze względu na ich genezę i wartość naukową. Ze strony zaś treści dzielą się zwykle wszystkie systemy i kierunki filozoficzne na metafizyczne, epistomologiczne i etyczne. Podział ten jest usprawiedliwiony, bo oparty na naturze rzeczy. Ogólnie rzecz biorąc, zawsze w rozwoju filozofii występują trzy zasadnicze zagadnienia: metafizyczne, poznawcze i etyczne. Stosownie też do przewagi jednego z nich w systemach filozoficznych nadajemy im (systemom) nazwę albo metafizycznego, albo epistomologicznego, albo wreszcie etycznego i dzielimy je również podług ich przeważającej treści moralnej, log cznej i metafizycznej.

Pomiędzy systemami metafizycznym' ogólnym' znajdują się następujące: dualizm, monizm, pluralizm — uwzględniające ilość bytów; materyalizm, spirytualizm — badające jakość bytów; teizm, panteizm i ateizm, odnoszące się do pierwszej istoty, do Boga. To są główne systemy metafizyczne ogólne, do których także należy zaliczyć i systemy, rozważające tylko pewne strony rzeczywistości, jak n. p. wolność woli, władze psychiczne człowieka, celowość i inne zagadnienia. Tym' syste-

mami są: determinizm, indeternizm, intelektualizm i woluntarym, teologia, mechanicyzm, ewolucyonizm, atonizm i energietyzmz.

Przypatrzmy im się teraz nieco oddzielnie. Zacznijmy od dualizmu. System ten konsekwentnie rozwinięty polega głównie na uznaniu dwu istotowo różnych elementów rzeczywistości, którymi są materya i duch, znanych także pod innemi nazwami, jak materya i idea, materya i forma. Te dwie zasadnicze substancye świata łączą się w człowieku, który dzięki owemu zjednoczeniu jest najdoskonalszym z istot, jest punktem środkowym świata. Lecz nad całym bytem istnieje Duch czysty, źródło wszelkiej istności tak duchowej jak i materyalnej. Pod temi znowu dwu istotami — Duchem pierwszym czyli Bogiem i człowiekiem rozciąga się świat tworów niższych, powstałych, z materyi i w części z niższego rzędu pierwiastku duchowego. Te są główne składniki bytu podług dualizmu. Z dualizmu płyną dalej logicznie racyonalzim i dogmatyzm w teoryi poznania i nieśmiertelność duszy ludzkiej w psychologii. Stąd znowu wynika w postępowaniu wzgląd na cel życia pozagrobowy, a więc i etyka szlachetna, wzniosła i godna człowieka Dualizm też jest najwięcej do prawdy zbliżonym systemem metafizycznym; jestto prawdziwie „system wieczny" stale się powtarzający w dziejach myśli. To też O. Külpe, choć pisze, że dualizm uważany jest w ogólności za rzecz pogrzebaną, ponieważ nie umie się rzekomo uporać z zagadnieniami wzajemnego oddziaływania duszy i ciała oraz z zasadą zachowania energii, to jednak twierdzi słusznie: „Dualizm tłumaczy nietylko faktyczną różnorodność duszy i ciała, lecz także zachodzącą między niemi a stwierdzoną doświadczeniem zależność. Odpowiada on zarazem tendencyi współczesnej biologii, zmierzającej do usunięcia jednostronnego mechanizmu zjawisk życiowych. Niemniej zgadza się dualizm z teoryą poznania, wedle której pełne doświadczenie składa się z czynników podmiotowych i przedmiotowych" [1]).

Każdy system filozoficzny, jak już o tem była wzmianka,

[1]) Oswald Külpe, *O zadaniach i kierunkach filozofii*, tłum. polskie pod red. K. Twardowskiego. Str. 42 i 46.

stara się odpowiedzieć na wszystkie zagadnienia i wyjaśnia je ze swojego wyłącznie punktu widzenia, bez względu na to, czy to będzie system metafizyczny czy epistemologiczny. To czyni i monizm, który na podstawie jednego pierwiastka, nie troszcząc się o objektywność swoich twierdzeń, a natomiast idąc nieprzeparcie za jednością w wiedzy i jednorodnością rzeczy, usiłuje rozwinąć z jednego elementu cały wszechświat. Monizm najczęściej przyjmuje za ostateczną podstawę swego poglądu albo materyę albo ducha. Stąd mamy monizm materyalistyczny lub spiritualistyczny. W dziejach filozofii, a i w naszych czasach najbardziej rozpowszechnionym jest monizm pierwszego rodzaju. Istnieją nawet dzisiaj stowarzyszenia monistów-materyalistów. Zwolenników system tem najwięcej liczy z pośród przyrodników-filozofów i popularyzatorów nauki, ponieważ głębsze, filozoficzne umysły mniej obstają przy wspomnianym kierunku myśli.

O monizmie wogóle trzeba powiedzieć to, że jest zawsze krańcowo jednostronny, nie uwzględniający istotnego stanu rzeczy, choć umysł ludzki, usiłując wszędzie zaprowadzać jedność, pragnąłby oprzeć się na systemie, przyjmującym jedną zasadę albo jeden element. Powiedzieliśmy już, że monizm objawia się pod dwu postaciami: albo w systemie materyalistycznym albo spiritualistycznym. Materyalizm i pokrewne mu kierunki naturalistyczne jest płodem myśli mało rozwiniętej, z gruba tylko i powierzchownie chwytającej rzeczywistość. Wychodzi on jedynie z tego, co widzi, słyszy, dotyka, t. j. ze świata materyalnego i poza nim o niczem więcej wiedzieć i słyszeć nie chce. Że tak jest najlepszy dowód mamy z materyalizmu XIX stulecia, kiedy filozofia Kanta, Herbarta oraz innych znakomitych myślicieli doszła do wysokiego stopnia krytycyzmu i subtelności. Büchner, Vogs, Moleschott wznowili pierwotny materyalizm w rodzaju Talera i Domokryta. Istotą tego materyalizmu jest uznanie materyi, jako jedynego składnika kosmosu. Różnorodność zaś rzeczy, zjawisk tłumaczy się różnorodnością rozmiarów, położeń i kształtów, ruchów drobnych cząsteczek. Więc i życie psychiczne człowieka, życie zmysłowe

zwierząt i organiczne roślin — to nic innego, jak odpowiedni splot i układ atomów i ruchów, jakie się wśród nich odbywają. Żeby myśleć, trzeba na to mózgu, bez którego niema myślenia, stąd mózg myśli, mózg czuje, mózg tworzy. Z podobnego zapatrywania się na życie psychiczne człowieka płyną konsekwentnie i inne wnioski i poglądy odpowiednie na dzieje, na początek i cel ludzkości, na jej życie społeczne i moralne i na cały szereg pierwszorzędnej wagi zagadnień. Oczywiście, wnioski te zgodne z podstawą systemu materyalistycznego dadzą skończony i jednolity obraz świata, człowieka, życia, co zadowoli wymagania jedności poglądu na świat, ale obraz ten będzie skrajnie jednostronny, pomijający inne zalety, albo je w tłumaczeniu wypaczający, ponieważ niezbite fakty naszej umysłowości kategorycznie zaprzeczają wnioskom materyalizmu. Otóż te fakty jak i głębsza analiza poznania i rzeczy, do wprost przeciwnych doprowadzająca wyników, uzasadniają twierdzenie, że materyalizm — to nietylko jeden najpłytszy z systemów filozoficznych, ale i najmniej zgodny z rzeczywistością.

Drugą postacią monizmu jest spiritualizm, uznający za istotny pierwiastek wszystkich rzeczy — ducha. Przyznać trzeba, że i ten system jest wysoce jednostronny i nie odpowiada całkowicie rzeczywistości. Materyalizm i spiritualizm — to dwa przeciwieństwa, dwie skrajności, które jako takie noszą na sobie cechy radykalizmu. Duchem bowiem podobnie nie wytłumaczymy sobie materyi, jak potrzeba, jak materyę spraw duchowych. Zatem i ten system filozoficzny, aczkolwiek należy do ogólnych systemów, stale idących przez dzieje, nie odpowiada wymogom prawdziwego poglądu na świat. Wszakże niektórzy, jak n. p. Jerusalem [1]), wyżej stawiają spiritualizm od materyalizmu i nie bez słuszności. W każdym bowiem razie spiritualizm jest głębszy, niż skrajny materyalizm, gdyż n. p. teorya poznania więcej się godzi ze spiritualizmem, ponieważ wśród naszych doświadczeń nie ma żadnego, któreby występowało inaczej, jak w postaci uczuć, wyobrażeń i wrażeń, więc fenomenu psychicznego. Tymczasem zupełnie przeciwnie rzecz

[1]) *Jeruzalem.* Wstęp do filozofii, tłum. polskie, Warszawa 1907 r.

się ma w materyalizmie. Stąd więc pochodzi wyższość teoryi spiritualistycznej.

Bez porównania jednak wyżej od spiritualizmu stoi teizm, który przyjmując jednego Boga, Istotę Najwyższą i pierwszą we wszechbycie, wyprowadza z niej wszystko co jest. Podług tego poglądu Bóg, Istota przedwieczna, nieskończona, a osobowa stworzył cały świat. Nie dosyć na tem. Ten Bóg rządzi i kieruje światem już w sposób pośredni przez działanie odwiecznych, przez Niego ustanowionych praw naturalnych, już w sposób pośredni przez cuda i interwencyę własnej woli. Wszystkie więc twory i rzeczy oraz zjawiska są podporządkowane celom swego twórcy. Wyjątek jednak stanowi tu człowiek, który obdarzony wolną wolą, ma i powinien dobrowolnie wypełniać Wolę Najwyższą. Inne zaś stworzenia posiadają znaczenie odpowiednie do zajmowanego stanowiska we wszechświecie.

Zupełnie z innego punktu wychodzi panteizm. Tu bóstwo stanowi cały kosmos i z nim się całkowicie utożsamia. W gruncie rzeczy panteizm mało się różni od materyalizmu, gdyż ostateczne wnioski i twierdzenia jednego i drugiego są te same, jak wieczność materyi, świat sam sobie celem, etyka bez wyższej sankcyi i t. p. Podobnie i ateizm jest prawie identyczny z materyalizmem. Wreszcie systemy metafizyczne o mniejszym zakresie swej treści, tłumaczące poszczególne tylko zagadnienia, w nowszych szczególniej czasach były i są badane z wyjątkowym pietyzmem, że wspomnę tylko o celowości wolnej woli, ewolucyonizmie i atomizmie. Dlatego też nabrały one wielkiego znaczenia i zainteresowania w szerokich kół ogółu, gdyż bądź co bądź dotykają one kwestyi żywotnych, a zarazem dostępnych doświadczeniu, a temsamem naukowemu badaniu. To też nie tylko filozofowie, ale i badacze, uczeni zabierali często w tych sprawach swój głos. Przyznać jednak trzeba, że aczkolwiek sprawy te w zbadaniu szczegółów zostały posunięte znacznie naprzód, to wszakże ostateczne ich rozstrzygnięcie wśród uczonych i myślicieli nie nastąpiło. Oto najważniejsze i najwięcej znane systemy metafizyczne. Nie jednakowa wprawdzie jest

ich wartość poznawana, ale znaczenie dziejowe natomiast jest niezmiernej wagi.

Przypatrzmy się teraz kierunkom filozoficznym w teoryi poznania.

Drugiem niemniej ważnem zagadnieniem filozofii, jak zagadnienie metafizyczne, jest kwestya poznania, jego wartości i źródeł, z których to poznanie powstaje. I jak w celu wytłumaczenia zagadnień metafizycznych wyłoniło się tyle systematów, podobnie nie mniej ich spotykamy i przy wielkiej wagi zagadnieniu poznawczem. Pewność i wartość poznania stworzyły kilka kierunków filozoficznych, usiłujących każdy po swojemu kwestye owe wytłumaczyć. Do tych kierunków należą: dogmatyzm, sceptycyzm i krytycyzm. Pierwszy z nich twierdzi, że wiedza nasza posiada wszelkie dane pewności absolutnej, przynajmniej co do głównych, podstawowych prawd i zasad. Następnie ten kierunek wierzy w wartość prawdziwą wyników pracy naukowej nad poznaniem rzeczy poszczególnych, jak również uważa za pewne uogólnienia poczynione na podstawie danych rzeczywistości, ale opracowanych prawidłowo, logicznie przy pomocy umysłu. Dogmatyzm zatem wiąże się z innymi kierunkami epistemologicznymi, jak idealno-realizm, racyonalizm, naiwny realizm, badającymi genezę poznania. Niesłusznie więc niektórzy filozofowie równają dogmatyzm z prymitywnymi kierunkami myśli w rodzaju naiwnego realizmu i uważają go, jako coś pośledniego i mało krytycznego. Wiedza jako taka, jako nauka, musi być dogmatyczną, gdyż inaczej nie będzie wiedzą. Dlatego dogmatyzm pomiędzy kierunkami filozoficznymi zajmuje stanowisko pierwszorzędne. O wiele mniejszą wartość od niego posiada sceptycyzm, a szczególniej sceptycyzm absolutny, który, jak wykazuje rozum i logika, jest absurdem w dziedzinie filozofii, pozbawionym zupełnie gruntu pod sobą. Wprawdzie i sceptycyzm, ale łagodniejszy posiada nie małe znaczenie w rozwoju filozofii, bo pobudza do krytycyzmu do większej ostrożności w badaniu i wyciąganiu wniosków. Lecz tego rodzaju sceptycyzm jest już dogmatycznym, gdyż kieruje się pewnemi zasadami, które, jako stałe,

przyjmuje. Inne odcienia sceptycyzmu, jak probabilizm, przyjmujący zasadę względności w poznaniu, agnostycyzm, zawieszający sąd w rzeczach i kwestyach trudnych do poznania noszą na sobie to samo piętno dogmatyzmu, co i sceptycyzm umiarkowany i są, jeżeli nie z tej to z innej strony w tym wypadku niekonsekwentne, niezgodne z sobą. Zresztą poza tą jedyną zasługą, jaką sceptycyzm oddaje nauce, że ją pobudza do ostrożności, jest on ostatecznie tejże nauce zawsze prawie wrogi i niepożyteczny.

Trzecim wreszcie kierunkiem poznawczym, jednającym dogmatyzm ze sceptycyzmem, jest krytycyzm, który staje na stanowisku rozjemcy i stara się między tymi kierunkami zaprowadzić zgodę. Bierze on pod uwagę racye i względy, podawane przez dogmatyzm i sceptycyzm, wyciąga wnioski pośrednie, mniej skrajne, lecz przeważnie przechylające się na stronę dogmatyzmu. Krytycyzm jest dzieckiem czasów nowszych, czasów, które chciały zerwać zupełnie z tradycyjnym, dziejowym biegiem filozofii i wypowiedziały, jak we wszystkich dziedzinach treści naszej umysłowości, tak i na polu poznania, walkę starym zasadom, starym zdobyczom pracy wiekowej przeszłych pokoleń. Krytycyzm jednak wstrzymał nieco te zapędy i w przeciwną stronę zwrócił swą uwagę. Zatem krytycyzm w gruncie rzeczy broni wartości rzetelnej wiedzy, broni trwałości i zasad naukowych i obstaje przytem, co posiada cechy prawdziwości. Oczywiście, że mówimy tu o krytycyzmie ogólnym, wspólnym licznej rzeszy filozofów, nie zaś o krytycyzmie w rodzaju Humea, Kanta i innych, które to krytycyzmy niczem się prawie nie różnią od skrajnego sceptycyzmu.

Kierunki znowu kryteryologiczne, rozważające źródła, początki elementów poznawczych dzielą się na dwie główne grupy: empiryczne i idealistyczne. Pierwszą grupę stanowią: empiryzm radykalny, obiektywizm, naturalizm, realizm, pozytywizm i sensualizm; drugą — idealizm absolutny, racyonalizm, subiektywizm, inmanentyzm i intellektualizm. Z nimi łączą się dalej, bo z nich wynikają fenomenalizm i mistycyzm. Niektóre z tych kierunków są także powiązane logicznie z kierunkami,

badającymi wartość poznania, jak n. p. idealizm absolutny, subiektywizm, jak również radykalny empiryzm i sensualizm ze sceptycyzmem, relatywizmem lub agnostycyzmem. Realizm zaś i racyonalizm zbliżają się do dogmatyzmu. I nic dziwnego, że ta łączność między nimi zachodzi. Wszak skrajne kierunki empiryczne, uznające za źródło i probierz prawdy tylko zmysłowe wrażenia, już to bardzo surowo pojęte, jak przez naturalizm, już głębiej badane jak przez sensualizm, nie mogą dać wiedzy pewnych podstaw, z którychby można wyciągnąć zasady ogólne, stałe i trwałe. Brak bowiem pierwiastku intelektualistycznego w nich to sprawia. I stąd to właśnie owe kierunki są zawsze relatywistyczne lub sceptyczne, gdyż uwzględniają jedno tylko źródło poznania, a pomijają drugie — rozum, który niemniej jak pierwsze, jest faktem. Lecz w ten sam błąd wpadają i te kierunki epistemologiczne, które wyłącznie uznają za początek rozum i jego prawa i z niego wysnuwają wszelkie pojęcia, zasady i twierdzenia ogólne. I tak błąd ten popełnia naprzód skrajny idealizm, inaczej nazywany solipsyzmem, który utrzymuje, że cała rzeczywistość jest tylko treścią danej świadomości; całe istnienie rzeczy zależy jedynie od „mojego postrzegania". W takim razie nie mamy tu miejsca dla trwałych zasad wiedzy prawdziwej. Sceptycyzm absolutny wieje z tego kierunku.

Taki sam los jest udziałem i subjektywizmu, który czyni człowieka miarą wszystkich rzeczy i z jego jedynie istoty wyprowadza wszystkie prawa świata i rzeczy, a nawet same przedmiotowe istnienie, w czem podobny jest już do solipsyzmu. Podobnież i idealizm immanentny dochodzi do tych samych sceptycznych wyników. Widzimy więc, jak jednego i drugiego rodzaju skrajne kierunki kryteryologiczne są dalekie od rzeczywistej wartości naukowej, ponieważ wartość naukowego poznania doprowadzają do absurdu. Stąd nie w tych kierunkach należy szukać prawdy co się tyczy poglądów na istotną wartość wiedzy ludzkiej i na ich prawdziwe źródła, z których ona płynie.

Kierunkami, które najwięcej pod tym względem liczą się

z rzeczywistością i jej odpowiadają są z jednej strony realizm krytyczny, a z drugiej — racyonalizm, oparty na doświadczeniu. Wśród tych kierunków myśli zawiera się prawda.

Realizm krytyczny czyli empiryzm umiarkowany wychodzi z założenia, że doświadczenie pojęte w rozległem znaczeniu tego słowa, stanowi główne źródło naszej wiedzy. Lecz, aczkolwiek podług tego poglądu wszystko, co wiemy, wiemy ze zmysłów, z doświadczenia zewnętrznego i wewnętrznego, jednak to nie stanowi jeszcze nauki. Tę dopiero czyni wyższy pierwiastek poznawczy, którego tak pojęty empiryzm bynajmniej nie neguje przez swoje zasady ogólne. Pod tym względem realizm krytyczny mało się różni od racyonalizmu. Racyonalizm bowiem, wyprowadzając nasze wiadomości o świecie przedewszystkiem z rozumu, nie ignoruje jednak doświadczenia i obserwacyi zewnętrznej. Jeden też i drugi kierunek uznają przedmiotowość świata zewnętrznego, co jest jedną z fundamentalnych kwestyi epistemologii; następnie jeden i drugi kierunek są dogmatyczne, a więc wartość naukową wiedzy cenią i uważają ją za istotnie odpowiadającą rzeczywistości poznawanej.

(Dok. nast.).

Ks. Józef Michalak.

Królowie Kazimierz i Maciej Korwin.

I.

Króla Jerzyka układy w Polnej. — Współzawodnicy do korony czeskiej. — Elekcya Władysława w Kutnahorze. — Pacta conventa czeskie. — Biskup ołomuniecki w Krakowie. — Inne projekty załagodzenia sporu. — Śmierć Pawła II. — Konflikt na Szląsku. — Wyprawa polska na Węgry i jej losy. — Powrót królewicza Kazimierza. — Roczny rozejm z Węgrami i chwiejna sytuacya.

W ostatnich dniach panowania Jerzyka Podjebrada znikała nawet nadzieja wzrostu i szczęścia królestwa czeskiego, które tak ciężkie chwile przeżywało w czasie jego panowania. Szląsk, Morawy, Łużyce, sześć miast były w ręku króla Macieja Korwina, obranego przez stronnictwo katolików czeskich królem Czech, protegowanego przez papieża, a nadto zdolnego wodza i niebezpiecznego przeciwnika. Wprawdzie przy zręcznej polityce, szerokich związkach z królami i książętami, przy wysiłkach wojennych i finansowych zdołał Jerzyk dotąd skutecznie bronić się przeciwko nieprzyjacielowi, niemniej jednak widział i wyczerpanie sił w Czechach, finanse w ruinie, sprzymierzeńców niepewnych a przedewszystkiem rozdział królestwa i jego ruinę. Aby przeciwstawić potężnemu Maciejowi siłę gotową, mogącą po śmierci jego bronić królestwa czeskiego, musiał porzucić myśl pozostawienia go synom własnym, musiał wejść w układy z Polską, pracować w kierunku przygotowania obioru Władysława Jagiellończyka — sobie pozostawiając tylko dożywotnie rządy. Czy jednak przy bystrości umysłu, jakim odznaczał się niezawodnie Jerzyk, mógł on żywić nadzieję, że po śmierci jego młody władca, syn pokrewnego językiem i obyczajem narodu,

zjednoczy rozdzielone królestwo, podniesie zachwiane żywotne jego siły, umocni finanse, odzyszcze odpadłe i przezeń pozastawiane sąsiednie książętom powiaty? Że Jerzyk miał pewne wątpliwości i to bardzo poważne co do przyszłości Czech, świadczy fakt, że pod koniec życia pragnął pojednać się z Maciejem, że w Polnej toczył układy przez Wilhelma Rabi, Piotra Kdulinca, Benesa Weitmilego z Maciejem, który poczynić kazał nawet większe ustępstwa, aniżeli ofiarowali Polacy. Protazy Boskowič biskup Ołomuniecki, Zdenko ze Sternberga i Albert Kostka z Postupic obiecywali wolność dla Wiktoryna syna Jerzykowego, pozostającego w węgierskiej niewoli, nadto margrabstwo Morawy i Szląsk cały, a gdyby Maciej umarł bezpotomnie, miałby Wiktoryn objąć koronę czeską. Co bardziej obiecywano pogodzenie Jerzyka z Papieżem, oświadczając, że w sprawie kompaktatów może się ich zatwierdzenie lepiej udać królowi Maciejowi aniżeli komu innemu. Oczywiście Polacy obalili te układy tak dla kandydatury ich niekorzystne, ale Jerzyk musiał w tem obaleniu widzieć tylko współzawodnictwo Polski i Węgier o koronę czeską, z której oczywiście niemógł dla ojczyzny swej spodziewać się błogich skutków, a raczej tylko wojny i klęsk przyszłych, równych tym, jakie sam uporem swoim przeciwko stolicy apostolskiej spowodował.

Po śmierci Jerzyka (22 marca 1471 r.) areną współzawodnictwa pomiędzy Maciejem, królem Czech z wyboru stronnictwa katolików, a Władysławem Jagiellończykiem, który opierał się na zasadzie legitymizmu a w rzeczywistości na przyjaźni Polski z Czechami, która w ostatnich latach panowania Jerzykowego wielce korzystną była dla Czech, było elekcyjne pole w Kutnahorze. Trzecim współzawodnikiem do korony czeskiej był ks. Albrecht Saski, zięć zmarłego Jerzyka, którego zaprosili magnaci czescy, aby dla większego ładu w królestwie przybył z wojskiem do Pragi, że nakłady później mu będą zwrócone. Albrecht — jak mówi współczesny historyk Wrocławia[1]) — był pewnym obioru. W drodze przyłączył się doń ks. Jan z Żegania, wielu Szlązaków,

[1]) Eschenloer. Gesch. II, 217 i n.

Łużyczan z sześciu miast i to na własny koszt przeciwko Maciejowi.

Dom Sasów-wittińskich, spokrewniony z Jerzykiem, gdyż i Wilhelm z Miśnii na parę tygodni przed śmiercią Jerzyka wydał córkę Katarzynę za syna Jerzykowego Hinka, miał silny zamiar zdobycia korony czeskiej. Przeciwko Maciejowi się ubezpieczając, poczynił Albrecht zaciągi, gotów zapewne do podjęcia wojny po zwycięskiej elekcyi; w polskiej jednakże kandydaturze nie upatrywał dla niej niebezpieczeństwa. Działano przeciwko niej na polu dyplomacyi. Toczono wprawdzie rokowania o związek małżeński pomiędzy synem Kazimierza Władysławem a córką Ernesta Krystyną[1]), obiecywano pisać do papieża, by wojnę czeską na korzyść tegoż Władysława zakończył, ale obojętnie przyjęto prośbę polską o poparcie u Kuryi prośby o potwierdzenie pokoju toruńskiego, co oczywiście kanclerz polski z niechęcią przyjął do wiadomości[2]); w dalszym ciągu posłów polskich spotykały w ich krajach nieprzyjemne przygody. Właśnie w czasie śmierci Jerzyka, posłowie polscy kanclerz, Jakób z Dębna i opat Świętokrzyski Michał, wracając z Pragi przez Miśnię, w Zwickau przez proboszcza i lud jako kacerze a raczej wspieracze kacerzy z miejscowości tej byli wyświeceni. Co prawda, książęta sascy uwięzić kazali winnych obrazy posłów, ale mimo próśb Jakóba z Dębna życzenia jego o potwierdzenie pokoju toruńskiego przez papieża, nie poparli[3]). Oczywiście chciał Albrecht nie narazić się niemieckim elektorom a raczej pozyskać ich wsparcie, a zarazem dać dowód, że akcya jego w Czechach nie jest sprzeczna z dążeniami stolicy apostolskiej. Kandydaturę jego „niemieckiego księcia“ miały poprzeć rozsiewane przez Wittynów mylne wieści o zamierzonem przez papieża potwierdzeniu kompaktatów, a nawet dania absolucyi doradcy książąt Heimburgowi[4]).

Jednakże chybiono co do kuryi, gdyż legat Wawrzyniec biskup Ferrary zganił surowo zabiegi o koronę czeską. Kurya

[1]) Ermisch Studien zur Gesch. der sächsisch-böhm. Beziehungen 101.
[2]) Cod. ep. III N. 124, list posła Larogi do ks. Ernesta; por. N. 125.
[3]) Ob. Ermisch ibid. p. 103, 104.
[4]) Theiner, Mon. Hung. II. N. 606, 609.

bowiem stanowczo popierała króla Macieja, mimo że tenże w Polnej przyrzekał pośrednictwo w sprawie kompaktatów a więc ostatecznie stanął na tem samem stanowisku, na jakiem stała Polska i z tego właśnie powodu popadła w niełaskę papieży. W każdym razie to wysunięcie kandydatury Albrechta było w gruncie rzeczy poparciem kandydatury Władysława; miano bowiem w Czechach dzielną obronę na wypadek, gdyby Maciej zbrojną ręką zechciał pokusić się o Pragę, a i przez pomnożenie liczby kandydatów o osobę potężnego księcia Rzeszy kandydaturę Macieja uczyniono mniej groźną.

Zdawało się że zwycięstwo nad współzawodnikami zależało od energicznej akcyi w chwili, gdy w Czechach brakło króla, który bądź co bądź w najtrudniejszych sytuacyach zdołał był ocalić powagę korony i dzielnie bronić swój naród od inwazyi. Dlatego to Zdenko ze Sternberga, znający swój naród, a przychylny Maciejowi, radził mu zebrać wszystką potęgę, podążyć do Pragi i zażądać stolicy. Ale mądry legat Laurentio biskup Ferrary i Gabryel Rangoni z Werony radzili Maciejowi, żeby jako dobry ojciec i pan zjechał do Czech i łaskawością, dobrocią i obietnicami zjednał sobie Czechów. Legat podzielał przekonania tych, którzy sądzili, że przemocą niczego nie osiągnie Maciej w Czechach, a zapewne wiedział nieco o opozycyi, jaką tajnie wzniecano w samych Węgrzech przeciwko dążeniom expanzyjnym Macieja. Ostrożny Maciej nie udał się do Czech, po wielkanocy jednak pojechał do Iglany, skąd rozesłał listy do swoich stronników i przy pomocy złota, jak opowiada Długosz, werbował sobie nowych stronników. Siłę jego, z jaką stanął w Morawach, liczono na dziesięć tysięcy. Była to za słaba, potęga aby módz się rzucić na Pragę, gdzie stanął książę Albrecht z Sasami swymi i posiłkowemi wojskami, w każdym jednak razie w ręku dzielnego wodza, jakim był Maciej, mogła być przeciwnikom niebezpieczną.

Zdaje się, że dla zapewnienia wolności obioru wyznaczono pole elekcyi nie w Pradze, gdzie panującem było stronnictwo utrakwistów, ale w miasteczku górskiem, o ośm mil od Pragi odległem, w Kutnej horze, będącej ogniskiem słynnych kopalń kruszców. Spieszyli tłumnie Czesi to Kutnej hory i na dniu elekcyi

liczono ich około piętnastu tysięcy. Przybył też tu z Pragi ks. Albrecht, aby osobiście poprzeć swą kandydaturę, a widząc liczny zjazd, myślał, że o niego tu idzie i tem pewniejszy był obioru, nie wiedząc nawet, że Czesi nazywali go graczem, okupatorem koronnych krajów i wrogiem dziedzicznym Czech[1]). Marcin wysłał na termin biskupa Jagierskiego i Zdenka ze Sternberga. Prawdopodobnie był on również jak i Albrecht pewnym elekcyi; miał wszakże połowę Czech w ręku, silne wojsko, wielkie imię wojownika a przedewszystkiem pomoc papieską. Podobny w tem Albrechtowi nie wiedział nawet, że Jan Witer ze Sredny arcybiskup Ostrzyhomski i Jan z Czesmicy biskup Zagrzebia, poeta, obaj słynni humaniści, wysłali tajne listy do Prażan z wezwaniem, by nie obierali Macieja, będącego tyranem, którego sami Węgrzy nie chcą mieć za króla, lecz niech oddadzą głosy swe Władysławowi Jagiellończykowi, Węgrzy zaś obiorą młodszego brata tegoż, o co się już ułożono z królem Polskim[2]). Zapewnienia te były zgodne z prawdą i cesarz Fryderyk sprzyjał temu planowi tak dalece, że porozumienie Polaków z biskupami węgierskimi odbywało się przy jego pomocy.

Wobec takiej sytuacyi najlepsze widoki obioru otwierały się Władysławowi Jagiellończykowi. Ojciec jego, król Kazimierz, na wiadomość o śmierci Jerzyka zjechał do Krakowa, skąd wysłał natychmiast posłów na elekcyę Pawła Balickiego, Marcina Wrocimowskiego i Dobiesława z Kurozwek. Ten ostatni, Lubelczykiem zwany, był mowcą poselstwa. Podczas gdy poseł Albrechta uderzył w to głównie, że książę przybył tutaj z miłości dla Czechów i na ich własne żądanie, a poseł Macieja biskup Jagierski w dość nieoględny sposób[3]) podnosił, że Maciej już na podstawie elekcyi Ołomunieckiej jest królem Czech, a nadto ma większą połowę tego królestwa w swem ręku, że przeto we własnym interesie powinni go wybrać Czesi, a on ich zachowa przy wolnościach kościoła rzymskiego, Dobiesław mową swą nie wzbudzał

[1]) SS. rer. Sil. XIII. N. 57, list Stanisława anhidyalona z Litomierzyc.

[2]) Eschenloer II., 217, tudzież współczesna wiadomość w Arch. f. oest. Gesch. VII. s. 76.

[3]) Einfältiglich. Eschenloer 218.

najmniejszych wątpliwości co do intencyi polskich ani też nie urażał dumy narodowej Czechów, lecz otwartą szczerością podbijał ich serca. Zwolennikom legitymizmu przypominał, że sama słuszność mówi za tem, aby tron po dziadzie i wuju przeszedł na wnuka i siostrzana; zwolennikom braterstwa ludów pokrewnych przypominał, że już w czasie burzy husyckiej żądali Czesi króla z Polski, zwolennikom humanizmu, że prawdziwej ludzkości nigdzie nie znajdą, jak tylko u potomka Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka. Lepiej jest mieć króla łagodnego i zgodnie z senatem rządzącego, aniżeli tyrana. Wojny nie potrzebują się obawiać, mając w sąsiedztwie potężnego króla Polaków, ludzi pokrewnej z Czechami mowy. Co do różnic w wierze, to lepiej jest usuwać rozumem aniżeli zwalczać bronią[1]).

Zwycięstwo było zupełne. Okrzyknięto królem Władysława, obrano posłów z zaproszeniem elekta do objęcia berła i korony, opisano warunki i wysłano ich do Krakowa. Elekcya pamiętna zaszła na dniu 22 maja. Posłów Macieja przestrzeżono, aby opuścili pole elekcyi z powodu grożącego im niebezpieczeństwa. Powrócili oni z pośpiechem do Macieja, podczas gdy zawiedziony w nadziejach Albrecht, zapomniawszy o miłości, o której zapewniał Czechów, wpadł do kopalni Kutna-horskich, wysiekł Czechów broniących wstępu i część kopalni zniszczył. Z tą chwilą stał się on przyjacielem króla Macieja. Jeżeli korzystał, jak się dorozumiewać należy, co do polityki swojej tak niefortunnej, z rad Grzegorza Heimburga, nie długo cieszył się z pomocy owego doświadczonego doradcy króla Jerzyka, gdyż Heimburg zmuszony do opuszczenia Czech, wkrótce potem umarł w gościnnej Saksonii.

W artykułach, które czescy posłowie Scibor i Jan Towaczowscy, Henryk Śmirzycki, ks. Paweł proboszcz Zderacki wraz z posłami miasta Pragi przedłożyli w Krakowie, nie zapomniano o kandydatach odpadłych przy elekcyi. Wyraźnie bowiem zobowiązywano Jagiellończyka do odebrania zamków, twierdz i dóbr ziemskich, zabranych królowi Jerzykowi, co oczywiście oznaczało wojnę z Maciejem, a zarazem do przywrócenia Koronie

[1]) Szujski et Sokołowski, Cod. ep I, 2, p. 250.

czeskiej ziemi zabranej przez Miśnieńczyka[1]), t. j. przez Ks. Albrechta. Chciano sobie w ten sposób zapewnić odbiór awuliów; i innymi artykułami dążono do zapewnienia nietykalności praw i wolności pozyskanych od czasów Ottokarów, do zabezpieczenia wolności wyznaniowej, przez żądanie co do zatwierdzenia kompaktatów, do obrony przed wpływem obcokrajowców, żądając, by król żadnemu obcemu zamków koronnych nie dawał w zarząd, do zapłacenia wreszcie olbrzymich długów, pozostawionych przez króla Jerzyka a zaciągniętych na potrzeby państwa. Zażądano też, aby Władysław wraz z ojcem postarał się u Stolicy Apostolskiej o zdjęcie klątwy z nieboszczyka króla Jerzyka i jego stronników. Były to życzenia, zdążające do zgody z Rzymem, które już król Maciej obiecywał w Polnej poprzeć; nie mogło przeto ulegać wątpieniu, że tem goręcej będą poparte ze strony polskiej, oczywiście o ile toby było bez szkody dla katolicyzmu.

Macieja sytuacya była krytyczna. Najsilniejsza jego podstawa siły, polegająca na wierności katolicyzmowi, usuwała się z pod jego stóp od chwili, gdy obóz ten się dowiedział, iż i on podobnie jak Polacy, ofiarowuje pośrednictwo w pogodzeniu husytów z kuryą apostolską[2]). Zapobiedz koronacyi Władysława nie mógł, wiedząc, że tenże z niemałą wyprawi się potęga do Czech. Ratując się w trudnej sytuacyi kazał legatowi potwierdzić dawniejszą ołomuniecką elekcyę i wysłał skargę do Pawła II. przez legata Laurentio biskupa Ferrary, że posłowie polscy rozgłaszali Czechom, iż skoro obiorą królewicza polskiego królem Czech, papież potwierdzi wówczas kompaktaty. Z drugiej strony postanowił podać rękę do zgody Polsce, oczywiście w ten sposób, aby ambicya jego, srodze urażona w Kutnahorze, zyskała zadośćuczynienie. Tym celem przed wyjazdem z Iglawy do Węgier wysłał Tasa Boskoviča, biskupa ołomunieckiego, do Krakowa. Ten przybył tam 9 lipca, przedkładając ze strony Macieja rozmaite plany

---

[1]) Eschenloer II, 219.

[2]) Papież dowiedziawszy się o układach Macieja z Jerzykiem zganił Macieja, że z niemałą ujmą sławy Kościoła i stolicy apostol. wdawał się w rokowania. Ob. Theiner Mon. Hung. II, N. 590.

zgody[1]). Najzwyklejszym podówczas środkiem takowej było poddanie sprawy pod superarbitrat, toż Maciej proponował oddać sprawę sporną, co do pytania kto zasiąść ma na królestwie czeskiem, Maciej czy świeży elekt Kutnachorski, papieżowi, albo też delegatom trzech państw: Węgier, Czech i Polski. Gdyby na ten drugi superarbitrat Polacy się zgodzili, mógłby tymczasem Maciej wraz z Władysławem odbyć koronacyę. Albo niechaj król Polski Maciejowi odda Władysława za syna, a król zapewni mu królewskie utrzymanie, odbędzie z nim wspólną koronacyę w Pradze. Gdyby zaś król Polski zechciał w myśl obioru za sprawą kacerzy w Kutnahorze dokonywanego, koronować w Pradze syna, niechże przynajmniej wyśle go w małej drużynie tysiąca koni, aby krajowi wielce klęskami wojny utrapionemu, większego nie przysparzać ucisku...

Polacy zastanawiając się nad propozycyami Korwina, zasięgnęli zdania posłów czeskich, przybyłych po Władysława, którzy też każdy z punktów wyczerpująco odparli. Wobec tego odpadła potrzeba odpowiadania na projekt Macieja kilkakrotnie już powtarzany a teraz przez biskupa przedłożony oddania mu ręki Jadwigi, córki królewskiej i odpowiedź polska była dyplomatyczną, ale stanowczo uznającą propozycyę Macieja, jako ubliżające godności dwóch królestw, Czech i Polski. Chciał biskup Protazy wnieść protest przeciwko stawianej odpowiedzi; nie dopuszczono jednak do tego — a gdy zapowiedział, że Polacy będą kiedyś żałowali odrzucenia warunków zgody przez Macieja poddanych, otrzymał odpowiedź, której się pewno nie spodziewał, że przyjdzie czas i już może nadszedł, że Maciej ani w Czechach ani nawet w Węgrzech nic zgoła nie będzie posiadać[2]). Dodać i to należy, że biskupowi nie zapomniano przypomnieć, iż Maciej sam przed dwoma laty posłom polskim, w Ołomuńcu bawiącym, oświadczył w obecności biskupa, iż prawo do Czech mają tylko królewicze polscy. Dadawano też, że Władysław pojedzie do Czech

---

[1]) Eschenloer II, 224 i SSr. Sil. XIII, N. 72. Ob. Poselstwo biskupa Protazego z 1471 r. w LVI t. Rozp. wyd. hist. fil. Akad. Umiejętności.

[2]) Eschenloer II, 227.

na swą koronacyę nie dla ucisku, lub wypędzania stamtąd inaczej myślących, lecz aby tam wolności i prawa Czechów potwierdzić i pokój w Czechach ubezpieczyć.

Zaledwie opuścił Protazy Kraków, gdy niebawem już elekt Władysław wysłał do Pragi marszałka czeskiej korony, któremu dodał w asyście Stanisława Pieniążka w 1200 koni[1]), a pod koniec lipca sam w siedm tysięcy jazdy i dwa tysiące piechoty, mając w orszaku trzech biskupów i wiele znakomitych panów i doktorów, pomiędzy innymi i nauczyciela swego Jana Długosza, podążył do Pragi. By ominąć zastępujących mu zbrojnie w Lipniku drogę wodzów Korwinowych Zdenka ze Sternberga, Huyna i Czupora, udał się do Kładzka, skąd wprost do Pragi, gdzie 21 sierpnia przez Mikołaja biskupa Kamienieckiego, Wincentego Chełmińskiego i Pawła Laodycejskiego był koronowany w obecności Albrechta i Ernesta ks. Saskich i Albrechta margrabiego brandenburskiego.

Wyprawie Władysława towarzyszył cały szereg aktów popierających jego sprawę ze strony polskiej. Z Krakowa zażądano posiłków nawet od Stefana wojewody wołoskiego[2]). Przygotowano wyprawę wojenną, aby posadzić Kazimierza królewicza na tronie węgierskim. Starano się o pozyskanie stronników w Węgrzech[3]), a przedewszystkiem usiłowano pozyskać Szlązaków a mianowicie miasto Wrocław, które potężne — obronnymi murami i położeniem nadawało kierunek szląskiej polityce, stając wytrwale po stronie króla Macieja. Toż nadaremnie król i arcybiskup gnieźnieński, do którego metropolii należała wrocławska dyecezya, wzywali stany rajców i ławników wrocławskich do oddania wiary i posłuszeństwa Władysławowi jako królowi Czech, stany szląskie na zjeździe we Wrocławiu w początkach sierpnia dały odpowiedź, że w koronacyi praskiej udziału nie wezmą a to z tego powodu, że uznają królem Macieja, którego elekcyę i legat apostolski Laurentio biskup Ferrary, na mocy osobnego

---

[1]) Fontes rer. aust. XLVI p. 146.
[2]) Źródła dziejów X. ap. p. 28.
[3]) Teleky XI. N. 530.

pełnomocnictwa papieskiego potwierdził[1]). Biskup wrocławski a dawniejszy legat, Rudolf, radził nawet królowi Kazimierzowi, by sprawę sporną pomiędzy Władysławem a Maciejem rozejmem załagodzić i poddać pod rozjemstwo delegatów trzech królestw, że na zjazd przybyłby kardynał Franciszek Piccolomini biskup Sieny, legat w Niemczech będący, a cesarz nadałby w lenno czeską koronę temu, komuby ją przysądzono[2]). Było to powtórzenie nieco zmienione jednego z projektów zgody, przedłożone przez biskupa ołomunieckiego i oczywiście zostało odmownie załatwione. Ale też dowiedziano się, że pomiędzy Polską a Czechami stanął Szląsk zaporą do przyjaznych związków narodów, i że chcąc utrzymać Władysława na tronie, z konieczności przyjdzie się rozprawić z przeciwnikami tegoż na Szląsku. Prawdopodobnie wiedziano też wkrótce, że opozycya szląska przeciwko Władysławowi popierana była i dalej przez kuryę apostolską. Wszakże Paweł II, na wiadomość o zaostrzonej sytuacyi i grożącej wojnie wysłał do Polski osobnego legata Fabiana z Montepolitiano, polecając tegoż arcybiskupowi gnieźnieńskiemu[3]); na ręce zaś legata Laurentio, ferraryjskiego biskupa, napisał stanowcze zaprzeczenie, jakoby kiedykolwiek miał zamiar potwierdzenia tak wyklętych kompaktatów jak i obioru królewicza polskiego. Kacerze, mówił papież, skutkiem rozsiewania tych fałszywych wieści o potwierdzeniu kompaktatów doznawają pokrzepienia, podczas gdy wierni odczuwają zwątpienie. Pisał też papież do Macieja, by nie dawał wiary takim baśniom i nie dał się niemi odwieść od zamiaru. Była to jedna z ostatnich czynności papieża, który widząc napór turecki, grożący już Rodyjczykom zgubą, przez Piccolominiego nadaremnie wzywał Niemcy do ratunku i obrony chrześcijaństwa i tylko od potężnego księcia turkomańskiego Ussunhassana otrzymał spełnioną też obietnicę współdziałania przeciwko Turcyi. Dnia 26. lipca zmarł papież, który wśród pogrążonych w partykularyźmie władców jedynym był

[1]) SSr. Sil. XIII, N. 84 p. Morbach Przyczynki p. 111—113. Eschenloer II. p. 244.

[2]) SS. rer. Sil. XIII. N. 83.

[3]) Theiner Mon. Hung. II, N. 610; Mon. Pol. II, p. 172.

przedstawicielem uniwersalnego kierunku. Prawdopodobnie wiedział już, że elekcya kutnahorska Władysława musi doprowadzić do starcia tegoż z popieranym przez kuryę Maciejem, które na zamiary wojny tureckiej zgubnie podziałać musiało.

Istotnie konflikt wnet nastąpił. Przeczuwali go Szlązacy i chcąc się ubezpieczyć, przynajmniej ze strony polskiej, wysłali posłów do Krakowa z pełnomconictwem zawarcia rozejmu krótkiego do 21 stycznia następnego roku, na który też król Kazimierz, przygotowujący właśnie wyprawę syna Kazimierza do Węgier, bez wszelkich trudności przystał. Był to projekt rozejmu, obejmujący Szlązaków, stronników króla Macieja, a więc prócz miast i związku sześciu miast obejmował na swym czele biskupa Wrocławskiego Rudolfa i książąt Mikołaja Opolskiego, Konrada Wołowskiego, Henryka Głogowskiego, Baltazara Żegańskiego, na który to rozejm 5 września w Krakowie się zgodzono[1]). Szlązacy jednak pod naciskiem Macieja, odradzającego najpierw wdawanie się w układy a później wręcz zabraniającego zawierać rozejm z dumnymi Polakami[2]), odstąpili od projektu. Nadaremnie arcybiskup gnieźnieński przestrzegał Wrocławian, by nie szli za podszeptem Węgrów, którzy tylko własnej szukają korzyści, popychając Wrocławian do wojny; naprózno przedstawił im niewdzięczność dla Polski; będącej ich żywicielką a nawet zapewniał, że królewicz Kazimierz zajął już Węgry i będzie posiadać to królestwo — odpowiedziano, że chcą wiernie stać przy Macieju, a honor cenią sobie wyżej ponad korzyści handlu[3]). Wrocławianie nie zachowywali pokoju, a ks. Jan Żegański wypowiedział nawet wojnę Polsce i to z błahego powodu, że król nie zmusił mistrza Zakonu do zapłacenia winnego księciu długu[4]).

Niewątpliwie, że takie stanowisko Szlązaków wpłynęło ujemnie na przygotowującą się w Polsce wyprawę na Węgry. Wpra-

---

[1]) Ob. SSr. Sil. XIII, N. 89. Dogiel I p. 545.

[2]) SS. r. Sil. XIII, N. 93 i Cod. ep. III, N. 133 luty Manja z 21 i 26 września 1471.

[3]) List arcyb. z 12 paźdz. w SS. rer. il. XIII N. 99. 104, 105 Mosbacha: Przyczynki 113

[4]) Skarbiec Daniłowicza II, N. 1973.

wdzie królewicz Kazimierz zebrał już nieco wojska po wizycie szesnastu panów węgierskich w Krakowie w połowie września, którzy się oświadczyli z chęciami swemi dla królewicza jako przyszłego swego króla[1]) Komorowski przywiódł nieco ze Spiża żołdowników; 20 września Kazimierz królewicz szorstko wypowiedział wojnę Maciejowi, jako intruzowi, wyrzucając mu gwałty, ucisk, niesprawiedliwość[2]), ale ostatecznie gdy 2 października król odprowadził młodziutkiego syna do Sącza, armia, mająca zdobyć dlań państwo, dziedzicznie mu należące, bardzo niedużą była. W Sączu miał się odbyć zjazd króla z arcybiskupem Ostrzyhonia, mającym przybyć od panów węgierskich, tymczasem dostojnik nie przybył. Maciej zaskoczył głowę malkontentów i według wieści prawdopodobnych[3]), miał go znieważyć, kilkakrotnie potem zjazdy z magnatami odbywać, obietnicami ich podbić tak, że o jakiemś przyłączeniu się Węgier do armii Kazimierza nie było mowy. Od magnatów nadeszły listy do króla Kazimierza, w których oświadczali, że wiernie wytrwają przy Macieju i oczywiście odpowiedź króla, powołującego się na prawa sukcessyi swego syna po matce, nie mogła zdobyć dla królewicza stronników. Wszystko zawisło od rezultatu wyprawy, jak trafnie mówił Tideman Slecht, legat papieski nowego papieża Sykstusa IV, wysłany do Krakowa dla odwołania Władysława z Czech i zażegnania wojny węgierskiej i gorszący się, że w Krakowie heretyków Czechów przypuszczano do kościoła, że celebrowano wobec nich, których on nawet na gospodzie unikał. Mówiono, że niósł nawet ekskomunikę na wypadek, gdyby król Władysława z Czech nie odwołał i cenzury dla asystujących koronacyi[4]). Tymczasem gdy młodzieńczy królewicz przybył na Lubowlę

---

[1]) Fontes rer. austr. XLVI. p.171, 173.

[2]) SSr. Sil. XIII. N. 91 C., 87.

[3]) Dogiel I. p. 60. SSr. dil. XIII N. 92, Eschenloer II. 246, mówi, że wprawdzie ten list skoncypował arcybiskup Ostrzyhomski.

[4]) Relacya o znieważeniu arcyb. Ostrzyhomskiego. (Cod. ep. III. N. 132) znajduje potwierdzenie poniekąd w sprawozdaniu Eysenreicha (ibid. N 131), a przedewszystkiem u Długosza XII, 566, opowiadającego o znęcaniu się Macieja nad arcybiskupem tak, że w końcu arcybiskup pararaliżem był dotknięty, podczas gdy Jana biskupa Pięciukościołów zgładził Maciej trucizną.

do Podolińca miał wszystkiego trzy do czterech tysięcy ludzi[1]). Zapewne oczekiwał tutaj posiłków, lecz z Polski nie nadpływały one w pożądanej sile, pomijając już, że Węgrzy całkiem obojętnie, jeżeli nie wrogo występowali przeciwko Polakom. Tylko Szeklerzy goręcej nieco od innych Węgrów popierali Kazimierza, za co zostali obdarowani przywilejami; zresztą i o nich później niczego nie słyszymy. Na Hatwan podążyło wojsko polskie do Nitry, zamku prymasa węgierskiego, który otworzył bramy przed królewiczem, mającym wojska tylko ośm tysięcy[2]). Ze stronników zjawił się tutaj Jan biskup pięciokościelny[3]), nie przywiódł jednak ani posiłków ani wogóle żadnego pokrzepienia, podczas gdy nieopłacone roty żołdowników niemieckich poczęły opuszczać obóz polski. Wobec tego obrotu sprawy o dalszem zdobywaniu tronu węgierskiego nie było już mowy i królewicz, pozostawiwszy Pawła Jasieńskiego z czterema tysiącami w Nitrze, sam z resztą pośpiesznymi marszami podążył do Iławy. Z Nitry pospieszny odwrót odbywał się w ten sposób, że w pochodzie chłopstwo okoliczne zrabowało kilkadziesiąt wozów wojennych; a działo się to na wieść o pogoni, zarządzonej przez Macieja, zresztą nie zgodną z prawdą. To tylko pewna, że w Nitrze pomiędzy oficerami powstał spór o pozostanie i dalsze dobijanie się tronu, że za pozostaniem byli kasztelanowie wojnicki, sądecki i żarnowiecki (Tarnowski Jan, Stanisław Wątróbka i Stanisław Szydłowiecki), podczas gdy wojewoda sandomierski Dziersław z Rytwian był stanowczo za odwrotem i na niego to głównie spadła nienawiść z powodu niefortunnej wyprawy. Z Iławy podążył królewicz do Rozenbergu i pozostawiwszy tutaj drobne załogi w Turoczu i innych zameczkach, podążył do Polski, do Dobczyc.

Tymczasem i Jasieński, pozostawiony w Nitrze, widocznie pod wpływem Jana arcybiskupa Ostrzyhomia[4]), który sprawę Kazimierza za upadłą uznał, wszedł w układy z królem Maciejem

---

[1]) Arch. Český V p. 330.
[2]) Ibid. p. 331.
[3]) Wogóle ze stronników Węgrów spotykamy Jana Dyak (Zopolję) w wojsku Kazimierza. Wierzbowski Matricularum I. dok. N. 801.
[4]) Ob. ugodę jego z Maciejem z 19 grudnia w Catorzy XV p. 511.

i zawarł z nim rozejm dwótygodniowy pod warunkiem, by Nitra pozostała w posiadaniu królewicza Kazimierza, on zaś by mógł z wojskiem swem powrócić do Polski. Pozostawiwszy drobną załogę 300 ludzi, z resztą podążył Jasieński do Polski. Maciej wysłał za nim oddziały, polecając znieść go, przy nadarzającej się sposobności; Jasieński jednak ostrożny a zarazem rezolutny dał dowody, że zaskoczyć się nie da i z całem wojskiem przybył do Polski.

Tu dopiero okazało się, że na prędce zorganizowanej wyprawie brakło nawet materyalnej podstawy pomyślności — a mianowicie pieniędzy; rozlało się tedy niezapłacone wojsko po dobrach kościelnych dyecezyi krakowskiej i złupiło je. Sejm zwołany przez króla do Piotrkowa celem zaradzenia gwałtownej potrzebie zapłaty wojsku (19 marca) odesłał sprawę do sejmików i Wielkopolanie w Kole, a Małopolanie w Korczynie uchwalili pobór wiardunkowy z łanu. Przy pomocy duchowieństwa zdołano zaradzić dalszej klęsce, gdy tymczasem i owe zameczki, zajęte przez Polaków, jak Hawa, Turocz i inne poddały się Maciejowi.

Łatwo przyszło Maciejowi chlubić się — jak mówi Długosz — w listach rozpisywanych i rozsyłanych po dworach zachodnich ze zwycięstwa, a jednakże położenie jego nie było pewne. Nie licząc już inwazyi tureckiej, która także Węgry objęła — w Sobaczu Turcy sobie twierdzę zbudowali — bolał on niezmiernie z powodu upadku kandydatury swej przy elekcyi kutnahorskiej. Przypisywał upadek ten cesarzowi, mianowicie przysłania królowi Kazimierzowi części posażnej sumy królowej, za którą Polacy się uzbroili — na postępowanie cesarza skarżył się w okólnikach, przedstawiając się jako zapaśnika przeciwko heretykom, Polaków zaś i cesarza, jako wspieraczy kacerzy[1]). Zresztą i w Węgrzech nie miał spokoju. Nitra i Stropków w rękach Polaków świadczyły, że wcale nie wyrzekano się w Polsce polityki mu wrogiej. Wprawdzie król wyznaczył panów świeckich i duchownych na konferencyę z panami węgierskimi, celem omówienia rozejmu pomiędzy zwaśnionemi królestwami, ale z drugiej strony wysłał też posłów do biskupa Zagrzebskiego, będącego wraz z biskupem

[1]) SSr. Sil. XIII. N. 113.

Pięciokościołów w operacyi przeciwko królowi. Maciej jednak jak z jednej strony Stanisława Wątróbkę, wysłanego do węgierskich magnatów przez pięć tygodni u siebie zatrzymał, tak też z drugiej strony umiał przeszkodzić, że posłowie polscy nie dostali się do Zagrzebia. a nawet przejął posłów biskupa zagrzebskiego do Polski wysłanych, od których dowiedział się o spisku przeciwko sobie knowanym przez arcybiskupa Ostrzyhomskiego. Byłby ukarał biskupów swoich Maciej, gdyby nie legat, mówi sprawozdawca owych zajść w Węgrzech[1]). Inny zaś współczesny sprawozdawca również mówi, że nie dobrze się Maciejowi wiodło i że nie ma ani ludzi ani pieniędzy[2]). Tem tylko można tłumaczyć żądanie Macieja co do zawarcia rocznego rozejmu, ale na taki rozejm nie chciano się zgodzić w Krakowie, zgodzono się tylko na zawieszenie broni do 24 czerwca, na którym to dniu pełnomocnicy trzech królestw mieli się zjechać w Ołomuńcu, w celu omówienia pokoju, koniecznego wobec grozy wiszącej nad Austryą, Włochami i Węgrami od Turków. Żądali Węgrzy, by wysłano do dowódcy w Nitrze, Piotra Kota, zwolnienie od przysięgi, jeżeliby oświadczył, że zamek trzyma imieniem króla Polski — odmówiono żądaniu przystano jedynie na życzenie, by załoga polska w Stropkowie nie urządzała napadów i nie nakładała trybutu ani też żadnych nowych nie czyniła fortyfikacyi[3]). Sprawy czeskiej nie tykano w postanowieniach rozejmowych, owszem ustanowiono, aby sami Czesi z obu stron na zjeździe w Niemieckim Brodzie 31 maja nastąpić mającym, stanowili o rozejmie[4]), gdzie też zawarty roczny rozejm pomiędzy Czechami Władysławowymi a stronnictwa przeciwnego, utrwalono. Pomiędzy Polską a Węgrami zapanował również roczny rozejm, ale już 28 czerwca obiecywał król Kazimierz partyzantom swym w Węgrzech[5]) pomoc, w razie napadu ze

---

[1]) Georg von Stein do ks. Wilhelma Saskiego w liście z 1 maja 1472 Polit. Coresp. Masgr. Albrecht Achilles I. p. 361.

[2]) Fontes rer. austr. XLVI p. 161.

[3]) Ob. Wierzbowskiego Metricarum Sumaria z 21 maja 1472, tudzież Eschenloer II, 275.

[4]) Fontes r. austr. XLVI. N. 161. SSr. Sil. XIII. N. 127. Arch. Česk. IV. s. 456.

[5]) Wierzbowski Metricarum, dokumenty pod wskazaną datą.

strony Macieja, a Jana arcybiskupa Ostrzyhomia upewniał, że używać będzie jego rady i pomocy, gdyby z Maciejem miał zawrzeć pokój. Wojna nowa wisiała na włosku. I nie dziwna; jeżeli bowiem Kazimierz w swej walce z Maciejem opierał się na zasadzie legitymizmu, jeżeli zasadzie tej sprzyjali i cesarz i książęta Rzeszy Niemieckiej, jeżeli zasada odniosła zwycięstwo w Czechach, a i po przegranej w Węgrzech miała tu swych zwolenników, nie było powodu do zupełnego wycofania się z walki i owszem należało w dalszej walce zapewnić zwycięstwo zasadzie, którą wywieszono na proporcach bojowych. Wprawdzie Czesi na swym zjeździe w Niemieckim Brodzie uchwalili pomagać Polsce tylko na wypadek najazdu[1]) ze strony Macieja, finanse królestwa były w stanie opłakanym, a król Maciej zwiększał jeszcze niedostatki, wypuszczając z niewoli Wiktoryna Podjebrada, do którego wykupienia zobowiązał się król Władysław, właściwie zaś ojciec z synem — nie mniej jednak nie dążono w Polsce do pokoju, a od cesarza otrzymywano zachętę do wojny. Nie brakło tej zachęty i ze strony książąt Rzeszy, jak niżej obaczymy.

II.

Paweł II, Sykstus IV. — Rozesłanie legatów. — Legat Marco Barbo. — Macieja zgoda na zjazd w Nisie. — Ugoda węgiersko-polska. — Zjazd w Beneszowie. — Posłowie polscy ze zjazdu w Nisie na sejmie piotrkowskim. — Odrzucenie układów w Nisie zawartych. — Dwuznaczne stanowisko cesarza. — Zjazd w Opawie. — Trudności w układach. — Zerwanie układów i protesta z tego powodu. — Rozejm roczny. — Kazimierz stara się o przymierze z cesarzem. — Obraza posłów polsko-czeskich w Norymberdze. — Przymierze lutowe z cesarzem bez znaczenia. — Stanowisko Brandenburczyka.

Stanowisko zajęte przez Kazimierza w sprawie zabiegów o koronę czeską dla syna było tak zręcznie dobranem, że ani ze strony czeskiej ani też ze strony katolickiej nie można było niczego królowi zarzucić. Posłowie polscy pewni byli, że Kurya nie wystąpi stanowczo przeciwko elekcyi Władysława, a gdy katolickie stronnictwo podniosło, że papież Paweł II jest przeciwnym

[1]) Arch. Český IV p. 459.

powołaniu królewicza polskiego na tron czeski, Jakób z Dembna stanowczo zaprotestował przeciwko takiemu twierdzeniu[1]).

Oczywiście Paweł II. sprzyjał kandyturze Korwina na tron czeski, jego wszakże uważał za króla Czech i popierał go materyalnie i moralnie w trudnem zadaniu zdobycia mieczem całego królestwa czeskiego. A gdy Huniady nie ufając, aby mógł mieczem uzyskać Czechy, udał się w układy z Jerzykiem, papież na wieść o układach upomniał Huniadego, nazywając postępek jego jako z ujmą honoru papieskiego i Kościoła połączony[2]). Przez Gabryela z Werony zapewniał go, że wyprawa przeciwko Turkom, nad którą obradować będą na sejmie w Ratysbonie, nie prejudykuje wyprawie czeskiej, że nie odstąpi od zamiaru wyprawy przeciwko Czechom i zachęcał go do zbrojnej akcyi[3]). Ale i króla Kazimierza zgromił był papież z powodu układów z wyklętym Jerzykiem, z powodu danych Czechom zapewnień, iż postara się o potwierdzenie kompaktatów o zawieszenie klątwy i cenzur kościelnych i polecił nawet ukarać posłów, którzy takowe układy zawrzeć mieli, nie wchodząc nawet w to, czy wieści owe były zgodne z prawdą. Ale nietylko układy owe nazywał papież zgorszeniem[4]) ale zapewnił legata biskupa Ferrary, że nigdy się nie zgodzi na potwierdzenie obioru królewicza polskiego, na kompaktaty i na zniesienie cenzur. Jeżeli, jak wiemy, biskup Ferrary na żądanie króla Macieja po elekcyi kutnahorskiej potwierdził dawniejszą elekcyę ołomuniecką, aby zapobiedz tem niebezpieczeństwom grożącym katolikom czeskim, to z pewnością nie wykroczył tem przeciwko intencyom papieża. Ale gdy wnet potem król Maciej nastawał na papieża, by upomniał króla Polski z powodu elekcyi kutnahorskiej, dokonanej przez husytów, papież dowiedziawszy się tymczasem z ust posłów polskich Jakóba z Dębna i opata Świętokrzyskiego, że oskarżenia rzucane na króla Kazimierza są mylne, nie wystąpił wobec Polaków według życzeń Huniadego. Owszem papież dał żądane absolucye biskupowi

[1]) SS rer. Siles. XIII, N. 36 p. 25.
[2]) Theiner Mon. Hung II, 590
[3]) Ibid. N. 606.
[4]) *Vae illi per quem scandalum* fit M. Hung. II, N. 592 cf. 594—596.

chełmińskiemu Wincentemu Kiełbasie, nie uchylał się od potwierdzenia pokoju toruńskiego a gdy zwrócić kazał posłów polskich z drogi celem wypowiedzenia im nagany z powodu przyjęcia elekcyi kutnahorskiej przez królewicza, usłyszał obronę opartą na zasadach legitymizmu, zakończoną życzeniem, by wobec wyniku elekcyi tej każdy z królów pozostał przy tem, co posiada i by obaj w zgodzie wzajemnej i pokoju pozostawali[1]) : Odpowiedź tę zakomunikował papież królowi węgierskiemu i w gruncie rzeczy zgadzał się z jej intencyą, mianowicie co do zgody i pokoju obu królów. Toż poselstwo takie jakie odbył biskup olomuniecki Protazy w Krakowie, było zgodne z zamiarami papieża[2]), który w lipcu wysłał był Fabiana de Montepoliciano do obu królów, Kazimierza i Macieja, aby ułatwił zawarcie zgody. Gdy niebawem potem umarł papież, wolę swą co do tej zgody zostawił niejako testamentem przekazaną swojemu następcy na tronie papieskim.

Zasiadł na stolicy apostolskiej dawny generał Franciszkanów Francesko z rodu Rovere pod imieniem Sykstusa IV. Mąż ten świetnie rozpoczął swe rządy, poruszając myśl obrony chrześcijaństwa od Turcyi w całym świecie. Znakomicie dobrana była chwila do zamierzonej akcyi, gdyż Mahomet II. pozostawał w walce swojej z Ussunhassanem turkomańskim władcą Karamanii, który także w Europie szukał sprzymierzeńców, z Wenecyą zawarł przymierze, a do królów Polski i Węgier wysyłał poselstwa z propozycyami wspólnej akcyi wojennej. Otóż Sykstus IV. z wytężoną energią, jaką od czasu do czasu objawiał, chwycił się myśli skorzystania z trudności, w jakich pozostawał Mahomet i zamianowawszy na konsystorzu tajnem pięciu legatów a latere, rozesłał ich po Europie. Najznakomitszego z kardynałów Bessariona wysłał do Francyi i Anglii ; Borgio naznaczony był do Hiszpanii, Angelo Capranica do włoskich państw, podczas gdy Oliviero Caraffa przeznaczony na dowódcę floty, miał ją utworzyć przy pomocy króla Neapolu. Marco Barbo miał udać się w sprawie wyprawy lądowej do Niemiec, Węgier i do Polski.

[1]) Theiner M. H. II, N. 590.

[2]) 15 lipca 1471 Theiner II, N. 611.

Bodaj czy nie najważniejsza część zadania dostała się kardynałowi Marco Barbo[1]). Gdyby bowiem zachodnie mocarstwa zawiodły już same Niemcy, Polska, a zwłaszcza Węgry, pod swym wojowniczym królem Maciejem były w możności siłami swemi lądowemi zadać straszne cięgi Turcyi. Atoli te państwa były w największej niezgodzie i rozterkach, musiał tedy legat a latere pracować nad zgodą ich wszystkich i tym celem już w lutym opuścił Rzym, udając się do Niemiec i Węgier.

W duchu pojednania książąt napisaną była instrukcya dla legata, świadcząca dowodnie, że w kuryi znaną była dokładnie sytuacya ówczesnej Europy. Przedewszystkiem nacisk położono na uspokojenie niezgód, ale to się nie udało, ani w Hiszpanii i Francyi ani w Niemczech, Węgrzech i Polsce, mimo, że przedstawienia legata były trafne i zręcznie i zgodnie aplikowane. Cesarzowi miał legat przedstawić, że własny jego interes bezpieczeństwo państwa wymaga udziału w akcyi; Węgrom przedłożono toż samo, a miał ich przedewszystkiem uspokoić, pogodzić arcybiskupa Ostrzyhomskiego i biskupów z królem, mając nawet do rozporządzenia kapelusz kardynalski, byle tylko w tem królestwie, gdyż Węgry słusznie uważał Rzym za najważniejszą siłę przeciwko Turcyi, pokój ugruntować.

Co do Polski, tę miano odwieść od wojny z Maciejem. Niezwyczajnie zręcznie położono nacisk, że zagadkowe stanowisko króla Kazimierza, który ofiarowanej sobie przez katolików czeskich korony nie przyjął, teraz zaś na życzenie heretyków dał Czechom syna i porwał się do broni przeciwko Maciejowi. Rezultat wojny zawsze jest wątpliwy, dlatego mądry władzca powinien pokojowo sporne sprawy załatwiać. Papież powraca tutaj do dawniej przez stolicę apostolską proponowanych środków zgody, radząc zawarcie rozejmu, oddanie ręki królewnej Maciejowi z tytułem dożywotniego króla Czech, z Szląskiem i Morawami jako wianem i po śmierci powróciłyby te prowincye do Czech. Gdyby inną drogą nie można było dojść do zgody polsko-węgier-

[1]) W wysłaniu mowi papież legatowi, że wojna pomiędzy Kazimierzem a Maciejem stanowi walną przeszkodę do zebrania wojsk przeciwko Turkowi.

skiej, zgadza się papież na potwierdzenie pokoju toruńskiego. Na wypadek, gdyby i ten środek okazał się być niedostatecznym, proponował papież superarbitrat swój, lub też wyznaczenie arbitrów przez strony, a papież da rozjemcę.

Marco Barbo rozporządzał też rozmaitymi środkami nacisku na króla i na Polaków i tak miał nadaną sobie władzę ekskomunikowania królów Kazimierza i Władysława jako fautorów heretyków, miał władzę uwolnienia Mistrza Zakonu od obedyencyi dla króla Polski[1]), poddania go pod protektorat i obronę wieczystą króla Macieja, z drugiej strony miał nawet pełnomocnictwo bezwarunkowego potwierdzenia pokoju toruńskiego t. j. nie tylko co do temporaliów, ale także co do spiritualiów[2]).

Sykstus IV torował drogę swemu legatowi także i w Polsce — więc uprzedzał przyjazd jego, tłumacząc, że ma na celu zgodę Polski z Maciejem, upominał potem króla Kazimierza, by zaprzestał wspierać heretyków i od wojny z Maciejem odstąpił, wreszcie w czasie, gdy legat już zamierzał opuszczać Węgry, jeszcze raz polecił jego pieczy pokój polsko-węgierski[3]). Nie zapomniał papież proponować jako środek do zgody małżeństwo pomiędzy Maciejem a którą z córek Kazimierza i by posag na Morawach był zabezpieczony. Z drugiej strony, gdyby do zgody tej przyszło, miał się Władysław zobowiązać, że będzie nakłaniać wszelkimi sposoby Czechów tak do porzucenia herezyi jakoteż do posłuszeństwa stolicy spostolskiej[4]).

W czasie gdy kardynał Caraffa, na czele 87 galer uderzył na Sataliję w Karamanii, a poseł Ussun-Hassana śpieszył do Polski, równocześnie zaś ostatnia Paleolożanka, Zoe, wyposażona przez papieża, oddawała rękę w Rzymie moskiewskiemu Iwanowi III, wśród okoliczności sprzyjających pomysłom papieskim Marco Barbo w pierwszych dniach lipca opuszczał Budzin,

---

[1]) Pełnomocnictwa u Theinera Mon. Hung. II, N. 613—615.

[2]) Instrukcya dla legata w Cod. ep. I. 2, N. 225.

[3]) List Sykstusa IV do Kazimierza z 2 stycznia Cod. ep. I, 2, N. 222. z 7 marca w Catorzy XV p. 571, do legata z 1 maja, Theiner Mon. Hung. II. p. 436.

[4]) Theiner M. H. II, N. 621, 622.

udając się do Polski. O Macieju powziął jak najpochlebniejsze dla dzielnego monarchy wyobrażenie i do dawnego legata Rudolfa, biskupa wrocławskiego pisał, że silniejszego w wierze, stalszego duchem, szlachetniejszego w działaniu a wolnomyślniejszego w radzie nad Macieja nie spotkał w świecie[1]). Jeżeli dodamy, że legat uśmierzał wewnętrzne w Węgrzech niepokoje, mianowicie konflikt króla z episkopatem[2]), natenczas jeszcze większe znaczenie przydać należy pochwale. Ale przekonania takie, jakkolwiek prawdziwe, nie usposabiały legata przyjaźnie dla wrogów Maciejowych króla Kazimierza i Polaków. Na samym wstępie zaszło nieporozumienie, które go nawet zrazić mogło. Przyaresztowano listy Wrocławian do legata pisane; legat dowiedziawszy się o tem, upomniał się o nie; otrzymał też rozpieczętowane listy i skarcił takie postępowanie, jako niehonorowe[3]). Już z mów, jakiemi witali go w Wieliczce królewicze, pomiędzy innymi i Kazimierz, mógł legat odnieść wrażenie, że nie zrzekano się w Polsce zasady legitymizmu. Gdy nadto z drugiej strony właśnie pod tę porę wymarli najważniejsi stronnicy polscy w Węgrzech, Maciej zaś, wysunąwszy przeciwko cesarzowi „braci", uczynił tegoż skłonniejszym dla swych życzeń, a na skutek powodzeń urosła i jego duma, przeto rokowania o rozejm napotkały na wielkie trudności. Legat doradzał zawrzeć tymczasowy rozejm do 1 maja roku przyszłego, przed którym to terminem strony mogłyby na zjeździe w Nisie porozumieć się i zawrzeć stały pokój. Już zgodził się na ten projekt król, już wysłano do Węgier przez Leonarda z Perudżyi zgodę króla Polski, rozgłoszono nawet w Polsce przyjęcie na życzenie papieskie rozejmu, gdy na skutek jakichś uraźliwych wyrażeń w rewersale Macieja, król Kazimierz odrzucił rozejm[4]). Musiał legat udać się

[1]) SSr. Sil. XIII, N. 125, list z Budzina 6 czerwca 1472

[2]) Por. Fontes rer. austr. XLVI. p. 176.

[3]) Eschenloer II, 269.

[4]) Tak tłumaczę ustęp u Długosza XII, 571—572, porównywując go z listem Gruszczyńskiego do Wrocławian z 3 sierpnia 1472. SS. r. Sil. XIII, N. 131. Oczywiście list pisany przed odrzuceniem rozejmu, a właściwie rewersału Maurycego przez Kazimierza. Eschenloer błądzi II, 269, podając, że rozejm miał trwać do 2 lutego, wszakże na tym dniu dopiero miał się zacząć zjazd w Nisie.

za królem do Korczyna, potem do Sącza, gdzie też na dniu 20-go października ustanowił rozejm za zgodą królewską polsko-węgierski. Możemy się dorozumiewać, o co głównie szedł spór — co głównie urażało króla Kazimierza. Przypuszczamy, że Maciej na żaden sposób nie chciał dopuścić uznania królestwa Władysławowego w Czechach i tym celem uzyskał od cesarza obietnicę warunkową, że jego cesarz uzna prawowitym królem Czech[1]). Tymczasem papież, powodowany chęcią usunięcia kacerstwa z Czech, dowiedziawszy się, że Władysław stoi na ściśle katolickiem stanowisku, dał we wrześniu Marcowi Barbo pełnomocnictwo potwierdzenia nawet takiej umowy, gdyby nią, za przyzwoleniem panów czeskich, przyznano Władysławowi królestwo czeskie[2]). Warunek przydany przez cesarza t. j. jeżeli zjazd lub superarbitrat przyzna koronę Maciejowi — spowodował nacisk Macieja na Polskę, z całą bezwzględnością wywierany. Wypuścił z niewoli Wiktoryna Podjebrada, ale kazał mu uznać siebie królem czeskim i wydać miasto Kolin, które natychmiast obsadził załogą węgierską, zagrażającą Kutna-Horze. Przekupstwem pozyskiwał sobie stronników wśród Czechów Władysławowych, zapalił wojnę na Śląsku przeciwko ks. Wacławowi Rybnickiemu, partyzantowi Władysława, tak że król Kazimierz musiał wysłać kanclerza Jakóba z Dębna na odsiecz Żarek, gdyż Rybniki już były zdobyte przez ks. Wiktoryna, Jana ks. Raciborskiego, Mikołaja ks. Opolskiego i Wrocławian[4]). Ostatecznie musiał Maciej uczynić ustępstwo: zgodził się na zjazd w Nisie. Miano tam zawrzeć pokój, a gdyby go nie zawarto, żądał papież oddania sobie sprawy pod rozjemczy sąd[4]). Pod koniec grudnia porozumienie w sprawie zjazdu postąpiło już tak daleko, że Kazimierz mógł dać pełnomocnictwo posłom polskim do uczynienia pokoju

---

[1]) Chmel Mon. Habs. I. 2, 5—22 dok. z 9 września 1472 r. Jak zazdrośnie patrzał Maciej na królowanie Władysława w Czechach dowodzi jego w Norymbergii wydany zakaz wydania lenna Mainbernheim i Heidingsfels Władysławowi, gdyż on tylko (Maciej) jest królem Czech. Polit. Coresp. Marg. Albrechts. I, N. 454.

[2]) Fontes 46 N. 172.

[3]) Dr. XII, 579; Eschenloher II.

[4]) Theiner Mon. Hung. II, p 440.

pomiędzy Polską, synami swymi a Maciejem. Także i król Maciej, który z początku udając, że do zjazdu żadnej nie przywiązuje wagi, kilku mniejszego znaczenia przeznaczył pełnomocników, teraz wyznaczył Gabryela arcybiskupa kaloceńskiego, Gabryela Rangoniego, dawnego legata Albeńskiego (siedmiogrodzkiego), Alberta Wesprymskiego, Michała Orszaga Gutha palatyna Węgier, Stefana Batorego sędziego nadwornego, Emeryka Paloczego, Wojciecha Kostkę z Postupic, Władysława Garę i kilku doktorów. Węgrzy przybyli już w drugiej połowie marca do Nisy i przez 9 dni oczekiwali przybycia posłów polskich — mianowicie arcybiskupa gnieźnieńskiego Jana Gruszczyńskiego, Jana z Brzezia biskupa krakowskiego i Jakóba Sienieńskiego biskupa włocławskiego, Stanisława Ostroroga wojewodę kaliskiego, Jana Długosza i doktora Jakóba z Szadka kanoników krakowskich. Na ostatnich z powodu rzekomo „późnego zawiadomienia" czekano dni 12 tak, że dopiero pod koniec marca można było rozpocząć rokowania. Trzech zaś pełnomocników wogóle nie przybyło[1]). Mimo że arcybiskup gnieźnieński, będący głową poselstwa, chętny był układom, a skład poselstwa tem samem czynił je zawisłem od legata i powolnym życzeniom jego, ciągnęły się one przez całe pięć tygodni. Ze strony czeskiej przybył jedyny pełnomocnik Bieniasz Weitmiler. Polacy chcieli opuścić Nisę, tylko na żądanie legata pozostali w mieście[2]). Legat i tutaj wznawiał dawny projekt utwierdzenia przymierza przez oddanie ręki królewnej Maciejowi, jednakowoż i teraz bez skutku. Zwłoka w obradach nastąpiła z powodu braku pełnomocnictw co do poruszanych spraw, i przyszło odłożyć posiedzenia do 25-go kwietnia. Legat musiał przedłużyć rozejm do 28 maja, aby strony mogły dalej toczyć układy spokojnie[3]). Słowem rwało się —

[1]) Por. DV XII, 578 i współczesne relacye w Cod. ep. III, N. 150—154. przyczyny opóźnienia przyjazdu szukać należy w tem, że król był w Wilnie, a dopiero w początkach marca rozpoczęto się z nim porozumiewać, co do układu w Nisie. Ob. Sumaria Matricularum dok. sub. 9 marca 1473. N. 1001. Nieprzybycie trzech posłów tłumaczy Caro V, 1, 369 niezadowoleniem stanów, które w ten sposób zaznaczyły niezgadznie się z dynastyczną króla polityką.

[2]) SS. rer. Sil. XII, N. 150.

[3]) Prolongacya z datą w Nisie 14 kwietnia 1473. Dogrel. I, p. 67.

a lubo 5 maja biskup włocławski uwiadomił Gdańszczan, że obrady wzięły dobry skutek, i pożądany pokój z Węgrami zawarto[1]), jednakże była to tylko połowa dzieła. Odnowienie dawnego przymierza Polski z Węgrami, postanowienie, by na wypadek jakich sporów dawnym sposobem załagodzono je na zjeździe granicznym przez magnatów obustronnych, by wydano sobie jeńców, by Stropków, o co się głównie Maciej skarżył, że mianowicie stąd łupiono Węgry północne, wydali Polacy w ręce Mikołaja Pereniego, któremu król Maciej przebaczał, wszystkie te ugodowe punkta dotyczyły stosunków węgiersko-polskich. Sprawa jednego królewicza, mianowicie Kazimierza, była nimi rozstrzygnięta — o nim nie było już nawet mowy. Chociażby atoli obie strony jak najwierniej przestrzegały tej umowy, pokój istnieć nie mógł bez ułatwienia spornych kwestyi co do Czech. Tutaj jednak zachodziły takie poważne różnice, że o ułożeniu punktów zgody nie było mowy, gdyby nawet Czesi mieli swych pełnomocników w pełnej tutaj liczbie. Musiano się przeto zgodzić na odłożenie całej sprawy na następny zjazd, mający się odbyć w Opawie 15 sierpnia. Królowie Polski i Węgier mieli tu przysłać po ośmiu pełnomocników, Czesi zaś trzymający stronę Władysława, tudzież ci, którzy stali po stronie Macieja, mieli po sześciu wysłać z pełnomocnictwem[2]). Gdyby tych 28 mężów nie mogło się zgodzić na jedno zdanie, natenczas

---

[1]) Cod. ep. III, N. 152. Tekst autentyczny układów w Nisie, jak już Palacky Gesch. Böhm. V, 1, 86 zauważył, nie jest znany. Co do różnic zachodzących w tekście Eschenloera II, 279—283 a, Archiv Český IV, 460—465, te dają się zredukować do kilku ważniejszych, że gdy pierwszy mówi o 20 delegatach na zjazd Opawski, drugi podaje ich liczbę na 29, że gdy tekst czeski wymienia jednego nadwornego posła Macieja: Stefana Batorego i Michała Oszaga Guta, Eschenloer tylko ogólnie mówi o sprawielliwości, którą król Maciej na skargi Perenyego wymierzyć każe, że posłowie na zjazd w Beneszowie delegowani mają glejty od stron otrzymać co 14 i 20 artykułem obwarowano według Eschenloera, a czego niema w tekście czeskim. Nie mogę się tedy zgodzić z Palackym na różnice w obu ważnych punktach. Zauważyć należy, że Palacky wskazuje na Archiv Český III, 465—469, chociaż tam jest mowa o uchwałach beneszowskich, a nie w Nisie zapadłych ob. Polacky ibidem p. 92, uw. 57.

[2]) Eschenloer II, 279, zgodny z relacyą Jakóba biskupa włocławskiego, Cod. ep. III, N. 153 Arch. Český IV p. 464 podaje ogólną liczbę na 20.

miano sprawę oddać pod superarbitrat. Co do osoby superarbitra nie przyszło do zgody. Maciej proponował papieża[1]), Polacy króla Francyi Ludwika XIII lub Albrechta brandenburskiego, lub ks. Karola burgundzkiego, z których jednego ostatecznie miał obrać Maciej i przed 8-ym maja o wyborze dać znać Kazimierzowi. I reszta artykułów kilkunastu miała zapewnić pokój na czas rozejmu, ku czemu wyznaczono też dla Czechów obudwu stronnictw zjazd w Beneszowie, aby i w Czechach pokój uskutecznić i skłonić strony do oddania sprawy spornej pod superarbitrat. Mimo wielkiego moru, jaki w okolicy panował, królowa Joanna otworzyła zjazd beneszowski 28 maja mową trzy godziny trwającą, o której mówiono, że wypłynęła raczej z ust mędrca aniżeli kobiety. Zjazd potwierdził postanowienia w Nisie zapadłe, wogóle jednak stanął na stanowisku ponad króle Czech. Zażądał tedy, aby przyszły król Czech do przeciwników z obozu drugiego nie żywił ani żalu ani zemsty. Ustanowiono rozejm aż do 28 września 1474 r., w czasie którego ustanowiono w Czechach czterech namiestników: ks. Hinka z Ziembicy, Zdenka ze Sternberga, Wilhelma z Risenberga i Jana Zaica z Hainburga, którzy mieli zapewnić królestwu porządek i bezpieczeństwo, a mający być ustanowieni namiestnicy morawscy i śląscy w pewnych sprawach mieli tym namiestnikom głównym podlegać. Maciej i Władysław mieli starostom wydać rozkazy co do posłuszeństwa namiestnikom powinnego, słowem zawieszono poniekąd władzę królewską w Czechach, a obydwu królów zobowiązywano do uwolnienia poddanych z przysięgi im uczynionej. Namiestnicy mieli przysięgę wierności złożyć całemu królestwu czeskiemu.

Były to ostateczne konsekwencye, wyciągnione z zasady uchwalonej w Nisie poddania sprawy spornej obu królów o koronę czeską pod superarbitrat. Król Maciej, który wprawdzie przyznawał, że korona czeska należy Władysławowi, ale nigdy nie stanął na stanowisku legitymizmu, już z tego samego względu mniej tracił, przyzwalając na życzenia beneszowskie, aniżeli

[1]) Fontes 46, N. 175, *dass der König v. Ungarn par bleiben will pey dem pabst.*

Władysław, który je odrzucił, ponieważ stał na stanowisku legitymizmu. Władysław musiał poczuć się zachwianym na tronie przez ustanowienie namiestników w Czechach, podczas gdy zjazd beneszowski takowych dla Moraw i Śląska nie ustanowił a tylko zasadniczo przepisał, by tameczni namiestnicy podlegali czeskim, wreszcie nie mógł mieć nadziei, aby superarbiter wybrany przez Macieja, na kogokolwiekby wybór jego padł, nie Maciejowi ale jemu przyznał koronę, skoro zjazd w Nisie nie nazywał go nawet królem czeskim, lecz synem królewskim.

Ale jeżeli Władysław nie zgodził się na zawieszenie swej królewskiej godności i nie dał żądanego zwolnienia poddanym od przysięgi — to i król Maciej, lubo ujęty poniekąd postanowieniem zjazdu, żądanie bowiem od przyszłego króla Czech zupełnego przebaczenia stronnikom z obozu przeciwnego, wyraźnie się do niego stosowało, uznał wprawdzie superarbitrat a mianowicie ks. Karola burgundzkiego, a gdyby tenże w ciągu ośmiu miesięcy wyroku nie wydał, natenczas Ludwika francuskiego, ale poddanych swych czeskich nie zwolnił od przysięgi, aż dopiero w chwili gdyby wyrokiem superarbitra korona czeska Władysławowi była przysądzona[1]).

Z podobnych powodów, dla jakich Władysławowi nie podobały się ani uchwały w Nisie a tem mniej w Beneszowie zapadłe, nie mogły one znaleźć aprobaty i w Polsce, gdzie właśnie wywieszono zasadę legitymizmu tak w stosunku do Czech jakoteż i do Węgier. Toż gdy posłowie polscy z Nisy przybyli do Piotrkowa, przy sprawozdaniu swej półtoramiesięcznej pracy, doznali jak najgorszego przyjęcia[2]). Krytykowano ostro układy w Nisie, którymi porzucono zupełnie sprawę Kazimierza Jagiellończyka, w których nie przyznano nawet Władysławowi tytułu króla, a wybór superarbitra oddano w ręce Macieja, czem poniekąd z góry przysadzano rozstrzygnięcie na korzyść tego ostatniego i nie chciano przyjąć ani zatwierdzić postanowień zjazdu. Posłowie złożyli wszystką winę na arcybiskupa gnie-

---

[1]) SS. rer. Sil. XIII. p. 162.

[2]) Eschenloer II, 283 por Dł. XII. 582.

źnieńskiego, Gruszczyńskiego i nim się wymawiano, chociaż niesłusznie, gdyż wiemy z listów biskupa włocławskiego, że wszyscy posłowie polscy pochwalali układ w Nisie zawarty. Mówiono w Polsce, dodaje współczesny historyk Wrocławia, że gdyby arcybiskup został dłużej przy życiu, musiałby z Polski uciekać, groziło mu bowiem otrucie, on jednak zmartwiony układami umarł nagle 1 października. Z tem wszystkiem nie zdołali się posłowie usprawiedliwić z przekroczenia mandatu, mieli bowiem cesarza i elektorów mianować superarbitrami, dlaczego też uchwajono, nie przyjmować rozejmu, na który zresztą nie dano potwierdzenia, a do Opawy miał król wysłać posłów z oznajmieniem usunięcia się od rozejmu. Nadto za radą senatorów postanowił król niczego bez cesarza nie poczynić, wysłać dań poselstwo z prośbą o regalia dla syna, o pomoc przeciwko Węgrom, tudzież o zapłatę reszty wiana królowej. Jeśliby cesarz nadał lenno na zjeździe opawskim i słowo swe poparł orężem, król Polski uderzy w sile gotowych do boju dziesięciu tysięcy zaciężnych na Macieja a także i wojewoda Wołoski, którego Maciej nigdy nie zdołał pokonać i Średmiogrodzianie powstaną przeciwko temuż[1]). Równocześnie zademonstrowano z Polski odrzucenie rozejmu tem, że nie stawiano przeszkody „braciom na żołdzie będącym, do zajęcia zamków po stronie węgierskiej Modrą-górę i Bukowiec, którzy stąd pustoszyli sąsiednie okolice, niepokojąc Węgry. Sam Maciej wyruszył z wojskiem przeciwko braciom, zdobył obie twierdze i zmusił zwyciężonych do dania słowa, że nigdy przeciwko niemu wojować nie będą.

Wysłany do cesarza Adam z Dąbrowy, dziekan Poznański otrzymał w Badeniu 15 sierpnia odpowiedź niepewną, a jak Długosz nie bez ironii mówi, brzemienną w wielkie nadzieje[2]). Cesarzowi jako stróżowi pokoju chrześcijaństwa nie wypada rozejmu Niskiego zrywać. Jeżeli jednak sam król to uczyni, natenczas cesarz zwoła sejm do Augsburga, na który król niech

[1]) List Ludwika von Eyb do elektora Albrechta brand. Pol. Cor. Marg. Albr. I, N. 660.

[2]) Dł. XII, 590, *magna spe impleto*. Kredytura dla posłą datowana w Radomiu 4 lipca 1473. Polit. Coresp. Margraf. Albrecht I, N. 595.

wyśle posłów, a cesarz zaprosi także i króla Macieja do wysłania posłów. Cesarz życzy sobie, aby sprawa oddaną mu była i elektorom na sejmie Augsburskim, gdzie też da odpowiedź i w sprawie regaliów. Wiano królowej Elżbiecie obiecywał cesarz zapłacić za powrotem do kraju[1]).

Podstęp w danej odpowiedzi polegał na tem, że cesarz nie życząc sobie przyjścia zgody królów Kazimierza i Władysława z Maciejem do skutku, zwłaszcza za rozjemstwem Burgundyi lub Francyi, pochlebiał Kazimierzowi, chcąc aby w ręce cesarskie oddano rozjemstwo, co oczywiście nie pozostałoby bez wpływu na znaczenie cesarza i korzystnie wpłynąć miało na układy o małżeństwo syna cesarskiego z córką niedoszłego rozjemcy, księcia Karola Burgundzkiego. Boć na skutek takiej odpowiedzi rezultat zjazdu opawskiego był z góry przesądzony — do Burgundyi już nie wysłano z Polski posłów, a natomiast wysłano do cesarza na sejm do Augsburga, który się nie odbył w czasie oznaczonym.

Do zjazdu w Opawie przywiązywał kardynał legat wielkie nadzieje, dlaczego też zaraz z Nisy podążył do Węgier, by króla Macieja skłonić do przyjęcia postanowień tego zjazdu a zarazem doradzić w sprawie tureckiej, w której to cesarz zwoływał sejm Rzeszy do Augsburga na 21 września. Na oznaczony termin spieszył już legat z arcybiskupem wesprymskim tudzież Emerykiem Palocym w sto koni i 14 sierpnia przybył do Opawy. W dziesięć dni później przybył biskup wrocławski Rudolf z rajcami wrocławskimi i książętami. Dopiero pierwszego września przybyli Polacy, widocznie oczekiwali odpowiedzi od cesarza, — w 600 koni kosztownie ubranych złotem i srebrem w lśniących pancerzach, z licznym karet orszakiem. Byli to biskupi krakowski i kujawski, Łukasz Górka wojewoda poznański, Stanisław Ostroróg wojewoda kaliski, Kmita kasztelan lubelski, Rytwiański marszałek, Zbigniew Oleśnicki podkanclerzy, Jan Długosz i sześciu doktorów. Gdy w kilka dni później przybyli Czesi króla Władysława z Hinkiem, ks. Ziembicz na czele, a Węgrów jeszcze nie było, chcieli Polacy i Czesi odjechać, jednakże na skutek przedstawień kar-

[1]) List Ludwika von Eyb l. c. zgodnie z Długoszem.

dynała dwa tygodnie przeszło czekali na ich przybycie[1]). Dopiero 21 września przybyli Węgrzy z Gabryelem Rangonim biskupem siedmiogrodzkim, Michałem Naderspanem, ks. Wiktorynem Podjebradem, który to z powodu niewykupienia go przez Władysława stał się wrogiem temu królowi. Nie przybyli Zdenko ze Sternberga i Jan Zaic i Henryk z Nowego Domu, pierwszy, jak Długosz mówi, z powodu obawy (trucizny, co też Zdenek listem do legata adresowanym wyjaśniał. Inni panowie czescy w liście do zgromadzenia winę swej nieobecności składali na króla Macieja, który dał im był pełnomocnictwo do układów w Beneszowie, a teraz zmusza ich, by postanowień tamecznych nie spełniali. Widocznie w obawie o wierność, jak donosi Długosz, zmuszał ich do składania sobie przysięgi, podczas gdy zjazd beneszowski uwolnił obustronnych poddanych aż do czasu stanowczego rozstrzygnięcia od tej przysięgi[2]). Był to argument ważny dla Polaków owa nieobecność Czechów i owe skargi czeskie, dowodzące, że Maciej nie spełniał warunków umowy w Nisie zawartej, gdyż to właśnie nie obowiązywało ich do oddania sporu pod wyrok księcia Burgundyi. Natomiast powód późnego przybycia Węgrów, owe niepokoje na polskiej granicy, doszedł do wiadomości wszystkich uczestników, o ile że Węgrzy na zarzuty Polaków co do opóźnionego przybycia wyraźnie obwiniali ostatnich o wzniecenie wojny w północnych Czechach i żądali odwołania, „braci" z Węgier.

Obrady zagaił legat u siebie na zamku piękną przemową, zachęcając strony do pokoju i wykazując rzeczowo, jak sławne niegdyś królestwo czeskie na skutek szerzącego się tam kacerstwa doszło do upadku. Zachęcał przeto Polaków i ich stronników w Czechach do wykorzenienia kacerstwa, przez co i sława zostanie przywróconą Czechom i Polacy się zrehabilitują. Odpowiedział na te zarzuty obszernie Rytwiański marszałek po polsku, mowę tłumaczył biskup wrocławski, kładąc nacisk na potęgę, cnotę, szlachetność, sprawiedliwość, gorliwość w wierze i, nabożeństwie wreszcie na wielki i sławny ród króla, z którym żaden inny nie może nawet iść w porównanie. Po tej wycieczce, którą doskonale

[1]) Relacyę Eschenloera II potwierdzają listy współczesne. Polit. Cores. Albrechts I, N. 682, Fontesrer. austr. XLVI, N. 198.

[2]) Ob. Arch. Český IV, p. 466. Długosz XII.

zrozumiano, jako wymierzoną przeciwko królowi Maciejowi, począł rozwijać mowca obraz potęgi królewskiej, której sprostać nie mogli Krzyżacy, wsparci całą siłą Niemiec i wnioskował stąd, że taka potęga jedynie mogła zwolnić Europę od Turcyi. Co do celu zjazdu oświadczył marszałek, stawając na dawnem stanowisku legitymizmu, że do Czech i do Węgier mają prawo jedynie królewicze, jako do państw prawem dziedzicznem sobie należącem. Prawo to ma pierwszeństwo przed siłą i niesprawiedliwością i dlatego żaden uczciwy człowiek nie powinien przeciwko niemu występować[1]). Przystąpili do mowcy Czesi, a po chwili rozmowy z nimi Rytwiański wystąpił ze skargą przeciwko legatowi z powodu nazwania Czechów kacerzami, przez co naruszył ich glejt, dlaczego też nie chcą pozostać i uczestniczyć w konferencyach. Wtedy legat powstał i opowiedział, że właśnie kacerstwo czeskie jest powodem jego tutaj wysłania, że dwa sobory potępiły tych kacerzy, że o tych kacerzach już tak bogata urosła literatura, że i dwieście koni nie uwiozłoby ksiąg o nich napisanych, że tedy zupełnie niesłusznie Polacy i Czesi urażają się z powodu nazwy notorycznej i całemu światu oczywistej. Gdyby mu język ucięto i natenczas nie zamilczałby o tem kacerstwie, gdyż jest obowiązkiem urzędu jego przeciwko niemu działać, jeżeli nie mową to słowem pisanem. Polacy, już to z powodu nieobecności Czechów, jak Zdenka ze Sternberga, już to, że legat jest stronniczym sędzią w tej sprawie[2]), oświadczyli usunięcie się ze zjazdu. Odpowiedzieli Węgrzy na to, że sami Polacy są winni nieobecności Zdenka, który walczył z ich stronnikami o swoje zamki, a zresztą według układu w Nisie w braku jednego pełnomocnika inni mają prawo i moc uchwalenia. Nawet pełnomocnictw swoich nie chcieli Polacy złożyć w ręce kardynała.

Nazajutrz proponują Polacy układy przez delegowanych po kilku z każdej strony, grożąc odjazdem. Układano się tedy za pośrednictwem najpierw po dziewięciu z każdej strony, potem po ośmiu, wreszcie po dwóch a mianowicie biskupa Gabryela Rangoniego i ks. Henryka z Ziembicy. Przy tych układach wynawiano

[1]) Relacya Eschenloera poparta przez sprawozdanie do ks. saskich w Fontes. 46, N. 201.

[2]) *Er were nicht ein bequemer Richter*; Fontes l. c.

dawny przez Biskupa Protazego przedkładany projekt, by Maciej przybrał króla Władysława za syna i sam rządy Czech sprawował, a za jego niebytnością w Czechach, aby Władysław rządził, po śmierci zaś bezpotomnej Macieja miałby objąć tron. Żądał też Maciej zwrócenia połowy kosztów na wojnę czeską łożonych, których wysokość podawał na trzy miliony dukatów. Była też mowa o oddaniu mu ręki córki królewskiej z zapisem owych sum na Morawach, Szląsku i Łużycach — ale wszystkie te projekty odrzucono. Polacy chcą pozostać przy swem prawie, które i siłą poprzeć gotowi. Uchwały w Nisie, na które się strona przeciwna powoływuje, nie mają dla nich znaczenia, gdyż zapadły bez zgody ich króla i bez wiedzy panów koronnych, a zresztą tym kilku, którym dano pełnomocnictwo, odmówiono tego, czego żądali. Jeżeli zaś Węgrzy sądzą, że ktoś im poczynił pewne przyrzeczenia, niech się u niego upomną.

Była to aluzya do ustępstw poczynionych przez arcybiskupa Jana Gruszczyńskiego a zarazem odrzucenie układów w Nisie zawartych. Toteż Węgrzy natychmiast poszli do legata ze skargą, a za nimi i Polacy. Legat przypomniał stronom, z czem się pożegnano w Nisie i że uchwały tameczne zapadły za zgodą wszystkich pełnomocników, że na osobności nikt przyrzeczeń nie dawał, ale wszyscy się na nią zgodzili. Zwróciwszy się do biskupów, wytknął im zamilczenie prawdy. Nie zważając na to Polacy pożegnali kardynała. Dali do wiadomości Węgrom, że gdyby Maciej odstąpił Morawy i Szląsk i Łużyce Władysławowi, gotowi są mu nieść pomoc w wojnie tureckiej. Także i cesarscy posłowie popierali to życzenie, domagali się, by Maciej wszystko ustąpił Władysławowi z krajów czeskiej korony[1]).

Było to już 23 września, gdy Węgrzy założyli protestacyę, że nie z ich winy zerwane były konferencye, oni bowiem wykonać pragnęli uchwały w Nisie powzięte i chcieli albo tutaj w Opawie się zgodzić, albo też zdać sprawę na superarbitrów. Czesi atoli i Polacy nie dotrzymali ani artykułu co do nominacyi arbitrów

[1]) Fontes rer. austr. 46, N. 217 i popiera Długosz XII, 588, że lud polski obiecywał: *Magni si de Moravia, Slesia et Lusatia excederet, solatia magnifica contra Turcum laturos.*

ani co do osoby superarbitra, ani co do uwolnienia poddanych od posłuszeństwa. Czesi zaś złamali rozejm, pojmawszy Jana z Rabsztyna, a i kanclerz króla Władysława z Towaczowa wielkie szkody poczynił w czasie rozejmu, Polacy zaś w czasie rozejmu załogami obsadzali zamki a Stropkowa nie wydali[1])...

Na zarzuty ze strony polskiej, że z Czechów stronnictwa Maciejowego nikogo tutaj nie widzą, wskazał kardynał na koronatora króla Macieja, biskupa wrocławskiego, na ks. Wiktoryna Podjebrada, Jana Kolowrata, Botona z Ilburga, ale ci odpowiadając na protest węgierski, „że i słów szkoda tam, gdzie prawo mieczem ma być rozstrzygnięte, sami założyli protestacyę przeciwko legatowi, że mając go w podejrzeniu, nie chcą odeń rozstrzygnięcia sprawy.

Mimo takie przewidywane zakończenie zjazdu rozeszli się uczestnicy z przyrzeczeniem słownem tylko dotrzymania rozejmu przez cały rok. Dokumentów, uwag potwierdzających nie wydały sobie wzajem strony. Zaraz też 24 września wyjechali Polacy a w trzy dni później Węgrzy. Obie te strony nie myślały seryo o pokoju; co do Czechów i Węgrów, ci wracając do uchwał w Nisie zapadłych przygotowywali poselstwo do Burgundczyka, zdaje się na życzenie kardynała Marka, który z żalem pojechał do cesarza, później do Rzymu, dokąd już przedtem inni legatowie wrócili, równie jak i on nic nie zdziaławszy w sprawie upacyfikowania Europy a tem mniej do przysposobienia wyprawy wojennej lądowej przeciwko Turkowi.

Dr. Antoni Prochaska.

(Dok. nast.).

---

[1]) SS. rer. Sil. XIII, N. 168.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe".

Początek dzieła.

I.

Siedział na murawie, naprawiając sieci; równo, starannie, jego muskularne, śniade ręce wiązały porwane węzły. Od czasu do czasu niecierpliwym ruchem odrzucał z czoła czarnych włosów gęstwę i spoglądał w dal na wzburzone, spienione fale jeziora, które z głuchym łomotem rozbijały się o skalne wybrzeże u jego stóp, na stoki kwitnącemi pokryte drzewami, na gór łańcuch falisty... I wtedy jego bystre, szare oczy przybierały głębię rozmarzenia, a do koła energicznie zwartych ust rysowała się miękka linia uśmiechu... nadając ostrej, śmiałej w rysunku głowie mężczyzny łagodny wyraz zachwyconego dziecka.

— Szymonie! Szymonie!...

Jasny, młody głos kobiecy nawoływał przeciągle.

Mężczyzna na wybrzeżu posłyszał, wyraz żywego niepokoju opowił ciemną twarz, porzucił prace i w przestrzeń rzucił odzew potężny.

— Rachelo!

— Bywaj! bywaj Szymonie!

Słabym oddźwiękiem przyniósł mu wiatr odpowiedź. Żywo zaczął się piąć po stromej ścieżce, wśród kwitnących drzew... Wrażenie dziwnego, trawiącego niepokoju ogarnęło go... Stało się co w domu, że Rachela woła go w porze tak niezwykłej...

świekra?... syn?... Lęk krew mu ścinał w żyłach... odetchnął z ulgą na widok smukłej, białej postaci, dążącej ku niemu z góry, i drugiej rosłej, młodzieńczej, idącej za nią.

— Szymonie... Andrzej przyszedł — wołał znowu kobiecy głos — Andrzej... twój brat...

Wesoły uśmiech rozjaśnił ciemną twarz Szymona, ale serce biło mu jeszcze tak żywo i niespokojnie, że przystanął na mgnienie, szeroko rozwartemi ustami chwytając powietrze.

A walcząc z wiatrem, szła ku niemu jasna, giętka postać kobieca i brat... Z ciemnych, głęboko osadzonych oczu Andrzeja szły błyski jakiejś radości ogromnej, z trudem hamowanego wzruszenia, w gwałtowny uścisk porwał silne dłonie brata:

— Szymonie... wieść ci przynoszę... na którą wiekami tęsknie czekał Izrael cały... — głos się zerwał wzruszeniem nadmiernem — Szymonie... Messyasz jest między nami...

— Messyasz! — zgłuszonym szeptem wypadło z piersi Szymona.

— Messyasz! — radośnie dźwięczał głos kobiety.

I nastała na mgnienie głucha cisza... jeno w trzech piersiach serca łomotały, jak ptaki schwytane o pręty klatek... jeno wicher szumiał w gałęziach drzew i z wściekłą siłą zmagały się, przewalały szmaragdowe fale jeziora.

Szeroko rozwarte, pełne blasku, łez i promieni oczy Szymona, zwróciły się ku białej postaci Racheli i... przygasły. Zdawało mu się, że jakaś zimna ręka serce rozszalałe lodowatymi schwyciła palcami... spuścił głowę, rzucając zniżonym głosem pytanie:

— Skąd wiesz?...

— Jan, Zacharyaszów syn, wskazał go mnie i Janowi Zebedeusza... Jan nam powiedział, byśmy szli za nim bo to Syn Boży...

— A on... cóż?...

— On!... O Szymonie... mówił z nami jak brat starszy, całą noc dzisiejszą spędziliśmy, słuchając go... i tak nam było, jakgdyby jasność w dusze nam zeszła od jego słów... Tak dziwnie było... tak dobrze... Pamiętasz Szymonie, jak nieraz mówiłem, że Messyasz przyjdzie w chwale wielko-władcy, a tyś twierdził,

że otaczać go będzie chwała miłości wielkiej, a jeżeli zejdzie to nie dla bogatych i wielkich ale dla wszystkich i...

— I...?

— Miałeś słuszność Szymonie, a jam błądził... Jezus z Nazaretu to Messyasz, o którym marzyłeś... miłość olbrzymia to jego ziemski skarb... Pozwolisz mi pójść za nim Szymonie... uczniem jego zostać... jak byłem uczniem Jana...

— Idź... ja... ja sam — urwał, jakgdyby nagle jego potężnej piersi zabrakło tchu... Spojrzał ku Racheli, ku domkowi opowitemu zielenią winogradu i pomiędzy brwiami zarysowała mu się głęboka, poprzeczna bruzda... Jakgdyby w odpowiedzi myślom własnym, odruchowo, przecząco wstrząsnął głową...

Nie... nie... on... Szymon, nie może opuścić tych, którzy jego opiece zwierzyli życie swoje, chociażby na strzępy tęskna rwała się dusza...

Co raz rozpoczął prowadzić, musi do końca... Gdyby odszedł... cóż poczęłaby Rachel i świekra chora w cichym domku u wybrzebrzeża...

Co stałoby się z synem?...

Nie... nie, opuścić ich nie może... nie potrafi... nie powinien...

A zresztą zrósł się z tem jeziorem, to szalejącem, a groźnem, to cichem i przejrzystem jak tafla z kryształu... Na drobnej łupinie rybackiej łodzi co dnia kołysał się nad głębiną, śmierci odważnie zaglądał w oczy i Boga czcił... Bo ten, co z morzem żyje w obcowaniu codziennem, uczy się głębiej myśleć i patrzeć dalej... a ten, co odbijając od brzegu rano, nigdy nie wie, czy wieczorem.. do portu zawinie, ćwiczy się w poddaniu woli Bożej... A Rachel.. i z nią rozstać się byłoby mu ciężko... pierwsza miłość poślubnych dni minęła już wprawdzie dawno, ale szczera przyjaźń została... Kochał jej duszę prostą, pogodną a szczerą... czcił w niej matkę swojego dziecka...

Nie... nie, opuścić jej przecież nie może...

A syn... miałżeby wyrzec się uśmiechu, co go wita co dnia, ciepłego objęcia ramionek drobnych, radosnego dziecięcego szczebiotu...

Nie....

A przecież w spokój jego duszy padły słowa „Messyasz jest między nami" jak grom i wzburzyły ją do głębi, jak wicher fale jeziora. Myśl goniła myśl... jak za falą, fala gna... Szalone tęsknoty w duszy się rwały, tysiącem uczuć drżało serce, a dłonie się zaciskały aż do bólu. I było mu jak orłowi... który rozwinął skrzydła do lotu i poczuł krępujące łańcuchy.

A Andrzej mówił, opisywał każde słowo Jezusa z Nazaretu, każdy ruch, gest, spojrzenie, pełń dobroci, miłości, wyrozumienia.

Dusza Szymona rwała się w czasie tego opowiadania do stóp tej młodzieńczej postaci mistrza... Messyasza, który żył w jego marzeniach... i ciałem się stał. Z codziennego koła trosk i obowiązków pragnął się jego duch porwać do wspaniałego lotu w szersze horyzonty, w bezkres... śladami owej nadziemskiej postaci Boga-Człowieka.

Tętniła mu krew w żyłach, szamotało się serce... dławiły go łzy...

Pójść za nim... pójść!

Rachela... syn...

Gdyby odszedł... któżby ryby łowił, sieci naprawiał, do Tyberiady jeździł z towarem...

Posterunku raz uzyskanego nie wolno opuszczać samowolnie...

Więc szedł z pochyloną głową, powrotną drogą ku domowi, słuchając entuzyastycznych słów brata...

Rachela oparła swoją ciemną, drobną dłoń na jego ramieniu.. miał wrażenie, że go to dotknięcie do ziemi przykuwa, przytłacza, gnie...!

Chwilami gorąca fala krwi uderzała mu do głowy, brutalnym ruchem niechęci pragnął tę rękę usunąć ze swego ramienia, ale zaraz miękkie, ciepłe, rzewne wspomnienie dni razem przebytych sprawiało, że potężną dłoń swoją kładł na niej z pieszczotą, opiekuńczym gestem obrońcy, a w duszy powtarzał... nie zostawię cię... nie opuszczę, nie...

Dysonansem w jego zasłuchanie padły słowa Racheli, drgnął jak człowiek ze snu zbudzony.

— Spocznijcie w chłodzie winnicy, a jać chleba wynieść każę i wina i ryb usmarzę, głodnym być musisz Andrzeju. Wypogadza się... ot słońce z za chmur wygląda... jak wiatr ustanie, pojedziecie pewno na połów... prawda Szymonie?...

— Jeżeli ustanie...

Usiedli, przez młode liście winogradu przedzierało się słońce i złociste, rozigrane plamy kładło na bieli ławek i piasku podścieli, zielonawym refleksem barwiąc ich młode, zamyślone twarze...

Ucichł szelest kroków Racheli i bracia zostali sami. Promienne radosne oczy Andrzeja i pełne krwawej tęsknoty źrenice Szymona spoczęły w sobie spojrzeniem. I brat młodszy uczuł nagły żal w duszy, że starszy nie miałby z nim dzielić pobliża Zbawcy, więc zaczął niepewnie:

— Ja do ciebie... głównie po to przyszedłem, Szymonie... by zapytać, czy pójdziesz za nim — jako... uczeń jego...

Milczenie... echo słów przebrzmiało...

Szymon pochylił głowę nizko... bezmyślnie zaczął się bawić grubą, wędrowną laską Andrzeja... wyginał ją w łuk... do śniadej twarzy uderzyła krew falą i żyły na czole nabrzmiały wysiłkiem... rozległ się trzask... kij się złamał... odrzucił go Szymon... ale fizyczny wysiłek dopomógł mu do uzyskania równowagi duchowej, bo twarz jego spokojną już była i skupioną, gdy mówił:

— Gdyby mnie wezwał — poszedłbym... Bez wezwania jednak pójść nie mogę... mam obowiązki Andrzeju... żonę, syna... świekrę chorą... czekają na chleb z moich rąk... Nie jestem wolnym... ani panem siebie... a gdzie człowiekowi miejsce wyznaczył Bóg, tam trzeba trwać... dopóki wola Jego nie odwoła... — do pobladłej twarzy uderzyła łuna rumieńca. — Trzeba trwać bracie... chociażby tęsknota żarła i rwał się duch...

Podniósł się i utkwiwszy oczy w źrenicach Andrzeja pytał:

— Andrzeju... i Jan wam mówił, że to Messyasz?

— Mówiłem ci już... dwukrotnie prawił nam, że Jezus z Nazaretu jest tym, którego poprzedzał... Barankiem Bożym go zwał. A wczoraj rzekł do mnie i do Jana, gdy Jezus opodal przechodził drogą... idźcie za nim... oto Baranek Boży... Więc poszliśmy, a dobroć jego słów znalazła drogę do naszych serc... Dziś w pobliżu

jeziora będąc, odłączyłem się od nauczyciela... bo pragnąłem z tobą pomówić... bracie... Pragnąłem rzec ci, że Messyasz zstąpił pomiędzy lud izraelski i zapytać... czy poszedłbyś za nim...

— Czy poszedłbym!? — szare oczy Szymona spoglądały w dal, ku szczytom gór, tęsknotą bezmierną... — Czy poszedłbym.. pytaj orła, czy miałby ochotę lotu... ryby, czy pluska się rada... Czy poszedłbym... życie bym dał, by iść... — urwał. Dłonią szeroką po rozpalonem czole przeszedł. — Ale ty idź Andrzeju... tyś wolny... idź i służ mu wiernie... za siebie i za mnie... służ.

Cisza zaległa... tylko wiatr gwarzył w młodym winogradzie i dolatywał wzburzonych fal poszept.

Młodszy brat szczątkami kija znaki kreślił po piasku, starszy stał wpatrzony w dal, rozbłysk słoneczny drgał na jego silnych, obnażonych ramionach i karku opalonym od wichru i słońca na ton miedzi.

— Tak mi żal Szymonie — spłynęło szeptem z warg Andrzeja — tak pragnąłem... byśmy obydwaj mogli służyć Panu...

Szorstkim tonem hamowanego wzruszenia dźwięczała odpowiedź:

— Każdy z nas służyć mu będzie na inny sposób... ty u jego boku... ja pracą, zwykłą, ciężką ale zbożną... Może to tylko drogi różne, co się zbiegają u jednego celu... Andrzeju...

— Może...

I znowu padło w przestrzeń proste a silne:

— Trza trwać bracie... gdzie Bóg miejsce wyznaczył... jako ta skała nadbrzeżna obojętna na wichry, fale i słońce... trza trwać.

Szymon drgnął i odwrócił się żywo, bo na jego ramieniu spoczęła czyjaś dłoń, a pod tem dotknięciem wszystka krew zbiegła mu się do serca... dławienie schwyciło w gardle. Zdumione jego źrenice spoglądały w czyjeś oczy jak niebo błękitne, łagodne a rozkazujące, obce a znane... Chciał pytać, a brakło mu słów... ale okrzyk Andrzeja

— Rabbi!

przyniósł jego duszy tylko potwierdzenie przeczucia. Przed nim stała jasna, smukła postać Jezusa z Nazaretu, a ciemny błękit jego

ócz spoglądał uważnie w dziecięco zdumione, mądre źrenice Szymona... Nie unikały jego badawczego wzroku, nie szukały ucieczki pod osłoną powiek, szczere, otwarte, rozbłysłe szczęściem spoglądały w twarz Pana bez trwogi.

A Chrystus patrzył w nie jak w tafle czystych wód, gdzie każdy kamień na dnie widać i każdej ryby cień i na jego młodą, łagodną twarz wybiegł błysk radosnego uśmiechu, gdy mówił zwolna:

— Tyś jest Szymon syn Jonaszów... ty będziesz zwany Klefas, co się wykłada Piotr.

— Rabbi...!

A jasny głos mówił dalej łagodnie a nakazująco:

— I pójdziesz za mną Piotrze w życie ubóstwa, ofiary i wyrzeczenia...

— Pójdę Panie...

— I pójdziesz za mną w mękę...

— Pójdę Panie...

Błękitne oczy Chrystusa pobiegły w dal ku śnieżnym szczytom Hermonu, wzniosły się ku bezkresom nieba i spoczęły zmierzchłe smutkiem w płomiennych źrenicach rybaka:

— I pójdziesz za mną... w śmierć!...

Krótko, urwanie padła odpowiedź:

— Pójdę Panie!

Uśmiech opowił dziewicze usta Chrystusa, gdy chyląc jasną głowę, dorzucił:

— Zaprawdę... powiadam ci i w chwale pójdziesz za mną Piotrze...

Rybak przyklęknął i białej kraj szaty do ust przytulił gorących... w tej chwili spojrzenie jego spoczęło na domku oplecionym winogradem, wychodziła z niego właśnie Rachela z synaczkiem na rękach, za nią służebna niosła ryby, chleb i wino. Beztroskliwy uśmiech żony i dziecięcy szczebiot syna krwawym bólem szarpnęły sercem Szymona, potężnemi jego barkami bezradne wstrząsnęło łkanie... Gdzieś w głębi duszy trwożliwe zerwało się pytanie... co z nią?... co z nim?...

Cała przeszłość cicha i szczęśliwa wołała do niego w owej chwili — zostań...

A łagodne, nakazujące oczy Chrystusa wzywały... pójdź...

Dusza Szymona była jako łódź przeciwnymi szarpana wichrami... krwawy pot wystąpił na młode czoło... zacisnęły się pięści do bólu... a z piersi jęk się rwał błagalny...

— O Rabbi! Rabbi!

I oto łagodny, cichy głos odpowiedział już jego męce pociechą...

— Ten co ptaki karmi i lilie przyodziewa polne... nie opuści dziecięcia twego, ni żony... wierz mi Piotrze... Nie przyszedłem burzyć... jeno budować, nie przyszedłem rozdzielać, jeno łączyć... przekonasz się kiedyś o tem. — Smukła ręka spoczęła na pochylonej głowie rybaka. — Pokój tobie Piotrze...

I w duszy Piotra - Szymona układała się burza, a słoneczny promień wiary głębokiej rozświetlił bolem zamglone źrenice. Podniósł się z kolan:

— Gdziekolwiek każesz... pójdę za tobą Panie...

II.

Tęsknie zawodził flet, śmiał się ton dzwonków srebrzysty, gwarzyły arfy pod dziewic smukłymi palcami...

Pod przepysznem sklepieniem w kwiecie stojących jabłoni rozstawiono stoły długie, cienkiem płótnem zasłane... Krwawe refleksy rzucały smolne pochodnie na twarze biesiadników, śmiech chybotał się nad stołami, dźwięczały pieśni.

W milczeniu, z głową opartą na dłoni spoglądał Jezus z Nazaretu na siedzącą tuż obok niego młodą parę. Złoty błysk pochodni igrał z kruczymi włosami dziewczyny, z jej szatą białą... Drżała... długie rzęsy rzucały cienie rozedrgane na morelowy koloryt jej lic, to bladła, to płonęła słuchając szeptu siedzącego obok oblubieńca... jego silne dłonie więziły jej rękę w uścisku.

Przez gwar muzyki dobiegały słowa:

— Rut... szczęsny jestem, a dusza moja płonie... oto już nie długo, a w małym, ustronnym domku moim panią będziesz... Niewiastą moją jedyną... szczęściem, kochaniem... Biedny jestem.. nie do pałacy cię wiodę, nie do zabaw, nie do rozkoszy... w co-

dzienny żywot pracy jedynię... Ale Rut, w lepiance mojej zamieszkasz ty, miłość, ufność w Boga a więc i szczęście... prawdziwe szczęście Rut.

Uśmiechnęła się do niego koralem młodych warg, chyląc nad stołem zarumienioną twarzyczkę:

— Rut... i oto moją już jesteś... moją na zawsze... Gdym po błogosławieństwie raz pierwszy dotknął twoich ust, zdało mi się, że białą duszę twoją całuję dziewczyno... że świętości jakiejś dotykam wargami... gołąbko ty moja śnieżna... A ty... ty... jestżeś i ty szczęśliwą kochanie?...

— Tak... ale — urwała i dokończyła w płomieniach cała — ale i taki lęk mam w duszy.

— Dlaczego Rut?...

— Wiesz to takie dziwne... tak tęskniłam do tej chwili, gdy nazwiesz mnie swoją... a tak... tak się boję teraz...

— Mnie Rut...?

— Tego, co życie przyniesie...

— Dziecino... będę przy tobie zawsze opieką, obroną... Kocham cię Rut. O gdybyś wiedziała, jak wdzięczny jestem ojcu twemu, czcić go będę jak syn najlepszy, bo wiem, że mógł był znaleźć bogatszego męża dla ciebie odemnie... wiem, że ulitował się naszemi duszami młodemi, co się od dzieciństwa kochały wzajemnie. Nie dla bogactw mnie bierzesz... bom biedny... nie mam ni stad rozlicznych, ni winnic obfitych... jeno duszę, co twoją ukochała, Rut... wiarę w Boga miłosiernego i chętnych, silnych ramion dwoje z jego łaski.

Zgłuszył dźwięk pieśni weselnej, miłosnych słów szept i Chrystus widział tylko pochyloną, ciemną głowę młodzieńca i dzieweczkę spłonioną, ufną a drżącą, słuchającą jego słów z przymkniętemi, łzawemi oczyma, i śmiejącemi ustami.

Kwiaty na łące lgną do siebie kielichami, całują ziemię słoneczne promienie... i tych dwoje ..

Raz pierwszy zabiegła drogę Pana miłość ludzka tak czysta i piękna, przeznaczenia nieświadoma i wywołała uśmiech na twarz zamyśloną.

Uosobieniem wiosny, władającej do koła, wydały mu się te

dwie przytulone do siebie postacie na tle kwieciem przeciążonych jabłoni. Ufność była w źrenicach kobiety, świadoma siebie siła w postaci młodzieńca, dopełniali się wzajemnie, tworząc przedziwnie piękną grupę.

Miłość ludzka... wszak błogosławił jej Ojciec, tworząc mężczyznę i kobietę przed wiekami.

Zadumał się Jezus z Nazaretu... powiew wietrzyka niósł balsamiczne tchnienia kwitnących drzew, traw rosą srebrzystych.. natura, zda się cała, oddychała radością i w jego najbliższem kole jeno radość była... Wesoły nastrój rozbawionych dzieci panował przy stole... miłość święciła tu swoje święto... śmiały się oczy, usta, śmiały flety, arfy i dzwonki... i nawet wiatr się śmiał w śniegiem kwiecia osypanych gałęziach.

Potężne, młode, bujne a czyste życie tryumfowało nad śmiercią, zakładając rodzinę...

Nagle na ramieniu Pana spoczęła ręka jego matki z dobrym, zatroskanym uśmiechem, chyliła się ku niemu jej twarz, lilii więdnącej podobna:

— Synu wina nie mają...

Uśmiechnął się, a ona powtórzyła miękko, błagalnie a ufnie:

— Wina nie mają... biedacy..

Więc podniósł się od stołu, z miłością bezmierną przygarnął ją do siebie, a żartobliwy ton dawno minionych dziecięcych lat był w jego głosie, gdy mówił:

— Co ja mam z tobą niewiasto!... Godzina moja jeszcze nie przyszła.

A na jej wrażliwej twarzy zaraz odbił się smutek.

— Widzisz najmilszy... tacy są radośni, a wina mało... ostatek na stół już poszedł. Natanael biedny jest, nie zbyt chętnie ojciec Rut oddawał mu swoje dzieci... a gdyby już teraz dojrzał brak... Widzisz u ludzi czasem drobiazg przepaści tworzy... i dlatego chciałam cię prosić... niech im nic nie zakłóci piękna dnia dzisiejszego... Jezusie...

Wzniosła ku niemu źrenice wilgotne i uśmiechnęła się radośnie, bo skinął jej głową z łagodnym ,dobrym uśmiechem:

— Wszelka czysta miłość z nieba jest rodem... błogosławił jej Ojciec... i ja... błogosławię.

Przystanął i spojrzał na młodą parę... znał ich oboje dziećmi jeszcze... Rut tajemnice swego młodego serca zwierzyła jego matce, u niej szukając rady i obrony, gdy ojciec zwyczajem przyjętym w Izraelu szukać dla niej zaczął męża zamożnego. W dziecięcych latach bawiła się z synem ubogiego sąsiada, a miłość dzieci przetrwała w ich sercach i w kwiat się rozwinęła, gdy dorośli. I Marya litościwie przygarnęła te dwie dusze rozkochane, bo czyste były i piękne i jej to prośbie uległ ojciec stary, oddając Rut Natanaelowi. A teraz taka była ich młodem szczęściem szczęśliwa...

Nie... nic nie powinno zakłócić piękna dzisiejszego dnia ni im... ni tobie. — myślał z rozrzewnieniem, spoglądając na jej twarz radosną.

Szedł więc w głąb ogrodu aż do cichego domku ocienionego potężną plątaniną oliwnych drzew... Zdaleka biegł za niemi ton pieśni radosnych, śmiechu rozedrgana, fala a przez gąszcz gałęzi przedzierała się purpurowa poświata smolnych pochodni i złoty błysk oliwnych lamp.

W sieni domu stały stągwie kamienne, po trzy wiadra mieszczące i puste z wina dzbany. Na drewnianej ławie u wnijścia siedziała zafrasowana matka Natanaela, spracowane jej dłonie spoczywały na szerokim gospodarskim fartuchu bezradnym, wielomównym ruchem, w kątach młodych jeszcze ust taiło się znużenie głębokie, a smutek był w źrenicach, gdy ujrzawszy Maryą i jej syna mówiła jękliwie:

— Oto zabrakło wina... ostatni dzban ponieśli ku stołowi a północ jeszcze daleko... Całe życie tak zbierałam, tak pracowałam, a tu nawet dzisiaj brak... nawet dzisiaj...

W oczach jej mignęły łzy, a Marya położyła rękę na jej ramieniu ruchem pełnym litości... wiedziała przecie, że ten brak nie był winą niegospodarności Sary... źródło jego leżało w tem, że od progu matki Natanaela nigdy biedny nie odszedł bez daru, a oprócz dziesięciny, przynależnej świątyni, litościwe jej serce dobrowolnie biedniejszym oddawało część plonu.

— Nie martw się Saro... każ jeno, by uczyniono, cokolwiek syn mój nakaże, a nie będzie braku...

Klasnęła w dłonie, z cienia sieni wyłoniły się dwie sylwetki młodych, rosłych niewolników.

Chrystus na stągwie próżne spojrzał i opierając dłoń na ich kamiennym brzegu, nakazał je wodą napełnić aż po wierzch.

Zniknął uśmiech z jego młodzieńczej twarzy... wysoki, smukły, spoglądał w cichą, gwiazdami rozświeconą, wiosenną noc i modlił się... modlił bez słów... błogosławił czystej miłości człowieka, misteriom tworzenia, odwiecznym prawom natury...

Z uśmiechem ufności pełnym spoglądała na noszących wodę pachołków Marya, z podziwem Sara.

Napełniła przejrzysta woda stągwie kamienne, a w jej gładkiem zwierciedle odbiła się jasna sylwetka modlącego się Chrystusa... wizyą promienną.

I woda, w którą spojrzał Jezus, zamieniła się w wino... jak miłość, której błogosławi, w dobro się zmienia dla człowieka. Błogosławieństwo Jego oczyszczało ludzkie miłowanie z grzechu, wznosiło znowu z pyłu ziemi w bezkres nieba, skąd pochodziło...

Zwrócił do służby bladą, pogodną twarz i mówił zwolna:

— Czerpajcież teraz, a zanieście przełożonemu wesela.

— Winoć jest barwy jak bursztyn przejrzysty... — wyrwał się okrzyk zdumienia z ust sługi, gdy w dzban ze stągwi nabierał.

— Wino!...

Dwie kobiety przytuliły się do siebie, płacząc z radości, a Pan przeszedł obok... Jego jasna dłoń wzniosła się nad ich głowami... po młodych ustach przesunął się radosny półuśmiech i znikł w cichej, kwiecia pełnej alei... w wiosennej nocy mroku tajemniczym..

Syn szedł Ojcu dziękować za wysłuchanie prośby.

A z przeciwnej strony ogrodu nadchodził właśnie przełożony wesela, bo go wywołano dla owego braku wina. Zabiegł mu drogę sługa z czarą napełnioną i mówił zdyszany od biegu:

— Oto tego wina sześć stągwi mamy jeszcze, panie... skosztujcie.

Na posępną, niezadowoloną twarz starca wybiegł wyraz przyjemnego zdziwienia, gdy go wina zaleciał aromat... powąchał... oczy przymknął... skosztował, a potem słychać już było tylko równe gulgotanie gardła przełykającego z uznaniem... Sługa patrzył z podziwem, jak się zmniejszała zawartość czary...

— Smakuje wam panie?...

— Nalej jeszcze... — starzec był prędkim z natury, więc wrócił do stołu i szedł ku Natanaelowi z czarą w ręce i gniewnym marsem na czole:

— Strasznie niedoświadczonym jesteś Natanaelu! Każdy człowiek pierwej dawa wino dobre, a gdy sobie podpiją, tedy podlejsze, a tyś dobre wino zachował aż do tego czasu.

I podsunął ku panu młodemu pełną czarę, wyraz szczerego zdumienia opowił smagłą twarz oblubieńca, gdy wina spróbował:

— Nie z mojej ono pochodzi winnicy... — i do sługi się zwrócił: — Skąd to wino mamy Filipie?

— To nie wino... to woda panie, sam ją czerpałem ze studni, sam lałem do stągwi, a Jezus z Nazaretu kazał jej w dzban zaczerpnąć i przynieść przełożonemu wesela.

— Innemu o twojej wodzie mów — oburzył się starzec — na winie się znam, przez sześćdziesiąt lat różne gatunki pijałem, nawet wino z Karmelu z winnic Heroda z tem nie może pójść w porównanie... przednie jest... a ten mi będzie plótł, że to woda ze studni, z której czerpie cała gmina... Wino jest!

— A przecie sam nosiłem je ze studni... panie!

Z podziwem tłoczyli się dokoła goście, ale oto z ciemni ogrodu wyłoniły się dwie postacie niewieście, a Sara promienna radością wołała wśród łkań:

— Natanaelu! Natanaelu... w naszej nędznej chacie pierwszy się cud stał Chrystusowy... Natanaelu... błogosławi miłości waszej Bóg!... Oto wam Chrystus wodę zamienił w wino.

Rąbkiem fartucha ocierała łzy płynące po twarzy, a Natanael przypadł do kolan stojącej poza nią Maryi i mówił szeptem urywanym, dziękczynienia pełnym:

— Maryo! Maryo... to ty prosiłaś za nami i za miłością naszą.

A ona uśmiechała się, chyląc swoją słodką, lilii więdnącej podobną twarz nad schyloną kornie głową młodzieńca:

— Natanaelu.... prosiła za wami czystość waszych własnych serc...

Z oddali spoglądał Jezus na radość panującą w Natanaelowym domu...

Cicho szeptał wiatr w gałęziach kwitnących drzew, kwiliły arfy tęskniące i fletów wabny głos...

Wiły się światła wśród ciemnych ścieżyn ogrodu... to Rut z dziewicami szła czekać na oblubieńca swego, jak kazywało prawo... biel jej welonu rozwiewał wiatr... chybotał płomieniami oliwnych lamp... szła spełniać powołanie swoje ta smukła, drżąca dziewica. A wokół stołu widział Pan radosne uczni swoich twarze i matki promienną postać i wznosząc oczy ku cichej tajemnicy gwiazd, prosił:

— Zachowaj w ich duszach tę czystą, tę dziecięcą radość... Ojcze mój!...

Marya Czeska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Masonerya, jej istota zasady, dążności, początki, rozwój, organizacya, ceremoniał i działanie. Według pewnych, przeważnie masońskich źródeł napisał Dr. J. Sebastyan Pelczar, arcybiskup przemyski o-ł. Wyd. III. przejrzane i znacznie rozszerzone z 9 rycinami. Lwów, Druk. Chęcińskiego 1914. Nakł. Autora.

Nie wielu mamy takich pisarzy, autorów poważnej, naukowej literatury, którzyby się troszczyć musieli o coraz to nowe wydania swych dzieł, szczęśliwi, iż puścili w świat książkę, odpoczywają bez myśli nawet, żeby kiedykolwiek po raz wtóry miała ona na światło dzienne wychodzić.

Wyjątkiem pod tym względem nazwaćby można to wszystko, co wyjdzie z pod pióra ks. Biskupa Pelczara, Najdostojniejszego Jubilata. Przeglądając katalogi bibliotek, widać, że pod każdą pozycyą figuruje kilka zawsze wydań: Czy weźmiemy do ręki „*Prawo małżeńskie katolickie z uwzględnieniem prawa cywilnego*," w trzech tomach, (wydanie pierwsze 1890 r., drugie już w ośm lat później), czy „*Medycynę pasterską*" wydań dwa, „*Życie duchowne*" wydań cztery, „*Pius IX i jego pontyfikat*" wydań dwa, „*Masonerya*" wydań trzy! Pomijając już inne rzeczy przedewszystkiem z zakresu kaznodziejstwa, które razem zebrane piękną bibliotekę stworzyćby mogły ale choćby tylko te, dopiero co wymienione dzieła, wskazują swemi licznemi a częstemi wydaniami, że są czytane, i to bardzo, a tem-

samem spełniają one misyę naukowo-apostolską tam, gdzie żywe słowo zwykło nie dochodzić.

Obecnie trzecie wydanie „*Masoneryi*" (w ciągu pięciu lat trzy wydania) jest tylko stwierdzeniem słów.

W dziele tem, na podstawie źródeł masońskich, stwierdza Dostojny Autor, że trudną bardzo rzeczą jest człowiekowi prywatnemu poznać właściwie dążności masoneryi, wobec sekretów, jakimi się otacza, wobec tendencyjnego wprowadzania ludzi w błąd, swą humanitarną działalnością: ale ze źródeł masońskich wynika, że „walka między katolicyzmem i masoneryą, jest walką na śmierć bez wytchnienia i pardonu," (str. 11.) i że wszystkie stowarzyszenia masoneryi. dążą do zagłady uczuć religijnych i do wprowadzenia planów najbardziej zbrodniczych (str. 12). Te przewrotne ich dążności pod względem społecznym i moralnym i politycznym przedstawione są w rozdz. II. III. IV. V. Następnie wskazawszy na stosunek Stolicy Apost. do masoneryi, t. j., że Kościół musiał potępić to stowarzyszenie jako antyreligijne (str. 73—79), podaje nam dzieje masoneryi i bardzo interesujące opisy jej organizacyi oraz przyjęcia. W rozdz. XV. widać, jak przez systematyczne wychowanie swych uczniów i adeptów zmierza tylko do tego, by ich zrobić wrogami Kościoła.

Wykazawszy te cele przewrotne masoneryi, dochodzi teraz Dostojny Autor do ich stwierdzenia faktami na podstawie historyi: przechodzi kolejno działanie masoneryi we wszystkich krajach i wykazuje, że wszystkie te walki i prześladowania Kościoła od najdawniejszych aż do obecnych w Ameryce poł. czy w romańskich krajach europejskich, to dzieło masoneryi. (rozdz. XVI.—XXX.).

Nader praktycznym jest rozdział XXXII. „Jak paraliżować działanie masoneryi". Trwoga przejmuje każdego o przyszłe losy nasze, jeśli po przeczytaniu książki zwraca uwagę na to, co już masonerya dopięła: pociechą niemałą a praktyczną są słowa „każdy ma spełniać wiernie wszystkie obowązki czy religijne czy rodzinne czy polityczne" (str. 362): popieranie związków katolickich, urabianie opinii przez prasę katolicką, wychowanie młodzieży, oto najlepsze środki do walki z masoneryą.

W dodatku mamy obrazy wzięte z życia masoneryi. Są one bardzo ciekawe — ale miałyby wartość większą, przynajmniej niektóre, gdyby były fotografiami oryginałów: przecież wiele odznak takich posiadają nasze muzea: inne tablice są bardzo cennemi o tyle, że wzięte z rękopisów, dotąd zupełnie nieznanych.

„Są u nas ludzie nawet poważni, którzy wszelką wzmiankę o zgubnem działaniu masoneryi przyjmują z niedowierzaniem, jakby jakąś opowieść o strachach", mówił Najdost. Autor w przedmowie do pierwszego wydania. Ktokolwiekby czytał tak poważne dzieło, jak Ks. Biskupa Pelczara, ten nabędzie dobrego sądu o szkodliwości tego stowarzyszenia, a jego zapatrywania naukowe i religijne olbrzymią z tego korzyść odniosą. Jeśli jaka tedy książka, to zaiste ta, nietylko powinna się znaleźć w każdej czytelni Sodalicyjnej, czy Szkoły Ludowej, ale każdy inteligentny człowiek powinien ją przeczytać, przestudyować, czy dla własnego wykształcenia, czy dla odczytów i pogadanek.

Ks. K. Konopka.

Z wielkopolskiej niwy powieściowej.

Z wielkopolskich firm nakładowych wysuwa się na czoło drukarnia i księgarnia św. Wojciecha zarówno co do ilości, jak i jakości wydawnictw. Mamy przed sobą katalogi tej firmy za lata 1909 — 1913; są one najwymowniejszą illustracyą ruchliwości nakładcy.

Praca wydawnicza na gruncie zaboru pruskiego musi rozwijać się po innej linii, aniżeli w innych dzielnicach Polski porozbiorowej. Społeczeństwo wielkopolskie, organizując się przedewszystkiem ekonomicznie i na tej głównie drodze broniąc swojego bytu przed naporem zaborczego rządu — ma mniejszą skalę wymagań w dziedzinie czystego piękna. Potrzebuje przedewszystkiem tęgich i wyrobionych pracowników społecznych, oświatowych, organizatorów i propagatorów współdzielczości — a zwłaszcza silnie w duchu katolickim umocnionych działaczy ludowych. Kto kiedykolwiek miał sposobność znaleźć się na froncie tej bezpardonowej walki, jaka toczy się dookoła gnieźnieńskiej katedry, ten pojmie i zrozumie odrazu, że tło tej walki w szerokich masach ma przedewszystkiem charakter wyznaniowy i że samoobrona narodowa utożsamia się tu całkowicie z samoobroną katolicyzmu wobec wysoko podniesionej fali zaciekłości protestanckiej. Spróbujcie chłopu wielkopolskiemu odebrać jego przywiązanie do katolickiego kościoła — a znajdzie się on odrazu w obozie wroga.

Wobec szeroko rozpowszechnionego czytelnictwa w masach wielkopolskich, odgrywa słowo pisane (zwłaszcza przy istnieniu różnych paragrafów kagańcowych) rolę pierwszorzędną, dostojną, ale zarazem

trudną i odpowiedzialną. Ma ono umacniać jednostki w duchu polskim i katolickim oraz przyczyniać się do podniesienia ich ekonomicznej sprawności. To musi być idea naczelna każdego pisarza i wydawcy, który chce działać nad Gopłem i Wartą.

Zasady tej tem bardziej winna trzymać się firma, działająca pod wezwaniem św. Wojciecha, szczególniejszego opiekna Wielkopolskiej ziemi, która kryje śmiertelne szczątki wielkiego Apostoła Słowian; patronat ten dorasta w dniu dzisiejszym do wielkości głębokiego symbolu, jest hasłem, które spaja szeregi i umacnia obronne placówki.

Jakoż przeglądając katalogi poznańskiej księgarni, widzimy istotnie, że owej linii wytycznej z oka nie spuszczano. Niektóre nazwiska mówią same za siebie: Likowski, Wawrzyniak, Surzyński, Kantak, Zimmermann oraz inni (między nimi wybitny znawca polskiego ruchu reformacyjnego, ks. Miaskowski) — to wszystko imiona dobrze zasłużone dla sprawy polskiej, pisarze katoliccy o szerszem rozumieniu znamion bieżącego życia społecznego w różnych jego przejawach.

Taką samą tendencyę posiadają wydawnictwa peryodyczne, któremi księgarnia św. Wojciecha słusznie może się chlubić. Na poziomie poważnego organu ekonomicznego stoi „Ruch chrześcijańsko-społeczny" — natomiast dla szerszych mas przeznaczone są wydawane w zeszytach „Głosy na czasie" i „Odczyty i broszury popularne dla Tow. polskich". Obie publikacye tworzą już małą biblioteczkę — przytem podzieliły one pomiędzy siebie pracę w ten sposób, że „Głosy na czasie" popularyzują rozumienie idei katolickich, zaś „Odczyty i broszury popularne" przynoszą niezmiernie różnorodne i bogate pouczenie, dotyczące całokształtu społecznego życia.

W ostatnich czasach zajęto się wydawnictwami powieściowemi, które dotąd były traktowane po macoszemu. Świadczy to bądź co bądź o pewnej jednostronności, którą w życiu umysłowem dzielnicy wielkopolskiej już nieraz stwierdzono, przypominając owe czasy z połowy ubiegłego stulecia, kiedy to Ks. Poznańskie szło na czele rozwoju umysłowego Polski. Dziś można z radością zauważyć, że w Wielkopolsce zaczynają odżywać tradycye Cieszkowskich, Libeltów i Berwińskich, rozpoczyna ożywiać się ruch na polu naukowem w łonie poznańskiego Tow. Przyj. Nauk. (zwłaszcza na wydziale przyrodniczo-lekarskim), budzą się aspiracye literacko-artystyczne (przypomnijmy młode Tow. Przyj. Sztuk pięknych w Poznaniu); wszystko to ma znamiona zdrowej reakcyi przeciwko owej wyłączności pracy społeczno-ekonomicznej. Ta w zaborze pruskim nigdy zapewne nie zatraci zasa-

dniczego znaczenia samoobrony narodowej, jednakże powinno znaleźć się obok niej miejsce na rozwój innych duchowych potrzeb w społeczeństwie, które powinno rozwijać się normalnie we wszystkich kierunkach.

Wydawnictwa powieściowe wielkopolskie, które poczynają mnożyć się w czasach ostatnich, uważamy też za dodatni objaw rozbudzonej tendencyi do wypełnienia luki w całokształcie duchowego życia ziemi Wielkopolskiej. Z tem większą uwagą należy śledzić jakość tych wydawnictw, które firma św. Wojciecha podjęła.

Bez zastrzeżeń poczytać za zasługę należy przyswojenie mowie polskiej — po raz pierwszy, o ile wiemy — dzieł Jana Joergensena, wybitnego pisarza duńskiego, który przeszedł na łono kościoła katolickiego (podobnie jak Huysmans i inni przedstawiciele „młodej Francyi") a to przejście, jego antecedencye, cały głęboki przewrót duchowy, który dokonać się musiał na drodze od protestantyzmu do katolicyzmu — opisał gorącem i barwnem słowem w szeregu dzieł autokonfesyjnych.

Kłamstwo życia — niewielka książeczka (str. 63) — pojawiła się w oryginale w 1895 i ponoś w pierwszem półroczu doczekała się aż pięciu wydań. Dziełko może być postawione obok najgłośniejszych wyznań w literaturze powszechnej: bije zeń bezpośredniość uczucia i żar ukochania idei 29-letniego autora, który swój prozelityzm wyraża w krótkich a silnych zdaniach aforystycznych, brzmiących tonem pobudki. „*In excelsis*" — rzecz znacznie obszerniejsza (str. 218), odsłania nam tę drogę, na której poeta doszedł do stanowczego rozeznania pomiędzy kłamstwem a prawdą życia. Św. Franciszek z Assyżu i trzy jego świątobliwe uczenice — wskazały poecie drogę ku wysokościom. Z prostotą i głębokiem przejęciem przedstawia Joergensen dzieje żywota Anieli z Foligno, Małgorzaty z Kortony i Kamili Batysty Varani — które z nędzy grzechu doszły ku szczytom duchowej doskonałości. Są jakieś analogie — Joergensen pozwala się domyślać — pomiędzy jego nawróceniem a życiem tych świętych Franciszkanek. I autor ma w swojej przeszłości taki ciemny okres niewiary — do 18-go roku życia — którego wstydzi się i o którym chciałby zapomnąć. Właśnie podróż do Włoch a zwłaszcza dłuższy pobyt w Assyżu wywołał ten głęboki w duszy autora zwrot ku „wysokościom". Z tego względu dzieło p. t. *Z drogi* jest ze wszystkich trzech spolszczonych utworów Joergensena bodaj najciekawsze; tu bowiem, poprzez barwną wiązankę wrażeń z podróży, poprzez opisy pomników średniowiecznej sztuki

katolickiej Niemiec, Szwajcaryi i Włoch — śledzimy „na gorąco", z bezpośredniej niejako odległości kolejne fazy tego głębokiego procesu, który rozwija się na drogach duszy poety. Mimo wielu zasadniczych różnic — dzieło Joergensena przypomina w ogólnem ujęciu Chateaubrianda „*Génie du Christianisme*": architektura gotycka, rzeźba i malarstwo kościelne, urok wnętrza średniowiecznych tumów i eremów, majestatyczne piękno kościelnych obrzędów — to wszystko zatem, na czem na progu XIX stulecia oparł Chateaubriand swoją apologię chrześcijaństwa — to samo zniewala poetycką duszę Joergensena, pobudza do autoanalizy i sprawia, że „po raz pierwszy pojął, iż niewiara jego to nie owoc rozumu, ale zachwaszczony plon uczucia i woli".

Kłamstwo życia i *Z drogi*, przełożył p. M. Wolański, *In excelsis* ks. Ign. Geppert. Żałować należy, że nie są to tłumaczenia z pierwszej ręki, ale za pośrednictwem niemieckiem. Joergensen wart jest tego, ażeby zasadniczo obowiązujący dziś tłumaczów warunek: czerpanie z oryginału — był wypełniony. *Kłamstwo życia* poprzedził tłumacz przedmową, w której podał zarys bio- i bibliograficzny duńskiego pisarza; coby jednak miał oznaczać „kierunek egoistyczny"(?) w młodzieńczych pracach Joergensera — jak określa tłumacz — trudno zrozumieć. Polszczyzna wszystkich trzech przekładów nie jest bez zarzutu.

Dzieła Joergensena wydała księgarnia św. Wojciecha (z datą bieżącego roku) bardzo starannie, zdobiąc je portretem autora i licznemi illustracyami w tekście.

* * *

Utwory duńskiego konwertyty mogą być tylko częściowo zaliczone do wydawnictw powieściowych. Te w całej pełni reprezentują w nakładach firmy św. Wojciecha dwa głośne nazwiska: Karola Dickensa i Henryka Conscience'a. Obie publikacye, zamierzone jako „wybór dzieł", pojawiają się kolejno w poszczególnych tomach. Powieści angielskiego pisarza wychodzą pod wytrawną rekakcyą Antoniego Mazanowskiego. Dotąd wydano tomów siedm, przynoszących następujące utwory: „*Świerszcz za kominem*" „*Dombey i Syn*" (w trzech tomach; polszczenie na „Dombi" nie sądzimy, ażeby było właściwe), „*Walka życia*" „*Wielkie nadzieje*" i „*Pustkowie*"; w ręku mamy trzy pierwsze powieści.

Podjęcie tego rodzaju publikacyi uważamy ze wszech miar za godne uznania. Powieść angielska, od której wszakżeż datują się początki współczesnego romansu, jest zbyt mało u nas znana skutkiem

przemożnego a w rezultatach niezawsze dodatniego działania francuskiego belletru. Dickensa, godnego spadkobiercę tradycyi Richardsona, Goldsmitha i Fieldinga, znakomitego współzawodnika Thackeray'a — zna dzisiejsza generacya naogół słabo i to głównie jako wesołego autora „*Klubu Pickwicka*" (w lichem tłumaczeniu polskiem). Znakomita zdolność charakterystyki autora „*Ddawida Gopperfielda*" jego zdrowy realizm, zręcznie zaznaczona tendencya umoralniająca, pogodny humor a zwłaszcza ów górujący w powieściach Dickensa a tak rzadki dzisiaj ton optymizmu, oparty na głębokiej wierze w zwycięstwo dobra — to wszystko kwalifikuje tego pisarza na stanowisku instruktora szerszych mas, dla których lektura „*Walki życia*" może stać się i miłą i uszlachetniającą rozrywką. Dobrem wprowadzeniem do niej będą krótkie, objaśniające wstępy redaktora wydawnictwa, zwłaszcza zarys bio- i bibliograficzny, poprzedzający tom pierwszy; nadto podniecą uwagę illustracye, które — co prawda — mogłyby lepiej wyglądać.

Całe wydawnictwo jest pomyślane — bardzo słusznie i właściwie — jako publikacya, przeznaczona dla sfer najszerszych. Oby potrafiło skutecznie przeciwdziałać tej zatruwającej atmosferze senzacyjnych romansów, która stała się prawdziwą klęską dnia dzisiejszego.

* * *

Jako pierwszy tomik zamierzonej publikacyi wyboru dzieł Henryka Conscience'a w przekładzie polskim — pojawia się staraniem tejże samej księgarni wydawniczej św. Wojciecha tłumaczenie powiastki o „*Ubogim szlachcicu*". Conscience, pierwszy głośny w Europie pisarz flamandzki, posiada dziś bodaj że wyłącznie znaczenie historyczne. Pod wpływem rozbudzonych w epoce romantyzmu indywidualizmów narodowościowych Conscience porzuca język francuski i stara się wyzwolić z pod wpływów francuskiej myśli, czerpiąc z przeszłości ojczystej i życia ludowego.

W ten sposób staje się właściwym twórcą literatury flamandzkiej, pozostawiając po sobie bogatą ilościowo kolekcyę romansów.

Z niej należy wybierać ostrożnie. Można śmiało pominąć szereg utworów, pisanych na wzór Walter Skotta, jakich na tuziny liczy ówczesna belletrystyka europejska. Jedynie - zdaniem naszem — obrazki obyczajowe Consciencea z życia ludu flamandzkiego zasługują na przekład. One objaśnić mogą tę historyczną rolę, jaką autor odegrał dla ojczy-

stego kraju, one posiadają i dla czytelnika obcego pewien pouczający urok lokalnego kolorytu, który i dziś jeszcze nie stracił świeżości.

Zresztą zaś produkcya belletrystyczna Conscience'a nie potrafi sprostać dzisiejszym wymaganiom artystycznym. Dziś, poza kołem fachowych historyków literatury, nikt nie czyta romansów Walter Skotta — trudnoć żądać, ażeby lektura licznych jego uczniów i naśladowców obudziła interes. W żadnej też dziedzinie literatury pięknej nie podniosła się i nie skomplikowała skala wymagań do tego stopnia, co na polu powieścio-pisarstwa.

Z tego stanowiska na rzecz patrząc, nie możemy uznać za trafne i właściwe rozpoczęcie wyboru dzieł Conscience'a od przekładu „*Ubogiego szlachcica*". Kogoż potrafi dzisiaj wzruszyć melodramatyczna historya o zubożałym, ale dumnym ze swojego rodowego klejnotu arystokracie i jego bardzo zresztą sympatycznej jedynaczce, która w końcu wychodzi za mąż za bogatego młodzieńca, wybawiając z nędzy i poniżenia siebie i ojca? Sentyment tej fabudy jest już dzisiaj zbyt nikły i zbyt pospolity. ażeby mógł znaleść drogę do serca czytelnika' który przywykł do daleko silniejszych i głębszych tonów.

Jeżeli zaś idzie o szersze koło czytelników, to i dydaktyczna strona noweli Conscience'a posiada bardzo względne znaczenie. Wielkopolski gospodarz czy rzemieślnik nie znajdzie żadnej analogii pomiędzy sobą a „*Ubogim szlachcicem*" — i choćby potrafił go wzruszyć los bohatera, z pewnością nie potrafi go niczego nauczyć.

* * *

Wszystkie omówione wydawnictwa powieściowe księgarni św. Wojciecha, któremi pospieszyła ona w ostatnim roku wypełnić dotkliwą lukę w swoich katalogach — nie schodzą na ogół z owej wytycznej linii, którą zaznaczyliśmy u wstępu; niezupełnie może udały wybór z utworów Conscience'a, jako pierwszy tomik zamierzonego wydawnictwa innych tego pisarza opowiadań, wynagrodzą—miejmy nadzieję—dalsze tomy tej publikacyi.

Ale obok tych trzech nazwisk obcych: Joergensena, Dickensa i Conscience'a — z których każde reprezentuje odmienny typ umysłowości — pojawiły się w bieżącym roku w tymże nakładzie także próby powieści swojskiej, a to: Eugenii Żmijewskiej „*Dwa spotkania*" oraz Stanisława Korabicza dwutomowa powieść p. t. „Kiry i wawrzyny".

Żmijewska posiada wyrobioną markę na targu literackim. Ogło-

szony obecnie zbiór nowel zawiera oprócz opowiadania tytułowego jeszcze dwa inne: „*Skończone*“ i „*Dozwolili*“. Poświęciła go autorka pamięci Orzeszkowej, z którą łączyły ją stosunki zażyłej przyjaźni. Nadto pierwsza, najobszerniejsza nowela: „*Dwa spotkania*“ opiera się — jak widzimy z przedmowy — na ustnej opowieści znakomitej autorki „*Nad Niemnem*“, którą pozostawiła przyjaciółce z zachętą do literackiego opracowania. Już to samo zaleca opowiadanie, którego pomysł jest pogrobowem dziełem wielkiej pisarki. Czytamy też tę smutną opowieść na tle likwidacyi powstania styczniowego i z uczuciem pewnego rozrzewnienia i z dużem zainteresowaniem, które obudza pewną ręką prowadzony tok opowiadania, pełen miękiego, iście kobiecego liryzmu oraz trafnego scharakteryzowania tej prawdziwie rosyjskiej psychologii, która od uniesień młodzieńczego liberalizmu tak często prowadzi do skrajnie czynowniczej reakcyjności.

Również na tle stosunków polsko-rosyjskich w dobie popowstaniowej rozgrywa się akcya dwóch innych nowel Żmijewskiej, ogłoszonych w omawianym zbiorku. „*Skończone*“ stwarza tragiczną postać jednego z niedobitków ostatniej z Rosyą wojny, „*Dozwolili*“ daje doskonały rysunek rosyjskiego cenzora, ożenionego z Polką, który wobec faktu zniesienia cenzury prewencyjnej i zaprowadzenia swobód konstytucyjnych znalazł się w sytuacyi, z którą nie wie, jak ma sobie poradzić.

* * *

Dwutomowa powieść Korabicza (zapewne pseudonim) p. t. „*Kiry i wawrzyny*“ jest opowiadaniem historycznem na tle epoki ks. Józefa. Autor posiada niewątpliwy talent, który jednak nie zdołał jeszcze dojrzeć. Obszerna koncepcya powieści historycznej na tle wojen napoleońskich przerasta jeszcze siły młodego (jak sądzę) pisarza, zwłaszcza, że nasuwa się przy lekturze „*Kirów*“ wiele niebezpiecznych dla niego porównań z innemi powieściami historycznemi na tle tej epoki. Postać bohatera z pod Raszyna rysuje się blado, w obrazach batalistycznych brak szerszego rozmachu, akcyi prowadzonej na wielkich obszarach europejskiego kontygentu brak koniecznej a trudnej do osiągnięcia spójności.

Godnym uwagi jest pomysł wprowadzenia, jako czynnika w akcyi, tajemnych działań masoneryi, zajmujące opisy jej obrzędów oraz zaznaczenie rozłamu pomiędzy internacyonalną tendencyą wolnumalar-

skiego ruchu a ówczesnemi potrzebami narodu polskiego; ten rozłam, jak się zdaje, i w dniu dzisiejszym istnieje bez zmiany.

Mamy nadzieję, że autor „*Kirów*", zakreśliwszy sobie skromniejsze pole powieściowej koncepcyi, potrafi osiągnąć pełniejszy sukces artystyczny, aniżeli ten, do jakiego doszedł w swojej próbie napoleońskiej powieści. Na razie udowodnił, że posiada zdolność niewątpliwą, która przy odpowiednich warunkach powinna rozwinąć się i dojrzeć na pożytek polskiego piśmiennictwa.

* * *

Znacznie poniżej tego poziomu artystycznego, na którym stoją nowele Żmijewskiej — pomieścić trzeba obszerną dwutomową powieść „wielkopolską" hr. Platera (wydaną własnym nakładem) p. t. „*Wina Kadory*". Tragiczne zapasy wielkopolskiej dzielnicy z okrutnym, brutalnym i bezlitosnym najazdem pruskim, dostarczają materyału, z którego tylko bardzo silna i pewna dłoń twórcza umiałaby stworzyć posąg z jednej bryły.

Autor „*Winy Kadory*" do tego trudnego zadania żadną miarą nie dorasta. Jego „powieść wielkopolska z pierwszego dziesiątka XX. wieku" ogranicza się do sfery ziemiańskiej, pomijając inne czynniki społeczne, które w walce zagrożonej dzielnicy pierwszorzędną odgrywają rolę. Fabuła opowiadania opiera się na dwóch równolegle rozwiniętych głównych wątkach: miłość spadkobiercy wielkiej fortuny i wielkiego nazwiska, Aleksandra Kadory, do Belli Schumacher, panny o pięknem imieniu, ale o bardzo brzydkiej duszy; — oraz uczucie szlachetnego Niemca z Nadrenii, Lamendorfa, do siostry Aleksandra, Rózi. Te oba wątki, biegnące obok siebie luźnie, albo nazwajem poplątane — rozrywa do reszty balast publicystyczny, który miejscami wysuwa się na plan pierwszy. Wszystkie głośniejsze wypadki, które rozegrały się w ostatnich latach pod zaborem pruskim, zostały wciągnięte do powieści w całkiem surowej formie, przybierającej niejednokrotnie charakter dziennikarskich polemik (n. p. przyjęcie cesarza Wilhelma w Poznaniu), uzupełnianych często przez autora w notach. Czytelnik zapomina mimowoli o powieściowej „winie Kadory" — a zdaje mu się, że trzyma w ręku dziennik konserwatywny.

Z tem wszystkiem zdolności w charakterystyce osób nie można autorowi odmówić. Autor sam należy do warstwy, której życie opisuje — zna też dokładnie nietylko poważne, ale i groteskowe jej rysy. O ile zaś w kreśleniu pierwszych niezawsze potrafi uwolnić się od sen-

tymentalnej ckliwości, którą już oddawna powieść polska pozostawiła poza sobą — to natomiast na tle groteskowem stwarza autor postaci żywe i w rysunku zajmujące. Są to figury, w akcyi drugoplanowe, które jednak ożywiają liczną galeryę typów ziemiaństwa wielkopolskiego. Dla przykładu wymieniam płytkiego bonwiwanta Poryckiego (postać w niektórych rysach przejaskrawiona) a zwłaszcza doskonałą figurę poczciwej matki dwóch zamężnych córek, pani Olbromskiej, która odmawia następującą modlitwę wieczorną: „Panie Boże wysłuchaj pokornego mego wołania! Wysłuchaj modlitwy dwóch matek, które dziatki wychowują na chwałę Twoją i na pożytek naszej biednej ojczyzny! Więc Stefci, to jest mojej córce Daszewskiej, daj córeczkę upragnioną, a Basi, to jest mojej córce Gromińskiej, ześlij synka! Tylko uważaj, panie Boże, i nie zapomnij, bo już raz się omyliłeś! Więc Stefci, to jest mojej córce Daszewskiej, córeczkę, a synka mojej córce Basi Gromińskiej, w Komornikach pod Kujakowicami, teraz Bismarckshöhe!"

Nad oczyszczeniem języka musiałby autor pilnie popracować. Przedewszystkiem niech zacznie od wyrzucenia nieszczęsnego „*można*" i i niech się odzwyczai od zbytecznej, a równie gwarowej skłonności pochylania samogłosi „o" (stósunkowo i t. p.)

M. Sz.

Rozbiór krytyczny źródeł do żywota św. Franciszka z Asyżu i do literatury franciszkańskiej. *Ezebiusz Stateczny O. F. M.* Poznań. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni Św. Wojciecha, 1913. in 8. str. 586.

Od czasu jak Renesans zaczął powoływać do szukania i badania prawdy historycznej co raz to liczniejsze zastępy, chęć oglądania jej bez osłon zrodziła przypuszczenia i niejasność i w ciągu następnych stuleci wychowała osobną gałęź wiedzy: krytykę historyczną, która od połowy ubiegłego stulecia święci swoje tryumfy w wydawnictwie dzieł historyczno-politycznych, literackich i z zakresu historyi literatury, muzyki, pendzla lub dłuta.

Jeden tylko rodzaj przejawów życia ludzkiego lub, powiedzmy dokładniej chrześcijańskiego, jedna tylko falanga niezwykłych ludzi, co nieraz kroczyli na czele cywilizacyi europejskiej, a pozostali zawsze godnymi naśladowania bohaterami wiary i najpiękniejszym wykwitem pracy ludzkiej, nie wiadomo, czy dla swej niedostępności, czy też z po-

wodu lenistwa, albo, co gorsza, lekceważenia u badaczów przeszłości, poza nielicznymi jednostkami (Acta Bollandystów, od 1843 r.) nie nęciła uczonych do krytycznej i umiejętnej oceny drogi życiowej tych wybrańców ku nadludzkim prawie wyżynom.

Powodzenie krytyki na polach: polityczno-historycznych i literackich zdołały natchnąć także liczniejsze jednostki do krytycznych badań w dziedzinie hagiografii.

W ruchu tym przodowały Francya i Niemcy. Owocem takich badań to rozmaite Analecta, (*Bollandiana* od 1882 i *Franciscana*), wydawnictwo J. Lecoffre'a, i Hagiograf *Jahresbericht* (od 1901) oraz dość znaczny poczet żywotów w rozmaitych językach, w których wszakże rozbiór źródeł, albo zupełnie pomijano, albo, zresztą bardzo słusznie, spychano do drobnych przypisków bibliograficznych lub polemicznych. Taka była moda u najwybitniejszych hagiografów europejskich, taką się też przejęli i nasi nieliczni polscy. Kto wie, jak długo czekalibyśmy jeszcze na oddzielne w tym zakresie stadyum, gdyby szczęśliwy zbieg okoliczności nie przyszedł z pomocą naszemu piśmiennictwu.

Słynny i zasłużony autor polskiego żywota św. Antoniego z Padwy i łacińskiego św. Bonawentury, kilkoletni współpracownik w Kolegium św. Bonawentury w Quaranchi pod Florencyą, wydającego cenne *Analecta Franciscana*, a więc doskonale obznajmiony z literaturą i ruchem franciszkańskim, zamierzył z kolei dać swym rodakom żywot św. swego patryarchy zakonnego, również krytyczny i pełen polotu, jak zagraniczne. W miarę gromadzenia źródeł wzrastały również krytyczne o nich uwagi, których nie można było już pomieścić w najzwyklejszych przypiskach, ale należało uczynić z nich obszerny i wyczerpujący wstęp krytyczny. Autor tedy według dyspozycyi, zaznaczonej w synoptycznym poglądzie, rozszerzył ramy wstępu i wydał go „jako pracę zupełnie oddzielną i jako całość w sobie zamkniętą" (s. 574), która odznacza się przejrzystością i logicznością układu, tak w ogólnych zarysach jak i, z małemi zastrzeżeniami, w rozmieszczeniu poszczególnych części, składających się z licznych pisarzów i ich spuścizny literackiej. Owych poszczególnych cegiełek sumienny badacz i krytyk, metodą wskazaną przez Bernheima i Sabatiera, stara się na mocy jużto zewnętrznych, jeśli to możliwa, jużto wewnętrznych kryteryów wykazać autentyczność, środowisko moralne i historyczne, czas powstania, stosunek zależności, wpływu, mimowolnego podobieństwa do innych dzieł tego rodzaju, usiłuje następnie z urywkowych szkiców, złożyć całkowity, mniej lub więcej wyraźny obraz Biedaczka

z Assyżu, wreszcie streszcza swe uwagi, zbiera wszystkie zalety i usterki, aby podać ogólną wartość odnośnego dokumentu. Każda stronica mówi, że kreślił ją wielki znawca literatury franciszkańskiej i niestrudzony pracownik, który w hojnie rozrzuconych dopiskach składa dowód mrówczej gorliwości w zaznajomieniu się z pracami, zostającemi w bezpośredniej lub blizkiej łączności z żywotami św. Franciszka.

Autor zabiera się najpierw metodą wyżej wskazaną, do rozbioru pism św. Franciszka i tworzy taki mniej więcej ich kanon: *Reguła z roku 1223.*, *Testament*, *Upominania* (*Verba sacrae admonitionis*), *List do wszystkich chrześcijan* (z lat 1214 lub 1215). List do braci wszystkich zgromadzonych na kapitule generalnej: O cnotach, jakiemi ozdobiona była N. Marya Panna, Wykład Modlitwy Pańskiej, Obrządek, (*Ordo recitandi officium Passionis Dominicae*), Regulamin dla Pustelników. Autentyczność ich opiera na rękopisie asyskim z 1250 r. Mniejszą autentycznością cieszy się *Reguła z 1210* (?), (autor mówi, że 1221 r.). List do ministra jeneralnego (Piotra Cataneo (?), Pierwszy i drugi list do św. Klary, Krótki list do św. Antoniego, List do br. Leona (1221); Błogosławieństwo, (1224.) Wychwalanie P. Boga Najśw. Pierwotna Reguła trzeciego Zak. zaginęła, a istnieje tylko jako składowa część zatwierdzonej w 1289 przez Mikołaja XIV; nie posiadamy również pierwotnej reguły dla II. zakonu, będącej zresztą tylko wiernem odbiciem życzeń i słów św. Franciszka, a nie właściwem dziełem. Idąc za Waddingem O. Euzebiusz odmawia również autentyczności dwom listom do Heliasza i jednemu do ministrów prowincyalskich (str. 23). Z trzech pieśni, napisanych pierwotnie w języku włoskim, a przypisywanych św. Franciszkowi, tylko *Altissimo, Omnipotente, Jesu Signore* jest autentyczną, drugiej zaś (*Amor di caritade*), trzeciej (*In loco*) autorem będzie chyba Fra Giacopone da Todi, (1230 + 1306), na co wskazuje ich artystyczna forma. Na drugiem miejscu kładziemy „*legendy*", obydwie Tomasza z Celano, niezmiernie się różniące zewnętrznem wykonaniem, — następnie *Speculum perfectionis* „*Legenda trzech Towarzyszy*, *Legenda Jana z Ceperano*, *św. Bonawentury*, *br. Bernarda de Bessa*. Trzeciorzędne miejsce zajmują różni kronikarze zakonu, opisujący także żywot św. Założyciela.

Ważnym również dokumentem z XIV w. o charakterze raczej legendarnym niż krytycznym, a napisanym pierwotnie po włosku (prawdopodobnie przez Hugolina de Monte Giorgio) jest szczególnego

rodzaju kronika: *Fioretti di San Francesco*, w których tradycya znalazła swój najwierniejszy wyraz.

Ponad tę falangę kronikarzy wystaje br. Bartłomiej z z Pizy (1401), zwany z powodu *Opus aureum conformitatum S. Francisci cum Christo* „jutrzenką w historyi i krytyce literatury franciszkańskiej" (str. 451 i. n.) Zasługuje na tę nazwę; zbierał bowiem wszystkie, choćby najmniejsze szczegóły życia św. Franciszka, przechowane w legendach, zwłaszcza wyszłych z łona Zelantów, w malowidłach, w tradycyi ustnej, w dyplomach, zaznaczając sumiennie, co skąd zaczerpnął i z jakim stopniem autentyczności, aby uwydatnić, niestety niezawsze zgodnie z prawdą, jakto całe życie Biedaczka z Assyżu zmierzało jedynie do odzwierciedlenia Chrystusa. W półtora wieku później po napisaniu, a w 32 lat po wydaniu Alberus Erazmus napisał z przedmową Lutra słynne *Eulenspiegel*, w którem wyśmiewa wiarę Braci Mniejszych w ów Alkoran.

Wielkiem natomiast poważaniem, nawet u protestantów, cieszyły się *Annales Minorum* wydane 1625 r. przez br. Ł. Waddinga, bo w nim, jak zaznacza autor, „krystalizuje się czterowiekowy dorobek Braci Mniejszych" i przez trzy następne stulecia, tak pojmowano żywot św. Franciszka, dzieje i literaturę Franciszkańską, jak je nakreślił dawny wychowanek lizbońskich Jezuitów, a późniejszy br. Łukasz O. F. M.

Pracę Waddinga, rzec można, naprawdę podjęli dopiero Bollandyści; oni dopiero, mając w swych *Acta Sanctorum* opracować żywot św. Franciszka z Asyżu, wzięli za ramy do niego prace Waddinga i w formie komentarza upewniali odnośne fakta i daty.

Rozpęd, potrzebny współczesnemu ruchowi franciszkańskiemu dała jeszcze w XVIII w. historyczna szkoła rzymskich konwentuałów, której główną ozdobą pozostanie O. Mik. Papini. Z Włoch przedziera się ten ruch do Francyi i Belgii, gdzie cudnie świeżemi barwy kreślą, zachwycającą postać założyciela „najmniejszych". O. Chalippe, ks. Chavin de Malan, równocześnie w Niemczech Goerres śpiewa o „trubadurze" Umbryi. Odmienne stanowisko od autora „Trubadura", zajęli protestanccy badacze i wydawcy, Voigt, Muller, Thode, Hase; „Żywot" Hasego — zdaniem O. Euzebiusza — jest szczytem obłędu innowierczego (487). Tradycyę katolicką podtrzymują O. Chr. d'Andermatt i Schnürer, który napisał ślicznie illustrowany żywot świętego, (Monach. 1905) oraz niezmordowani wydawcy i krytycy, OO. Ehrle, Lemmens i w. i. — We Francyi po Ozanamie de Malan i t. d. ruch franciszkański nie zwolniał, owszem w Sabatierze po stronie

protestanckiej, a w ks. Op. Le Monnier, i O. Ortroy T. J. z obozu katolickiego stanął na wyżynach. We Włoszech również płynie wartko a szerokiem korytem.

„Z cierpliwością benedyktyńską i z miłością seraficką" synowie św. Franciszka ślęczą nad wyżółkłymi pergaminami, wydają *Analecta Franciscana*, i poliglotyczne *Archiwum franciscanum historicum*. I w Polsce św. Franciszek ma swoją literaturę. Rozpoczyna ją wcale niepośledni kronikarz XV w. Jan z Komorowa, prowadzą dalej liczni dzielnicowi, prowincyonalni kronikarze, wiek XVII zyskuje polski przekład „Marka z Ulisypony" oraz *Speculum Minorum* Bernackiego, a w XVIII w. Alexy Koralewicz pisze genealogię reformy królestwa Polskiego (Warszawa 1722). Podobnie jak w całej Europie tak i u nas wiek XIX rozbudził, wskrzesił żywe zajęcie się osobą del Poverello. O. Prokop Leszczyński pisze śliczny żywot, wzorowany na dziele de Malan'a, tożsamo czyni w ostatnich czasach Porębowicz i O. Stateczny, a Bibliot. dzieł chrześcijańskich przyswaja polskiej hagiografii Joergensena. Jeszcze koło połowy ubiegłego stulecia przekładu „urywki Kwiatków Bożena" (Walewska, Kulczyński, Miłkowski i wreszcie cały zbiór L. Staff; poetycznie obrabia kilka szczegółów Odyniec; Pieśń słoneczną parafrazują lub tłumaczą: Siemiński, Jaleński Porębowicz, Kasprowicz. Ogólniejszą syntezę znaczenia dziejowego, jakie wywarł św. Franciszek w sztuce, usiłować podał Klaczko i Kołtoński; w zakresie socyologii — X. Krzeszkiewicz.

Kończąc przegląd treści, moglibyśmy wraz z autorem, spierającym się na pracach Thodego, Lafenestra i Gilleta z zakresu estetyki, oraz Prudenzano w malowaniu tła dziejowego naszkicować ożywczy i kojący wpływ uroczej postaci Ulubieńca ludu w życiu politycznem, prywatnem, społecznem, religijnem, zwłaszcza zakonnem, na polu naukowem i sztuk pięknych; rozdział ten jenak uważamy raczej za artystyczne niż organiczne zakończenie dzieła.

Sam spis treści, rozmieszczamy w 28 rozdziałach i przez 14 stron, ciągnący się spis imion, który, dodajmy od siebie, wcale nie jest wyczerpujący, może w przybliżeniu dać nam wyobrażenie, jak bogatą jest literatura franciszkańska, jak wobec owej gąszczy pisarzy „franciszkańskich" trudne nieraz było zoryentowanie się i torowanie sobie drogi, wiodącej do celu t. j. do krytycznej oceny każdego źródła. Nic więc dziwnego, że z biegiem pracy opadały siły autora, że rozbiór staje się coraz bardziej powierzchowny, że bibliografia rozumowana XVIII, XIX i XX w. jest prawie zbyta, natomiast świetnie opracowano

Speculum perfectionis, Legendę Trzech Towarzyszy, — kronikę br. Salimbene, oraz Siedmiu utrapień. Prócz nierównomierności rozbioru uderza nas jeszcze jeden zasadniczy brak, pominięcie tradycyi, uwiecznianej w malarstwie, rzeźbie, architekturze i w pieśni, bez której słusznie sam autor zauważa (r. 519) — niema wierności historycznej. Mimo wskazane niedobory, dzieło to ma niepospolite znaczenie dla hagiografii polskiej, a w szczególności franciszkańskiej, twórcy zaś swemu zjedna zaszczytną kartę w historyi krytyki hagiograficznej.

J. K.

Księgi przyjęć do prawa miejskiego w Krakowie 1392—1506. *Dr. Kazimierz Karczmarczyk.* Kraków 1913, in 8. str. XXIV—560.

Do dawnego Krakowa, nie tylko jako do stolicy Polski, lecz także jako do sławnego emporium, napływała ludność z różnych stron kraju, owszem nawet z ościennych i bardziej odległych europejskich państw. I nie dziw, bo to miasto basztami najeżone i murami fortecznymi dobrze obwarowane, dawało mieszkańcom jego bezpieczne schronienie w czasie najazdu nieprzyjacielskiego. A do tego obdarzone licznymi przywilejami królów polskich, miało prawo składu, to też żaden kupiec, jadący z towarami czy to od Węgier ku Śląskowi i Prusom, czy to od Śląska na Ruś i ku Węgrom, omijać go nie mógł. Miały i cechy rzemieślnicze swoje przywileje, ale żeby korzystać z tych swobód i wolności handlowych, trzeba było być obywatelem, czyli przyjąć prawo miejskie „*Jus Civile Cracoviense*", to zaś przyjmowanie w poczet członków gminy należało do kompetencyi rady miejskiej, jako najwyższego administracyjnego organu. Uzyskanie obywatelstwa było połączone ze spełnieniem pewnych warunków. Najłatwiej dostawało się ono w udziale synom obywateli krakowskich; ci mieli pierwszeństwo przed innymi, nie potrzebowali przeważnie płacić żadnej taksy, przedkładać dowodów swego pochodzenia, składać przysięgi ani dawać broni do arsenału miejskiego. Dla zamiejscowych zaś, dla obcych były inne warunki.

Pierwszym warunkiem było pokazanie genealogii, czyli stwierdzenia ślubnego pochodzenia i dobrego sprawowania się w poprzedniem miejscu. Bez ślubnego pochodzenia nie można było uzyskać prawa miejskiego. Niezbędnym warunkiem była też religia katolicka. W Krakowie przyjmowano tylko ochrzczonych, Żydzi zaś wykluczeni byli od obywatelstwa. Dalszym warunkiem uzyskania prawa miejskiego było

także stałe zamieszkanie w Krakowie w oznaczonym terminie, przynajmniej przez dwa lata. Trzecim warunkiem było złożenie taksy, czyli opłaty za nadanie prawa miejskiego, ale dopiero od r. 1436 zaczynają stale pojawiać się notatki, dotyczące składanych opłat. Opłata ta nie była z początku wcale ustaloną, najniższą była 9 groszy, najwyższą 49 — 60 groszy; dopiero od pierwszej połowy XVI wieku przyjęto za zasadę, że rzemieślnicy i ci, którzy nie trudnią się handlem, mają płacić grzywnę (48 gr.), kupcy zaś i przekupnie kopę (60 gr.) Od roku 1432 nowi obywatele przy wpisie zaczęli składać broń: łuki, strzelby, puszki, hełmy żelazne i kusze. Przyjęty do prawa miejskiego składał przysięgę według odpowiedniej roty; rzemieślnicy i inni na posłuszeństwo królowi polskiemu, rajcom i strzeżenie praw oraz przywilejów miejskich.

Narodowość przyjmujących prawo miejskie jest trudną w wielu pozycyach do oznaczenia, zwłaszcza z końcem XIV i w początkach XV wieku. Cały bowiem szereg zapisek notuje tylko same imiona z zawodem, n. p. *Johannes faber* i nic więcej. Wnioskując jednak z podanych nazwisk, możemy przyjąć, że kontyngent nowych obywateli składał się z Niemców w przeważnej części. Obok Niemców i Polaków mniejszy procent stanowią Węgrzy i Czesi. Liczniejszego przypływu dostarczają Krakowowi miasta polskie, jak Biecz, Bochnia, Kęty, Krosno, Dobczyce, Olkusz, Lelów, Lipnica, Lublin, Miechów, Myślenice, Opatów, Oświęcim, Pilzno, Proszowice, Przeworsk, Radom, Sącz, Sandomierz, Tarnów, Wieliczka, Wiślica, Zator. Może równą rolę odgrywa tu Śląsk ze swemi miastami, jak Brzeg, Bytom, Cieszyn, Głogowa, Karniów, Lignica, Nissa, Opawa, Raciborz, Świdnica i Wrocław. Zagranicę poza Śląskiem reprezentują poważną liczbą przybyszów Czechy i Morawy z miastami: Pragą, Bernem, Ołomuńcem i Kromieryżem. Z miast na Węgrzech: Kremnica, Lewocza, Koszyce. Nie brak przybyszów i z krajów niemieckich, jak Kolonia, Frankfurt, Strassburg, Magdeburg, Lipsk, Monachium, Norymberga, Wiedeń. Wogóle od roku 1392 aż do roku 1506 przyjęło prawo miejskie w Krakowie 9503 osób. Swoją zmudną, archiwalną pracę (str. 1 — 387) poprzedził Dr. Kaczmarczyk przejrzystą genetyczną przedmową, a zamknął ją osobnym skorowidzem osób i miejscowości, owszem nawet rzeczowym indeksem (str. 389 — 560). Nie jest to jednak książka dla zwykłych czytelników, lecz dla rozmiłowanych w starożytnościach badaczów, gdyż wszystkie zapiski przyjęć do prawa miejskiego są tu po łacinie

wyłącznie a do tego zestawione sucho i podług jednego szablonu, jak wiele innych zapisków w średniowieczu.

J. Sygański.

Z piśmiennictw obcych.

The Catholic Encyklopedia Vol. XII (New-York).

Wydawnictwo Encyklopedyi katolickiej w Ameryce postępowało w tak szybkim tempie, że nim sprawozdawca mógł rozpatrzeć się w treści jednego tomu, już pokazywał się tom następny z całą bogatą, zwartą swą treścią, sumiennie opracowaną, a podaną we formie przystępnej i łatwej.

W XII tomie zwraca naszą uwagę, między mnóstwem innych, artykuł p. t. „*Providence*“ (p. Lulie J. Walker) dowodzący, że wiara w Opatrzność jest niemal człowiekowi wrodzoną, że się ją spotyka u ludzi wszelkich przekonań, krom u Gnostyków i Epikurejczyków, z którymi na tym punkcie usilnie walczyli Stoicy. Autor wykłada doktrynę chrześciańską o Opatrzności opartą na Piśmie św., na przytoczonych zdaniach Ojców Kościoła, nie mniej jak i na postulatach zdrowej filozofii. Warto przytem zaznaczyć fakt, że w tych wywodach jest głównie mowa o działaniu Boskiem na zbiorową ludzkość, na kierunek losów całego świata a nie na powodzenie lub niepowodzenie każdego poszczególnego człowieka. Wiemy, że wszystko jest w ręku Bożem — ale nie podobna jest komuś rozglądającemu się trochę po świecie dzielić uczuć bezpieczeństwa poczciwych ludzi mówiących: „To nieszczęście się nie stanie, ta osoba nie umrze, ta niesprawiedliwość się nie dokona — bo Pan Bóg tego nie dopuści!“ Źle jest nawet młodym wszczepiać podobny optymizm, bo gdy pomimo niego nieszczęście się dzieje lub niesprawiedliwość tryumfuje, w młodym sercu następuje bolesna reakcya, gorycz zawodu i — najgorsze uczucie ze wszystkich — nieufność względem Boga. Lepiej jest i bezpieczniej trzymać się od początku przytoczonego w artykule zdania św. Augustyna, że „dopiero na Sądzie Bożym poznamy działanie Opatrzności, które dotąd dla nas zostanie tajemnicą“. Toż samo możnaby powiedzieć o niewysłuchanych modlitwach w pięknym zresztą artykule *Prayer*.

W artykule p. t. *Quietism* (E. A. Pace) powraca przedmiot

obrobiony już raz pod tytułem *Molinos* i *Molinism*; tu jednak wzięty jest nieco z innej strony, Autor podnosi fakt, iż podobne dążności widzimy już w brahmanizmie i buddyzmie, w panteizmie u Stoików, u Gnostyków, nadto w wielu sektach w średnich wiekach powstałych. Nadto doktryna luterska o „usprawiedliwieniu przez wiarę" bez uczynków, doprowadza wielu pobożnych protestantów do rodzaju kwietyzmu, którego zarodki n. p. znać bardzo u Metodystów, Kwakrów i t. p. prowadzonych wprost do tego punktu przez częściowe lub całkowite odrzucenie Sakramentów. Z biegiem czasu jednak Protestantyzm oddala się coraz bardziej od zasad Lutra i poniekąd „katoliczeje"; dowodem czego jest zakładanie instytucyi humanitarnych i zgromadzeń zakonnych. W miarę zaś kładzenia głównego nacisku na dobre uczynki, blednie u nich wiara w dogmaty, rozpływająca się w niepochwytnej mgle.

Po *Religion* (Religia) przychodzi kolej na liczbę mnogą *Religions* (Charles F. Aiken). Tu widzimy przedewszystkiem, iż na całej kuli ziemskiej niema narodu, nie posiadającego pojęcia o Bóstwie pod jakąkolwiek formą; nawet najdzikszy ze wszystkich lud Pigmejów czyli karłów z północnego Kongo odnosi się z wielką czcią do mało sobie znanej ale przeczuwanej najwyższej Istoty. Istnieją wprawdzie odłamki większych szczepów zagnane w pustkowia i nie znające na pozór nic ponad zaspokojenie ciężką pracą najprostszych potrzeb życiowych. A i u tych, patrząc bliżej, dostrzega się szczątki wierzeń właściwych ich macierzystemu szczepowi. Na zapytanie, czy cywilizacya wogóle nie wypiera religii i czy ludzkość oświecona nie wyprosi kiedyś z umysłów swoich Pana Boga jako niepotrzebny już czynnik — Ch. Aiken odpowiada, iż cywilizacya jest istotnie zabójczą dla *politeizmu*, ale prawej wierze nie grozi. Obecny bezwyznaniowy prąd nauki jest — zdaniem jego — tylko reakcyą następującą po czasach, w których gruba nieznajomość praw przyrody ratowała się przypisywaniem przeróżnych jej zjawisk cudownemu działaniu Niebios. Znalazłszy, że nie ma cudu tam, gdzie go dotąd widzieć chciano, ludzie płytszych umysłów zawyrokowali, że nie ma nigdzie cudów — ani Pana Boga. Ale i ten prąd już ustępować zaczyna pod samym naporem gruntowniejszej wiedzy, natrafiającej co krok na zagadki, które jedynie istnieniem Stwórcy rozwiązać się dają. — W ślad za tą rozprawką druga p. t. „*Religions life* (Życie duchowne) p. A. Vermeersch potwierdza fakt, iż Pan Bóg wlewa w duszę każdego człowieka instynktowną dążność do poznania Go

i łączenia się z Nim, skąd w różnych religiach spotyka się też same objawy pobożności: życie mnisze, pustelnicze, kontemplacyjne i umartwione jak n. p. w dawnym Egipcie, w Indyach lub Tybecie. Z tego jednak nie wypływa wcale, aby Chrystyanizm a poszczególnie Katolicyzm, czerpał był pojęcia swoje w świątyniach Ammona lub u Brahminów. Co innego n. p. jest tam, gdzie chodzi o niektóre formy lub szczegóły obrzędów: obecnie bowiem wiadomo jest, iż Izraelici przejęli od Egipcyan obrząd obrzezania, oznaczający poświęcenie człowieka służbie Bożej i wyodrębnienie go od niewierzących. U Greków i Rzymian palono, podobnie jak u nas, w świątyniach kadzidła i do późnych czasów składano ofiary z żywych zwierząt, podobnie jak u Żydów czyniono. Z tego jednak nie można wyciągnąć konkluzyi przeciw wierze Starego ani Nowego Zakonu. — W dalszym ciągu swego artykułu autor omawia reguły głównych zgromadzeń zakonnych katolickich. Wogóle cała rzecz ciekawa i pouczająca.

Niestety brak tu miejsca na omówienie takich rzeczy jak: *Purgatory, Resurrection, Redemption, Profession, Property* i *Prophecy* Jean Cales) wspominającej między innemi proroctwo świętego króla Edwarda, odnoszące się — według dzisiejszych tłómaczeń — do odpadnięcia Anglii od Kościoła i ponownego połączenia się z nim — ani nawet bardzo ciekawego artykułu *Protestant Episcopalian Church in the United States* (S. W. Fay). Pominąć również trzeba historyczno-teologiczne wyjaśnienie różnych modlitw liturgicznych i kościelnych. To są rzeczy raczej fachowe. Ogólne wszakże zainteresowanie musi obudzić rozprawa p. t. *Punishment* (John Villey Willis), omawiająca karę śmierci i jej dzieje, tak w prawie żydowskiem jak rzymskiem, a następnie francuskiem i angielskiem. To ostatnie oczywiście traktowane już szerzej, z wyliczeniem zbrodni pociągających za sobą karę śmierci, najobszerniej zaś prawa Stanów Zjednoczonych, z lekkiem muśnięciem innych krajów. Szkoda, że autor nie znał dawnego prawa polskiego; byłby się dowiedział, iż u nas ojco- lub matkobójstwo nie było przewidzianem", w przypuszczeniu, że żaden Polak nie dopuści się do tak ohydnego czynu... W innych krajach miano mniej dobrą opinię o swoich współziomkach — i może słusznie. Autor przytacza mnogie argumenty przeciw karze śmierci, podniesione przez idealistów, mianowicie przez Markiza Beccaria. Za odpowiedź można by temuż pokazać Rosyę, gdzie krom za zbrodnie polityczne, kary śmierci niema, a gdzie lepiej niż gdziekolwiek władze umieją usuwać z powierzchni świata wszelką osobistość, która im się szkodliwą

wydaje. Kary śmierci tam niema ale — co lepsze? Jest też długi artykuł o więzieniach (*Prisons* by Charles Collard), dowodzący, że najlepszym, najbardziej umoralniającym z systemów więziennych był system stosowany w Holandyi i od XVII w. i w Rzymie za dawnych czasów papiezkich, datując głównie od zbudowania więzienia św. Michała przez Klemensa XI. Tu i tam trzymano więźniów w osobnych celach w nocy, gromadząc ich w dzień do wspólnej pracy. Obok więzień państwowych były cele więzienne po klasztorach dla przestępców stanu zakonnego i biskupie więzienia dla kleru świeckiego. Wogóle jednak więzienie uważanem było za karę a nie za środek poprawy. W Anglii stosunki były opłakane: w czasie dorocznych kadencyi sądowych następowała regularnie po okolicy epidemia tyfusu, panującego chronicznie w więzieniach; neapolitańskie więzienia uchodzą po dziś dzień za straszne. Zwolna dopiero zaczęto po różnych krajach Europy przekształcać zakłady karne na wzór rzymskiego św. Michała, jęły powstawać zakłady prywatne, przeważnie pod opieką duchowną, mające za cel zreformowanie duszy przestępców. Autor nie wspomina o katorgach francuskich i rosyjskich; za to chwali postępowy zakład karny w Belgii, oparty na systemie celularnym, oddalającym skazańca od współwięźniów. a dozwalającym mu w pewnej mierze na styczność z uczciwymi ludźmi i popierającym go w pracy odpowiedniej do jego zdolności. Nie są to roboty przymusowe, skoro n. p. zegarmistrz może nadal sporządzać zegarki, krawiec odzienie a snycerz rzeźby. Całe tomy prac naukowych powstały już w owem więzieniu. Anglia reformę swych więzień zawdzięcza głównie usiłowaniom Jana Howarda ur. 1723 r. Po nim kapitan Macanochie wprowadził w r. 1840 system, według którego długotrwałość kary zależała od samego więźnia, ten bowiem za pomocą klasyfikacyi zdobywanych dobrem zachowaniem i pracą, mógł zyskać wcześniejsze lub późniejsze uwolnienie. Klasyfikacye te, podobne do szkolnych, dawane były każdego dnia wedle zasługi aż do osiągnięcia wymaganej liczby. System ten wydał znakomite owoce i został odtąd w użyciu, z dodatkiem podziału na cztery klasy, z których najniższą stanowi pobyt w samotnej celi, drugą i trzecią praca wspólna przez dzień ze stopniowaniem miary swobody a ostatnią wolność pod dozorem policyjnym za t. zw. ticket of leave t. j. kartką urlopu. Prócz tych więzień z czasem powstaje tak w Anglii jak i w Stanach Zjedn. coraz więcej zakładów poprawczych dla młodzieży. Pierwszy w Ameryce założony został w r. 1825; w r. 1904

liczono ich już 39 zamieszkałych przez 23.000 małoletnich; do r. 1910 liczba wzrosła do 103 (w Stanach Zjedn.). Z tych niektóre powierzone są opiece prywatnej jak n. p. Catholic Protectory w Weschester (New-York) a w niem 2 tysiące kilkaset pupilów obojej płci; dziewczęta pod osobną opieką Sióstr Miłosierdzia, a chłopcy Braci Szkół Chrześciańskich. Tak chłopcy jak i dziewczęta najczęściej skazani bez wymienionego terminu, dziewczęta do pełnoletności.

Zauważono, iż wśród tego tłumu małoletnich przestępców, niema prawie analfabetów. Jestto fakt znamienny, mogący dać dużo do myślenia ludziom, kładącym w naszych czasach tak szalony nacisk na oświatę i uważających ją za środek leczniczy na wszelkie biedy, na wszelkie potrzeby duszy i ciała. O właściwej *Psychoterapii* jest w tomie XII ciekawy artykuł. Autor, James J. Walsh twierdzi, że znaczna ilość chorób ludzkich, a przynajmniej wiele objawów tych chorób ma źródło w wyobraźni, czyli wyrażając się modernistycznie w auto- lub „obco" suggestyi. Wystarczy n. p. troszczyć się o swój żołądek, o wątrobę, o serce, aby zaczęły szwankować organa; te bowiem nie znoszą, aby się niemi właściciel ich zajmował. Większość lekarstw i kuracyi pomaga lub szkodzi według tego, czego się pacyent od nich spodziewa a przeróżne środki hygieniczne lub dyety, działają i to działają rzeczywiście, dopóki są modne. Ktokolwiek dłużej żył i obserwował, musi przyznać słuszność ostatniemu twierdzeniu i poniekąd zgodzić się na poprzednie. Można w siebie lub w bliźniego wmówić chorobę; zdarza się też, jak mówi autor, że lekarze rozpocząwszy operacyę raka, uznają, że jest niemożliwą, więc zaszywają ranę i przez litość oświadczają choremu, że już wszystko dobrze i nie ma się czego obawiać. Pacyent podniesiony na duchu nabiera sił, odzyskuje utraconą wagę, a choć w końcu umrzeć musi na nieubłaganą chorobę, przecież tymczasem używa spokojnie kilku miesięcy, lub nawet kilku lat zdrowia. Pono i płuca zależne są od wszechwładnego w organizmie nerwowego systemu...

Przechodząc do zupełnie innego przedmiotu, który jednak wstrząsnął systemem nerwowym niejednego z rządzących w Europie warto zaznaczyć rzecz o *Protektoracie* na Wschodzie (Joseph Brucker) o nadaniu go Francyi i wykonywaniu przeznią nietylko w celach religijnych, o wynikającej stąd przewadze i usiłowaniach innych mocarstw podkopania jej przez odebranie protektoratu na własną korzyść. O protektorat nad prawosławnymi dość słusznie upomniała się Rosya; Wilhelm II wziął jawnie i czynnie w opiekę misye kato-

lickie niemieckie, windykując dla paszportów niemieckich też same przywileje, jakie nadaje paszport francuski. Austrya około r. 1836 starała się — dość platonicznie — o protektorat w Syryi, ale końcem końców uzyskała go tylko w Albanii; zakusy rządu włoskiego okazały się jeszcze bardziej bezsilne: Stolica św. odrzuciła wszystko, zabraniając misyonarzom odwoływać się do innego protektoratu krom Francyi. — Autor przytacza różne ujemne strony europejskiego protektoratu wogóle a zwłaszcza protektoratu rządu masońsko-bezwyznaniowego, jakim jest francuski. Protektorat obcy — zwłaszcza w Chinach — nadaje nawróceniom krajowców pewną cechę odstępstwa a, o ile sądzić można z dzienników, jakoś nie bardzo broni przed pożogą i mordem. Francuzi zaś umieją wykorzystać go dla szerzenia swego języka i swego narodowościowego wpływu. Trzeba jednak przyznać, że w obecnym stanie świata, Stolica św. wyboru nie ma i nie widząc nic lepszego, musi się trzymać tego co mniej szkodliwe.

Innym ciekawym i bardziej jeszcze aktualnym artykułem jest *Population* (John Ryan). Tu dowiadujemy się, że do końca XVIII w. nigdy i nigdzie krom w republikach starej Grecyi, nie troszczono się przeludnieniem kraju. Czytamy wprawdzie, że u starych Prusaków duszono czy topiono dzieci płci żeńskiej, gdy się ich zbyt wiele rodziło — synów jednak wydało się zawsze za mało. Dopiero po rewolucyi we Francyi i po wielkiem przesileniu ekonomicznem w Anglii zaczęto się zajmować tą kwestyą. Nasamprzód w Wenecyi ukazała się książeczka wydana przez mnicha Gianmaria Ortis. Zdawałoby się, że straszne rzezie wojen napoleońskich, powinny były uspokoić umysły — ale nie! Wkrótce po broszurze Ortisa, pastor angielski Rev. Thomas Malthus zatrwożył świat dowodząc, że gdyby nie występki i choroby, liczba ludzkości podwajałaby się normalnie co 25 lat, a że ilość żywności w najlepszych warunkach w tej mierze wzrastać nie może, więc radził powstrzymanie wzrostu ludności na różne sposoby jak n. p. przez zniesienie wszelkich ulg przyznawanych przez rząd ubogim, którzy w braku ich zastanowią się przed założeniem domowego ogniska, przez opóźnianie małżeństw do dojrzałego wieku, nie dozwalanie ich ludziom nie mającym funduszu na utrzymanie rodziny i t. p. Statystyki Malthusa były naciągnięte a środki dość naiwne; teorya jego wszakże była ziarnem, z którego późniejsi ekonomiści jak Stuart Mill, Dale Owen, Bradlaugh, Annie Besaut wypielęgnowali system zbrodniczego zmniejszania liczby urodzin, któremu Francya zawdzięcza grożące jej wyludnienie. Te

same skutki dają się już odczuwać i w Niemczech — a charakterystycznym jest fakt, iż statyści gromiący ten system, patrzą nań z punktu wojskowego a bynajmniej nie moralnego. Autor artykułu twierdzi, iż ziemia posiada dość zasobów dla wyżywienia wszystkich ludzi, których Bóg na nią zsyła, ale że wykorzystanie ich wymagałoby mniej więcej równego zaludnienia całej powierzchni globu. Zbyt gęste bowiem obsadzenie niektórych punktów istotnie grozi nędzą, gdyż produkcya tak z ziemi, jak z przemysłu, może wzrastać tylko do pewnej miary, poczem rozpoczyna się stopniowe zniżanie. Na całości zaś kuli ziemskiej rozsiane skarby dozwalają spokojnie patrzeć na losy przyszłych pokoleń aż do skończenia świata. Ci, co się o nie troszczą, widocznie nie mają trosk własnych.

Ale skoro o trosce mowa, myśl poniewoli zwrócić się musi do wielkiej otchłani troski, jaką jest nasz kraj, nasza Polska, obszernie opisana w tomie XII przez W. Kołodziejczyka. Rozprawa ta obejmująca dzieje narodu i opis kraju, z głównym oczywiście naciskiem na stosunki kościelne, skreślona jest objektywnie, dokładnie i jasno, bez melodramatycznego tonu, który pod piórem niejednego autora piszącego dla obcych, rzuca pewną śmieszność na naszą niedolę. Szkic taki jaki jest, zajmie i pouczy niejednego Anglika lub Amerykanina; nauczyłby i niejednego Polaka z południowych ziem naszych, pozbawionych ojczystych szkół. W ślad za nim idzie *Polish litterature*, o której dość powiedzieć, że jest dziełem Stanisława Tarnowskiego, jak zresztą wszystkie życiorysy naszych kronikarzy i poetów w Encyklopedyi zawarte. Wśród tych dwóch pism wszakże mało, o wiele za mało jest rycin, a te pono więcej ludziom przez oczy wpadają w głowę, niźli sam tekst. Bardzo też pouczającym jest szkic p. Feliksa Seroczyńskiego *Poles in the United States*, otwierający się faktem historycznym, dobrze znanym fachowcom, ale mało szerszej publiczności, mianowicie, iż pierwszym Europejczykiem, którego stopa dotknęła amerykańskiej ziemi, był Polak, Jan z Kolna, dowodzący wyprawą duńską, która w r. 1476 wylądowała na Labradorze. Dalej autor snuje dzieje stopniowego osiedlania się Polaków za oceanem, przybycia tam w XVII w. Zborowskich, wypraw Sodowskiego — jednego z pomiędzy pierwszych białych, którzy w 1770 dotarli do Kentucky — mówi o Kościuszce, o Puławskim i o innych, których nazwiska jeszcze górują ponad olbrzymim tłumem polskiej emigracyi. Wśród tych wybranych z późniejszej doby p. Seroczyński daje prym X. Wincentemu Barzyńskiemu Z. Z.: postać potężna, niezrównany

wódz umysłów i ludzi, przenikający teraźniejszość i przyszłość; osobistość, około której obracały się najdramatyczniejsze karty dziejowe amerykańskich Polaków. Jemu zawdzięczają kollegium św. Stanisława, pierwszy zakład dla sierót, powstanie pierwszych katolickich czasopism *Gazeta Katolicka* i *Dziennik Chicagowski*. On pierwszy zgromadził nauczające grono zakonnic, on był twórcą związku Rzymsko-katolickiego Polaków. Jako najwybitniejszy typ między świeckimi, autor mianuje Piotra Kiołbassę, dzielnego oficera w wojskach Unii, który do nowej ojczyzny OO. Zmartwychwstańców sprowadził. Wszystkich nazw wymienionych powtórzyć niepodobna. Za główne powody emigracyi polskiej podane są prześladowania pruskie i zwalenie się z Rosyi do Królestwa Żydów, przed których naporem ludność polska chroni się za morze; w Galicyi zaś rozdrobnienie gruntów. Ciekawemi, ale nie wesołemi są ewolucye Związku Narodowego Polskiego, liczącego przeszło 71.000 członków. Zrazu był ściśle katolickim; potem zaprowadzono tolerancyę „w myśl dawnej konstytucyi Rzpltej" wobec wszystkich krom socyalistów; gwoli tolerancyi wyrzucono wszelkie nabożeństwa katolickie, potem wszelką, religię a natomiast przyjęto socyalistów. To jednak pomściło się wnet i obecnie wre zażarta walka przeciw kosmopolityzmowi tych ostatnich. Wszyscy księża, ma się rozumieć, opuścili Związek, chroniąc się do założonego przez O. Barzyńskiego Związku Rzymsko-katolickiego. I ten jest dość potężnym, obejmuje bowiem z górą 52.000 osób — nie dorówna jednak liczebnie Związkowi Narodowemu. Podobnie na 70 czasopism jest tylko 20 szczerze katolickich, a 25 neutralnych. Reszta prowadzi ostrą walkę przeciw Kościołowi pod pozorem reformy duchowieństwa. Umysły są jeszcze na tyle religijne, że przeciwnicy nie śmią odsłonić przyłbicy. Walka otwarta nie zostałaby przyjętą — o ileż tam musi być lepiej, niż niestety jest u nas, a my cieszymy się, że w Polsce jest mniej źle, niż zagranicą!

W sprawozdaniu ledwo jedną lub drugą kwestyę poruszyć można z tego olbrzymiego materyału, jaki jest nagromadzony w poszczególnych tomach. Pozostaje cała masa innych o których dla braku miejsca niepodobna nawet wspomnieć; nie pozostaje zatem nic innego, jak poprosić czytelnika, by do encyklopedyi zajrzał sam, wyszukując to, czego w sprawozdaniu nie stało.

Teresa Wodzicka.

Veteris Testamenti Chronologia. Monumentis Babylonico-Assyriis illustrata. *Antonius Deimel S. J.*

Jestto znakomity podręcznik do chronologii St. Testamentu. Autor zebrał starannie zapiski, dokumenta klinowe, mogące pomódz do wyświetlenia zawikłanej chronologii biblijnej. Nie masz dzisiaj nikogo, któryby nie uznał, że Biblia sama nie może nam dostarczyć żadnego materyału do rozwikłania rozlicznych metod chronologicznych, używanych przez autorów ksiąg św.; tekst dzisiejszy w tych właśnie miejscach najsrożej, zdaje się, ucierpiał, a nie ma nadziei, żeby przy stanie obecnych tekstów St. Test. można dojść do oryginalnych lekcyi autorów św. Mnóstwo też zarzutów na tem tle powstało przeciwko Biblii — i jej znaczeniu historycznem. Autor zarzutów tych prawie nie dotyka, wykazuje tylko swojem objektywnem przedstawieniem rzeczy, że obliczenia chronologiczne biblijne są tego rodzaju, że na ich podstawie nie podobna zestawić żadnych zupełnie pewnych dat historycznych. Ale jeśli do pomocy weźmiemy zupełnie ścisły łańcuch chronologiczny, który od r. 160 przed Chr., aż do r. 893 przed Chr. daję nam dokumenta assyryologiczne, daty Biblii mogą być dla nas cennym drogowskazem.

Autor sumiennie i krytycznie podał nam najwcześniejsze dokumenta historyczne Assyryi i Babilonu. Na pierwszem miejscu mamy przedstawione cztery główne recenzye t. zw. kanonu eponimów, sięgającego nieprzerwanym łańcuchem od 893 — 666. Obok tego podał w transkrypcyi oraz w tłumaczeniu Kanon „B" mający jeszcze obok imienia i urzędu archonta Eponymosa jakiś ważny szczegół historyczny. Otóż przy eponymosie Purigatzu czytamy, że w tym roku miało miejsce w mieście Assur, w miesiącu Simanu, zaśmienie słońca. Według obliczeń astronomów jest to bezwątpienia zaćmienie słońca z czerwca r. 783 przed Chr. Było zatem rzeczą łatwą ustalić datę Eponymów poprzednich i następnych. Kanon podobny znany był już Ptolomeuszowi, astronomowi II w. po Chr., który jest autentyczny, jak wykazuje porównanie jego z dokumentem klinowem, opowiadającym krótko historyę Babylonu między r. 737 — 667.

Do użytku czytelnika dodano krótką ale doskonałą wiadomość o kalendarzu babilońskim; szkoda tylko, że O. Deimel nie dostatecznie wyzyskał studyum O. Kuglera nad kalendarzem starobabilońskim umieszczone w: *Sternkunde u. Sterndienst*, Tom II str. 151 — 197. również doskonale oryentuje O. Deimel czytelnika o katalogach, puoblikowanych przez Pinchesa, a mieszczących spis królów babilońskich od czasów pierwszej dynastyi babil. aż do czasów Assurbanipala.

Bardzo szeroko omawia różne metody obliczania daty Hammurabiego, współczesnego prawdopodobnie Abrahamowi. Szkoda tylko, że podręcznik O. Deimel'a ukazał się równocześnie z oryginalnymi i — zdaniem naszem — definitywnemi obliczeniami O. Kuglera, który innemi zupełnie drogami obliczył zupełnie dokładnie datę panowania tego monarchy. O. Deimel jest nadzwyczaj ostrożnym w krytyce, a trafność jego sądu to okazuje, że obliczenia jego w znacznej części bardzo się zbliżają do wyniku, jaki otrzymał O. Kugler. Charakterystycznem jest, że data, którą otrzymał za pomocą swego pierwszego sposobu (str. 53), jest identyczną, z datą O. Kuglera oznaczającą datę panowania Hammurabiego na r. 2123., ale niedostateczność dokumentów sprawiła, że datę tę obniżył o lat 20.

Bardzo starannie zestawił O. Deimel tablice chronologiczne na podstawie tabliczek odkrytych r. 1902 w Tello, a później w Nippur. Są to czyny królów dynastyi Lagasz, Akkad, Ur, Isin i Kisz; niepodobna na razie nic pewnego o czasach tych dynastyi powiedzieć — w każdym razie sięgają one przed rok 2500 przed Chr. Nie pominął także publikacyi dokumentu, odkrytego niedawno, a wydanego przez O. Scheil w piśmie *Academie des Inscriptions et Belles Lettres, Comptes Rendus* 1911, str. 606 — dokument ten pochodzi z miasta Kisz, dzisiejszego Ocheimir, leżącego o 20 kilm. na południe od Babilonu; powstał prawdopodobnie koło r. 2100 przed Chr. Dokument ten podaje następstwo pięciu dynastyi panujących w Babilonii, ale opuszcza dynastyę z Lagasz, zatem jeszcze nie może służyć za pewny materyał do chronologii z trzeciego tysiąclecia przed Chr. Według tego dokumentu pierwszą dynastyą, która stanęła na czele Babilonii była dynastya starożytnego miasta Opis (Upi) — panowałaby koło 3000 przed Ch.

Część druga poświęcona jest chronologii biblijnej, O. Deimel ograniczył się do zestawienia wszystkich dat biblijnych, oraz do streszczenia najważniejszych rezultatów krytycznych odnośnej kwestyi. Książka ta jest doskonałym podręcznikiem, znakomicie informuje we wszystkich zawiłych zagadnieniach chronologicznych. Równocześnie dołączył autor kilka tablic litograficznych, podających pisownię imion królów Assyryi i Babilonii oraz ich transkrypcye. Tablice te cenną oddadzą usługę początkującym assyryologom. Dzieło wyszło nakładem założonego przez Piusa X Instytutu biblijnego w Rzymie.

La formation Sociale de l'Anglais moderne. *Paul Descamps.* Paris. 1914. Librairie Armand Colin.

Książka ta, to studyum nad narodem osobliwym, złożonym z jednostek, których przeciętny typ jest mniej świetny, niż u rasy łacińskiej. A jednak, naród ten należy do pierwszorzędnych — wpływ jego jest potęgą — bo składające go jednostki posiadają przymioty zasadnicze pod względem społecznym.

Ziemia angielska wydaje mało ludzi nadzwyczajnych. Typ. „nadczłowieka" jest tam rzadszy niż na kontynencie, ale człowiek jako taki jest więcej i pełniej rozwinięty, zwłaszcza pod względem poczucia się do odpowiedzialności za swoje życie. A życia własnego nie odłącza od innych istnień. Rozumie, że powinien z niemi współdziałać. Poczuwa się do odpowiedzialności nietylko wobec siebie samego, ale i w obec społeczeństwa. Dlatego jest dobrym obywatelem — a liczba takich stworzyła naród wielki i silny.

Społeczna wyższość rasy anglo-saskiej ma za podstawę wychowanie. Jakie są w niem zasadnicze przymioty i jak się one uzewnętrzniają w życiu prywatnem i publicznem — to zadania, które postawił sobie autor. Aby je spełnić, badał angielskie pracownie i biura, rodziny i szkoły — organizacye przeróżne. Poznawał Anglików na ich własnej ziemi i starał się przeniknąć ich narodowego ducha.

Punktem wyjścia było studyum nad życiem klasy robotniczej, nad jej pracą, stworzonemi przez nią stosunkami, wpływem jej na kształtowanie się życia rodzinnego i odwrotnie. Studyum to dało wynik, iż wychowanie w angielskiej rodzinie robotniczej rozwija u dzieci rozwagę, poczucie osobistej odpowiedzialności i zdolność do kierownictwa.

Obok ścisłego posłuszeństwa w kwestyach zasadniczych, dzieci angielskie są na ogół wdrożone do wczesnego wyzwolenia się z wpływu kierowniczego rodziny. Wyrabia się w nich dyscyplina wewnętrzna, t. zw. „Self — control" — i dyscyplina społeczna, oparta na poczuciu odpowiedzialności jednostki. Osięga się to, pozwalając dzieciom na samoistne myślenie i postanowienia, a równocześnie utrzymując bardzo silnie powagę rodzicielską w kwestyach najważniejszych.

Tę samą zasadę odnajdujemy w angielskiem szkolnictwie.

Szkoły — jak i inne instytucye — dostosowują się tam do środowiska i razem z niem przebywają powolną ale stałą ewolucyę.

Osobliwą cechą społeczeństwa angielskiego jest fakt, że składające je warstwy nietylko wznoszą się jedna nad drugą ale utrzymuje się

w nich hierarchia. Odbija się to bardzo wyraźnie na szkolnictwie. Każda warstwa społeczna posiada własny typ szkoły, dla siebie odpowiedniej.

Społeczeństwo angielskie dzieli się na:

1. *Lover class* — złożona z robotników.

2. *Lower middle clas* — do której należą ludzie, kierujący pracą drugich jako siła pomocnicza wyższa.

3. *Midle clas* — złożona z większych przedsiębiorców przemysłowych, rolników, kupców i t. zw. wolnych zawodów.

4. *Upper midte class* — czyli klasa średnia wyższego typu pod względem bogactwa, kultury i stopy życiowej — zwana w Anglii gentry.

5. *Upper class* — to szczyt drabiny społecznej, utworzony z wysokiej, bogatej szlachty: nobility.

Anglia jest krajem tradycyi i postępu. Przechodzi stałą ewolucyę, która — choć tu brzmi paradoksalnie — opartą jest na tradacyi.

Odnajdujemy tę charakterystyczną cechę w szkolnictwie. Autor przechodzi różne typy szkół męskich i żeńskich, ich organizacyę i materyalne podstawy, kończąc na najnowszych, jak Abbotsholme Dra Reddia i kilka podobnych. Dotyka problemu ko-edukacyi, opisując szkołę *Bedales - school.*

Biorąc na ogół, wykształcenie encyklopedyczne nie jest w Anglii ideałem. Strona czysto intellektualna jest dla Anglika drugorzędną. Pragnie on przedewszystkiem wyrobienia charakteru i zdrowego rozwoju indywidualności. Wyrazem tego, to w każdej szkole angielskiej dozwolona, a nawet popierana „*hobby*", t. j. indywidualne zamiłowanie uczni.

System tutoryalny, dzielący internaty szkolne na mniejsze jakby domy rodzinne, wprowadza element rodzinny do zakładu, odbierając mu niezdrową, niwelującą cechę koszarową, właściwą wielkim internatom na kontynencie.

„Tutor" zastępuje ojca rodziny, zna dobrze swoich wychowanków i wywiera na nich wpływ.

Posłuszeństwo i poczucie odpowiedzialności — to podstawa wychowania, wspomagana przez powszechnie przyjęty system monitoryalny.

Szkoły dla dziewcząt mają taki sam punkt wyjścia, z uwzględnieniem różnicy płci i odmiennego w przyszłości stanowiska i obowiązków.

W pierwszej części swego dzieła przechodzi autor podwaliny socyalne Wielkiej Brytanii. Następnie, zajmuje się klasyfikacyą

jednostek podług środków materyalnych, sposobu życia i odebranego wychowania.

Nakoniec, w ogólnych rzutach zajmuje się urządzeniami, dotyczącemi władzy politycznej i społecznej. Postawą ich autonomia i odpowiedzialność, uzupełniające się wzajemnie.

Dotyka sprawy kościoła anglikańskiego, jego ducha i wpływu — stanowisko clergymen'ów — i prądów, dzielących anglikanizm na: 1. „*Low Church*", rozpowszechniony w niższych warstwach, odznaczający się silną zaprawą ducha protestanckiego... 2. *High Church*, rekrutuje się z arystokracyi — zbliża się w pewnym stopniu do katolicyzmu. 3. *Broad Church* pierwiastkiem najbardziej nacyonalistycznym — i otwierającym wrota najskrajniejszym zapatrywaniom religijnym.

Anglia ma w sobie siłę, dozwalającą na przystosowywanie się ciągłe do nowych czasów, pomimo przywiązania do dawnych tradycyi. Odnawia się i przetwarza, nic nie niszcząc, tylko zdrowej ewolucyi się poddając, która zapewnia jej życie i rozwój.

H. Skolimowska.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Tractatus causam M. J. Hus e parte catholica illustrantes. fasc. I: Jacobi de Noviano, mgri Parisiensis, Disputatio cum Hussitis. ed. Dr. *J. Sedlák*, Brunae 1914, cena 1 K. (XV+24).

Z okazyi rocznicy śmierci Husa zaczyna się wydawnictwo źródeł historycznych, najgodniejszy zresztą środek obchodzenia jubileuszów. Obecny tomik przedstawia nam traktat Jakóba z Nouvion sur Meuse magistra uniw. paryskiego i posła francuskiego w Czechach w r. 1408, na temat „*Utrum viris ecclesiasticis seu clericis liceat aliquid possidere?*" Kwestya bardzo aktualna w owym czasie, rozwinięta przez autora z aparatem logicznym nie ogranicza się tylko do rozważania w tytule zawartej tezy, gdyż za nią ukrywały się inne zarzuty. Te właśnie zasadnicze zarzuty zbija Novianus, udowadniając „*quod ecclesia presens non est ecclesia sathane propter habere possesiones, sed multi clerici sunt de ecclesia sathane propter suos malos mores*". (str. 24).*)

*) (Ortografia autentyczna).

Żmudną pracę zestawienia kodeksów wykonał dr. Sedlák — objaśnił też we wstępie znaczenie tej pierwszej apologii katolickiej przeciw Wiklefistom czeskim i zaznajomił nas z osobą jej autora.

F. B.

Życie domowe mieszczaństwa warszawskiego w wiekach dawnych. *Al. Kraushar.* Warszawa 1914 (str. 47).

Wszystko, co dotyczy przeszłości Warszawy, obchodzi żywo Kraushara. Z pietyzmem opowiada on, czy o pomniku Ks. Józefa i jego kolejach, czy o księgarzach warszawskich, czy o archiwum Nowosilcowa; „Życie domowe mieszczaństwa warszawskiego" nie jest syntezą, tylko właśnie takim miłym szkicem, dającym nam wyobrażenie o Fukierach, Baryczkach, ich mieszczańskich siedzibach, kreślącym w ogólnych rysach mores, otia i negotia Staromieszczan, z których wyszli tacy jak Dekiert, Lelewel, Smuglewicz i inni.

F. B.

Sprawozdanie „Polonii" tow. pol. młodzieży katol. Uniw. Jag. w Krakowie za rok 1912/13 (str. 50).

Członków zwyczajnych z seniorami liczyło towarzystwo 80. Wydział składali Seroczyński St. (prez.), Kornecki M. (wicepr.), Horoszkiewiczówna W., Jaranowski St., Tomechna A., Nitsch J., Siellawianka J., Ostachowski E. W sekcyi odczytowej wygłoszono 14 referatów. Sekcya etyczna świeżo założona pracowała nad kulturą duchową członków. Z powodu 3 miesięcznego istnienia praca ta nie może się pochwalić wielkimi rezultatami tembardziej, że są one tylko wewnętrzne; serdecznie życzymy tej sekcyi pomyślnego rozwoju. — Praca zewnętrzna skupiała się w oddziale Tow. Oświaty ludowej, gdzie oprócz lekcyi, pogadanek i oprowadzenia kilku wycieczek wygłoszono 25 odczytów.

Gorliwie zajęła się „Polonia" sprawą budowy własnego domu; jakkolwiek intencya tego zamiaru bardzo chwalebna, czy nie byłoby pożyteczniej w porozumieniu z bratniemi instytucyami pomyśleć o „Domu katolickim?" *F. B.*

Myśl J. J. Rousseau w Polsce XVIII wieku. *M. Szyjkowski.* Kraków 1913, (str. 270).

Po Ossyanie zajął się Dr. Szyjkowski autorem „Nowej Heloizy", gdyż wpływ obywatela genewskiego na zaczątki romantyzmu polskiego już dawno dopraszał się monografii. O ile jednak Ossyana pieśni oddziaływały tylko na literaturę, Rousseau szczególnie w XVIII w. więcej zaznaczył się w Polsce jako autor „*Considérations sur le gouvernement de la Pologne et sur la réformation projetée*" i ideolog społeczno-polityczny, niż jako obrońca praw uczucia w życiu i literaturze. Jakkolwiek na gotowalni dam polskich leżały dzieła Roussa, to wpływ jego na rozbudzenie sentymentalizmu zaznaczył się wybitnie dopiero w Polsce porozbiorowej. Dr. Szyjkowski ograniczywszy się do w. XVIII, niewiele mógł nam powiedzieć o literaturze pięknej; skreślił wpływ idei Roussea na „Doświadczyńskiego" i przedstawienie Nipuanów i na podobne mu, zresztą słabsze romanse pedagogiczne i utopijne; tu znalazł miejsce ledwie początkujący romans sentymentalny z „Leszkiem Białym" ks. Krajewskiego.

O wiele ważniejszy wpływ myśli Roussa na życie polityczne i społeczne Polski przez pośrednictwo pism Staszica, Kołłątaja, Fr. Sal. Jeziorskiego, A. W. Rzewuskiego i innych przedstawił autor bardzo sumiennie i wnikając głęboko w sposób percepcyi idei Roussa, wyjaśnił, dlaczego odgłosy ich znajdujemy zarówno w Konstytucyi Majowej, jak w uniwersale Targowiczan. Mniej zaznaczyła się myśl autora „Emila" w dziedzinie pedagogiki, jednak i tem zajął się Dr. Szyjkowski i wskazał zasady, które zreformowana edukacya narodowa przejęła od Roussa.

„Myśl Roussa w Polsce" wyczerpuje dokładnie materyał, ale tylko w. XVIII; obyśmy mogli otrzymać dalszy ciąg, któryby wyświetlił i określił znaczenie Roussa w polskim romantyzmie. *F. B.*

Trębacz na ratuszu. Ballada z XVI wieku w 3 aktach. Napisała Zofia Zielewiczówna Poznań 1914. Księg. Św. Wojciecha.

Jaśko trębacz na ratuszu poznańskim rozmiłował się we wnuczce leśnika starego, urodziwej Kachnie. Ujęty zaś szlachetnością pańskich rysów dziewczyny, Giovanne, budowniczy szkicuje jej portret jako model ku ozdobieniu ścian w sali ratuszowej. Nie może tego znieść kochanka Giovanne'go Izabella i z zazdrości o swego ulubieńca tworzy intrygę, oskarża Kachnę tajemnie o czary, podburzywszy na nią wprzód miejski tłum. Wyrok zapada, Kachna ma być według praw ówczesnych żywcem spalona. Dziadek jej leśnik daremnie bronił nieszczęśliwej od pojmania, poturbowany kona przed domem wojewody, wyjawiając mu tajemnicę, iż Kachna to córka jego syna, którego on leśnik z zemsty w jeziorze był utopił. Tymczasem trębacz już ma nocą uprowadzić Kachnę z więzienia, gdy piorun nagle wieżę ratuszową zapala. Szlachetna dziewczyna odrzuca sposobność ucieczki, bo obowiązkiem Jaśka jest teraz iść na wieżę, dać sygnał pożarny, miasto i lud ratować. Jaśko trąbi na alarm, tłum się zbiega, pożar gasi, a trębacza wynosi cało z płomieni. Giovanne zaś dowiedziawszy się, że Kachna ma być właśnie spaloną, wytacza sprawę przed królem, zmusza Izabellę do odwołania potwarzy, a król wyrok unieważnia, trębacza obdarza srebrną trąbą i królewskim trębaczem mianuje.

Ładna i miła ta sztuka a zajmująca. Ruchu w niej i życia pełno oraz rozmaitości scen i charakterów. Tło wieku wiernie podmalowane, do czego wyrażenia i zwroty to starodawne, to ludowe nie mało się

przyczyniają. We fabule dramatyczności dużo a miejscami i tragizmu szczerego. Jednak w przeprowadzeniu pióro autorki tu i ówdzie za słabe się okazało.

Tak leśnik, choć ciężkie brzemię ma na sumieniu, lecz za spokojnie je dźwiga, — ledwo w paru słowach zdradza się w pierwszym akcie z tem, co mu dolega. Jasiek choć rozpalony miłością ku Kachnie, gdy męczą torturami niewinną, bije głową o mur ratusza. Objaw to wielkiej boleści, ale czegoś więcej, jakiegoś czynu czy zamiaru, oczekiwaćby należało. Wreszcie wojewoda. Dowiaduje się z ust konającego o tajemnicy strasznej, lecz niewiadomo jak to przyjmuje. Wymyka mu się wprawdzie z ust słowo: zbrodzień, lecz zaraz konającego swą delją okrywa. A przecież w takiej chwili ogromny zamęt, rozterka w duszy ojca powstać musiała. Tu ginie zabójca syna, tam znów jego wnuczka, a córka wojewodzica ma być spaloną. Klnąć ginącego, czyli mu przebaczyć? ratować skazaną czy nie? boleść, wstyd, gniew i t. d., mnóstwo myśli i uczuć narzuca się samo przez się zupełnie naturalnie po ludzku, a w sztuce nie masz z tego nic. Wojewody charakter ni to, ni owo. Co do innych osób najlepiej przedstawiona Kachna, uznanie się należy także za typowego scholara wędrownego, dobry jest błazen, trafione sylwetki szewca, przekupek, charakterystyczni rajcy, a wreszcie wybornie przedstawiony tłum, jak zawsze chwiejny i wrażeniu chwilowemu ulegający.

Utwór utalentowanej autorki był konkursową nagrodą odznaczony, a w roku zeszłym poraz pierwszy w Poznaniu odegrany. *Al.*

Die katholische Anstaltserziehung in Theorie und Praxis. *Johann Nep. Eckinger S. J.* Herder — Freiburg im Breisgau, 1913. Str. XIX + 291.

Do szczupłej stosunkowo literatury w dziale pedagogii internatu przybywa nam jedna więcej książka, tym jednak razem o charakterze wyłącznie praktycznym. Autor bowiem z naciskiem zaznacza i parokrotnie powtarza, że zamiarem jego nie jest podać teoretyczne naukowe dzieło pedagogiczne, ale w książce niniejszej umieszcza on owoce swej 10-letniej pracy wychowawczej, w formie praktycznego poradnika dla wychowawców i kierowników zakładów wychowawczych i to nie jakichkolwiek ale na pierwszem miejscu męskich i to tylko katolickich, przeznaczonych dla młodzieży szkół średnich albo przysposabiającej się do stanu duchownego. Praktyczny ten cel nie wyklucza jednak strony teoretycznej, która rozwinięta tu jest wcale obszernie i wykazuje wielkie obznajomienie się autora z pedagogią i jej nowoczesnymi prądami.

Powziętej myśli odpowiada doskonale przejrzysty i celowo przeprowadzony podział całości. Pragnieniem autora jest podać książkę, która stanowiłaby w sobie zamkniętą i wystarczającą całość; stąd w pierwszej części przedstawia on właściwości wychowania zakładowego wogóle, w drugiej rozwija teoryę wychowania katolickiego, stosując ją w głównych zarysach do internatu, w trzeciej części przechodzi szereg szczegółów i specyalnych kwestyi, które zachodzą w życiu zakładowem i poucza, jak w nich wychowawcy postępować wypada.

Znając pracę w zakładach wychowawczych, najlepiej można osądzić, jak wielką wartość posiada ta książka. Uderza w niej na każdym kroku głęboka znajomość warunków i potrzeb internatu, oraz dobór nadzwyczaj trafnych wskazówek. Cena dziełka wzrasta wskutek objektywności, z jaką zostało napisane; autor nie staje po stronie wychowawcy i zakładu, ale pisze bezstronnie i wyciąga, w odpowiedni sposób lecz bez ogródek, różne braki i ujemne strony, jakie po obu stronach mogą mieć miejsce i przestrzega przed możliwemi niebezpieczeństwami.

Do zalet zaliczyć trzeba wspomniane na początku ograniczenie zakresu wychowawców, dla których dziełko to przeznaczone zostało; tylko pod tym warunkiem udzielić można praktycznych wskazówek a nie poprzestawać na powtarzaniu ogólników. Co zaś przedewszystkiem podnieść należy, to rdzennie katolicki charakter, który przebija się zarówno w teoretycznem traktowaniu rzeczy, jak zwłaszcza w podawaniu reguł wychowania, które uwzględniać powinno zawsze pierwiastek nadprzyrodzony; przez tę pracę zapełnił autor wielką lukę w naszej katolickiej odnośnej literaturze wychowawczej, i o ile chodzi o samą tylko religijną stronę, książka mogłaby nawet być wykorzystaną przez szersze warstwy. *S. P.*

Fügung u. Führung, nap. *Alban Stolz* 3. Teil A. Stolz u. Kordula Wöhler. 1. 2. cap. X+510, 1913. Herder 4.20 Mk.

Pisma A. Stolza poświęcone są prawie wyłącznie obronie Kościoła katolickiego

przeciwko protestantom. Wielu współczesnych mu protestantów czytając te pisma, udawało się do A. Stolza z zapytaniami w ważnych sprawach swego sumienia i wiary. Korespondencye powstałe z tej okazyi są dziś wielkiego znaczenia dla poznania działalności A. Stoltza, stąd i dla dziejów konwersyi w Niemczech. Z okazyi jubileuszu (w r. 1908) A Stolza powziął Dr. J. Mayer tę myśl by wydać tę korespondencyę p. t. *Fügung u. Führung*. Wyszły już trzy tomy. Wśród nich najciekawszym jest ten III., zawierający korespondencyę A. Stolza z Kordulą Wöhler, znaną pod nazwiskiem Kordula Peregrina, ur. 1855 „jako córka pastora w Meklenburgu, natury pietycznej, idealnej." Lekturą pism A. Stolza tak głębokie wrażenie na niej wywarła — i pełna wątpliwości co do swej duszy, pisze do niego list z prośbą o odpowiedź na dręczący jej sumienie niepokój. Korespondencya stąd wynikła początkowo prowadzona bez wiedzy rodziców, potem pod ich ciężką kontrolą, skończyła się tem, że Kordula przechodzi ciężkie prześladowania w domu, skoro zmiarkowano że chce przejść na katolicyzm, i ogłoszona za opętaną przez złego ducha, wreszcie musiała opuścić dom rodzicielski. Pożegnanie z matką i siostrami było zimne, ojciec — pastor odprowadził ją na kolej i zabronił powracać do domu, chyba w ostatniej potrzebie.

Jedzie do Fryburga, gdzie A. Stolz przyjmuje od niej wyznanie wiary, poczem przenosi się do Algau, gdzie dotąd żyje.

Z tej opublikowanej korespondencyi, uzupełnionej dzienniczkiem Korduli, widać ile ciężkich i twardych ofiar musiała przenieść ta córka pastora, idąc za pragnieniem swego serca, aby Boga kochać; w tym celu młode dziewczę ofiarowało wszystko co ziemskie: ojczyznę, rodzinę, przyjaciół, ażeby to tylko jedno osiągnąć, wyznawać prawdziwą religię, stać się dzieckiem prawdziwego Kościoła.

Dla każdej duszy, co w podobnych znajduje się warunkach jak i dla tych co takiemi duszami kierują, zawiera ten zbiór korespondencyi wiele cennych wskazówek i doświadczeń. *R.*

Wybór pism. Ks. Skarga. Ułożył *Januszewski*.

Wybór żywotów Świętych Starego i Nowego Zakonu. Wstępem poprzedził *Januszewski*.

Żywoty Św. Apostołów i Ewangelistów. Przygotował do druku *Januszewski*.

Żywoty Świętych polskich. Wstępem opatrzył *Januszewski*.

Wybór pism. Zygmunt Krasiński. Z przedmową *Januszewskiego*.

Wybór pism. Ks. Hugo Kołłątaj. Ułożył i wstępem opatrzył *St. Rymar*.

Pamiętniki włościanina — od pańszczyzny do dni dzisiejszych. Jan Słomka, wójt z Dzikowa. Z przedmową *Dr. Franciszka Bujaka* prof. Uniw. Jag.

Wspomnienia chłopa powstańca z 1863 r. *Ignacy Drygas*.

Z lat krwawej walki. Opowiadania z lat 1863 — 64.

Zemsta — Hełm — Jacy. *Gorczyński Adam (Jadam z Zatora)*. Opowieści z dziejów Polski.

Posłuszeństwo. *Józef Korzeniowski*. Opowiadanie.

Ludzie dobrzy na jednym wózku do sądu jeżdżą. *J. Dzierzkowski*.

„Bóg się rodzi". Pieśni i kolędy wybrane. Kraków. Krakowska drukarnia Nakładowa 1911 — 14.

Broszury te w popularnem wydaniu przeznaczone są dla warstw ludowych. Sześć pierwszych to dobrze wybrane i najważniejsze a przytem więcej może zajmujące ogół wyjątki z pism Skargi, Krasińskiego i Kołłątaja. Piękna to bardzo, choć nie nowa, myśl, że dziś, gdy oświata coraz szerzej zagarnia ciemne dotąd tłumy, daje się tym tłumom przystosowany do nich pokarm. Dostarcza go nawet przeszłość nasza literacka, jak powyższe świadczy wydawnictwo.

Jubileusz Skargowski przyczynił się wiele do spopularyzowania tych pięknych i natchnionych pism i dzieł naszego powszechnie narodowego kaznodziei Skargi. We „Wyborze pism" mamy obok kazań sejmowych ważniejsze kazania na niedziele, święta; żołnierskie nabożeństwo; kazania pogrzebowe; bractwo miłosierdzia i pokłon P. Bogu za zwycięstwo inflanckie. Trzy dalsze broszury Skargi — to znowu zbiór wybranych, ważniejszych żywotów Świętych. Dobrze, że Żywoty świętych polskich wydano osobno.

Z Krasińskiego wybrano niewiele. Rzecz to zrozumiała, gdyż Krasiński wogóle nie jest dla ludu. Są tu więc tylko bardzo krótkie wyjątki z Irydyona, Nieboskiej Komedyi i Przedświtu, a potem niektóre mniejsze wiersze.

Ks. Kołłątaja wogóle się nie zna, a przecież ma on w swych pismach bardzo dobre rzeczy z dziedziny społeczno-kulturalnej,

prawno-politycznej. W tym wyborze mamy dużo lepszych wyjątków.

Dwie dalsze broszury napisane przez włościan są znakomitym nabytkiemw popularnej literaturze naszej, i to nie tylko dla ludu, ale i dla sfer wykształceńszych. To nic jak szczere i serdeczne, a w prostocie i naiwności piękne nawet wyznania dusz czysto polskich, choć z pod wiejskiej strzechy i chłopskiej siermięgi.

Nabytek to wprost znakomity do psychologii naszego ludu, do zrozumienia jego stanu i jego duszy.

Pamiętniki Słomki posiadają wartość niezwykłą. Zaczynają się od r. 1846 aż do chwil ostatnich, a przedstawiają na przykładzie jednej wioski i jednego człowieka całą formacyę polskiego chłopa — i całą tak głęboko sięgającą przemianę ludu naszego w ostatnich czasach. Pamiętniki te mają tem większe znaczenie, że ukazały się w czasie, kiedy społeczeństwo coraz więcej zajmuje się ludem nie tylko dla zabawy, przyjemności a nawet sztuki, ale przedewszystkiem dla spraw społeczno-politycznych: lud dziś wypływa na wierzch i stanowi czynnik decydujący o losach naszych narodowo-politycznych.

Mają swoją wartość i „Wspomnienia" J. Drygasa, chłopa-powstańca z 1863 r. Postać ta na tle swych wynużeń godnie stanąć może obok Bartoszów Głowackich, Świstackich... bo tak ukochała ojczyznę i sercem i duszą i życiem, i tyle za nią wycierpiała, że na prawdę z podziwu wyjść trudno, iżby lud nasz aż takich wydawał bohaterów.

Do tych samych czasów odnoszą się dość zajmujące opowiadania „Z lat krwawej walki". Dalsze broszury a zwłaszcza A. Gorczyńskiego są dobremi opowiadaniami z naszej dziejowej przeszłości — lud i młodzież czytać je mogą z zajęciem.

Wszystkie te broszury dostać się powinny do bibliotek w szkółkach wiejskich, do czytelń ludowych, lud powinien wziąść je do ręki, gdyż dla niego przedewszystkiem są napisane. *J. Pł.*

Krasiński a chwila dziejowa. *Bronisław Dembiński,* (Odbitka z dziennika Poznańskiego). Poznań 1912. in 6-o str. 29.

Nad kolebką ubiegłego stulecia łuna rewolucyi świeciła i grzmiały napoleońskich kampanii armaty, których echo zbudziło narodowości, i rozwiodło nad Europą rozszalałą barwę przewrotów ideowych, religijnych, politycznych, społecznych, ekonomicznych. Na takiej to widowni, wśród blasków rewolucyi, a nocy bezprawia, staje olbrzym myśli — Z. Krasiński. — Jak owe wichry i błyskawice Zachodu, jak jęki klas niższych i tragedya polska targały duszą twórcy „Nieboskiej" i „Irydiona" — gdzie szukał balsamu pociechy i jak w zmartwychwstanie Polski wierzył, jak idee ludzkości opromieniał światłem krzyża Chrystusowego i spajał z harmonią wszechświata — wszystko to podniosłemi słowy, skrzącemi się od głębokich i trafnych spostrzeżeń i przenośni, stara się szanowny prelegent wykazać w niniejszym odczycie, przebiegając w chronologicznym porządku ważniejsze daty pierwszej połowy XIX stulecia i uzasadnia swe twierdzenia zgrabnie wplecionymi wyjątkami z dzieł i listów Krasińskiego, posługując się głównie znaną pracą p. St. Tarnowskiego. *J. K.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zjazd solidacyi maryańskiej we Lwowie.

Radykalizmowi złego trzeba przeciwstawić radykalizm dobrego — słowa te, wyrzeczone przez X. Arcbpa Teodorowicza w przemowie do sodalisów, przychodzą na pamięć, gdy się myśli o zjeździe sodalicyi maryańskich we Lwowie. Na początku maja b. r. widział Lwów w murach swoich kilkuset delegatów zawiązującego się stronnictwa, które zwąc się radykalną demokracyą, postanowiło dążyć do zmian tak głębokich, że aż wystawiło program usunięcia wszelkiej idei religijnej ze stosunków ludzkich nawet w szkole i u dzieci. Był to program zaiste radykalny i radykalniejszego trudno sobie wystawić. Jeśli się z nim porówna zjazd organizacyjny kongregacyi maryańskich, charakter jego, referaty i rezolucye na nim powzięte, to widzi się odrazu, że kierunek jego biegnie po linii dyametralnie przeciwnej; nietylko żąda zatrzymania stanu posiadania religii, ale wprost domaga się, aby religia stanęła na miejscu jej należnem, na pierwszem miejscu we wszystkich stosunkach — i dążąc do tego celu, chce, aby już w szkole przeniknęła ona jak najbardziej całe wychowanie młodzieży. Radykalizmowi złego przeciwstawia radykalizm dobrego.

Sodalicye nie są dzisiejsze, aby o nich trzeba było podawać

informacye. Sodalicya Lwowska panów właśnie w tym roku święci ćwierćwiecze swego istnienia i z tej okazyi zainicyowała zjazd delegatów u siebie we Lwowie. Jakkolwiek sodalicye pracują cicho, bez krzykliwej reklamy tak, że ledwo o nich od czasu do czasu jakaś wzmianka dostaje się do prasy, to jednak faktem jest, że stają one zawsze w pierwszych szeregach, gdy chodzi o jakąś sprawę zbożną. Z ich łona już nieraz wychodziła śmiała inicyatywa do akcyi na szerszą skalę, one dawały możne poparcie rozpoczętym przez innych przedsięwzięciom dobrym, a nasi pasterze biskupi zawsze na nich liczą jak na szeregi karne a ochotne iść, gdzie ich pomoc okaże się potrzebną. Swą religijnością, płynącą ze świadomego poczucia katolickiego, swym przykładem, życiem prywatnem, swem zdecydowanem stanowiskiem i czynnem poparciem spraw bożych stanowią oni żywotny ferment wśród całej masy zobojętniałych katolików i wybijają się na czoło bojowników o sprawę bożą. Historya ich istnienia już wiele zasług zapisała w podniesieniu się poziomu życia religijnego w naszem społeczeństwie. A jednak czuć było, że czegoś brakowało w ich akcyi. Brak było jej ciągłości, brak jasnej dyrektywy i planowości. Były to odosobnione występy, zapewne ładne i dobre, ale niedostatecznie powiązane ze sobą. Łącznikiem między poszczególnemi grupami sodalicyjnemi były tylko ustawy zasadnicze, jednakowa cześć Boga Rodzicy i żądza dobrego — zresztą rozrzucone po kraju, zanadto małą miały ze sobą styczność, zanadto szły luzem, żeby mogły wykazać jakąś jednolitość akcyi i odnieść jakieś większe zwycięstwa. Ten stan rzeczy zauważyły osoby i z poza sodalicyi z życzliwością obserwujące ich działanie, a także już dawno odczuwane były wewnątrz sodalicyi samych, kiedy w r. 1896 poczyniono pewne kroki, by organizacye skoncentrować pod jakimś naczelnym wydziałem. Niestety próby w r. 1896 nie udały się. Zarząd główny przesłał istnieć zwłaszcza dla tego, że nie odpowiadał zasadniczym ustawom kongregacyjnym. Sodalicye więc nadal szły luzem — od czasu do czasu tylko porozumiewając się w pewnych kwestyach, tak, że kontakt między niemi był tylko przygodny.

W tym dopiero roku zjazd lwowski delegatów od wszystkich sodalicyi męskich w kraju przyjął zasadę koncentracyi, wytwarzając Związki dyecezyalne w dyecezyach i Związek krajowy sodalicyi, do którego przystąpiło na razie 28 sodalicyi męskich, (sodalicye żeńskie jeszcze do związku nie należą) z 1288 członkami. Na czele Związku stoi Wydział, wybieralny na kongresach sodalicyi maryańskich na lat trzy, w którego skład prócz członków sodalicyi wchodzą także delegaci duchowni. Zadaniem tego wydziału, który jest stałym łącznikiem między wszystkiemi sodalicyami, będzie skupić akcyę sodalicyi w pewnych sprawach dotyczących ogółu, wygotowywać jej plany i dawać dyrektywę, jakie stanowisko w danych kwestyach ma zająć cały Związek sodalicyi. Każdej grupie zostawioną jest autonomia w jak najszerszych granicach, o ile warunki lokalne w grę wchodzą — zaś w sprawach ogólniejszego znaczenia obowiązują wskazówki i zlecenia Wydziału. W ten sposób doszły sodalicye do skupienia się w jedną porządną armię, a tylko od sprawności wydziału, jego ruchliwości i energii będzie zależało, by organizacya wydała znaczniejsze owoce.

Prócz sprawy organizacyjnej, którą załatwiono pomyślnie, poruszano jeszcze inne sprawy, a szczególniej sprawę katolickiego wychowania młodzieży. P. Dąbski w doskonałym referacie jasno przedstawił wytyczne linie dobrego wychowania domowego, zaś prof. Walczak podniósł potrzebę usunięcia ze szkół naszych tych ujemnych wpływów, jakie na młodzież katolicką wywierają profesorowie i koledzy żydzi, oraz potrzebę pozytywnego współdziałania gron nauczycielskich razem z katechetą w kierunku ugruntowania w młodzieży zasad prawdziwej religijności. Doskonałe pod tym względem wyniki otrzymane przez zaprowadzenie sodalicyi maryańskich po szkołach, wskazują, że te stowarzyszenia powinnyby znaleźć więcej poparcia ze strony władz szkolnych, niż dotąd, a sodalicye przez swoje prezydyum przedstawią tę sprawę Radzie szkolnej krajowej, aby ona wydała odpowiednie wskazówki podwładnym sobie organom.

Dobrze się stało, że zjazd sodalicyjny zwłaszcza na wy-

chowanie młodzieży szczególniejszą zwrócił uwagę. Łudzić się dłużej nie podobna. Nawet dzisiejsza szkoła liberalna o charakterze międzywyznaniowym, którą katolicy potulnie znoszą— wydaje się niektórym za religijną i zarówno radykalna demokracya, jak i pewien odłam wśród nauczycieli, już zaczyna jawnie uprawiać propagandę o usunięcie młodzieży z pod wszelkiego wpływu religijnego. Niebezpieczeństwo choć może dalekie jeszcze, ale się zbliża i jeżeli społeczeństwo katolickie nie będzie wcześnie uświadomione o niem — jeśli zawczasu wszczętej propagandzie nie przeciwstawi swoich zasad, swoich postulatów jasno sformułowanych i śmiało podniesionych, to przy nieuświadomieniu ludu, przy jego trudnem oryentowaniu się radykalni krzykacze łatwo mogą wiele złego zgotować.

I nie wystarcza nawet zostać przy dawnym stanie rzeczy. Trzeba żądać reformy nawet dzisiejszej szkoły pod względem religijnego wychowania. Dziś niema dwóch zdań, że szkoły nasze nie dorastają do wysokości swego zadania. Stwierdzono to w ostatnich czasach z wielu stron, a nawet grona profesorskie widzą braki i niedomagania i debatują nad reformą szkolnictwa. Ale co w tych debatach uderza, to pewna powierzchowność, wynikająca stąd, że omawia się raczej metody, programy, że się tak wyrazimy, techniczną stronę prowadzenia uczniów, a mało się schodzi w głąb, do fundamentów, na jakich ma być oparta szkoła. Nie widać dostatecznego zdawania sobie sprawy z charakteru wychowawczego szkół. Strona naukowa bierze górę nad stroną wychowawczą—a tymczasem zasadniczy błąd szkół obecnych jest ten, że mało albo wcale nie wychowują, a szczególnie strona religijna, ta najważniejsza część i podstawa całego wychowania, traktowana jest po macoszemu — z uprzedzeniem, niechęcią, albo niejasno, bojaźliwie, nieszczerze. Nieliczne jednostki tylko mają pod tym względem wyrobione zdanie, ale wielki ogół nie zdaje sobie nawet sprawy, że najgłówniejsza przyczyna niedomagań szkolnych jest połowiczność, niezdecydowanie, obojętność szkoły dzisiejszej w sprawie religijnego wychowania.

Połowiczność ta wytwarza nietylko na tle osobistych niedomagań profesorów pod tym względem, ale spowodowana jest ca-

łym systemem, który, oparty na liberalnych zasadach, przypuszcza, że uczniów katolickich, bez uszczerbku dla ich charakteru, może wychowywać wychowawca innych przekonań. Te szkoły nasze nie mają faktycznie za podstawę religii — w nich uczyć mogą profesorowie nawet żydzi, religią i narodowością zupełnie obcy młodzieży; religia jest tylko przedmiotem naukowym, o tyle tylko wyższym nad inne, że na świadectwach jest wymieniona na pierwszem miejscu, zresztą faktycznie jakimś podrzędnym. Z tego stanu rzeczy w całym systemie szkolnym musi się wytworzyć jakaś niezdrowa atmosfera wychowawcza. Indyferentyzm religijny musi w niej święcić tryumfy. Nie mówiąc już o tych wypadłach, gdy profesor niewierzący lub innowierca wygłasza zdania sprzeczne z zasadami katolickiemi (o czem nie wiedzą władze, ale słyszą uczniowie) i w ten sposób osłabia powagę religii i wnosi do duszy młodocianej zamęt i zabójczy sceptycyzm względem podstaw moralności — same jego niedomówienia, sama nawet skądinąd chwalebna rezerwa już zabójczo działa na odczucie młodzieży, zarzucając na jej duszę jakieś cienie niejasności. Ale nawet katolik-profesor, człowiek najlepszych chęci, mając przed sobą uczniów rozmaitych wyznań, czuje się skrępowanym i boi się jasno przed dziećmi katolickiemi wystąpić z swem przekonaniem katolickiem z obawy, by nie zadrasnąć uczucia innych — nie może mówić tego, co myśli i czuje, co mówićby mu należało w gronie uczniów katolickich, bo usta mu zamyka obecność żydów. W ten sposób religia niby ma być w szkole szanowaną i wykładaną, ale właściwie jest wtłoczoną w jakąś sytuacyę przykrą i śmieszną i wprost już niegodną. Z jednej strony świadczy się jej niby na zewnątrz honory, ale w stosunkach szkolnych nie śmie się z nią wystąpić — nie można o niej nigdzie jasno i śmiało się odezwać. Obchodzi się z nią jak ze starą, zdziecinniałą babcią, którą się niby szanuje, ale do towarzystwa wprowadzić nie chce; tak, że ona w stosunkach szkolnych nie jest radosną, bożą prawdą, nie odczuwa się jej jako fundamentu nauki i prawdy i moralności i wogóle całości życia, ale jako szacowne rupiecie, jako zawadę niewygodną, z którą nie wie-

dzieć, co zrobić, która w szkole musi być, a którą trzeba ostrożnie omijać, aby nie wywołać niepożądanych kwasów i nieprzyjemności. Jak w takim stanie może wychowanie postępować czy może religia uszlachetniać dusze młode, czy raczej nie wypędza się jej z ducha młodzieży—to każdy łatwo sobie wyobrazi.

Uznanie się należy tym dyrektorom, profesorom, którzy mimo tego fatalnego stanu, swemi osobistemi zasługami starają się uchylić fatalne skutki tego systemu, opartego na liberaliźmie; mimo usiłowań nie mogą ich znieść zupełnie. I wyjścia z tego fałszywego położenia niema innego, jak tylko albo zupełnie usunąć młodzież od wpływu religii, jak chce demokracya radykalna — albo też religię uczynić naprawdę osią wychowania, jak tego żąda prof. Walczak. Wszelka połowiczność nie prowadzi do celu. Tylko że w pierwszym wypadku szkoła będzie wydawała wykształconych wykolejowców z wielkiemi pretensyami, przekonanych o rzekomych prawach, materyał do wszelkiego radykalizmu w kierunku ujemnym niepoczytalnych, bojowców rozmaitego rodzaju aż do anarchistów, bandytów, apaszów a ostatecznie samobójców, — jak pokazały doświadczenia francuskie — a w drugim, ze szkoły, w której nietylko nominalnie ale rzeczywiście osią wychowawczą jest religia, wychodzić będą charaktery tęgie z głębokiem poczuciem mnogich obowiązków w życiu i odpowiedzialności za czyny, ludzi sumiennych — materyał do najwyższych poświęceń i bohaterstwa. Nie bierzemy pod uwagę odchyleń od tej normy, które się wydarzały i zawsze wydarzać będą.

Dlatego dobrze się stało, że na Zjazdach sodalicyjnych podniesiono żądanie, aby szkoły nasze uczynić jednolite pod względem wyznaniowym, przez niedopuszczanie do nich profesorów i uczniów innowierców i aby przy poparciu i współdziałaniu czynników szkolnych rozwinąć w nich życie religijne wśród młodzieży. Jestto jedyna odpowiedź na podniesione hasło wolnej od czynników religijnych szkoły, a jeśli sodalicya nie przestanie tylko na słowach i żądaniach, jeślirozwinie w tym duchu działalność szeroką, jeśli wśród zabiegów o reformę szkół potrafi na właściwem miejscu śmiało wnieść i postawić czynnik religijny tak, jak go po-

stawiła w swem gronie i wywalczyć mu uznanie, w takim razie nieocenioną odda przysługęi kościołowi i społeczeństwu naszemu. A trzeba to robić koniecznie, trzeba radykalizmowi złego przedstawić radykalizm dobrego.

Konkordat w Serbii. Po wojnach bałkańskich zyskała Serbia duże terytorya wraz z ludnością należącą do różnych wyznań, której stosunki wyznaniowe domagały się rychłego uregulowania. Wśród przyłączonej ludności znalazła się także znaczna część katolików, głównie Albańczyków, ale także i innych narodowości słowiańskich. Dopóki byli oni pod rządami tureckimi, protektorat nad nimi sprawowała Austrya, która też była niejako pośrednikiem między nimi a Stolicą św. Oczywiście, że protektorat ten, uregulowany zresztą w licznych traktatach z Turcyą, nie był bez znaczenia politycznego; dozwalając Austryi mieszać się w sprawy katolików tureckich, zezwalał tem samem na rozmaite wpływy polityczne w tych krajach.

Jasną jest rzeczą, że kiedy karta bałkańska uległa zmianie i większa część krajów tureckich przypadła Serbii, rząd serbski nie zgodzi się na „*status quo*" wyznaniowy i nie zechce pozwolić obcym mocarstwom mieszać się we wewnętrzne stosunki jego poddanych tem mniej, że tem mocarstwem była Austrya, z którą głębokie antagonizmy nie prędko chyba dadzą się wyrównać. Trzeba było myśleć o jakiemś innem rozwiązaniu tej sprawy, rozwiązaniu takiem, któreby usuwało możność ingerencyi Austro-Węgier. Do tego pchały także wypadki w przyłączonej Macedonii, gdzie między prawosławnymi Bułgarami zjawił się ruch unicki, mający na celu uniezależnić się od władz kościelnych serbskich, przez poddanie się władzy papieskiej. Tak więc wejście w stosunki z Rzymem stawało się dla Serbii koniecznością.

Wieści o rokowaniach Serbii ze Stolicą Apostolską pojawiały się już od dawna, ale długo trwało, nim doszło do porozumienia. Ostatecznie jednak porozumienie nastąpiło i 24 czerwca w apartamentach kardynała Sekretarza Stanu podpisano kon-

kordat z obydwu stron — po czem pełnomocnik serbski Dr. Wesnič był u Ojca św. na audyencyi, na której wyrażono obopólnie nadzieję i życzenia, żeby dzieło dokonane przyniosło obu stronom jak najpomyślniejsze wyniki.

Konkordat ze Serbią wzorowany jest na tekście konkordatu z Czarnogórą z r. 1886. W 22 artykułach obejmuje on całość stosunków katolicyzmu w Serbii. Religii katolickiej na mocy konkordatu przyznaje się swobodę i jawne wyznanie. Pierwszym tego skutkiem jest zaprowadzenie regularnej organizacyi kościelnej w całem Królestwie Serbskiem. W stolicy Belgradzie będzie rezydował arcybiskup z władzą nad katolikami w dawnych granicach serbskich, zaś w Ueskubie zamieszka zależny od arcybiskupa belgradzkiego biskup sufragan, z władzą nad Nową Serbią. Obydwaj ci dygnitarze kościelni bezpośrednio podlegają Stolicy św. w sprawach kościelnych. Biskupów mianuje Ojciec św. za uprzedniem porozumieniem się z rządem co do kandydatów, a utrzymanie ich bierze rząd na siebie i ustanawia dla nich stosowną pensyę. Jak biskupów mianuje papież po porozumieniu się z rządem, tak znowu biskupi w porozumieniu z nim mają władzę mianowania proboszczów oraz katechetów dla nauki religii katolickiej, która będzie podlegać władzy i nadzorowi biskupiemu. Rząd uznaje ważność małżeństw katolickich jak również i mieszanych zawartych według ustaw Kościoła katolickiego i sąd w obydwu tych rodzajach małżeństw, o ile nie wchodzą w grę następstwa cywilne tych związków, należeć będzie do trybunału kościelnego. Kościołowi przyznaje się następnie charakter osoby prawnej ze zdolnością wykonywania praw jej przysługujących a kapłanom tak świeckim i zakonnym zwolnienie od obowiązku pełnienia powinności państwowych i piastowania urzędów publicznych, niezgodnych z ich życiem i powołaniem kapłańskiem.

Wreszcie we wszystkich trudnościach, wynikających z interpretacyi układu, rozstrzygać się będzie na podstawie prawa kanonicznego.

W ten sposób Kościół w Serbii będzie posiadał przyznane sobie prawo bytu, którego dotąd nie posiadał; dostając organizacyę

sobie właściwą, autonomię w swych sprawach wewnętrznych a kwestyach mieszanych zupełnie uwzględnienie prawa kościelnego, zyskuje podstawę do życia i rozwoju w przyszłości. Zależeć to oczywiście musi od tego, jak rząd serbski będzie się praktycznie stosował do zawartej umowy.

Pojawiły się w prasie tłumaczenia, że dojście do porozumienia między Stolicą Apostolską a Serbią jest nowym tryumfem dyplomacyi petersburskiej i belgradzkiej nad polityką Austro-Węgier. Protektorat Austryi, jako niemający już racyi bytu wobec zupełnie unormowanych stosunków kościelnych upada, a z nim straci Austrya podstawę swych wpływów politycznych na Bałkanach. Dawniej wyzwoliła się z pod tego protektoratu Bułgarya, obecnie czyni to i Serbia. Zaprzeczyć się nie da, że wskutek zawarcia konkordatu Austrya ponosi stratę, ale strata ta właściwie stała się koniecznością po klęskach tureckich. Przecież nie można się było spodziewać, żeby Stolica Rzymska, która jedynie kieruje się względem na cele wyższe, na dobro religii i Kościoła Chrystusowego, miała dla względów czysto politycznych o swem posłannictwie zapomnieć i dla dogodzenia dyplomacyi austryackiej upierać się przy „*status quo*", które nie wiele zabezpieczało przed uciskiem i prześladowaniem a odrzucić zupełną wolność i swobodę, ofiarowaną Jej przez rząd serbski.

Wszak zrywanie układu i usuwanie się od ofiarowanych propozycyi nietylko nie poprawiłoby doli katolików w Serbii, ale ściągnęłoby gniew rządu, który na nich mógłby mścić się za doznane zawody. Watykan nie mógł inaczej postąpić, jak postąpił i dyplomacya austryacka zrozumieć to musi. Jakkolwiek ciężko jej przychodzi wyrzec się pożądanych przywilejów, rezygnuje jednak z nich i stosunki między Austryą i Watykanem są jak najlepsze.

Zresztą nawet protektorat austryacki nie jest jeszcze zupełnie zniesiony. Choć o nim niema wzmianki w konkordacie, będzie prawdopodobnie jeszcze stosowany o tyle, że Austrya ma prawo własności do niektórych zakładów katolickich w obrębie ziem do Serbii przyłączonych i zapewne z tego prawa nie ustąpi i nadal będzie swymi funduszami podtrzymywała byt zakładów,

które do niej należą. Możliwe nawet, jak donoszą niektóre dzienniki rzymskie, że w anneksach, które później mają być ogłoszone, zostanie na tej podstawie *implicite* uznaną zasada protektoratu Austryi. W każdym razie taki protektorat austryacki w zasadzie byłby też niemałą gwarancyą, żeby zobowiązania konkordatu były lojalnie spełniane: gdyby bowiem Serbia zobowiązań nie dotrzymała, natychmiast Austrya wkroczyłaby w swoje prawa protektoratu nad katolikami.

Ks. L. Rudnicki.

Jubileusz Towarzystwa Numizmatycznego

W szeregu krakowskich towarzystw naukowych wybija się na jedno z poczesniejszych miejsc Towarzystwo numizmatyczne, które właśnie w czerwcu b. r. obchodzi 25 letni jubileusz swego istnienia. Jest to nietylko rocznica założenia Towarzystwa, ale zarazem jubileusz podniesienia numizmatyki u nas do godności nauki, jubileuszu tych 25 letnich usiłowań, aby tę naukę na odpowiednich wyżynach utrzymać i coraz szersze, a głębsze zataczać jej kręgi. Z tego stanowiska rzecz biorąc, pragnę na tem miejscu poświęcić parę słów wymienionemu Towarzystwu i nauce, którą pielęgnuje.

Początki numizmatyki jako nauki w Polsce sięgają czasów Czackiego w liceum krzemienieckiem i Albertrandiego w warszawskiem Tow. przyjaciół nauk, jej główne jednak rozwinięcie zawdzięczamy Lelewelowi, Zagórskiemu i Stronczyńskiemu w połowie XIX wieku. Uczeni ci jednak z rozmaitego punktu patrzyli na numizmatykę. Czackiemu potrzebną była do historyi prawa polskiego i litewskiego, dlatego w jego rękach stała się częścią nauk prawniczych i ekonomicznych i dotychczas jako taka była przez prawników traktowana. Albertrandi natomiast uważał ją za część archeologii, a numizmatykę starożytną jako bardzo dobrą illustracyę przy archeologii klasycznej. W rękach Lelewela stała się numizmatyka „nauką, dającą poznać źródła historyczne", a więc nauką pomocniczą do historyi danego kraju, podobnie jak dyplomatyka, paleografia, heraldyka, sfragistyka etc. Lelewelowski sposób patrzenia utrwalił się też aż do dziś dnia prawie

w naszej nauce, a przez to, można powiedzieć, znacznie utrudnił postęp i rozwój numizmatyki u nas. Podobnie jak w innych gałęziach wiedzy historyczny punkt patrzenia był tutaj długo jedynie miarodajny, a na wszystkie studya i badania numizmatyczne, które nie przynosiły materyału bezpośredniego dla historyi politycznej, patrzano lekceważąco lub ignorowano zupełnie.

Z tego zapewne powodu, po uczonych tej miary co Lelewel, Zagórski i Stronczyński, którzy prawie cały zrąb numizmatyki polskiej wystawili, przyszedł okres dla tej nauki dosyć bezpłodny, który ani świetnych nazwisk, ani pomnikowych dzieł nie zostawił. Lata 1850 — 1880 są jednakowoż bardzo ważne dla amatorów i zbieraczy, gdyż wtenczas to powstają u nas w długim szeregu zbiory i kolekcye monet i medali, przeważnie prywatne, nad któremi cały szereg ludzi z zapałem pracuje, które tworzy, powiększa i specyalizuje. Wówczas to działają wśród koła działaczy ludzie tej miary co senator Kazimierz Stronczyński, Karol Beyer z Warszawy i Władysław Bartynowski z Krakowa, przed którymi nie ukryło się żadne wykopalisko i nie zataił się żaden zbiorek. Potrafili oni obudzać zapał zbieraczy i miłości ku ojczystym zabytkom, umieli zwracać uwagę na zapoznane dotychczas zabytki numizmatyczne lub na archiwalia tej kwestyi dotyczące. Okres ten zbierania i tworzenia kolekcyi numizmatycznych jest analogiczny do tego, co nazywamy w nauce inwentaryzacyą i mniej więcej schodzi się chronologicznie u nas z wydawnictwami kodeksów, dokumentów, zabytków sztuki i innych różnego rodzaju świadków przeszłości. Tak jak te wydawnictwa były i zbiory numizmatyczne potrzebne, by nauka dalej rozwijać się mogła.

Dodatnie skutki tego rodzaju pracy całego szeregu zbieraczy i kolekcyonerów widać odrazu w publikacyach numizmatycznych, jakie w latach 1880 powstały, przedewszystkiem w dziele Piekosińskiego *O monecie i stopie menniczej XIV. i XV. w.* oraz w drugiem wydaniu „*Monet Piastów i Jagiellonów*“ Stronczyńskiego. Oba dzieła stanowią nową epokę w nauce numizmatycznej. Od nich to datuje się ten potężny rozwój literatury numizmatycznej, jaki w najbliższych dziesiątkach lat miał miejsce, one to zapoczątkowały poważne i gruntowne badania na tem polu wiedzy. W niespełna rok po wydaniu dzieła Stronczyńskiego ukazuje się specyalne czasopismo w Krakowie: *Zapiski numizmatyczne* Kurnatowskiego, w parę zaś lat później 1888 zawiązuje się osobne towarzystwo numizmatyczne w Krakowie,

z prezesem Piotrem Umińskim, emigrantem i właścicielem dużego zbioru medali na czele.

Jeżeli zapytamy, co właściwie spowodowało założenie Towarzystwa i do tego w Krakowie, a nie n. p. w Warszawie, która w owych latach miała bardzo żywy ruch numizmatyczny u siebie, to doprawdy nie umielibyśmy krótko odpowiedzieć. Powszechne uznanie Krakowa za siedzibę polskiej nauki, większa wolność słowa niż w Warszawie, a wreszcie powodzenie, jakiem cieszyły się „*Zapiski num.*" i zapał paru jednostek doprowadziły dzieło do skutku. Dla nauki był to ogromnie dodatni objaw, ogromne *plus* na jej dobro, tak jak zawsze, gdy pewna gałęź wiedzy zdoła swoich adeptów pod jednym zgromadzić sztandarem. Mimo to charakter świeżo zawiązanego Towarzystwa dziwnie był mieszany. Właściwych numizmatyków, którzy je zawiązywali, było nie wielu, a w latach początkowych przewagę mieli za to archeolodzy i historycy sztuki. Tę wielostronną działalność Towarzystwa w pierwszych latach jego istnienia widać aż nadto dobrze z jego kwartalnika *Wiadomości numizm. archeologiczne*", które, jak już z tytułu samego a jeszcze więcej z treści widać, były organem nietylko numizmatyków, ale i archeologów, a zatem pomieszczały także artykuły z dziedziny prehistoryi, historyi sztuki, bibliografii, miedziorytnictwa etc. Pod umiejętną a wytrawną ręką długoletniego redaktora p. Wład. Bartynowskiego. Numizmatyka zawsze górowała nad innemi i na pierwszem stała miejscu nie dlatego, by miano ją za coś lepszego od innych nauk uważać, ale poprostu z tego powodu, że była u siebie w domu, taką się czuła, a innym naukom pozwalała tylko u siebie i przy sobie się wypowiadać.

Dzisiejszego jednak obserwatora rażą dwie rzeczy ówczesne, poniekąd sprzeczne ze sobą: postanowienie zasady w Towarzystwie, że numizmatyka, to tylko poboczna i pomocnicza nauka historyi, a równocześnie brak zawodowych historyków w szeregach współpracowników„ *Wiadomości Num.*" Pierwsza zasada spowodowała, że zwracano na zabytki numizmatyczne uwagę o tyle, o ile one dla historyi w ogóle, a politycznej w szczególności mają jakieś znaczenie, stąd zaniedbano właściwe, ściśle numizmatyczne badania i dotąd jeszcze nie stworzono właściwej naukowej metody, planu i zakresu Numizmatyki polskiej. Powtóre brak zawodowych historyków, lub przynajmniej ludzi z historyczną metodą badań obeznanych tamował rozwój nauki od świetnie rozwijającej się historyi, lub historyi sztuki. To było powodem, że historya ze zdobyczy numizmatyki umyślnie,

czy przez ignorancyę nie czerpała prawie wcale, a zdrugiej strony, że studya numizm. miały tak jak przedtem charakter przeważnie inwentaryzacyi i opisów. Wytwarza się sytuacya, że numizmatyka robi wszystko, by stać się prawdziwą pomocą nauki, ta zaś nie bacząc na jej trudy i zdobycze, albo ignoruje ją zupełnie, albo nie umie jej używać[1]).

Naturalnym porządkiem rzeczy ruch cały numizmatyczny zaczął powoli opuszczać Warszawę, a skupiać się w Krakowie, około osoby szanowanego powszechnie redaktora „*Wiadomości Num. Arch.*" Wład. Bartynowskiego. Swoim spokojem i taktem umiał pogodzić on sprzeczne nieraz dążności zbieraczy i uczonych, prehistoryków i historyków sztuki, młodszych i starszych członków. Rozwój Towarzystwa skupiającego w sobie wszystkich prawie zbieraczy i miłośników numizmatyki polskiej, byłby potoczył się szybszym jeszcze korytem, gdyby nie parę okoliczności, które na chwilę zatamować go zdołały. Przedewszystkiem ustąpienie z redaktorstwa znanego powszechnie i lubianego p. Wł. Bartynowskiego ostudziło zapał wielu dotychczasowych współpracowników, śmierć zaś pierwszego prezesa Piotra Umińskiego i wybór w jego miejsce Andrzeja hr. Potockiego nie przyniósł Towarzystwu spodziewanych korzyści z tej racyi, że nowy prezes, mimo iż numizmatykę lubił, na zbiór własny dużo łożył, sprawom Towarzystwa nie mógł większej poświęcać uwagi. Trzeci wreszcie może najważniejszy powód to zdobycie chwilowe przewagi przez historyę sztuki i przez jej reprezentantów tak w Towarzystwie jak i „*Wiadomościach Numizm. Arch.*"

Z opressyi tych, które już groziły zawieszeniem wydawnictwa i rozwiązaniem towarzystwa, wyszła przecież numizmatyka obronną ręką. W roku 1909 nastąpiła gruntowna reorganizacya, zmiana statutu, przemiana kwartalnika w miesięcznik, wybór nowego prezesa i redaktora. Po tragicznej śmierci hr. Potockiego obrano prezesem p. Henryka Mańkowskiego z Winnogóry, właściciela olbrzymiego zbioru monet polskich, który odtąd nadzwyczaj troskliwie opiekuje się sprawami Towarzystwa. Równocześnie postawił nowy redaktor Dr. Maryan Gumowski zasadę, że numizmatyka jest nauką pomocniczą nietylko dla historyi ale i dla prawa ekonomii, historyi sztuki, archeologii, etc., a przez to samo jest nauką samą dla siebie, która jak każda inna, własne ma cele i pragnienia, własne metody i środki naukowe.

[1]) Polemika o dukata Łokietka: Wierzbowski-Wittyg-Piekosiński, oraz polemika o grzywnach karnych: Małecki-Wittyg-Piekosiński.

Zdobycze naukowe, jakie ona przynosi, są nietylko dla historyi politycznej przeznaczone, ale w równej mierze mogą być dobre dla ekonomii społecznej, dla metrologii, epigrafii etc. Zakres jej jest tak rozległy jak każdej innej nauki historycznej, z historyą narodu zaczyna się też jego literatura, sztuka, prawo etc. no i numizmatyka.

Na tych podstawach oparte oddało się Towarzystwo dalszej pracy, zdobyło też wnet uznanie i niebywałą dotąd ilość członków. Co więcej numizmatyka dopiero teraz, kiedy zerwała z tradycyą nauki pomocniczej, doczeka się uwzględnienia w historyi politycznej powszechnej i dziś już można wskazać na cały szereg dzieł historycznych, które albo całe ustępy o treści numizmatycznej posiadają (Jasiński, Kolankowski, Konopczyński), albo też na badaniach i zdobyczach numizmatyki są oparte (Szelągowski).

Obchodząc dzisiaj jubileusz, może Towarzystwo z zadowoleniem spoglądać na 25 lat ubiegłych. Rozwój Towarzystwa, podniesienie numizmatyki do godności samodzielnej nauki, wykorzystanie materyału nagromadzonego dawniej po zbiorach i spopularyzowanie tegoż w świeżo wydanym „*Podręczniku Numizmatyki polskiej*“ oto rezultat tyloletniej pracy. Otwarta w dniu jubileuszu wystawa medalierstwa polskiego świadczy, że i ta gałąź sztuki doznawała opieki ze strony Towarzystwa, które wybijając szereg medali w ostatnich latach, pragnęło drogą konkursów i nagród podnieść zaniedbaną u nas tę dziedzinę rzeźby. Na jubileusz, który się odbył w dniu 28 i 29 czerwca, zjechał się liczny poczet Członków i uczonych ze wszystkich stron Polski, wygłoszono też wiele odczytów i referatów. Zjazd ten był też najlepszym dowodem żywotności Towarzystwa i popularności, jaką nietylko w naukowych kołach się cieszy, a dyskusye, przyczyniły się wielbe do wzajemnego porozumienia i współpracownictwa między historykami i numizmatykami, co tylko z korzyścią dla nauki połączonem być może.

Dr. M. Gumowski.

Z galeryi zapomnianych malarzy polskich.

W numerze 47 *Tygodnika illustrowanego* warszawskiego z roku 1913 ogłosił p. K. Bartoszewicz nieznany dotąd memoryalik Szczęsnego Morawskiego artysty malarza, znanego i cenionego jednak więcej jako autora „Sandeczyzny“, historyka i archeologa,

memoryalik, obejmujący misternie skreślone charakterystyki współczesnych mu malarzy lwowskich, a spisany około roku 1849.

Naszkicował tam sylwetki dwunastu artystów, z którymi stał widocznie bądź to w stosunkach koleżeńskich, bądź przyjacielskich, bądź tylko w osobistej znajomości, jużto wiekiem od siebie starszych, już młodszych, nie zapominając i o swojej krótkiej autobiografii.

Powstał widocznie ten memoryalik pod wrażeniem chwili i jak mu się sposobność nawinęła, lub na myśl przyszedł ten lub ów kolega, gdyż nie widać tam ani z góry ułożonego planu ani systematycznego porządku, dlatego przypuścić należy, że pisał go w miarę okoliczności w oderwanych ustępach czasu, a nie za jednym zamachem, a więc nie w samym roku 1849, ale mniej więcej około tego czasu.

Widać, że w autorze przeważała żyłka literacka, a że, choć sam malarz i za takiego chciał głównie uchodzić — nie chwycił za ołówek lub pendzel ale za pióro, aby nas obdarzyć tak cennym dokumentem, bardzo mu musimy być wdzięczni, bo ta ulotna kartka więcej mu przysporzy zasługi a nam przyniesie korzyści, niż tuzin portrecików ołówkiem.

Dorzucę tu zatem i do jego biografii kilka autentycznych szczegółów, ażeby go już nie traktowano dłużej pod względem jego artyzmu jako Tamanka, który miał tylko „pociąg do malarstwa", gdyż znajduje go zapisanego w akademii sztuk p. w Wiedniu w dniu 11 listopada 1839 i to w klasie rysunku podług antyków prowadzonej przez słynnego Leop. Kupelwiesera, głowę i założyciela wiedeńskiej szkoły t. zw. Nazareńczyków († 1862). Liczył wtedy lat 20., urodzony w Rzeszowie z Ojca Ignacego, obywatela tamecznego, a jak wiemy teraz z jego pamiętniczka — „wielkiego cechmistrza rzeźnickiego". Zamieszkał na dzielnicy IV. pod Nr. 539. przy Wiedener Haupstrasse, wraz z Aleksandrem Raczyńskim, w tym samym dniu zapisanym do Akademii.

Uczęszczał Morawski do tej szkoły dwa lata, ukończył bowiem jeszcze zimowe półrocze roku 1841, uczęszczając w niem i na kurs rzeźbiarski — w którym otrzymał nawet „pierwszą klasę", podczas gdy w szkole rysunku dostała mu się dwójka.

Tyle o Morawskim.

Wracając do jego pamiętniczka, zaznaczę z góry charakterystyczny ten szczegół, że z pomiędzy dwunastu wspomnianych tam artystów — dotąd cała ich połowa pozostała dla nas prawie całkiem nieznaną.

A mianowicie są to rytownicy, rysownicy i akwarelliści: Auer, Józef Swoboda, Baron Adolf Nigroni, (odkryty dopiero w r. 1912 z okazyi wystawy miniatur we Lwowie). Franciszek Bełdowski (męczennik polityczny, samouk), dalej malarze Józef Machold i Tomasz Tyrowicz.

Tym ostatnim dziś się zajmiemy, bo on przedewszystkiem na to zasługuje, aby go wydrzeć zapomnieniu i wbrew fatum, ciążącemu widocznie nad jego imieniem, wyznaczyć mu należne w naszej historyi sztuki miejsce. Mamy nadto na nim niejako szkolny przykład, o istnieniu „przeznaczenia", „losów" czy „fatum" o tem, co w potocznem życiu zowiemy „szczęściem" lub „smołą", *vulgo* „pechem", któremu podlega każdy śmiertelnik — i służyć za dowód, że za nic geniusz, talent i nauka — gdzie niema — „szczęścia".

Żywym tego przykładem Tyrowicz, nad którego mogiłą pomimo, że przemknęło już pewnie pół wieku, pomimo, że godnym był zostać polski Tycyanem, skoro „serce rosło" współczesnym i to kolegom, patrzącym na jego „malowanie prawie weneckie" — to przecie los wrogi zapędził do — Brzeżan, (a nawet tylko pod Brzeżany) i zamiast postawić na świeczniku — to przecie nawet imieniowi jego nie pozwolił dotąd przedostać się do potomności! I tego jeszcze niedość; bo gdy wreszcie szczególnym trafem znalazł się kompetentny świadek i wielbiciel jego talentu — gdy odkryto ważny dokument, mający utrwalić jego imię w księdze historyi — i teraz jeszcze los zawistny tego mu pozazdrościł i teraz jeszcze zabronił tam wstępu — a to w postaci „djabełka drukarskiego", „redakcyjnego" czy „zecerskiego" (tyle i kilka jeszcze innych gatunków tego niemiłego gościa zagnieździło się w drukarstwie), który zmianą jednej litery, tak go przechrzcił do niepoznania, że mu znów grozi otchłań zapomnienia.

Wyszedł bowiem nasz Tyrowicz w tekście wyż omówionego pamiętniczka Morawskiego — z kuźni przeznaczeń i praktyk owych dyablików — jako Typowicz!

A ponieważ z losem nie można walki wszczynać bezkarnie, przed czem już greccy ostrzegali mędrcy, to bardzo się obawiam, że i to niniejszem zamierzone skorygowanie przeciwnego losu Tyrowicza, nie pójdzie gładko (przynajmniej dotąd w Tyg. illustr. nie znalazło pomieszczenia, gdzie w pierwszym rzędzie uczynić to należało), natrafi na nowe trudności przeciwieństwa i przewlekania, a w końcu gotowa się sprawdzić ludowa przypowieść: „prowadził ślepy kulawego, aż obaj w dół wpadli".

Nadaremno...

Wrócimy już tedy do Tyrowicza.

Powiedziałem, że nazwisko Tyrowicza dotąd w naszej literaturze o sztuce nieznane, bo że, X. J. F. Kluczycki w swojej dziś zresztą już bardzo rzadkiej książce: „*Pamiątki polskie w Wiedniu*" Kraków 1835, na str. 289 wspomina o dwóch „teraz w Wiedniu początki sztuk sztuk swoich odbywających, pełnych nadziei talentach: pp. Prociński i Tyrowicz", nie zmienia to w niczem postaci rzeczy, bo może się znaleźć jego nazwisko jeszcze i w innej jakiejś przygodnej notatce, a pomimo to imię jego pozostało nam obce, a najlepszym tego dowodem że takie wzmianki nie na właściwem miejscu zostają długo niepostrzeżone, jest i to, że w tejże samej książce figuruje nawet także jej ozdoba, miedzioryt wykonany podług rysunku tegoż Tyrowicza, opatrzony jego sygnaturą: „Tyrowicz rysow.", przedstawiający obelisk pamiątkowy, wzniesiony przez ces. Leopolda I. na tem miejscu, na którem po odsieczy Wiednia zjechał się z królem oswobodzicielem pod Szwechat — rysunek z wielkim talentem wykonany — a przecie i on nie zwrócił na siebie uwagi kompetentnego koła badaczy.

Pierwszą zatem wzmianką a raczej już obszerniejszą wiadomością o charakterze przystępnego źródła o naszym artyście, jest to, co o nim w krótkich lecz jędrnych a serdecznych i duszę człowieka i artysty odsłaniających słowach napisał współczesny mu Szczęsny Morawski.

Musimy tu zatem cały ten klasycznie piękny ustęp przytoczyć dosłownie.

„Tomasz Tyrowicz (w tekście *Tygodnika ill*: „Typowicz", to tylko omyłka drukarska, jeżeli nie mylne odczytanie oryginału) w Brzeżanach, (zamieszkały). Z Brzeżan. (rodem) Liczy do 40 lat, wielbiciel weneckiego barwna i dobry malarz. Uczył się w Wiedniu, w Dreźnie, gdzie jego kopie uwagę dworu zwracały i w Rzymie parę miesięcy. — Utworzył on niedawno temu Judasza, zwracającego Kaifaszowi 30 srebrników. Pojęcie wielkie charakterów, mianowicie Kaifasza, zgorszonego Arcykapłana Zakonu, od Boga ludowi wybranemu nadanego — przerażenie Judasza na widok przez okno Chrystusa, wiedzionego na Golgotę i piekielne drwiny Faryzeusza, pokazującego mu napis na krzyżu przybić się mający: J. N. R. J.

Z tych trzech głównych figur w naturalnej wielkości składa się rzeczony obraz — malowanie prawie weneckie — tylko się jeszcze asfaltu boi — zabytek niemieckich akademii.

Serce rośnie, patrząc się na ten obraz, bo w nim wielka myśl po-

tężnie pojęta.

Mieszka w Brzeżanach w chatce skromnej rodziny swej, której jest podporą — jak jest przyjacielem wszystkich, co go znają. Myśl ognista, charakter prawy, dążność religijna i bolesna — wskutek walki umysłowej — i złamanych uczuć!"

W tej pięknej i rzewnej sylwetce, naszkicowanej z taką ujmującą naiwnością, prostotą, szczerością i serdecznością odtworzył Szczęsny Morawski mistrzowskiem piórem, godnem rywalizować z Vasarim, typową postać artysty Polaka w Galicyi z przed roku 1848.

Brzeżany — skromna chatka — podpora rodziny — pojęcie wielkie — myśl ognista — walka umysłowa — złamane uczucia.

Oto treść i osnowa życia prawie każdego z nich!

I my, mając takiego Tyrowicza, nie wiedzieliśmy nic dotąd ani o nim, ani o jego dziełach? Takie mistrzowskie płótno Judasza miałoby butwieć gdzieś w ukryciu?

Nie mogę się tu wdawać w komentarz artystyczny tej sylwetki ani wyciągać odpowiednich wniosków z punktu widzenia badacza sztuki, bo mojem zadaniem przygotować materyał dla niego — ale mam to uczucie, że koniecznie trzeba nam teraz szukać za tym „Judaszem" za kopiami i studyami Tyrowicza, bo będą chlubą każdej galeryi i pomnikiem naszej i jego chwały.

Tu tylko ograniczyć się muszę na podaniu tych nowych wiadomości o Tyrowiczu, jakie zaczerpnąłem z aktów Akademii sztuk pięknych wiedeńskiej, której był długoletnim uczniem.

Tomasz Tyrowicz, wstąpił do tej akademii, wedle protokołu wpisu w dniu 18 listopada 1833 jako dwudziestoletni młodzieniec, urodził się zatem w pamiętnym roku 1813 z ojca Jana Tyrowicza, leśniczego we wsi Szumlany pod Brzeżanami.

Jeżeli tedy Morawski w swoim pamiętniczku liczy mu lat do 40, to musiałby ten pamiętnik pisać około roku 1853 — podczas gdy go p. K. Bartoszewicz datuje i odnosi do r. 1849.

Jeżeli zaś z drugiej strony autor pisząc tam i o Alojzym Rajachanie, liczy mu również „lat 40", a skąd inąd wiemy, że Rajchan urodził się w roku 1806, a więc 40 lat miałby był już w r. 1846 — to zdaje się datowanie tego pamiętnika przez jego wydawcę ulegać pewnym wątpliwościom, które możeby się dały usunąć, badając krytycznie oryginał.

Szumlany małe powiatu Brzeżańskiego należały wówczas do hr. Potockich, więc wcale możebnem jest nawet, że młody Tyrowicz po

„ukończeniu filozofii", zdaje się we Lwowie, kosztem Potockich wysłanym został do Wiednia, gdzie zamieszkał na 4 dzielnicy (Wiedeń) Nr. 33. dziś róg Karlsgasse 5 i Paniglgasse 6 — dzielnicy, — na której kolonia polska artystyczna prawie cała wówczas zamieszkiwała, był to ten sam dom, w którym szczególnym zbiegiem okoliczności także Artur Grottger w roku 1853—56 się ulokował, dziś naturalnie od dawna już przebudowany.

Wstąpił do Akademii równocześnie z Jakóbem Procińskim rodem z Kostarowiec powiatu Sanockiego w Galicyi, który dotąd błędnie uchodził (za Wurzbachem) za Czecha, a urodził się w r. 1810, (nie około 1800), co niniejszem wedle protokołów tejże akademii także prostuję.

Tyrowicz wstępując w roku 1833 do Akademii, musiał już bardzo gruntowne studya rysunku przerobić prawdopodobnie we Lwowie, pod Janem Maszkowskim, który „formował" cały legion artystów lwowskich. Skoro jeszcze w tym, a najpóźniej w r. 1834, mógł dostarczyć rysunku owego wyż wspomnianego pomnika pod miedzioryt dla książki X-a Kluczyckiego, — rysunek nie zdradzający w niczem początkującego akademika i rysunek, który, o ile mi wiadomo, jest dotąd jedynym świadkiem i pomnikiem nam znanym jego artystycznej działalności.

Tu kształcił się pod Leopoldem Kupelwieserem, malarzem religijnym, reprezentantem t. z. Nazareńczyków w Wiedniu, który od roku 1830 do śmierci 1862 był profesorem tej szkoły.

Niestety nie dochowały się wszystkie protokoły tej akademii, choć część pozostała oznaczoną jest dziś numerami porządkowymi bez żadnej luki, to też choć Tyrowicz przez całych lat dziewięć uczęszczał do tej szkoły — tylko w dwu zeszytach protokołowych (Nr. 7 i 38) dochowały się sumaryczne zapiski, jego dotyczące.

Z pierwszego zapisku już wykorzystaliśmy powyżej — w drugim protokole pod nagłówkiem „*Zeichner beiden Antiken* 1834 — 1843 *geführt von Professor Kupelwieser*" między trzydziestoma polskimi frekwentantami figuruje także i nasz Tyrowicz i stąd dowiadujemy się, że on do końca zimowego półrocza 1843 uczęszczał do tej akademii. Są w tym protokole końcowe kwalifikacye za każde półrocze wykazane. Wstąpił do tej klasy w sierpniu 1834. Za półrocze letnie (Sommerkurs) 1835 otrzymał I klasę, tak samo za oba półrocza 1836, w zimowem 1837, dostał dwójkę, w letniem znów jedynkę. Letni kurs 1838 dwójka, zimowy znów jedynka. Za rok 1839 niema kwalifikacyi, widocznie

przerwał naukę, albo też teraz bawił „parę miesięcy“ w Rzymie, albo może już i ten rok cały przepędził w Dreźnie, bo potem brakuje znów kwalifikacyi za letni kurs 1840 i cały rok 1841, więc znów półtoraroczna luka, którą mógł dla studyów drezdeńskich poświęcić. W zimowem zaś półroczu 1840 dostał tu kwalifikacyę drugiej klasy.

Następnie zjawia się tu znów w letnim kursie 1842 i zimowym 1843, w obu razach z rezultatem pierwszej klasy, obok hieroglificznych punktów klasyfikacyjnych, dziś już odgadnąć się nie dających.

Na tem kończą się zapiski o Tyrowiczu w aktach wiedeńskich — jak widzimy niekompletne i szczupłe w stosunku do tyloletniej frekwencyi ale zawsze cenne i zasadnicze. Zastanawiać tu musi okoliczność, że Tyrowicz wykazanym jest przez całe dziewięciolecie tylko w katalogu „szkoły rysowania wedle antyków“ ale z pewnością tak nie jest i odbył inne kursa, a wytłómaczyć się da ten sekstern professora Kupelwiesera w ten sposób, że ten profesor zatrzymał sobie swój drukowany i liniowany katalog i po oddaniu tej szkoły w inne ręce dla swego użytku, jak długo się dało, a wiemy, że on tylko do roku 1836 prowadził tę klasę początkową, a w tym roku objął professurę malarstwa historycznego, którą trzymał do r. 1852, objąwszy potem t. zw. „*Meisterschule*“.

Zaznaczyć należy, że od r. 1840 i Józef Führich, przyjaciel Kupelwiesera był profesorem kompozycyi w tej szkole, że więc Tyrowicz i jego uczniem być mógł i był na pewne, a kolegował z Ludwikiem Mayerem z Kaniowa w Galicyi, który także przeszło lat 10 odbywał studya na tej akademii, a później tak wybitne stanowisko zajął w malarstwie religijnem w Wiedniu. Z tego, co pisze o Tyrowiczu Szczęsny Morawski, i z tak żywego i plastycznego opisu jego kompozycyi obrazu Judasza pokazuje się jednak, że talentem stokroć on przewyższył Ludwika Mayera i wszystkich wychowawców tej szkoły — a jednak — los zawistny rzucił go do — Brzeżan.

Aleksander Hajdecki.

Odpowiedź na recenzy.

W zeszycie czerwcowym *Przeglądu Powszechnego*, na str. 413—435, poddał Dr. Abdon Kłodziński krytyce trzy moje prace. Krytyka ta, zakreślona szeroko, skoro obejmuje wszystkie moje dotychczas ogłoszone prace w zakresie historyi prawa kościelnego w Polsce, a nadto wygłoszona tonem dziwnej pewności siebie a zarazem łaskawej protekcyonalności względem mojej osoby i moich badań naukowych, nie posiada pod żadnym względem takiej wewnętrznej treści i wartości, któreby ją samą, jej zakrój i jej ton usprawiedliwiały

i któreby mogły jej nadać naukowe znaczenie, proporcyonalne do pozorów, z jakimi się narzuca. Ponieważ w oczach czytelników, nie znających mych prac, mię krzywdzi, muszę zabrać głos, aby się bronić. Ale tę obronę zacznę nie przez odpieranie zarzutów, które mi czyni recenzent, lecz przez rozejrzenie się w samej recenzyi, przez analizę jej i bliższe w nią wniknięcie.

Pomijam ton ironiczny lub lekceważący, z jakim recenzent o mnie pisze, bo to po pierwsze jest mi zawsze obojętne, po drugie zaś to rzecz zewnętrzna, którą każdy czytelnik spostrzeże i wedle swego smaku oceni i przyjmie. Ważniejsze, bo meritum rzeczy dotyczące, jest pytanie, jakie stanowisko wobec pozytywnej w słowach zawartej, treści pracy zajmuje recenzent, jak wnika w myśl autora, jak się z nią zapoznaje, zanim zacznie ją krytykować i swe wyroki wygłaszać. Metodę p. Abdona Kłodzińskiego pod tym względem przedstawię tylko na dwóch, ale całkiem wymownych i dostatecznych przykładach.

Recenzya, str. 417 — 418:

Tego rodzaju sądy, które kanoniści niemieccy chcą przypisać wyłącznie tworzywu germańskiemu, wywodzi autor w przeciwieństwie do nich — jeszcze z urządzeń kościelnych w państwie rzymskiem. Mianowicie dopatruje się w peryodycznej wizytacyi kościołów parafialnych przez biskupa, przedsiębranej dla dozoru podwładnego kleru i wiernych, także znamion sądowych. Wynikać to ma z rozporządzenia Koncilium brakareńskiego, w którem określono, że biskup wizytujący winien pouczać kler i wiernych (*doceant illos*) o unikaniu błędów pogańskich i zbrodni. Z owego pouczenia czyni autor trybunał, w którym biskup otrzymuje skargi na przestępców, a po przeprowadzeniu dochodzenia nietylko ich napomina, lecz także wymierza kary. O ile tego rodzaju interpretacya wyrazu „*doceant illos*" we wspomnianem rozporządzeniu synodalnem przekona kanonistów niemieckich, to rzeczywiście powinni porzucić mniemanie o frankońskiej genezie sądów synodalnych.

Sądy synodalne, str. 1 — 3.

Do takichto instytucyi kościelnych, które rozwinęły się i ukształtowały pod przemożnym wpływem idei prawnych germańskich, należą sądy synodalne. Podstawa, a zarazem punkt wyjścia dla ich powstania i rozwoju tkwiła już w dawniejszym ustroju Kościoła, mianowicie w wizytacyach dyecezyi przez biskupów. Wizytacyi tej nie znamy jednak dostatecznie, wiemy o niej tyle, że miała się odbywać corocznie, wiemy dalej, że jednem z najważniejszych zadań wizytacyi było, ażeby biskup przeprowadził na miejscu skontrolowanie majątku kościelnego i stanu budynków, co dostatecznie tłumaczy się panującemi wówczas pojęciami prawnemi, przyznającemi osobom prywatnym własność kościołów i zrozumiałą wobec tego chęcią Kościoła do obrony własnego stanu posiadania. Z pewnych śladów można wywnioskować, że nadto jeszcze odprawiający wizytacyę biskup badał życie duchownych, pełnienie przez nich funkcyi urzędowych, stan karności i t. d. a także wiernych napominał, pouczał, winnych zaś karcił; wzmianki jednak źródłowe, bardzo nieliczne i niezbyt jasne, pozwalają tylko stwierdzić, że podobne postępowanie istniało, nie starczy ich zaś do dokładnego przedstawienia tego postępowania. Zapewne też i norm prawnych, określających szczegółowo całe postępowanie, nie było, wnosić owszem można, że cała wizytacya miała charakter wybitnie patryarchalny bez przymieszki elementu prawno-procesowego.

Recenzya str. 425.

O ten przedmiot sporu, czy w pierwotnej kapitule w ziemiach polskich przeważają pierwiastki klasztorne (pogląd prof. Wojciechowskiego), czy raczej czynnik kościelno świecki (pogląd prof. Abrahama) potrąca autor, czyniąc go punktem wyjścia w swej rozprawie. Uderza z miejsca na prof. Wojciechowskiego i hołdując z góry powziętej teoryi o oparciu się pierwszej organizacyi w polsce na biskupie i otaczającym go klerze świeckim (*presbyteryat*) (sic! S. Z.). To polemiczne zacięcie przeciw zasłużonemu w pracy naukowej uczonemu niebardzo zgadza się z dalszymi wywodami autora, wprowadzającymi pojęcie kapituły mieszanej (złożonej z pierwiastków zakonnych i świeckich), jako właściwe dla tej instytucyi w początkach jej istnienia w Polsce; przyznającymi zasadniczą słuszność prof. Wojciechowskiemu, wreszcie jak najwyraźniej wykazującymi w przytoczonych źródłach, że pierwotna kapituła w Polsce wyszła z pierwiastków życia klasztornego, otaczającego biskupa, jako pasterza zakonu (*pastor coenobii*).

Rozwój i usrtój kapituł, (str. 37).

(Kończąc cały wywód o początkach kapituł polskich, str. 27—36 piszę reasumując:) Podniesione fakty i zarysowane cechy organizacyjne rozstrzygają ostatecznie postawione pytanie. Organizacja misyjnych biskupstw polskich nie wykazuje i nie może wykazywać analogii do biskupstw bawarskich lub biskupstw angielskich, gdyż nie było w dziejach Kościoła epoki klasztornych misyi. Najstarszym instytutem kościelnym polskim było biskupstwo, o biskupstwo opierała się chrystjanizacja tego kraju, z biskupstwami też przeszczepiono do Polski kapituły, jako organizacye kleru, otaczającego biskupa. Najstarsze kapituły nie mogły więc być ani zakonne ani mieszane, ale były kapitułami świeckiemi, zbliżonemi do rozwiniętych podówczas kapituł na Zachodzie Europy.

Proszę też czytelnika, aby, jeżeli zechce więcej przykładów takich przekręceń moich myśli, porównał n. p. ustęp recenzyi na str. 418 — 420 z tem, co piszę w Sądach synodalnych na str. 54 — 57, a przekona się, jaką parodyę można uczynić z krytyki.

Nie można powiedzieć, aby to było poprawne i z punktu widzenia wymagań naukowych uczciwe stanowisko. A taki stosunek rezenzenta do mnie objawia się nietylko przez przekręcanie moich myśli, ale i przez podsuwanie mi pobudek i intencyi. Recenzent odgaduje pobudki, dlaczego piszę o pewnej instytucyi (str. 422 od słów: „łatwo wskazać..."), dlaczego wogóle, w jakich celach piszę pracę jakąś (str. 434 od słów „Dla tych celów...), jeżeli raczy przyznać, że w pracy o kapitułach jest „mnogość szczegółów, drobnych spostrzeżeń i uwag", to zaraz zauważy, że „zadaniem ich niejako powiększenie objętości książki" (str. 434); będzie mi przeciwstawiał (dodam zupełnie bezpodstawnie, więc nie z dobrą wiarą) profesorów Abrahama i Ulanowskiego (str. 424), będzie brał w obronę przedemną profesorów Wojciechowskiego (str. 425) i Ptaśnika (przyp. 1. do str. 425), kiedy wywodom moim nie odmówi słuszności, to zaraz doda, że właściwie teza (choć, jak widać z jego komentarza nie bardzo jej zrozumiał) nie wymaga wcale dowodu (str. 427). Nawet kiedy mi przyzna, że pracuję z pewną „finezyą prawniczą", to będzie to tylko wstęp do wywodu (str. 421 — 424), usiłującego obalić główną konstrukcyę mej pracy, wykazującego zatem marność tej rzekomej „finezyi".

Wywody krytyczne, oparte na spreparowaniu w ten sposób, jak wyżej wykazałem, moich twierdzeń i argumentacyi, oraz insynuowanie mi zamiarów i pobudek, których *nigdy w życiu nie miałem, to prawie połowa* recenzyi. Odsłoniwszy w ten sposób nielojalny stosunek recenzenta do ocenionych rozpraw, śmiem się z kolei zapytać, z jakiem przygotowaniem naukowem w zakresie przedmiotu moich prac przystąpił recenzent do ich oceny?

Brak pozytywnej wiedzy w zakresie prawa kościelnego wychodzi na jaw kilka razy: na str. 417, kiedy recenzent twierdzi, że proboszcz ma „prawo domagania się (*pro foro interno*) od wiernych swego okręgu pewnych opłat; na str. 424, kiedy pisze uwagę, że wizytacya „traci znaczenie po Soborze Trydenckim; na str. 425, kiedy nazywa kler otaczający biskupa „presbyteryatem"; na str. 426, kiedy operuje terminami „*coenobium, monasterium*" tak, jakby znaczenie ich było ściśle w owych czasach określone![1]) Nie dowodzą też wiedzy prawniczej poglądy recenzenta, n. p. na str. 418 uwaga: „przez zaprzysiężonych (a może raczej uczciwych) świadków", gdyż proponując taką zamianę wyrazów, nie zdaje sobie sprawy z znaczenia przysięgi w procesie; na str. 417 zaliczanie sądów synodalnych do instytucyj podrzędnego znaczenia, gdyż widać nie wie, że były one przez kilka wieków jedynym zorganizowanym trybunałem karnym; na str. 433 uwaga w przedmiocie uprawnienia monarchów polskich do obsadzenia stolic biskupich, której sens krótki, że pomieszał lenno z beneficyum. Jeżeli dodam kilkastronicowy wywód, w którym p. Kłodziński dyalektycznie dowodzi że świadek nie jest świadkiem, a sąd sądem, wyczerpię zasób jego własnych wiadomości i poglądów prawniczych. Reszta zaś uwag i twierdzeń treści prawniczej w jego rezenzyi jest zaczerpnięta w zupełności z moich prac, co stwierdzam z zadowoleniem, gdyż po to autor pisze, aby z jego wiadomości inni coś skorzystali. Ale nie wiem, co począć, jak skwalifikować postępowanie recenzenta, kiedy moje wywody przeciw mnie obraca, i moimi wywodami

[1]) Co znaczy „forum internum", prezbiteryat, jaka jest historya wizytacji, o tem wszystkiem mogą poinformować recenzenta najelementarniejsze nawet podręczniki prawa kościelnego.

streszczając je i kopiując, mnie ostro krytykuje, ironizuje, poucza i przekonywa. Proszę w tem miejscu zestawić ustęp recenzyi na str. 418. „Zdaje się jednak" aż do słów „uczciwych świadków" z ustępem z moich sądów synodalnych na str. 3 — 4. „Pod wpływem jednakże... drugorzędne znaczenie"; oraz ustęp recenzyi na str. 419. „Jeżeli zatem argumenty... się zarysowują" z ustępem z Sądów synodalnych na str. 54 — 59. „Przypuszczać należy... w sądach kościelnych". Nie umiejąc znaleźć na taki proceder „krytyczny" właściwej nazwy, zaznaczę tylko, że jest on niesłychany, dotychczas nie praktykowany i że z pewnością z sumiennością i godnością pracy naukowej nie ma nic wspólnego.

Stwierdzam dalej, że recenzent nie bardzo rozumie, na czem polega badanie genezy instytucyi prawnych. Dla ilustracyi wezmę najmniejszą i najsłabszą, jeszcze na ławie uniwersyteckiej pisaną rozprawkę o początkach parafii polskich. Badanie genezy winno odsłonić elementy, z których później powstanie wykończona instytucya, wykryć ich wzajemne między sobą w owym czasie stosunki, przedstawić wreszcie drogi i siły, które luźne przedtem elementy wprowadziły w ścisły i stały związek i stopiły w jedną organiczną całość. Praca moja zatem, wykonana wedle tych wskazań metodycznych kończy się tem, gdzie się zaczyna okres rozwiniętych już parafii. Jeżeli zatem rezenzent wytyka, „że okres, w którym autor poszukuje znamion kościołów parafialnych[1]), nie może ich dostarczyć, gdyż zaledwie zdołał się w nich ustalić ustrój dyecezyalny" (str. 417), oraz, że „jeżeli autor ma przekonanie, iż system parafialny rozpowszechnia się w Polsce dopiero w XIII w., nie zdziwi się zapewne, że pomimo jego rozprawki wywód początków parafii polskich pozostanie nadal postulatem naukowym" (str. 417), jeżeli, jak mówię, to mi wytyka, to zarzut ten nie trafia mnie, ale jego, bo każdemu dowiedzie, iż ten, co taki zarzut formułuje, nie rozumie chyba, w czem leży naczelne zadanie, główne znaczenie, na co pada główny akcent przy badaniu genezy instytucyi prawnych. Zarzut taki pod adresem Parafii nie jest odosobniony. Na str. 426 recenzent, konstatując za mną odnośnie do w. XIII, że „byłby to zatem wiek tworzenia się i organizowania" kapituł, dodaje od siebie, uwagę krytyczną: „Odtąd więc rozpocząć się winno studyowanie podstaw (tej instytucyi) rozwoju". Brak zrozumienia dla pojętego badania genezy instytucyi prawnych tłumaczy może po części przekręcenia moich myśli, zwłaszcza z Sądów syn., wyżej podane, tłumaczy też to, co recenzent pisze na str. 426 — 427, streszczając nakreślony przezemnie obraz początków i rozwoju majątku kapitulnego, gdzie pojęcia z rozwiniętego prawa kanonicznego przenosi całkiem poprostu, bez żadnych zastrzeżeń do okresu formowania się majątku. Dziwić musi u historyka taki brak poczucia rozwoju, ewolucyi pewnej, właściwej dziejom i instytucyom mechaniki rozwojowej.

Nie zapoznawszy się z metodą historyczno-prawniczą, recenzent nie cofa się przecież przed czynieniem mi metodycznych zarzutów i dawaniem mi rozmaitych pouczeń w przedmiocie metody. Muszę tutaj znów stwierdzić z całym naciskiem, że nie są to nauki oryginalne, ale skopiowane z moich prac: n. p. na str. 425 „Sprawy tej nie można... wytwarzanie się" proszę zestawić z uwagami i zastrzeżeniami memi w Kapitułach na str. 15, 32, 40 (por. też wywód na str. 32 — 37); str. 426 „że w epoce misyjnych... przy biskupie", jest to podstawowa myśl pierwszej części kapituł, kilkakrotnie nadto wyraźnie wypowiedziana: na str. 15, 48, 54; na str. 429 uwagę: „wikaryuszów, stojących... za właściwe" proszę porównać z moją uwagą w kapitułach na str. 91 „Poświęcić im należy... funkcyach", zastrzedz się zatem muszę przed ubieraniem w formę zarzutów i rad tego, co recenzent wprost odemnie wziął, albo — przypuśćmy — że nie wziął, u mnie mógł znaleźć. Przepraszam! Są to trzy uwagi metodyczne, będące niezaprzeczoną własnością p. Kłodzińskiego: na str. 413 — 414 o zadaniach badań nad historyą instytucyj kościelnych, na str. 428 o wartości ustawodawczego materyału kościelnego, wreszcie na str. 434 o roli krytyki. Ale co do dwu pierwszych ośmielę się twierdzić, że mimo swej apodyktycznej formy nie wynikają ze znajomości materyału naukowego i z nauką, poważnie pojętą, chyba nic nie mają wspólnego.

Wykazawszy w ten sposób uprzedzenie, niesprawiedliwe i nielojalne stanowisko recenzenta, dowiódłszy mu nadto braków w kompetencyi do ocenienia tak specyalnych prac, jak te, które usiłował skrytykować, pragnę jeszcze dodać kilka uwag. Recenzya cała czyni wrażenie impresyi, czysto dyalektycznego i dyskusyjnego elaboratu, obfitującego w subjektywne czysto zarzuty oraz propozycye. Nigdzie nie widać, aby się recenzent uniezależnił od autora, aby umiał w stosunku do zagadnień naukowych, które porusza, stanąć na własnych nogach, nigdzie nie przejawia się ręka fachowca, która umie zarzut ująć mocno

[1]) Sformułowanie to nietrafnie oddaje moją myśl.

i śmiało, energicznie zarysować. Zauważę też, że recenzent nie umiał znaleźć ani jednego z błędów, które są w moich pracach, które sam spostrzegłem i które krytyk fachowy, oryentujący się w przedmiocie i materyale źródłowym, umiałby z pewnością wytknąć. Recenzentowi nie starczyło jednak sił do takiej poważnej pracy krytycznej; sama chęć skrytykowania jeszcze nie wystarcza!

Nie potrzebuję już teraz wnikać w poszczególne zarzuty recenzenta, nie będę już szczegółowiej, bliżej charakteryzował. Mam jednak prawo zastrzedz się przed kreśleniem mi drogi przed wyrażaniem wobec publiczności nadziei, że tego rodzaju recenzya, takiemi metodami i z taką wiedzą przeprowadzona może mnie czegoś nauczyć i udoskonalić w czem kolwiek moją pracę naukową.

Na koniec postawię jedno pytanie ogólniejszego znaczenia. P. Abdon Kłodziński napisał swą recenzyę na życzenie Redakcyi *„Przeglądu Powszechnego"* (str. 485), jest zatem poszukiwanym krytykiem. Przypuszczam, że nie wszystkie jego rezenzye są równie życzliwe, ale ponieważ dotyczą najrozmaitszych przedmiotów, są zapewnie równie gruntowne. Krytyka tego typu, odruchowa, impresjonistyczna, pisana pod wrażeniem, dla zaspokojenia pewnych podmiotowych pragnień czy podnieceń, ale bez dobregu gruntu naukowego ma fałsz u swych podstaw, rozmija się z sprawiedliwością, uczciwością i sumiennością naukową. Każdy miałby prawo cudze mysli przekręcać, stawiać swoje jakieś mniej lub więcej dziwaczne pomysły jako kanon jedynie wartościowy i znęcać się, ile tylko zechce. Proceder taki może ludzi młodszych lub słabszych zwichnąć wśród publicznosci, która nie może wszystkiego czytać i w recenzyach szuka przewodników, szerzy zamęt lub zgoła fałszywą oryentacyę, nie jest i być nie może czynnikiem naukowego i kulturalnego postępu. Krytyka tego typu, oparta na złośliwości i niekompetencyi, przytem w swem łonie niewątpliwie więcej niż śmiała, powinna zniknąć już u nas. Zdaje mi się, że każdy nowy występ, wobec coraz wyższej etyki naukowej u nas, przybliża tylko jej koniec.

Stanisław Zachorowski.

Redakcya Przeglądu Powszechnego zakomunikowała mi powyższą odpowiedź przed jej ogłoszeniem publicznem, co niniejszem z najszczerszem uznaniem dla lojalności Redakcyi stwierdzam. Przy tej zaś sposobności oświadczam, iż osobisty mój pogląd, wyrażony w zaczepionem sprawozdaniu, pozostaje w całości i szczegółach niezmieniony, mógłby być tylko uzupełniony uwagami, w sprawozdaniu ze względu na szczupłość miejsca oszczędzonemi, co jednak obecnie, po ogłoszenu odpowiedzi na moje sprawozdanie, uważam za bezcelowe.

Abdon Kłodziński.

Na tem uważamy polemikę za skończoną.

Redakcya.

Druk ukończono dnia 8-go lipca 1914

W sprawie lektury autorów chrześcijańskich.

Reforma nauki gimnazyalnej była przed kilku laty przedmiotem ożywionych dyskusyi. Przedewszystkiem na polu studyów klasycznych ścierały się nowoczesne prądy z dawnym kierunkiem nauczania. Ankieta, zwołana przez austryackie Ministeryum oświaty z pośród wybitnych osobistości świata naukowego i pedagogicznego, miała obmyśleć sposób, jakby pogodzić zwolenników radykalnej reformy klasycyzmu z kierunkiem konserwatywnym. Tamci bowiem w nauce łaciny i greki widzieli jedynie balast niepotrzebny, który czas najwyższy usunąć całkiem z programu nauki gimnazyalnej lub ograniczyć jak najdalej; przyjaciele zaś kierunku drugiego domagali się, żeby w niczem nie uszczuplano przemożnego dotąd stanowiska, jakie Zarys organizacyjny 1849 roku wyznaczył w szeregu innych przedmiotów łacinie i grece, owszem woleliby podnieść nauki humanistyczne na wyższy poziom i ubolewali nad ich obecnym upadkiem. Ministeryum próbowało pogodzić te dwie sprzeczne dążności; i wynikiem ankiety było to, że przeciwnicy łaciny i greki uzyskali nowy typ szkoły średniej, bez języków klasycznych, oraz znaczne ułatwienia czy to przy egzaminie dojrzałości, czy to w ciągu studyów; zwolennicy zaś dawnego klasycyzmu wywalczyli dla swego kierunku znaczne rozszerzenie kanonu autorów, mających służyć młodzieży do lektury szkolnej i domowej.

Niestety nadzieje, przywiązywane do tej reformy, nie zupełnie się ziściły. Dziś po kilkuletniej już próbie odzywają się

coraz częstsze głosy, że nie we wszystkiem była szczęśliwa. Samo nauczycielstwo nie tai tego, że poziom nauki łaciny i greki znacznie się obniżył [1]). Otóż, ponieważ po świeżo wydanym memoryale Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego do Rady szkolnej krajowej zanosi się znowu prawdopodobnie na szeroką dyskusyę, a może i na częściową przebudowę ustroju szkoły średniej, autor niniejszego artykułu, acz oficyalnie nie proszony, tylko zachęcony przez życzliwych kolegów do zabrania głosu, chciałby także ze swej strony przyczynić się do wyświetlenia kwestyi, w jakim kierunku należy poprowadzić dalszą reformę nauki języków klasycznych.

Otóż sądzę, że należałoby przedsięwziąć rewizyę lektury klasyków łacińskich i przechodząc odrazu do jądra kwestyi stawiam postulat, że powinno się obok klasyków pogańskich w szerokiej mierze uwzględniać także lekturę klasyków chrześcijańskich.

Ależ ta inowacya napotka na opór nietylko ze strony zdeklarowanych przeciwników, ale nawet ze trony samych przyjaciół humanistycznego gimnazyum, bo będzie to niejako zamach na latami uświęcony dotychczasowy charakter jego. To prawda! Lecz czy to będzie zmiana na lepsze? Mojem zdaniem, tak.

Nie da się bowiem zaprzeczyć, że obecny sposób uprawiania studyów klasycznych kryje w sobie niejedno niebezpieczeństwo [2]).

Najpierw wyrabia on w młodzieży ideał jednostronny i fałszywy

Któż odmówi piękna sztuce klasycznej? Znany jest ów wiersz poety łacińskiego: „*Graiis dedit ore rotundo musa loqui*". Powiem nawet więcej niż poeta i powiem razem ze wszystkimi, mającymi kulturę estetyczną, że nietylko wymowę i poezyę, lecz i harmonię linii, kolorów i tonów, całą wogóle sztukę, zlała na szczęśliwych mieszkańców Hellady Muza, a właściwie, mówiąc po chrześcijańsku, Opatrzność Boża; żaden naród

---

[1]) *Muzeum*, r. 1914, str. 337.

[2]) *Les Humanités chrêtiennes par le chanoine Guillaume.*

nie odczuwał piękna w tym stopniu, co Grecy i ich uczniowie, Rzymianie. Ale trzeba zaznaczyć, było to nie owo piękno idealne, najwyższe, lecz piękno drugorzędne, wyłącznie naturalne, to, które chce tylko podobać się i zachwycać, piękno z natury swej zmysłowe, choć w dobrem tego słowa znaczeniu.

Drugim skutkiem wyłącznej lektury klasyków pogańskich jest to, że wpaja się uczniom przesadnie poczucie formy językowej ze szkodą dla treści. Studya humanistyczne w szkole średniej — to właściwie długoletnie i żmudne uczenie się słówek, zwrotów i frazesów bez żadnego często względu na treść, bez żadnej łączności z myślą i cywilizacyą nowożytną. Z tą czcigodną starożytnością uczeń uprawia tylko sztukę dla sztuki. Tego rodzaju nauka wychowuje jedynie pokolenia humanistów, bez idei, bez zasad, rabulistów, zapełniających izby prawodawcze i zebrania, retorów i sofistów, umiejących pięknymi zwrotami grać na namiętnościach tłumu. Bo czyż może być inaczej, jeżeli przez szereg lat swego kształcenia się intelektualnego i moralnego młodzieniec czyta, objaśnia i naśladuje tylko autorów pogańskich i w nich się całą duszą zatapia? Jeżeli nauczyciel, do którego wychowanek już z natury czuje zupełne zaufanie, codziennie przed nim opiewa chwalebny świat starożytny i stawia mu przed oczy Homera, Wergilego, Horacego i Cycerona jako najpierwszych geniuszów świata i niedościgłe wzory dobrego stylu i jedynych mistrzów wielkiej sztuki? A przeciwnie o literaturze chrześcijańskiej słyszy uczeń jedynie sądy politowania, a choćby nie słyszał, to już sama nieobecność autorów chrześcijańskich w programach szkolnych może w myślącym uczniu obudzić pewne refleksye szkodliwe dla jego pietyzmu religijnego.

Najwięcej jednak obaw budzi tego rodzaju nauka na polu wychowania chrześcijańskiego. My chrześcijanie, pojmujemy wychowanie jako harmonijne ukształtowanie całego człowieka, jako rozwijanie i stopniowe udoskonalenie naszych różnych władz, a przedewszystkiem woli pod wpływem i kierunkiem prawdy religijnej. Wychowanie nie jest, jak wykształcenie, dziełem specyalnej godziny, dziełem osobnej lekcyi; jest to praca wszystkich godzin, wszystkich lekcyi, rezultat nieustan-

nych wysiłków i trudów. Otóż proszę, jakież może być wychowanie dziecka, obcującego od rana do wieczora z autorami pogańskimi?

Ledwie młody student przełamał początkowe trudności przy nauce języków klasycznych, odrazu dostaje się w świat zupełnie pogański. Ciągle obijają się o jego duszy imiona bogów i bogiń; genealogia i różne awantury erotyczne tych bogów i półbogów, nie bardzo budujące, są przedmiotem osobnej nauki, mitologii. Uczeń musi te twory pogańskiej fantazyi znać niemal na równi ze swoim katechizmem chrześcijańskim. Potem zapoznaje się z życiorysami sławnych mężów starożytności, którzy przecież z bohaterami świata chrześcijańskiego nawet w porównanie iść nie mogą. W dziełach historycznych znajduje młody czytelnik przeważnie opisy krwawych wojen, ucisk i tępienie narodów słabszych, obrazy ponure, pełne zgrozy i okropności. Owidyusz rozwinie przed zdumionemi oczyma młodego humanisty bogatą seryę erotycznych przygód mieszkańców Olimpu, jak to pod wpływem łaski bogów umiłowane przez nich istoty ziemskie przemieniają się nagle w drzewo laurowe lub we wierzbę płaczącą. Wykwintny Epikurejczyk, Horacy, nauczy dorastającego już młodzieńca praktycznej filozofii życia: „*Nunc est bibendum — Carpe diem*". Wreszcie nakoniec przychodzi mowca, nie mający sobie równego, wielki Cycero i uczy naiwnego żaka, jak to zręczny adwokat nawet mordercę potrafi uniewinnić.

I pomyśleć teraz, że w tej atmosferze pogańskiej młodzieniec obraca się przez szereg lat i to w okresie życia, kiedy urabia się jego charakter; on, chrześcijanin, a na lekcyach łaciny i greki nie słyszy wzmiamki o swoim Bogu. To też słusznie kilka miesięcy przed swoją śmiercią X. biskup Freppel z Angers pisał w liście te słowa skargi: „Niestety studya t. zw. klasyczne odbywają się w ten sposób, jak gdyby Jezus Chrystus nigdy się nie był na świecie pojawił". I zaiste trudno się oprzeć temu wrażeniu, że zdaje się, jakoby nasze szkoły średnie przeznaczone były dla kształcenia potomków pogańskich Greków i Rzymian.

Lecz powiedzą przeciwnicy: „Przecież celem nauki języków klasycznych nie jest uczenie moralności i dogmatyki chrześcijańskiej, do tego ma szkoła inne środki".

To prawda. Wszelako czyż podobna, żeby ten pogański świat fantazyi, w którym młodzieniec żyje przez długi czas, nie wywierał pewnego ujemnego wpływu na jego duszę? Od pokarmu zawisło zdrowie ciała. Jeżeli młodzież karmimy ideałami pogańskimi, to niezawodnie życie moralne warstw wykształconych musi skłaniać się ku poganizmowi.

I oto dlatego wychowawcy chrześcijańscy oddawna domagają się nie całkowitego wyrugowania autorów pogańskich ze szkół, ale przywrócenia tamże dawnej tradycyi Kościoła katolickiego, mianowicie, żeby obok klasyków pogańskich dopuścić do szkoły średniej klasyków chrześcijańskich. Tę metodę pielęgnował Kościół w swoich szkołach aż do epoki Odrodzenia, od której zaczyna się dekadencya Europy chrześcijańskiej.

Oddajcie nam więc autorów chrześcijańskich, a popchniemy wychowanie na inne tory, zaczem i wygląd moralny społeczeństwa się zmieni.

W dniu, w którym literatura chrześcijańska odzyska swe honorowe miejsce w naszych programach szkolnych, a nauczyciele światli i gorliwi zechcą i potrafią nauczać podług tradycyjnej metody Kościoła, w tym dniu młodzież katolicka będzie mogła przekonać się, że, jeżeli starożytność pogańska ma swoich wielkich pisarzy, ma również swoich i katolicyzm: wielkich geniuszem, wielkich nauką i cnotą i wcale nie gorszych co do stylu. W świetle poważnej nauki i bezstronnej krytyki dojdzie katolicki student do przekonania, że Biblia między wszystkiemi arcydziełami pierwsze zajmuje miejsce i góruje nad Homerem i Wergiliuszem nietylko ogromem nauki i poezyi, lecz i stylem prostym i oryginalnym. Wydobyte z pomroki zapomnienia i przesądów wiekowych gigantyczne dzieła Tertuliana, św. Augustyna, św. Hieronima, św. Ambrożego, św. Grzegorza, św. Bernarda, Prudencyusza i Adama od św. Wiktora będą młodzieńca olśniewać pięknością oryginalną i nieskażoną. Młodzież katolicka zrozumie, iż obok piękna klasycznego, o cha-

rakterze ziemskim, istnieje jeszcze inne piękno nieskończenie wyższe, przemawiające więcej do duszy i uczucia, niż do zmysłów i namiętności, piękno, które nie łamiąc praw natury i nie przestając należeć do ziemi, umie wznieść się aż do niebios i tam dotąd nas za sobą porywa.

Postulat wprowadzenia klasyków chrześcijańskich do szkoły wyższej ma już za sobą swoją historyę. Od czasów Renesansu Ojcowie Kościoła i inni autorowie chrześcijańscy wypierani z kolegiów i ze seminaryów wkońcu po dwóch wiekach prześladowania całkiem znikli z programów szkół humanistycznych.

Jeden człowiek postanowił ich tamże nazad wprowadzić. Był nim Francuz, ks. Gaume, kapłan wielkiej gorliwości, pisarz zadziwiającej erudycyi i rzadkiego talentu. Uderzony coraz to większym upadkiem naszych studyów oraz zanikiem ducha chrześcijańskiego w społeczeństwie nowożytnem, szukał przyczyny tego zjawiska i mniemał, że odnalazł główne źródło w tem, że młodzież wychowuje się w tym jednostronnym i bałwochwalczym kulcie dla świata, który zowiemy Starożytnością i że nieprzerwanie przenikają stamtąd do nas idee pogańskie, co jest naturalnem następstwem. To skonstatowawszy, postanowił uderzyć na alarm i rozbudzić opinię publiczną kół katolickich. Wydał więc w roku 1851 odezwę p. t.: *Ver rongeur des sociétés modernes*, w której głośno zaprotestował przeciw nowoczesnym programom szkolnym i domagał się przywrócenia dawnego katolickiego programu. Teta w zasadzie była szczytna. Niestety w szczegółach autor obniżył jej wartość licznymi błędami; tu i ówdzie raził pewien brak logiki oraz przesada w krytyce i w stawianiu postulatów.

Odezwa, przetłómaczona na kilka języków europejskich, miała sukces niebywały. Wszczęła się polemika. W kołach katolickich utworzyły się dwa obozy: zapalonych zwolenników idei ks. Gaume'a i zaciętych przeciwników. Do pierwszych należeli tacy wybitni ludzie, jak: kardynał Gousset, Msgr. Parisis, Ludwik Veuillot, Montalembert; w obozie przeciwników byli: bp. Dupanloup, bp. Landriot, Foisset i O. Daniel S. J. Zrazu toczyła się walka między pojedynczymi pisarzami; wnet

ogarnęła ona całą prasę, przeniosła się następnie do kolegiów i seminaryów, gdzie wywołała prawdziwą rewolucyę. Wkońcu nastąpiło takie zamieszanie pojęć, iż w spór musiała się wdać Stolica Apostolska, aby zrobić światło i przywrócić pokój.

Kwestya, podniesiona przez ks. Gaume'a obracała się koło pytania: „Czy i w jakiej mierze należy wprowadzić klasyków chrześcijańskich napowrót do seminaryów i kolegiów katolickich?" Odpowiedź na to dał papież Pius IX. w encyklice *Inter multiplices*, wystosowanej do biskupów Francyi, dnia 21 marca 1853 r. Oto odnośny tekst:

> *Venerabiles Fratres..... quum compertum exploratumque vobis sit quantopere ad rei tum sacrae, tum publicae prosperitatem conducat recta praesertim cleri institutio, ne intermittatis concordibus animis in tanti momenti negotium curas cogitationesque vestras conferre. Pergite, ut facitis, nihil unquam intentatum relinquere, ut adulescentes clerici in vestris Seminariis ad omnem virtutem, pietatem et ecclesiasticum spiritum mature fingantur, ac in humilitate crescant, sine qua nunquam possumus placere Deo, ac simul humanioribus litteris, severioribusque disciplinis, potissimum sacris, ab omni prorsus cuiusque erroris periculo alienis ita imbuantur, ut non solum germanam dicendi scribendique elegantiam et eloquentiam, tum ex sapientissimis Sanctorum Patrum operibus, tum ex clarissimis ethnicis scriptoribus ab omni labe purgatis addiscere, verum etiam perfectam praecipue solidamque theologicarum doctrinarum, ecclesiasticae historiae et sacrorum canonum scientiam ex auctoribus ab hac Apostolica Sede probatis depromptam consequi valeant.*

Umiarkowana, lecz stanowcza decyzya Stolicy Apostolskiej, zgodna z wiekową tradycyą Kościoła, została przyjęta przez obydwie strony z uległością i od tej chwili w kolegiach i po seminaryach zaczęto jak najgorliwiej myśl papieża w życie wprowadzać. Pocieszające rezultaty nie dały długo na siebie czekać tam, gdzie trzymano się wskazówek Ojca św., najbardziej we Francyi, Włoszech i Hiszpanii.

Niestety, większości nauczycieli brakowało przygotowania

i wiadomości potrzebnych, żeby módz zastosować tę nową metodę naukową. Wychowani w dawnej tradycyi ciasnego klasycyzmu nie rozumieli i poprostu nie byli zdolni zrozumieć innego piękna, innego ideału, prócz piękna i ideału pogańskiego, a w swych studyach nad językiem i literaturą chrześcijańską prawie wszyscy wychodzili z tej błędnej zasady, że tylko ten autor jest poprawny, tylko ten klasyczny i może służyć młodzieży za wzór, którego język i styl podobny jest do języka i stylu Cycerona. To znaczyło wydać wyrok śmierci na wszystkich autorów chrześcijańskich. Bo jeżeli niektórzy z nich, kształceni w szkołach pogańskich i krępowani różnymi względami nie odstąpili od formy Cyceroniańskiej, to przecież większość z nich pisała językiem i stylem niemało odbiegającym od języka i stylu Cycerona.

Z drugiej strony ci, którzy zajęli się wydawnictwem Klasyków chrześcijańskich, jak sam ks. Gaume, Rübner i inni, zapomnieli o tem, że dziecko trzeba w szkole nauką przedewszystkiem zainteresować i że papież wcale nie miał na myśli, jakoby przez naukę łaciny należało uczyć religii, lecz tylko, żeby przez to kształcono smak estetyczny i rozwijano talent oratorski i literacki, ze stanowiska chrześcijańskiego. Z fałszywie pojętej gorliwości sądzili, że przysłużą się sprawie, jeżeli nadadzą wydawnictwu charakter polemiczny i moralizatorski. Więc dali młodzieży do rąk takie dzieła, jak *Wykład cnót kardynalnych* Julianusa Pomeriusa, *Homilie* św. Grzegorza, *Wielki i mały katechizm* św. Augustyna, a nawet św. Hieronima *Komentarze do Pisma św.* — a nie zwrócili uwagi na inne przepiękne i cudowne utwory chrześcijańskiej literatury, które naprawdę mogą zachwycić wyobraźnię młodzieńca, kształcić jego umysł i serce.

Przy tem wszystkiem program szkół państwowych wywierał przemożny wpływ na opinię publiczną; więc mimo dobrych chęci i wysiłków katolickich pedagogów, sprawa zaczynała mieć koniec mniej świetny. Rozpoczął się odwrót i to wnet na całej linii. Jeden po drugim, cichaczem, bez rozgłosiu, jak przystało na dobrych chrześcijan, Ojcowie Kościoła po raz drugi szli na wygnanie. Znikli najpierw z kolegiów, a z biegiem czasu

i ze seminaryów; choć nie usunięto ich zupełnie; zachowano ich częścią na pamiątkę, częścią dla ratowania zasady, przez ks. Gaume'a postawionej.

Tymczasem, gdy w Europie idea studyowania klasyków chrześcijańskich podupadła, w Ameryce duchowieństwo kanadyjskie doszło w tym kierunku aż do przesady; chciało być *plus catholique, que le Pape même.* Mylnie tłómacząc myśl Piusa IX. doszli niektórzy do wniosku, że studyum chrześcijańskich autorów zupełnie wystarcza do wykształcenia i że trzeba zatem wszystkich pogańskich autorów ze szkół usunąć. Tegó zdania byli i inni gorliwsi księża w Europie, jak n. p. włoski Teatyn, Joachim Ventura, który w swych kazaniach postnych, wygłaszanych 1857 r. w Tuileryach, zwalczał tak zw. pogańską metodę, tłumacząc sobie encyklikę papieską na swoją korzyść. Wtedy biskup-administrator z Quebec zwrócił się do Rzymu i prosił o rozstrzygnięcie spornej kwestyi. Kardynał Patrizi w imieniu Kongregacyi S. Officii dnia 15 lutego 1867 r. taką przesłał mu odpowiedź:

Illustrissime ac Reverendissime uti Frater!

Ex tuis litteris die 23. Novembris anno proximo elapso ad me datis, Eminentissimi Patres Cardinales una mecum Sacrae Inquisitioni praepositi aegre admodum intellexerunt graves in ista dioecesi obortas esse et adhuc commoveri dissensiones inter viros potissimum ecclesiasticos, propterea quia in tradendis humanioribus tum in seminario dioecesano, tum in aliis puerorum iuvenumque collegiis vigilantiae atque auctoritati tuae commissis, libri ab ethnicis auctoribus conscripti, licet emendati, praeleguntur. Non est profecto, cur qui huiusmodi libros a litterarum studiis amandandos existimant hac in re vehementer sollicitos anxiosque se praebeant. Exploràta enim res est et antiqua constantique consuetudine comprobata adolescentes etiam clericos germanam dicendi scribendique elegantiam et eloquentiam sive ex sapientissimis sanctorum Patrum operibus, sive ex clarissimis ethnicis scriptoribus ab omni labe purgatis absque ullo periculo addiscere

optimo iure posse. Id ab ecclesia non toleratur modo, sed omnino permittitur, et a SSmo D. N. Pio PP. IX. perspicue declaratum fuit in Epistola Encyclica ad Galliarum Episcopos die XXI. Mart. 1853 *missa..... etc.*

Choć w tem, jak i poprzedniem orzeczeniu miał Rzym na myśli głównie seminarya duchowne kleryków, to przecież i do innych instytutów wychowawczych i szkół wyższych ten obowiązek się odnosi „*tum in seminario dioecesano, tum in aliis puerorum iuvenumque collegiis*".

Ks. Gaume niezrażony niepowodzeniem prowadził dalej swe apostolstwo, mając silne oparcie w stałej życzliwości Piusa IX., który w brewe doń wystosowanem dnia 22 IV. 1874 r. tak mu dodawał otuchy:

.....Neque vero te movere debent malevolae quorundam obtrectationes; quando quidem, uti refers, hoc unum in scriptis tuis propositum habuisti, ut eas normas in ratione studiorum defenderes, quas a Nobis probatas novisti: nempe ut una cum classicis veterum ethnicorum exemplaribus, quavis labe purgatis, auctorum etiam christianorum opera elegantiora studiosis iuvenibus legenda proponantur.

Następca po Piusie IX. na Stolicy Piotrowej, Leon XIII., zajmował w kwestyi klasyków chrześcijańskich tosamo stanowisko, co jego dostojny poprzednik. Dążył do tego samego celu, tylko może taktyka jego była inna. Zarzucano mianowicie, że Leon XIII. wielokrotnie wynosił zasługi klasyków pogańskich i zalecał ich studyum, a rzadziej wspominał o pisarzach chrześcijańskich.

To po części prawda. Leon XIII. znakomity humanista, latynista doskonały i pisarz klasyczny, często mówił o autorach pogańskich nietylko z pochwałą, lecz z prawdziwym entuzyazmem; ale tego żaden człowiek wykształcony ganić nie będzie. Tem dał tylko dowód, że miał wyrobienie literackie i poczucie artystyczne i słusznie oddawał hołdy należne sztuce rzetelnej, która jeżeli nie była jedynym typem piękna, to przynajmniej

była jednym z typów najprzedniejszych, jakie ludzkość znała. Ten fakt zresztą naszej tezy wcale nie obala. Czemuż bowiem Pius IX. zalecał głównie studyum autorów chrześcijańskich, a Leon XIII. pogańskich? Oto z tej prostej przyczyny, że kwestya wykształcenia humanistycznego inaczej się układała za pontyfikatu Piusa IX., a inaczej za Leona XIII. Za Piusa IX. katolicy zaatakowali pogański program szkolny, żeby go uzupełnić przedstawicielami chrześcijańskiej literatury i Pius IX. rzeczywiście go uzupełnił i czuwał, żeby z tego programu już uzupełnionego oni nie zeszli. Natomiast za Leona XIII. zaatakowali pogański program szkolny różni wolnomyśliciele, utylitarzyści, po części nawet rządy, nie żeby mu nadać charakter chrześcijański — broń Boże — lecz żeby całkiem znieść naukę języków klasycznych na korzyść języków nowożytnych i nauk przyrodniczo-matematycznych. I w rzeczy samej od pół wieku toczy się walka przeciw studyom humanistycznym prawie w całej Europie. Nie chce się znać greki, a nawet wypędza ze szkół i łacinę.

Ten ruch nie mógł ujść czujnej uwagi Leona XIII. Zwalczał go więc usilnie. Jako stróż wielowiekowych tradycyi Kościoła katolickiego pamiętał, że w czasach barbarzyńskich Kościół ocalił od zagłady literaturę klasyczną, więc i teraz postanowił ochronić ją przed zamachami nowożytnych barbarzyńców. Zrozumiał, jak wielkie niebezpieczeństwo groziłoby klerowi katolickiemu, gdyby nauka języka greckiego a osobliwie łacińskiego miała zniknąć ze szkół wyższych. I oto z tej przyczyny będąc najzupełniej wielbicielem klasyków chrześcijańskich, stanął głównie w obronie pogańskich autorów, którym groziło wypędzenie ze szkół, tak jak przed nim Pius IX. był głównie obrońcą autorów chrześcijańskich, już ze szkół wykluczonych, będąc zresztą również zwolennikiem czytania pogańskich autorów.

W zasadzie więc obydwaj Najwyżsi Arcypasterze, każdy innym orężem, bronili jednej i tejsamej sprawy, sprawy wykształcenia wyższego, humanistycznego, w prawdziwem tego słowa znaczeniu.

Zdawałoby się więc, że skoro „*Roma locuta*“ to „*causa*

finita". Niestety, wpływowszy, niż autorytet Rzymu, jest autorytet pogańskich humanistów i zakorzenione od czasu Renesansu przesądy o rzekomej niższości literatury chrześcijańskiej [1]).

Otóż trzeba definitywnie potępić przestarzałą i błędną doktrynę, jakoby pisarz chrześcijański o tyle tylko miał znaczenie, o ile jego język jest językiem wielkiego stulecia, a styl kopią stylu Cycerona. Przecież Salustyusz, Tacyt i tylu innych łacińskich pisarzy ma styl i język taksamo wielce różny od Cycerona, jak Tertulian i Sulpicyusz Sewerus. A czy dlatego są mniejszymi pisarzami, niż tamten? Czemu stosuje się do Tertuliana i do innych pisarzy z epoki chrześcijańskiej prawidła krytyki, których nie stosuje się względem Tacyta ani Salustyusza?

Zadaniem rzetelnej krytyki jest oceniać autora nie według jakiegoś ideału urojonego, ale według tego, który miał przed oczyma sam autor. Stąd należy mieć jasne wyobrażenie o różnicy ideału pogańskiego a ideału chrześcijańskiego. Literatura łacińska chrześcijańska i pogańska, posługujące się jednym i tymsamym językiem, są dwiema literami zasadniczo między sobą różnemi. Przedstawiając dwie odrębne cywilizacye, dążą do odmiennych celów.

Literatura pogańska wychodzi z tej zasady u pogan całkiem zrozumiałej, że słowo powinno przedewszystkem podobać się i czarować. Jest to teorya sztuki dla sztuki. Stądto u starożytnych pisarzy to ciągłe szukanie słowa najpiękniej brzmiącego, wyrażenia najdoskonalszego, zwrotu najzgrabniejszego. Stądto pochodzi owa proza rytmiczna, owa budowa okresu, którego pojedyncze zdania, niby wstęgi, ze sobą się splatają; stądto ów *styl syntetyczny* będący cechą literatury wyrafinowanej, przeznaczonej nie dla ogółu jakiegoś narodu, lecz dla garstki wybrańców.

A przeciwnie, jaki jest punkt wyjścia literatury chrześcijańskiej?

Dla chrześcijanina słowo ludzkie jest obrazem Słowa Przedwiecznego, ma przedewszystkiem oświecać rozum i pobudzać wolę do dobrego. Nie gardzi ono bez wątpienia sposobnością, żeby się

[1]) *Une préface aux Classiques Chrétiens*, par M. l'abbé Guillaume.

podobać i czarować, lecz nie zapomina nigdy o swym celu pierwszorzędnym. Stądto pisarze chrześcijańscy dbają przedewszystkiem o dobór słów może nie najpiękniej brzmiących, ale najtrafniejszych, wyrazów i zwrotów może nie wyszukanych i niezwykłych, ale prostych i jasnych, dla wszystkich zrozumiałych.

Chrystus Pan odrodził stary świat, oddany błędom i występkom, przez to, że mu przyniósł nowe idee i nowe uczucia. Dla wyrażenia tych nowych myśli i nowych stanów duszy były potrzebne nowe wrażenia i słowa, nawet dawne utarte musiały przybrać nową treść. Nadto nowa religia chrześcijańska szukała wyznawców nie między ludźmi uczonymi i wielkimi wyłącznie, ale zwracała się przedewszystkiem do szerokich mas społeczeństwa, miała być religią uniwersalną. Otóż do tego ludu ogromnego, złożonego z tylu różnorodnych elementów, chrześcijaństwa powszechnego, czyż nie należało przemawiać językiem o wiele dobitniejszym i jaśniejszym, niż język pogańskich Rzymian? Czyż nie był potrzebny styl, przystosowany do pojęcia wszystkich, nie uczony i skomplikowany, jak u retorów rzymskich, którego większość narodu nawet nie rozumiała, lecz prosty i wielki, jak prosta i wielka była prawda, którą nim głoszono? A stylem takim mógł być tylko *styl analityczny* i popularny, który spotykamy na progu każdego piśmiennictwa i który stał się charakterystycznym dla wszystkich literatur nowożytnych.

Robiono zarzut całej literaturze łacińsko-chrześcijańskiej, że język nie jest tak doskonały, jak klasyczny język literatury rzymskiej, że w epoce upadku poczęta, posługiwała się upadłym i skarłowiacialym językiem Romy. Lecz czemże był język klasyków tak wynoszony i za wzór po szkołach stawiany? Otomozolnem naśladownictwem greczyzny a wcale nie samodzielnym wyrobem rzymskiego ducha, tak jak i literatura złotego wieku była niewolniczem naśladowanictwem wzorów greckich. Tym językiem nie mówiono ani nie pisano w potocznem życiu. Był to język klas wykształconych, używany na Forum i w Senacie, *stylus artifex*, język elegancki, salonowy, konwencyonalny, dla książkowego nie codziennego użytku, przeto zupełnie obcy szerokim warstwom społeńczeństwa. Ogół narodu posługiwał się łaciną swobodniejszą,

sermo cotidianus i to być właściwy język narodowy. Łacina klasyczna trwała zaledwie sto lat, i zaraz język potoczny upomniał się o swoje prawa. Pisarze chrześcijańscy, zaliczani byli do epoki upadku, zaczęli wprowadzać wyrażenia popularne, używać wyrazów proskrybowanych przez klasyków, łamać ich misternie zbudowane peryody, jednem słowem, zerwali z owym językiem klasy uprzywilejowanych a używali języka dla wszystkich zrozumiałego i dostępnego a przytem pełnego oryginalności i życia[1]).

To, co powiedziano o prozie, jeszcze we większej mierze odnosi się do poezyi klasycznej. Książę liryków łacińskich, Horacy, posiadł wszystkie tajniki sztuki, jego Muza zapożyczyła od Grecyi te wszystkie dźwięki rytmiczne, które jeszcze teraz po 2000 lat są rozkoszą dla ucha muzykalnego. Wszelako ta poezya klasyczna, zanadto uczona i za subtelna, żeby być odczutą przez wszystkich, nigdy nie zabłądziła „pod strzechy". Horacy i jemu podobni pieśniarze rzymscy tworzyli dla swojego kółka literackiego, ogół nie znał się na tych pięknościach, modelowanych według greckich pierwowzorów. Skonstatował to sam poeta, kiedy pewnego razu z goryczą w sercu i pogardą na ustach rzucił narodowi w twarz obelżywe słowa: „*Odi profanum vulgus et arceo*".

Jakąże zmianę przyniosła poezya chrześcijańska? Nie będzie ona już opiewała ani bogów bezwstydnych, ani miłostek, ani wina, ani urojonych bohaterów; jej przedmiotem stanie się Bóg trzykroć święty, Bóg Stworzyciel i Odkupiciel, piękność niezrównana prawd dogmatycznych i moralnych, obrzędy liturgiczne katolickie, bohaterstwo męczennników. Żeby być przez wszystkich rozumianą, wyrzekła się okresu klasycznego, owego stylu przeplatanego i rozwlekłego, który najczęściej przyczyniał się tylko do zaciemniania myśli; poeta chrześcijański zamyka przeważnie swoją myśl w jednym wierszu, w kilku słowach i ta właśnie zwięzłość i krótkość ma dla nas nieporównany wdzięk.

Poezya chrześcijańska zarzuciła metrykę Horacego, któregy daktyle, spondeje, anapesty i amfibrachy nie bardzo przystawało

---

[1]) „*Przegląd lwowski*" r. 1872, tom IV.: *Poezya chrześcijańska w dwóch pierwszych wiekach*, p. L. Siemieńskiego.

do jej charakteru; uduchowniona na wskróś odrzuciła iloczas wierszowy, który jest niejako materyalną częścią słowa, a zastąpiła go akcentem, który jest jego stroną duchową. Jej wiersze nie będą się odtąd liczyły na stopy, lecz na sylaby, a dla lepszego wdrażania się w duszę słuchacza będzie się posługiwała rymem i utworzy te przeróżne gatunki wierszowe, które staną się pierwowzorem dla metryki nowożytnej.

Taka jest pokrótce charakterystyka obydwóch literatur. Każda ma swój ideał i swoją piękność czy to na polu poezyi, czy prozy. Piękność jednej przemawia do zmysłów, wyobraźni i namiętności; piękność drugiej wzraca się wprost do duszy, do serca i do woli. Jedna jaśnieje pięknością naturalną, druga pięknością uduchowioną; jedna piękna jak Wenus Medycejska, druga dostojna jak Anioł Fra Angelika lub jak Madonna Perugina.

Łatwo stąd wywnioskować, jaką krzywdę wyrządza się literaturze chrześcijańskiej, gdy się na nią patrzy z wysokiego piedestału klasycznej literatury i miarą „niedościgłej" doskonałości autorów pogańskich odmierza wartość autorów chrześcijańskich. Znaczy to wydawać sąd o stylu gotyckim według reguł Witruwiusza a Katedrę Kolońską zestawić z Ateńskim Partenonem. —

Przechodzę nakoniec ze zagadnień teoretycznych do praktycznych wniosków. W ostatnich czasach myśl rzuconą ongiś przez ks. Gaume'a podjął na nowo ks. Guillaume, kanonik w Beauring. Niezrażony niepowodzeniem tamtego postanowił tylko usunąć niedomagania jego metody. Począł mianowicie propagować tak zw. metodę porównawczą. Przy współudziale ludzi uczonych, których zdołał dla swej myśli pozyskać, rozpoczął wydawnictwo: *Collection de classiques latins compares, auteurs chrétiens et paiens.* Obejmuje ono dwie serye. Pierwszą seryę stanowią chrestomatye, czyli wyimki z różnych autorów. I tak, tomik przeznaczony *a l'usage de la Troisième et de la Quatrième* zawiera wyjątki z 8 autorów łacińskich chrześcijańskich a z 7 autorów klasycznych; tom przeznaczony *a l'usage de la Troisième et de la Seconde* ma 23 autorów chrześcijańskich a 18 pogańskich. W ten sposób plan studyów humanistycznych zakrojony jest na większą skalę, a nie obraca się w tak ciasnych ramach, jak dotąd w szkołach średnich.

Uczeń, który odbędzie te kursa, będzie miał daleko szerszy horyzont myśli, niż jego kolega ze szkół z programem ściśle klasycznym. Materyał w tych zbiorach jest tak dobrany, że nadaje się, zwłaszcza w klasach wyższych, do specyalnych studyów porównawczych. Oto kilka przykładów:

Owidyusz — Autobiografia.
Prudencyusz — Autobiografia.
Pliniusz Młodszy — Igrzyska ludowe.
Św. Augustyn — Alypiusz w amfiteatrze.
Pliniusz Młodszy — Biesiadnik niepunktualny.
Sulpicyusz Sewerus — Kucharz św. Paulina.
Św. Ambroży — Hymn do jutrzenki.
Seneka — Opis zorzy.

Każde takie studyum porównawcze poprzedza ocena ze stanowiska historycznego, literackiego i moralnego.

Druga serya obejmuje już kompletne dzieła autorów, mianowicie każdy tom zawiera jedno dzieło autora pogańskiego i jedno chrześcijańskiego wraz z obszernym aparatem naukowym, n. p. *Hymny Adama od św. Wiktora a Ody Horacego.* Nie da się zaprzeczyć, że ta metoda porównawcza posiada wiele zalet. Budzi w uczniu przedewszystkiem zainteresowanie dla autora, wzmacnia pamięć, zaostrza inteligencyę, kształci smak estetyczny. Ile tu pola do kombinacyi, do nowych i oryginalnych spostrzeżeń!

Ks. Guillaume miał tę pociechę, że jego propaganda znalazła życzliwe przyjęcie w Rzymie. Papież Leon XIII. na przedłożoną sobie kolekcyę *Classiques comparés* w brewe wystosowanem do Msgra Heylen, biskupa z Namur, taką dał odpowiedź dnia 20 maja 1901 roku:

Ea disciplinae ratio quae adolescentes, in sacris praesertim seminariis, sic vult ad litteras institui ut, praeter exemplaria veterum graeca et latina diligenter versanda, etiam clariores e christianis scriptoribus cognoscant et quanti dignum est faciant, non caret profecto sua laude; quod ipsum alias Sedes Apostolica per occasionem significavit. Tali quidem adductum esse consilio virum ex ista dioecesi egregium,

L. Guillaume canonicum, epistola Nos tua certiores fecit, eumque iamdiu sollertiae et laboris multum, adscitis sociis impendere in conficienda evulgandaque librorum serie, quae scriptores nostros cum ethnicis suo quemque genere collatos exhibeat. Hanc dono ab iis missam libenter accepimus ac de pietatis officio habemus gratiam: de ipsa vero opera illud eisdem optamus, quod studiose spectant, ut nimirum iuventuti ad cultaram ingenii maximeque animi proficiat... etc.

Przypuścić można, że nietylko w seminaryach duchownych, ale i w świeckich kolegiach, szkołach prywatnych a nawet rządowych gimnazyach dałoby się zaprowadzić tę metodę mieszano-porównawczą.

Narzeka się na upadek łaciny; mimo znacznej ilości godzin, jej poświęcanych, wyniki nie są świetne. Stąd pojawiają się coraz to nowsze projekty reformy; jedni chcą ożywić zamierającą łacinę nauką archeologii, inni zepchnęli ją do roli pomocnicy w nauczaniu historyi. Może podniesiony w tym artykule projekt zdoła ją ożywić zwłaszcza gdyby się czytankę autorów uzupełniło ćwiczeniami w praktycznem używaniu języka łacińskiego.

Studyum chrześcijańskiej literatury uzupełni nadto pewne braki w obecnem wyższem wykształceniu. Niewątpliwie szkoła średnia daje oprócz formalnego wykształcenia bardzo dużo pozytywnych wiadomości ze wszystkich dziedzin ludzkiego ducha. Ale ile tam rzeczy bezwartościowych, a o ilu naprawdę pożytecznych uczeń nie dowiaduje się wcale! Czyta się nieraz liche farsy sceniczne lub marne wierszydła, a przechodzi do porządku dziennego nad wspaniałą tysiącletnią literaturą chrześcijańską. Stąd pochodzi, że, gdy starożytność klasyczna ma liczne szeregi wielbicieli i badaczy, pisarze chrześcijańscy nie budzą zajęcia; i nic dziwnego, wszak „*ignoti nulla cupido*". Chrześcijańską literaturę uważa się za wyłączną domenę teologów, a przecież dobrzeby było, żeby i laicy zapoznawali się z jej wiekopomnymi utworami, otrzymawszy w tym kierunku impuls już na ławie szkolnej.

M. Wroński.

Dyalog Minucyusza Felixa p. t. »Octavius«.

Czas i cel tego utworu.

Wobec wrogiego stanowiska, jakie zajęli Rzymianie względem chrześcijan, w ich państwie coraz to silniej się organizujących, gdy wśród społeczeństwa rzymskiego poczęły się szerzyć wieści dla wyznawców nowej religii jak najniepomyślniejsze, musiało się wśród chrześcijan obudzić poczucie potrzeby obrony ich religii, musiała się obudzić chęć wykazania bezpodstawności i złośliwości zarzutów i oszczerstw, przeciwko nim skierowanych. Tak powstały apologie o charakterze jużto odpornym, jużto zaczepnym. Są one charakterystycznym objawem chrześcijańskiego piśmiennictwa i to głównym jego rodzajem w II. wieku. List Dyogneta daje im początek, a do szczytu rozwoju dochodzą w dziełach Justyna († 166).

Tym też rodzajem rozpoczyna się również łacińska literatura chrześcijańska, a na jej czele stoi: Marek, Minucyusz Felix (z II-go w. po Chr.), którego dyalog p. t. „Octavius" — od początku budził powszechne zainteresowanie i budzi je do dziś dnia. Pisemko to znane zrazu jako VIII. księga Arnobiusza „*Adversus gentes*" i pod jego imieniem wydane w Rzymie r. 1543 z manuskryptu: *Parisinus* Nr. 1661 — zostało pod właściwem nazwiskiem autora ogłoszone dopiero przez Franciszka Baudouin (Balduinus) w r. 1560. „*Octavius*" należy do dzieł w literaturze łacińskiej najwięcej omawianych, cieszy

pomiędzy nimi popularnością i wszędzie czyta się pochwały ego tak u Ojców Kościoła, jak u pisarzy świeckich. I tak van Hoven [1]) w jednym ze swoich listów zwie go: „*aureus libellus*" Norden [2]) pisze: „*Octavii dialogi felici quodam eventu ad nostra usque saecula propagati memoriam quotienscunque mecum recolo mira animum perfundi sentio dulcedine; ea ille est et linguae nitidissimae elegantia et argumenti gravissimi auctoritate*". Vahlen[3]) swój zachwyt wyraża słowami: „*periucundus est libellus M. Minucii, quae disputantur, ea omnia exquisita sermonis elegantia, nonnunquam artificiosius perpolita dicuntur, ut licet passim veterum imitationem, Tullianam imprimis, tamen haec nativum quendam leporem orationis prae se ferre videantur, quo qui legant, non possint non valde delectari*" Warto przytoczyć słowa jednego z naszych znawców literatury łacińskiej, A. Miodońskiego [4]): „trudno się oprzeć urokowi dziwnemu tej osobistości Oktawiusza, raczej samego autora, który się z nią identyfikuje — trudno przemilczeć łagodność tonu, wyrozumiałość i oględność, które wyciskają na dziełku znamię produktu na wskróś humanitarnego, poczętego w pełnem świetle kultury; — lub [5]), utwór łączy ponętną formę z niezwykłą treścią, porywającą duszę społeczeństw w krainę uzdrawiających ideałów".

Tego rodzaju pochwały i wyrazy zachwytu nie okażą się przesadzone, gdy zaglądniemy do dyalogu i poczniemy czytać jego osnowę. Zaraz sama scenerya, w jaką nas autor wprowadza, mile zajmuje wyobraźnię i serca nasze, mile nas zaciekawia i zachęca do dalszego czytania. Bo zważmy: Rozmowa, która jest treścią dzieła całego, odbywa się w Ostyi, zwanej przez Minucyusza [6]) „*amoenissima civitas*"; wybrali się do tego miasta trzej przyjaciele z Rzymu: Minucyusz, rzymski

[1]) Lindnera wydanie z r. 1773.

[2]) „*De Minucii Felicis aetate atque genere dicendi*", Greifswald 1897 p. 3.

[3]) „*De emedando Minucii F. Octavio*", XXXIX. index lectionum aestivarum, 1894, p. 106.

[4]) „*Quo vadis*" Sienkiewicza, a Minucyusza F. „Octavius". (*Przegl. powsz.* t. 82, 1904), p. 364.

[5]) p. 370.

[6]) Oct. II 3.

adwokat „*causidicus*", chrześcijanin — Oktawiusz, jego najlepszy przyjaciel i współwyznawca i Cecyliusz, wówczas jeszcze poganin. Przechadzając się wśród miłej gawędki po brzegu morskim, przechodzili obok posągu Serapisa, bożka egipskiego, któremu Cecyliusz złożył hołd ukłonem i przesłał pozdrowienie przez pocałunek ręki. Zgorszył się tem Oktawiusz i poczyna robić wyrzuty Minucyuszowi, że pozostawia dotąd w zaślepieniu człowieka, z którym łączą go tak ścisłe węzły przyjaźni. Poganina oburza ta uwaga Oktawiusza; obrażony, wzywa go do dysputy, do której zasiadają na grobli portowej z Minucyuszem w pośrodku, jakby rozjemcą, co ma godzić zwaśnionych.

Lecz po cóż silić się na słowa streszczenia — lepiej niech przemówi do nas sam autor w przekładzie ślicznego wstępu swego dziełka [1]): „Gdy w myślach zatopiony począłem snuć wspomnienia o mym zacnym i wiernym druhu Oktawiuszu, owładnęło mną tak rzewne uczucie, że zdawało mi się, jakobym nie rzeczy już przeżyte i minione odnawiał w pamięci, lecz jakobym sam poniekąd cofał się w przeszłość: tak przeniknęło nawskroś mą duszę wrażenie obrazu jego postaci i wstrząsnęło nią podobnie, jak zniknięcie jego z mych oczu. I nie bez powodu mąż ten niezwykły i bez skazy po śmierci swej pozostawił w mem sercu nieukojoną tęsknotę za sobą; przecież i on sam zawsze tak gorące uczucie żywił ku mnie, że przy zabawie i pracy zupełnie zgodnie ze mną tego samego chciał lub nie chciał, tak, że można było przypuszczać, iż jedna dusza ożywiała nas obu. Był on też jedynym powiernikiem mych uczuć, jak również wspólnikiem mych błędów; a gdy rozprószyły się osłony mroku i z głębi ciemności wychyliłem się na światło mądrości i prawdy, on nie tylko nie wzgardził przyjacielem, lecz co chlubniejsza — stał mi się wzorem. Kiedy zatem przebiegałem myślą wszystkie chwile naszego wspólnego pożycia przyjacielskiego, dłużej zatrzymałem się przy wspomnieniu rozmowy, w której on Cecyliusza, pogrążonego jeszcze w mrokach zabobonu, dyskusyą

[1]) Według wydania Bernharda Dombarta (2-e Aufl. Erlangen, 1881).

bardzo poważną nawrócił na prawdziwą wiarę. Przybył bowiem do Rzymu celem załatwienia interesu i zobaczenia się ze mną — pospieszył porzuciwszy dom, żonę, dzieci i to w latach jeszcze niewinności; co bardziej ujmuje u dzieci, gdy jeszcze paplają słowa, całkowicie ich nie wymawiają, czyniąc mowę tem wdzięczniejszą z powodu łamania się języka, który się zacina. Nie mogę wyrazić słowami ogromu radości niezwykłej, jaka rozpierała me serce, radości, rosnącej skutkiem niespodziewanego zjawienia się najdroższego przyjaciela. Przeto po paru dniach, gdy i gorąca tęsknota znalazła zaspokojenie w ciągłem obcowaniu i gdy wzajemnie opowiedzieliśmy sobie wszystko, czegośmy wskutek rozłąki o sobie nie wiedzieli, postanowiliśmy zrobić wycieczkę do Ostyi, miasta wielce uroczego zwłaszcza, że ciało moje wymagało uleczenia z reumatyzmu, a morskie kąpiele były do tego środkiem leczniczym i pociągającym i stosownym; przytem i ferye aż do winobrania zwolniły mnie z zajęć sądowych. W tym bowiem czasie po upalnych dniach lata nastawały miłe dni jesienne. Przeto gdyśmy z brzaskiem dnia idąc wzdłuż brzegu rzeki zdążali w stronę morza — przyczem łagodny powiew wiatru orzeźwiał nasze członki, a piasek usuwający się z pod naszych stóp lekko kroczących budził w nas niezwykłe miłe uczucie — Cecyliusz, zobaczywszy posąg Serapisa, podniósł według zwyczaju zabobonnego ludu rękę do ust i wycisnął na niej ustami pocałunek.

Na to odzywa się Oktawiusz: Bracie Marku! — nie godzi się mężowi uczciwemu pozwolić na to, by człowiek, z którym tak w życiu prywatnem jak publicznem ciągle obcujesz, hołdował zabobonom ludowym, by on w biały dzień składał hołd bryłom kamienia, mającym zaiste kształt ludzki, namaszczonym i uwieńczonym, jakkolwiek wiesz dobrze, że ta zdrożność równą niesławą okrywa ciebie, jak i jego.

Przy tych jego słowach minęliśmy środkową część miejscowości i wyszliśmy już na otwarte pola nad brzegiem morza. Tu łagodne fale, zalewając najdalej wysunięte granice piaszczystego brzegu — równały jego powierzchnię, jakby chciały ubić drogę do przechadzek; — przyczem, gdyż morze i w czasie

zupełnej ciszy zawsze jest niespokojne, chociaż nie wyrzucało na ląd fal białych spienionych, to jednak rozkoszowaliśmy się nader widokiem kłębiących się i ciągle wirujących fal; idąc samym krańcem brzegu morskiego, moczyliśmy nasze stopy, gdy morze naprzemian raz cisnęło się naprzód, omywając falami nasze nogi, to znowu cofało się i umykało, wchłaniając fale w swą toń. Zwolna tedy i spokojnie szliśmy brzegiem wybrzeża, tworzącego łagodne skręty, uprzyjemniając sobie drogę opowieściami. Przedmiotem ich było opowiadanie Oktawiusza o morskiej podróży. Skorośmy uszli wśród rozmowy kawał drogi wróciliśmy się i przebyliśmy jeszcze raz tę samą drogę; gdyśmy przybyli do tego miejsca, gdzie okręty, wyciągnięte na brzeg spoczywały na dębowych kłodach, zabezpieczone przed wilgocią ziemi, ujrzeliśmy chłopców ochoczo bawiących się w zawody rzucaniem kamyczków na powierzchnię morza. Gra ta polegała na tem, że się brało z brzegu kamyczek okrągły, wygładzony przez fale, a następnie ująwszy ten kamyczek horyzontalnie w palce i zgiąwszy się głęboko, jak tylko można było — rzucało się, by wirował po powierzchni fal. Rzucony w ten sposób kamyczek albo prześlizgując się lekko dotykał powierzchni morza i wypływał, albo też w ciągłych podskokach szybko mknął, muskając szczyty fal. Wśród chłopców ten uchodził za zwycięzcę, czyj kamyczek i najdalej poleciał i najczęściej podskakiwał [1]). Gdyśmy tak wszyscy z przyjemnością śledzili przebieg tego widowiska, Cecyliusz nie zwracał na nie uwagi, ani też nie śmiał się z zawodów, lecz milczący, bez humoru stojąc na uboczu, ukazywał we wyrazie twarzy jakieś bolesne podrażnienie. Zagadnąłem go: Cóż to? Czemuż, Cecyliuszu nie widzę zwykłej twojej żywości, ani też w oczach twych tych przebłysków wesołości nie spostrzegam, jakie miewasz nawet wśród poważnych okoliczności? Na to powiada on: Już od dłuższego czasu głęboko dotknęły mnie i boleśnie zasmuciły słowa naszego Oktawiusza, w których on pozornie

[1]) Podobnie nasi chłopcy bawią się nad brzegiem rzek w tz. puszczanie kaczek.

tobie robił wyrzuty i ciebie posądzał o niedbalstwo — w rzeczywistości zaś, by mnie tem ciężej obwinić o brak znajomości rzeczy. Przeto ja posunę się dalej — rozprawię się z Oktawiuszem zasadniczo i całkowicie. Jeśli on się zgodzi, to chciałbym z nim podyskutować, jako członek tej sekty, a z pewnością przekona się, że łatwiej jest rozprawiać z towarzyszami, jak roztrząsać jakieś kwestye filozoficzne; usiądźmy tedy na tych oto groblach kamiennych, zbudowanych celem ochrony łazienek i wysuwających się w głąb morza, byśmy mogli i wypocząć po drodze i rozprawiać z tem większem zainteresowaniem. Na te słowa jego zaraz usiedliśmy w ten sposób, że oni usadowiwszy się po bokach, mnie wzięli w środek; uczynili zaś to nie z grzeczności, albo ze względu na stanowisko i godność — zwłaszcza, że przyjaźń albo zawiązuje się pomiędzy równymi, albo czyni przyjaciół równymi — lecz w tym celu, bym ja jako rozjemca, siedząc najbliżej każdego, przysłuchiwał się ich mowom, a jako bezstronny, bym rozdzielał przeciwników".

Oto słowa autora, wprowadzające nas w dyskusyę; a piękna i miła ta dyskusya:

Cecyliusz chcąc usprawiedliwić złożenie hołdu i czci posągowi Serapisa i wyjaśnić, dlaczego dotąd jeszcze wyznaje wiarę pogańską, wychodzi z akademickiego punktu widzenia filozoficznego i twierdzi, że poznanie prawdy jest w ogóle niemożliwe; przeczy istnieniu Opatrzności Bożej i stworzeniu świata, w czem znowu okazuje się wyznawcą systemu epikurejskiego. Ponieważ nauka co do dwóch ostatnich prawd nie dochodzi do żadnego rezultatu, albo do małego jedynie i nieznacznego, przeto woli on wierzyć religii, przez ojców przekazanej, religii państwowej, której Rzym zawdzięcza swoją wielkość i swe panowanie. Chrześcijaństwa nie może on przyjąć już dlatego, że ono nie uznaje istnienia bogów. Chrześcijaństwo zdaniem Cecyliusza — to zadziwiająca głupota, i niebywała zuchwałość; te cechy występują w nauce. W przeciwieństwie do pogan, idących śladem przodków i zachowujących ich religię (Oct. VI. 1), ośmielają się chrześcijanie w swej niesłychanej przewrotności i bezbożnej przebiegłości, usuwać dawną religię

(Oct. VIII. 1), pastwiąc się nad dawnemi bóstwami (Oct. VIII. 3). Wierzą oni w stworzenie świata (Oct. V. 7), a zarazem w jego zniszczenie, kiedy to cała ziemia spali się i zniknie (Oct. XI. 1), przyczem oni jedni to wszystko przetrwają i żyć będą wiecznie (Oct. XI. 3). Chcąc uniknąć zniszczenia przez ogień, zarzucają zwyczaj palenia ciał, jakkolwiek wiedzą o tem dobrze, że ostatecznie ziemia podobnie niszczy ciało, jak i ogień (Oct. XI. 4). Według ich zapatrywania, złym grozi wieczna zguba, a ich czeka wieczne szczęście. Tymczasem sami są niesprawiedliwymi, a chociażby nimi nie byli, to nie mogą spodziewać się żadnej nagrody za swą sprawiedliwość — bo głoszą przecież, że Bóg jest sprawcą wszystkiego, a więc i ich sprawiedliwości, że Bóg jest początkiem i końcem wszystkiego — Jemu należy przypisać wszystko — On ich powołał do wiary chrześcijańskiej (Oct. XI. 5. 6. 7). Chrześcijanie — to zaślepieńcy, co marzą o pozagrobowem życiu. Przeciwieństwo, w jakiem stawiają się chrześcijanie do pogan — wywołuje u Cecyliusza oburzenie i podnieca do tem ostrzejszych nagan.

Wszak oni gardzą świątyniami, wyszydzają ofiary, a sami żądają miłosierdzia (Oct. VIII. 4). Nigdy nie biorą udziału ani w igrzyskach, ani w procesyach, ani w objatach ofiarnych, ani uroczystościach kultowych (Oct. XII. 5. 6); — dla nich niczem są sny, wyrocznie; nie potrzeba im świątyń, oltarzy, ani obrazów bóstw (Oct. X. 2). Przeciwnie oni czczą głowę osła, albo złoczyńcę, co zawisł na sromotnem drzewie krzyża (Oct. IX. 3. 4). Że te zarzuty są prawdziwe, dowodem może być okoliczność, iż kryją się ze swym kultem (Oct. IX. 1. 2), a schodzą się w nocy (Oct. VIII. 4). Między sobą mają jakieś tajemne znaki, a kochają się pierwej, zanim się poznają (Oct. IX. 2). Religia ich — to religia użycia — a wyznawcy jej co to za ludzie? Oto niewykształceni, którzy nawet na rzemiośle dobrze się nie znają (Oct. V. 4); — w gronie ich pełno łatwowiernych niewiast (Oct. VII. 4. 5). Nasze urzędy i stanowiska są dla nich niczem (Oct. VIII. 4). To wrogowie państwa, dlatego bardzo niebezpieczni, jednoczą się w stronnictwo, związane przysięgą, a życie pędzą zakazane (Oct. VIII. 3). Niczem dla nich śmierć, krzyż, mę-

czarnie lub ogień (Oct. XII. 4); dla nich to wszystko nic nie znaczy wobec nadziei przyszłego życia w szczęściu i zadowoleniu niewysłowionem i ta nadzieja pobudza ich do pogardy życia teraźniejszego na ziemi (Oct. VIII. 5). Rozszerzyli się po całym świecie (Oct. IX. 1) dzięki pokojowym stosunkom w państwie i z każdym dniem liczba ich wzrasta (Oct. XXXI. 7). Zniszczyć przeto należy ich sektę: „*eruenda prorsus et execranda haec consensio*" (Oct. IX. 1).

Wogóle Cecyliusz zwalcza chrześcijaństwo, jako sektę nieobyczajną, oddającą się niedorzecznym spekulacyom o Bogu i filozofii — sektę niewykształconych, którzy jako tacy winni się raczej przejąć słowami Sokratesa: „*quod supra nos, nihil ad nos*" i Sokratesa winni sobie wziąć na wzór, bo on przez poznanie, że nic nie wie, słusznie uzyskał sławę najmędrszego — albo Symonidesa, który proszony o podanie jakiegoś określenia, co to jest bóstwo — z dnia na dzień zwlekał z odpowiedzią (Oct. XIII. 1. 4).

Tych napaści i zarzutów Cecyliusza nie pozostawia bez odpowiedzi Oktawiusz; przechodząc kolejno każdy ze zarzutów, wyznaje, że chociaż chrześcijanie są przeważnie biedaczyny niewykształcone, bez wyższej ogłady i kultury i chociaż jako tacy rozprawiają o rzeczach niebieskich, to przecież wszyscy ludzie bez różnicy wieku, pochodzenia i stanowiska otrzymują w udziale rozum i zmysł spostrzegawczy, dzięki czemu mogą zajmować się rzeczami, które ich zaciekawiają. I wielu sławnych filozofów, zanim stali się sławnymi, należało do niższych warstw ludu uboższego bez wykształcenia (Oct. XVI). Chrześcijanie wierzą w jednego Boga, a że istnieje Stwórca i Opatrzność wyższa, co rządzi światem całym i tymi, co na nim mieszkają, na to wielu dowodów nie trzeba: wystarczy spoglądnąć na niebo, gwiazdy, pory roku i ich zmiany, zmiany dnia i nocy; dowodami mogą być: wiosna z kwiatami, lato ze żniwami, jesień z dojrzałymi owocami; wystarczy spoglądnąć na morze, rzeki, źródła, drzewa, zwierzęta, a przedewszystkiem na piękność naszych, własnych postaci, które wszystkie wzajemnie do siebie podobne, tylu zarazem cechami różnią się pomiędzy sobą (Oct.

XVII. XVIII). Że całym światem rządzi Bóg i to jedyny — tego dowodzi sama nazwa: Bóg. Już poeci dawni, Enniusz (u Cycerona: De nat. deor. II. 4), Homer (Odys. XVIII. 136), Wergiliusz (En. VI. 724) głoszą istnienie jednego tylko Boga; podobne zapatrywania głoszą filozofowie, jak: Tales, Anaximenes, Diogenes z Apollonii, Anaxagoras, Pitagoras, Xenofanes, Antistenes, Speuzippos Demokryt, Straton, Epikur, Arystoteles. Tymczasem w przeciwieństwie do swych filozofów starożytne pogaństwo w co wierzyło? W jakieś Scylle, Charybdy, Chimery, Hydry, Centaury, ptaki, dzikie zwierzęta, drzewa, kwiaty. Królów swych i bohaterów otaczali czcią boską po śmierci, stawiając im ołtarze i świątynie, o czem piszą historycy i filozofowie (Oct. XX. XXI). Pogańscy bogowie — to ubóstwieni ludzie. Oni są przedmiotem misteryów, obrzędów religijnych, w których jedynie znaleźć można płacz, smutek, biadania, narzekania i pogrzeby. Już same postacie tych bóstw wywołują na usta uśmiech politowania i wzgardy — jak n. p. Wulkana kulejącego, Apollina mimo tylu wieków zawsze młodego — Eskulapa z brodą bujną, chociaż ojcem jego wiecznie młody Apollo, — Neptuna o oczach modrych, Minerwy o niebieskim wzroku, Junony znowu „wolookiej". Janus ich ma dwa oblicza, Merkury stopy ze skrzydłami, Pan chodzi na kopytach, Saturn ma nogi spętane. Diana, jako łowczyni chodzi wysoko podpasana — jako: „Trivia" budzi postrach potrójnem obliczem i mnóstwem rąk. A sam ojciec bogów i ludzi Jowisz — na jednym posągu ma brodę, na innym żadnego nie ma zarostu; jako: Hammon ma rogi, jako: Kapitoliński — wstrząsa piorunami, jako Latiaris — jest zbryzgany krwią, jako: Feretrius zdobi się w koronę (Oct. XXII). Najróżnorodniejsze bajki krążą o nich i te bajki są przedmiotem nauki i utworów poetyckich. Fantastyczne opowieści o nich ułudnie pociągają młode, niedoświadczone umysły młodzieńców, którzy przejmują się niemi wzrastają z niemi i starzeją się, nie zaspokajając niemi głodu w pogoni za prawdą. Czci lud posągi tych bogów — olśniony blaskiem złota lub srebra lub kości słoniowej, obrobionych artystyczną dłonią rzeźbiarza w całość, nieraz genialnie

wykończoną. Tymczasem kiedy te posągi stają się bóstwami? Gdy się ich formę odleje, wykuje lub wyhebluje — jeszcze nie są niemi; gdy się je spoi ołowiem, złoży i ustawi — jeszcze nie są niemi; dopiero gdy się je ozdobi, uświęci, gdy się modły zaniesie do nich, wtedy dopiero stają się bóstwami — tz. dopiero wtedy, gdy człowiek na ten cel je przeznaczy (Oct. XXIII). Lepiej te bóstwa oceniają stworzenia: myszy, jaskółki, gołębie — toczą je, siadają na nich — i gdyby im nikt nie przeszkadzał na głowach zakładałyby gniazda — a i tak pająki swemi nitkami zasnuwają ich twarze. Poganie muszą bóstwa swe omywać, czyścić — i boją się tych, które sami sobie zrobili i które ochraniają. Ileż zabobonów w religii rzymskiej! — ile tam przesądów, jak dziwne obchody, ceremonie, na które zdobywać się może jedynie brak rozsądku i chyba szaleństwo, które usprawiedliwienie może znaleźć jedynie w tem, że bardzo wielu mu ulega (Oct. XXIV). Chlubią się poganie, że swej religii zawdzięczają panowanie nad światem — gdy przodkowie ich odznaczali się nie tyle męstwem, jak pobożnością i religijnością. Tymczasem kto założył państwo rzymskie? Czyż nie morderca własnego brata? A obywatelami, jego pierwszymi — czyż nie byli ludzie: *perditi*, *facinorosi*, *incesti*, *sicarii*, *proditores* — ludzie zepsuci, występni, nieobyczajni, złoczyńcy i zdrajcy? Oni i ich potomkowie rozszerzali granice państwa, ale przez rabunki, grabieże i mordy — osób nawet poświęconych bóstwom na służbę. Że Rzymianie stali się pobożnymi, to tylko dlatego, iż zbrodnie i świętokradztwa uchodziły im bezkarnie. Jakże mogą przypisywać bogom swoją potęgę, skoro ci bogowie są po największej części bogami obcymi, którzy własnych czcicieli przed bronią Rzymian obronić nie mogli (Oct. XXV). Kto chce poznać, jaką wartość mają rzymskie auspicya i wyrocznie, ten niech sobie przypomni n. p. opowiadanie o Amfiarausie, co to przepowiadał, jakie rzeczy dziać się będą po jego śmierci, a nie przewidział tego, że zginie uduszony przez własną żonę. Bogowie rzymscy — to duchy nieczyste, demony, co utraciwszy pierwotną dobroć i zalety, chcą innych doprowadzić do podobnego nieszczęścia, by zmniejszyć boleść własną. Znają

te demony poeci, rozprawiają o nich filozofowie, znał je Sokrates, który w swych czynnościach kierował się natchnieniami demona, w nim stale przebywającego. Dzięki demonom magowie dokonywają swych sztuczek. Plato w Symposionie stara się określić ich naturę (Oct. XXVI). Te to demony, ukrywając się w posągach, nadają im pozory boskości — one udzielają natchnień wieszczkom, kierują lotem ptaków, ożywiają nieraz wnętrzności, układają losy, wyrocznie, pełne krętactw i niejasności; one to mącą spokój życia, niepokojące sny wywołują, choroby, zaniepokajają umysły, szaleją w szaleńcach; chrześcijan się boją i dlatego sieją nienawiść ku nim. Wszystkie oszczerstwa, jakie krążą o chrześcijanach wśród członków społeczeństwa rzymskiego, pochodzą od tego rodzaju demonów (Oct. XXVIII). A jak przewrotnie głupie są te oszczerstwa! Zarzucają poganie chrześcijanom, że czczą głowę osła, a sami całemu osłowi oddają cześć boską, a nadto czczą głowy wołów i baranów; kto pasie i czci Apisa, hoduje krokodyle, ryby, węże — jeśli nie poganie? Chrześcijanie czczą krzyż — a poganie ludzi na krzyżach, czczą znaki wojskowe, najrozmaitsze sztandary pozłacane i ozdobione. Poganie zarzucają chrześcijanom, że zabijają dzieci i mordują na ofiarę swym bożkom, a sami nieraz wystawiają je na pożarcie dzikim zwierzętom lub ptakom (Oct. XXIX, XXX). Posądzają poganie chrześcijan, że ich obyczaje nie są bez nagany, a istotnie chrześcijanie przedewszystkiem dbają o czystość serc, z niej bowiem bierze początek czystość obyczajów. Że liczba chrześcijan z każdym dniem wzrasta, to nie jest dowodem błędu, lecz owszem godnem chwały — ponieważ powodem tego pięknego wzrostu jest jedynie piękny sposób życia. Chrześcijanie nie znają nienawiści — kochają się wzajemnie, jako dzieci jednego Boga, wyznawcy tej samej wiary, żywiący te same nadzieje (Oct. XXXI). Że nie stawiają świątyń swemu Bóstwu, to głównie dlatego, iż w każdym człowieku widzą obraz Bóstwa; Bogiem nazywają najwyższą istotę, ponieważ Jej naocznie widzieć nie mogą, a istnienie Jej muszą uznać, patrząc na dzieła i zjawiska świata — grzmoty, błyskawice, burze. Nie można się

dziwić, że się nie widzi Boga — oto powiewy wiatru wirują w świecie — a oczy ich nie widzą. Kto chce widzieć Boga, niech sobie przywiedzie na pamięć słońce! Czyż może ktoś patrzeć w słońce samo bez osłabienia wzroku, a nawet zupełnej jego utraty? Jeśli blasku słońca oko człowieka znieść nie może, to czyż mogłoby znieść blask Stwórcy słońca, blask Źródła wszelkiego światła? Jakże może ktoś oglądać Boga oczyma ciała swego, kiedy oglądać nie może nawet własnej duszy, która go ożywia (Oct. XXXIII). Chrześcijanie wierzą w koniec świata, w ostateczną jego zagładę przez ogień i cóż w tem dziwnego. Przecież każdy z filozofów wierzy w to, że wszystko stworzone musi zginąć n. p. już Stoicy wierzyli w to, że niebo wraz ze wszystkiem, co obejmuje, stanie się pastwą płomieni, ponieważ po wysuszeniu się wilgoci, pożar musi ogarnąć całą ziemię; podobnie sądzą Epikurejczycy, Plato. Dla Boga tylko nic nie ginie; On utrzymuje wszystkie elementy, chociaż się obrócą czy w proch, czy w parę, czy w dym. Grzebanie umarłych uważają chrześcijanie za zwyczaj pierwotny i szlachetniejszy od zwyczaju palenia ciał na stosie. Że dusza nie ginie po śmierci — ale żyje, to wyznawali już Pitagoras, Plato, twierdząc, że dusza po śmierci ciała nie ginie, ale żyje wiecznie, a często przechodzi w inne ciała n. p. ptaki, zwierzęta. Czyż Bóg — jak mógł dać istnienie jakiemuś stworzeniu, tak nie może mu go napowrót przywrócić?! Wszakże w naturze wszystko się odnawia: słońce zachodzi i wschodzi; gwiazdy ukazują się i znikają; kwiaty tracą kwiecie i napowrót niem się okrywają; jak drzewa w zimie, tak ciała w grobie — pod powłoką trupią ukrywają zarodki życia. Wielu jest ludzi, którzy wolą po śmierci w nicość się zamienić, byle tylko nie ponieść kary za swe przewinienia. Lecz tacy niech sobie przypomną napominania mędrców o ognistej rzece i bagnie Styksu. Słusznie ponosić muszą karę ci, którzy Boga nie znają i jednakową zbrodnią jest Ojca i Pana wszechrzeczy nie znać, jak Go obrażać (Oct. XXXIV, XXXV). Chrześcijanie dalej nie tylko nie są gorszymi od pogan, ale we wielu względach ich przewyższają: tak n. p. poganie zakazują zrywać małżeństwa, ale wbrew temu prawu postępują — chrześcijanie

żonom dochowują wierności; poganie karzą dopiero przestępstwa — chrześcijanie samą myśl o nich uważają za grzeszną; poganie boją się świadków czynu jakiegoś, chrześcijanie nawet niepokoju sumienia; poganie zapełniają więzienia - chrześcijanin, jeśli w nich przebywa, to albo jako męczennik, albo jako apostata swej wiary (Oct. XXXV). Śmieją się poganie z chrześcijan, że przeważna ich większość jest uboga, a tymczasem okoliczność, że są po największej części ubodzy, może być dla nich jedynie chlubą z tego względu, że wygodne życie osłabia ducha, a umiarkowane go wzmacnia. Zresztą jak może być ubogim ten, którego bogactwem jest Bóg? Nikt nie może znaleźć się w stanie bardziej ubogim od tego, w jakim się narodził! W życiu szczęśliwszy jest ten, kto się opiera na ubóstwie, aniżeli uginający się pod ciężarem bogactwa. Chrześcijanie wolą gardzić bogactwem, niż je gromadzić — wolą być bogaci w cnotę niewinności, niż w bogactwa ziemskie. Dla nich ubóstwo i cierpienia są szkołą i probierzem cnoty. Bóg cieszy się widokiem chrześcijanina cierpiącego i w bolu go nie opuszcza, jak n. p. wódz opuszcza zranionego żołnierza, ale daje mu pociechę w cierpieniu, a nadto nagrodę w życiu pozagrobowem. Stąd też wyznawcy religii chrześcijańskiej wyciągają ręce do cierpień, krzyżów, kłów dzikich zwierząt, ognia. Muciusz Scewola spalił sobie rękę — a iluż to chrześcijan bez jęku żadnego zniosło palenie całego ciała, chociaż mogło od tej męki się uwolnić. Pogańscy bohaterowie, jak Muciusz, Akwiliusz, Regulus, byli mężami w pełni sił — a wśród chrześcijan małe dzieci, słabe niewiasty wyciągają ręce do krzyżów, cierpień, paszcz dzikich zwierząt! Dziwić możnaby się, że ci, którzy Boga nie znają, opływają w bogactwa, w zaszczyty, cieszą się wpływem; tymczasem Bóg tem więcej ich wywyższa, by później tem niżej upadli. Jedynie Bóg może dać prawdziwe szczęście! Bez znajomości Boga prawdziwego szczęścia być nie może! Śmierć — podobna do snu zbliża się — któż szczęśliwy? Król — sam o tyle się boi, o ile i jego się boją, a w niebezpieczeństwie jest osamotniony. Bogacz — utrudnia sobie tylko drogę życia! Siekiery liktorskie i purpura dają szczęście? Cóż po purpurze

gdy dusza brudna? Chlubisz się urodzeniem? Cóż z niego, gdy jedynie cnota nas rozróżnia (Oct. XXXVI, XXXVII). Dla chrześcijan miarą oceny ludzi jest jedynie sposób życia i czystość obyczajów — nic też dziwnego, że stronią od wszelkich igrzysk pogańskich, przedstawień i widowisk teatralnych, które obrażają ich uczucia. Lubią oni i kwiaty piękne, pachnące — róże lub lilie — a że nie wieńczą nimi głów, to jedynie dlatego, że chcą miły zapach kwiatów wciągnąć nosem, a nie głową lub włosami. Że zmarłych nie wieńczą, cóż w tem dziwnego? Przecież gdy zmarły jest szczęśliwy po śmierci, to nie potrzebuje kwiatów, a jeżeli jest nieszczęśliwy, to tem więcej nie może mieć upodobania w kwiatach. Chrześcijan ożywia nadzieja przyszłego życia — nadzieja przyszłej chwały — a jej rękojmią jest życie na ziemi w spokoju i bogobojności — żyją ufni w opiekę Opatrzności Boga. Starożytni filozofowie, jak Sokrates, Arkesilas, Karneades, Pyrro, Simonides, szukali prawdy, głosili wzniosłe zasady, a sami wbrew głoszonym prawdom żyli; chrześcijanie natomiast dążą do osiągnięcia mądrości nie w słowach, ale w życiu i mogą się śmiało pochlubić, że osiągnęli to, do czego pogańscy filozofowie dążyli, czego jednak nie znaleźli. Widząc tryumf swego Bóstwa, żyją z myślą, by zabobon zginął, bezbożność stała się nieszkodliwą, a prawdziwa wiara zyskiwała wyznawców! (Oct. XXXVIII).

Gdy Oktawiusz skończył, Cecyliusz uznaje swą niższość we wywodach, wyznaje, że czuje się zupełnie pokonanym, że widzi konieczność istnienia Opatrzności Bożej — istnienia Boga tylko jednego, widzi jasno niesłuszność zarzutów, skierowanych przeciwko chrześcijanom — gdy oni są obyczajnymi bez zarzutu i że chętnie do ich grona się przyłączy. Pozostaje wprawdzie jeszcze wiele kwestyi do omówienia, które są niejasne, ale lepiej odłożyć je na dzień następny.

Ten krótki szkic treści dowodzi, że zaciekawić ona może czytelnika-chrześcijanina. Podziw dla autora wzrośnie, skoro poznamy zalety dyalogu — jakiemi są np. pomysł podzielenia całego przedmiotu jakby pogańsko-chrześcijańskiego na dwie mowy, z których każda ma trzy poddziały: 1) *filozoficzny*

(Oct. V. XI. 5. — XIX); 2) *pogańsko-apologetyczny* (Oct. VI. VII), któremu odpowiada *chrześcijańsko-polemiczny*, i 3) *pogańsko-polemiczny*, któremu znowu odpowiada *chrześcijańsko-apologetyczny* (Oct. VIII. — XIII. = XXVIII — XXXVIII)[1]) Przytem wszystkie części mowy wzajemnie sobie odpowiadają co do pytań i odpowiedzi — nadto każda stanowi dla siebie odrębną całość, przyczem wszystkie wiążą się ze sobą ściśle przez zgrabne przejścia, dzięki którym poszczególne części zlewają się w harmónijną całość. Harmonia ta i wewnętrzna łączność mów Cecyliusza i Oktawiusza sprawiają, że przy czytaniu dziełka Minucyusza nie odczuwa się przeskoków, odbiegań od tematu a wszędzie ukazuje się przedstawienie jasne o charakterze objektywnym, widocznym w spokoju dyskutujących. Do tych zalet przyłącza się forma niezwykła, wyrażenia jędrne, dobitne, czem zachwycony Muralt powiada[2]): „*Maiore etiam, quam Lactantius iure, Christianus Cicero dici poterit Minucius*". Niemniej zaszczytny jest sąd znawcy stylu łacińskiego — tej miary, jakim jest Norden Edward; powiada on w jednem z cennych swych dzieł[3]): „*Minucium argutis dicendi artificiis' lenociniisque adeo non abstinuisse intelleximus, ut nitidam quandam affectaret orationis elegantiam mollemque sectaretur oris dulcedinem, quae non vitiosa esset, sed legentis sensus leni voluptate perfunderet, summo plerumque usus iudicio summaque artis peritia optime providebat*" — lub: „*genus dicendi est argutum, acre, vehemens, est pressum, densum, nervosum, crebris sententiis compactum, omniumque antiquitatum atquae historiarum memoria refertum et in quo plures sententias, quam periodos numerare possis*".

Dzięki tym cechom dyalog Minucyusza pociągał zawsze czytelników i pociąga i nic dziwnego, że pobudzał i pobudza do bliższego zaznajamiania się z jego treścią i formą, do wyjaśnie-

---

[1]) Porównaj: Kühn Richard: „*Der Octavius des Minucius Felix. Eine heidnisch-philosophische Auffassung des Christenthums*: Leipzig 1882.

[2]) W wydaniu „Oktawiusza" (Zurych 1836).

[3]) „*De Minucii Felicis aetate atque genere dicendi*". Greifswald 1897. (Wissenschaftliche Beilage zum Vorlesungsverzeichniss der Universität. Greifswald—Ostern 1897, p. 62...)

nia jego charakteru. Dwie zwłaszcza kwestye są w dyalogu Minucyusza dotąd niewyjaśnione, sporne: 1) *czas. w jakim on został napisany* i 2) *co spowodowało jego napisanie.* Te dwa zagadnienia stanowią również przedmiot niniejszego opracowania, raczej dającego obraz stanu kwestyi, niż oryginalnego.

Co do czasu, w jakim dyalog został napisany, ogłoszono wiele rozpraw, z których każda na innych argumentach się opiera i inny czas napisania dyalogu podaje; każda z nich ma więcej lub mniej prawdopodobieństwa, żadna nie jest bez zarzutu i bez „ale“ — a wszystkie naprowadzają czytelnika na to, że trudno ustalić czas napisania dyalogu Minucyusza, a nawet budzą wątpliwość, czy w ogóle możliwą jest rzeczą czas ten dokładnie określić. Dlatego też w niniejszej rozprawce raczej zajmiemy się drugą kwestyą, w jakim celu dyalog został napisany, a pierwszą krótko naszkicujemy.

By rzucić światło na czas napisania dyalogu Minucyusza, szukano najrozmaitszych dróg i sposobów; wreszcie zgodzono się na jedno, że do celu najprędzej może doprowadzić droga literackiego porównania dyalogu Minucyusza z dziełami innych, jemu współczesnych apologetów łacińskich i greckich. Tu znowu najżywiej omawiano stosunek Minucyusza do Tertulliana, który z nich jest wcześniejszy. Jedni przyznali pierwszeństwo Tertullianowi, większość Minucyuszowi, kilku wreszcie, chcąc wytłumaczyć cechy wspólne obu dziełom, przyjęło wspólne źródło, z którego obaj autorowie mieli czerpać, którem byłaby apologia jakiegoś autora łacińskiego, bliżej nam nieznanego.

Starano się również dokładnie oznaczyć czas napisania dyalogu Minucyusza — a jak trudny jest ten problem, świadczyć może to, że czas powołania dyalogu, oznaczany przez najrozmaitszych uczonych, obejmuje okres lat od r. 160—303-go po Chr.

Za datą najdawniejszą Blondela r. 160-ym idzie w nowszych czasach Dr. P. Schwenke (Über *die Zeit des Minucius Felix* — *Jahrb. f. prof. Theologie*, 1883, p. 263—294), oznaczając czas napisania dyalogu na lata panowania Antoninusa Piusa (138—161), Do czasów Marka Aurelego i L. Werusa (161—180) przenoszą napisanie dyalogu Keim Teodor (*„Celsus“ wahres Wort. Älteste*

Streitschrift antiker Weltanschauung gegen das Christenthum vom Jahre 178 *n. Chr.* Zurich 1873, p. 156) i Krüger G. (*Geschichte der altchristlichen Litteratur in den ersten drei Jahrhunderten, 1-e und 2-e Aufl.*, Freiburg—Leipzig 1882, p. 88). Na czasy Marka Aurelego lub Kommoda (180—192) przenosi powstanie dyalogu Teuffel (*Gesch. d. röm. Litteratur. Neu bearb. von L. Schwabe, 5 Aufl., 2-er Bd., Leipzig* 1890, p. 927). Do czasów Antoninów (138—192) odnoszą dyalog: Her. Sauppe (*„Octavius" von Halm recensio, Ausgew. Schriften, Berlin* 1896, *p.* 563...), Niebuhr (*Kleine Schriften, 2 Samml. p.* 52), Bernhardy (*Grundriss der röm. Litteratur*), Ebert (*Geschichte der christlich-lateinischen Litteratur von ihren Anfängen bis zum Zeitalter Karls des Grossen, Leipzig* 1874, *p.* 25) — umieszcza go na początku panowania Kommoda (180—192). Francuski krytyk: Paul de Félice (*Étude sur l'Octavius de Minucius Felix, Blois* 1880), przyjmuje r. 155; Aubé (*Histoire de persecutions de l'eglise II, Paris* 1878) lata 176—180). Baehrens (przedmowa do wydania dyalogu, Lipsk 1886) rok 162/3; Hartel W. kładzie dyalog na czas około r. 170; Kühn H. najpóźniej na r. 175.

Inni uczeni w przybliżeniu określają czas jego powstania n. p. Boenig do lat 150—200; Dr. E. Kurz (*Über den „Octavius" des Minucius Felix, Burgdorff* 1886, p. 6), prawdopodobnie na drugą połowę II-go stulecia; Ueberweg (*Grundriss der Geschichte der Philosophie, 7-e Aufl., 2 Theil, p.* 59) na koniec II-go stulecia; Dombart (wydanie dyalogu, 2 wyd. Erlangen, 1881, p. VI), przyjmuje ostatnie dziesiątki lat II-go wieku.

Inni wreszcie przyjmują dla powstania dyalogu wiek III, n. p. A. Harnack (*Geschichte der alt. Litterat., Leipzig* 1893, I, *p.* 647); Schultze (*Die Abfassungszeit der Apologie „Octavius" des Minucius Felix* (*Jahrb. f. prof. Theologie*, 1881, *p.* 485—506), *p.* 496...) przenosi powstanie dyalogu na lata 300, do 23-go lutego 303 roku. Natomiast Massebieau (*L'apologétique de Tertullien et l'Octavius de Minucius Felix, Revue de l'histoire des religieus l'année, tome* 15, 1887, *p.* 316—346) — przypuszcza, że dyalog został napisany w latach 238—246. Na tę datę nie

może się zgodzić Neumann K. J. (*Der römische Staat und die allgemeine Kirche bis auf Diocletian, I. Bd., Leipzig* 1890, *p.* 241) i odnosi napisanie dziełka do lat po r. 248, lub czasu bezpośrednio przedtem — najprawdopodobniej do czasu panowania Filipa Araba (244—249).

To krótkie zestawienie okazuje nam jasno, ile najróżnorodniejszych przypuszczeń i kombinacyi zawiera kwestya czasu napisania dyalogu Minucyusza. Gdybyśmy zechcieli bliżej zbadać argumenty, na których opierają się te kombinacye, weszlibyśmy jakby w las gęsty, nieprzebyty, dziewiczy; trudno w nim rozpoznać pojedyncze drzewa i ich gatunki, trudno znaleźć drogę najdogodniejszą. Podobnie kto pocznie rozczytywać się w teoryach co do czasu dyalogu Minucyusza — wiele wysiłku musi zużyć na to, by ugrupować sobie trafnie ich argumenty, by się w nich nie zgubić — a gdy sobie ugrupuje i rozpatrzy się w nich, zmęczony przyznać musi, że właściwie trudno coś pewnego w tej kwestyi powiedzieć, że raczej należy przywieść sobie na pamięć słowa poety z Wenuzyi: „*adhuc sub iudice lis est*" (*De art. poet.* 78).

Więcej pociąga kwestya, w jakim celu napisał Minucyusz swój dyalog; lecz i tu niema zgody w zapatrywaniach. Zgadzają się prawie wszyscy na to tylko, że jest to apologia chrześcijaństwa. Tymczasem każdego, co przeczyta dyalog, musi uderzyć i wywołać zdziwienie to, że w apologii chrześcijaństwa i to jednej z pierwszych w ogóle, tak mało mowy o rzeczach najistotniejszych chrześcijaństwa; uderzyć musi każdego, że mowa Oktawiusza, która w skutkach powoduje nawrócenie poganina Cecyliusza i która, jakby się spodziewać należało, ma wykazać na nawróconym siłę nowej wiary — nie podaje prawie że nic z właściwej nauki wiary chrześcijańskiej, że pozbawiona jest argumentów, charakterystycznych dla apologetów. Autor nie cytuje jak inni n. p. Pisma św., a raz tylko robi wzmiankę o „*divinae praedictiones prophetarum*", od których pogańscy filozofowie wzięli: „*umbram interpolatae veritatis*" — nie cytuje dalej pisarzy kościelnych, nie uwzględnia wcale dogmatów kościelnych n. p. o Trójcy Św., Duchu Św., Sakramentach,

łasce; nawet o samym Chrystusie mówi mało, a zadowala się jedynie zbijaniem zarzutów, stawianych chrześcijanom ze strony ówczesnych pogan, tak, że czytającemu dyalog Minucyusza przedstawia się on raczej jako traktat filozoficzny, niż jako obrona chrześcijaństwa; całość wygląda jakby na jakiś system monoteistyczny, którego główną zasadę można ująć w słowa: *apud nos religiosior est ille, qui iustior*".

Ten charakter pisemka naszego próbowano w najrozmaitszy sposób tłumaczyć; i tak Dombart Bernh. [1]) powiada, że powodu, dlaczego Minucyusz w swym dyalogu tak mało mówi o rzeczach właściwie chrześcijańskich — należy szukać w założeniu i planie całego dyalogu. Minucyusz uważał pominięcie milczeniem pewnych zarzutów n. p. skierowanych przeciwko osobie Chrystusa za najodpowiedniejsze. Ścisły bowiem, naukowy dowód prawdziwości podania chrześcijańskiego o Chrystusie był wtedy niemożliwy i szersze omawianie tej kwestyi prowadziłoby raczej do profanacyi Zbawiciela. Najpierw trzeba było stworzyć podwalinę silną, na której możnaby było budować i to — zdaniem Dombarta — był główny cel napisania dyalogu. Minucyusz, przyjmując z góry u swych czytelników: rozsądek, miłość prawdy, znajomość literatury pogańskiej — chce głównie trzy rzeczy wykazać i udowodnić: istnienie jedynego Boga, rządy świata przez Jego wszechmocną Opatrzność i czystość obyczajów wyznawców Chrystusa. Pierwsze dwa punkty popiera historycznymi i filozoficznymi dowodami, do których przyjęcia widział czytelników przygotowanych; że zaś chrześcijanie odznaczali się czystością obyczajów — o tem mógł się każdy z współczesnych naocznie przekonać.

Z podobnych powodów unikał Minucyusz także cytatów z Pisma św., których pogańscy czytelnicy nie rozumieliby zupełnie, a przytem formą nieklasyczną mogły razić wybredny smak Rzymian wykształconych na klasycznych utworach rzymskich pisarzy. Pisemko zatem Minucyusza nie jest apologią chrześcijaństwa, ale przygotowaniem do niej.

---

[1]) „*Octavius*", 2 Ausg., Erlangen 1881, Einleitung, p. V...

Podobne zapatrywanie wypowiada francuski uczony Paul de Félice [1]), za którym idzie również Massebieau [2]). Oni widzą nawet zapowiedź takiej apologii w słowach dyalogu w roz. XL. 2: *Itaque quod pertineat ad summam quaestionis et de providentia fateor et de Deo cedo et de sectae iam nostrae sinceritate consentio. Etiam nunc tamen aliqua consubsidunt non obstrepentia veritati, sed perfectae institutioni necessaria, de quibus crastino, quod iam sol occasui declivis est, ut de toto congruentes promptius requiremus*".

Inną drogę obrali Dr. Teodor Keim [3]) i Ryszard Kühn [4]); obaj uważają Minucyusza za nowo-nawróconego chrześcijanina, który w pierwszym zapale miłości dla nowej nauki i wiary staje w obronie moralno-filozoficznego monoteizmu. Jasną jest rzeczą powiada Kühn — że u nowo-nawróconego poganina występuje na pierwszy plan element pogańsko-filozoficzny, a materyał chrześcijański musi się oprzeć dopiero na pierwszym. Jeśli kto bowiem pisze apologię, mającą więcej cech filozoficznych, niż chrześcijańskich, to należy przypisać ten charakter raczej wykształceniu pogańsko-filozoficznemu, niż tendencyi chrześcijańsko-apologetycznej. Z tego punktu widzenia należy dyalog Minucyusza uważać raczej za wyraz osobistych zapatrywań autora, mającego pogańskie wykształcenie. O Chrystusie mówi Minucyusz krótko w roz. XXIX. 2: „*nam quod religioni nostrae hominem noxium et crucem Eius adscribitis, longe de vicinia veritatis erratis, qui putatis Deum credi aut meruisse noxium aut potuisse terrenum*". Minucyusz zwie zatem Chrystusa nie ziemskim dlatego, że jest on według jego mniemania: „*spiritus immortalis substantia, caelestus laevitas, caelestis vigor*"; przedstawia Go sobie tedy jako nie ziemskiego, ale nadziemskiego. Więcej nie powiedział o Chrystusie dlatego, że więcej o Chry-

---

[1]) *Étude sur l'Octavius*... Blois 1880.

[2]) „L'apologétique de Tertulien et l'Octavius de M. F." *(Revue de l'histoire des religieus l'année*, tome XV., 1887, p. 320...)

[3]) Der „*Octavius*" des Minicius F. Leipzig 1882, p. VIII.

[4]) „*Celsus wahres Wort*". Älteste Streitschrift antiker Weltanschauung gegen das Christenthum, vom Jahre 178 n. Chr., Zurich 1878.

stusie, Jego osobie — powiedzieć nie mógł. Istotę chrześcijaństwa Minucyusza stanowi: moralno-filozoficzny monoteizm. Wiara w jednego Boga: „*unum bonum, quod sapimus omnes*" (Oct. XXXI. 6) — czyni chrześcijan braćmi jako: „*unius Dei parentis homines, ut consortes fidei, ut spei cohaeredes*" (Oct. XXXI. 8). W całym dyalogu widoczne jest ścisłe, filozoficzne pojmowanie materyału chrześcijańskiego i Minucyusz występuje w dyalogu jako eklektyk o zabarwieniu stoickiem. Na stoickiej teoryi poznania wybudował on pojęcie chrześcijaństwa; w samym człowieku leży prawda chrześcijańska t. j. rozum, i ten może dojść do najwyższej mądrości t. j. do Boga. Chrześcijaństwo Minucyusza ukazuje się jedynie jako wyjaśnienie, odsłonięcie prawdy, leżącej w świecie i człowieku, jako oznaczenie Boga. Jako początkujący w nauce chrześcijańskiej nie wniknął jeszcze Minucyusz w istotę chrześcijaństwa, nie miał jeszcze głębszego zrozumienia dla podstawowych prawd chrześcijańskich. Dyalog napisał z powodu wrogiej chrześcijaństwu opinii publicznej, zakorzenionego uprzedzenia do wyznawców nowej religii, zwłaszcza u klas wykształconych. Klasy te z góry patrzyły na niewykształconych chrześcijan, zarzucając im głównie brak wyższego wykształcenia, brak kultury, brak zdolności i zrozumienia dla filozofii. Ten zarzut widoczny jest w całej mowie Cecyliusza, kończącej się słowami: „*ecquid ad hoc audet Octavius, homo Plautinae prosapiae, ut pistorum praecipuus, ita postremus philosophorum*". Zbijając ten zarzut, wykazuje Minucyusz, że dopiero chrześcijaństwo jest prawdziwą filozofią i że poganom raczej można zarzucić brak wykształcenia: „*imperitiam, errorem*" (Oct. XVI, XXI, XXVI, XXVIII, XXXV, XXXVIII). Ta główna myśl dyalogu jest zarazem jego tendencyą. Ubrał ją autor za wzorem Cycerona w formę dyalogu filozoficznego, poprzedzając go pięknym wstępem. Główna myśl jego wskazuje zarazem, że autor pojmował chrześcijaństwo, jako filozofię.

Podobnie pojmuje dyalog Ebert Adolf [1]). Baehrens [2]) są-

[1]) *Geschichte der christlich-lateinischen Litteratur*, Leipzig 1874, p. 27...

[2]) *Minucii F. „Octavius"*, emendavit et preafatus est Aemilius Baehrens, Lipsiae 1886, p. XII...

dzi, że Minucyusz sam się postawił w przeciwieństwie do chrześcijaństwa — świadomie — że skombinował sobie ideę własną chrześcijaństwa na podłożu filozoficznem. Minucyusza przeto uważa za poprzednika Straussa i Renana — mówiąc: „*Sic igitur statuo Minucium... potius ea usum mentis acie atque iudicii sobrietate, qua optimum quemque iurisperitorum Romanorum excelluisse videmus aliquatenus praecessisse Straussios nostros ac Renanos*".

Schanz [1]) szuka innego sposobu wytłumaczenia charakteru dyalogu. Gdyby mowa Cecyliusza była oryginalnym utworem autora, to trudno byłoby wytłumaczyć to ograniczanie się w argumentach. Natomiast jest ono jasne i wytłumaczalne, gdy się przyjmie za podłoże mowy poganina — jakieś dzieło obce; dziełem tem jest mowa Frontona, o którym wspomina Minucyusz w roz. IX. 6.; Fronto był za czasów autora: „*clarissimus orator*"; jest możliwą zatem rzeczą, że chrześcijanie mogli czuć się zaniepokojeni, gdy tego rodzaju człowiek wystąpił przeciw nim i to może jako pierwszy literacki ich przeciwnik [2]). W ten sposób zapatrywał się na dyalog Minucyusza już van Hoven [3]). Hipotezę tę może popierać miejsce z dyalogu w roz. XIV. 1.: „*Sic Caecilius et renidens* (*nam indignationis eius tumorem effusae orationis impetus relaxaverat*): „*Ecquid ad haec, ait, Octavius audet, homo Plautinae prosapiae, ut pistorum praecipuus, ita postremus philosophorum*". Miejsce to niema oznaczać ani niskiego pochodzenia chrześcijan, jak chce Rigaltius, a za nim Dombart, ani nie oznacza Oktawiusza, jako młynarza, jak chce Haupt [4]), ale te słowa oznaczają Plautyńczyka: Marka, Korneliusza Frontona, który jest wprawdzie pierwszym z otoczenia swego, ale z filozofów ostatnim. On bowiem: 1) uważał za zadanie dobrego stylisty odgrzebywać zamarłe już w mowie

---

[1]) Die Abfassungszeit der Apologie „Octavius" des Minucius F. (Rhein. Museum, Bd. 50., 1885, p. 114—136).

[2]) Porównaj Harnack: „Geschichte d. alt. Litt." I., p. 268; Aubé „Histoire des persécutions de l'eglise, Paris 1878, p. 74...

[3]) „Epistola", wydanie Lindnera, 1773, p. 291.

[4]) „Opuscula", III., p. 390.

słowa dawnych autorów, a Plauta uważał za dobre źródło dla języka i stąd wyrażenie: „*Plautinae prosapiae*"; 2) on założył szkołę nowego stylu — stąd wyrażenie: „*pistorum praecipuus*"; 3) on był mężem prostym i szczerym, którego światem były nie myśli, lecz słowa — stąd też wyrażenie: „*postremus philosophorum*". Dlatego należy przyjąć, że nazwisko Oktawiusza jest interpolacyą, która pochodzi od jakiegoś czytelnika, co nie poznał, że miejsce odnosi się do Frontona. Z mową Frontona stoi w związku mowa Cecyliusza Natalisa. Na to może wskazywać koniec jego mowy, gdzie wyzywa Oktawiusza — a raczej Frontona — do zapasów z zapałem, a zarazem z przeświadczeniem o swem zwycięstwie. Ta pewność zwycięstwa może odnosić się jedynie do stylu. Styl Cecyliusza, a raczej Minucyusza jest kwiecisty, pełen smaku — styl zaś Frontona nieraz jest niesmaczny, jak to można poznać z jego zachowanych listów. Cecyliusz zatem pewny zwycięstwa wyraża zapewnienie, że Fronto nie dorówna mu w przedstawieniu rzeczy, że co do stylu stoi za nim daleko. Również myśli czerpał Minucyusz z mowy Frontona — ale ubrał je w swój styl — toczył w ten sposób podwójną walkę, zbijając zarzuty przeciw chrześcijaństwu, a zarazem walcząc z jego stylem, a przez to z prądem ówczesnej retoryki, dbającej o formę z równoczesnem zaniedbaniem samej rzeczy. Idea dzieła samego jest bardzo wysoka: Cecyliusz skarży się, że niewykształceni chrześcijanie chlubią się znajomością rzeczy wznioślejszych (Oct. V. 4). Oktawiusz zbija ten zarzut, a najlepszym dowodem zbijającym jest samo pismo, które musiało wywrzeć niemałe wrażenie na ówczesnem społeczeństwie. Jego członkowie byli przekonani, że chrześcijanie są to ludzie bez wykształcenia. Tymczasem z ich grona występuje człowiek z pismem, stojącem na wyżynie wykształcenia. Ta okoliczność tłumaczy jasno powód milczenia Minucyusza o rzeczach ściśle chrześcijańskich. Minucyusz chce dziełkiem swem dać dowód, że chrześcijanin może mieć pełne wykształcenie pogańskie, bo w takim razie potrafi wywierać wpływ na swoje społeczeństwo, a zbijać zarzuty, stawiane chrześcijaństwu. Autor staje zatem na stanowisku racyonalnego wykształcenia i walczy

tą samą bronią, jaką walczyli jego przeciwnicy: „*exposui opiniones omnium ferme philosophorum, quibus inlustrior gloria est, Deum unum multis licet designasse nominibus, ut quivis arbitretur aut nunc Christianos philosophos esse, aut philosophos fuisse iam tunc christianos*“ (Oct. XX. 1).

W innem jeszcze świetle rozpatruje dyalog Minucyusza Antoni Elter [1]). Kto weźmie do ręki rozprawę jego, ten ujrzy w ujmującej, nieraz nawet ponętnej formie i szacie nowe zapatrywanie na cel i charakter dyalogu Minucyusza. Powodu ostrożności autora szuka Elter rozpatrując, kto jest autorem pisma, co za ludzie prowadzą rozmowę religijną, z jakich powodów była ona napisana i dlaczego została uwieczniona w piśmie.

Co do osób dyalogu — Minucyusz jest adwokatem „*causidicus*“ osiadłym stale w Rzymie; jego przyjacielem „*bonus et fidelissimus contubernalis*“ — jest: Januarius Octavius. Obaj przyjaciele w młodości rozłączyli się — Minucyusz pozostał w Rzymie, jako adwokat, Oktawiusz osiadł w mieście rodzinnem na prowincyi; tam się ożenił i był zdaje się — także adwokatem. Co do Cecyliusza, był on może assesorem lub referendarzem Minucyusza. Wszyscy trzej pochodzą z Afryki. Zawód: „*causidici*“ był za cesarstwa zwykłą drogą, na którą wstępowali ludzie niższego stanu, ambitni; głównie oddawali się temu zawodowi Afrykańczycy — według Juwenalisa (VII. 148) „*Africa, nutricula causidicorum*“. W dyalogu przedstawiona jest rozmowa trzech wykształconych prawników z Afryki, a nie z Rzymu pochodzących, którzy zaprzyjaźnieni od młodości, po długich latach spotykają się znowu w Rzymie — w wieku już nie bardzo młodym. Ogólna żywość opowiadania, niezwykła świeżość w przedstawieniu zdają się nosić na sobie piętno rzeczywistości. Czas jednak rozmowy nie jest czasem napisania dyalogu; rozmowa odbyła się dawniej, a jej przypomnienie ma specyalny powód; jest nim chęć uwiecznienia pamięci zmarłego przyjaciela. W czasie napisania dyalogu Oktawiusz już nie żył; smutek i żal za zmarłym wypowiada Minucyusz w rozdziale I. 3: „*nec immerito discedens vir eximius et sanctus immensum sui desiderium nobis*

[1]) „Prolegomena zu Minucius Felix“. Bonn. 1909.

reliquit". Że niedawno przed napisaniem dyalogu umarł Oktawiusz świadczy początek dyalogu: „*Cogitanti mihi et cum animo meo Octavii boni et fidelissimi contubernalis memoriam recensenti, tanta dulcedo et adfectio hominis inhaesit*"... Wrażenie zatem śmierci przyjaciela było bardzo silne. Przypomnienie sobie zmarłego, chwil z nim w Ostyi spędzonych i rozmowy tamże prowadzonej — wskazują, że dyalog Minucyusza jest pismem okolicznościowem i to głosem szlachetnym serca za zmarłym w Afryce przyjacielem. Jest to zatem pismo wywołane nie prześladowaniem jakiemś — nie pismem oszczerczem przeciw chrześcijanom, ale okolicznościowem, mającem charakter czysto osobisty, familijny. Opowiadanie o przyjaźni z Oktawiuszem, jego przejściu na wiarę chrześcijańską, przybyciu do Rzymu, wycieczce do Ostyi — wskazuje, że są to przedmioty, mogące budzić zainteresowanie nie ogółu, lecz bliższego koła, że zatem dyalog nie jest przeznaczony ani dla pogan, ani dla chrześcijan, że nie jest pismem polemicznem, ani rozprawą, ale raczej listem. Na to wskazywać może i ta okoliczność, że Cecyliusz odrazu, bez bliższego przedstawienia występuje jako przyjaciel Minucyusza. Cecyliusza zatem adresaci dyalogu dobrze znali, jak Minucyusza i Oktawiusza. Wobec tego dyalog jest raczej pismem kondolencyjnem, przeznaczonem dla krewnych, zmarłego przyjaciela Oktawiusza — napisanem raczej dla chrześcijan, niż dla pogan i to chrześcijan w Afryce, by im wykazać na nawróconym Cecyliuszu siłę uświęcającą nowej wiary chrześcijańskiej. Pojmowanie dyalogu jako pisma, poświęconego jedynie chrześcijanom, może znaleźć poparcie w cieple, z jakiem dyalog napisany, które to ciepło w owych czasach było możliwe jedynie pomiędzy chrześcijanami. I nawrócenie Cecyliusza, osobistości wcale na owe czasy niewybitnej, wskazuje, że opowiadanie o tem mogło interesować jedynie mniejsze koło ludzi, więcej jedną gminę, niż cały ogół. Dyalog, przeznaczony dla chrześcijan, nie potrzebował wykazywać dowodnie i gruntownie prawdziwości nauki Chrystusowej; dla nich bowiem wystarczało rozebrać i ocenić zewnętrzne, wspólne cechy dwóch odrębnych poglądów na świat. Jest to zatem: „*consolatio*" lub

„*adhortatio ad christianos*" — raczej: „*epistula Minucii ad christianos Africanos*" — napisaną po otrzymaniu wiadomości o śmierci przyjaciela Oktawiusza, celem uczczenia jego pamięci. Dziełko swe pisze Minucyusz dla przyjaciół chrześcijan inaczej, aniżeliby pisał do samych pogan wprost; jego czytanie było ograniczone do ciaśniejszego kółka. Minucyusz zajmuje się kwestyami religijnemi swego czasu raczej ze stanowiska ogólnego, niż z chęci prowadzenia zaciętej walki i podaje w formie adwokackiego: „*plaidoyer*" raczej, niż w formie rzeczywistego dyalogu — pojęcie i określenie wiary chrześcijańskiej i pogańskiej. Mowy dyalogu nie są dokładnem powtórzeniem rozmowy w Ostyi — zawierają zasadnicze wyjaśnienia co do religii pogańskiej i chrześcijańskiej — obracają się na terenie teoretycznej filozofii. Cecyliusz uważa chrześcijaństwo za ślepą i zabobonną wiarę — podobnie jak Minucyusz pogaństwo. Zasadę swą wypowiada Cecyliusz w zdaniu, że wobec daremnych usiłowań najrozmaitszych systemów filozoficznych co do znalezienia prawdy, najlepiej jest pozostać przy wierze ojców. Jest on zatem prawdziwym konserwatystą rzymskim, dla którego sceptycyzm jest prawdziwą filozofią i który jako taki z góry patrzy na każdego dogmatyka (Oct. XIII. 5). Minucyusz zwie Oktawiusza: „*postremus philosophorum*". Wogóle słowa: „*homo Plautinae prosapiae, ut pistorum praecipuus, ita postremus philosophorum*" — są ciekawe co do znaczenia swego; słowa: „*pistorum praecipuus*" są wyrazem jakby jakiegoś uznania, a słowa: „*philosophorum postremus*" — jakby jakiemś lekceważeniem. Wyraz: „*pistorum*" wielu zmieniało, n. p. Stieber w r. 1791 na: „*christianorum*"; Seiller uważa to awanturniczo za genetivus pluralis do: πιστός = *fidelis*; Paulson zamieniał na: *piscatorum*; Jak. Gronovius na: *jctorum*; Baehrens na: *disertorum*. Wyraz ten „*pistorum*" możnaby uważać za ogólną charakterystykę chrześcijan, którzy w ogólności pochodzili ze stanu niższego, co stwierdza Cecyliusz (Oct. V. 4) „*studiorum rudes, litterarum profanos, expertes artium etiam sordidarum*". Wśród tych chrześcijan Minucyusz chociaż był: „*praecipuus*", ale wśród filozofów był „*postremus*" — nie dlatego, żeby sam

rzeczywiście na filozofii się nie znał, ale dlatego, że wszedł w grono ludzi, którzy jako filozofowie są: „*postremi*". Słowa: „*Plautinae prosapiae*" nie mają związku z komedyopisarzem Plautem; „*prosapia*" u wielu pisarzy znaczy: pochodzenie. Czytamy n. p. u Sallustyusza (Bell. Jug. XI. 39): „*hominem veteris prosapiae ac multarum imaginum*; u Kwintyliana (I. 6. 40) wyraz: *prosapia* — należy do: „*verba ab ultimis et etiam oblitteratis repetita temporibus*", a u tegoż autora w ks. VIII. 3. 26 czytamy: „*sed prosapia insulsum*". Słowo to mają: Swetoniusz i Afrykańczycy, jak Apulejusz, Tertullian, Arnobiusz, Cyprian. Apulejusz n. p. w Metamorfozach powiada: „*prosapia atque dignitas ad honorem splendidae prosapiae, prosapiae maiorum gloria*". Plautus używa tego wyrazu w „*Curculio*" w 393... :

Unocule salve. Quaeso, deridesne me?
De Coclitum prosapia te esse arbitror
nam i sunt unoculi.

Tu poeta zwie Kurkuliona: „*de Coclitum prosapia*", jako pochodzącego ze sławnego rodu Koklesa. Plautus znowu w prologu do „Casina" określa: „*Plautus — latine Plautus cum latranti nomine*; a Festus P. (p. 231) powiada: „*plauti appellantur canes, quorum aures languidae sunt ac flaccidae et latius videntur patere*". Plauti — są to zatem psy o długich, kłapiastych uszach. Oktawiusz, zwany: „*homo Plautinae prosapiae*" musiał mieć w sobie coś, co przypominało: „*plautos canes*"; była to cecha nie osobista, jaka łączyła Oktawiusza z Plautem, ale okoliczność, że nazwiska równo brzmiały. Skądże jednak Cecyliusz może nazywać swego przyjaciela: szczekaczem. Św. Hieronim [1]) zwie swych przeciwników: „*Plautina familia*" t. j. złośliwych krytyków, co to: „*canino dente*" wszystko drą i niszczą. Pewną jest rzeczą, że od Plauta, zwącego się: „*Plautus cum latranti nomine*" — kładziono: „*plautus*" — zamiast „*canis*". Plautina *familia*" u św. Hieronima kąsała, a „*Plautina prosapia*" może tylko szczekała. Oktawiusz mógł szczekać jedynie jako: „*causidicus*". Porównanie jednak z psem, czy kąsającym, czy tylko

[1]) Epistula ad Pammachium p. 320 i ad Dom. p. 236.

szczekającym, może być dla Oktawiusza ubliżające. Tymczasem z historyi kultury wiemy, że „psami“ zwano w starożytności rodzaj filozofów-cyników. Oktawiusza zatem określa Minucyusz, jako cynika i to ostatniego z filozofów i jako takiego przeciwstawia Cecyliuszowi, sceptykowi, co czuje się wyższym ponad wszelką filozofię jednostronną. Cyników zwano od dawna psami i dla nich nazwa ta bynajmniej nie była nazwą uszczypliwą.

Teraz cel, założenie i znaczenie dyalogu występuje jasno: po otrzymaniu wiadomości o śmierci Oktawiusza, przyjaciela młodości, wysyła Minucyusz do rodziny zmarłego pismo kondolencyjne, w którem chcąc uczcić pamięć zmarłego, opisuje rozmowę w Ostyi, jaką prowadzili w jego obecności Cecyliusz i Oktawiusz, dzięki której Cecyliusz nawrócił się; w dwóch mowach rozprowadza Minucyusz zasady pogaństwa i chrześcijaństwa, a w przerwie, łączącej obie mowy, Minucyusz charakteryzuje główną treść swego pisemka, jako dysputę pogańskiego sceptyka z chrześcijańskim cynikiem o dawnej i nowej wierze.

Zamiast: „*pistorum*“ trzeba pisać: „*istorum*“ = *hominum Plautinae prosapiae, cynicorum, christianorum — praecipuus*. Wystarczy przeczytać zdanie: *Ecquid ad haec audet Octavius, homo Plautinae prosapiae, ut pistorum praecipuus, ita postremus philosophorum* — by zaraz odczuć, że przepisywacz jedno: p — dał za dużo; wtedy znikną wszelkie trudności. Oktawiusz zatem jest chrześcijaninem — cynikiem, wprawdzie znacznym, ale w oczach Cecyliusza tylko cynikiem — między cynikami wprawdzie pierwszym, ale pomiędzy filozofami ostatnim, jako cynik. Rzeczywiście sąd ten Cecyliusza odpowiada uczuciu sceptyka — ale uderza przy tem czytelnika, że ten cynik poucza i nawraca poganina na chrześcijaństwo! Że w dyalogu jest tak mało ściśle chrześcijańskiego pierwiastku — to powód leży w tem, że Minucyusz wziął sobie za zadanie nie jako chrześcijanin, ale jako filozof bronić chrześcijaństwa przeciw pogaństwu i uzasadnić je. Minucyusz w tem okolicznościowem piśmie do przyjaciół chrześcijan w Afryce chce wykazać, że religia Chrystusa daleką jest od tego, by być jedynie religią dla ludu, że nie jest daleką od umiejętności i wykształcenia filozoficznego,

lecz owszem ma swoją własną filozofię i dzięki jej może wykazać swoją wyższość nad pogaństwem. Ale ta filozofia chrześcijan nie jest jeszcze filozofią ściśle chrześcijańską — lecz świecką i to cynizmem. Nie było to jeszcze filozoficzne przetrawienie wiary chrześcijańskiej, bo tego wówczas być jeszcze nie mogło, ale by wiarę filozoficznie uzasadnić, ówcześni chrześcijanie, jak Minucyusz, Oktawiusz zmuszeni byli użyć filozofii pogańskiej, jako środka do swego celu. Oni nie pozbyli się jeszcze zupełnie spadku po ojcach i chcąc wiarę swą z najniższych warstw ludności przenieść do wyższych — użyli do pomocy kultury dawnej. Dopiero czasy późniejsze zlały dawną kulturę i nową wiarę w całość jedną i u niej rozwinęła się właściwa filozofia chrześcijańska. Minucyusz wskazuje nam, że w walce pomiędzy dawną, a nową wiarą przy pomocy filozofii starożytnej — najlepszym sprzymierzeńcem chrześcijan był cynizm; naturalnie nie cynizm ulicznej filozofii, który nic nie uznaje za prawdę, o wszystkiem mówi i wszystkim ludziom prawdę w oczy mówi; filozofia Minucyusza jest raczej stoicko-cyniczną. Hellenistyczno-rzymska zatem filozofia, przeniesiona na zachód głównie za pośrednictwem Cycerona — zwie się u Minucyusza — cynizmem. Poganie i chrześcijanie to pierwsze próby filozoficznego uzasadnienia chrześcijaństwa przy pomocy starodawnych poglądów — zwą: cynizmem. Jak chrześcijaństwo zapuściło korzenie najpierw w najniższych warstwach ludności tak i w filozofii oparło się na systemie, głoszącym się dostępnym dla całego ogółu, na systemie, który zwał się: cynizmem. Gdy cynizm ten spełnił swoją rolę, chrześcijaństwo odrzuciło go energicznie od siebie.

Tak się przedstawiają sposoby tłumaczenia dyalogu — jego celu; co im można zarzucić? — który z nich może najwięcej przemawiać do przekonania?

Kühn zarzuca Minucyuszowi, że w swej apologii, głównie w mowie Oktawiusza, wyraził tylko osobiste zapatrywanie. W tym zarzucie tyle tylko może być prawdy, że chrześcijanin obeznany z filozofią stoicką z punktu widzenia panującej w tym czasie filozofii, chce monoteizm chrześcijański usprawiedliwić i udowodnić, jako jedyny i jedynie prawdziwy system filozo-

ficzny, a zarazem zbić zarzuty, stawiane chrześcijanom. W ten sposób chce on wykształcony świat pogański usposobić przychylnie dla chrześcijaństwa i skłonić go do przyjmowania dalszych wskazówek i pouczeń. Wszystkie dowody, przytaczane ze stanowiska rozumu na obronę religii chrześcijańskiej, Jedności i Opatrzności Bożej — należą i dziś do dowodów, używanych we filozofii chrześcijańskiej i apologetyce, w których wychodzi się od naturalnego poznania. Żadne ze zdań Minucyusza nie stoi w sprzeczności z nauką chrześcijańską. Zresztą trzeba mieć to na uwadze, że Minucyusz nie był teologiem z zawodu, co zaznacza Laktancyusz, twierdząc, że gdyby Minucyusz był teologiem — to byłby dzielnym: „*huius liber, qui Octavio titulus est, declarat, quam idoneus veritatis assertor esse potuisset Minucius, si se totum ad id studium contulisset*“. Że Minucyusz nie jest świeżo nawróconym chrześcijaninem, świadczyć mogą słowa dyalogu (roz. I. 4) „...*cum discussa caligine de tenebrarum profundo in lucem sapientiae et veritatis emergerem*“... Że dyalog nie jest wyrazem moralno-filozoficznego monoteizmu, ale tylko odpowiedzią na zarzuty, stawiane chrześcijanom, na to wskazuje jego osnowa. Czyż można stoikom przypisywać takie twierdzenia, jak o cierpieniach, jako próbach zsyłanych przez Boga; zresztą odpowiada to naturze religii chrześcijańskiej, jeżeli w niej znajdujemy niektóre zasady stoicyzmu — tylko we formie doskonalszej [1]).

Co do teoryi Baehrensa — trudno przypuścić, by w obronie chrześcijaństwa występował człowiek, który równocześnie zwraca się cichaczem przeciwko swym współwyznawcom.

Schanza hipoteza jest zbyt śmiała, jak to dosadnie określa Norden Edward w słowach [2]): „*sed ecce nuperrime in arenam saeculorum pulvere obvolutam novus descendit luctator: Martinus Schanz, ceteros omnes:* καταβάλλειν *certus sibique ipse frontem redimiens laurea*“; lub: „*debili posito fundamento cetera ille*

[1]) Porównaj: Ad. Miodoński: „Quo vadis“ Sienkiewicza, a Minicyusza F. „Octavius“ (Przegl. powszech. t. LXXXII., 1904), p. 368.

[2]) De Minucii F. aetate atque genere dicendi. Greifswald 1897. (Wissenschaftliche Beilage zum Vorlesungsverzeichniss der Universität. Greifswald—Ostern 1897, p. 5...)

superstruit munimenta". Słowa te Nordena są usprawiedliwione, bo usuwanie nazwiska Oktawiusza i wstawianie na jego miejsce nazwiska Frontona — musi uderzyć każdego zbyt wielką śmiałością, nie popartą ani żadną tradycyą rękopiśmienną, ani podobnem miejscem w dyalogu — podjętą zaś jedynie z chęci przeparcia swej teoryi, że dyalog Minucyusza jest wezwaniem Frontona do współzawodnictwa co do stylu. Samo założenie tej teoryi z góry uprzedza i do innych jej wywodów n. p. że „*homo Plautinae prosapiae*" — oznacza szkołę Frontona, wzorującą się w stylu na dawnych autorach n. p. na Plaucie.

Eltera — pojęcie dyalogu — jego celu i charakteru, jako pisma kondolencyjnego, wysłanego do rodziny zmarłego przyjaciela Oktawiusza i to do chrześcijan — jak z jednej strony pociąga, tak z drugiej nie jest bez „ale". Że pismo Minucyusza może być poświęcone pamięci zmarłego przyjaciela i być niejako pomnikiem przyjaźni, na to się każdy zgodzi. Ale tego nie można przyjmować, że to jest wyłączny cel napisania dyalogu. Żeby dyalog opowiadał o nawróceniu Cecyliusza — przez usta jego wyliczał zarzuty, stawiane chrześcijanom, by je potem kolejno zbijać — żeby to pismo miało być zwrócone specyalnie do chrześcijan — w to trudno uwierzyć. Przecież chrześcijanie znali te zarzuty i wiedzieli, co o nich należy sądzić, co na nie odpowiadać. Trudno przypuścić, by treść tak poważna była przedmiotem pisma kondolencyjnego, zwróconego jedynie do małej grupy ludzi. Gdyby w dyalogu autor podnosił i sławił główne cechy charakteru, zalety Oktawiusza, by w ten sposób pocieszyć niejako rodzinę zmarłego przez sławienie cnót męża z ich grona — toby można się zgodzić na hipotezę Eltera. Ale żeby przedmiotem pisma kondolencyjnego była rozprawa, tak poważny temat mająca za przedmiot, w to trudno wierzyć. Również nie jest prawdopodobne, że tego rodzaju dyalog był przeznaczony dla chrześcijan, którzy byli zrazu: „*studiorum rudes, litterarum profani, expertes etiam artium sordidarum* (Oct. V. 4). Dalej — Elter, rozbierając filozoficzne zapatrywanie chrześcijanina Minucyusza — przy tłumaczeniu słów: „*homo Plautinae prosapiae, ut pistorum praecipuus, ita postremus*

philosophorum“ — nazywa awanturniczemi najróżnorodniejsze-konjektury, zmieniające wyraz: „*pistorum*“ na: *christianorum*-(Stiebera), *piscatorum* (Paulsona), *jctorum* (Gronowiusza), *disertorum* (Baehrensa), *pictorum*, *pastorum*, *impostorum*, a sam wprowadza konjekturę jeszcze bardziej awanturniczą, zamieniając „*pistorum*“ na „*istorum*“ i to na podstawie przypuszczenia, na niczem nie opartego, że przepisywacz z powodu wielkiej ilości liter „p“ w pobliżu położonych i przy „*istorum*“ dopisał „p“. Konjektura ta przypomina konjekturę Schanza, zmieniającego imię „Octavius“ na „Fronto“.

Podobną cechę ma tłumaczenie słów: „*Plautina prosapia*“ w związku z „*plauti canes*“ — jako człowieka-cynika; jest to nowość niezwykła! Boć nie wiedziano dotąd o tem, że chrześcijaństwo użyło systemu filozofii cyników do wykazania, że jest dalekie od tego, by być religią jedynie dla prostego ludu, dalekie od umiejętności i filozoficznego wykształcenia, że owszem ma własną filozofię, dzięki której może wykazać swoją wyższość nad pogaństwem. Przypuszczać, że cynizm był najlepszym pośrednikiem dla chrześcijan i pogan, jako próba filozoficznego uzasadnienia chrześcijaństwa, jest kombinacyą zupełnie dowolną i opartą na podstawach, które równie dobrze można obrócić przeciwko nim samym.

By wśród tylu sprzecznych zapatrywań znaleźć przecież jakiś sposób tłumaczenia celu dyalogu, przypatrzmy się społeczeństwu, w którem żył Minucyusz, stosunkom, wśród których obracał się nasz: „*causidicus*“. Rzut oka na historyę rzymską w czasach poprzednich i następnych, daje nam obraz przerażającego zniszczenia obyczajowego i materyalnego w świecie pogańskim zupełnie już przeżytym — w przeciwieństwie do chrześcijaństwa, świeżo się rozwijającego. Były to czasy, kiedy duma wiecznej Romy była podrażniona, poczucie znikomości wszystkiego, co ziemskie, coraz głębiej przenikało warstwy społeczeństwa, podcięło przyjemność, płynącą z codziennego używania jedynie — kiedy na przyszłość państwa poczęto patrzeć coraz to pesymistyczniej. Pociechy szukano w myślach o świetnej przeszłości. Wśród klęsk powszechnych, jakie wówczas

trapiły społeczeństwo i państwo rzymskie, — poczucie zawisłości od potęg wyższych, poczucie obniżenia poziomu moralnego, stawało się coraz to silniejsze i żywsze. Wykształceni szukali pociechy zrazu we filozofii, najpierw stoickiej, podporządkowując wszystko pod wolę losu — ale pociechy nie znajdowali i czuli się zniewolonymi do opuszczenia pola czystej umiejętności i szukania pomocy w bezpośredniem objawieniu Bożem. Tego rodzaju pragnienie w stopniu wyższym nierównie musiało się obudzić w sercach całych mas ludowych. Ówczesna religia rzymska nie mogła dać tego zadowolenia; wzrosła ona bowiem wraz z państwem, z czasem nabrała charakteru politycznego i była religią raczej ogółu, jak jednostek. Lud bał się tych bogów wszystkich i oni nie zaspokajali potrzeb jego serca. Wszystko kierowało się do monoteizmu; ponieważ bóstw pogańskich mnożyło się coraz więcej i politeizm doszedł do tego szczytu, gdzie musiał przeobrazić się w monoteizm.

Wśród takich stosunków zjawia się religia chrześcijańska i poczyna zyskiwać sobie w społeczeństwie rzymskiem coraz to więcej zwolenników. Kładzie ona podwaliny pod nowe życie polityczne i obyczajowe, przynosi coś nowego, dotąd nieznanego: *miłość braterską* bliźnich, nie znającą różnicy pochodzenia, nie znającą barbarzyńców: *peregrini*, ale znającą i uznającą tylko jedną rzeczpospolitę: świat. *Braterstwo* stało się odtąd nowem prawem obywatelskiem dla tej nowej, światowej rzeczypospolitej: wszyscy są równi wobec Boga, jako Jego dzieci. Religia chrześcijańska dała ludowi to, do czego tęskniło jego serce, t. j. pociechę w smutkach i dolegliwościach życia ziemskiego, a zapewnienie szczęścia w życiu pozagrobowem. W odwróceniu się od życia publicznego, a zwróceniu się do badania własnego wnętrza, w uświetnianiu cnoty, a zwalczaniu zmysłowości, dochodzącem aż do ascezy przedstawiało się chrześcijaństwo, jako spokrewnione ze stoicyzmem — którego jednak egoizm zastąpiło miłością chrześcijańsko-braterską. Nowa religia poczęła wywierać wpływ na wykształconych i niewykształconych — a to dzięki męstwu i wytrwałości swych współwyznawców. Miała ona w sobie nowe źródło moralnej siły i wiel-

kości, której brak długo odczuwał świat rzymski, skoro z patryotyzmem rzymskim zaginęła owa starodawna, tak ceniona: *virtus*. Szereg ideałów, głoszonych w kazaniach i pismach chrześcijańskich, zaspokajał potrzebę zmateryalizowanych czasów. Gdy zatem chrześcijaństwo dawało pod wielu względami to, czego brak odczuwało społeczeństwo rzymskie, nic dziwnego, że poczęło zyskiwać sobie coraz to więcej zwolenników.

Z drugiej jednak strony nie można się dziwić, że nowa religia poczęła równocześnie budzić nienawiść w sercach wyznawców dawnej religii i porządku. Nie było nikomu tajne, że chrześcijanie nie uznają religii państwowej, a nawet ze strachem unikają wszelkiej z nią styczności. Tymczasem u Rzymian religia była najważniejszą instytucyą państwową, związaną niejako z bytem państwa. Poganie wiedzieli, że religia chrześcijańska tworzyła w państwie, jakby osobne państwo, że jej członkowie bez najmniejszego wahania szli za przepisami swej religii, gdy wchodziły sobie wzajemnie w drogę przepisy państwa i ich gminy. Nic zatem dziwnego, że poczęto prześladować chrześcijan nie tylko w niektórych miejscowościach, ale i w całem państwie — nie tylko ze strony ludności, ale i ze strony państwa. Nienawiść gotowa na wszystko — nic zatem dziwnego, że wśród pogan poczęły krążyć najróżnorodniejsze brednie o chrześcijanach, że im poczęto przypisywać wszelkie klęski, jakie wówczas spadały na państwo, że uważano ich za najgorszych zbrodniarzy, wyrafinowanych rozpustników, co czczą oślą głowę, człowieka ukrzyżowanego, co schodzą się po nocach celem urządzania uczt Tyestejskich i oddawania się rozpuście najohydniejszej. Takie wstrętne potwarze poczęły krążyć wśród inteligentnych warstw rzymskich, poczęły dochodzić do uszu ludzi dobrej woli, którzy musieli podziwiać cnotę chrześcijan. Widzieli przecież, że ci ludzie, chociaż biedni, pogardzani, a nawet męczeni, mieli zawsze twarz pogodną, rozjaśnioną uśmiechem rzadkiego spokoju i zadowolenia — że oni miarą swej religijności czynią sprawiedliwość: „*sic apud nos religiosior est ille, qui iustior*" (Oct. XXXII. 3) „ἔργοις δικαιούμενοι καὶ μὴ λόγοις"

(Clem. ad Cor. XXX. 3), widzieli, że nowa religia jest religią miłości bezinteresownej i pomocy o charakterze dotąd nieznanym — że chrześcijaństwo w przeciwieństwie do chaosu pojęć mitologicznych religii pogańskiej, przedstawia jednolity, jasno określony pogląd na świat, świeci prawdą ściśle sformułowaną, że pozyskawszy człowieka zmienia go do gruntu. To wszystko musiało pociągać ludzi wykształconych, szlachetnych, nie mogących już znieść „szalejących bogów i ludzi". Tymczasem o wyznawcach tej nowej religii poczęły krążyć tak wstrętne wieści, że serca szlachetne mimo woli musiały się wzdrygać i zachowywać wobec nich z pewną obawą i uprzedzeniem.

Widział to Minucyusz, niedawno nawrócony: *causidicus*; kochał swoją religię, chciał pozyskać dla niej nowych wyznawców, a tymczasem wśród warstw najwięcej wykształconych spotykał tylko uprzedzenie do nowej religii — szlachetnej, niewinnej, a mimo to tylu i tak ohydnemi oszczerstwami zarzucanej. Bolało nad tem serce szlachetnego człowieka i musiała obudzić się w nim chęć obrony wiary, tak niesłusznie zohydzanej. Przytem poczęły mu się nasuwać trudności w przeprowadzeniu tego zamiaru. Przecież ci, do których chciał się zwrócić z obroną chrześcijaństwa, byli to ludzie nader wykształceni, dobrze obeznani z wszystkimi systemami filozoficznymi, oczarowani pięknością literatury greckiej i rzymskiej — jakże do nich przemówić? — jak im wykazać, że wieści o chrześcijanach krążące są wierutnemi bajkami, że ich religia jest nauką o jednym Bogu, że życie chrześcijan jest czyste, wolne od wszelkich skaz, by w ten sposób zachęcić ich do pozbycia się wszelkich uprzedzeń do religii Chrystusowej i pobudzić do zaznajomienia się z jej zasadami. Czy zatem Minucyusz mógł swój cel osiągnąć roztrząsając w swej apologii odrazu kwestye najtrudniejsze jak n. p. o Duchu Św., Trójcy Św., łasce, Sakramentach? Czyż nie należy raczej podziwiać Minucyusza, człowieka głęboko wykształconego, oczytanego szeroko w dziełach greckich i rzymskich pisarzy, że obrał tę drogę, by najpierw przedstawić zarzuty, stawiane współczesnym chrześcijanom, a potem je poddać ocenie i spokojnej krytyce! Czyż nie należy podziwiać sprytu

Minucyusza, który jako wytrawny *causidicus* — zrozumiał, że objaśnianie ścisłych dogmatów nauki chrześcijańskiej mogło tylko zaszkodzić celowi; wykształcone bowiem warstwy nie miały dla nich zrozumienia i mieć wtedy jeszcze nie mogły. Zrozumiawszy to Minucyusz postanowił utorować drogę dla swej religii i zbić zarzuty przeciwko niej podnoszone. W tym celu przedstawia ją, jako nową sektę filozoficzną, która ma punkty styczne z zapatrywaniami filozoficznemi wykształconych pogan — że religia Chrystusa bynajmniej nie jest nieprzyjaciółką cywilizacyi, nie tamuje rozwoju ani kultury intellektualnej, ani literatury. Że takie stanowisko chciał zająć autor naszego dyalogu, wskazują słowa Cecyliusza, zaznaczającego (Oct. XL. 2), że osiągnęli już „*summam quaestionis*“ — porozumienie co do głównej, istotnej rzeczy i że inne kwestye, potrzebne do zupełnego zrozumienia religii chrześcijańskiej, należy odłożyć na później.

Że Minucyusz nie był świeżo nawróconym chrześcijaninem, że znał dobrze dogmaty swej wiary i prawdziwą naukę apostolską, dowodzą miejsca dyalogu n. p. o czci krzyża i Boskiem pochodzeniu Ukrzyżowanego: „*nam quod religioni nostrae hominem noxium et crucem eius adscribitis, longe de vicinia veritatis erratis, qui putatis Deum credi aut meruisse noxium, aut potuisse terrenum*“ (Oct. XXIX. 2). Konieczność łaski zaznacza Minucyusz słowami: „*nam quidquid agimus, ut alii fato, ita vos Deo addicitis*“ (Oct. XI. 6). Zaznacza on nawet naukę o Przen. Eucharystyi w roz. IX-tym.

Podziw nasz dla Minucyusza musi jeszcze wzrosnąć, gdy przypatrzymy się formie, w jaką ubrał on swoje zapatrywania. Wiedział on, że społeczeństwo pogańskie miało helleńskie poczucie piękna, że — by zrobić na niem wrażenie, trzeba było oddziaływać na nie piękną formą literacką, estetyczną — przemawiać językiem nie tyle do uczucia, ile do umysłu. Stąd Minucyusz treść swej apologii, mającej za przedmiot swych roztrząsań kwestye o Bogu, o Opatrzności, zmartwychwstaniu, nagrodzie na tamtym świecie z pominięciem misteryów chrześcijańskich, ubiera we formę i styl wytworny, wzorowany na Cy-

ceronie, w zwięzłości sentencyonalnej na Senece, w krótkości zwrotów na innych pisarzach starożytnych cesarstwa. Dlatego to taki spokój bije z całego dyalogu, stąd zamiast grupy biblijnych wiadomości, występuje tu jako wspólny łącznik — nić serdecznej zażyłości, wiążąca wszystkie osoby całego dyalogu ze sobą. Stąd taki udatny prolog — stąd wspomnienia o zmarłym przyjacielu, stąd taka scenerya dyalogu — stąd łagodność, wyrozumiałość, oględność w wypowiadaniu swych sądów, w zbijaniu przeciwnych zarzutów. Tem tłumaczyć należy okoliczność, że dyalog robi wrażenie utworu nawskróś humanitarnego, napisanego w pełnem świetle kultury, oddalającego wszelkie nowości dogmatyczne i niewzruszone, by nie zamącić ogólnej pogody i spokoju. Mile uderza i ujmuje czytelnika n. p. wzmianka Minucyusza o sobie, jak przyjął chrześcijaństwo, gdy się przekonał o bezwstydzie czci bogów, a pozbył się uprzedzeń co do wzniosłości i czystości religii chrześcijańskiej.

Gdy w takiem świetle będziemy oceniali dyalog Minucyusza, to znikną wszelkie trudności w jego zrozumieniu; wtedy okaże się, że niema potrzeby pojmowania dyalogu, jako wzywania do współzawodnictwa sławnego retora Frontona (Schanz) — ani jako pisma kondolencyjnego do rodziny chrześcijańskiej zmarłego przyjaciela Oktawiusza, mającego być: „*consolatio* lub *adhortatio ad Christianos*". Słowa: „*homo Plautinae prosapiae, ut pistorum praecipuus, ita philosophorum postremus*" —wyjaśniają dostatecznie wywody Karola Weymanna [1]) i Jerzego Götza [2]), że: „*homines Plautinae prosapiae*" — zwano adwokatów. Słowa te stają się zrozumiałemi, ponieważ Minucyusz był adwokatem — podobnie jak jego „*dulcissimus contubernalis*" — Oktawiusz.

Słowo: „*pistorum*" należy uważać za aluzyę do nizkiego pochodzenia chrześcijan, którzy mieli pomiędzy sobą młynarzy. Minucyusz tedy, jako nawrócony na wiarę chrześcijańską „*non ignobilis causidicus*" — był wśród ludzi nizkiego pochodzenia „*praecipuus*", ale jako jeden z chrześcijan, którzy ucho-

[1]) Beil. zu Allg. Zeitung, 1895, Nr. 10.
[2]) Rheim. Museum, XXXIV. 1879. p. 496..

dzili za ludzi niewykształconych bez zrozumienia dla filozofii, jako członek z ich grona, był: „*philosophorum postremus*".

Tak pojęty dyalog Minucyusza jest rzeczywiście dziełem, które może oddziaływać czarująco na swych czytelników; napisane przez jednego z wybitnych uczonych prawników, stojącego na wyżynie ówczesnego wykształcenia, celujące artyzmem, śmiałością założenia i przedstawienia, objektywnością opracowania przedmiotu, samodzielnością sądu, umiłowaniem treści, żywością przedstawienia, ciepłem, a nieraz zapałem niemałym, jest dziełem broniącem wiary chrześcijan w jednego Boga, ostro zwalczającem politeizm wiary ludowej, jako sprzeciwiający się rozumowi i poczuciu moralnemu, a wykazującem prawdziwość nauk chrześcijaństwa o znikomości tego świata, o nieśmiertelności duszy, o zmartwychwstaniu ciał — tego rodzaju dzieło musiało się podobać współczesnym.

Dyalog pisany dla ludzi wykształconych, literatów, stanowiących doborową część społeczeństwa rzymskiego, pisany przez autora ostrożnego i wstrzemięźliwego, liczącego się ze stosunkami istniejącymi — musiał wywrzeć wpływ niemały i niezatarty na ówczesnych pogan — pociągać ich i zachęcać do zaznajamiania się bliższego z religią chrześcijańską. I pisarze późniejsi musieli z niego wielokrotnie korzystać. Kiedy jednak chrześcijaństwo odniosło zwycięstwo nad pogaństwem i badania teologów zwróciły się do ugruntowania nauki o dogmatach i organizacyi Kościoła, pisemko Minucyusza musiało pójść w zapomnienie. Nie było ono znane aż do roku 1543, w którym wydał je z kodeksu: Parisinus Nr. 1661 — zrazu jako VIII-ą księgę dziełka Arnobiusza „*Ad nationes*" — Faustus Bryksyan. Dopiero Franciszek Baudouin, t. z. Balduinus, przywrócił w r. 1560. Minucyuszowi prawo autorstwa i odtąd dziełko to tak dla treści swej, jak dla miłej formy budzi powszechne zainteresowanie [1]).

Błażej Blajer T. J.

[1]) Porównaj: Dombart, wydanie dyalogu, Erlangen 1881, Einl. p. VIII.; Miodoński: „Quo vadis" Sienkiewicza, a Minucyusza F. „Octavius". *Przegl. powsz.*, t. 82, 1904, p. 359.., Norden: „De Minucii F. aetate atque genere dicendi", Greifswald 1881, p. 6..; Bardenhewer O.: „Geschichte der altkirchl. Litt., 1902, I., p. 307..; Ebert A.: Gesch. der christl.-lat. Litt. I., p. 8...

Współczesna Jamaika[1].

(Z okazyi częściowego otwarcia kanału panamskiego).

Zajścia ostatnich czasów w Meksyku mimowoli zwracają nasze oczy w te strony. Widzimy dążenia konsekwentne Stanów Zjednoczonych, najpotężniejszego państwa amerykańskiego, by usunąć przeszkodę oddalającą tak bardzo wschodnie wybrzeże od zachodniego, by tak pod względem handlowym, jak zwłaszcza strategicznym, opanować całą północną Amerykę. Stany Zjednoczone zrozumiały znaczenie, jakie ma dla nich kanał panamski i od czasu niepowodzenia przedsiębiorstwa francuskiego, zwróciły się z energią i wytrwałością w tę stronę. Chodzi po przeprowadzeniu kanału o opanowanie wysp, leżących w pobliżu, któreby mogły służyć za punkt oparcia dla floty morskiej, oraz powietrznej, a przytem nabyć wielkiego znaczenia handlowego. W tym samym celu nabyta została od Nikaragui zatoka Fonseca; to jest wreszcie jednym z głównych powodów wojny z Meksykiem, którego zajęcie usunęłoby jedną z najgłówniejszych przeszkód między Stanami a kanałem panamskim.

Podczas gdy Stany Zjednoczone tak bardzo usiłują dostać w swe posiadanie wszystko, cokolwiekby mogło mieć znaczenie ze względu na kanał panamski, zostały jednak one wyprzedzone przez inną potęgę, która nieraz już okazała swą niezwykłą zręczność w polityce kolonialnej. Jak Gibraltar, Aden, kanał Sueski i wiele innych punktów, nie odznaczających się przestrzenią, ale znaczeniem i położeniem swem, charakteryzują przezorność Wielkiej Brytanii, tak też i co do kanału panamskiego widzimy od dawien dawna w posiadaniu Anglii wyspę, zarazem najpiękniejszą zAntyl większych

[1]) Statystyka na podstawie „*Handbook of Jamaica*“ Kingston, marzec 1914.

i najbliżej Panamy położoną. Tak ze względu na położenie korzystne, jak zwłaszcza z powodu wspaniałych krajobrazów, łagodnego klimatu i niezwykłej urodzajności, o wiele stosowniejszą byłaby dla Jamaiki nazwa „Perły Antyl", niż dla Kuby, której się to miano dostało w udziale. Słusznie jednak zupełnie nazywają Anglicy Jamaikę „*The New Riviera*" i „*The crown of our West Indians possessions*". Jestto z jednej strony największa wyspa z amerykańskich kolonii angielskich, z drugiej zaś strony przedstawia ona pod wielu względami nader korzystne warunki. Już od połowy XVII. w. należy ona do W. Brytanii, zdobyta na Hiszpanach przez flotę Cromwella. Niegdyś należała do najbogatszych kolonii; rozwój stosunków społecznych XIX. w. niekorzystnie wpłynął na jej stan ekonomiczny. Dopiero z początkiem XX. w. znów zaczęła się podnosić; a obecnie, z chwilą otwarcia kanału panamskiego, stanie się wyspą, rokującą największe nadzieje. Przedstawia się ona nadzwyczaj korzystnie jako punkt oparcia dla okrętów płynących z Europy do Japonii, Chin, Australii lub Oceanii, jak też pod względem strategicznym, jako najbliżej Panamy leżąca. I możliwem jest, że Anglia, będąc w posiadaniu Jamaiki, będzie miała więcej korzyści z kanału panamskiego, niż Stany Zjednoczone, choćby weszły w posiadanie całego kraju po Panamę. Dla Stanów ma kanał przeważnie znaczenie strategiczne, dla Anglii natomiast przeważnie handlowe. Dla samej zaś wyspy Jamaiki, tak obfitej w najrozmaitsze bogactwa naturalne, stanie się otwarcie kanału hasłem do nowego podniesienia się ekonomicznego, wobec uprzystępnienia rynków zbytu na całem wschodniem wybrzeżu Azyi, na wyspach Sundajskich, w całej Oceanii, aż po Australię, nie licząc już zachodnich portów amerykańskich. Kanał zaś umożliwi dojazd do tej Riwiery amerykańskiej, przystępnej dotąd jedynie przybyszom z nad Atlantyku, albo turystom z nad Oceanu Spokojnego.

Przyszłość ta jednak Jamaiki ściśle zależna jest od tej ewentualności, czy rzeczywiście wyzyskane będą te korzystne strony Jamaiki, jak to dotąd do pewnego stopnia uczynili Amerykanie i Niemcy. Wyzyskanie to jednak bardzo będzie

ułatwione wskutek nowych okoliczności. Położenie Jamaiki, w Śródziemnem morzu amerykańskiem ma jedną jeszcze korzystną stronę, mianowicie, iż równo prawie jest oddalona od lądów stałych i tem samem leży w samym prawie środku morza Karaibskiego. Co do wielkości powierzchni to najbardziej zbliża się do Bukowiny, gdyż przewyższa ją tylko o 400 km²; a i zaludnienie tych dwu krain jest też bardzo zbliżone. Jamaika ma o 30.000 więcej mieszkańców. Za to przypada na jeden km² na Bukowinie 77 mieszkańców, na Jamaice 76. Jak widzimy więc, różnice są nieznaczne.

Jedna z najpiękniejszych stron Jamaiki, która tak bardzo ciągnie turystów, to wspaniałe krajobrazy, zdobne w tak niesłychanie obfitą florę podzwrotnikową. Ten „Ceylon Indyi Zachodnich" łączy w sobie i koncentruje takie piękności natury, jak żadna inna z Antyl. Rzadko widzi się coś piękniejszego na świecie, jak n. p. wjazd do portu Kingstonu w piękny, jasny dzień. Widok ten przewyższa swą wspaniałością zatokę neapolitańską i robi wrażenie podobne do tego, jakie się odnosi przy wjeździe do Rio Janeiro. Port jest zamknięty wydłużonym półwyspem, na którego końcu znajdowało się niegdyś, zburzone straszliwem trzęsieniem ziemi, Port-Royal. Obecna stolica Jamaiki, co do ilości mieszkańców zbliżona do Przemyśla, wznosi się na wspaniałem tle gór, zwanych słusznie niebieskiemi, „*Blue Mountains*". Lazurowe obłoki, lekkie mgły wieńczą szczyty tych gór, dosięgających wysokością naszych Tatr, ale pokrytych gęstą zielenią puszcz podzwrotnikowych. Tuż nad miastem wznosi się, jak niezdobyte orle gniazdo na straży cudnej zatoki, twierdza New-Castle, usadowiona na wierzchu najbardziej ku miastu wysuniętej skały. Ku tym górom rwie się mimowoli wzrok przybysza. Kingston, to z drobnemi zmianami, jednostajność naszych zwykłych miast, to wpływ Europy. Samorodna piękność natury podzwrotnikowej żyje w niedostępnych niedawno jeszcze puszczach i górach, nęcących oko swą bujnością i obfitością barw. Najwyższy szczyt „Blue Montains-Peak", o dzień drogi od portu, panuje nad całą wschodnią częścią wyspy. Droga prowadzi przez cudne, gęste lasy, w któ-

rych można podziwiać najwspanialsze okazy flory tej wyspy, obfite, delikatne paprocie, o lekkich, pierzastych liściach i lśniące barwami storczyki. Ze szczytu gór roztacza się na wszystkie strony wspaniały widok długiego pasma, ciągnącego się z zachodu na wschód, którego odnogi boczne poprzedzielane głębokimi jarami rzek, przepełniają cieniste lasy o ciemno-zielonem listowiu. Te kaniony, należące do najbardziej romantycznych okolic wyspy, łączą w jedną, wspaniale urozmaiconą całość, niedostępne, skaliste stoki, po których szumią potężne wodospady, zwilżające swemi spienionemi, rozpryskującemi się falami, czarującą piękność storczyków i najrozmaitszych kwiatów, zdobiących te niedostępne, zaciszne ustronia tych tajemniczych puszcz. Do najpiękniejszych tego rodzaju potoków należą Back i Stony River, wpadające po północnej stronie do Rio Grande. Tutaj to niegdyś, wśród tych niedostępnych szczytów broniły się zacięcie zastępy Murzynów, walczące o swą wolność. Ze wspomnieniem tych krwawych starć łączą się też inne zarówno piękne i pamiętne okolice zachodniej części wyspy. Ta część znacznie jest większa i tworzy wyżynę, gdzie znajduje się wiele zamkniętych dolin o rozmaitej wielkości. Trudno nieraz powiedzieć, które z tych okolic piękniejsze i bardziej urocze. O ile wyspa Kuba pozbawiona jest prawie wszelkich pięknych krajobrazów, to Jamaika jest pod tym, jak i pod wielu innymi względami, prawdziwem „Eldorado" Antyl. Do najsławniejszych należy n. p. słynące malowniczością „Garden of Jamaica", leżące mniej więcej w środku wyspy. Przejdźmy jednak do innej, znanej w historyi wyspy, która odznacza się zarówno oryginalnością, jak rozmaitością i obfitością kształtów. Jest nią sławna w Jamaice „Cockpit cunatry"; nazwa to ciekawa znacząca tyle, co „Arena kogutów". Jestto przestrzeń obejmująca może z 400 km², gdzie erozya wodna z biegiem czasu wyżłobiła w wapiennym gruncie taką olbrzymią ilość najdziwniejszych kształtów, iż oko gubi się poprostu wśród tej nieskończonej rozmaitości form. Żadna może okolica Europy nie może się równać z tym ciekawym zakątkiem ziemi. Trzeba sobie wyobrazić, jak daleko oko sięgnie, coraz to nowe kształty;

ostro zakończone iglice, wzniosłe pagórki, skały niedostępne, podobne do okrągłych głów cukru, szczyty o najdziwaczniejszych zakończeniach, jednem słowem wszystko, cokolwiekby najbujniejsza fantazya mogła wymyśleć, pokryte cudnym kobiercem wybujałej podzwrotnikowej flory. Pnące się liany, zwiszające wśród niedostępnych urwisk wspaniałe storczyki, które tem bardziej zdają się nęcić wzrok błyszczącemi barwami, im pewniejsze są, że ich ręka ludzka nie dosięgnie. A to wszystko ożywione ciągłem, chłodzącem powietrzem, szumem niezliczonych potoków, wodospadów, strumyków i ukrytych gdzieś w głębinach rzek, które się krzyżują, zlewają, to znów rozchodzą, nadając tej pysznej okolicy czarujący wygląd jakiegoś zaklętego kraju, niedostępnego dla ludzi. I rzeczywiście był on też zaklęty dla pierwszych europejskich kolonistów wyspy; nikt nie ważył się tam zbliżyć, by nie zginąć wśród labiryntu dolin, ścieżek i urwisk tej przepastnej krainy. Zrozumieli to też i Murzyni; gdy przyszło do walki z uciskającymi ich plantatorami, schronili się do tej pysznej okolicy, jako do niedostępnej twierdzy, której jedyni znali niedostępne tajniki dróg i krętych, przepaścistych ścieżek. I tam też zwyciężyli i uznani zostali za niepodległą rzeczpospolitą murzyńską ze stolicą w Maroontown. Byliby może nadal zostali niezwyciężonymi, gdyby nie byli dozwolili na budowę dróg i gdyby byli utrzymali łączność z niewolnikami wyspy. Te dwie okoliczności spowodawały ich klęskę; po straszliwych walkach i zaciętej 7-mio miesięcznej obronie ulegli wreszcie 1795. r. i zostali wygnani do Sierra Leone. Niewolnictwo znów zapanowało w Jamaice, aż do chwili emancypacyi zupełnej w 1834. r. Tak łączą się ściśle piękności natury w Jamaice ze wspomnieniami jej dziejów. Opisując jednak tę wyspę, nie można pominąć jednej strony, to jest jej świata podziemnego. Niema może okolicy na ziemi bardziej bogatej i urozmaiconej pod względem jaskiń, nad Jamaikę; dużo tu jeszcze nieznanych głębin i niezbadanych zakątków. Jak dziwną jest ta strona Jamaiki, świadczy to samo już, iż wszystkie prawie bez wyjątku dłuższe rzeki, mające źródła w środkowej części wyspy, giną po dwa, a czasem

i trzy razy, jak n. p. najznaczniejsza Black River, w podziemnych grotach i niezbadanych głębinach, t. zw. „sinks", by gdzieindziej znów wypłynąć na powierzchnię. Jestto dziwny, pełny tajemniczych ciemności świat, którego sam opis za dalekoby nas poprowadził; łączy się on ze systemem owych zamkniętych dolin, gdzie się znajdują zwykle dostępy do grot. Jedna z nich, sławna z piękności Cave Hall, w środku wyspy, odznacza się obfitością stalaktytów, zwieszających się na kształt przeźroczystych draperyi i licznymi stalagmitami. Wystarczy oświetlić jedną z tych podziemnych sal pochodnią, by odrazu wywołać najcudowniejszą grę barw, wskutek załamania się promieni w tych niezliczonych kryształach, których tysiączne blaski napełniają te podziemne chodniki i olbrzymie sale; ma się wrażenie, iż się jest w jakimś świecie zaczarowanym, lśniącym wszystkimi kolorami tęczy o niezliczonych odcieniach i błyszczących barwach. Wspomniana już grota rzeki Black River należy do najciekawszych; nie jest jeszcze jednak w zupełności zbadana z powodu rozmiarów i trudnego dostępu.

Kilka takich szczegółów daje pojęcie o pięknych i zajmujących stronach wyspy. Okolice podzwrotnikowe, odznaczające się bujną roślinnością, należą zwykle z powodu wilgoci do niezdrowych. Przeciwnie się ma na Jamaice; piękność krajobrazu i flory łączy się z klimatem, który nie tylko szkodliwym nie jest, ale nawet obecnie odgrywa tęsamą rolę dla Ameryki północnej, jak u nas Riviera włoska, z tą jednak różnicą, iż klimat, prócz trochę w miesiącach deszczowych, prawie jest niezmienny przez cały rok. Najlepszem może określeniem klimatu Jamaiki jest, iż ona ma nie jeden, ale kilka klimatów, zależnie od wysokości tak, iż o każdej prawie porze roku można tu zdrowe powietrze znaleźć. Bardzo się do tego przyczynił też rząd, osuszając bagniska. Co do deszczów to jest charakterystycznem, iż mamy ich, na stosunkowo małej przestrzeni, po północnej stronie „Blue Monntains", pięć razy więcej, niż na południowej, zwłaszcza w okolicy Kingston. Bliskość gór i morza czyni z Jamaiki kraj łączący przymioty obu tego rodzaju okolic; powietrze morskie ochłodzone na wyższych

stokach gór czyni tę wyspę jedną z najłagodniejszych na świecie. Jestto coś, co przypomina góry Libanu, o których Arabowie mówią, iż wszystkie pory roku przedstawiają na swych stokach, tylko, że tu flora o wiele bujniejsza, a powietrze ożywione różnokolorowem upierzeniem ptaków, znanych pod zwrotnikami, jak błyszczące kolibry lub flamingi czerwone, unoszące się nad brzegiem morza.

Do tych tak korzystnych warunków wyspy przyłącza się nadzwyczajna urodzajność gleby. Zajmującą jest rzeczą słyszeć, iż w Jamaice są pola trzciny cukrowej, których za pamięci ludzkiej nie odnawiano; cała kultura polega na dodawaniu trochę nawozu na wiosnę. Gdyby tylko uprawa i wyzyskanie gruntu było należyte, ogromnie dużo możnaby z ziemi wyciągnąć. Bydło n. p. przez cały rok zostawione same sobie na łąkach lub halach górskich nie potrzebuje, by ktoś dbał o jego wyżywienie. Największa część Jamaiki uprawnej, to pastwiska; prawie połowę wyspy obejmują lasy. Dziwne jest trochę, iż mimo tego sprowadzają z lądu stałego mleko skondensowane i nawet drzewo budulcowe. Mieszkańcy jednak nie doszli jeszcze do tego stopnia kultury, by wyzyskać wszystkie skarby pięknej swej ojczyzny. Co oni zaniedbują, to po części uczynili Amerykanie i Niemcy. Opróżnione po emancypacyi Murzynów plantacye, wyzyskali Amerykanie dla uprawy owoców południowych; obecnie export z Jamaiki do Stanów Zjednoczonych jest pod tym względem pięć razy większy, niż do Anglii, chociaż rząd angielski Tow. Elder Dempstr rocznie płaci 40.000 f. szt., by ułatwić szybki transport owoców świeżych do Liverpoolu. Niemcy praktyczniej zabrali się do rzeczy; wywożą oni suszone owoce do ojczyzny, narażając się na mniejsze ryzyko. Z czasem prawdopodobnie urośnie jeszcze znaczniej ten wywóz.

Jedną stronę ma ta urocza wyspa bardzo smutną i ciemną: są nią jej dzieje, jej historya. Strasznie krwawe są wogóle dzieje Antyl; są one ciągłem nieprzerwanem pasmem najzaciętszych walk. Z jednej strony widzimy plantatorów, którzy z niesłychanem okrucieństwem znęcają się nad niewolnikami, z dru-

giej sprowadzonych z Afryki Murzynów, którzy pałając nienawiścią do swych prześladowców, przy każdej sposobności do powstania, mszczą się w sposób przerażający nad białymi, którzy wpadną w ich ręce. Chrześcijaństwo niestety bardzo nieznaczny tylko wpływ wywarło wówczas na te wyspy. Dziwna rzecz; w dziejach Europy religia chrześcijańska tak łagodnie i zbawiennie działała na społeczeństwa, iż od chwili jej rozszerzenia niewolnictwo powoli i nieznacznie znikało bez żadnego znaczniejszego przewrotu, samą siłą rzeczy. Choć chrześcijaństwo wprost nie występowało przeciw niewolnictwu, tylko głosiło zawsze zasady sprawiedliwości, łagodności i równości wobec Boga, to jednak wolność, która wytrysła u stóp krzyża objęła mimowoli wszystkie narody, znosząc cokolwiek mogło być jej przeciwne lub poniżało człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boże. W Antylach mamy straszny obraz tego, do czego może doprowadzić niewolnictwo, jeśli je boski wpływ religii nie złagodzi. Jestto pogaństwo ostatnich czterech wieków cywilizacyi. Na Jamaice wyniszczyli Hiszpanie już wkrótce tubylczą ludność; gorliwość Las Casas'a, tego „Protektora Indyan" nie zdołała już ich uratować. Rozpoczął się straszny import murzynów, rasy silniejszej i wytrwalszej, a z nim nieustanne walki okrutnych właścicieli i gnębionych niewolników. Wspomnieliśmy już o walkach prowadzonych ze zmiennem szczęściem. Bogactwo Jamaiki w tych czasach oparte było na ciężkiej pracy i krwi biednej, czarnej ludności. Nadszedł wiek XIX., a z nim zaświtała jutrzenka wolności dla nieszczęśliwych Murzynów. Ale jakżeż smutny obraz przedstawiała ludność w chwili emancypacyi, w r. 1834. Przeszło dwa miliony Murzynów wywieziono do Ameryki, z tego z górą 700.000 do samej Jamaiki. W chwili uwolnienia już ledwie 226.000. wiodło marny żywot w ubóstwie i ucisku. Trzeba przyznać, iż rząd angielski w chwili przeprowadzenia prawa o zniesieniu niewolnictwa zrobił, co mógł, by zło naprawić: przeszło 146 milionów franków zapłacono, by zapewnić wolność Murzynów. Jednak porównując z tem zbawienny wpływ, jaki wywierała religia w pierwszych wiekach w Europie, tak na właścicieli,

jak i na niewolników, łagodząc i zniżając pierwszych, podnosząc i wyrabiając drugich, to musimy przyznać, iż sama w sobie tak szlachetna myśl, jaką była emancypacya niewolników, stała się klęską dla Jamaiki. Czem był bowiem tu niewolnik bez wiary i religii? Była to istota uciskana, nieszczęśliwa, szukająca w zaspakajaniu swych namiętności zapomnienia nieszczęść, oddana pijaństwu i występkom, nienawidząca zarówno nieznośną pracę, jak i okrutnych pracodawców. Jaki był więc skutek zniesienia niewolnictwa? Bezpośrednio to, iż od chwili uwolnienia nie można było w całej wyspie znaleźć Murzyna, któryby za najwyższą cenę chciał się podjąć pracy niekoniecznie potrzebnej do utrzymania życia. Przy tak urodzajnej ziemi i korzystnych warunkach, a skromnych nader potrzebach, owa ilość konieczna pracy bardzo była ograniczona. XIX-ty w. stał się wskutek tego okresem wielkiego upadku dla całej wyspy; plantacye opustoszały, a właściciele mimo ogromnego okupu, wkrótce zbankrutowali. Był czas, iż stan rzeczy do tego doszedł, że musiano sprowadzać z Indyi Hindusów do najkonieczniejszych robót; przybyło ich blizko 13.000, ale i to niewiele pomogło. Wobec tej klęski, jaką sprowadziła na Jamaikę szybko przeprowadzona emancypacya, nasuwa się mimowoli pytanie, czy nie byłoby lepszem stopniowe jej stosowanie, podobnie jak w Prusiech powoli zniesiono poddaństwo w 1-ej połowie XIX w. Byłoby to mogło uchronić właścicieli od bankructwa, a Murzynów przyzwyczaiłoby zwolna do nowych stosunków. Jednej wszakże rzeczy najważniejszej brakowało; mianowicie owego pierwiastka podnoszącego i kształcącego ducha, owej prawdziwej cywizacyi, którą przynosi chrześcijaństwo. W ostatnich dziesiątkach lat stosunki się polepszyły dzięki nadzwyczajnej gorliwości rządu w szerzeniu oświaty ludowej. I trzeba przyznać, iż pod tym względem lepsze tu stosunki panują, niż w naszych krajach, n. p. na Bukowinie. W roku 1903 było na Bukowinie 407 szkół ludowych z blizko 80.000 uczniów, w Jamaice zaś 711 szkół, ale tylko o 10.000 więcej uczniów. Wskutek tego wypada znacznie mniejsza ilość uczniów na nauczyciela, który też łatwiej może na każdego z osobna wpływać. Daje się to też poznać

na stanie oświaty; Murzyni o wiele bardziej, niż nasi wieśniacy zajmują się sprawami wszechświatowemi i czytają dzienniki [1]). Wogóle też co do analfabetów, to było ich w 1900 r. na Bukowinie 65%, a Jamaice 50%.

W jednej jednak rzeczy lud nasz nieskończenie wyżej stoi od tamtejszej ludności. Jestto strona religijna, a z nią i moralna. Nasz lud miał to nieocenione szczęście, iż od wieków żyje w wierze katolickiej, w niej czerpiąc pociechę, osłodę i wyrobienie ducha. Przeszedł on z tą prostotą, z jaką niegdyś w pogaństwie żyjąc, zachowywał prawo natury, do poznania religii objawionej i żył przez wieki, wierny poznanej prawdzie, unosząc się na pobożności i prostocie, na tych dwóch skrzydłach, jak je nazywa „*Naśladowanie Chrystusa Pana*", do wyżyn ducha, gdzie tylko łaską Boża poprowadzić może. Są to skarby ludu katolickiego, które każdy pokocha, co ma sposobność je poznać.

Biedni Murzyni smutne musieli przechodzić koleje i dziś jeszcze na 831.000 mieszkańców, jest tylko 30.000 katolików [2]), a reszta ludności, o ile jeszcze nie jest *de facto* pogańska, rozpada się na dwanaście rozmaitych sekt i wyznań, między którymi nawet Bracia Czescy mają swych przedstawicieli. Można sobie wyobrazić, jak smutny jest stan tych ludzi; zobojętnienie dla sprawy duszy i religii, zabobony i czarnoksięstwo, które pokutuje tu jeszcze od czasów pogańskich, czyni ich niewolnictwo ducha o wiele cięższem niż to, któremu niegdyś podlegali. Nienawiść do białych, która tak głęboko się zakorzeniła i dziś jeszcze mimowoli się objawia, choć właściwie każdy Murzyn tu uważa się za Anglika. Rząd angielski też rzeczywiście, co może, to robi, jakeśmy już widzieli, by podnieść kraj pod względem materyalnym i kulturalnym. Dążenie to Anglików objawia się w całej ich politycekolonialnej. Jeżeli Francuzi w swych koloniach więcej potrafili zniżyć się do ludności tubylczej, to Anglicy mają tę zasługę, iż więcej dbają o stronę cywilizacyjną i materyalną kraju zajętego. Dążność do nadania autonomii i wol-

[1]) Wychodzi ich na samej Jamaice trzy, oprócz 14. różnych czasopism.
[2]) Białych jest 15.000 i więcej ich nigdy nie było.

ności, która w naszych dniach względem Irlandyi tak charakterystycznie, mimo trudności, znów na jaw wystąpiła, w całej polityce kolonialnej się okazuje, gdzie tylko do tego jest sposobność. Wojna z Boerami, z takiem zacięciem z obu stron prowadzona, dała też wkrótce tego dowód. Anglicy byli tego przekonania, iż muszą zwyciężyć, gdyż Boerowie przechylają się na stronę Niemiec, coby mogło z czasem przynieść Anglii nieobliczone szkody. Po zdobyciu kraju jednak nadali mu zaraz autonomię, żądając tylko równouprawnienia poddanych angielskich; za szkody, zniszczone farmy i spalone domy, dwa razy tyle zapłacili, niż Boerowie zażądali. Najlepszy dowód, iż Boerom podbitym gorzej nie jest i do narodu zwycięskiego niechęci nie czują, jest to, iż wielu dobrowolnie się zgłasza na ochotników w wojsku angielskim, gdzie są bardzo dobrze płaceni. Należą oni do najdzielniejszych żołnierzy angielskich. Wogóle jest charakterystyczne dla całej polityki kolonialnej, iż nie te państwa najwięcej mają pożytku z kolonii, które je wyzyskują, ale te, które najwięcej w nie wkładają i starają się o ich dobrobyt i cywilizacyę. Jestto zawsze tosamo hasło, które w historyi kolonialnej tak często się powtarza: chęć zysku, czy też dążenie do szerzenia cywilizacyi. Pierwsze przyniosło aż nadto często zawody, a nawet nieszczęścia na kraj macierzysty, drugie cywilizuje ludy dzikie, przysparzając dobrobyt zdobywcy. Jest to to samo, co Ruskin wyraził, porównywując owe hasła do dwóch przeciwnych chorągwi: „*The reare two oriflammes; which shall we plant on the furthest islands? the one that floats in heavenly fire, or that which hangs heavy with foul tissue of terrestrial gold?*“ [1]).

Ks. M. Skibniewski.

[1]) „Oto dwa sztandary; któryż wywiesimy na najdalszej wyspie? czy ten, co wzlatuje wśród niebiańskiego ognia, czy też ów, co zwisa spodlony tkaniną ziemskiego złota“.

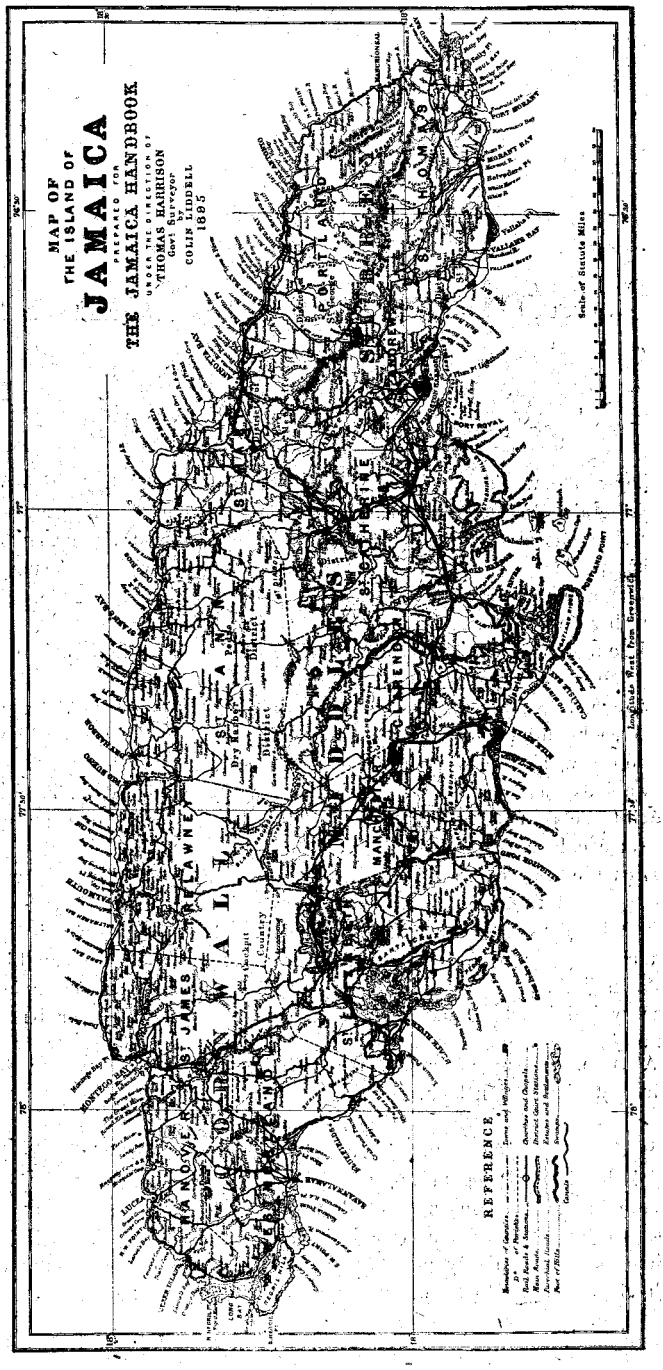
MAP OF
THE ISLAND OF
JAMAICA
COMPILED AND
DRAWN
THE JAMAICA HANDBOOK
UNDER THE DIRECTION OF
THOMAS HARRISON
Govt Surveyor
BY
COLIN LIDDELL
1895
REFERENCE
Scale of Statute Miles
Longitude West from Greenwich
CORNWALL
MIDDLESEX
SURREY
KINGSTON
PORTLAND
ST THOMAS
ST DAVID
ST ANDREW
ST JOHN
ST MARY
ST ANN
TRELAWNEY
ST JAMES
MANCHESTER
CLARENDON
WESTMORELAND
HANOVER

Ostatnie dni św. Tomasza apostoła.

(Wedle legend indyjskich) [1]).

Legenda św. Tomasza przechowała się w czterech bardzo dawnych dziełkach: *Acta S. Thomae Apostoli*, których posiadamy dwie wersye: syryjską i grecką. *Passio S. Thomae Apostoli* po łacinie: *Liber de miraculis S. Thomae*, także po łacinie; w końcu: *Thoma Parwam*, czyli wiersz (Carmen) Tomasza Rabbana, pisany w języku malayalam, który jest mową Indyan, zamieszkujących wybrzeże malabarskie.

Uczeni się zgadzają, że *Acta S. Thomae Ap.* takie, jakie dziś posiadamy, były spisane na początku trzeciego wieku.

Mówię, takie, jak dziś posiadamy; bo jest rzeczą oczywistą, że autor trzeciego wieku miał pod ręką pismo dawniejsze, którego użył dla swego celu, dodając do dawnej legendy mnóstwo interpolacyi, w których stara się krzewić niezdrową i dziwaczną naukę, zwłaszcza w kwestyi małżeństwa. Trudno nawet nazwać interpelacyą te niesmaczne dodatki, bo stanowią one mniej więcej trzy czwarte całego dziełka.

Lecz nie trudno rozróżnić między tekstem oryginalnym dawniejszym a dodatkami autora trzeciego wieku. Tekst dawniejszy, pierwotny jest szczerze katolickim i odznacza się wielką godnością i pobożnością, późniejsze zaś dodatki mają w sobie coś stylu kazań, które się słyszy w zborach anglikańskich. Tekst dawniejszy, pierwotny okazuje głęboką znajomość obyczajów Indyan i wogóle rzeczy indyjskich. Dodatki zaś trzeciego wieku zdradzają grubą nieznajomość Indyj.

Akta te, oczyszczone z niesmacznych dodatków są jedną z najdawniejszych legend chrześcijańskich.

---

[1]) Ustęp niniejszy jest wyjęty z większej pracy Arcybiskupa Władysława Michała Zaleskiego, Delegata apostolskiego w Indyach, którą drukuje obecnie pod tytułem: „Św. Tomasz apostoł w Indyach". Znajduje się tam rozdział w II części tej pracy zatytułowanej „Legendy" pod nagłówkiem Mailepuram. W jakiem znaczeniu należy przyjąć słowo legenda, autor podaje w przedmowie do tych „legend", z której ustęp przytaczamy na początku artykułu drukiem drobniejszym.

Redakcya Przegl. Pow.

Passio S. Thomae Apostoli, jest oparte na aktach, lecz autor daje wiele nowych szczegółów, co pokazuje, że miał pod ręką inne dokumenta. Do jakiej epoki należy to dziełko, nie wiadomo, ale jest bardzo dawnem, bo cytuje je św. Grzegorz z Tours (538—593), a autor mówi, że za jego czasów istniały jeszcze w Sindzie gminy chrześcijańskie, utworzone przez św. Tomasza, a ostatnia wiadomość, jaką mamy o tych chrześcijanach sięga czwartego wieku.

Liber de Miraculis S. Thomae, niektórzy przypisują św. Grzegorzowi z Tours, lecz zdaje mi się niesłusznie. Opierają się na podobieństwie stylu z księgą *de miraculis S. Andreae*, ale nie wszyscy się zgadzają, że autorem tego ostatniego dziełka, które wielu mu przypisuje, był rzeczywiście św. Grzegorz i dlatego w wydaniach dzieł jego zamieszczają je zwykle w dodatku.

Księga *de Miraculis S. Thomae* jest w gruncie oczyszczoną nieco wersyą łacińską aktów, choć zachowała wiele interpolacyi. Przytacza dosłownie wiele rzeczy wziętych z *Liber passionis*, lecz daje także niektóre fakta nowe ze źródeł nam nieznanych.

Thoma Parwam, inaczej zwane; *Carmen Thomae Rabban*, przypisywane Tomaszowi Rabban[1]), pierwszemu uczniowi św. Tomasza na malabarskiem wybrzeżu, a częściej jego synowcowi, także Tomaszowi, trzeciemu Rabbanowi z rodziny Malayakal, lecz oczywiście nie jest tak dawnym, bo dużo czerpie z aktów.

Ważność tego dziełka w tem polega, że uzupełnia trzy poprzednie, które piszą tylko o czynach św. Tomasza w Sindzie i w Mailepuram, podając malabarską legendę.

Posiadamy tylko fragmenta, z których jeden przechowuje się w księgozbiorze klasztoru Muthuoli, inne w prywatnem ręku w Parur, w Niranam i w Palayur, lecz te fragmenta uzupełnić można dawnymi hymnami, które niegdyś śpiewano w kościołach, dziś zaś są śpiewanymi przy godach małżeńskich, i dlatego je zowią pieśniami weselnemi.

Podniesiono kwestyę, czy wszystkie te akta św. Tomasza[2]) są poprostu fikcyą, czy też mają podstawę historyczną. Jest to kwestya, na którą nie łatwo odpowiedzieć i dlatego pozostać one muszą w rzędzie legend.

Nie można jednak sądzić, żeby być mogły poprostu fikcyami. W czasie, kiedy te akta były spisywane, zwłaszcza pierwsze syryjskie: katolickie gminy założone w Indyach przez św. Tomasza, były jeszcze kwitnące. Stały one w ciągłej styczności z Mezopotamią i z Syryą. Półtora wieku dopiero upłynęło od męczeństwa św, Apostoła, i wielu starców jeszcze żyło, których dziadowie znać mogli św. Tomasza. Tradycya była jeszcze żywą.

W tych okolicznościach żaden pisarz nie ośmieliłby się wymyślić bajki od początku do końca i podać ją za historyę. Zresztą w całem tem opowiadaniu, oczyszczonem z późniejszych dodatków i interpolacyi, czuje się pewną atmosferę prawdy, jest w niem tyle drobnych szczegółów, o których romansopisarz nigdyby nie pomyślał.

Należy zatem uznać, że ta ładna legenda opiera się na prawdzie, i że ten, co ją pierwszy spisał, zebrał miejscowe podania.

---

[1]) Rabban wymawia się Ramban, znaczy, nauczyciel, doktor (magister, Rabbi).

[2]) Dla łatwiejszego zrozumienia nazywamy aktami, wszystkie cztery, wyżej wzmiankowane dziełka.

Dla kogoś, co w Indyach żył długie lata, ta legenda św. Tomasza ma dziwną cechę indyjską. Wszystko się dzieje w atmosferze indyskiej, i wydaje się ona nietylko prawdopodobną, ale prawdziwą. Widać, że ta legenda powstała w Indyach, i że się na dawnych tradycyach opiera.

Zarzucą może, że za wiele jest w niej cudów. Lecz wiele cudów widzimy w autentycznych dziejach św. Apostołów. W tych czasach, kiedy nauka Chrystusa nieznaną była poganom, Bóg stwierdzał jej prawdę faktami nadprzyrodzonymi. Lekcye brewiarza nam mówią, że św. Tomasz nawrócił Indyan, świętością swego życia i nauki i licznymi cudami. Zresztą celem autora legendy było zebranie w jedno tradycyi o cudach apostoła.

1. Po długiej i męczącej podróży Apostoł święty ze swym towarzyszem przybyli do Mailepuramu.

Gdy się zbliżali do domu Sitaramana, czart począł strasznie męczyć jego żonę i córkę. A gdy św. Tomasz wchodził do ich komnaty, ryczał: „Czemu mnie prześladujesz Apostole Chrystusa, wygnałeś nas z innego kraju Indyj, a teraz w tej ziemi, która była pod naszem panowaniem, nie pozostanie miejsca, gdziebyśmy mogli ukryć się przed tobą".

Zrozumiał wówczas Tomasz, że był to czart ten sam, którego wygnał z niewiasty w Narankol [1]) i rzekł do niego: „W Imię Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, którego ja jestem sługą, wynijdźcie z tych stworzeń Bożych i przenieście się na pustynię, gdzie nie będziecie mogli szkodzić ludziom".

I czarci wyszli. Obie niewiasty leżały jak martwe na ziemi. Tomasz wziął je za rękę, kazał im powstać i rzekł: „Przynieście im nieco ryżu". A gdy przynieśli, pobłogosławił i kazał im jeść.

I Apostoł zamieszkał w domu Sitaramana, gdzie tłumy ludu przychodziły do niego: uzdrawiał chorych, nauczał wiary św. i wielu pogan ochrzcił [2]).

2. Zdarzyło się w tym czasie, że wielka belka rzadkiego i kosztownego drzewa została przez fale morskie wyrzuconą na piasek.

Król mailepurski Mahadiewan chciał ją użyć na rzeźby do swojego pałacu, lecz ani liczni robotnicy, ani słoń, którego do tej roboty użyto, nie mogli jej z miejsca poruszyć.

Tomasz rzekł do Mahadiewana: „Królu, daj mi to drzewo

[1]) Legenda I, 19.
[2]) Mir.

i pozwól mi kościół zbudować na miejscu, gdzie je przeniosę!"

Król Mahadiewan roześmiał się i rzekł do Apostoła: „Jeżeli mniemasz, że jesteś silniejszym niż słoń i wszyscy ci ludzie, weź je i zrób, co zechcesz".

Apostoł odpowiedział: „Jestem słaby i stary, lecz zobaczysz królu moc Boga mojego".

I zdjął sznurek, którym był przepasany, jeden koniec uwiązał do drzewa, drugi zaś dał robotnikowi w rękę i rzekł: „Idź przedemną i ciągnij belkę".

I robotnik bez wysiłku ciągnął za sobą belkę aż do Mailepuramu.

Mahadiewan zdziwiony, ze czcią przyjął św. Apostoła i pozwolił mu kościół zbudować.

Tomasz wrócił do domu Sitaramana i tłum wielki szedł za nim [1]).

3. Gdy św. Tomasz nauczał w Mailepuramie, doniesiono mu z Malabaru, że umarł biskup Xantyppus, dawny król Indrapatnamu, któremu powierzył był rządy tego kościoła.

Apostoł wezwał do siebie Rabbana Piotra, zięcia króla kranganurskiego, Andrzeja Kerala-Peramala i wyświęciwszy go na biskupa, odesłał do Malabaru, aby objął po Xantyppie rządy [2]).

4. Jedna z najznakomitszych niewiast w Mailepuramie od lat sześciu ociemniała. Apostoł św. wzrok jej przywrócił. Poszła do siostrzenicy swojej Magudani [3]), która widząc ją uzdrowioną, rzekła: „Sinna-Aczczi! [4]) Musi on być bogiem, ten co ci wzrok przywrócił bez użycia żadnego lekarstwa".

Sinna-Aczczi odpowiedziała: „Czy on mnie jedną tylko uzdrowił? O! ileż niewiast i ileż dzieci powrócił on do zdrowia, wzywając nad niemi Imienia Pana Jezusa!"

Magudani rzekła: „Czy mogłabym go zobaczyć?"

Sinna-Aczczi odpowiedziała: „Jutro będzie on lud nauczał.

---

[1]) Marignolli. Barros vol. V, str. 106 i VI str. 231.

[2]) Carmen.

[3]) Mygdonia.

[4]) Sinthice — Sinna-Aczczi — ciotka.

Zmień odzież, przykryj twarz welonem i stań pomiędzy niewiastami".

Magudani była małżonką Kriszny [1]), szwagra króla Mahadiewana [2]).

5. Nazajutrz rano, kiedy Magudani zbliżała się do miejsca, gdzie św. Tomasz nauczał, palankin, w którym ją nieśli, nie mógł się zbliżyć dla wielkiego tłumu, który jej słudzy poczęli rozpędzać.

Gdy to Apostoł zobaczył, wstał i rzekł do nich: „Nie czyńcie krzywdy ubogim i prostaczkom, a niech do mnie będą dopuszczeni wszyscy, którzy chcą słuchać słowa Bożego".

Słysząc te słowa, Magudani wyszła z palankinu i padłszy do nóg Tomasza, rzekła: „Przebacz nam święty Apostole Pana, bo jesteśmy ludzie prości i czasem niechcący zło czynimy".

Apostoł podniósł ją i powiedział: „Córko, nie kładź zaufania w twą godność i bogactwo, bo to są rzeczy, które przemijają; szukaj raczej skarbu życia wiekuistego". I dalej lud nauczał, mówiąc o Bogu, ich Stwórcy i Panu i o nicości ich bałwanów.

A gdy był wieczór i lud się rozszedł, zawołał do siebie małżonkę Kriszny, uczynił na jej czole znak krzyża św. i rzekł: „Niech pokój Boży będzie zawsze z tobą. Chrystus Zbawiciel ciebie nie opuści".

A gdy do domu wróciła, Magudani gorącemi zalewając się łzami, modliła się do Boga [3]).

6. Kriszna, szwagier króla Mahadiewana, wykąpał się i poszedł na wieczerzę. I pytał służących, gdzie była ich pani, bo nie wyszła na ich spotkanie. Służebnice mu odpowiedziały: „Nie czuje się ochoczą wyjść ze swego pokoju".

Kriszna poszedł do jej komnaty i rzekł: „Magudani, moja ulubiona, czemu jesteś tak smutna?"

A ona odpowiedziała: „Czuję się bardzo zmęczoną".

---

[1]) Karisz, Charisius.
[2]) Passio.
[3]) Mir. Passio. Acta.

Na to Kriszna: „Czemużeś bardziej nie uszanowała ród twój wysoki i położenie i zamiast pozostać w domu, poszłaś oglądać kuglarstwa jakiegoś tam czarownika. Wstań i chodź ze mną, bo bez ciebie nie mogę spożywać wieczerzy".

Magudani odpowiedziała: „Wybacz mi dzisiaj, czuję się bardzo wzruszoną".

A Kriszna rzekł: „Wymówiłem się przed panem moim królem, który chciał mnie na wieczerzę zatrzymać, żeby z tobą wieczór przepędzić, a ty odmawiasz"?

Magudani odpowiedziała: „Wybacz mi, nie czuję się usposobioną" [1]).

7. Kriszma wstał rano, umył ręce i poszedł na dwór królewski.

A gdy szedł do pałacu, Magudani poszła do Apostoła.

Św. Tomasz siedział przed drzwiami i rozmawiał z Sitaramanem i wielu ludzi go otaczało. I rzekł: „Powiedzcie mi, moje dzieci, kto była ta niewiasta, której wczoraj pan serce poruszył; kto ona jest?"

Sitaraman odpowiedział: „Jest ona żoną Kriszny, szwagra króla. Jest to człowiek okrutny i twardy. Król ma w nim wielkie zaufanie i rady jego słucha. On nie pozwoli żonie wytrwać we wierze, bo bardzo ją kocha i zawsze mówi królowi, że chyba niema na świecie niewiasty równie cnotliwej. Ona także go miłuje".

Św. Tomasz rzekł: „Jeżeli Bóg da jej łaskę i zasadzi w jej sercu nasienie wiary, ona za nie złoży życie to doczesne i śmierci się nie ulęknie".

Magudani usłyszawszy te słowa, zbliżyła się do Apostoła i rzekła: „Zaprawdę, panie, tyś się za mnie modlił, a Bóg zasadził w sercu mojem nasienie wiary. Módl się jeszcze, żeby to ziarno wyrosło, zakwitło i wydało owoce, którebym mogła złożyć w ofierze Panu Jezusowi naszemu".

Apostoł ją przeżegnał i rzekł: „Niech ci Bóg pobłogosławi".

I począł lud nauczać.

---

[1]) Acta.

Magudani słuchała, a serce jej gorzało miłością dla Chrystusa i utwierdzała się we wierze.

I długo rozmawiali o rzeczach Bożych i słońce już było zaszło, kiedy wróciła do domu [1]).

8. Kriszna, przyjaciel króla Mahadiewana, powrócił z pałacu w porze obiadowej i żony nie zastał w domu i zapytał służących: „Gdzie jest pani wasza?“

Oni odpowiedzieli: „Poszła do cudzoziemca i jest u niego“.

A Kriszna na to: „Czemużeście mnie o tem nie zawiadomili?“ I odszedł z gniewem.

I poszedł do kąpieli, a gdy wrócił, słońce jeszcze świeciło, nie jadł, lecz usiadł i czekał na powrót żony.

A wieczorem, gdy wróciła, rzekł do niej: „Gdzieżeś przez dzień cały bawiła?“

Magudani odrzekła: „Poszłam odwiedzić lekarza“.

A Kriszna rzekł: „Nazywasz lekarzem tego czarnoksiężnika?

Magudani rzekła: „Zaprawdę, jest on wielkim lekarzem, bo inni leczą ciało, które umrzeć musi, a on leczy dusze nieśmiertelne“.

Gdy Kriszna usłyszał te słowa, zagniewał się na żonę i na św. Tomasza, lecz gniew swój ukrył, bo Magudani była bogatego od niego rodu i o wiele wyższego.

I rzekł do niej: „Moja pani i ulubiona żono, Magudani, nie daj się powodować czczemi słowami i kuglarstwom tego czarnoksiężnika“.

Magudani nic nie odpowiedziała, modliła się cicho i myślała, kiedy znów będzie mogła usłyszeć Apostoła, a Kriszna wyszedł z komnaty i wieczerzał sam jeden z sercem goryczy i gniewu [2]).

9. Nazajutrz rano, z duszą pełną żalu, bo się obawiał, żeby ten Bóg nowy nie rozłączył go z żoną, którą szczerze miłował, Kriszna przywdział podłe i brudne odzienie i poszedł na dwór królewski.

Gdy król go zobaczył, rzekł: „Kriszna, co się stało, co znaczy ta podła odzież?“

---

[1]) Acta. Mir.

[2]) Acta.

A kiedy Kriszna wszystko mu opowiedział, król rzekł: „Nie martw się tem; każę przyprowadzić do siebie czarownika i wymierzę mu srogą karę".

Kriszna odpowiedział: „Proszę cię królu, pozwól, aby moja siostra, królowa, odwiedziła moją żonę. Może ona jej to szaleństwo wykorzeni z głowy".

Król rzekł: „Dobrze, pójdź do twej siostry i poproś, aby odwiedziła Magudani. Nie będzie to bez skutku" [1]).

10. Król kazał Sitaramana do siebie zawołać.

Gdy słudzy, których posłał, weszli do domu wodza, znaleźli go siedzącego przy boku Apostoła i Magudani była z nimi, rzekli: „Co czynisz, Sitaramanie, król zagniewany na ciebie, chce ci głowę kazać uciąć, a ty tu z czarownikiem rozmawiasz? Chodź, bo król czeka".

Sitaraman rzekł do Tomasza: „Ojcze, módl się za mną do Boga!"

Apostoł odpowiedział: „Nie bój się, synu, miej ufność w Bogu; On jest naszym Opiekunem i Panem, a bez Jego zezwolenia, nikt nam szkodzić nie może" [2]).

11. A gdy wszedł do króla, Mahadiewan rzekł do niego: „Jakiego to czarownika przywiodłeś do miasta i trzymasz w domu twoim, który nieład wprowadza do mojego królestwa i lud podburza".

Sitaraman odrzekł: „Królu! przecież wiesz dobrze, że żona moja i córka były opętane przez czarta i byłem bardzo nieszczęśliwym. Powiedziano mi o nim, pojechałem do niego, przybył tu ze mną, pomodlił się do Boga i żona moja i dziecko zostały uzdrowione. On wielu chorych uzdrawia, bo otrzymuje wszystko, o co prosi Boga" [3]).

12. Król kazał przyprowadzić św. Tomasza. Lecz żołnierze, których wysłał, nie śmieli go aresztować, bo tłum wielki go otaczał i słuchał słów jego.

Wrócili zatem do króla i rzekli: „Nie mogliśmy go przy-

[1]) Mir. Acta. Passio.
[2]) Mir. Acta.
[3]) Mir. Acta.

prowadzić, bo lud powstałby w jego obronie, a nas było niewielu. Tłum wielki go otaczał i Magudani była z nimi".

Co słysząc Kriszna, powstał i rzekł do króla: „Daj mi kilku żołnierzy, a ja go przyprowadzę wraz z Magudani, którą on oczarował".

Gdy wszedł do domu Sitaramana, Magudani nie znalazł, bo już odeszła i rzekł do Apostoła: „Wstań, zbrodniarzu, chodź ze mną do króla, a zobaczymy, na co przydadzą się twe czary".

Kazał mu powróz uwiązać do szyi i wlókł go do królewskiego pałacu, mówiąc: „Zobaczymy, czy Chrystus wyrwie cię z rąk moich" [1]).

13. A gdy król zobaczył Apostoła, rzekł: „Z jakiego jesteś kraju, jakiego narodu i w imię jakiego Boga czynisz te wielkie cuda?"

Św. Tomasz odpowiedział: „Bóg mój jest także twoim Bogiem, Stworzycielem nieba i ziemi, Jego jedynego czcić i chwalić trzeba, a nie martwe bałwany".

Król zagniewany kazał go zakuć w kajdany i zaprowadzić do więzienia [2]).

14. A gdy drzwi więzienia zamknięto, św. Tomasz padł na kolana i z głębi duszy dziękował Bogu, że mu pozwolił cierpieć dla Chrystusa.

Mahadiewan i Kriszna radzili między sobą, jak Apostoła stracić. Obawiali się ludu, bo w mieście dużo już było chrześcijan, a pogánie uważali św. Tomasza za boga [3]).

15. Kriszna wrócił do domu z sercem pełnem radości, bo myślał, że skoro Apostoł zamknięty w więzieniu, żona jego zapomni o Chrystusie.

I znalazł Magudani smutną. Siedziała zalana łzami i rzekł do niej: „O, moja ulubiona! zapomnij o tem szaleństwie i nie myśl o czarowniku, bo go w więzieniu osadziłem i więcej go nie zobaczysz!"

Co słysząc Magudani, poczęła cicho płakać. Kriszna wy-

[1]) Mir. Acta.
[2]) Mir. Acta.
[3]) Mir. Acta.

szedł z jej komnaty i spać się położył, bo był bardzo rozgniewany. A Magudani uklękła na kamiennej posadzce i życie swoje ofiarowała Bogu [1]).

16. A kiedy się modliła, stara jej niańka weszła do komnaty i widząc ją całą we łzach, zbliżyła się do niej i rzekła: „Jakie myśli niedorzeczne ogarnęły twe serce. Straciłaś dawną twoją wesołość".

Magudani odrzekła: „O, Nari! [2]) to nie jest niedorzecznością, lecz prawdą, że człowiek znać powinien swojego Boga i Stwórcę. Dałby Bóg, żebyś także poznała Chrystusa i podzielała mój smutek, bo święty Apostoł zamknięty w więzieniu".

Nari odpowiedziała: „Jeżeli się przekonam, że to jest prawda, uwierzę".

Magudani poczęła jej wykładać naukę Apostoła św. i stara niańka Nari uwierzyła w Chrystusa [3]).

17. Magudani wzięła dwadzieścia srebrników, żeby je dać stróżom więziennym, aby jej pozwolili odwiedzić Apostoła i wyszła z domu pokryjomu.

Zaledwie kilka kroków postąpiła ulicą, ujrzała św. Tomasza, który szedł ku niej i zlękła się bardzo.

Tomasz rzekł: „Nie bój się, Magudani, Chrystus cię nie opuści, bo miłosierdzie Jego wielkie".

Magudani spojrzała na niego i rzekła: „Dokąd idziesz, panie i kto cię z więzienia wypuścił?"

A Tomasz odpowiedział: „Do ciebie idę, córko. Chrystus Pan na strażników spuścił sen głęboki i otworzył mi wrota".

Gdy weszli do domu, Magudani padła Apostołowi do nóg, błagając go, aby ją ochrzcił i dał Komunię św. [4]).

18. I obudziła Nari, starą niańkę swoją i rzekła: „Nari, ty mnie kochałaś, odkąd byłam dzieckiem, uczyń mi dziś łaskę, która mnie uszczęśliwi na wieki".

---

[1]) Mir. Acta.
[2]) Narkia.
[3]) Mir.
[4]) Acta.

Nari odpowiedziała: „Córko moja, co chcesz, abym uczyniła?“

— Przynieś mi bochenek chleba i kubek wina“.

— „Przyniosę ci chleba obficie i tyle wina, ile unieść zdołam“.

Magudani rzekła: „Nie, jeden bochenek i kubek wina wystarczy“.

A gdy je przyniosła, św. Tomasz ochrzcił Magudani i po Mszy św. dał jej Komunię św.

Co widząc Nari, padła na kolana i Apostoł ją ochrzcił. I rzekł im: „Niech pokój Pana będzie zawsze z wami“.

I powrócił do więzienia. Strażnicy spali, a wrota za nim zamknęły się same [1]).

19. Gdy się o tem Kriszna dowiedział, opowiedział królowi. Ten rzekł: „Sprowadźmy tu czarownika i każmy mu ściąć głowę“.

Kriszna odrzekł: „Miej jeszcze cierpliwość. Uwolnij go z więzienia i nastrasz go groźbą śmierci, a może bojaźnią przejęty, zdejmie czary z Magudani, którymi ją opętał“.

I kazali przyprowadzić Tomasza.

Gdy go wyprowadzali z więzienia, inni więźniowie wołali: „Zabierają nam tego, który był naszą jedyną pociechą“ [2]).

20. Król rzekł do Tomasza: „Czemu roznosisz naukę, która jest wstrętną i ludziom i bogom, a w której niema nic przyjemnego?“

Tomasz odpowiedział: „Czy kiedykolwiek nauczałem coś, co nie było dobrem?“

A król na to: „Kazałem cię z więzienia uwolnić, abyś wmówił Magudani, małżonce Kriszny, żeby porzuciła swe niedorzeczne myśli, bo słyszałem, że czarnoksiężnicy przez przeciwne inkantacye umieją rozwiązać swe czary. Jeżeli tego nie uczynisz, będziesz na śmierć kazanym, a życie miłe każdemu człowiekowi“.

---

[1]) Acta.

[2]) Acta.

Św. Tomasz odpowiedział: „To życie mija, lecz to, którego nauczam, trwa wiecznie".

I św. Apostoł powrócił do swego dawnego mieszkania w domu Sitaramana [1]).

21. Sitaraman rzekł do Tomasza: „Błagam cię, Apostole Chrystusa, daj mi Chrzest święty i żonie mojej i córce, abyśmy się stali prawdziwymi sługami Jezusa i owcami Jego owczarni"

Św. Tomasz dał im jeszcze ostatnią naukę i ochrzcił, potem odprawił Mszę św. i dał im Komunię św.

I odtąd Sitaraman nazywał się Pawłem [2]).

22. Król widząc, że Kriszna był smutnym, rzekł do królowej: „Tirupatti [3]) małżonko moja, weź ze sobą naszego syna Wizayana [4]) i pójdź do Magudani, żony brata twego Kriszny i postaraj się ją skłonić, aby porzuciła te niedorzeczne myśli".

Królowa Tirupatti i młody Wizayan poszli do Magudani.

Królowa rzekła: „Najdroższa siostro, porzuć te dziwne marzenia. Król się o ciebie troszczy i dwór cały zasmucony, a w mieście mówią tylko o tobie. Czemże jest ta wiara nowa; której uczy czarownik?"

A młody Wizayan dodał: „On uczy o Bogu nowym; a któżże stworzył niebo i ziemię, jeżeli nie bogi nasze".

Magudani z uśmiechem spojrzała na młodzieńca i rzekła do królowej: „Siostro moja, Tirupatti, gdybyś słyszała, co on naucza, tobyś go chyba wzięła za boga.

Nasza krewna, Sinna-Aczczi, była ociemniałą, a on jej wzrok przywrócił. On uzdrawia wszystkie niemoce ciała, wskrzesza nawet umarłych i ludzi uczy życia wiekuistego. Ażebyś nie mówiła, że to jest niemożliwem: dziecko Sitaramana, wodza wojska twego męża, było umarło w nocy. On zaś pobiegł do więzienia, aby pozwolono świętemu Apostołowi wyjść na chwilę i pójść do jego domu. Apostoł się modlił i przywołał do życia jego synka jedynego. A teraz, gdy król uwolnił go z więzienia,

---

[1]) Acta.
[2]) Acta Carmen.
[3]) Treptia.
[4]) Vizan.

on znowu lud naucza i ulgę przynosi wszelakiemu cierpieniu".

Królowa rzekła: „Jeżeli to, co mi mówisz, jest prawdą, idźmy do niego" [1]).

23. Gdy się zbliżyły do domu Sitaramana, zobaczyły człowieka chorego na elefantiasis i całego pokrytego trądem. On prosił, aby mu pozwolono zbliżyć się do Tomasza, lecz słudzy nie wpuszczali go do domu, bo postać jego była odrażającą.

Tirupatti i Magudani weszły do izby, w której siedział Apostoł, lecz do niego zbliżyć się nie mogły, bo wielu było w niej ludzi, a św. Tomasz kładł ręce na głowę chorych.

A widząc, że wszyscy odchodzili zdrowi, królowa zdziwiona rzekła: „Opuszczonym zaiste od Boga jest ten, co w dzieła zbawienia nie wierzy!"

Magudani zbliżyła się do Apostoła i rzekła: „Panie, oto człowiek trędowaty stoi poza drzwiami i wejść mu nie pozwalają".

Św. Tomasz zawołał Pawła Sitaramana i rzekł do niego: „Nie pozwalaj, aby odganiano odemnie tych, co wierzą i pragną zbawienia".

Gdy wprowadzono trędowatego, Apostoł był wzruszonym, tak wstrętnym był jego widok. A gdy on ukląkł, położył mu rękę na głowie i długo się modlił: „Boże, Władco wszelakiego stworzenia. Boże Ojcze! który przez Syna Twego, Jezusa Chrystusa, dałeś nam moc przywracania wzroku ociemniałym, uzdrawiania trędowatych, wygnania z opętanych czartów i wskrzeszania umarłych, aby wszyscy wiedzieli, że Ty jesteś Bogiem i niema Boga, prócz Ciebie. Ześlij anioła z nieba, niech uleczy tego trędowatego, aby wszyscy, którzy zobaczą ten znak Twojej wszechmocy, uwierzyli w swego Stwórcę i Zbawiciela Jezusa Chrystusa".

Skoro Apostoł wymówił te słowa, ujrzano jasnego, świetlanego młodzieńca, który biorąc trędowatego za rękę, odprowadził go na bok, dotknął ręką ran jego, a potem uzdrowionego przyprowadził do św. Tomasza i znikł.

---

[1]) Passio. Mir.

Apostoł ochrzcił trędowatego i kazał go w nową, białą szatę przyodziać, a obecni, chwaląc Boga, mówili: „Zaprawdę, Anioł Pański stanął dziś między nami“ [1]).

24. Królowa Tirupatti padła do nóg św. Tomasza i rzekła: „Apostole Boga jedynego, przypuść mnie także do życia wiecznego“.

Św. Tomasz odpowiedział: „Skarbiec Króla Niebieskiego zawsze stoi otworem, a ci, co wierzą w Niego, mogą czerpać obficie. Jeżeli wierzysz, zostaniesz godną uczestniczenia w Sakramentach świętych“.

Królowa rzekła: „Wierzę, że Bóg twój jest Bogiem jedynym i że niema innych bogów. Pozwól mi zostać Jego służebnicą“.

I św. Tomasz ją pobłogosławił [2]).

25. Apostoł milczał przez długą chwilę, potem rzekł: „Słyszę głos Chrystusa Pana, który woła mnie do siebie i mówi, że koniec mój blizki. Przyjmijcie wszyscy Chrzest święty i Dary Ducha Świętego“.

I rozkazał im kochać Kościół św., szanować kapłanów Bożych i często schodzić się razem dla wspólnej modlitwy i słuchania słowa Bożego.

Potem ochrzcił wszystkich katechumenów i dał im Bierzmowanie. I rozeszli się weseli do domów swoich, śpiewając hymny na chwałę Bożą [3]).

26. Gdy królowa wróciła do pałacu z sercem pełnem radości, Mahadiewan czekał na nią, jeszcze nie spożył wieczerzy i rzekł: „Cóżeś robiła u Magudani od rana do wieczora?“

Królowa odpowiedziała: „Ja myślałam, że Magudani odeszła od zmysłów, ale się przekonałam, że ona mądrość prawdziwą posiada, bo i mnie otworzyła podwoje życia wiecznego. Widziałam Apostoła Bożego, który wszystkim wskazuje drogę do zbawienia; a ty, królu, który jesteś śmiertelnym, którego królowanie jest tylko doczesnem, gdybyś poszedł do niego

[1]) Passio.
[2]) Passio.
[3]) Passio.

i posłuchał słów jego, zdobyłbyś życie i królestwo wieczne“ [1]).

27. Mahadiewan rozgniewany, kazał zawołać Krisznę, okrutnie go złajał i mówił: „Chciałem wyratować twoją żonę, a oto swoją straciłem“.

Kriszna odrzekł: „Cóż się stało?“

A król na to: „On oczarował królowę“ [2]).

28. I zagniewany zamknął królowę w ciemnej izbie, pod salą jadalną pałacu.

I kazał schwycić Apostoła i swego syna Wizayana i zakuć ich w więzieniu.

A Kriszna zamknął Magudani i starą niańkę Nary, w tej samej z królową ciemnicy [3]).

29. Tymczasem młody książę Wizayan, którego Bóg dotknął serce, rozmyślał, w jaki sposób mógłby wybawić św. Apostoła z rąk ojca swojego.

Rzekł król Mahadiewan: „Niech tu przyprowadzą czarnoksiężnika“.

I przywiedziono Apostoła ze związanemi rękoma, a Wizayan stał koło niego.

I rzekł król do św. Tomasza: „Kim jest ten Bóg twój, który nas z żonami rozłącza? Pozwoliłem królowej Tirupatti, aby poszła odwiedzić krewnę swą Magudani, aby ją z rąk twoich spróbowała wybawić, a ty także oczarowałeś królowę. Zostaniesz za to skazanym na śmierć“.

Św. Tomasz odpowiedział: „Bóg jest wiecznym, a kto przekracza Jego przykazania, zostanie ukaranym na wieki. Ty, królu, możesz mi życie doczesne odebrać, lecz duszy nieśmiertelnej zgubić nie potrafisz“ [4]).

30. Gdy król te słowa usłyszał, zapalił się gniewem wielkim i rzekł: „Niechaj płyty żelazne rozpalą do białego i niechaj czarnoksiężnik stanie na nich boso“.

---

[1]) Passio Mir.
[2]) Passio Mir.
[3]) Passio Mir.
[4]) Acta. Mir. Passio.

I przynieśli rozpalone płyty i ułożono je na piasku, na pałacowym dziedzińcu.

Źródło przestało się na dziedziniec wylewać i woda wszystka wsiąkła w ziemię.

Apostoł rzekł do Mahadiewana: „O, królu! nie dla mnie, ale dla ciebie Bóg ten cud uczynił, abyś moc Jego poznał i uwierzył w Niego, bo mógł mnie dać wytrwałość i siłę do zniesienia tej tortury ognia, który woda zgasiła" [1]).

31. Kriszna mówił do króla: „Jeżeli żyć pozwolisz temu czarownikowi, to on nas także za sobą pociągnie".

Mahadiewan rzekł: „Dobrze, niech rozłożą wielki ogień i spalimy go żywcem".

Gdy żołnierze chwycili Apostoła, aby go na nich postawić, wytrysło z ziemi źródło obfite i cały dziedziniec zalało. I woda podnosiła się szybko.

Król przerażony rzekł do Tomasza: „Módl się do swego Boga, bo zginiemy w tej powodzi!"

I św. Tomasz począł się modlić: „Panie, Ty, któremu są podwładne wszystkie elementa, powstrzymaj ten strumień wody, żeby ci ludzie nie zginęli, bo niejeden jest między nimi, który uwierzy w Ciebie".

Kriszna odpowiedział: „Nie, bo on swoimi czarami wyprowadzi znowu źródło, co ogień zagasi. Lecz każ mu złożyć ofiarę bałwanowi bogini Kali. Wtedy się Bóg na niego rozgniewa i opuści go na zawsze".

Tomasz rzekł: „Zaprawdę, gdybym złożył waszym bogom ofiarę, Bóg odjąłby mi łaskę swoją".

Mahadiewan rzekł do Kriszny: „Dobrze, niechaj złoży ofiarę".

I prowadzono go do świątyni, według pogańskiego zwyczaju, z muzyką, bębnami i wieloma tancerkami i oblewano go wonną wodą" [2]).

32. A gdy weszli do świątyni, Tomasz rzekł do bałwana: „Mówię do ciebie, czarcie, który mieszkasz w tym bałwanie

[1]) Acta. Passio.
[2] Mir. Passio.

i dajesz wyrocznie tym ludziom złudzonym, którzy widzą bałwana, lecz ciebie widzieć nie mogą. Rozkazuję ci, w Imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, wynijdź z bałwana i stań przedemną, widomy dla mnie jednego i uczynisz, co ci rozkażę".

Dyabeł wyszedł z bałwana i stanął przed Tomaszem, tak, że nikt inny jego widzieć nie mógł i rzekł: „Błagam cię Apostole Boga Wszechmogącego, nie wtrącaj mnie do piekła, lecz pozwól mi zabić wszystkich tych ludzi, którzy mi dotąd cześć oddawali boską".

Św. Tomasz odpowiedział: „W Imię Jezusa Chrystusa, Pana naszego, nikomu szkodzić nie będziesz, ale, gdy ci rozkażę, ty sam zniszczysz tego bałwana, w postaci którego ci ludzie ciebie czcili".

Św. Tomasz mówił po hebrajsku, a obecni nie widzieli dyabła, nikt więc nie rozumiał, co mówił, ani z kim rozmawiał.

Król zagniewany rzekł: „Co ty śmiesz mówić w mojej obecności! Padnij na twarz przed bałwanem i złóż mu ofiarę, albo ci każę wszystkie kości połamać".

Na to Apostoł rzekł: „Ja padam na twarz, ale nie przed bałwanem. Padam na twarz, lecz nie przed podłym kruszczem. Padam na twarz, lecz nie przed waszymi bogami. Padam na twarz przed Jezusem Chrystusem, Panem moim i Bogiem moim, w imię którego rozkazuję ci czarcie, abyś nikomu nie przynosząc szkody, zniszczył ten podły bałwan".

Zaledwie św. Tomasz wymówił te słowa, bałwan stopił się i rozlał po ziemi, jakoby wosk pod ogniem.

Król i Kriszna uciekli. Brahmini rzucili się na św. Tomasza i wszczęła się wielka wrzawa, lecz większość ludu stała przy Apostole i uwolnili go z rąk tych, którzy chcieli go zabić [1].

33. Brahmini radzili się wyroczni, co uczynić, aby Apostoła zgładzić.

Dyabeł im odpowiedział: „Potrzeba mi ludzkiej ofiary. Wylejcie u stóp mojego bałwana krew dziecka niewinnego z wysokiego rodu".

---

[1]) Mir.

Jeden z przedniejszych Brahminów, który składał w świątyni ofiary królewskie, zabił własnego syna i krew jego wylał wokoło bałwana.

Potem wszyscy pobiegli do króla i oskarżyli św. Tomasza, iż był zabójcą dziecka.

Król kazał zawołać Tomasza i rzekł do niego: „Słyszysz o co cię oskarżają? Co powiesz na twą obronę?“

Apostoł odpowiedział: „Niechaj tu dziecko przyniosą“.

A gdy przyniesiono małego trupa, Tomasz uczynił na nim znak krzyża świętego, wziął za rękę i rzekł: „W Imię Boga, twego Stwórcy, dziecię, powróć do życia i powiedz nam, kto cię zabił“.

Chłopczyk wstał, pełen życia i zdrowia i rzekł wyraźnym głosem: „Ojciec mój mnie zabił“.

Król przestraszony powstał i rzekł: „Zamknijcie czarnoksiężnika w więzieniu, my tymczasem naradzimy się, co z nim uczynić“ [1]).

34. Gdy go znowu do więzienia wiedli, tłum wielki szedł za nim, a młody książę Wizayan i Paweł Sitaraman szli z Apostołem.

I weszli z nim do ciemnicy i siedli u nóg jego, słuchając jego nauki, bo wiedzieli, że król już go był skazał na śmierć.

A św. Tomasz w więzieniu nie przestawał lud nauczać [2]).

35. Dnia pewnego, gdy przekupiwszy straże, wielu chrześcijan zebrało się w więzieniu Tomasza, a on nauczał mówiąc: „Bądźcie zawsze wiernymi Panu Bogu waszemu i Chrystusowi Odkupicielowi, bo On jest opiekunem wszystkich, którzy ufność całą w Nim pokładają i pocieszycielem utrapionych“.

Potem wzniósłszy do nieba oczy i z promienistem obliczem rzekł: „Dusza moja raduje się w Bogu, bo czas mój blizki i praca moja na tej ziemi skończona. A teraz pójdę do Tego, z którym być wiecznie pragnę.

„O! Jezusie! Panie mój i mój Boże! Niech się stanie wola Twoja! Bądź ze mną do chwili ostatniej!

---

[1]) Barros. Vol. VI. st. 231. Starożytna legenda.

[2]) Acta. Mir.

„Winnicę Pańską zasadziłem w tym kraju: Pozwól, by silne zapuściła korzenie, by wyrosła i rozrosła się szeroko i wydała obfity owoc.

„Uczyń, by lud ten stał się godnym wiary i żeby ci, których zdobyłem dla Ciebie, pozostali zawsze wiernymi.

„Spełniłem Twoje przykazanie, uczyniłem, coś mi rozkazał. Daj mi teraz nagrodę, którą przygotowałeś mi w niebie“[1]).

36. A gdy Wizayan, syn króla Mahadiewana usłyszał te słowa, rzucił się do nóg Apostoła i rzekł: „Błagam cię, Panie! daj mi Chrzest święty, abym mógł wiernie służyć Chrystusowi. Skończyłem dzisiaj rok dwudziesty pierwszy. Siedm lat temu ojciec mnie ożenił, lecz nie mam dzieci. Żona moja Manusziar[2]) byłaby przyszła do ciebie, lecz tknięta paraliżem z łoża powstać nie może. Przyjdź do domu mojego i ochrzcij ją także, żeby i ona mogła żyć życiem wiecznem w niebie. Na moje słowo strażnicy pozwolą ci wyjść z więzienia“.

Św. Tomasz odrzekł: „Synu mój, Wizayanie, miej ufność w Bogu, a ujrzysz dziwy Jego wszechmocności“[3]).

37. A gdy mówił te słowa, królowa Tirupatti, Magudani i Nari przyszły do wrót więzienia i dały 360 srebrników straży, żeby im pozwoliła zobaczyć Apostoła.

A gdy weszły do więzienia, znalazły Wizayana, Pawła Sitaramana, jego żonę i córkę i wielu więźniów, którzy słuchali nauki Apostoła[4]).

38. Św. Tomasz rzekł do królowej: „Córko! Kto ci otworzył drzwi ciemnicy, w której cię król zamknął“.

Królowa odrzekła: „Ty się mnie pytasz, święty Apostole. Przecież ty sam nam drzwi otworzyłeś, mówiąc: Idźcie do więzienia mojego, a zobaczycie chwałę i miłosierdzie Boga. I sam szedłeś przed nami. A gdy przyszłyśmy do bramy więzienia, znikłeś i brama, która była otwartą, zamknęła się przed nami. Lecz dałyśmy strażnikom pieniądze, wpuścili nas, a oto

[1]) Acta. Mir.
[2]) Manachar.
[3]) Acta Mir.
[4]) Acta Mir.

tu jesteśmy, błagając ciebie, ażebyś nam pozwolił ułatwić ci ucieczkę, bo król cię na śmierć skazał".

Św. Tomasz rzekł do królowej: „Opowiedz, jak was trzymano zamknięte".

Królowa odpowiedziała: Ty się mnie pytasz, Panie, przecież zawsze byłeś z nami i raz tylko opuściłeś nas na jedną godzinę. Ale jeżeli chcesz, bym ci opowiedziała, to słuchaj: „Król mój małżonek, zawołał mnie i rzekł: Ten czarnoksiężnik nie trzyma cię jeszcze w swej mocy, bo słyszałem, że jego czary leżą w wodzie, w chlebie i winie, których on ci jeszcze nie dał. Nie oczarował cię przeto jeszcze i nie jesteś w jego mocy. Dlatego nie skarzę cię na śmierć, ani na tortury.

„Ja mu odpowiedziałam: Uczyń ze mną, co zechcesz, masz moc nad mojem ciałem, lecz nie masz mocy nad moją duszą, którą oddałam Chrystusowi Panu.

„I kazał mnie zamknąć w ciemnej izbie, pod salą jadalną pałacu. A brat mój Kriszna, także tam zamknąć kazał żonę swą Magudani i starą niańkę Nari.

„Lecz serce nasze było pełne radości, bo ty, święty Apostole byłeś tam zawsze z nami i drzwi ciemnicy nam otworzyłeś i tu nas przyprowadziłeś, a teraz powiedz, co chcesz, byśmy czyniły".

Św. Tomasz opuścił głowę i długo siedział milcząco, a potem rzekł: „Niech Imię Pana będzie błogosławione" [1]).

39. A gdy tak rozmawiali, przyszli strażnicy, aby pogasić światła, mówiąc: „Te światła mogą nas zdradzić i powiedzą królowi, żeśmy tu te niewiasty wpuścili".

I wyszli, zostawiając obecnych w ciemności.

A Tomasz począł się modlić: „Oświeć nas, Panie, których ci ludzie, co Ciebie nie znają, pogrążyli w ciemnościach. Spuść na nas, wiernych sług Twoich, światło Twe wiekuiste, którego nikt odebrać nie może i nikt zgasić nie potrafi".

Skoro te słowa wymówił, światło jasne, jak dzień, napełniło więzienie, a mała gromadka chrześcijan, zebrana około To-

[1]) Acta Mir.

maśza, chwaliła dobroć i miłosierdzie Boże, a wszyscy inni spali [1]).

40. Apostoł rzekł do Wizayana: „Idź, synu, wróć do domu i przygotuj tam wszystko, co do Mszy świętej potrzeba".

Wizayan odpowiedział: „A jakże wyjść z więzienia potrafię? Brama zamknięta, a strażnicy we śnie pogrążeni, bo noc już późna".

Tomasz odrzekł: „Idź, znajdziesz bramę otwartą".

Wizayan wstał i wszyscy inni poszli za nim, a św. Tomasz jeden pozostał w więzieniu [2]).

41. Gdy Wizayan zbliżał się do domu, spotkał żonę swoją Manusziar, która poznawszy go, zawołała radośnie: „Wizayanie, mój mężu!".

A on zadziwiony zawołał: „Manusziar! Co robisz na ulicy o tak późnej godzinie i jakże możesz chodzić, ty, co od tak dawna powstać nie mogłaś z łóżka?"

Manusziar odpowiedziała: „Bóg mi zesłał tego jasnego młodzieńca, który rękę mi na czole położył, uzdrowił mnie i rzekł: Idź do więzienia do Apostoła. I oto idę".

Wizayan zapytał: „Gdzież jest młodzieniec, którego Bóg ci zesłał".

Manusziar odpowiedziała: „Czy go nie widzisz? przecież on przy mnie stoi i trzyma mnie za rękę i iść pomaga, bo jestem jeszcze słabą" [3]).

42. A gdy tak rozmawiali ze sobą, zobaczyli św. Tomasza. Za nim szli Paweł Sitaraman, jego żona, córka i królowa Tirupatti, Magudani i Nari.

Gdy Manusziar ujrzała Apostoła, padła mu do nóg i rzekła: „Panie! Chciałeś mi oszczędzić zmęczenia i sam do mnie przychodzisz". Potem wokoło siebie spojrzała i rzekła: „Anioł odszedł, a jakże chodzić potrafię?"

---

[1]) Acta Mir.

[2]) Mir.

Św. Tomasz rzekł: „Nie bój się, córko, Chrystus będzie twoją podporą".

I pobiegła do domu, ażeby przyjąć św. Apostoła [1]).

43. A gdy weszli do domu, Tomasz począł się modlić: „Panie, Tyś jest podporą słabych, nadzieją nieszczęśliwych, ucieczką cierpiących, Tobie cześć i chwała na wieki. Zlej łaskę Twoją na sługi Twoje Wizayana, Tirupatti i Manusziar, ażeby przyjęci do Twojej owczarni, zostali zaliczonymi do liczby wybranych. Ażeby żyjąc między poganami, nie powrócili do dawnych błędów, lecz zawsze byli wiernymi Tobie, Panu swemu".

Potem Apostoł udzielił Chrztu św. Wizayanowi, synowi króla Mahadiewana, którego nazwał Janem, matce jego, królowej Tirupatti i młodej żonie jego Manusziar, a po Mszy św. dał im Komunię św.

A potem rzekł: „Moje dzieci, słuchajcie słów moich ostatnich, bo nie długo już będę z wami. Życie moje ma się ku końcowi i Chrystus woła mnie do siebie. Widzieliście wielkie cuda, które Bóg czynił przez ręce sługi swego, ale bądźcie ostrożni, żeby się wiara wasza nie zachwiała, gdy będę wydanym w ręce ludzi, co na śmierć mnie poprowadzą. Bo muszę spełnić wolę Boga mojego, i nie mam woli, jeno wolę Jego".

To rzekłszy, św. Tomasz wrócił do więzienia, a niewiasty do swojej ciemnicy i płakały, bo wiedziały, że Mahadiewan skaże na śmierć Apostoła i że po raz ostatni im pobłogosławił [2]).

44. A strażnicy więzienia pobiegli do króla i wołali: „Królu Mahadiewanie, wybaw nas z rąk tego czarnoksiężnika, lub do innego każ go przenieść więzienia, bo on swoimi czarami wszystkie drzwi otwiera i wchodzi i wychodzi, kiedy mu się podoba. Ma zamykamy bramy i znajdujemy je znowu stojące otworem. A on przez nie, kogo chce wprowadza, królowę, Magudani i innych".

Król zawołał swego namiestnika i rzekł: „Czy słyszysz, co oni mówią".

---

[1]) Mir.

[2]) Mir. Carmen.

On odpowiedział: „Królu, to być nie może, bo wczoraj położyłem pieczęcie na drzwiach celi czarownika, a dziś je znalazłem nietknięte".

Król rzekł do strażników: „Jesteście wszyscy kłamcy".

Lecz strażnicy stanowczo twierdzili, że mówili prawdę [1].

46. Król Mahadiewan zasiadł na tronie w sali sądowej pałacu, a gdy św. Tomasza przywiedli, rzekł do niego: „Pocóżeś przybył do Indyj?"

Św. Tomasz odpowiedział: „Przybyłem tu zdaleka, żeby wielu ludziom przynieść zbawienie wieczne i dać im poznać ich Boga".

A król na to: „Kto jest twój Bóg?"

Św. Tomasz odpowiedział: „Mój Bóg jest także twoim Bogiem, Stworzycielem nieba i ziemi" [2].

46. Król obawiał się Tomasza na śmierć skazać. Obawiał się ludu, a wielu z najprzedniejszych panów w jego królestwie już było chrześcijanami.

Król wstał, wyszedł z sali i rzekł do Tomasza: „Chodź ze mną".

I wyszli za miasto, a zbrojna gwardya króla szła z nimi. Lud myślał, że król Mahadiewan chce usłyszeć naukę Tomasza że on mu ją będzie wykładał.

Gdy uszli około pół mili i lud się rozszedł, król oddał Apostoła w ręce oficera i rzekł do niego: „Weź ze sobą czterech żołnierzy, zaprowadź czarnoksiężnika na górę i każ go tam przebić włóczniami".

Król odszedł, lecz syn jego Wizayan i Paweł Sitaraman szli dalej ze św. Tomaszem, który ich pocieszał i ostatnie dawał im nauki [3].

47. A gdy wstąpili na górę, Tomasz rzekł do izayana: „Zapłać żołnierzy, żeby nam trochę zostawili czasu".

Wizayan dał żołnierzom pieniądze i potem poszedł po-

[1] Mir.
[2] Mir.
[3] Mir.

mówić z oficerem, który mu rzekł: „Królewiczu, cała ta sprawa jest mi bardzo wstrętną; zaczekam do wieczora".

Apostoł wówczas wziął ich obu na stronę i wyświęcił na biskupa Pawła Sitaramana i uczynił dyakonem młodego królewicza.

I długo się potem modlili, a Apostoł św. utwierdzał ich we wierze [1]).

48. A gdy się wieczór zbliżał, św. Tomasz zawołał żołnierzy i rzekł do nich: „Czyńcie teraz, co wam rozkazano".

I ukląkł przed płytą kamienną, na której krzyż był wyryty i duszę swoją polecał Bogu. Żołnierze przebili go włóczniami, a krew jego oblała kamień i krzyż na nim wyryty. A żołnierze odeszli.

Apostoł upadł na ziemię, ale był jeszcze żywy. Biskup Paweł Sitaraman wyjął żelazo włóczni i okazała się rana wielka w tem samem miejscu, co w boku Chrystusa, którą Tomasz był dotykał ręką.

Młody dyakon Wizayan, nie tracąc nadziei, rzekł do biskupa Pawła: „Zanieśmy go do mojego domu i starajmy się go z ran wyleczyć".

Św. Tomasz odpowiedział: „Żadne leki nie pomogą mi, synu, Chrystus woła mnie do siebie".

Krew jego z rany spływała na ziemię, a on tymczasem nauczał jeszcze chrześcijan, którzy z miasta przybiegli. I leżał tam przez noc całą, a zrana, gdy słońce wschodziło, oddał swą duszę Bogu [2]).

49. Biskup Paweł Sitaraman i dyakon Jan Wizayan, zebrali do urny ziemię oblaną krwią Apostoła.

Wszyscy chrześcijanie przybyli z miasta i nieśli płacząc zwłoki Apostoła do kościoła, w którym go pogrzebiono, a biskup Paweł postawił u nóg jego w grobie urnę z ziemią, jego krwią oblaną.

I wiele cudów zaszło na grobie. Czart wychodził z opęta-

---

[1]) Mir. Carmen.
[2]) Mir. Carmen.

nych i mnóstwo chorych odzyskało zdrowie. A żołnierz, który Apostołowi zadał cios śmiertelny, poprosił o Chrzest św. i dostał imię Antinodora[1]).

Biskup Paweł Sitaraman i dyakon Wizayan nie odchodzili od grobu Apostoła. Dnie i noce przy nim na modlitwie spędzali. Okazał się im św. Tomasz i rzekł: „Czemu tu pozostajecie. Ciało moje leży w tym grobie, lecz dusza moja jest z Bogiem, w którym całą moją pokładałem ufność. Wstańcie i nauczajcie wiernych, a w krótkim czasie będziecie i wy ze mną".

Młody dyakon Wizayan rzekł do św. Tomasza: „O Apostole Chrystusa, co się stanie bez ciebie z tą owczarnią Pana. Kto im pokaże drogę zbawienia?"

Św. Tomasz odpowiedział: „Miej ufność, synu, przejdą oni przez ciężkie próby i zostaną rozproszeni. A gdy morze, które ten brzeg podmywa, zbliży się do muru kościoła, przybędą słudzy Boga z Zachodu, którzy wiarę Chrystusową utwierdzą w Indyach na wieki" [2]).

50. Piotr, biskup Malabaru, brat króla Andrzeja Kerala-Perumal, celebrował Mszę św. Ukazał mu się anioł i rzekł: „Tomasz, Apostoł Chrystusa, otrzymał koronę wiekuistą w niebie".

Biskup Piotr zawołał Tomasza Rabbana i Kadapur Rabbana i pojechali do Mailepuram. I modlili się przez dni dziesięć na grobie Apostoła.

Dnia dziesiątego ukazał się im św. Tomasz, otoczony światłością niebieską i słodkiemi słowami mówił im, żeby wiernie kochali Chrystusa i wytrwali we wierze, której on ich nauczył; a rzekłszy: „Ci, którzy nie zapomną o mojej śmierci i grób mój odwiedzać będą, Bóg im przymnoży łaski swojej". Pobłogosławił ich wszystkich i znikło niebiańskie widzenie. I wrócili do Malabaru z sercem pełnem radości [3]).

---

[1]) Mir. Carmen. Passio. Marignolli.

[2]) Gdy Portugalczycy przybyli do Indyj w r. 1498, morze było o rzut kamienia od murów zrujnowanego kościoła.
Mir. Passio. Barros. Vol. II, str, 107 i VI, str. 230.

[3]) Carmen.

51. Tymczasem król Mahadiewan i szwagier jego Kriszna, srodze prześladowali swoje żony Tirupatti i Magudani. Lecz nic zachwiać nie mogło w sercu pobożnych niewiast wiary w Chrystusa Pana.

Dnia jednego, gdy obie były pogrążone w smutku, ukazał się im św. Tomasz i rzekł: „Nie płaczcie i miejcie ufność w Bogu, bo zbliża się chwila, kiedy wasz smutek zamieni się w radość".

Król i Kriszna znużeni wkońcu stałością świętych niewiast, pozostawili je w pokoju [1]).

52. I otóż się stało, że syn króla Mahadiewana zachorował ciężko. Żaden lekarz wyleczyć go nie mógł i dziecko konało.

Król był bardzo zmartwiony, bo od czasu, kiedy Wizayan został chrześcijaninem, uważał chłopca za swe jedyne dziecko i za swojego następcę.

Siedział przy łożu dziecka i widząc, że śmierć się zbliża, rzekł sam do siebie: „Bóg mnie karze za śmierć Apostoła. Pójdę, otworzę grób jego, wezmę jedną z jego kości i zawieszę u szyi chorego, a dziecko żyć będzie".

A gdy szedł ulicą, ukazał mu się św. Tomasz i rzekł: „Królu, nie wierzyłeś żyjącemu, a teraz wierzysz w umarłego. Bądź dobrej myśli. Chrystus Pan zlitujé się nad twym żalem i ujrzysz, jak wielkie miłosierdzie Jego".

Król poszedł do syna swego Wizayana i rzekł mu:

„Daj mi relikwię świętego Apostoła, a brat twój żyć będzie".

Dyakon Wizayan zawołał biskupa Sitaramana, otworzyli grób Apostoła i dali królowi trochę ziemi zmoczonej krwią św. Tomasza [2]).

53. Król Mahadiewan powrócił do pałacu, padł na kolana przy łożu konającego dziecka, wołając: „O! Panie Jezusie, wierzę, żeś Ty jedynym moim Bogiem i Panem!"

I zawieszł na szyi syna woreczek z ziemią i krwią Apostoła i dziecko wstało z łoża pełne siły i zdrowia.

Król upadł twarzą na ziemię i rzekł do obecnych: „Bracia,

[1]) Mir.
[2]) Mir.

módlcie się za mnie i proście Pana Jezusa Chrystusa, żeby miał litość nademną i przebaczył mi śmierć swojego Apostoła".

Biskup Paweł Sitaraman dał królowi Chrzest św. i nazwał go Siluwe [1]), a chrześcijanie z sercem pełnem radości chwalili Boga [2]).

54. I w okolicy Mailepuram utworzyła się kwitnąca chrześcijańska gmina. Wszyscy żyli we wzajemnej miłości, w bojaźni Bożej i łaska Boża była z nimi.

Biskup Paweł Sitaraman celebrował Mszę św. i dawał Komunię św. wiernym. Dyakon Jan Wizayan, syn króla, służył mu przy ołtarzu i miał pieczę nad ubogiemi wdowami i sierotami.

Bóg był z nimi, a liczba chrześcijan codziennie się mnożyła [3]).

Arcybiskup Zaleski.

---

[1]) Siluwe w języku tamulskim znaczy Krzyż, jest to imię pospolite między chrześcijanami.

[2]) Mir. Acta. Carmen.

[3]) Mir. Acta.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe"

Pójdź za mną Maryo!...

Na płaskim dachu, w cieniu palm wysmukłych, rozpięli niewolnicy namiot płócienny. Leje się złociste wino w puchary bezcenne, więdną róże w wazach kryształowych, roznoszą chłopięta owoce wschodnie.

Ucztują goście Maryi z Magdali.. trybuni wojskowi, rzymscy patrycyusze, bogaci żydzi Jeruzalemu. Łagodny dźwięk greckiego języka połączył przyjaciół i wrogów.

Wśród haftów poduszek i tygrysich skór miękkiego złota, spoczywa gospodyni. Jasne włosy, sznurami pereł bladych, na sposób grecki upięte wspaniały kontrast tworzą z jej czarnych oczu głębią. Obnażone, jakgdyby z różowego marmuru utoczone ramiona, leniwym ruchem nad głową spotła... piękna jest i wie o tem. Lekko rozchylone, świeże jej usta zdają się do pieszczoty wyzywać, do pocałunków kusić. Czasem badawczem spojrzeniem na twarzach gości swoich zawiśnie, czasem... opalem barw lśniącą czarę do ust podniesie... a czasem... na mgnienie smutek, rzuca cień swoich skrzydeł na jej źrenice promienne i gasi w nich upojną radość z życia. Tuż obok niej spoczywa zużyte, wątłe ciało rzymskiego prefekta. Łysa głowa wieńcem róż strojna, nos ostry jak u trupa, obwisłe, zaślinione wargi, z za których bezzębne przeglądają szczęki... ruina człowieka. I tylko oczy ukryte pod czaszką płoną jeszcze, błądząc po odkrytych ramionach Maryi. Przerywany czkawką głos ma tony rozbitego dzwonu.

— Na Zeusa! Nie widziałem piękniejszej kobiety nad ciebie Maryo... co za kształty... co za koloryt... I chociaż nienawidzę żydów, zazdroszczę narodowi, który taką perłę wydał.

— I chociaż rzymian nie lubię... ze zdaniem twojem, że Marya jest najpiękniejszą kobietą świata, zgadzam się prefekcie — bogaty kupiec ben Johai spogląda ku niej łakomemi oczyma.

— Wierz Maryo... przenieś się do Rzymu a zrobią z ciebie boginią — śmieje się jakiś młody, jasny głos. — Jeruzalem nie umie czcić piękna.

Wielkie, ciemne oczy Maryi zwracają się uważnem spojrzeniem na twarz mówiącego:

— A jakąż boginią uczyniłbyś mnie Marku?...

— Grzechu...

Brzęczą puchary.

Zachód słońca drży złotem w przestrzeni, od gór powiew wieczorny chłód niesie i woń łąk kwietnych. Marya, pochyla się nagle zasłuchana, w daleki gwar, który z ulic płynie.... jakiś dziwny lęk oczekiwania ściska jej serce i mimowiednie rzuca pytanie:

— Co ten gwar znaczy?

— Och! — ironicznie odrzuca jeden z trybunów — to zapewne ten młody rabbi i towarzyszący mu lud. Cudotwórca, prorok, czy Bóg... Ben Johai, ty musisz wiedzieć więcej o tym żydzie?...

— Szaleniec. I dziwię się, że wielkorządca pozwala nauki chorego umysłu szerzyć tak bezkarnie.

— Ponciusz jest sprawiedliwym, ben Johai, w naukach współziomka twego nie masz nic karygodnego ani sprzeciwiającego się prawom. Ponieważ skarżono się Piłatowi, więc jeden z trybunów władający językiem aramejskim, słuchał w czasie świąt waszych, jego kazań.

— Tak słyszałem go — najmłodszy trybun, jasnowłosy syn dalekiej północy spoważniał nagle — widziałem. Jest coś dziwnego w Jego urodzie, w tonie głosu, w oczach... coś co uwagę przykuwa... Mowa Jego... przypomniała mi poszum lasów ojczystych... taka prosta była i swojska i tak do serca

szła... Jeżeli to... bożek wasz ben Johai... to możecie być dumni z niego.

Prefekt lepkiemi od soku owoców palcami dotyka ramienia Maryi.

— Ciekawy jestem na żyjącego Boga, marmurowych widziałem już tylu... Czy wiesz, że Winfryd wysłuchawszy jego nauki, nie chciał przyjść dzisiaj do ciebie. — Piskliwy śmiech prefekta, przerwał gniewny głos ben Johai.

— W tem twierdzeniu jego właśnie, że jest oczekiwanym przez naród Messyaszem... leży szaleństwo.

— On przecież nie mówi, że nim jest.

— Tak, ale czyny mówią za niego. W pierwszym dniu świąt wygnał sprzedających ze świątyni, aby nie zanieczyszczali domu Ojca.

Jasnowłosy trybun uśmiecha się jak do pięknego wspomnienia:

— Byłem wtedy w przysionku pogan. Wspaniały był z temi gniewnemi oczyma, ze spokojem i powagą... jak gromada psów obitych ustępował warcząc tłum przekupni przed siłą jego nakazu. A gdy lewici, kapłani i faryzeusze otoczyli go kołem, żądając cudu na znak władzy, gdy szyderstwo i drwiny powrotną falą rozszalały się dokoła niego... to spoglądał na nich z głęboką litością człowieka dorosłego, patrzącego na gromadę dzieci nierozumnych.

— I co?... — spłynęło szeptem pytanie z ust Maryi.

— Nie było ni śladu trwogi, ni gniewu na tej dziwnie wyrazistej twarzy... stał wśród rozszalałych, wrzeszczących faryzeuszy i lewitów... spokojny, wyniosły... a gdy wołali: „Cóż za znak nam pokażesz, iż to czynisz?“ — to rękę na sercu położył i zawołał głosem silnym jak grom — „Rozwalcie ten kościół, a we trzech dniach go wystawię“.

Zaśmiał się ben Johai.

— Ot dowód rozumu... czterdzieści sześć lat budowano świątynię... wie o tem każde dziecko w Jeruzalem.

— Nie miałem wrażenia, by o świątyni waszej mówił... słowa jego raczej jakąś przenośnią mi się wydały.

— Wybacz Winfrydzie... kapłani i mędrcy nasi wszyscy odnieśli je do świątyni... a nawet uczniowie Nazarejczyka.

— Może... niezrozumieli.

— Nasi kapłani!...

— Och kapłani, mędrcy wasi — przerywa rozmowę Marek — zgraja samolubów, fanatyków. Gdyby wasz Mesyasz nie pochodził z ich koła... byliby w stanie zabić go nawet.

Z dali gwar płynie... coraz bliższy... coraz potężniejszy..

— A jeżeli to Bóg? — głos Maryi drży... odpowiada jej śmiech... jedynie jasnowłosy trybun w dal się zapatrzył i milczy.

— Syn cieśli!

— Bóg wydziedziczonych!

— Bóg, który chodzi obdartych uczni otoczony tłumem.

— Gdyby był Bogiem czyż potrzebowałby być biednym.

— O Maryo! — wdzięczy się trupia głowa prefekta — jeżeli ten bożek do naszego Jowisza podobny, to bój się losu Selene.

Marya odwraca głowę.

Dlaczego przejmuje ją... nagle wstyd... palący... głęboki... Jakieś do bólu spotęgowane naprężenie oczekiwania na coś co przyjść ma... co przyjść musi.

Szczęście czy rozpacz przeczucie to jej zwiastuje? Serce tak bije, przed oczyma świetlne kręgi się tworzą, znikają w nich twarze jej gości, jak na fali błysków kołysze się tuż obok niej straszna, trupio-zielona maska prefekta pod róż wieńcem i wyszczerza do niej ruiny zębów. A nagle dźwięczy obok niej głos jasnowłosego trybuna.

— Spójrz... to on...

Podniosła się więc z łoża... przechyliła przez balustradę, spojrzała w dół. Widziała tłum barwny i wysoką smukłą postać.

Więc to On...

Człowiek jak wszyscy.

Więc... to... On....

Coś w niej skupiło się jak zwierzę do skoku, coś śmieje się, szaleje, drwi. I Marya wspaniałe swoje prężąc ciało, wyzywające w dół rzuca spojrzenie, jakgdyby pytając:

— Widziałżeś piękniejszą nademnie?...

Wielkie, ciemnobłękitne oczy Chrystusa, bezmiernie smutne, odpowiadają pytaniem:

— Bardziej nieszczęśliwą?

— Czy grzeszną bardziej?...

Te oczy!...

Maryi się zdaje, że w duszę jej patrzą i litują się jej nędzy.

. . . . . .

Niknie ulica, tłum, rozbawionych gości twarze... zostaje tylko ona i to spojrzenie Boga.

. . . . . .

Jakaś ty biedna Maryo z Magdali w twoich jedwabiach, złocie, przepychu... w twej hańbie.

Nędzna jesteś i z dzieci moich biednych... najbiedniejsza.

Wszyscy mają prawo do miłości twojej... a ty? czyż chociaż jedno serce kocha cię naprawdę?...

Rzuca tobą życie, jak wicher jesienny róży płatkami... na coraz inną pierś.

Młodość, piękność twoją piją usta rozkoszy chciwe i płacą ci pogardą i złotem.

A gdy uroda twoja przeminie?

Gdy zwiędniesz jak kwiat zdeptany... gdy oczy twoje utracą blask... posiwieje warkoczy złoto.

— Cóż wtedy?

Kto ci stracone duszy prawa powróci?

Gdzie ukojenie znajdziesz?

Szczęście matki, żony, szacunek ludzki, wszystkie dobra człowieka oddałaś za cenę hańby. Wspomnienie nawet nie przyniesie ci pociechy... Po szale zmysłów niesmak zostaje jedynie.

Wróć do mnie... czas jeszcze...

Życie całe przed tobą.

Jam jest miłością, jedyną, która nie przemija.

Jam ciszą, ukojeniem, szczęściem. Ojcem wyrozumiałym dla zbłąkanego dziecka, gdy powraca przebaczenie mającym.

Spójrz do koła... przypatrz się życiu, które szczęśliwem nazywasz, dla którego zatracasz duszę i zbudź się Maryo!

Ja czekam.

. . . . . .

Wilgotne, zimne palce prefekta pełzają po jej ramieniu i Marya rzuca dokoła lękliwe, pytające spojrzenie... jak człowiek zbudzony nagle:

— Azali... śniłam?

Na ulicy cisza... dawno już przeszedł Chrystus i towarzyszący mu lud.

Wokoło śmiechy pijanie... pucharów brzęk, dwuznacznych dowcipów szept... a łysa głowa prefekta, zmożona winem leży na piersi Maryi.

I echem wraca słów niewymówionych szelest.

— Wszyscy do miłości twojej mają prawo... a ty?...

Dreszcz wstrętu wstrząsa postacią kobiety, gdy patrzy na tego starca pijanego. Ślina ciekąca z jego warg obwisłych plami jej szaty jedwabne... róż wieniec na zżółkłej czaszce więdnie. I Maryi się zdaje, że ta trupia głowa ohydna pod tym różanym wieńcem, to obraz jej duszy i ciała... Gdy z róż płatki opadną.

Boże... mój Boże!...

Pełne lęku oczy kobiety błądzą od twarzy do twarzy... Ben Johai pożądliwe źrenice zdają się obnażać ją spojrzeniem, jasnowłosego trybuna oczy wstręt wyrażają dla prefekta... pogardy bezmiar dla niej.

Nigdzie, nigdzie... miłość ku niej nie patrzy z oczu niczyich, pożądanie tylko.

— Miłość i piękność twoją piją usta rozkoszy chciwe i płacą ci pogardą i złotem — łka w duszy Maryi i zdaje jej się, że gdzieś z rozłoconej gasnącego słońca poświatą przestrzeni łagodny, słodki głos nawołuje.

— Pójdź za mną Maryo...

A wszystko dobre w jej duszy rwie się za tem wezwaniem.

Odepchnęła głowę prefekta z takim wstrętem, jakgdyby upostaciowaniem jej dotychczasowego życia była. Spadł wieniec i prefekt wślad za nim pod stół się potoczył... uderzyła o podścielisko skór głowa łysa.

Oburzeni porwali się Rzymianie.

— Bezcześcisz prawa gościnności żydówko!

Spojrzała ku nim... drgnęli.

Ta przepiękna, widmowo blada, tragiczna twarz o szeroko rozwartych łez pełnych źrenicach... czyż to ta sama Marya... najpiękniejsza i najbardziej grzeszna z cór Judei? Gwałtownie zrywa z siebie zdobiące jej ciało klejnoty i rzuca je pod stopy swych gości zdumionych.

— Oto dary wasze... wasza zapłata... za hańbę moją... za dusze moją!...

Łkanie jak burza wstrząsa smukłą postacią, krótkie, urwane, zdławione w poczęciu i Marya opuszcza progi swego pałacu, by już doń nigdy więcej nie powrócić. A przez radosną purpurę zachodu, przez szept w kwiecie stojących drzew płynie ku niej nawoływanie:

— Pójdź Maryo... czekam.

. . . . . .

Od chwili, gdy rzuciła się do Jego stóp, drżąca jak liść wichrem szarpany, z bezmiarem lęku w duszy, upłynęła godzina zaledwie... Jak dziecko zbłąkane przypadła wtedy do Jego kolan, szepcąc wśród łkań urywanych.

— Panie mój!... Boże mój!... — a gdzieś z głębin zamierającej obawą duszy krzyk się rwał... — Ojcze mój!...

Odczuła wówczas na swoich włosach lekkie dotknięcie Jego dłoni i zdawało się jej, że jakaś dziwna siła oczyszcza jej duszę z hańby, z grzechu, z pożądania... spokój w nią spłynął nieznany i cisza wielka. A łagodny, zniżony głos mówił ponad nią:

— Nie trwóż się Maryo... ktokolwiek mnie pragnie, zyskuje przez to samo już prawo do miłosierdzia mego i miłości. Ktokolwiek mnie szuka... ten znalazł mnie już, albowiem drogą tęsknoty idzie do mnie dusza człowiecza.

A oto teraz, w liliowym mroku gasnącego dnia siedzi u ogniska... i jest jej tak dziwnie dobrze jak niegdyś, gdy ją ramiona matki do snu kołysały. Zda się jej, że słyszy szept cyprysów, okalających rodzinny dom i drzew migdałowych upojną woń czuje... jak to dawno temu... jak dawno? Wczoraj jeszcze, gdy

myślała o rodzinnym domu, zdawało się jej, że ją wieki od niego dzielą całe... dziś zda się jej, że to wczoraj wymknęła się z niego cichaczem, by usta gorące do źródeł życia przytulić... że wczoraj jeszcze słyszała jasny, szczery śmiech starszej siostry i widziała smutne, badawcze a kochające spojrzenie Łazarza...

A Chrystus jakgdyby wiedział, gdzie myśl jej błądziła przed chwilą, zapytał:

— Gdzie jest dom twój rodzinny... Maryo?...

Ściągnęła czarne brwi, a oczy jej zamglił smutek bezbrzeżny łzami.

— W Bethanii... Panie...

I zaczęła opowiadać cichym, urywanym głosem o domu rodzinnym... o Marcie zapobiegliwej i gospodarnej... o Łazarzu i o sobie samej.

— Nie wygnało mnie z domu ani nieszczęście, ani srogość, ani bieda. Kochano mnie i pieszczono... Marta za mąż nie wyszła, bo ja potrzebowałam opieki jej. Dobrzy byli dla mnie... za dobrzy... a ja wieczną jakąś tęsknotę czułam w duszy... aż ciasnym mi się stał rodzinny dom. Miłość mnie otaczała i dobrobyt, a ja... Ja ptakom zazdrościłam swobody lotu, kwiatom słońca, aż poszłam w życie.

Urwała, zdawało się jej, że grzechem byłoby i zbrodnią wobec Niego mówić szerzej o tem życiu z którego pęt uciekła do Jego stóp... a przy tem... On i tak wiedział, bo jasna Jego twarz spochmurniała nagle, a źrenice pociemniały smutkiem wielkim. Chwilę milczeli... coś obcego i strasznego zda się na mgnienie stanęło między niemi.

Od sąsiedniego ogniska dolatywały głosy uczni młode, wesołe i słodki śpiew Matki Pana, która warząc wieczerzę, nuciła pół głosem psalmy Dawidowe. Na ciemnym błękicie nieba, gwiazdy zaczęły drgać jak łzy wiszące u rzęs i Marya mówiła dalej bezdźwięcznie.

— Szukałam słodyczy, a gorycz znalazłam, szukałam szczęścia, znalazłam ból i wstyd... szukałam miłości, a znalazłam... hańbę. Panie!... Panie!... jedno złudzenie za drugiem odbierało mi życie, nielitościwie roznosiło uczucia moje, jak wicher płatki

z jesiennych róż... Najlepsze ze mnie w błoto padało.., gdym ja myślała, że ku słońcu mknie!...

Płakała, a cichy, nizki głos obok niej mówił łagodnie:

— Bo nie na właściwej drodze szukałaś szczęścia Maryo... nie dokoła siebie szukać należało... jeno w sobie. Któż pije wodę z kałuż deszczowych, gdy opodal źródło ożywcze bije? Jak w cichej tafli wód odbija się każda trawa, drzewo i kamień wybrzeża, tak my odbijamy się w świecie. Jest w nas czystość myśli i uczuć, to i świat, który nas otacza, będzie dla nas czystym... jest w nas cisza i spokój, to i życie ciszą i spokojem odpowie, jest w nas burza, to szaleć zaczyna wszystko dokoła nas. Miłość, szczęście, słodycz... najpierw w własnej duszy wychodować trzeba Maryo. Więc powrócisz do rodzinnego domu i będziesz się starała poznać ten świat, który w duszy twojej jest, a którego Bóg jest ojcem.

— Powrócić Panie?... — głos się jej rwał tęsknotą i lękiem... — powrócić Panie?...

A On mówił jej to, co poprzedniego dnia prawił Nikodemowi.

— Kto się nie odrodzi w duchu, nie może ujrzeć królestwa Bożego... Maryo... Wiatr, gdzie chce, wieje i głos jego słyszysz... prawda? Aleć nie wiesz skąd przychodzi, ani dokąd idzie...

Podniosła ku niemu oczy rozbłysłe świadomością nagłą:

— Panie... aleć jeżeli z ducha przychodzi, to i w ducha krainy idzie... prawda?...

Cichy, jasny uśmiech spowił twarz Pana, spojrzał na pochyloną kornie, jasną głowę, wzruszony. Wszak nie zrozumiał jego słów uczony w piśmie i wołał: — Jakoż to może być?... I pytał: — Jakoż się może człowiek narodzić będąc starym? Izali powtóre może wnijść w żywot matki i narodzić się? — a oto ta młoda niewiasta pojęła zaraz treść Jego słów, bo nie rozumem usiłowała je mierzyć, jeno serca tęsknego głębią.

Zdziwiony odszedł od Niego sędziwy członek Synedrium, a kobieta osunęła Mu się do kolan i mówiła szeptem błagalnym:

— Panie... Panie... śladami duszy twojej pozwól mi iść, a wiem, że nie zmylę drogi.

A On widział w tej chwili u swoich stóp nie Maryę z Magdali, jeno ludzkość błądzącą i grzeszną w chwili przejrzenia.

Błogosławiącym, ochronnym gestem oparł dłonie na jej głowie schylonej i patrzył w mrok, ku wizyi Golgoty, na której szczycie księżyc właśnie kładł rozbłysk srebrny i uśmiech opowił mu usta.

— Więc nie napróżno!

— Więc nie nadarmo!

Przyjdzie kiedyś do Jego stóp ludzkość błądząca jak dziś Marya z Magdali i odrodzi się z ducha.

. . . . . .

Bethania.

Szła obok Matki Pana, rozbłysłemi szczęściem i łzami oczyma patrząc na kwieciste, cieniste wzgórza. Obie dłonie przycisnęła do serca, bo biło jej tak szalenie, trwogą, nadzieją i szczęściem, jakgdyby piersi rozsadzić chciało.

Zdało się jej, że każdy krzew przydrożny ją wita, a wiatr szepce w koronach drzew radośnie wraz z chórami ptaków.

— Wróciłaś Maryo! Wróciłaś!

Ot, studnia z której wodę czerpano... nieraz w dziecinnych latach biegła tu z dzbanuszkiem po wodę źródlaną... Oto łąka na której bawiła się z Martą... drzewo oliwne cieniste, wspaniałe, rozpina namiot gałęzi... a Maryi się zdaje, że przyjaciela dojrzała. Wreszcie cichy, głęboki, cienisty sad... mur z kamieni białych, mchem obrosłych i biała, wytworna willa spowita złotawym liściem młodego winogradu.

Tchu jej brak... nogi drżą pod nią, łzy ćmią wzrok. Taka szczęśliwa jest i taką trwogę ma w duszy... chciałaby do ziemi przylgnąć i usta gorące do traw przytulić zroszonych powitaniem.

Lęku pełne jej oczy błagalnie zwracają się ku twarzy Matki Pana i szept się rwie z zaschniętych warg.

— Maryo.

A dobra, pogodna twarz Matki Jezusa, zwraca się ku niej zaraz dobrotliwie:

— Nie lękaj się... nie lękaj... wszak syn mój jest z tobą.

A oto Pan przystanął właśnie, z Piotrem coś mówił, Filipowi kilka słów rzucił, zatrzymali się pod murem ogrodu, a On jej rzekł:

— Pójdź ze mną Maryo.

Zniknęła w jej duszy trwoga, a pozostała tylko pokora wielka, miłość olbrzymia, nadziei drżący płomień i radość upojna. Bo oto po latach szła znowu po tej ziemi rodzinnej, wśród cienistych alei ogrodu, gdzie dzieckiem igrała, bawiła się dziewczątkiem, tęskniła dziewicą. Każdy krzak toć przyjaciel stary, do każdego pnia przeszłość słoneczna tuli się wspomnieniem. A Pan szedł obok, jakgdyby mu znaną była ścieżka każda i każda drożyna zarówno dobrze jak i jej.

Nagle Marya drgnęła...

Przy krzaku białych wiosennych róż, stał Łazarz i obcinał starannie kwiaty rozwite. Zwrócony był do ścieżki plecami, więc widziała tylko jego ciemną głowę w słonecznym rozbłysku i ostrą linię profilu. I serce jej schwycił w potężne swoje szpony... ból!... Na skroniach brata dojrzała biel siwizny, ręka obcinająca kwiaty chuda była i koścista, w głębokich cieniach spoczywały oczy, ostro występowała chrząstka szyjna wśród węzłów żył.

Gdy odchodziła postać ta była rosłą, silną, wspaniałą, a dziś...

Poczucie winy, pokory i żalu spotęgowało się w niej do bezmiaru. Osunęła się na kolana, bez jęku, bez słów i tylko oczy jej pełne łez rzuciły krótkie, przebolesne spojrzenie ku białej postaci Jezusa.

W ciszy słychać tylko zgrzyt nożyc obcinających kwiaty.

— Łazarzu — zadźwięczał nagle w przestrzeni głęboki, czysty głos Pana prośbą... — Łazarzu... oto siostra twoja.

Wypadły nożyce ze szczupłej ręki, przerażone, bolesne oczy człowieka wpiły się spojrzeniem w źrenice Pana.

— Czego... ona... tu chce?... — wyrwało się ochrypłe pytanie ze zdławionego wzruszeniem gardła. — Czego... ona tu...

— Miłości twojej i miłosierdzia...

Uczynił krok w tył, jakgdyby uniknąć chciał dotknięcia

tych ramion białych, co wyciągały się szukając jego stóp... zawirowały mu w myśli wspomnienia...

Gdy zniknęła, jakże szukali jej wraz z Martą, przez jakie piekła trwogi i niepokoju przeszły ich dusze...

A potem opłakali ją jak kogoś co zmarł i wspominali ze łzami jak zgasły słońca promień. Zapomniały uśmiechu ich usta... żałoba była w sercach i w domu. Przed rokiem donieśli im ludzie, że siostra ich żyje w Jeruzalem, pod nazwą Maryi z Magdali, iż w hańbie żyje. Nie chciał wierzyć... bronił się tej myśli jak szalony.

Jego biała siostra a głośna grzesznica... nie... nie...

Aż raz podsunął się pod mur jej pałacu i czekał... wyszła niedługo, rannego chłodu użyć w ogrodzie... poznał ją... i miał wrażenie, że coś dobrego, pięknego z duszy mu odchodzi na zawsze. Och jakże po powrocie do domu płakał, jak głową tłukł o ciche drzewa ogrodu... och gdybyż była umarła!

Jego biała, biała siostra... i owa kobieta wabna jak sen o grzechu.

A potem rzekł sobie... że jednak umarła... bo tamta, tam w Jeruzalem ciało ma tylko jego siostry, a nie duszę. I zdawało mu się, że w tej myśli ukojenie znalazł.

A oto teraz.

Ma wrażenie, że zmysły straci za chwilę... wstręt w nim jest i miłość, chciałby odtrącić a tulić pragnie i cofa się, cofa jak przed widmem.

Przebaczyć...

Darować...

W dom przyjąć...

Nie... nie...

Odepchnąć... na drogę nędzy może...

Oczy pełne niepokoju zwrócił więc ku owej młodzieńczej postaci, co siostrę mu w dom przywiodła i mówił niewyraźnie, bo szczęki mu latały od wzruszenia.

— Dla mnie ona umarła... umarła... a umarli nie zmartwychwstają przecież!

Urwał, bo z głębokiego błękitu młodzieńczych źrenic patrzyła ku niemu tajemnicza potęga, a silny głos rzekł:

— A ja ci mówię Łazarzu, że... zmartwychwstają!... — a zaraz potem ten sam głos dodał łagodnie. Przebacz — jej... męty, które otaczały ciało nie zalały duszy... to biała siostra twoja... mimo wszystko.

Łazarzowi coś w piersi wezbrało nagle jak olbrzymia fala miłości, drżącemi ramionami przygarnął smukłą, łkającą postać kobiety do szalenie bijącego serca.

— Maryo... Maryo... szczęsny jestem, że wróciłaś.... A jej było jak ptaszęciu, co po długim, męczącym locie gniazdo znalazło ojczyste... Chciałaby była siwiznę z tych włosów zetrzeć pieściwemi dłońmi... tych oczu smutek rozświecić radością i mówiła miękko, żałośnie:

— Cierpiałeś przezemnie... zła byłam, występna byłam... Łazarzu... przebacz mi...

— Wróciłaś — uśmiechał się on drżącemi konwulsyjnie wargami — wróciłaś... niechże ci się więc zdaje, żeś nie odchodziła wcale...

Chrystus patrzył chwilę na te dwie radosne, uściskiem złączone postacie i myślał jak przywiedzie tak kiedyś ludzkość zbłąkaną do ojczyzny niebieskiego Ojca i na tę myśl w Jego błękitnych oczach rozbłysły łzy, a usta rozchylił szczęsny zachwycony uśmiech.

Odwrócił się i z wolna odszedł w głąb ogrodu...

Marya Czeska.

Kulturkampf w świetle nowych studyów[1].

Walka kulturna w Niemczech po wojnie francusko-niemieckiej z r. 1870-1871 należy do najważniejszych wypadków 19 wieku. Wszak chodziło o nic więcej, jak o zniszczenie religii katolickiej w Niemczech i o wydanie jej na łup omnipotencyi państwa. Walkę tę wydał Kościołowi najgenialniejszy mąż stanu 19 stulecia w państwie, upojonem zwycięstwami nad wszystkimi sąsiadami. Rząd nie cofnął się przed żadnym środkiem możliwym w państwie nowożytnem. Nauka, prasa, policya, wszelkie sztuki dyplomacyi, podstęp i gwałt — wszystko to było użyte i nadużyte przeciwko katolickiemu sumieniu 14 milionów poddanych, a jednak daremnie. Nie dziw więc że tego rodzaju walka, ciągnąca się przez dziesiątki lat, wzbudzała nietylko polityczne zainteresowanie w Europie, ale i historyczne u badaczy i stała się przedmiotem skrzętnych badań zarówno w Niemczech, jak i za granicą. Zaledwie parę lat po zakończeniu tej walki wydał r. 1877 jeden z wybitnych jej bohaterów, nieustraszony redaktor *Germanii* Paweł Majunke, jej historyę p. t. *Geschichte des Kulturkampfs in Preussen und Deutschland* Paderborn. W szerokich rozmiarach uwzględnił tę walkę moguncki biskup dr. Henryk Brück, w swojem kilkatomowem dziele p. t. *Gesch. der kath. Kirche im* 19 *Jahrh.*

[1]) Dr. Joh. B. Kissling: „Geschichte des Kulturkampfes im Deutschen Reiche" I. T. Die Vorgeschichte VII, str. 486. Freiburg in Br. u Herdera 1911. II T. Die Kulturkampfgesetzgebung 1871—1874. str. 494. Tamże 1913.

IV tom tego dzieła, traktujący czasy od watykańskiego soboru do czasów obecnych, wydany przez dra teologii ks. Kisslinga między 1905 a 1908, poświęcony jest głównie walce kulturnej i pojawił się w osobnej odbitce p. t. *Die Kulturkampfbewegung in Deutschland* 1905. Ponieważ w ramach historyi katolickiego Kościoła w Niemczech nie można było pomieścić olbrzymiego materyału źródłowego do dziejów walki kulturnej, dlatego centralny komitet dla generalnych wieców katolickich w Niemczech postanowił wydać nowe dzieło, dokładne i szczegółowe o charakterze ściśle naukowym, o przebiegu walki kulturnej w Niemczech. Program takiej szczegółowej historyi rzeczonej walki wypracował prof. uniw. ks. prałat dr. Adolf Franz.

W programie tym na pierwszym planie postawiono publikacyę specyalnych historyi walki kulturalnej w pojedynczych dyecezyach Królestwa pruskiego i innych państw Rzeszy niemieckiej. Każda z tych monografii ma po skreśleniu ogólnego stanu w danej dyecezyi podać początek, przebieg i skutki walki, oraz najdokładniejszy obraz wszelkich szkód, poniesionych w tej walce przez Kościół, wiernych, duchowieństwo i t. d. Nad wykonaniem takich monografii praca się rozpoczęła. Dla jednej dyecezyi pruskiej jest już wykończona w rękopisie. Obok tych monografii jednak w programie nakreślono ogólne ujęcie walki w całych Niemczech i pracę tę poruczono obeznanemu z materyałem do dziejów walki kulturnej współpracownikowi ks. biskupa Brücka w studyach nad historyą Kościoła katolickiego w Niemczech w XIX stuleciu. Kisslinga materyał do historyi tej ciekawej walki o byt Kościoła katolickiego w krwią i żelazem spojonych przez Bismarka Niemczech ustawicznie się mnoży. Pojawiają się szczegółowe monografie najwybitniejszych koryfeuszów tej walki, ich pamiętniki zarówno ze strony katolickiej, że wymienimy tylko biskupa Kettelera, polityków w rodzaju Windhorsta, Mallinckrodta, braci Reichenspergerów z jednej strony, Bismarcka von Roona, przywódcy loży Bluntschliego, głowy starokatolików Schultego i t. d. z drugiej strony. Obok wydawnictw urzędowych w rodzaju Siegfrieda *Aktenstücke*, olbrzymiego

materyału dziennikarskiego i pism peryodycznych i naukowych, stenograficznych zapisków parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego i innych państw niemieckich, istnieje olbrzymia literatura monograficzna, broszurowa, którą opanować, uwzględnić i ocenić wymagało niesłychanego nakładu czasu i bystrości. Autor skorzystał z pierwszych tomów znakomitego francuskiego dzieła współczesnego Goyau, *Bismarck et l'Église, le Culturcampf*, w którem nie tyle chodzi o historyę Kościoła katolickiego, ile raczej o kościelno-polityczną historyę, o ile na nią wpłynął Bismarck. Autor dzieła swego nie wykończył, braknie tomu III. W pierwszym tomie, niesłychanie interesującym, podaje wstępne dzieje do walki kulturnej, a zatem politykę brandebursko-pruską wobec Kościoła katolickiego od początku XVII w. aż do zdobycia Śląska, dalej politykę kościelną Prus od czasów Fryderyka Wielkiego aż do końca rządów Fryderyka Wilhelma IV. W 3 księdze przedstawia zbliżanie się walki kulturnej między r. 1860 a 1871. Zdaniem piszącego są to najbardziej interesujące części niniejszego dzieła. W czwartej księdze wreszcie przedstawia zwiastuny walki w Bawaryi, w Badenii i Hessyi. Drugi tom dzieli się również na cztery księgi. W piątej z rzędu przedstawione są pierwsze kościelno-polityczne ustawy wyjątkowe i zatargi. W następnej prawa majowe r. 1873, w dalszej zaostrzenie się konfliktu kościelnego w Prusiech, w ósmej wreszcie walka kulturna w innych państwach Rzeszy niemieckiej między 1871 a 1874.

Urzędowa historyografia pruska z lubością przedstawia Hohenzollernów jako ideowych przedstawicieli czystej ewangelii. Nie kto inny jak najgenialszy ze wszystkich Hohenzollernów Fryderyk II zadaje brutalnie kłam temu panegiryzmowi historycznemu w swych *Oeuvers postumes* II, 1, 18 i 21—64 twierdząc, co następuje: „Jeżeli sprowadzimy ruch reformacyjny do jego prostych zasad, tedy stwierdzić musimy, że był w Niemczech dziełem interesu. Ubodzy książęta północy uwolnili się z pod jarzma księży, a przez sekularyzacyę dóbr kościelnych pomnożyli znacznie swe dochody. Elektor Joachim II otrzymał

przez komunię pod dwiema postaciami biskupstwa Brandenburg, Havelsberg i Lubusz". Że żaden ród książęcy nie potrafił tak wyzyskać reformacyi dla zwiększenia swych posiadłości jak Hohenzollernowie brandeburscy, tego dowodzi, że państwo ich dzisiejsze w większej połowie jest dawną posiadłością duchowną. Od początku XVII w. w różny sposób wchodzili oni w posiadanie kraju z ludnością katolicką czy w księstwie pruskiem nad Niemnem czy klewijskiem nad Renem, czy w dawnych biskupstwach między Łabą i Wezerą. Urzędowa historyografia pruska, reprezentowana przez takich Droysenów, Treitschków i Lehmanów, wytworzyła legendę o bardzo wczesnej i daleko idącej tolerancyi pruskich Hohenzollernów wobec katolików z jednej strony, a z drugiej strony broni historycznego prawa do najwszechstronniejszego mieszania się państwa do spraw kościelno-katolickich. Autor nasz w pierwszej księdze swego dzieła na każdym kroku wykazuje bezpodstawność tej legendy, a zarazem bezwzględną, krętą, kłamliwą politykę pruską wobec katolickiej mniejszości.

W Prusiech książęcych za Albertów los katolików nie był lepszy, jak chrześcijan pod jarzmem tureckiem i tylko dzięki interwencyi polskiej za Batorego i Zygmunta III otrzymują pewne ulgi. Aby otrzymać księstwo pruskie w spadku po Albercie II, obiecuje elektor Jan Zygmunt duże ustępstwa na rzecz katolików i tylko pod tym warunkiem otrzymuje kuratelę nad obłąkanym krewniakiem. Skoro tylko wszedł w posiadanie Prus, nie myśli o niczem innem, jak, aby się od tych obietnic sianem wykręcić. Przez cały XVII i XVIII wiek ani jeden katolik mimo obiecanego równouprawnienia nie otrzymał wyższego urzędu w Prusiech. Katolicy wystawieni byli na szereg najdokuczliwszych szykan, a elektor dążył do tego, aby usunąć wszelkie ślady papistycznego zabobonu. Te same udokumentowane obietnice powtórzyły się przy pozyskaniu katolickich księstw nadreńskich, Klewe-Mark i Rawensberg i te same wykręcania się od tych obietnic. Elektorzy nie chcą uznawać praw arcybiskupa kolońskiego do tych krain, przywłaszczają sobie najwyższą władzę biskupią nad katolikami.

Tak samo wrogim dla katolików okazał się wielki elektor, aczkolwiek pruska historyografia chce go ozdobić wawrzynem niezasłużonej tolerancyi. Pod najcięższymi karami zakazuje Fryderyk Wilhelm edyktem z 7 września 1661 r. znosić się katolikom ze swoim arcybiskupem, poczytując władzę biskupią za przywilej swoich przodków. Edykt ten postawił katolików w gorsze położenie od żydów i nowochrzczeńców, których wedle własnych praw wyznaniowych traktowano. Kapituły katolickie gnębiono niesłychanemi opłatami, beneficya katolickie przekazywano luterskim pastorom lub przedawano więcej dającym. Tak samo nienawidził katolików i Kościół pierwszy król pruski Fryderyk. Wszak wiedział, że przez reformacyę dom brandeburski urósł w znaczenie, „a w razie zwycięstwa papieża musiałby dom nasz na wielkości stracić". Podczas, gdy w r. 1624 w katolickiem Klewe wszyscy ławnicy miasta byli katolikami, w r. 1711 nie było ani jednego katolika w zarządzie miejskim. Że pod panowaniem takiego tyrana, jakim był Fryderyk Wilhelm I, katolikom lepiej się nie wiodło, to jasne jak na dłoni. Katolików przecież uważał za równie szkodliwą sektę co aryanizm, lub ateizm. Szczególniejsze obawy czuje przed Jezuitami, których posądzał, że co 10 lat zbierają się w Brandeburgii w okolicach dawnych klasztorów Lehnina, Lubusza i Wilsnacku, aby stwierdzić, czy skarbów, tamże zakopanych, jeszcze nie wydobyto. Mimo to ze względu na żołnierzy, zwerbowanych w katolickich krajach i na sprowadzonych z tych krajów rękodzielników tolerował nabożeństwa katolickie nietylko w kaplicach katolickich poselstw, ale i w innych miejscach. Tak samo, jak jego przodkowie, uzurpował sobie najwyższą władzę biskupią nad katolikami i tolerował dalej ucisk katolików przez fanatyczno-protestancką biurokracyę. Beneficya katolickie oddawał felczerom, pułkownikom i grenadyerom swoim. Jeżeli tolerancyi nie tolerowały drogi rządy Fryderyków Wilhelmów, trzymających się uporczywie sum episkopatu, to tem mniej oświecony absolutyzm Fryderyka II, dla którego racya stanu stanowi jedyną normę dla

czynów panującego. Zdaniem tego najzdolniejszego z Hohenzollernów gwałty, wiarołomstwa są konieczne i sprawiedliwe, jeżeli tego wymaga interes państwa. Wprawdzie król filozof głosił szumnie, że religie wszystkie w państwie jego muszą być szanowane i że każdy może być wedle swej modły zbawiony, mimo to wzorem swoich przodków nienawidzi serdecznie Kościoła katolickiego, a w papieżu widzi oszusta oszustów i marzy, by tej hydrze papiestwa głowę zetrzeć. Wobec zaboru katolickiego Śląska i zaboru katolickich krajów polskich musiał uczynić pewne ustępstwa. Wolny, nietylko od wszelkich uprzedzeń, ale i wierzeń religijnych, przeciwdziałał niejednokrotnie protestanckiej nietolerancyi swej biurokracyi. Chłopom protestanckim w pewnej okolicy na Śląsku, domagającym się u niego pozwolenia na wymordowanie katolików, przypomniał nie bez sarkazmu słowa Chrystusowe: „miłujcie nieprzyjacioły wasze". Godził się na budowę kościoła katolickiego w Berlinie. Mimo to oświadczył Karolowi Sinzerdorfowi, biskupowi wrocławskiemu, że król chce być papieżem nad katolikami i dlatego po śmierci biskupa zamianował następcą jego nikczemnego prałata Schaffgotscha ze słowy: „Dobrze jest, gdy sługa Kościoła posiada doświadczenie w grzeszeniu, ponieważ wtedy potrafi grzechy strasznie odmalować i swą trzodę do pokuty nawoływać". Na duchowieństwo śląskie nakładał kontrybucyę, znosił klasztory, narzucał duchownym przysięgę na wierność z formułą, że złamanie jej pociąga za sobą utratę przebaczenia zarówno w tym, jak i na tamtym świecie (!) W czasie wojny król fałszuje *breve* papieskie o kapeluszu, poświęconym dla Dauna, aby wzniecić fanatyzm protestancki przeciwko katolikom. Pruska tolerancya wobec Kościoła za Fryderyka II okazała się najwymowniej przy zaborze ziem polskich. „Musimy zyskać pieniądze", temi słowy zakończył Fryderyk II swą instrukcyę dla administracyi pierwszego zaboru pruskiego. „Duchowne dobra powierzone są królewskim kamerom, aby kler przez zajmowanie się dobrami świeckiemi, nie był odwodzony od swych duchownych zajęć". Tylko 50% mieli otrzymać z dochodu, zyskanego w pierwszym roku. „Nasi biskupi", pisze

do Woltera z drwinami król, otrzymują 24.000 talarów, opaci 7.000; apostołowie nie mieli tyle. Uwalnia się ich od trosk tego świata, aby się bez przeszkody starali o niebieskie Jeruzalem, będące przecież ich prawdziwą ojczyzną". Wbrew zobowiązaniom narzucił Fryderyk II w ziemiach polskich Kościołowi praktykę pruską, by w małżeństwach mieszanych synowie wychowywali się w religii ojca, córki w religii matki. Podczas gdy chełmiński biskup opierał się wszelkiemi siłami tej antykatolickiej innowacyi, biskup warmiński Krasicki bez skrupułów zastosował się z giętkością dworaka do woli pruskiego władcy. Mimo to wszystko Fryderyk II zyskał sympatyę u katolików, a to dlatego, że nie prześladował tak gwałtownie Kościoła, jak współczesny katolicki cesarz Józef II, że kiedy ten zamykał setki klasztorów, król pruski tolerował u siebie Jezuitów. A jednak dla Kościoła gorsze następstwa, niż z zarządzeń politycznych płynęły z ruchu racyonalistyczno-naturalistycznego, popieranego przez Fryderyka II. Najlepiej charakteryzuje berlińską tolerancyę Lessing: „Proszę mi nie mówić o berlińskiej wolności myślenia i pisania! Ogranicza się ona wyłącznie na tem, że można przeciw religii tyle błazeństw produkować, ile się zechce, ale niechno ktokolwiek w Berlinie wystąpi w obronie praw poddanych, przeciwko wyzyskowi lub despotyzmowi władzy, a wnet przekona się, który kraj aż po dziś dzień jest najbardziej niewolnym w Europie!"

Nie lepiej wiodło się katolikom za rozpustnego następcy Fryderyka Wilhelma II. Landrecht pruski ma zastąpić prawo kanoniczne dla katolików zwłaszcza co do małżeństw mięszanych. W razie niebezpieczeństwa dla państwa nakazuje się księdzu łamanie tajemnicy spowiedzi. W polskich ziemiach król pruski uzurpuje sobie prawo nominacyi biskupów, a rząd pruski proponował papieżowi, by za pewną kwotę zrzekł się wszelkiego zwierzchnictwa nad poddanymi pruskimi z wyjątkiem formalnego zatwierdzenia biskupów, przez rząd proponowanych. Tylko za pośrednictwem i zgodą ministeryum wolno było pruskim katolikom porozumiewać się z Rzymem. Legatom papieskim wstęp do Prus był wzbroniony. Za Fryde-

ryka Wilhelma III przy obrabowaniu Kościoła przez t. zw. sekularyzacyę głównie Prusy się obłowiły majątkiem kościelnym, tembardziej, że już wielki elektor i Fryderyk II projektowali tę sekularyzacyę, której się tylko Austrya oparła. Dopiero przy pomocy rewolucyjnej Francyi udało się Prusom zaborcze swe dążenia urzeczywistnić. Przecież uzyskały 230 mil kwadratowych obszaru z pół milionem mieszkańców i 4-ma milionami talarów rocznego dochodu. Kościół stracił wtedy 1295 mil kwadratowych ziemi z 2 i ćwierć milionami mieszkańców i 13 blizko milionami guldenów rocznego dochodu. W ziemiach kościelnych natychmiast rząd pruski zniósł wszystkie klasztory tak samo, jak w dawnych ziemiach polskich r. 1803, przyczem nieocenione skarby sztuki padły ofiarą wandalizmu biurokracyi pruskiej. R. 1810 wyszedł edykt konfiskaty wszystkich dóbr kościelnych w Prusiech ze względów, że cele duchownych instytucyi nie zgadzają się z potrzebami czasu. Wartość dóbr kościelnych, zabranych na samym Śląsku, oszacowano na kwotę 12 milionów talarów, z rocznym dochodem 400.000 tal. Rząd zabrał wszystkie dochody z katolickich fundacyi, obarczając duchowieństwo do wszelkich obowiązków, z tych fundacyi płynących. Same budynki kościelne skonfiskowane w tym czasie oszacowano na blizko milion talarów. Dochody z dóbr klasztornych szły na utrzymanie instytucyi protestanckich, 160 katolickich kościołów na Śląsku oddano protestantom wtedy, a 123 probostw zabrano katolikom. „Mało przewrotów w naszej historyi było tak brzydkich, podłych i nizkich, jak rewolucya książąt z r. 1803, ani iskierka szlachetnej namiętności nie usprawiedliwiała niesłychanego gwałtu prawnego", tak mówi o sekularyzacyi nawet pruski historyk Treitschke, *Deutsche Gesch. l. 186*.

Biskupi ówcześni to przeważnie kreatury rządowe, późniejszy arcybiskup poznański Malczewski jeszcze jako proboszcz katedralny gnieźnieński oświadczył rządowi, że kanonicy gnieźnieńscy tylko 100 dni w roku potrzebują wykonywać swe obowiązki w katedrze, aby za to uszczuploną otrzymać remuneracyę i że nie potrzeba w tej sprawie szukać dyspenzy w Rzymie. Biskupi, jak Krasicki, żebrali u rządu o lepsze beneficya,

kler był przeważnie zarażony indyferentyzmem, a stosunki z Rzymem były zerwane.

W czasach restauracyi i reakcyi po r. 1815 nietylko katoliccy pisarze, jak Görres, ale i protestanci, Kant i Humboldt, domagają się wolności religijnej i kwestyonują prawo państwa mieszania się do spraw religijnych. Mimo to filozofia Hegla, proklamująca omnipotencye państwa, staje się szkołą dla biurokracyi pruskiej. Nawet protestanci zwią politykę kościelną Fryderyka III bizantyńską, cóż dopiero mówić o katolikach, którzy od razu zostali zdegradowani na poddanych drugorzędnych, bez dostępu do urzędów i przywilei. Sprotestantyzowanie krajów zabranych było najsilniejszem życzeniem rządu pruskiego. Około r. 1818 przeważna część biskupstw była nieobsadzona, dopiero za sprawą historyka Niebuhra, jako pełnomocnika pruskiego w Rzymie, przyszło do porozumienia z kuryą i na podstawie bulli „*De salute animarum*“ z r. 1821 przyszło do ustanowienia dzisiejszych dyecezyi w państwie pruskiem. Tylko przy zachodnich biskupstwach kapituła miała prawo wyboru, w polskich dyecezyach wybiera biskupów król, powołując się na prawa królów polskich. Na wyposażenie biskupstw miała służyć renta z zabranych dóbr kościelnych. Rząd jednak dawał zaledwie ochłapy z tej renty, a na utrzymanie kapituły wrocławskiej nałożył opłaty ściągane przez duchownych przy pogrzebach i ślubach. W myśl *breve* papieskiego „*Quod de fidelium*“ miały mieć prawo wyboru biskupa kapituły z zastrzeżeniem, że nie mają wybierać kandydatów niemiłych rządowi; mimo to rząd zachował dalej system pozornych wyborów na podstawie królewskiej nominacyi. W Poznaniu książę Antoni Radziwiłł miał zlecenie wpływać na wybór kandydata rządowego. Kapituły zachowywały się z reguły po lokajsku, a Stolica apostolska *ex post* musiała się na wybór godzić. Mimo że same tylko kreatury rządowe dostawały się na stolice biskupie, rząd im nie ufał; najważniejsze sprawy, ściśle kościelne rozstrzygali nie biskupi, lecz protestanccy ministrowie; korespondencya z Rzymem szła przez ręce tych ministrów. Katolicy w Szczecinie i Wschodnich Prusiech zmuszeni byli chrzcić

dzieci swe i brać śluby u protestanckich pastorów aż do r. 1854. „Mamy Irlandyę w Prusiech i jak tam, tak i tutaj sprytnie obmyślany system nawracania na protestantyzm", tak pisze w jednym z listów gorliwy biskup warmiński Józef Hohenzollern. Wedle rozkazu królewskiego z 5 września 1798 miały być kościoły wspólne protestantów z katolikami, aby uwolnić ubogie gminy od utrzymywania dwóch kościołów. Katoliccy żołnierze musieli raz na miesiąc brać udział w protestanckiem nabożeństwie, aby przyzwyczajać się do szanowania panującej w kraju religii. W czasach reakcyi i romantyzmu spora ilość wybitnych protestantów przeszła na katolicyzm; to nawracanie było nie na rękę rządowi, poddawano śledztwu księży, podejrzanych o propagandę katolicką, a wkońcu rząd usiłował straty protestantyzmu powetować przez rozporządzenie, dotyczące mieszanych małżeństw. Wedle rozporządzenia z 21 listopada 1794 dzieci mieszanych małżeństw miały być wychowane w religii ojca, a to dlatego, że wyłącznie prawie protestanccy urzędnicy w katolickich prowincyach brali żony katoliczki. W ten sposób mieszane małżeństwa miały służyć do protestantyzowania okolic katolickich.

Duchowieństwo katolickie z nad Renu nie chciało się zgodzić na mieszane małżeństwa bez zagwarantowania katolickiego wychowania dzieci. Godził się na to niestety pod presyą kler śląski i wielkopolsko-pruski. Wysłano apelacyę do Rzymu w tej sprawie, rząd w podstępny sposób na korzyść swą nie dość jasne *breve* papieskie przekręcił i wydał antykatolicką instrukcyę. Wykrycie podstępu skompromitowało rząd i było powodem dzielnego wystąpienia arcybiskupa kolońskiego Augusta Droste-Vischeringa a następnie naszego Dunina w r. 1839. przeciwko mieszanym małżeństwom. Przeciwko rządowi wtedy oświadczył się cały episkopat z wyjątkiem biskupa wrocławskiego, który suspendowany przez papieża przechodzi na protestantyzm. Fryderyk Wilhelm III przyznał się Metternichowi, że krok w sprawie małżeństw mieszanych był fałszywy, gdyż dzięki prześladowaniu katolicyzm takie poczynił postępy, jak nigdy przedtem. Rząd pruski był zmuszony w tej walce kapi-

tulować, zwłaszcza gdy wstąpił na tron marzycielski Fryderyk Wilhelm IV. Arcybiskupa Dunina przywrócono do dawnej godności. O powrocie arcybiskupa Droste-Vischeringa, głównego zapaśnika w walce o wolność Kościoła, nie chciał rząd słyszeć. Przywrócono go tylko nominalnie, a administracyę poruczono znakomitemu koadjutorowi Geisselowi. Mimo to zasługą wiekopomną Droste-Vischeringa było, że gwałt policyjny usunął ze świątyni Bożej i przywrócił nareszcie poczucie godności kleru katolickiego. Przecież w r. 1817 katoliccy duchowni w Prusiech brali udział w trzechsetletnim jubileuszu protestanckiej reformacyi, a biskup chełmiński Sedlag w r. 1834 przy wizytacyi zachodnio-pruskiego miasteczka Strassburga nie tylko tytułował protestanckiego pastora tamże słowy „*Herr Bruder*", ale co więcej w szatach pontyfikalnych z mitrą i pastorałem w ręku, otoczony duchowieństwem katolickiem złożył wizytę protestanckiemu kościołowi, a żegnał się z pastorem słowy: „Niech Bóg błogosławi pańskiej działalności". Dopiero pod wpływem tej pierwszej walki o wolność Kościoła z r. 1839 zaczął się budzić duch katolicki, oparty o przywiązanie mas do Kościoła, wśród szlachty i inteligencyi katolickiej. Rząd Fryderyka Wilhelma IV utworzył w ministeryum sekcyę dla spraw katolickich z katolikiem na czele; król zrzekał się prawa nominacyi biskupów, a godził się na wybór biskupa zapomocą list, przedkładanych rządowi. Zgodzono się również na bezpośrednie stosunki episkopatu z Rzymem, a zrzekał się swego *placet* na ściśle kościelne okólniki biskupów. Były to pierwsze naprawdę liberalne akty tolerancyi w państwie pruskiem i dlatego stały się od początku solą w oku nietylko ciasnej biurokracyi pruskiej, ale jednostronnej historyografii pruskiej. Taki historyk Treitschke twierdzi wobec tego aktu sprawiedliwości z cynizmem, że rząd w swojej naiwności pozbawił się swego zwierzchnictwa nad Kościołem na rzecz kuryi. (*Deutsche Geschichte* V. 298). A jednak na tę autonomię kościelną, zastrzeżoną w konstytucyi z r. 1849 w Prusiech zgodził się król tylko pod ogólnem zastrzeżeniem, że „każde stowarzyszenie religijne zarządza swemi sprawami samodzielnie i pozostaje w posia-

daniu swoich fundacyi zakładów i funduszów". Mimo to słusznie nazywano t. z. oktrojowaną konstytucyę „*magna charta* wolności kościelnej". Dzięki jej przychodzi do rozkwitu instytucyi katolickich i ożywienia ducha katolickiego. Przeciwko tym wolnościom rychło podnosi protest kameryla dworska. Hasłem jej staje się germanizacya Polaków i protestancya Rzymian, t. j. katolików. Już między 1850 r. a 1860 liberali i zagorzali protestanci powstają przeciwko ultramontanizmowi, a rząd myśli o cofnięciu tej autonomii. Z tego powodu w r. 1852 przychodzi za sprawą dzielnego arcybiskupa kolońskiego Geissela zjednoczenie katolickich posłów pod wodzą braci Reichenspergerów i Mallinckrodta. W sejmie pruskim rząd znajduje w swych antykatolickich zapędach większość i tylko król Fryderyk Wilhelm IV powstrzymuje te zapędy, nie chcąc krzywdzić katolickich poddanych. Znając zaś usposobienie swego następcy i brata Wilhelma I usiłował takie stworzyć warunki dla wolności Kościoła, by na nie następca jego nie mógł się targnąć bez narażenia się na zarzut „rewolucyonisty lub tyrana". „Nie chcę", oświadczył, „by po mojej śmierci Wilhelm Kościołem rządził jako feldmarszałek". Znał szlachetny Fryderyk Wilhelm IV swego brata doskonale. Wilhelm, jako zagorzały protestant, zostający pod wpływem nadwornych kaznodziejów, był niechętnym katolicyzmowi zawsze i wedle zeznań samego Bismarcka swoje protestanckie sympatye lubiał okazywać z szorstkością. Wilhelm I jednak zbyt był religijny osobiście, a politycznie ograniczony, aby walkę z Kościołem prowadzić z całym z góry wszechstronnie obmyślanym planem, systematycznie i bezwzględnie przez szereg długich lat. Do takiej walki dał inicyatywę dopiero jego genialny kanclerz Bismarck, człowiek bez zasad religijnych, wróg katolicyzmu, nie uznający żadnych idealnych lub moralnych motywów w życiu społecznem. Nie cierpiał on katolików także i ze względów politycznych, o ile nadreńscy zwłaszcza i południowi katolicy byli zawsze za połączeniem się z Austryą w t. z. Wielkie Niemcy, a przeciwni hegemonii Prus. Z rozmysłu podaliśmy za autorem historyę tolerancyi pruskich władców względem Kościoła nieco obszer-

niej, aby wykazać, że nietolerancya i gniecenie mniejszości wyznaniowej czy politycznej, czy narodowej należała do stałych zasad polityki pruskiej i że tylko na takiem tle mógł się odegrać zamach nietylko na wolność, ale wogóle byt Kościoła katolickiego w Niemczech. Trudno na tem miejscu podawać choćby szkic tej walki, niesłychanie ważnej i interesującej. Autor z niemiecką iście ścisłością, drobiazgowością, ale i przedmiotowością kreśli przyczyny, tło i przebieg tej tytanicznej walki o egzystencyę Kościoła. Widzimy, jak krwią i żelazem rosnąca potęga pruska rozdmuchuje za sprawą Bismarcka protestancki fanatyzm, a zwłaszcza nacyonalizm liberalny przeciwko wolności Kościoła, pod hasłem walki przeciwko ogłupiającemu fanatycznemu i rozdwajającemu klerykalizmowi. Wszak wtedy głosił pruski historyk Sybel w swej *„Historische Zeitschrift"*, że katolicki historyk nie może być naukowym, a inny nie mniej pruski w swych zapatrywaniach uczony Treitschke postawił twierdzenie, że przeciwieństwa pomiędzy katolicyzmem a protestantyzmem są jakby antyteza między niewolą a wolnością duchową. Widzimy, jak przeciwieństwa się zaostrzają wskutek zaboru państwa kościelnego przez Piemontczyków. Centrum katolickie w sejmie protestuje przeciw temu gwałtowi. Nawet Wilhelm I i jego otoczenie mają pewne skrupuły co do legalności tej grabieży, dokonanej na Stolicy apostolskiej. W r. 1867 oświadczył się nawet rząd pruski za niezawisłością głowy Kościoła dla zamydlenia oczu katolikom. Potajemnie atoli Bismarck porozumiewał się z Garibaldim celem zniszczenia władzy papieskiej nietylko świeckiej, ale i duchownej. Garibaldi wprawdzie zdradził zaufanie Bismarcka, łącząc się z Francuzami w r. 1871; przebiegły minister pruski nawiązał atoli stosunki z wolnomularzami z Crispim na czele i dawał im nawet zasiłki na poparcie zaboru Rzymu. A kiedy tego zaboru dokonano, sam Wilhelm I uznał go za akt gwałtu, zgoła nie wiedząc, że w tym gwałcie palce maczał jego kanclerz. Współcześnie z zaborem Rzymu odbył się sobór watykański i ogłoszenie dogmatu o nieomylności papieskiej. Wybucha kampania uczonych przeciwko dogmatowi z katolickim profesorem teologii

Dr. Döllingerem na czele, który głosi, że wobec tej uchwały, będącej sprawką Jezuitów „Bóg może położy się do snu, albowiem zamiast niego rządy objął zawsze czujny i nieomylny namiestnik na ziemi, jako władca świata, jako dawca łask i kar". Potrzebę publikacyi dogmatu kwestyonowali nawet najgorliwsi posłowie katoliccy w Niemczech, jak Windthorst i Reichensperger. Sam episkopat niemiecki uważał ogłoszenie dogmatu za niewczesne; 53 biskupów opuściło sobór, by nie głosować przeciwko nieomylności. Z chwilą jednak ogłoszenia uznali dogmat bez zastrzeżeń ku oburzeniu przeciwników. Przychodzi do wytworzenia się sekty starokatolickiej, założonej przez zbuntowanych teologów i uczonych katolickich. Nikt tak nie obczernił Kościoła i katolików, jak właśnie starokatolicy, zdaniem naszego autora; usiłują przekonać rządy, że oni są właściwymi katolikami, a rzymsko-katolicy, uznający nieomylność papieską, są nową sektą niebezpieczną dla państwa. Katolicyzm jest, zdaniem tych uczonych sekciarzy i liberalnych jurystów, czynnikiem destruktywnym. Aby się obronić przed nim, domagają się zniesienia obowiązku chrztu, dalej ślubów cywilnych, cmentarzy bezwyznaniowych, nadzoru państwa nad fundacyami dobroczynnemi Kościoła, wypędzenia Jezuitów, odebrania Kościołowi nadzoru nad szkołą, nominacyi biskupów i księży przez rząd, wychowania kleru pod kontrolą rządową, ustanowienia osobnego trybunału dla sądzenia księży, nadużywających swego urzędu, zredukowania władzy papieskiej do minimum. W ten sposób uczeni juryści liberalni i starokatoliccy teologowie stali się sztabem generalnym do walki kulturnej. Jako sprzymierzeńcy stawili się protestanci, a zwłaszcza żydowsko-liberalne sfery. Wobec ogólnej nagonki protestancko-liberalnej, w której niepoślednią rolę obok związku protestanckiego odgrywają nadworni kaznodzieje Wilhelma I, przychodzi za sprawą głównie nieocenionego biskupa mogunckiego Kettelera i posła Savignyego do skutku związek posłów katolicko-konserwatywnych pod nazwą *centrum*. Związek ten nie miał celów wyłącznie katolickich i obronnych, lecz miał pozytywną działalność na oku we wszystkich dziedzinach życia na pod-

stawie zasad słuszności. Później nawet nieuprzedzeni protestanci w rodzaju filozofa Paulsena przyznali, że związek *Centrum* w politycznem życiu Niemiec stał się pierwiastkiem równowagi między zakusami absolutyzmu a radykalizmu demokratycznego. Do *Centrum* należeli zrazu, jak wiadomo, niektórzy protestanci konserwatywni, jak były minister Gerlach, hr. Brühl.

Kierowników tego związku, jak braci Reichenspergerów, Mallinckrodta, a przedewszystkiem Windthorsta opluć, oczernić, najniższe pobudki działania im podsuwać stało się od pierwszej chwili głównem zadaniem Bismarcka i liberałów. Zrazu jednak Bismarck zwłaszcza w czasie wojny francuskiej zachował się z pewną rezerwą wobec ruchu katolickiego. Dopiero po wojnie, gdy wybory dały mu większość liberalną, nieomieszkał jej poświęcić Kościoła na razie w sprawach klasztorów i szkół. Katolicy niemieccy zdaniem naszego autora nad wytworzeniem cesarstwa niemieckiego pracowali z równem poświęceniem, co protestanci. Pius IX gratulował nowej godności cesarskiej Wilhelmowi I, wyrażając nadzieję, że zjednoczenie Niemiec nietylko Niemcom, ale całej Europie wyjdzie na korzyść. Odpowiedzią na to było uznanie zaboru państwa kościelnego przez Sabaudyę i brutalna odpowiedź dla katolików, domagających się zabezpieczenia wolności kościelnej w ustawodastwie Rzeszy, że nie trzeba dawać Kościołowi niebezpiecznych praw, które jemu samemu mogą wyjść na szkodę.

Niesłychanie interesująco przedstawia autor wypowiedzenie walki przez Bismarcka Kościołowi, przyczem odsłania w całej nagości cynizm, bezwzględność i machinacye zamiłowanego w intrygach polityka pruskiego. Chce on z początku wbić klin między centrum a kuryę, aby po kolei jedno i drugie zdusić. Rozpowszechnia więc wieść, że kurya potępia politykę Windthorsta na podstawie przekręconych słów kardynała Antonellego. Gdy na interpelacyę biskupa Kettelera papieski sekretarz stanu wyjaśnił sprawę, a kłamstwo Bismarcka wyszło na jaw i plan jego wygrywania kuryi przeciwko centrum, a centrum przeciw kuryi się nie udał, wtedy z właściwą sobie gwałtownością i mściwością żelazny kanclerz głośno po gazetach zapowiedział swój

akces do liberałów i przyjęcie ich programu antykościelnego, cynicznie twierdząc przytem, że atak wyszedł ze strony Kościoła przeciwko państwu. Walka rozpoczęła się od zniesienia oddziału katolickiego dla spraw katolickich w ministeryum pruskiem. Chodziło Bismarckowi o to, aby usunąć świadków katolickich od aktów i dokumentów urzędowych. Aby walkę upozorować, prasa przekupiona przez Bismarcka głosiła o ultramontańsko-francusko-austryacko-polskiem sprzysiężeniu. Protest polskich posłów przeciwko wcieleniu polskich dzielnic do Niemiec wyzyskał zręcznie Bismarck do walki kulturnej, twierdząc, że kurya posługuje się wrogimi Niemcom — Polakami. Bo wytworzył legendę, jak to wykazał pruski historyk Sybel, jakoby Jezuici za pomocą cesarzowej francuskiej Eugenii sprowokowali wojnę francuską, by za pomocą Austryi zniszczyć kacerskie państwo niemieckie. Mimo że Austrya po zerwaniu konkordatu znajduje się w najgorszych stosunkach z kuryą, Bismarck każe fabrykować swoim ajentom korespondencyę o kokietowaniu przez Austryę Polaków z powodu nominacyi Ziemiałkowskiego wówczas na ministra. Wyzyskał także adres biskupów polskich do prymasa Ledóchowskiego, mowy podczas otwarcia Akademii Umiejętności w Krakowie. Rozporządzając funduszem welfickim kilkudziesięciomilionowym, miał B. na żołdzie prasę liberalną nietylko w Niemczech, która kierowała opinią publiczną wedle wskazówek z Berlina. B. udawał, że lęka się sojuszu katolicko-austryacko-włosko-francuskiego, którego aliantami buntowniczymi mieli być niemieccy katolicy. Policya berlińska ośmiesza się ujęciem jakiegoś młodzieńca polskiego, posądzonego o planowanie zamachu na B., ponieważ znaleziono w jego domu stary pistolet. Na tej podstawie jednak robi się rewizyę w mieszkaniu kanonika Koźmiana w Poznaniu, aby znaleść kompromitujące papiery. Nie znaleziono nic, nie udało się chytremu kanclerzowi niebezpieczeństwa polskiego wyzyskać jako środka do walki z Kościołem. Do tej walki naglili głównie zagrożeni w Bawaryi liberali. Mianowicie bawarski minister oświaty Lutz zapomocą paragrafu kagańcowego chce przeciwdziałać agitacyi kleru w Bawaryi i za sprawą B. przeprowadził taki

paragraf dla całej Rzeszy, przez co wstąpiono na drogę praw wyjątkowych. Uchwalono najpierw prawo przeciwko Jezuitom, których wygnano z Niemiec w liczbie 220 z polskimi Jezuitami ze Śremu na czele. Za Jezuitami poszli Misyonarze, Redemptoryści, nasze Sercanki pod Poznaniem na Wildze. B. usiłował i rząd austryacki przeciwko Jezuitom podburzyć, miał przecież na usługach prasę liberalną w Wiedniu; rząd austryacki jednak ostentacyjnie ujął się za Jezuitami. Teraz zamykają się zakłady i seminarya katolickie. Szczególnie szkolnictwo w polskich dzielnicach zajmuje uwagę sfer rządowych liberalnych. Nadzór księży polskich nad szkołą sprowadził zdaniem B. spotęgowanie narodowego uczucia polskiego i stał się niebezpiecznym dla państwa. By wymieść kwas katolicki z pruskiej szkoły, mianuje się osławionego liberała Falka ministrem oświaty ku oburzeniu nawet konserwatystów pruskich, którzy w całej tej walce kulturnej odgrywają niesłychanie smutną i lokajską rolę. Tylko niewielu z nich miało odwagę oponować wszechwładnemu kanclerzowi, wobec którego sam Wilhelm I czuł się bezsilny. B. usiłował usunąć wszelki wpływ na szkołę duchowieństwa zarówno katolickiego jak i protestanckiego wbrew woli króla. Nie chciał się więc zbytnio eksponować i dlatego wysunął liberała Falka, który nietylko przeprowadził zamiary kanclerza na polu szkolnem, ale miał być twórcą osławionych praw majowych z r. 1873, znoszących wolność Kościoła w Prusiech. B. później, gdy widział zgubne skutki ustawodawstwa majowego, usiłował zrzucić odpowiedzialność za nie na Falka, twierdząc, że je podpisał bez czytania. Całkiem słusznie wobec tego oświadcza nadworny kaznodzieja królewski, że „B. proszek zapisał, a Falk skręcił pigułki". W ustawodastwie majowem chodziło o oddanie kleru pod wyłączny wpływ rządu, przez wychowanie go w duchu rzadowym, przez nadawanie prebend przez rząd, przez wyzwolenie kleru niższego z pod wpływu biskupów, chodziło o zniszczenie karności kościelnej, o usunięcie władzy papieskiej w Prusiech. Rząd mniemał, że grzywną i więzieniem zmusi kler wyższy i niższy do uległości. Episkopat niemiecki, zgromadzony we Fuldzie ogłosił wiernym, że będzie walczyć o zasady chrześcijań-

skie z rządem, albowiem nie może uznać ustawodastwa państwowego za jedyne źródło prawa. Najbardziej piekącą kwestyą była sprawa obsadzenia posad przez biskupów bez zawiadomienia rządu o tem, posypały się ciężkie grzywny na biskupów, jak i na księży; papież protestuje przeciwko gwałtowi, kończąc swój protest ewangelicznemi słowy, że „bramy piekielne nie przemogą Kościoła". Wspierają rząd starokatolicy, chwieje się szereg katolickich dygnitarzy na Śląsku, popierają rząd we walce loże wolnomularskie, choć nie w tej mierze, jak to przypuszczali katolicy, przeceniając wpływ i potęgę loży. Walka kulturna była walką dwóch światopoglądów zdaniem autora, liberalnego neopogańskiego, proklamującego państwo za źródło wszelkiego prawa, i chrześcijańskiego, powołującego się na powagę boskiego objawienia. Katolików chciano zmusić do uległości wobec nowego bóstwa, państwa, lub do emigracyi z Niemiec. W tych czasach Büchner i Häckel stali się przywódcami bezreligijności, a cała religijna heca polegała, jak słusznie podniósł Mommsen, nie na szczerości wiary, lecz na nienawiści do wiary. Rozszalała cała powódź pamfletów, broszur, pism przeciwko Kościołowi i religii. Prasa liberalna ogłaszała tak brutalne artykuły, że Windthorst nawet urzędową *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* musiał nazwać „wozem od gnoju". Tytuły artykułów i broszur, jak „*Klesze rządy*" „*Szkandale mnisze*" „*Oszustwa mnichów i mniszek*", „*Podstępy jezuickie*", z których dziś jeszcze czerpią wiedzę nasi „towarzysze", aż nadto charakteryzują tę literaturę. Wtedy to zorganizowali się dopiero energicznie do obrony katolicy z berlińską *Germanią* pod redakcyą Pawła Majunke na czele, wtedy to biskup Ketteler powiedział głośno słowa, że gdyby św. Paweł żył w czasach walki kulturnej byłby z pewnością wydawał gazetę. Redaktorzy katoliccy płacą grzywny po grzywnie, odsiadują lata całe więzienia, Majunke siedział przeszło rok cały. Redaktorzy ciętego pisma katolickiego *Westfälischer Merkur* mieli odsiedzieć razem 72 miesięcy więzienia. Mimo to prasa katolicka zdobyła sobie właśnie swoją ciętością i bezinteresownością ogólne poszanowanie, nie dała się kupić ani rządowi ani magnatom, poparcie zyskała ta prasa

głównie dzięki bezinteresownej pracy księży. B. do 1 listopada 1894 r. skarżył redaktorów katolickich 784 razy i uzyskał zasądzenie w 610 wypadkach.

Do najlepszych i najbardziej pouczających dla nas ustępów należy ustęp o mogunckim związku niemieckich katolików i jego pierwszych losach. Bismarck odnosił tam sukcesy polityczne, gdzie poznał osobiście czynniki, przeciwko którym działał, a więc dyplomacyę austryacką we Frankfurcie, Napoleona III w Paryżu i w Biarritz, Rosyę w Petersburgu, nie znał atoli mieszczaństwa, ani robotnika, ani katolików i dlatego rozpoczął z nimi walkę. Liczył, że biskupi niemieccy, oponujący przeciwko dogmatowi nieomylności na soborze, dadzą się porwać przeciwko Rzymowi, liczył, że podburzy kler przeciwko biskupom, a świeckich przeciwko klerowi. Plan przeciw katolicyzmowi był misternie ułożony, nie liczył się z jednym faktem atoli — to jest sumieniem katolickiem. Katolicy wobec ataków liberalizmu zgromadzeni z całych Niemiec na wiecu katolickim w Moguncyi w dniu 21 maja 1872 pod przewodnictwem dymisyonowanego landrata Loe utworzyli ogólny związek katolicki celem obrony praw i wolności Kościoła, który w Nadrenii i Westfalii już w r. 1872 liczył 70.000 członków. W Bawaryi, na Śląsku i w innych prowincyach katolickich nie bardzo garnięto się do związku, dopiero zachęta papieska usunęła wątpliwości i skrupuły. Rząd pruski prześladował związek wszelkimi sposobami: karano grzywnami członków zarządu, zakazano należeć do niego urzędnikom, burmistrzom i sołtysom pociągano do odpowiedzialności burmistrzów, nauczycieli i księży za należenie do niego. W r. 1873 w 63 wypadkach rozwiązano zgromadzenia związku bez podania powodu. Organa rządowe dopuszczały się niesłychanych nadużyć, a wszelkie interpelacye w parlamencie zbywano drwinami, Bismarck w pierwszych latach walki kulturnej twierdził, że chyba nie z wyznaniowych względów rozpoczął walkę, ani nawet dla pozyskania liberałów, głównie chodziło mu o zniszczenie potęgi nieomylnego papiestwa w Rzymie. Rachuby jego atoli rozbiły się o partykularyzm niemiecki. Liczył, że tak, jak we Francyi powstał gali-

kanizm, tak on w Niemczech stworzy Kościół narodowy. Z politycznego antagonizmu ku papiestwu powstała u niego osobista nienawiść do Piusa IX. Nie miał dość słów i obelg na papieża wobec Andrassyego, ministra austryackiego, chcąc Austro-Węgry wciągnąć do walki kulturnej. Gdy Pius IX napisał list prywatny do Wilhelma I, w którym przestrzega króla przed prawami majowemi, podkopującemi tron, Bismarck ten list prywatny kazał wydrukować wraz z obelżywymi komentarzami celem podjudzenia opinii protestanckiej. Bismarck nie cofnął się przed opublikowaniem podrobionej bulli papieskiej. „*Praesente cadavere*". Katolickie pisma rychło wykazały, że bulla ta podrobioną była na podstawie autentycznej bulli, ale Piusa VII. w r. 1798. Nawet w Anglii stara się mściwy kanclerz pobudzić opinię protestancką przeciw papieżowi, popierając tam antykatolickie *metingi*. Gdy szereg biskupów we Francyi i we Włoszech protestuje przeciwko Kulturkampfowi w Niemczech, Bismarck wszczyna dyplomatyczną interwencyę celem poskromienia ultramontanizmu we Francyi, Włoszech, Belgii i Austryi. Nic jednakowoż nie wskórał. Hr. Andrassy, jak i cesarz Franciszej Józef I. oświadczyli, że nie mieszają się do wewnętrznych spraw Prus, ale chcą być panami u siebie i nie widzą niebezpieczeństwa, grożącego z Watykanu. Bismarckowi chodziło, by opór duchowieństwa i katolików zgnieść pod każdym warunkiem. Ponieważ prawa majowe z r. 1873 nie złamały biernego oporu katolików, przeto w r. 1874 kuje kanclerz wraz z liberałami nowe obostrzenia, aby celu swego dopiąć. Odmówiono prawa pobytu w Niemczech nieposłusznym duchownym; z równem prawem można było uchwalić banicyę dla 14,000.000 katolików. Punktem kulminacyjnym walki było obostrzenie ustaw majowych, odnoszących się do przygotowania i ustanawiania duchownych, oraz do zarządu opróżnionych biskupstw. Daremnie mowcy centrowi przestrzegali, że biskupi nigdy nie mogą się zgodzić, by Kościół był bez prawa wobec wszechwładzy państwa, że byłoby to dla niego samobójstwem — dla większości przyczyną drakońskich praw było uznanie przez duchowieństwo dogmatu o nieomylności i powstanie stronnictwa Centrum. Po

obostrzeniu ustaw nastąpiło ich wykonanie na biskupach rewolucyonistach, jak ich zwał otwarcie Bismarck. Całkiem słusznie wobec tego zarzutu cisnął z trybuny parlamentarnej Schorlemer Alst, jeden z posłów centrowych: „Jeżeli biskupi są rewolucyonistami, co sądzić należy o Bismarcku, który w r. 1866 przygotował obalenie niemieckiej ustawy związkowej, który z Garibaldim utrzymywał ścisłe stosunki, przez Klapkę organizował powstanie na Węgrzech i Dalmacyi przeciwko Austryi, a węgierskie i kroackie regimenty nakłaniał do łamania przysięgi, który r. 1866 gotów był odstąpić prawy brzeg Renu Francyi, byleby zdusić Austryę?" Wszystkie te zarzuty były prawdziwe, wszystkim jednak zaprzeczył bezczelnie Bismarck. Egzekucye na biskupach rozpoczęto od arcybiskupa Ledóchowskiego. Za obsadzenie 75 stanowisk kościelnych skazano go na 29.700 talarów grzywny względnie na 2 lata więzienia. W nocy z 3 lutego 1874 wywieziono go do więzienia w Ostrowie. Liberali tryumfowali, licząc na militarną potęgę. Episkopat z całych Niemiec zastrzegł się przeciw nazwie rewolucyonistów. Za arcybiskupem Ledóchowskim jeden biskup po drugim szedł do więzienia, lub płacił wysokie grzywny. Na zjeździe we Fuldzie uchwaliło 8 nieuwięzionych biskupów wytrwać w oporze przeciwko wrogiemu ustawodastwu, a podwładnemu duchowieństwu zlecili ustępować tylko pod przymusem. Zakazali apelować do rządowego trybunału kościelnego, zakazali duchownym pod groźbą ekskomuniki przyjmować stanowiska na podstawie wyborów komitetów kościelnych, zakazali utrzymywać stosunku z komisarzami rządowymi dla opróżnionych biskupstw. Prasa liberalna głosiła, że we Fuldzie zapadły uchwały przychylne dla rządu, że wnet przyjdzie do pokoju na podstawie uchwał majowych. Katolicy jednak wierzyli w zwycięstwo słusznej sprawy, a wiarę tę podzielał zaciekły wróg Kościoła Ernest Renan.

Ogłosił w r. 1874 w *Revue de Deux Mondes*, że Bismarck popełnił dwa błędy. 1) że budował nadzieje na starokatolicyzmie, będącym Kościołem profesorów bez wiary, 2) że nie docenił wiary katolików. Natura jego nie dała mu zrozumieć, jak hierarchiczną, bezwzględną i nadnaturalną jest

wiara synów Kościoła. Nie obliczył dostatecznie bohaterstwa, na które w prześladowaniu ludzie się zdobywają, którzy zresztą pod wieloma względami okazują się słabymi". Bohaterstwo katolickiego ludu i duchowieństwa za przykładem swoich biskupów w dalszym ciągu walki kulturnej ma być treścią trzeciego tomu.

Zdając sprawę z dzieła 3 tomowego Dra Kisslinga piszący uważał za obowiązek podzielić się z czytelnikami wynikami jego badań nad stosunkiem potęgi pruskiej do Kościoła katolickiego w ciągu dziejów. Uważał za obowiązek tem bardziej w tej chwili, kiedy w naszym świecie naukowym szereg badaczy utalentowanych usiłuje na wszelki sposób wykazać nietolerancyę polską w ubiegłych wiekach. Jak wyglądała zachwalana przez historyografię liberalną w Niemczech tolerancya pruska, to Dr. Kissling aż nadto wymownie wykazał. Wobec tej systematycznej poniewierki uczuć i interesów katolickich przez trzy przeszło wieki ze strony władców i rządów pruskich po ostatnie czasy, jakże niewinną wydać się musi nasza nietolerancya polska. Ten systematyczny ucisk katolików w państwie pruskiem przez kilka wieków tłumaczy nam dopiero ten zmysł organizacyjny, jaki cechuje katolików w państwie pruskiem i wogóle w Niemczech. On nam tłumaczy tę odporność na wpływy protestanckie, ten hart ducha niezwykły, energię, sprężystość w chwilach najkrytyczniejszych w społeczeństwie katolickiem. Chwile te przedstawia nam autor z niemiecką iście dokładnością; miejscami, kiedy daje nam obraz debat nad ustawodastwem majowem wedle zapisków stenograficznych nuży nawet swą rozwlekłością. Ogółem jednak biorąc dzieło, czyta się z wielkiem zajęciem zwłaszcza, gdzie przedstawia bohaterską obronę C e n t r u m katolickiego lub zaciekłe napaści świata liberalnego na Kościół. Nie zapomniał autor i o Polakach pod zaborem pruskim, wspomina ich dość często w toku swego opowiadania. Nie zna widocznie jednak języka polskiego, nie zna tak dokładnie stosunków w dawnych ziemiach polskich, jak stosunki w zachodnich prowincyach państwa pruskiego i to jest słabą stroną jego dzieła, luką, które wypełnić powinno polskie pióro. Nie-

stety dotąd nikt nie pokusił się u nas opisać naukowo zaciekłej walki kulturnej na ziemiach polskich, gdzie przecież wrzała z daleko większą zaciekłością niż na zachodzie i gdzie społeczeństwo nasze lud, zarówno jak kler i biskupi okazali tem większe bohaterstwo i odporność, im zacieklejszy był napór i ucisk rządu. Piszący, za młodu będąc świadkiem walki kulturnej we Wielkopolsce, pamięta, ile to poświęcenia okazał lud nasz czy w Książu, czy w Kościanie, jakie ciężkie koleje przechodzili liczni księża nasi, że wymienimy tylko biskupów Janiszewskiego, kanonika Kurowskiego, dziekana Rzeźniewskiego i t. d., i t. d. Dziś pamięć tych wypadków jeszcze żywa, jeszcze tradycya ich żyje w obecnem pokoleniu, ale ostatni czas, by te wspomnienia zebrać, ująć w jedną całość. Stanowią one obok martyrologii chełmskiej najchlubniejszą kartę w naszych porozbiorowych dziejach. Możeby czynniki kompetentne w Wielkopolsce zajęły się dziejami bohaterskiej walki z równą troskliwością, pieczołowitością i uwagą, z jaką ją niemieccy katolicy, a zwłaszcza nasz autor traktuje. Czy nie znajdzie się pióro utalentowane, aby naukowo opisać tę walkę o wolność Kościoła i byt narodu z groźnym żelaznym kanclerzem, twórcą, krwią i żelazem stworzonej pruskiej hegemonii w Niemczech i Europie?

Dr. K. Krotoski.

Królowie Kazimierz i Maciej Korwin.

(Dokończenie).

Rezultat taki był pożądany dla cesarza. Najprzód bowiem spychał z niego odpowiedzialność z powodu nieudania się wyprawy przeciwko Mahometowi II, powtóre pozostawił niebezpiecznego dlań a przez niego nienawidzonego Macieja w nieprzyjaźni z Kazimierzem i Władysławem Jagiellończykiem. Nawet obawy jego o rozjemstwo przez Burgundczyka, z którym właśnie w czasie konferencyi opawskich toczył układy, zostały prawie usunięte, natomiast pozostawał obowiązek ściślejszego porozumienia się z Kazimierzem i Władysławem, których posłowie doń spieszyli.

W Polsce znano i charakter cesarza Fryderyka i trudności, jakie przezwyciężyć należało, chcąc z chwiejącym się wejść w przymierze przeciwko Maciejowi. Wiedziano, że cesarz obawiał się papieża, a nie chciał narazić sobie Macieja i że najchętniej może widziałby jakiego Niemca na tronie czeskim, zgodnie z życzeniem reichstagu Norymberskiego. Może i przypuszczano, że z niechęci dla Władysława zarówno jak i dla Macieja doradzał nie czynić ustępstw legatowi Markowi, aby nie dopuścić do zgody przeciwników. W każdym razie jest to dowodem znawstwa sytuacyi politycznej w Rzeszy niemieckiej ze strony polskiej, skoro się dowiadujemy, że król nie udaje się wprost do cesarza, ale szuka poparcia u tych książąt, którzy podówczas stanowili najpotężniejszą podporę cesarskiej polityki w Niemczech. Byli tymi książętami elektor Brandenburski Albrecht tudzież

ks. Ludwik Bogacz Bawarski. Posłowie polscy Paweł Jasieński starosta Chełmski marszałek królestwa, tudzież kanonik krakowski Stanisław z Kurozwęk mieli za zadanie[1]) odnowienie przyjaźni z Brandenburczykiem i ustanowienie zjazdu niewątpliwie w sprawie porozumienia się co do starań o rękę córki królewskiej Zofii dla syna elektorskiego. Prawdopodobnie ciż posłowie mieli takież pełnomocnictwo do układów małżeńskich pomiędzy Jerzym, synem Ludwika Bawarskiego a Jadwigą, starszą córką królewską — gdyż w ciągu następnego roku układy małżeńskie z oboma dworami były zawarte.

Oczywiście książęta, a zwłaszcza Brandenburczyk, byli proszeni o popieranie spraw polskich u cesarza a mianowicie przymierza przeciwko Maciejowi i uznania Władysława jako króla czeskiego elektorem Rzeszy, Albrecht Brandenburczyk już o zjeździe opawskim przesyłał cesarzowi sprawozdania, jak posłowie polscy i cesarscy z honorem wyszli ze sprawy kompromisu w ręce Burgundczyka — i polecał popierać jak najgoręcej Polaków[2]). Obawiał się bowiem Albrecht wzrostu potęgi Macieja, sięgającego po Pragę, wolał mieć tam już niemal spokrewnionych z sobą Jagiellonów, postanawiając zresztą z emulacyi tych monarchów wschodnich korzystać w kierunku wzrostu swego domu.

Tymczasem posłów polskich i czeskich w podróży na sejm do Augsburga nieprzyjemna spotkała przygoda w Norymberdze. Zostali oni jako fautorowie kacerzy znieważeni, albowiem przed samym ich wyjazdem do miasta zaprzeczono im wstępu do kościoła. Posłowie wysłali natychmiast zażalenia, więc do magistratu miasta Norymbergi, do ks. Albrechta brandenburga, do cesarza. Ostatniemu nie podobało się to zniesławienie posłów[3]). Albrecht naciskał zaraz na cesarza, aby przesłał usprawiedliwienie posłom mającym jego glejty, których powadze w ten sposób ubli-

[1]) Pełnomocnictwo dla posłów z 27 września 1473 r. Polit. Cor. Margraf. Albr. I, N. 696; to samo bez wymienienia przedmiotu poselstwa z 14 września Fontes, 46, N. 199. Uwiad. o terminie ślubu z Brandenburczykiem, Dogiel I, p. 412.

[2]) Polit. Coresp. Margrf. Albrechts I, N. 719, poparcie u Wilhelma z Missnii. Ibid. N. 729.

[3]) Fontes rer. aust. 48, N. 213 220 cf. N. 217. Polit. Cor. M. Albrechts I, N. 740.

żono. Sprawę rozsławiono też po wszystkich stronach; zażądano opinii od Rudolfa biskupa wrocławskiego o cenzurach, wreszcie opinii Marka legata[1]).

Dzisiejsi historycy sądzą, że ta obraza posłów polskich a zarazem i Władysławowych była dowcipem dyplomaty Witelsbacha Marcina Maira[2]), by w ten sposób zmusić Albrechta do ujęcia się za posłami. W taki bowiem sposób Maciej poznał dokąd zmierzają plany Albrechta, który już teraz nie mógł się zaprzeć swej przyjaźni z Polską i Czechami[3]). Prawdopodobniejszą aniżeli ta interpretacya o emulacyi Brandenburczyka i Wittelsbachów jest ta, którą sam Albrecht podaje, że zniesławienie posłów mają na sumieniu sami Norymberżanie, chcący w ten sposób wyrazić, że stają po stronie króla Macieja[4]). Ostatecznie lubo cesarz polecił elektorowi brandenburskiemu czuwać nad tem, aby poselstwo nie doznawało nieprzyjemności lub niesławy, musiało ono długi czas wyczekiwać na sposobność audyencyi u cesarza. Wreszcie oświadczyli posłowie w początkach stycznia 1474 r. elektorowi, u którego w Kadolzburgu przez 20 tygodni korzystali z gościnności, że już dłużej nie chcą czekać, a w niecierpliwości wyrazili głębokie swe przekonanie o tem, „że ktoś ich wodzi za nos. Wobec czego radził elektor brandenburski cesarzowi spieszyć się z przybyciem do Augsburga[5]). Zdaje się, że dopiero na wieść o wojnie wybuchłej na Podgórzu karpackiem przez najazd Macieja na Polskę cesarz zgodził się na przyjęcie w Rottenburgu posłów i wysłuchanie ich przedłożeń; uczynił też przez episkopat zarządzenia co do uchylenia interdyktu, gdyż posłowie i polscy i czescy chcieli oczywiście i tutaj korzystać ze słuchania mszy świętej[6]), przeciwko czemu protestował legat Marek. W Norymberdze 13 marca podpisano przymierze Polski

---

[1]) Ob. Fontes 46, N. 219, 229.

[2]) Na podstawie listu Albrechta z 26 stycznia 1474 w Pol. Cor. I, N. 767.

[3]) Porebatsch wydawca Coresp. Albrechta w przedmowie.

[4]) Z królem Kazimierzem nie pozostawali Norymberdzanie w przyjaźni. Pol. Cor. Albr. I, p. 330 uwaga.

[5]) Fontes 46, N. 230 list Albrechta z 2 stycznia 1474 r. Polit. Coresp. Albrechts I. N. 749.

[6]) Polit. Coresp. M. Albr. I, N. 783 Por. Caro V, 1. 383.

z cesarzem przeciwko Maciejowi, i to w ten sposób, że przewidywano wybuch wojny już na św. Jana[1]). Ponieważ jednak na krótko przedtem 21 lutego zawarto w Sromowicach pomiędzy Polską a Węgrami trzechletni rozejm, przeto znaczenie norymberskiego przymierza znacznie zostało osłabione. Król Władysław zapewnił wprawdzie elektora brandenburskiego, że zawarcie tego pokoju z Węgrami nie przeszkodzi ojcu być wiernym umowom zawartym z cesarzem[2]), wprawdzie i posłowie polscy Jasieński i Stanisław z Kurozwęk dowiedziawszy się w Poznaniu — dokąd z powrotem z legacyi przybyli — o węgierskim rozejmie, napisali do elektora z pocieszeniem, że to się nie z innego powodu stało, jak tylko z powodu zwlekania audencyi, i że król nie wątpi, że nastąpi zjazd z radcami cesarskimi, na którym sprawy przez posłów poruszane będą traktowane[3]) — jednakże te upewnienia nie uspokoiły stroskanego elektora. On który cesarzowi za długo nad Renem bawiącemu przedstawiał niebezpieczeństwo, w które popadnie, skoro Polska, Czechy i Węgry zawrą pokój, do którego Maciej zmierzał, otrzymuje teraz także od cesarza wiadomość o węgiersko-polskim rozejmie. Co za szkody wyniknęły już stąd, pisał cesarz do elektora, radź przeto abyśmy nie popadli w klęski[4]). W czasie gdy groziła wojna z Burgundyą zależało Fryderykowi III wiele na tem, by Węgrzyn był zarówno od Czech jak i od Polski zaprzątnięty.

Właściwie mógł być cesarz zadowolony, że warunki przymierzem z 13 marca przewidywane nie zaszły i nie zmusiły go do akcyi zastrzeżonej w przymierzu. Nietylko, że nie był sam w możności wyruszyć przeciwko Maciejowi, lecz nawet wojska nie był w stanie wysłać[5]). Na zachęty Albrechta i jego przedstawienia, że Polacy wystąpią w 60 tysięcy, że przeto z armią 80 tysięczną będzie można wypędzić Macieja z Węgier, cesarz w Augsburgu 6 lipca potwierdził przymierze z Polską przeciwko Maciejowi, zgodne

---

[1]) Dogiel I, 164.
[2]) Polit. Coresp. Marg. Albrechts I, N. 805.
[3]) Ibid. N. 808.
[4]) Ibid. N. 822.
[5]) Polit. Coresp. Albr. I, N. 894 cf., 892.

z poprzedniem, z wykreśleniem terminu wyprawy wojennej[1]). Nie myślał i teraz Fryderyk o daniu pomocy, o ile że znajdował się w przededniu wojny z Karolem burgundzkim, który to zawarłszy przymierze z Edwardem IV, zbierał wielkie siły także do najazdu Rzeszy się przygotowując a z drugiej strony właśnie w czasie podpisywania w Augsburgu przymierza, Turcy przez Kroacyę uderzyli na Styryę.

Margrabia Albrecht, którego pomocy Polska miała do zawdzięczenia przyjście tego, jak obaczymy, zupełnie obojętnego dla niej przymierza, toczył tymczasem dalsze układy o małżeństwo swego syna z córką królewską, oznaczał wysokość wiana, czas wesela w Poznaniu w r. 1478 odbyć się mającego, przymierza wzajemnego, a konferencye pełnomocników odbywały się w Międzyrzeczu i doprowadziły do porozumienia[2]). On to usiłuje przysporzyć Maciejowi wrogów na Szląsku. Książąt Münsterberskich, chętnie neutralność zachowujących, usiłował przywiązać do sprawy Władysława Jagiellończyka i pojednał ich z cesarzem, który ich uznał książętami Rzeszy. Ks. Fryderyka Lignickiego usiłował oderwać od Macieja, pośrednicząc w stosunkach tegoż o córkę Jerzyka Ludmillę.

Jego to głównie wpływom przypisać należy, że Maciej w Rzeszy bardzo mało miał poparcia. Nawet nieprzyjazny Jagiellończykom od czasu swej niefortunnej kandydatury kutnahorskiej Albrecht saski wraz z bratem Ernestem pisali do Macieja z wyrzutem z powodu zawarcia przeciwko nim przymierza z Polską i Władysławem. Wyrzut odnosił się do wspomnianego wyżej polsko-węgierskiego trzechletniego rozejmu, poczem strony do jeszcze zażartszej przygotowywały się wojny, nie czekając terminu końcowego rozejmu. Przystępujemy do poznania tego epizodu.

---

[1]) Dogiel I, 166.

[2]) Ob. Polit. Coresp. Margf. Albrechts I, N. 831, 850, 866; Fontes rer. austr. XLVI, N. 253.

III.

Odwet Macieja na Podgórzu. — Zawieszenie broni z 21 lutego w armii. — Maciej najeżdża Austryę. — Najazd ks. Jana Żegańskiego na Wschowę. — Maciej na Spiżu i na Morawach. — Kazimierz zbiera wojska pod Częstochową. — Elektor brandenburski podżegacz do wojny. — Wojna nie budzi zapału w Polsce — Najazd tatarski. — Czesi toczą układy z Maciejem. — Posłowie Macieja proszą o odstąpienie od wojny. — Niezgoda wodzów polskich — Interwencya saska. — Zarządzenia Macieja na Szląsku. — Fortyfikacya Wrocławia. — Plany polskie zawieszone. — Głód i zimno klęską armii. — Układy o rozejm — Zjazd Kazimierza i Władysława z Maciejem. — Zamęt na Szląsku. — Charakterystyka wojny. — Polska na wschodzie.

W czasie, gdy odbywano zjazd w Opawie, król Maciej zajęty był zdobywaniem twierdz zajętych przez „braci", ale dopiero w zimie zdołał wypędzić ich do Polski, dawszy im do rąk kije, jako ludziom niegodnym nosić oręża. Było ich trzy tysiące napastników[1]).

Straszny dla Podgórza polskiego był odwet króla Macieja, jaki wnet potem nastąpił. Wysłał on sześć tysięcy wojska pod dowództwem Tomasza Tarczego, który załatwiwszy się z braćmi przekroczył granicę, uderzył na Żmigrod; zdobył miasto i zamek i mocno obwarował. Stąd poczęli Węgrzy szerzyć straszne spustoszenie w okolicy na mil kilkanaście, pustosząc i łupiąc Jasło, Brzostek, Kołaczyce, Frysztat, Dębowiec, Duklę, Muszynę. Spalili przedmieścia Krosna i sioła okoliczne, Białobrzegi, Muszynę, Krościenko, Suchodol, Głowinkę, należące do Krosna tak, że król później na ośm lat miastu wolności podatkowej użyczyć musiał[2]). Król powołał rycerstwo małopolskie i Rusi do broni, to jednak pomału się ściągało, niszcząc w ciągnieniu i postoju dobra duchowne i królewskie gorzej aniżeli nieprzyjaciel.

Zanim jeszcze wybuchnęła wojna, starali się jej zapobiedz panowie zarówno węgierscy jakoteż i polscy, porozumiewając się o zjazd wspólny. Już pod koniec grudnia król wydał glejty Węgrzynom do traktatów w 500 koni na dni dwanaście i delegował ze swoich prymasa, Jana Lutka biskupa krakowskiego, Dobiesława

---

[1]) SS. rer. Sil. XIII, N. 175 cf. Fontes.

[2]) Agz. III p. 211 uwaga. Matricularum Sumaria dokumenty z 10 i 17 marca 1474 r.

z Wiśnicza, kasztelana lubelskiego i marszałka Jana Rytwiańskiego[1]). Wydał też król Maciej glejty dla Polaków — obrady miały się rozpocząć już 13 stycznia — jednakże dopiero później miały miejsce[2]). Dnia 21 lutego zawarto trzechletnie zawieszenie broni pomiędzy Maciejem Kazimierzem i jego synem Władysławem, obwarowawszy je szeregiem postanowień. Gdyby który z królów zechciał począć wojnę przeciwko drugiemu w czasie rozejmu, poddani jego nie są obowiązani do posłuszeństwa. Natomiast każdy król ma obowiązek zmuszać poddanych do zachowania rozejmu. Gdyby czyi poddani nie chcieli być posłuszni rozejmowi i przekroczyli postanowienia rozejmu, mają obie strony obowiązek ukarać nieposłuszeństwo, chyba gdyby tenże wynagrodził szkody, a w takim razie poszkodowana strona powinna wejść na drogę prawa. We wszystkich trzech królestwach ma być proklamowane, by żaden poddany czy to węgierski czy polski nie wpadał do królestwa sąsiedniego, oczywiście żaden z Czech, Szląska, Morawy i Łużyc, ani też nikt z Polski i Węgier do Czech i prowincyi, inaczej bowiem działający będzie ogłoszony wrogiem swego króla, a wszyscy trzej królowie powinni sobie użyczyć pomocy przeciwko takiemu szkodnikowi. Król Maciej, jeżeli się zgodzi na te dodatkowe obwarowania i jeżeli królowie Kazimierz i Władysław je przyjmą, ma w Hradcu morawskim 17 kwietnia dostarczyć stronom swego potwierdzenia[3]). Zapadły uchwały co do zajętych przez Węgrów zamków w Polsce i wogóle spraw polsko-węgierskich. W myśl tych postanowień mieli monarchowie obaj wysłać do swych ludzi do Żmigrodu nakaz zachowania ośmiodniowego rozejmu. Oznajmi się Węgrzynom, załogującym tamże, że jeśli mają jakie pretensye do Polski, odniosą sprawiedliwość

[1]) Matricularum Sumaria, pełnomocnictwo pod datą 26 stycznia 1474; gleit dla panów węgierskich tamże z 29 grudnia 1473 r.

[2]) Gleity z 10 i 12 stycznia. Cod. ep. III, N. 158; Dogiel I p. 68. Zdaje się, że dodatek w pierwszym, że na wypadek bójki służby lub świt obustronnych, gleit niema być zerwany, był powodem wydania drugiego gleitu bez tych dodatków. Tak tymi dwoma gleitami tłumaczy się Długoszowe XII, 599 *de salvis conductibus et eorum inefficatia iurgando.*

[3]) Cod. ep. III, N. 161, z oryginału; z kopii w Fontes 46, N. 255, w której czytamy, że 17 kwietnia w Ołomuńcu dostarczy Maciej swego dokumentu potwierdzającego rozejm.

na zjeździe obustronnych delegatów. Gdy zjazd ten ich król Maciej obeśle, mają wynijść ze zamku i oddać go w takim stanie, jak go objęli, przyczem jeńcy obustronni zostaną wydani. Co do Muszyny panowie węgierscy będą prosić króla Macieja, aby wydał zamek 6 marca na ręce Przecława starosty tamecznego biskupowi krakowskiemu, tych zaś, którzy z zamku tego krzywdy czynili, postawi biskup przed sądem deputowanych przez króla Macieja sędziów. W sprawie krzywd granicznych ma się 8 września 1475 r. odbyć zjazd panów węgierskich i polskich. Wołoszyn (wojewoda Stefan) ma mieć przymierze dwóchletnie z oboma państwami, a gdyby od którego był niepokojony, może się bronić. Co do pretensyi państw obydwóch do Mołdawii, będzie o nich mowa na zjeździe panów obu koron. Co do Spiża wszystkie dawne umowy mają być zachowane[1]).

Taką jest treść wspomnianego kilkakrotnie trzechletniego rozejmu i dodatkowej umowy, którą w Starej wsi podpisano, zdaje się na skutek przedstawień Gabryela Rangoniego biskupa Siedmiogrodzkiego, który wraz z Oswaldem biskupem Zagrzebia, Emerykiem Zapolją hrabią Spiskim, Janem Pongraczem i proboszczami kapituły pięciokościelnej, tudzież z proboszczem spiskim do układów był delegowanym. Przypuszczać można, że były dwa projekta celem zachowania pokoju państw sąsiednich, jeden ogólniejszy, nie ograniczający czasem przymierza sąsiedzkiego, ale za to w szczegółach ostrzej występujący przeciwko tym, którzyby zechcieli pokój naruszać, żądający konfiskacyi dóbr, wygnania, a nawet wykorzenienia wspólnemi siłami wszystkich trzech królów takiego turbatora pokoju[2]) — i projekt ten upadł a przyszedł do zgody zmodyfikowany nieco i do trzech lat ograniczony a potwierdzony przez króla Kazimierza w Korczynie 28 lutego 1474 r., król Maciej 27 lutego[3]), stany zaś węgierskie

[1]) Cod. ep. III, N. 160 z oryg. z kopii współczesnej; Fontes 46 N. p. 272 w którym jest nieznaczne opuszczenie.

[2]) Ob. projekt w Fontes rer. austr. 46, N. 254. Przypuszczamy, że Gabryel Rangoni, który był obecny na zjeździe w Nisie, był autorem projektu, gdyż del. zaczyna się od: *inxta pacem in dicta Nissensi*....

[3]) Króla Kazimierza potw. w Cod. ep. III, N: 162 króla Marcina u Dogiela I p. 71 stanowi dok. Ibid. p. 73.

potwierdziły 23 kwietnia. A jednakże mimo takie potwierdzenie, jeszcze w ciągu roku został ten rozejm zerwany (co prawda nie na terenie węgierskim, ale na zachodnim), a historycy dzisiejsi nie chcieli nawet przyjąć za pewnik przekazu Długosza o trzechletnim rozejmie, przecząc jego zawarciu[1]); tak bardzo niewiarygodną była wiadomość o tem wobec nastąpionego później zerwania. Co prawda król Kazimierz zwątpiwszy w przymierze z cesarzem, stale dążył ku pokojowi — więc rozpuścił wojska z pod Opatowa, zebrane ku odsieczy Tarczego, następnie odmówił pomocy Siedmiogrodzianom, którzy niezadowolnieni z rządów Maciejowych chcieli się poddać w poddaństwo polskie, wreszcie przyjmował poselstwa weneckiego doży (Contariniego), posłów Ussunhassana, Stefana wojewody, proszącego o posiłki przeciwko Radule, wspieranemu przez Turcyę, słowem znajdował się w toku akcyi, mającej na celu poparcie wojny tureckiej. Ale trwało to tylko chwilkę małą — skoro tylko cesarz podpisał przymierze z Polską przeciwko Maciejowi dnia 13 marca, zmieniła się sytuacya i to nie z winy Kazimierza, który niechętnie przyjął posłów wracających od cesarza i nie zaraz ratyfikował przymierze, ale z winy Macieja. Ten bowiem, niewątpliwie na wiadomość o zawarciu takiego przymierza, począł zwyczajem swoim wyzywająco występować przeciwko cesarzowi i Kazimierzowi. Podczas gdy cesarz obradował w Augsburgu, Węgrzy aż pod sam Wiedeń zapuszczali zagony, burząc i niszcząc. Wojna zresztą na skutek jego nieodwołanych zarządzeń zaczęła się szerzyć i na zachodnich granicach Polski i Jan z Dębna musiał wodza węgierskiego Bielika jego drużyną wyrzucać z Oświęcimskiego księstwa, dokąd wpadł był i grasował, posiłkując ks. Wacława z Rybnika przeciwko ks. Henrykowi z Ziembicy. Jeszcze większą szkodę uczynił w Polsce ks. Jan Żegański, któremu Maciej jeszcze na początku lutego nakazał przygotować się do wojny przeciwko Polsce[2]), a który wy-

[1]) Caro przeczy zawarciu rozejmu V, 1, 383, lubo sam Maciej do kardynała Barbo pisząc, mówi o rozejmie trzechletnim. Chmel. M. Habr. I, 2, 76.

[2]) SS. rer. Sil. XIII, N. 176. Wpadnięcie ks. Żegańskiego do Polski musiało zajść około połowy marca; ob. Thunert Act. der Anwert I, N. 152. Wiarogodność Długosza XII, 603—606, utrzymującego dowodnie, że Maciej pierwszy

powiedziawszy wojnę królowi Kazimierzowi, wpadł w okolicę wschowską, parę set wsi z dymem puścił i z łupami uszedł niepomszczony, mimo, że wojewodowie poznański i kaliski dostateczną mieli siłę do odparcia napastnika. Wreszcie Maciej wypędziwszy Komorowskiego z Orawy i Spiżu, począł gnębić swych przeciwników w Morawach, zdobywać zamki tych, którzy trzymali strony Władysława, słowem rozpoczął taką wojnę, iż król Kazimierz musiał synowi posłać 24.000 złotych jako zasiłek wojenny. Opowiada historyk współczesny Wrocławia, że w Morawach porządkował Maciej starców wieszaniem jednych, i ścinaniem drugich tak, że zamki ze strachu się poddawały. Pod koniec sierpnia podążył na Szląsk i 31 sierpnia był w Nisie. Chciał stąd podążyć w Świdnickie, gdy się dowiedział, że król Kazimierz z silnem wojskiem z Litwy i Rusi i Mazowsza leży pod Częstochową.

Wieść ta była zgodną z prawdą; gdy cesarz w lipcu powtórnie podpisał zawarcie przymierza z Polską przeciwko Maciejowi, począł król się zbroić. Pod koniec lipca zbrojenia te były w pełnym toku[1]). Lwią część prac nad spowodowaniem tej wojny ponosił elektor Brandenburski: zawiązujący węzły pokrewieństwa z dworem polskim; on to podżegał i cesarza i dwór polski do wojny, żeby w ten sposób usunąć przewagę Węgra z wschodniej Europy a z wojny, pod bokiem się toczacej, wyciągnąć jak największe korzyści. Trzeźwy skądinąd król uległ tutaj namowom, w których jak przypuszczać można i żona jego, królowa Elżbieta, nienawidząca Macieja, brała żywy udział. Tymczasem ze strony cesarza nie było nawet mowy o daniu jakiejkolwiek pomocy do wojny, jedyne co uskutecznił, to że napisał list do Mistrza Zakonu z zabronieniem wznlecenia wojny i buntów przeciwko Polsce[2]). Sam elektor doradzał cesarzowi nie dawać pomocy i usprawiedliwić niespełnienie tego warunku albo nieprzybyciem posła pol-

---

zerwał rozejm, znajduje zawsze potwierdzenie w liście Albrechta Brand. do cesarza. Polit. Coresp. I 894 *wo der von Hengern die (vertrege) nicht verbrochen hett, möchten vielleicht die gehalten sein worden...* pisze elektor cesarzowi w sierpniu 1474.

[1]) Coresp. III, N. 166.

[2]) Coresp. III, N. 167.

skiego, albo sprawą burgundzką; tylko nadzieję posiłków radził czynić, zwłaszcza Władysławowi[1]). Fryderyk napisał do Władysława, że z powodu nieprzybycia posła polskiego i braku polskiego potwierdzenia przymierza[2]) cesarz, który zresztą cierpi krzywdy od Macieja, jednakże z powodu rozgłoszenia umów zapadłych w Norymberdze, nie może uczynić zadość postanowieniom tamecznym. Jednem słowem zepchnięto wojnę na Jagiellonów nie angażując się bynajmniej do wojny. Władysław otrzymał uznanie od cesarza, że jest jedynym królem Czech i jako takiego polecił cesarz uznać go elektorom, ale i to stało się dopiero po przyjeździe biskupa Włocławskiego Oporowskiego do Augsburga 20 września[3]) i zapewne po wręczeniu przez niego rewersału przymierza.

Łatwo się domyśleć, że wojna podszepnięta przez obcych, sprowadzona i spowodowana motywami dla Korony obojętnemi, nie wzbudziła zapału w rycerstwie polskiem. Odmawiano posłuszeństwa i to nawet ze strony takich możnych jak Spytek z Melsztyna, a szlachta lubo wezwana do pospolitego ruszenia bez żołdu na wojnę zagraniczną iść się wzbraniała.[4]) Nadto właśnie podczas owego wyruszenia województw doniesiono z Podola i Rusi o strasznem najeździe Ajdora, syna cara tatarskiego Hadszi Giseja, z drugiej strony wiadomo było powszechnie, że i biskup Tungen właśnie co zajął był całą już Warmię — a tego tylko nie wiedziano, że ostatni pozostawał w porozumieniu z Maciejem, a co gorsza dla Polski, był tegoż sprzymierzeńcem.

Zdaje się, że te właśnie stosunki w Polsce, przy obojętnem stanowisku cesarza sprawiły pewną ociężałość w ruchach i w kierownictwie wojsk a niebawem potem i różnice pomiędzy dowódcami a nawet pomiędzy całemi prowincyami jak Wielkopolanami i Małopolanami. Co bardziej, mamy dowodne wskazówki, że ciągnący ku Kłodzku w 10.000 wojska i tysiąc wozów Władysław około połowy września, był mocno zasmucony, nie wiedział bo-

---

[1]) Polit. Coresp. Albrechts I, N. 894.

[2]) Tak tłumaczę *Versorgungsbrief* w liście cesarza. Ibid. I. p. 707 uw. 1.

[3]) Polit. Coresp. Albrechts I, N. 917 por. N. 919. 920.

[4]) Długosza XII, 610 popierają akta w Metryce koronnej, ob. Matricularum Summaria p. 64—65 zawierające domacye konfiskowanych dóbr.

wiem o ruchach wojsk polskich, z którego to powodu i Czesi byli pełni niechęci i w ciągnieniu swem toczyli układy z Maciejem[1]), chociaż sami większe mieli wojsko od Węgrzyna. Tymczasem wojska polskie, które już 15 sierpnia miały się zgromadzić w Mstowie, jeszcze o miesiąc później leżały w pobliżu Częstochowy, gromadząc się oddziałami spieszącymi z dalekich stron nawet z Litwy[2]). Liczono na pewne 40.000, z tego sześć tysięcy piechoty; oczywiście pospolite ruszenie przeważało. Świadek, który naliczył sto dwadzieścia i sześć chorągwi, zauważył, że niektóre liczyły po 150 inne zaś po 700 jezdnych[3]). Widocznie pospolite ruszenie nie miało innej organizacyi, od tej jaką miało pod Grunwaldem. Artylerya była dość liczna, ale miała armaty małego kalibru[4]). Całe sześć tygodni trwało to ściąganie wojsk i dopiero 26 września ruszono ku granicom szląskim. Zaraz za wpadnięciem do ks. Opolskiego zajęto Bolesławie (Rosenberg) Kuczborg i Byczynę[5]), i mocno obsadzono załogą te miasta ks. Mikołaja Opolczyka, który stawszy się wrogiem Polski, krótko przedtem zrabował był towary kupcom polskim na sto tysięcy grzywien szacowane. Pod Krapicami[6]) przebyło Odrę w ciągu trzech dni całe wojsko polskie. Tutaj posłowie Macieja i Władysława Zdenko ze Sternberga z Wilhelmem Rabim i Wacławem Czarnohorskim[7]) powołując się na trzechletnie zawieszenie broni, upraszali o odstąpienie od wojny imieniem swego króla. Odłożono odpowiedź aż do przybycia króla Władysława. Wszczęły się zatargi pomiędzy Małopolanami a Wielkopolanami, czy iść pod Wrocław, czego domagali się pierwsi, podczas gdy Wielkopolanie nie radzili pochodu, gdyż przez to kraj ich cały będzie odsłonięty i narażony na najazdy wroga. Kilka dni trwały spory i narady, wreszcie posunięto się ku Opolowi, porzuciwszy plan operowania po prawej stronie

[1]) Polit. Coresp. I, N. 913 o wojsku Macieja Fontes 46, N. 275.

[2]) SS. rer. Sil. XIII, N. 189.

[3]) Fontes 46, N. 277. Sasi obliczali siłę polską na 50.000. Cod. ep. III, N. 172.

[4]) SSr. Sil. XIII, N. 193.

[5]) SS. rer. Sil. XIII, N. 195.

[6]) Długosz. nazwa Chrapkowice.

[7]) Czy też Piotrem Koulincem. Ob. Palacky V, N. 1 p. 109.

Odry[1]), ale straciwszy przy tem czas drogi, nie mówiąc o niesnaskach powstałych w wojsku. Tutaj pod Opolem 4 października otrzymał król listy od Wilhelma hr. Henneberger Hugolta von Schleinitz, posłów ks. Ernesta Saskiego, przybyłych celem zażegnania wojny z królem Maciejem[2]). Udzielono im glejtu, a że wojska nie myśląc o zdobywaniu Opola opuściły oblężenie i posunęły się ku brzegowi, wysłano oddział pod dowództwem Stanisława Korytki, by zasłonić przybywających posłów od wojsk królewskich. Dnia 11 października otrzymali audencyę, ale z powodu ataku nieudałego oddziału Węgrów na wojska polskie, dopiero nazajutrz potem 15 października otrzymali odpowiedź od króla, że gdy król czeski doń przybędzie pod Brzeg lub pod Olawę i porozumie się z nim, natenczas dopiero może być mowa o układach, jednakże pod warunkiem, by Maciej odstąpił wszystkie kraje czeskie[3]). Dopiero pod Olawą nastąpiło połączenie wojsk polskich i czeskich 23 października, poczem duża armia wprost podążyła na Wrocław.

Maciej tymczasem w dość kłopotliwem znajdował się położeniu; miał bowiem zaledwie siedmiotysięczną armię, z czego 4½ tysiąca piechoty, — Turcy grasowali w południowych Węgrzech. Postanowił tedy układami zabawiać nieprzyjaciela a tymczasem zarządzić obronę Wrocławia, będąc pewnym, że o zdobycie jego pokuszą się Polacy i wydostać od Szlązaków pieniądze[4]). Pozostawiwszy wojsko pod Frankenstein i pod Paczkowem wyruszył w 400 koni do Wrocławia, dokąd przybył wieczorem 14 września. Tutaj oczekiwali nań książęta szląscy i starsi miasta. Przedłożył im sytuacyę — z jednej strony ciągnących Polaków z drugiej Czechów; on sam ufając pokojowi nie przywiódł z sobą większych wojsk, miał bowiem tylko zamiar ukarać nieposłusznych w kraju. Na jego prośby o pomoc i radę książęta Świdniccy, z górnych i dolnych Łużyc i Wrocławianie przyrzekli sta-

[1]) SS. rer. Sil. N. 193.
[2]) SS. rer. Sil. XIII, 196 i następne.
[3]) Fontes 46, N. 284.
[4]) Fontes 46, N. 265, 280.

nąć przy nim z całą potęgą; złożono też poglówne i inne podatki. Wrocławianie złożyli natychmiast 12.000, podobnież i książęta.

Wtedyto Maciej zebrał swe wojska i rozłożył je na lewym brzegu Odry pod św. Mikołajem. Węgrzy brali wszystko od mieszczan, zboże, bydło, wiktuały; rozbijali, jak mówi Eschenloer[1]), a lud szemrał i narzekał. Na skargi odpowiedział Maciej mieszczanom: bądźcie zadowoleni tem, że wam wszystkiego nie zabrano. Gdy niebawem wysłany do obozu polskiego Zdenko Sternberg powrócił z odmowną odpowiedzią, był Maciej mocno stroskany. Wysłano bawiące u niego saskie poselstwo i ono przyniosło niepocieszającą odpowiedź, że układy odbędą się pod Wrocławiem. Po powrocie posłów odbyła się rada i przelęknięci z powodu zbliżającej się potęgi polskiej radzili wszyscy Maciejowi, aby się upokorzył i odstąpił korony czeskiej Władysławowi, Wrocław bowiem się nie utrzyma.

Ale genialny wódz wnet poznał, że dla wielkiej armii złożonej z pospolitego ruszenia, nie zaopatrzonej w działa wielkie, Wrocław był niezdobytym. Niechcąc być zbytnio związanym z miastem, przeniósł obóz swój na prawą stronę Odry, gdzie stał klasztor św. Wincentego i przy pomocy miejskiej silnie ufortyfikował tę część miasta, tak że stanowiło niejako osobną całość, osobne miasto. Budynki wsi okolicznych dostarczyły materyału do tego ufortyfikowanego obozu. Następnie kazał poznosić mosty i poczynił przygotowania, aby utrudnić przeprawę wojsk polskich przez Odrę[2]) a poznawszy już to z relacyi posłów już to z wycieczek oddziałów nieprzyjaciela, jego siły, postanowił bronić się we Wrocławiu, pewny, że go Polacy nie zdobędą. Nie zraziła go porażka dwóchtysięcznego oddziału, wysłanego ku Brzegowi naprzeciw Polakom, o czem już wyżej wspomniano, ani też opuszczenie miasta przez posłów ks. Ernesta Saskiego, którzy przekonawszy się, że nie zdołają pojednać wrogów, w obawie przed groźbami Polaków, którzy oświadczyli, że gdyby i dziesięć lat mieli pozostać pod murami miasta muszą je zdobyć, powrócili do swego mocodawcy. Maciej nie stracił ducha i pocieszał swoich, że jeszcze Bóg mi tutaj wy-

[1]) Eschenloer II, 303.

[2]) Cod. ep. III, N. 177 cf. SSr. Sil. XIII, N. 203.

nagrodzi to, czego im dotąd nie użyczył. Mógł on mówić podobnie jak elektor brandenburski o oblężeniu się wyrażał, że zdobycie takiego miasta jakiem jest Wrocław, bronionego przez króla w 8000 ludzi, to rzecz bardzo trudna — zwłaszcza przy nadchodzącej zimie, dniach krótkich, długich nocach[1]).

Wnet te złe wróżby zaczęły się sprawdzać na skutek niezwyklej energii Macieja, który wysyłał oddziały do mieszczan Wielko-Polski[2]), a z drugiej strony do przecinania komunikacyi wojsk królewskich z ojczyzną. Wojska nadto polskie wybrały się jak na lato na tę wojnę, a tymczasem zaskoczyła zima, niezwykle wczesna i ostra. Król wprawdzie nakazał w Częstochowie i Ilkuszu zakupić odzieży i pożywienia i naładowano niem sześćset wozów, lecz gdy te pod Krapicami przebyły Odrę, spostrzeżono ich z Opola i śmiałym napadem część wozów z prowiantami spalono i zniszczono, część zaś z futrami i odzieżą uprowadzono do Opola. Nie dość na tem, Maciej poleca ks. Henrykowi Głogowskiemu i Fryderykowi z Lignicy, którzy doń w dwa tysiące pieszych przybyli dodawszy im tysiąc Węgrów pod dowództwem Emeryka Zapolii, aby wpadli w granice Polski. Ci napadem zajęli zamek i miasto Międzyrzecz, w którym nagromadzone były prowianty i inne potrzeby i tak silnie ufortyfikowali, że mogłoby ono całoroczne wytrzymać oblężenie. Stąd poczęli szerzyć pożogę aż do Poznania, niesłychanie wielkie wyrządzając szkody, mnóstwo wsi z dymem puszczając, a wieś — jak dodaje Eichenloer — była tu więcej warta aniżeli dziesięć szląskich. Włościanie złożyli okupu 50.000 zł. aby przez cztery tygodnie mieć spokój, które gdy wyszły — dodaje Eichenloer — spalono ich doszczętnie i tylko na milę dokoła Międzyrzecza pozostawiono niespalone włości, aby mieć spiże do zamku[3]).

Tymczasem pod Wrocławiem nie szło królowi Kazimierzowi dobrze. Utarczkami, które pod murami miasta wciąż trwały nie można było zdobyć miasta a o wzięcie szturmem, w braku większego kalibru armat nie chciano się kusić. Były wielkie plany

[1]) Polit. Coresp. Albrechts I, N. 954 p. 734.
[2]) Fontes XLVI, N. 293.
[3]) Stało się to około 3 listopada, por. Fontes 46, N. 294, 301.

zerwania grobli, którą Odrę z dawnego łożyska pod Wrocław doprowadzono a zwrócenia jej do dawnego łożyska, przez co miasto pozbawionoby wody, młynów; radzono też na miejscu wojsk polskich pozostawić Czechów a samym przejść na drugą stronę miasta i dniem i nocą je otaczać i szturmem wziąść, ale skończyło się na projektach, a tymczasem wojsko rozprószyło się po całym Szląsku, sprowadzając prowianty i niszcząc kraj pożogą, czem sobie wielce szkodzono. Zostawiono oddziały pod Olawą, ale na tych wpadli z Olawy około tysiąca zabili; tyleż jeńca wzięli, tak że wszystkie więzienia w Brzegu, Opolu, Grotkowie pełne były Polaków. Zajęli jednak Oleśnicę, Czesi zaś Strzelno. Maciej musiał na wszystkie strony rozsyłać hufce posiłkowe, do Świdnicy, do Jaworzyna itp. tak dalece, że pozostał sam przy 600 konnych i 500 pieszych w Wrocławiu.

Z Wrocławia dniem i nocą czynił przez swych Serbów szczęśliwe wycieczki na oddziały oblęgających i co dnia mnóstwem jeńców napełniano wrocławskie więzienia. W przebraniu chłopskiem miał Maciej poznać naocznie obóz polski i wiedział niemal wszystko co się tam działo. Dnia 27 października, gdy Polacy szturmem chcieli wziąść przedmieście, posłał tam 40 taraśnic, kilkuset strzelców i tyleż pancernych, a Polacy lubo w liczbie kilkunastu tysięcy widząc zarządzenia Maciejowe odstąpili od szturmu. Tymczasem już głód począł zazierać armii oblężniczej w oczy[1]) „Niewiadomo co poczną Czesi, piszą 31 października sascy posłowie — nie mają ani piwa ani chleba". „Był to największy wróg Polaków — głód", mówi Eichenloer — niektórzy z nich pisali do obozu Macieja, do przyjaciół, prosząc chleba. I tak Zdenko ze Sternberga posłał kilka wozów chleba, wina i piwa Polakom i Czechom, a tożsamo i król Maciej czynił, lecz później na prośbę rajców zabronił pod karą śmierci, w obawie ogłodzenia samego Wrocławia.

Ludzkość zresztą Macieja polegała na motywach osobistych. Dnia 30 października otrzymał on wiadomość od Ferrantego króla Sycylii i Neapolu i przyrzeczenie mu ręki córki Beatryczy

[1]) Fontes 46, N. 293.

Natychmiast darował król wolność dziesięciu jeńcom polskim, każąc im uwiadomić króla Kazimierza o tej nowinie[1]). Była to zemsta za odmowę ręki Jadwigi królewny, która nie zaznała szczęścia w Bawaryi. Miasto świetnie iluminowano, ratusz zajaśniał w świetle pochodni, całą godzinę bito w dzwony, cieszono się, podczas gdy w obozie polskim śmierć obfite zbierała żniwo. Głód, mróz, choroby zaraźliwe „czerwonka", tysiące sprzątały żołnierzy[2]). Wojsko nie miało obuwia, musiało przy ogniu siedzieć, a gdy z jednej strony ogrzewali się żołnierze, marzli z drugiej. Stali się potulnymi jak baranki, a jak Jerzy von Stein obrazowo mówił byliby z myszą z jednej łupiny orzechowej zgodnie pragnienie zaspakajali... Król nawet stracił animusz i nadzieję pomyślności i zamiast zagrzewać żołnierzy do wytrwałości rozdarowywał dobra szlachty tej, która się nie stawiła na wyprawę[3]), lubo było jasnem, że ani wynagradzani nie zasłużyli na nagrodę, ani też karani, gdyby nawet z pocztami najświetniejszymi się stawili, nie byli w stanie przechylić szali walki na stronę królewską. Żywioły bowiem sprzysięgły się na zgubę wojska Kazimierzowego, a Maciej tylko uprzątywał resztę i tak napadnięto 23 listopada, z tyłu uderzywszy na oddziały polskie, półtrzecia tysiąca pobił[4]) w czasie, kiedyto już poczęto układać się o rozejm...

Oczywiście i inicyatywa o pokój wyszła ze strony polskiej. Przyjaciołowie Zdenka z Sternberga wysłali doń prośby, on zaś za zezwoleniem Macieja w 50 koni pojechał do polskiego obozu. Na prośby by się postarał u Macieja, by w takiej zimie nie stali w polu obozem odpowiedział on, że „nie może tej prośby poprzeć" u Macieja, który wszakże od was pod Częstochową żądał pokoju, na co gdybyście byli przystali, wyszłoby wam na większą chwałę aniżeli obecnie". Wysłano z nim Weitmilera, i ten imieniem wojsk prosił o pokój Macieja. Co jakkolwiek pochlebiało królowi, on jednak udawał niechętnego i czynił trudności. Pozwalał swoim konferować z nieprzyjacielską starszyzną, co mu nie przeszka-

[1]) Fontes 46, N. 293.
[2]) SS. rer. Sil. XIII, N. 215.
[3]) Matricularum Sumaria I, N. 1215 i następne.
[4]) SS. rer Sil. XIII, N. 215.

dzało dalszymi napadami na obóz ich toczyć dalej wojny, w końcu oświadczył, że chce osobiście z królem mówić. Radzi nie radzi, Kazimierz z Władysławem, ustanowili odbyć z Maciejem konferencyę pod wsią Mochbern 15 listopada.

Dniem przed konferencyą rozbili na miejscu ustanowionem Polacy dwa namioty, Maciej kazał rozpiąć jeszcze kosztowniejszy i wspanialszy — wyjechał zaś na spotkanie w jedwabnym zielonym kubraku szytym perłami i brylantami, a całe ubranie tak świetnem było, że i obuwie było perłami upiększone. Kołpak piórem czaplim ozdobiony opasywał drogi diadem. Miecz króla tkwił w złotej pochwie. Za królem w siedmiu oddziałach postępowało siedm tysięcy konnych poprzedzanych muzyką, trębaczami.

Zimno było tego dnia przejmujące — mimo to król polski jechał powoli i bez syna. Powitanie odbyło się konno. Kazimierz podobnie jak ojciec jego, król Władysław Jagiełło, skromne nosił stroje i w swem futrze sobolowem i takimże kołpaku, na którym nałożony miał kaptur, miał wygląd patrycyusza. Uchylił król kołpaka, na co Maciej również uchyleniem czapki odpowiedział. Porozumiewał się król polski z Maciejem za pośrednictwem biskupa kujawskiego Opawskiego, Maciej jednak nie chciał rozpocząć układów bez Władysława i dlatego odłożono je do jutra. Na odchodnem upraszał król Kazimierz o jedno, mianowicie o trzechdniowy rozejm, aby mogło wojsko jego poczynić zakupy prowiantów po okolicznych siołach. Maciej z miejsca zezwolił na to, bez odnoszenia się do swoich i zaraz zmiarkowali Polacy — dodaje Eichenloer — że Maciej własną kieruje się wolą i znikąd nie zasięga rady. Niezadowolenie zapanowało wśród poddanych Macieja z powodu tego konsensu, ale nie było rady.

Na umówiony dzień 16 listopada przybył Maciej z jeszcze większem wojskiem, jeszcze wspanialej ubrany, w stroju białym złotem i perłami szytym, bez pancerza. Z namiotów swoich wyszli wszyscy trzej monarchowie piesi, po obu stronach Macieja szło dwunastu magnatów w pancerzach, za nimi Gabryel Rangoni biskup siedmiogrodzki i biskup Rudolf wrocławski. Król polski z synem wziąwszy w pośrodek Macieja wprowadzili go pod namiot.

Po krótkiej chwili przyjmował Maciej obu Jagiellonów pod swym namiotem. Stał tam kocioł pełen węgla z powodu mrozu a dla przytłumienia odoru w okolicy panującego, dorzucano na żarzące węgle trociczki. Tu aż do wieczora trwały umowy o pokój, poczem wysadzono obustronne komisye dla dalszych traktatów i ułożenia szczegółowych warunków. Komisarze udali się do miasta dla rokowań; ze strony polskiej Jakób z Dębna, Tarnowski, Ostroróg, od Władysława Benes Weitmiler, Piotr z Chlumu i innych dwóch, ze strony Macieja biskup Gabryel Rangoni, Zdenko ze Sternberga i Jerzy von Stein. Maciej pozwolił Polakom na zakupno żywności w mieście, dwunastu wozów z jadłem a sześć z napitkiem, co oczywiście zjedzono natychmiast po przybyciu prowiantów, w nocy zaś, z rozrzuconej z wozów słomy wszczął się ogień w obozie i z górą dwieście furgonów obozowych z srebrem, naczyniami kosztownemi, odzieżą i t. p., spłonęło, przyczem dostało się i ludziom i koniom, które się również popaliły. Już to nieszczęście wisiało nad polskim obozem, mówi historyk wrocławski i wszystkie elementa sprzysiągły się na Polaków i Czechów. Powietrze sprzątało ich co dnia nie mało, umierali z pragnienia nie mając wody, ta bowiem zamarzła do dna. Ziemia tak głęboko zamarzła, że nie można było grzebać zmarłych i tylko wielkich rycerzy grzebano na cmentarzu. Wojska pozostawiły wiele ciał niegrzebanych i zwinąwszy obozy pociągnęły nad Odrę, oczekując tu pokoju. Czesi zaś udali się wprost do domu.

Tymczasem komisarze pracowali nad szczegółami umowy, polscy i czescy wśród ciągłego strapienia, albowiem legat kazał zamknąć przed nimi kościoły, to znowu w oczach ich wyniesiono z więzień około trzysta ciał polskich jeńców i pochowano na placu stracenia. Udusili się na skutek zaczadzenia. Wogóle większość jeńców wymarła na skutek chorób i mrozu. Nie dziw, że ze strony polskiej przynaglono komisarzy do szybkiego załatwiania układów, o czem dowiedziano się z zajętego listu od gońca królewskiego, którego zabito a korespondencyę zabrano. Maciej natomiast jakby z rozmysłu przeciągał rokowania i ku czci komisarzy zarządzał gonitwy i turnieje, lub też rozsyłał oddziały pod Namy-

słów celem napadu na wojska polskie. Gdy nadeszła wieść o pokoju zawartym, wojska polskie rzuciły się w pochód do ojczyzny. Brody na Odrze były wprawdzie naznaczone tykami, ale je rybacy przestawili na głębinę, a tak wiele konnych i wozów, które się na rzekomy brod rzuciły, potonęło. Przez cały rok potem wyławiali rybacy trupy i obławiali się złotem i zbroją z toni wyjętą.

Warunki pokoju 8 grudnia zawartego mogły w zupełności zadowolnić Macieja. On to ogłaszał najpierw rozejm dwóchletni aż do Zielonych świąt 1477 r., a to aby mieć ręce wolne do wojny z Turkami i pragnął się uwolnić od wojny „z królem Władysławem pierworodnym Kazimierzem z powodu naszego królestwa czeskiego". Cesarzowi wolno było przystąpić do pokoju w ciągu trzynastu tygodni, wolno mu też stać po stronie Władysława, byle poddanym króla Macieja przysługiwało prawo wolnych dróg w krajach cesarza i na odwrót. Reszta warunków odsyłała sprawy osobnym komisyom, jak n. p. zwrot zdobytych zamków — komisarze mieli też stanowić o zwrocie szkód wyrządzanych w czasie rozejmu. Włączono do przymierza tych poddanych, którzy wiarę złamali Maciejowi a teraz napowrót doń przystąpili; mogą oni też oświadczyć się przy Władysławie, jeżeli zechcą, muszą jednak zwrócić według praw krajowych to, co komu należy. Zabroniono przyjmowania poddanych obcego pana a zarazem wznosić nowe zamki obronne, fortyfikacye zaś świeżo wzniesione miały być zniszczone. W Czechach i na Morawach dla zachowania pokoju miano tak ze strony Macieja jakoteż i Władysława wysadzić po dwóch obrońców pokoju. Zastrzeżono też, by dwaj pacyfienci pomagali trzeciemu na wypadek, jeśliby na granicach państwa ktoś poważył się wznosić w tegoż ziemi zamek obronny, wreszcie by przymierze to nie uwłaczało w niczem wieczystemu przymierzu lubowelskiemu.

Cesarz Fryderyk, który — jak mówi Eschenloer — cicho siedział, pomocy obiecanej Polakom nie dając, a tylko obojętnie się przypatrując uciskowi sprzymierzeńców[1]) przystąpił także do rozejmu.

[1]) Pisze się: *in Hosen baden.* Eschenloer II, 327.

Pokój jednak nie był zachowany, stwierdza ten historyk — także i na Szląsku, skoro go tylko opuścił Maciej, wszczął się zaraz zamęt wielki, mimo pozostawionej przez króla ordynacyi co do rządu krajowego i porządku i mimo pozostawionego namiestnika królewskiego w osobie Emeryka Zapolyi. Zaledwie król wyjechał, Węgrzy zaczęli swawolić we Wrocławiu, Oleśnicy, Olawie, Wartenbergu, zrabowali Trzebnicę, wszystko, cokolwiek do Wrocławia przywożono, ulegało ich rabunkowi i Wrocławianie dalej musieli znosić brzemię nieszczęścia.

Rys charakterystyczny tej wojny umieszcza wielomowny Eschenloer, podając, że wiadomość o rozejmie była zarówno dla cesarza jakoteż i dla elektora Albrechta brandenburczyka przykrą, że obaj utrzymywali w obozie polskim posłów, mających za zadanie nie dopuścić do pokoju; sądzili oni, że wojna dalej trwać będzie i że Polacy i Czesi latem zerwą się znowu do wojny. Tak cesarz i nadal zajmował wahające się pomiędzy Władysławem a Maciejem stanowisko, nie dawał regaliów żadnemu a raczej pobudzał ich obu do dalszej wojny.

Wojna czesko-polska z Maciejem skończyła się rozejmem. Nie była wojną sprzecznych interesów, interesa bowiem obydwóch stron były dość identyczne, wszakże zarówno Maciej jak i Polacy walczyli w obronie cywilizacyi chrześcijańskiej na wschodzie, nie była wojną z powodu współzawodnictwa, jest bowiem jasnem, że przyznający prawa dziedziczne Jagiellonom w Czechach Maciej, nie współzawodniczył w Czechach dla zasady lub z pobudek własnych, lecz tylko z nakazu. Ten nakaz jednakowoż nie wpłynął na jego wolę, nie uczynił z Macieja bojownika wiary. Maciej bowiem równie, jak i Kazimierz w wynik wojny nie wierzył, a raczej uważał ugodę z utrakwistami za konieczność. Co prawda na skutek tej wojny sięgnął Maciej potężną prawicą po sprawy europejskie, ale bynajmniej nie poruszył machiny tej do akcyi, a już wcale nie wpłynął na kierunek spraw polityki europejskiej. Przeciwnie — obudził uwagę zachodniej opinii na powstające nacyonalne państwa, zachęcił książąt zachodnich do skuteczniejszego pobudzenia emulacyi kierowników tych nacyonalnych państw, do rozbijania ich naturalnej łączności klinem interesów, zdolnych osłabić natu-

ralną dążność państw tych do obrony i rozwoju cywilizacyi zachodniej na wschodzie. Ostatecznie bowiem Maciej zaangażowawszy honor swój w walce z Władysławem Jagiellończykiem, popieranym przez Polskę, musiał walkę doprowadzić do końca, t. j. do uznania swej czeskiej korony przez cesarza, a mając po swej stronie papieża, ranił tem dążeniem swem rozbolałą ambicyę cesarstwa niemieckiego.

Ujemne skutki emulacyi dały się uczuć w Polsce. Z pierwszymi jej objawami, poczyna się bunt biskupa Tungena w Warmii, wspartego siłami dyecezyan przeciwko nominatowi królewskiemu na biskupstwo, o czem będzie mowa w następnym rozdziale.

IV.

Niestały pokój. — Korzysta z tej niepewności Turcya. — Rezultat wyprawy Macieja. — Poszukiwanie wspólników na połowy. — Tungen i jego losy. — Układ heilsbergski. — Tungen zajmuje Heilsberg. — Układ jego z Krzyżakami. — Układy Mistrza z Maciejem. — Stany pruskie po stronie króla. — Kazimierz nie daje pomocy cesarzowi. — Sykstus IV. popiera sprawę Macieja. — Jagiellonowie pod klątwą. — Maciej szuka sposobu pozbycia się protektoratu nad Tunganem i Krzyżakami. — Koniec sprawy Tungena. — Zgoda z Maciejem. — Charakterystyka Macieja i emulacyi jego z Jagiellonami.

Rozejm wrocławski miał stronom zapewnić pokój na trzy lata, jednakże i na ten krótki przeciąg czasu go nie zapewnił. Jakkolwiek nie z bronią w ręku, owszem w pozornej zgodzie, strony jednak ustawiczną podjazdową toczyły wojnę. Przekupiono wzajem radców koronnych, aby wiedzieć wszystkie tajemnice, zamiary i zarządzenia przeciwnika. Nieprzyjaciele Polski podżegani byli do tem większego przeciwko niej oporu przez przyjaciół Macieja Korwina, czy to w Warmii czy w Prusiech, a wrogowie Macieja szukali poparcia u Jagiellonów. Przyjaźni Maciejowi książęta Sascy aresztują lub pozwalają insultować posłów polskich, jadących przez ich kraje lub podróżujących w Saksonii a znanych z zapatrywań politycznych Polaków; książę Żegański, partyzant Macieja jest wrogiem Jagiellonów i przyjaciół Kazimierza, jak Albrechta Brandenburczyka, z którym toczy wojny o Głogowskie księstwo, będące w ręku córki Brandenburczyka

a wdowy po księciu Henryku Głogowskim, z którą się zaręczył król Władysław Jagiellończyk. Natomiast nominowany biskupem warmińskim Tungen wbrew woli króla Kazimierza niemniej jak i wyłamujący się z pod władzy jego Mistrzowie Prus Zakonnych liczą na pomoc Macieja, skarżącego się, że Kazimierz i Władysław pociągają Głogowian na swoją stronę[1]). Wśród takich stosunków zamiary Sykstusa IV, z wielką energią zdążającego do zorganizowania wyprawy przeciwko Osmanowi, nie mogły być całą siłą poparte przez współzawodniczących z sobą niechętnych wzajem i szkodzących sobie królów, owszem były paraliżowane. Stosownie dobrana przezeń chwila wielkiego konfliktu pomiędzy Mahometem a Usunhassanem księciem Karamanii, starającym się o poparcie u królów Europy pomiędzy innymi i u króla Kazimierza, przeminęła niewyzyskana, Mahomet stanął potężniejszy aniżeli był przed zamieszkami w Azyi wszczętemi, wysyła floty na zdobycie Białogrodu i Kafy, zdobywa Kafę 4 czerwca 1475 r. zawojowuje Wołoszczyznę. Zagrożony Stefan Mołdawski poddaje się pod protektorat króla Macieja i zawiera z nim przymierze przeciwko wszystkim, z wyjątkiem króla Polski[2]). Turczyn spustoszył jednak Wołoszczyznę i Mołdawię tak, że wobec tryumfów jego w 1476 r. poczęto fortyfikować Lwów i zarządzono obronę Rusi i Podola[3]).

Zdawało się, że Maciej zerwał się do akcyi na wielką miarę, gdyż i sejm zwołał i zaciężnych zbierać począł. Rovarella biskup Forlieński twierdził, że przyzwolony przez stany węgierskie królowi podatek wynosił olbrzymią sumę pół miliona dukatów[4]). Poparł papież usiłowania Macieja materyalnie a nadto moralnie, albowiem wysłał nuncyusza Dra Baltazara z Piscyi, którego uposażył w wielką władzę na Węgry, Czechy i Polskę, dając pełnomocnictwo zarządzenia wszystkiego, coby uważał za konieczne dla zabezpieczenia pokoju Maciejowi, zwłaszcza, gdyby zajętemu

---

[1]) Cod. ep. III, N. 229.

[2]) Cod. ep. III, N. 199.

[3]) Cod. ep. III, N. 226 por. Akta gr. i ziem. V p. 186 i Wierzbowski Summarium I, dokument z 21 sierpnia 1476 r.

[4]) Mon. Hung. Acta extera IV, 2, 272

wojną Polacy i Czesi chcieli szkody wyrządzić. Oczywiście Sykstus polecił zapalczywemu nuncyuszowi ostrożnie obchodzić się z bronią duchowną, w jaką go wyposażył, mianowicie z cenzurami[1]). Cała wielka wyprawa zakończyła się na wzięciu Sabaczu z rąk Turków, gdyż — jak jedne wiadomości opiewały — zaciężni z Węgier i Polski nie chcieli walczyć z Turkiem i odeszli do kraju,[2]) podczas gdy znowu Maciej spieszył się poczynić przygotowania do wesela swego, żenił się bowiem z Beatrycą Neapolitańską. Eschenloer, współczesny historyk miasta Wrocławia, charakteryzuje w lapidarnych wyrazach nikły skutek wyprawy Maciejowej, która tyle pieniędzy kosztowała, mówiąc, że Maciej zdobył Sabacz zaledwie jednak ufortyfikował, Turcy odebrali Sabacz.

Równocześnie z przygotowaniami na wesele, które dopiero pod koniec grudnia 1476 z niezwykłą wspaniałością i przepychem Maciej Korwin odbywał, poczęły się zamieszki na Szląsku, gdyż ks. Jan Żegański, zebrawszy dwa tysiące żołdaków, zajął Głogowskie księstwo. Polacy i Czesi przesłali z tego powodu na ręce Rudolfa biskupa wrocławskiego zażalenie, że rozejm został zerwany. Szlązacy w obawie o nową wojnę we własnym zmienionym kraju, niechętni Maciejowi z powodu łamania przywilejów miejskich z powodu używania tortur przeciwko mieszczanom, wysłali doń posła z prośbą, by nie wszczynał wojny z Polakami od Szląska, gdyż w takim razie kraj musiałby z kretesem zniszczeć[3]). Maciej jednak, który mieszczan wrocławskich z dumą imperatorską traktował, odprawiając ich z ironią, że skoro zamówili zabawę, muszą i muzykę zapłacić lub innym razem, że nauczy ich, by się nie ważyli z królami wojować i posłuszeństwo im wypowiadać, w odpowiedzi na żądania wrocławian wysłał im swego wodza Jana Zierotyńskiego z Węgrami, który, jak zaręcza Eschenloer, grasował gorzej aniżeli jaki barbarzyńca, z wielką dla króla Macieja niesławą.

Nie mogąc liczyć na Szlązaków, podsycał nadzieje wrogów Ka-

[1]) Instrukcya dla Baltazara z 15 grudnia 1475 r. w Fontes rer. Austr. 46, N. 371 pełnomocnictwo z 30 grudnia w Cod. ep. III, N. 208.

[2]) SS. rer. Silesiae XIII, N. 238.

[3]) SS. rer. Sil. XIII, N. 256.

zimierzowych w Prusiech. Już pod koniec 1476 r. wiedział wielkorządca w Prusiech Ścibor Baysen, że Maciej żywi złe zamiary, że rzekomo wykupić miał z rąk zaciężnych Chełmno, Brodnicę i Althaus a to za pośrednictwem ks. Jana Żegańskiego i że wysłał posła do Mistrza Zakonu, aby mu o tem dać wiadomość[1]). Widocznem było, że Maciej szuka sprzymierzeńców na północy aby z tej strony zaszachował Kazimierza. Jednego wspólnika już miał, a był nim włączony do rozejmu wrocławskiego Tungen.

Mąż ten, który jeszcze jako pisarz kancelaryi papieskiej czynił zabiegi celem osiągnięcia beneficyów w polskich kapitułach, zdołał wypłynąć po śmierci Legendorfa, biskupa warmińskiego jako elekt kapitulny na toż biskupstwo, przez króla jednak Kazimierza niedopuszczony. Wiemy jednak, że opuścił Rzym i posadę swą w kuryi, aby objąć swą warmińską dyecezyę, na której król usiłował bez skutku posadzić biskupa chełmińskiego, Wincentego Kiełbasę, pochodzącego z możnej rodziny Nałęczów.

Tungen przybył do Warmii w przebraniu pielgrzyma w czasie największego upadku ligi katolickiej, a temsamem i sprawy Macieja w Czechach, jakby na wsparcie Macieja. Rzym go poparł, mimo tę pomoc Tungen utrzymać się nie mógł, skutkiem swego nietaktu i zuchwałości i zmuszony był uciec do Rygi do arcybiskupa, którego wbrew pokojowi toruńskiemu uznał swym metropolitą. Król zażądał wydalenia Tungena z Rygi, a następca Pawła II Sykstus IV postanawia opuścić sprawę nietaktownego biskupa, aby temsamem jeszcze bardziej zachęcić Kazimierza do współdziałania w proponowanej wielkiej wyprawie przeciwko Mahometowi II. W czasie, gdy na tronie praskim zasiadł Władysław Jagiellończyk, papież przeniósł Tungena na biskupstwo Kamieńskie, a biskupem warmińskim mianował Andrzeja Oporowskiego. Nominacya ostatniego napotkała na opozycyę stanów pruskich i warmińskich, z czego korzystając Tungen, opuszcza Rygę i zajmuje zamki biskupstwa warmińskiego Brunsbergę i Heilsberg. Układem heilsberskim zapewniły mu stany spokojne posiadanie zamków Heilsberga i Seeburga aż do rozstrzygnięcia

[1]) Cod. ep. III, N. 231—234 cf. Thunert Acten I, N. 187.

sprawy spornej o biskupstwo przez papieża, król jednak nic potwierdził układu.

Znalazłszy poparcie u Stanów, Tungen odrzuca nadane mu biskupstwo kamińskie, a stany odmawiają królowi wydania Heilsberga i Seeburga. Oporowskiego nie chcą mieć biskupem, jakkolwiek z drugiej strony nakłaniają Tungena do abdykacyi. W Warmii zapanował chaos i rozdział — jedna część kapituły i dyecezyan trzymała stronę Oporowskiego, druga Tungena.

Ale zerwanie układów Jagiellonów z Maciejem w Opawie napełnia Tungena otuchą. Wiąże on swą sprawę z losami Macieja i zdradziecko zajmuje Heilsberg, rozpoczynając tem na północy wojnę w chwili, kiedy Maciej napadem na Polskę zniszczył dwa powiaty krośnieński i jasielski. Stany nie chcą rozpoczynać wojny z Tungenem, a w ten sposób w czasie, kiedyto na Szląsku srożyła się wojna pomiędzy Jagiellonami a Maciejem, w Warmii szachował Jagiellonów Tungen od północy. Wiemy już, że Maciej objął Tungena rozejmem wrocławskim jako swego przymierzeńca. Uczynił to nietylko z wdzięczności, ale głównie dla tego, że liczył na poparcie Tungena na przyszłość.

Toż gdy po zawarciu rozejmu zaczęto w Polsce myśleć o wyrzuceniu Tungena, Maciej ujmuje się zaraz za swym sprzymierzeńcem i za pośrednictwem Gabryela Rangoniego używa Tungena, by nakłonił i Mistrza Krzyżaków, Henryka Richtenberga do przystąpienia do sojuszu z królem Maciejem. W listopadzie 1476 r. w czasie owych trwóg w Polsce z powodu tryumfów oręża osmańskiego w Mołdawii porozumieli się w Królewcu Tungen z Mistrzem Krzyżackim. Niebawem wysłali już posłów do Macieja z propozycyą sojuszu a do papieża z usprawiedliwieniem zamiaru. Na dniu 13 lutego 1477 r. posłowie ci zarazem pełnomocnicy podpisali układ wspólnego postępowania Tungena, Mistrza i Macieja przeciwko Polsce. Napróżno król Kazimierz podawał rękę do pojednania się z Maciejem, byle pozostawił Władysława w spokoju i odstąpił od protegowania Tungena i Krzyżaków. Mógł nawet szkodzić Maciejowi, gdyż Mahomet II z jednej strony grożąc Polsce, z drugiej ofiarowywał nieprzyjacielowi Korwinowemu Kazimierzowi sojusz. Kazimierz nietylko, że odsunął pokusę, lecz nawet

gotów był zawrzeć sojusz z Maciejem przeciwko Osmanom i w tym celu wysłał poetę Filipa Calimacha do Wenecyi, by za pośrednictwem signoryi dokonać zbliżenia, które jednak Maciej układami z Zakonem Krzyżackim dokonanymi uniemożliwił.

Wtedy to stany pruskie, obdarzone przez króla i unifikacyą prawa w Prusiech i potwierdzeniem przywilejów, stanęły po jego stronie i zabroniły dowozu broni do Warmii i Prus krzyżackich. Także i na Szląsku sprawa Władysława Jagiellończyka poprawiła się znacznie tak, że Maciej przystał na krótki rozejm w całym Szląsku z Czechami. Cesarz jakby zgnieść pragnął nienawistnego mu Macieja Korwina, nadał 7 maja 1477 Czechy w lenno Władysławowi Jagiellończykowi. Wybuchła stąd wojna pomiędzy Maciejem a cesarzem, a pierwszy w listach wypowiednich z żółcią pisanych pomawiał cesarza, że on to podmawia Polaków i Czechów do nieprzyjaźni z Maciejem, że posunął się nawet do nakazu, pod cesarską banicyę, oddania posłuszeństwa heretykowi[1]). Oczywiście Fryderyk III. zawezwał Kazimierza na podstawie przymierza do dania mu pomocy, ale jak trafnie mówi współczesny pisarz, król Polski nie mógł jej udzielić, będąc zajęty przez biskupa warmińskiego i przez Krzyżaków[2]).

Papież Sykstus stanął oczywiście po stronie króla Macieja i srogo wyrzucał cesarzowi nadanie inwestytury kacerzowi, przez co umocnił w Czechach kacerzy, dając potwierdzenie ich nieprawnej elekcyi, z czego tylko Turcy skorzystają i zaczerpną śmiałości do najazdu Węgier.[3])

Do Czechów również napisał z otuchą, by nie mieli najmniejszej wątpliwości, że Maciej jest ich prawowitym królem, że elekcya ich była prawowitą, gdyż heretykom nie przysługuje to prawo. Zaskoczony wojną cesarz uciekł z Wiednia, a zwycięzca król Maciej otrzymał korzystne warunki zaszczytnego pokoju, pomiędzy innemi i regalia królestwa Czeskiego.

Bronił Sykstus męża, na którym budował swe plany, przewi-

[1]) Fontes rer. Austr. 46 p. 416.
[2]) Golesti u Schwandtnera I c. 4. Cod. ep. III, N. 251 cf. N. 254.
[3]) SS. rer. Sil XIII, N. 284 cf, N. 276, 287.

dując trafnie klęski chrześcijan z wojny, w które uwikłano króla węgierskiego — gdyż właśnie w czasie wojny i wyprawy Macieja do Austryi Turcy napadem na Friul spustoczyli kraj po Wenecyę z jednej, po Willach z drugiej strony i uprowadzili 20 tysięcy jeńców. Klęski te przyspieszyły zawarcie pokoju pomiędzy Maciejem a cesarzem[1]).

Popierał też papież sprawę Macieja i w Polsce częstymi listami i upomnieniami, nakazując dochowywanie rozejmu i pokoju. Zbyt energiczny nuncyusz papieski, Dr. Baltazar z Piscyi, niezwykłą rozwinął energię celem powstrzymania króla Kazimierza od dania pomocy cesarzowi, a z drugiej strony, aby odwieść go od odwetu na Tungenie. Wysłał też surowe upomnienie zarówno do króla Kazimierza jakoteż i do Władysława, aby pozostawili w pokoju króla Macieja i od wszelkich nieprzyjacielskich kroków się powstrzymali[2]). Jeszcze w maju wezwał był on duchowieństwo Niemiec, Czech, Węgier i Polski do publicznego upominania królów Kazimierza i Władysława i to pod grozą klątwy, aby swem nieprzyjacielskiem postępowaniem nie odciągali Macieja od wojen z heretykami i Osmanami[3]). Teraz, gdy Władysław mimo groźby wysłał małe posiłki cesarzowi[4]), a była obawa, że Kazimierz równocześnie uderzy na Tungena[5]), Nuncyusz przychodzi z pomocą temuż i Maciejowi i rzuca klątwę na Kazimierza i Władysława z powodu popierania kacerzy, którzy ostrzeżeni zwróconymi przeciwko nim listami nuncyusza nie usłuchali głosu przestrogi. Uwiadomienia o klątwie rzuconej rozesłał Baltazar także i do Prus polskich, zwalniając równocześnie poddanych od przysięgi złożonej królowi[6]). Kazimierz lubo zaprotestował w Rzymie przeciwko takiemu postępowaniu, w Polsce zabronił zaś egzekucyę

---

[1]) Tak utrzymuje Eschenloer SSr. Sil. XIII, N. 294.

[2]) Cod. ep. III, N. 258.

[3]) Cod. ep. III, N. 246.

[4]) Ob. list Nuncyusza w SSr. Sil. XIII, N. 287 a.

[5]) Escheloera list z 9 grudnia 1477 r. w SSr. Sil. VII, p. XXIX cf. Skarbiec Daniłowicza II, N. 1990. Cod. ep. III, N. 263.

[6]) List Baltazara z 15 stycznia 1478 w SS r. Sil. XIII p. 297 i Daniłowicza Skarbiec II, N. 216.

cenzur i wogóle przyjmowania pism, pochodzących od Baltazara pod najsurowszemi karami w swych państwach[1]), jednakże musiał na chwilę zaprzestać myśleć o odwecie. Na zapytanie wysłane do Macieja co do protektoratu objętego nad Mistrzem Zakonu odpowiedział królowi Korwin, że był to odwet za szkody poczynione na Szląsku, że jednak szuka sposobu pozbycia się protektoratu. Kazimierz nazwał to objęcie czynem niegodnym, a szkody na Szląsku tłómaczył jako odwet z powodu wtargnięcia ks. Jana Żegańskiego do Polski[2]). Było widocznem, że Maciej znużony wojną z Jagiellonami dążył do pokoju, poświęcając swych sprzymierzeńców. W Bernie morawskiem 28 marca zawarto rozejm pomiędzy Maciejem a Władysławem i zgodzono się na główny warunek pokoju, nad którym to 24 czerwca w Ołomuńcu obradować miano i tam go podpisać. Warunek ten opiewał, że Władysław jako dziedziczny król Czech daje Maciejowi w zastaw w sumie 400.000 dukatów Morawy, Szląsk i Łużyce, następcy Macieja mają zwrócić królom czeskim zastaw za wypłatą sumy wspomnianej. Na wypadek najazdu Czech miano sobie wzajemnie dopomagać a Władysław zobowiązał się dać glejty posłom polskim na zjazd z królem Maciejem i dopomódz do zgody króla z Polską.

W terytoryach Tungena i Truchsessa, gdzie te powodzenia Macieja witano owacyami, gdzie jak w Warmii układano z rozkazu Tungena modły dziękczynne z powodu odwołania inwestytury czeskiej a nadania jej Maciejowi, teraz, gdy zbliżać się począł do Jagiellonów, nastąpiła depresya. Odwagę już tylko na chwilę zaczerpnęli oni w ogłoszeniu cenzur na Jagiellonów przez nuncyusza, natomiast stracili poparcie stanów, które stanęły po stronie króla.

Stany wysłały też posłów do Truchsessa, wzbraniającego się złożyć królowi przysięgi, niczego jednak nie uzyskały. Truchsess straciwszy w zupełności kontakt z bieżącą wielką polityką ówczesną, zajął Brodnicę, Chełmno i Althaus, czem skłonił króla do orężnego wystąpienia, podczas gdy stany przyaresztowały po-

[1]) Cod. ep. I, 2, 235. Protest przez kanonika pozn. Gorłupskiego w Cod. ep. III, N. 266.

[2]) Thunert I, N. 211.

sylki broni przeznaczone dla mistrza, a Gdańszczanie flotę swą przygotowali do operacyi na Hafie i na Pasardze.

Wojska polskie skierowały jednak wyprawę nie przeciwko Mistrzowi, lecz na Warmię, którą też niebawem zajęto — tylko drobne oddziały i to „wbrew życzeniu króla", który srogo nakazał był nie najeżdżać krajów Mistrza, poczyniły Krzyżakom trochę szkody; wojska zaś Truchsessa pierzchnęły przed Polakami. Tungen opuszczony przez swoich, nakłoniony przez nich do abdykacyi, oświadczył się z chęcią ustąpienia. Nadzieja pomocy od Macieja zawiodła. Wprawdzie rozejmem uczynionym przez posłów polskich 21 listopada 1478 r. z Maciejem w Wyszehradzie objęto także Tungena i oznaczono zjazd na gromniczną, na który i Tungen z Mistrzem wysłać mieli pełnomocników, ale ani te zarządzenia ani rozgłaszanie jakichś nowych cenzur, które rzekomo miał nuncyusz Baltazar ogłosić, nie poprawiło sytuacyi sprzymierzeńców Maciejowych. Stany pruskie w obawie, aby król zbliżający się do zgody z Maciejem, nie ułatwił jej sobie kosztem Prus, tem bardziej stanęły przy królu tak, że Tungenowi groziło wypędzenie przez własnych poddanych. W Sieradzu na Zielone świątki 1479 r. upokorzył się Tungen i króla, którego tak srodze był obraził, na klęczkach błagał o przebaczenie. Król przebaczył wspaniałomyślnie Tungenowi, a nawet na prośby senatu polskiego nadał mu biskupstwo warmińskie. Truchsess złożył przysięgę królowi dopiero 9 października 1479 r.

Wśród całego tego okresu upokorzenia Tungena i Truchsessa Maciej lubo błagany o posiłki i pomoc nie uczynił nic nad to, że jak zaznaczono, rozejmem swym wyszehradzkim objął i Tungena. Zresztą bowiem umiał tylko listami budzić nadzieję sprzymierzeńców, snuć jakieś plany poparcia sprawy Mistrza ze Szląska, żądać od Brandenburczyków wydania Mistrzowi Nowej Marchii[1]), ale wszystkie te pomysły nie przydały się na nic sprzymierzeńcom, a nawet szkodziły ich sprawie[2]). Nawet posłów swoich, jak był

[1]) Fontes rer. Austr. 46, N. 428 list opata z Zegonia o planach Macieja

[2]) Tak n. p. wojska zaciężne, spieszące na pomoc Zakonowi przez Marchię, rozprószyły się na wieść, że Margrabia chce pospieszyć na pomoc królowi Kazimierzowi. Cod. ep. III, N. 292.

zobowiązany, nie przysłał na czas, by asystowali przy zgodzie króla z Tungenem, przybyli oni dopiero w październiku do Korczyna, aby asystować hołdowi Truchsessa, któremu, gdy się wzbraniał złożyć przysięgi, jeden z posłów Fabian Hanko wyraźnie oświadczył że niema co liczyć na króla Macieja.

Zrzeczenie się z tej opieki nad Mistrzem Zakonu i opuszczenie Tungena było owocem zjazdu ołomunieckiego na wiosnę 1479 odbytego, kiedyto utwierdzono zgodę Jagiellonów z Maciejem i położono koniec wojnie, która przez dwanaście lat niepokoiła te właśnie kraje i ludy, które były w możności najenergiczniej poprzeć zamiary papieskie, o których poparcie cały szereg papieży do nich napróżno kołatał. Maciej umiał rozwinąć niezwykły przepych w Ołomuńcu, dokąd prócz wielu książąt przybył także Władysław Jagiellończyk ze skromnym dworem. Królowa Beatryce, pisze Eichenloer, przybyła w złotym powozie, w otoczeniu pięciu tysięcy rycerstwa — przepych był niewidziany, wprost bajeczny. Sama urządzała pokoje Władysławowi Jagiellończykowi, podczas gdy Maciej jeszcze bogatszymi obdarzył króla prezentami... mówią że nawet Aleksander wielki, że wogóle nikt w świecie nie rozwinął nigdy takiego przepychu.

Jeżeli Maciej przepychem tym osłonił nieco małe realne korzyści z pokoju swego z Jagiellonami, to jednakże nie zakrył tego faktu, że zawiedli się na nim papieże, licząc na jego poparcie orężne obrony krzyża. Właśnie w chwili, gdy Maciej podpisywał glejty posłom polskim na zjazd w Ołomuńcu, pełnomocnicy Wenecyi podpisywali haniebny dla potężnej signoryi układ z Turcyą, na mocy którego odstępowali jej Lesbos, Skutari, Matapan i inne swe posiadłości... Maciej dowiedziawszy się o tem, był oburzony ; gniewał się na papieża, twierdził o nim, że popadł w półapkę Wenecyan, o sobie mówił, że jest osamotniony, że papież nadto paraliżuje politykę teścia Maciejowego, Ferdynanda Neapolitańskiego. Właściwie powinien był gniewać się na siebie, gdyż mając siłę i środki po temu, mając poparcie papieży, nie działał w ten sposób, aby zapobiegać skutecznie rozwielmożnieniu się potęgi Osmańskiej na lądzie i na morzu. I Sykstus IV i Innocenty VII nieraz jeszcze wspierali i zachęcali Macieja do akcyi ; już się

nie dał do niej skłonić Korwin, już był zbyt wygodnym, aby podejmować trudy uciążliwej wojny.

Maciej Korwin był zbyt ognistego temperamentu, aby dzieło, wymagające poświęcenia całego życia, wszystkich sił wytężenia, wszystkich środków stałego użycia w jednym wyłącznie kierunku przywieść do skutku. Zrażał się zbyt szybko i odstępował od rozpoczętej świeżo akcyi, aby wnet począć inną na dalekiem odległem polu, akcya nie wiążąca się z rozpoczętą niczem, jak tylko chęcią przygód, rozgłosu, sławy. Był on zbyt pewnym siebie a przytem zbyt szczęśliwym, aby usłuchać głos czyjś i iść za nim stale zbyt dumnym, aby przyjąć krytykę własnego postępowania ze spokojem, a cóż dopiero do niej się zastosować. Dlatego to widzimy jak odsuwają się odeń tacy, jak poeta biskup Jan z Cześmicy, jak Jan Witeź ze Sredny.

Nie był też Maciej zbyt powolnym synem Kościoła, lecz raczej synem swego wieku i podzielał wszystkie zalety i wady monarchów swego czasu. Jeżeli tendencyą ich była myśl skierowana na własny naród, co bardziej na podniesienie własnego domu, Korwin nie różnił się od nich w celach; jeżeli wszyscy oni budową państwa głównie byli zajęci i temu zadaniu główne wysiłki poświęcali i Korwin wysiłki swe w tym zwracał kierunku, jeżeli wszyscy oni emancypowali się od dotychczasowych powag, od zasad uświęconych wiekami, zwracając się do nowych idei, to Korwin był jednym z pierwszych, który na tej drodze kroczył. Wiele dobra spłynęło stąd dla jego narodu i pewna, że pomysłowość w obmyślaniu a samodzielność w wykonywaniu żądań państwowych opierała się i wspieraną była przez uległość jego dla nowych prądów. Lecz w tej uległości może zbytniej tkwiły i słabsze strony jego działalności. Przedewszystkiem brak przejęcia się ideami, które chwilowo jako własne wywieszał hasła, im służył, je usty i czynem głosił, a jednak w gruncie rzeczy był im obcy.

Ulegał, podobnie jak król Kazimierz i Korwin podszeptom skierowanym przeciwko powadze papieży, a zapalczywość wiodła go do czynów, których pewno później żałował. Gdy Pius II Stefanowi, królowi bośniackiemu nadał pewne przywileje, zganił tę łaskawość papieża Maciej w taki sposób, że papież upomniał

króla Stefana, by pamiętał o spełnieniu obowiązku względem swego zwierzchnika, króla Węgier. Legata, usiłującego wstawić się za prałatami i magnatami popadłymi w niełaskę, wydala król z Węgier. Gdy Pius II chciał stanąć w obronie praw Hardecka z Maidburga do dóbr Cylejskich i powołać tę sprawę przed swój trybunał, oświadczył Maciej, iż będzie bronić swych praw ale przed trybunałem węgierskim i nie stanie przed trybunałem papieskim. A kiedy Sykstus IV nie Antoniego z Zary, którego sobie król życzył, ale Krzysztofa z Raguzy mianował biskupem Modrusza, napisał król do kollegium kardynalskiego z wyrzutem, że papież prawo nominacyjne biskupów, przysługujące królom węgierskim, podeptał i że węgierski naród raczej herb swój, krzyż dwuramienny, przemieni na trzyramienny, (osobny patryarchat) aniżeli dozwoli, aby podlegające prawu koronnemu prałatury były przez Rzym rozdawane. Na oświadczenie tegoż papieża, że wyśle wojska przeciwko teściowi Maciejowemu Ferdynandowi, królowi Neapolu, odpowiedział Maciej, że będzie bronić teścia i apelował w sprawie sporu do lepiej informowanego papieża. Gdy zaś następca Sykstusa IV, Innocenty VIII, pogroził królowi klątwą, ogłosił Maciej w Węgrzech pismo w odpowiedzi na groźbę papieżowi przesłane i Innocenty przestał tylko na lekkiej królowi przyganie, mającej raczej charakter przeprosin aniżeli nagany. Jak widzimy, nie był tedy Korwin ani na jotę innym aniżeli współcześni mu królowie, aniżeli sąsiad jego Kazimierz.

Czyż mógł jednak mąż tak samodzielnego usposobienia, tak zazdrosny o władzę a nie dający się powodować, oddać się z całem sercem poruczonemu sobie od papieży zadaniu? Czyż mógł spełnić zadanie w Czechach, o którem głosił, że jest jego własnem z przekonania podjętem dziełem i że jest samodzielnym wykonawcą papieskiej woli. Co bardziej, czy mógł taki mąż podjąć nierównie trudniejsze od czeskiej sprawy zadanie obrony krzyża, wymagające przedewszystkiem zapału i heroicznego poświęcenia takiego Warneńczyka, swego na tronie węgierskim poprzednika. Na te pytania Maciej, który Władysława Jagiellończyka przybrał za syna pokojem ołomunieckim i uznał za dzie-

dzicznego króla Czech, z którym przymierze zawarł, sam daje odpowiedź. Oto gdy Innocenty VIII w kilka lat później przyjął posłów króla Władysława, Korwin przyjmując na audencyi legata, począł mu wyrzucać, że papież nie zważając na powagę i prawa królewskie, przyjął posłów nowoobranego *(sic)* króla Władysława i uznał go i potwierdził jako króla. Najsmutniejsze jest to, mówił Korwin, że Ojciec święty potwierdził elekcyę, którą papież Sykstus IV przedtem unieważnił, obkładając swego czasu wyborców jako kacerzy klątwą. Król czeski, który przedtem był moim poddanym, począł podburzać przeciwko mnie szląskich moich i morawskich poddanych. Musiałem rzucić się nań z wielkiemi siłami, inaczej utraciłbym oba kraje zagrożone, a kacerstwo podniosłoby głowę[1]). Jakie pogmatwanie faktów, jaka złośliwość, próżność. Czyż takiemu mężowi, który tak się bronił, a z Jerzykiem w Polsce układy toczył, mogło istotnie zależeć na tem, aby kacerze nie istnieli w Czechach i czyż Władysław Jagiellończyk uznany przezeń królem dziedzicznym Czech, zasługiwał na takie traktowanie go jako głowy kacerzy, a papież, który tylko uznał fakt poprzednio przez samego Macieja dokonany zasługiwał na zarzuty.

Zapytujemy dalej na podstawie słów i sądów, wyrzeczonych przez samego Macieja, czy mógł ze skutkiem dzieło papieskie doprowadzić mąż, który Wenecyan i największe wojny i największe ofiary ponoszących w walkach z Osmanami w nienawiści swej za gorszych uważał, za bardziej pozbawionych sumienia aniżeli Turków? Nie — mąż, który umiał obliczać ile milionów wydał na czeskie wyprawy, a sprzymierzeńców chociaż mimowolnych w walkach swych traktował z gburowatą pyszałkowatością, nie mógł być przejęty ogniem świętym Warneńczyka, czego wymagały takie trudne zadania jak walki z Osmanami. Dlatego to spycha on winy na nim ciążące na papieży, na Jagiellończyków, których nienawidzi do końca życia, jako tych, którzy usiłują przywłaszczyć sobie kraje korony węgierskiej, a których prawa dziedzictwa po Władysławie Pogrobowcu sam uznał.

Dzielnym był Maciej monarchą przy tłumieniu opozycyi

---

[1]) Mowa u Fiaknoja, Mathias Corvinus p. 251, 253.

stanów węgierskich, gdyż i największe ofiary od nich dla dobra ojczyzny wydobyć zdołał, gdy wszystkich na okół sąsiadów do poszanowania swej władzy i królestwa swego zmuszał, gdy z książętami i ludami (jak Szwajcaryą) w aliansy, rozszerzające znaczenie swego państwa, wchodził, nadzieje jednak papieży co do obrony Krzyża zawiódł. Nie był on ani też chciał być bohaterem, jakiego wymagało trudne zadanie, o jakim przy swym talencie i przy pomocy wydatnej kuryi apostolskiej mógł zostać. Sławę, za którą gonił i rozwielmożnienie królestwa, wejście w styczność z Włochami, z Neapolem, potęgę, to wszystko uzyskał Maciej, ale miłości narodu swego i tej sławy, jaką mógłby był osiągnąć gdyby z całą duszą oddał się zadaniom poruczonym mu przez papieży, nie zdobył. Stany węgierskie buntują się od czasu do czasu przeciwko swemu królowi, zarzucając mu prowadzenie wojen zbytecznych i państwu szkodliwych. Miłości u wyższych stanów nie mógł posiadać król dorobkiewicz, który opozycyę w państwie w tak barbarzyński sposób tłumił, że mądrego biskupa i wielkiego pisarza w twarz uderzył...

Kazimierz natomiast z konsekwencyą i wytrwałością zdążał nie do sławy u swoich i obcych, nie do rozwielmożnienia imienia swego i państwa, lecz do realnego zadania osadzenia synów na tronach sąsiednich państw, które uważał za dziedzictwo swej żony. Mając takiego współzawodnika, jakim był Maciej, ulubieniec papieży, wspierany przez nich, doszedł do celu środkami nie tak potężnymi, jakimi rozporządzał przeciwnik, ale przedewszystkiem oddaniem się z całą duszą jednemu zadaniu, do którego jako do celu panowania z podziwu godną wytrwałością i konsekwencyą zdążał. On był skromny do ofiar, nawet do sojuszu ze swym przeciwnikiem Maciejem, skoroby tylko od Czech na korzyść Władysława i od protektoratu nad Tungenem i Krzyżakami odstąpił i pewno, że podówczas nie odmówiłby był dzielnemu wodzowi pomocy w walce przeciwko Osmanom, którego zasługi na polu obrony Europy od Turcyi cenił wraz z swą radą koronną i wysoko podnosił.

Znaczenie dziejowe stosunków obu tych monarchów da się streścić w tem jednem zdaniu, że emulacyą swoją ułatwili try-

umfy Osmanom. Kiedy Maciej tryumfował z powodu swej ołomunieckiej koronacyi i wojował z Jerzykiem, Turcy niszczą olbrzymim najazdem Siedmiogród, Kroacyę, Krainę, południową Styryę, Marchię Windyjską. Po nieszczęsnej wyprawie królewicza Kazimierza na Węgry, podczas największego napięcia pomiędzy Maciejem a Jagiellonami, Turcy zjawiają się pod Lublaną, a w rok później 1475 najeżdżają Kroacyę, Krainę, Styryę, Gorycyę. Po nieszczęsnej wojnie na Szląsku niszczą oni Siedmiogród, Wołoszczyznę, zajmują Kafę i oblegają twierdze czarnomorskie Kilię i Białogród. W 1478 r. znowu niszczą najazdem alpejskie kraje i górne Włochy, zmuszając potężną signoryę do haniebnego pokoju, a w rok później 11 sierpnia 1480 zdobywają Otranto.

Niewątpliwie, że korzystali Turcy z wielu okoliczności, z emulacyi państw włoskich, z niezgody cesarza i wojny jego z Maciejem, ale że do tryumfów ich zwłaszcza nad Dunajem, Sawą, Prutem, w Krymie nad Morzem Czarnem przyczyniła się w znacznej mierze emulacya Macieja z Jagiellonami, to chyba nie może ulegać wątpieniu. A jeżeli tak jest, czyż nie należy hołdu oddać tym papieżom, którzy tę emulacyę łagodzili, a wszystkich do obrony Europy zachęcali, czyż nie należy uznać hasła obrony Krzyża i cywilizacyi chrześcijańskiej za hasło realne, odpowiadające potrzebom ludów.

Tryumfy Osmanów nie mogły wyjść jak tylko na szkodę państw, które emulacyą swą je ułatwiały, jak państw włoskich a przedewszystkiem Węgier i Polski. Tę ostatnią z powodu upadku Kafy i zajęcia Kilii przez Turków odcięto od morza. Równocześnie prawie poczęło upadać znaczenie Polski na północnym wschodzie; na skutek odpadania księstw wasalnych Litewskich, gromadzonych ręką Iwana III Wasylewicza, któremu Maciej podawał rękę.

Dr. Antoni Prochaska.

Istota i rodzaje systemów filozoficznych.

(Dokończenie).

Przedmiot filozofii można podzielić na dwie części: przedmiot bytu, który stanowią Bóg, świat, człowiek i łączące się z nimi zagadnienia, oraz przedmiot życia, postępowania ludzkiego, przedmiot choć mniej uchwytny, lecz niemniej bogaty w treść. Pierwszym zajmują się głównie wyżej rozważane systematy metafizyczne i epistemologiczne, a drugim, t. j. praktyką życiową — systemy etyczne. Lecz należy tu zwrócić uwagę na to, że i syntezy metafizyczne, a nawet i w pewnej części i kierunki kryteryologiczne, naturalnym biegiem rzeczy, zajmują się sprawami etycznemi i dają na nie konsekwentnie wynikające z całości systemu odpowiedzi tak, iż etyka wchodzi w zakres każdego głównego systemu filozoficznego. Materyalizm, teizm, idealizm, determinizm posiadają gotowe odpowiedzi na wszystkie sprawy życiowe. Również i sceptycyzm, dogmatyzm, skrajny empiryzm nie pozostają bez wpływu na życie. Fakt ten łatwo daje się wytłumaczyć. Poglądy na świat, na treść bytu, jego podstawy i prawa, na zagadnienia pozadoświadczalne należą do dziedziny prawdy, rozumianej w najszerszem znaczeniu. W życiu zaś każdy chce postępować wedle zasad i norm prawdziwych, odpowiadających rzeczywistości lub też logicznie wynikających z rodzaju przyjętego stosunku przez dany system do świata. Stąd też i kierunki etyczne są

w ścisłej zależności od systemów metafizycznych. Wszakże pierwszorzędnej i aktualnej wagi kwestye etyczne z czasem wytworzyły i rozwinęły swoje specyalne kierunki, które *par excellence* zajmują się życiem i moralnością.

Dwa są rodzaje kierunków etycznych: jedne, które zajmują się celem ludzkich dążeń czyli samemi dobrami i drugie, uwzględniające powstawanie praw i zasad moralnych.

Do pierwszych należą: hedonizm, stoicyzm, chrystyanizm, utylitaryzm, egoizm (indywidualizm) i altruizm. Drugi zaś rodzaj owych kierunków tworzą heteronomizm, autonomizm i ewolucyonizm.

Rozwiązanie zagadki życiowej leży w wyjaśnieniu celu naszego życia, ponieważ od niego zależy cały bieg naszego postępowania. Wszystko ma jakiś cel w ustroju wszechświata, tembardziej więc musi go mieć człowiek przed sobą, ku któremu skierowywałby wszystkie swoje sprawy, dążenia, potrzeby i ideały. Otóż kierunki etyczne w rozwiązaniu i wytknięciu zasadniczego celu życia ludzkiego nie są zgodne. Jedne widzą ów cel w używaniu osobistem szczęścia czyli dóbr doczesnych, inne w szczęściu zagrobowem, jeszcze inne w zaparciu się siebie bez oglądania się na przyszłość pośmiertną. Są i takie, które pożytek ogólny wynoszą jako jedynie godny ideał naszych dążeń.

I tak hedonizm nazywany inaczej eudemonizmem, kierunek nawskróś naturalistyczny i materyalistyczny przyjmuje rozkosze chwilowe, indywidualne, za główny cel życia i normę moralności. Jestto najbardziej poziomy system etyczny. Do jego zwolenników zaliczają się przedewszystkiem ludzie albo bez żadnych zasad i wyższych aspiracyi albo zdeklarowani cynicy, których nigdy nie brak. A dziś jest ich może więcej, aniżeli kiedykolwiek. O wiele wyżej stoi od niego stoicyzm, wypowiadający stanowczą walkę wszystkim namiętnościom, a więc używaniu wszelkich dóbr, jakie daje świat. Zasadą jego jest znoszenie wszelkich cierpień, przykrości i bólów. Ale na co, dlaczego, za co? Oto stoicyzm nie pyta się ani troszczy. Umartwienie dla umartwienia, cierpienie dla cierpienia, praca dla

pracy — oto jego dewiza. Mimo jednakże swojej wysokiej szlachetności, bezinteresowności i bohaterstwa nawet, stoicyzm w gruncie rzeczy należy do kierunków negatywnych, skrajnych i pesymistycznych, a te są rezultatem metafizyki materyalistycznej. Chrześciański zaś kierunek etyki, która stanowi zasadniczy rys nauki Chrystusowej, rozwiązuje zagadnienie moralne najdoskonalej, najwszechstronniej ze wszystkich punktów widzenia i stawia bowiem człowieka i jego życie na wysokim piedestale, który prawdziwie odpowiada godności ludzkiej. Główny cel życia pozagrobowy, pojęcie obowiązku, cnoty, sankcyi, sumienia, wolności woli mają w tym kierunku istotnie głębokie uzasadnienie, czego nie czynią inne kierunki etyczne, gdyż albo te zagadnienia pojmują jednostronnie albo obniżają i lekceważą albo zupełnie negują.

W utylitaryzmie kwestye te schodzą na podrzędne miejsce. Najgłówniejszym bowiem celem tego kierunku jest pożytek jużto osobisty jużto ogólny. Pod użytecznością należy tu rozumieć przedewszystkiem dobrobyt materyalny. Oczywiście, że założenia utylitaryzmu zbliżają go do naturalizmu i empiryzmu, gdyż zresztą z nich logicznie wynikają. Stąd też życie moralne ludzkości kierunek ten bierze pod wysoce ciasnym i jednostronnym kątem widzenia. Głębiej natomiast w istotę tegoż życia wnika i szerzej go pojmuje indywidualizm, który zaspokojenie wszystkich potrzeb, nie tylko materyalnych, ale i duchowych jednostek uważa za podstawę moralności. Ale znowu pogląd ten ma tę słabą stronę, iż do przeprowadzenia w życiu całkowicie jest niemożliwy, gdyż z niego wypływa walka wszystkich przeciwko wszystkim. *Homo homini lupus.*

Pod tym względem wyżej od niego stoi altruizm, domagający się dobra rozumianego znacznie szerzej, niż przez utylitaryzm, dla wszystkich bez wyjątku, a w szczególności dla ubogich, opuszczonych. Idee humanitaryzmu są tu szczytnie reprezentowane. Dlatego też wartość jego jest wielka i trwała, bo oparta na poważnych podstawach tak praktycznych jak i teoretycznych.

Drugi rodzaj kierunków etycznych, badających źródła

i początki praw moralności, stanowią heteronomizm, autonomizm i ewolucyonizm czyli empiryzm.

Heterenomizm polega na tem, że przyjmuje przepisy i prawa moralne z zewnątrz, z góry albo od religii (Boga) albo od państwa. Moralność oparta na takich przepisach i prawach, jak n. p. przepisach religijnych, od Boga objawionych jest jedynie zdolną kierować życiem i unormować stosunki moralno-społeczne wśród udzi. Dlatego w tym kierunku należy szukać prawdziwej etyki.

Autonomiczne zaś pochodzenie prawideł i obowiązków moralnych nie jest w stan'e w praktyce zaprowadzić ładu, porządku i bezpieczeństwa wśród jednostek, ponieważ każda z nich czuje się w prawie postępować według swego widzimisię, według swoich ideałów i upodobań. Stąd autonomiczna etyka nie ma przed sobą przyszłości, pomimo wielkiej liczby swoich przedstawicieli i pomimo zbyt indywidualistycznie, a więc i autonomicznie nastrojonych czasów dzisiejszych.

Nie ma także przed sobą przyszłości i ewolucyonizm, wyprowadzający wszystkie normy postępowania naszego z walki o byt materyalny. Uwzględnia on, zresztą konsekwentnie, tylko pewne zewnętrzne strony życia, ignorując zupełnie wewnętrzne objawy psychiki ludzkiej, jak sumienie, cnota, sprawiedliwość, dobro i zło. To też należy on do najbardziej pesymistycznych kierunków moralnych.

Przy rozpatrywaniu choć pobieżnem ważniejszych systemów etycznych nie można pominąć optymizmu i pesymizmu, znanych już w dalekiej starożytności. Rys optymistyczny albo pesymistyczny posiada każdy kierunek moralny. Zależy to już od wniosków, płynących z całości danego poglądu etycznego już od samych jego zasad.

Wszystkie systemy moralne empiryczne są przepojone pesymizmem, tymczasem poglądy etyczne, upatrujące wyższy cel życia poza grobem, są optymistyczne. To jest ogólna zasada, od której są jednak wyjątki, bo optymistą może być i hedonista, rozkosznik życiowy, jak i utyliarysta. Tak się przedstawiają w ogólnym zarysie kierunki etyczne. Na nich też kończę

krótki i pobieżny rozbiór systemów filozoficznych ogólnych, będących wynikiem pracy długiego szeregu pokoleń ludzkich i mających swoje uzasadnienie w większym lub mniejszym stopniu w rzeczywistości, jak to już wykazywałem wyżej. Są to systemy prawie stale w dziejach myśli się pojawiające, na ogół wykończone i konsekwentne, systemy, których powstania nie można przypisać jednemu, a nawet kilku filozofom, ale całemu szeregowi myślicieli, którzy żyli w różnych czasach i z różnych stron one koncepcye świata uzupełniali i udoskonalali. Tem się też tłumaczy ich względna zgodność twierdzeń z całością i ogólnemi zasadami, na których stoją. W każdej wielkiej syntezie filozoficznej, rzecz oczywista, spotykamy lwią rękę wielkich filozofów, twórców własnych systemów, którzy bądź co bądź pomimo swego geniuszu, na tym lub innym już istniejącym systemie filozoficznym twierdzenia swoje oparli i przez to przyczynili się w znacznym stopniu do rozwoju i postępu. Imię Arystotelesa zawsze będzie związane z dualizmem, racyonalizmem, imię Platona z idealizmem, imię Demokryta z materyalizmem, imię Kanta z subjektywizmem i krytycyzmem, imię Spinozy z panteizmem i t. p. Poglądy jednak ich własne, indywidualne, w całości wzięte, różnią się w bardzo wysokim stopniu od poprzednich systemów i noszą na sobie piętno swojego twórcy-filozofa. Z tego też powodu odróżniłem i podzieliłem wszystkie systemy filozoficzne na dwa działy ogólne i indywidualne. Przyjrzyjmy się teraz tym ostatnim i zobaczmy ich cechy bliżej.

III.

Systemy, do których przystępujemy, odznaczają się przeważnie śmiałością rzutu oka w istotę rzeczy, nowością, ale i brakiem wykończenia, często niekonsekwencyą, właściwościami indywidualnemi oraz zależnością od ducha czasu. Z tego względu wartość ich naukowa jest mniejsza od poprzednich, choć tego rodzaju syntezy świata sprawiają przełomy w historyi filozofii.

Już pierwsi filozofowie odznaczają się wielką oryginalnością w swoich pomysłach o świecie. Z pomiędzy nich wyróżniają się: Tales, który za początek i źródło wszechrzeczy przyjmuje wodę, Anaximenes, uważający za takież źródło powietrze, Pitagoras, tłumaczący istotę rzeczy przez liczbę. Usiłowania te rozwiązania zagadki wszechświata, choć są bardzo proste i naiwne, świadczą wszakże o śmiałości umysłów, których poglądy, jako najstarsze, doszły do nas. Nieco głębiej od nich zapatrują się na rzeczywistość: Heraklit, Anaxagoras, Parmenides, Empedokles i inni, którzy, widząc, że koncepcye świata poprzedników są zbyt ciasne i jednostronne, aby tłumaczyły należycie wszystkie rzeczy, przyjmują więcej zasad albo nawet jedną, lecz szerzej pojętą, któreby wierniej odpowiadały zjawiskom świata. Heraklit wygłasza zasadę, że wszystko płynie; Anaxagoras tłumaczy wszystkie fenomeny i zdarzenia cząsteczkami, z których składa się materya. Empedokles przyjmuje aż cztery pierwiastki: powietrze, wodę, ziemię i ogień, z których miał powstać kosmos, a między tymi elementami zachodzą zmiany dzięki miłości i nienawiści, które na podobieństwo uczuć ludzkich w nich się znajdują. Widzimy więc wśród owych pierwotnych myślicieli-syntetyków odrębność i niezgodność w poglądach, co się tyczy głównych podstawowych zasad, nie mówiąc o różnicach poszczególnych. Jakiż stąd wniosek? Oto taki, że ich twórcy różnili się usposobieniami, upodobaniami, czasem, w którym żyli i rodzajem umysłu, z których powstały pierwsze systemy filozoficzne.

To samo spotykamy i u następnych kontynuatorów filozofii bez względu na ogólne wyrobienie myśli i postęp kultury.

Demokryt, choć już rzuca trwałe podstawy dla empiryzmu, atomizmu i materyalizmu i badania swoje opiera na ścisłej obserwacyi, to jednak w swym systemie nie jest wolny od pierwiastków indywidualnych, jemu tylko właściwych. Demokryt n. p. przyjmuje duszę, będącą jakąś materyą i doskonalszą wbrew swoim głównym założeniom. Empirykowi temu przypisują również niektórzy naukę o boskiej duszy świata, co świadczy także o odrębności jego syntezy materyalistycznej od innych odcieni

tego poglądu. Następnym głośnym myślicielem, który wystąpił po Demokrycie z oryginalnymi poglądami na filozofię, jest Sokrates. Ten czyni zwrot, przełom w dotychczasowej filozofii. Do niego zajmowano się wyłącznie światem zewnętrznym. Sokrates zaś zwrócił myśl ludzką na poznanie siebie. I to jest główną i najważniejszą jego zasługą. Pomimo, że Sokrates sam był bardzo niesystematycznym filozofem, jemu jednak przypisują początki metody naukowego poznawania — indukcyi i dedukcyi i pomimo, że myśliciel ten etyczne postępowanie człowieka uważał za główne zadanie filozofii, to jednak w niezmiernej wagi kwestyi teoretycznej, wypowiada zdanie, że prawa myśli i bytu są identyczne, że świat jest celowo urządzony oraz przypuszczał istnienie prawdziwego Boga.

Filozofia Sokratesa stanęła na twardym gruncie rzeczywistości. Nic też dziwnego, że stała się źródłem, dzięki dwu wielkim uczniom ateńskiego mędrca, najbardziej zgodnych z istotą rzeczy syntez filozoficznych Platona i Arystotelesa. Dwaj ci myśliciele istotnie dali zasadnicze rysy i podstawy: Platon — idealizmowi, Arystoteles realizmowi, dwom systemom, które po wszystkie czasy się w umysłach powtarzają. Stąd pochodzi ich nieśmiertelność i znaczenie.

Platon jednakże, choć jest najwybitniejszym przedstawicielem idealizmu, jako kierunku ogólnego, to jego filozofia jest zabarwiona w wysokim stopniu indywidualnymi pomysłami. Centrum jego systematu filozoficznego stanowią idee, prototypy wszystkich rzeczy zmysłowych. Platon, zastanawiając się nad rzeczywistością i godząc z nią poglądy Heraklita, eleatów i pitagorejczyków, doszedł do przekonania, że istota rzeczy znajduje się nie w przymiotach poszczególnych rzeczy, ale w cechach ogólnych tychże, przeto owe najbardziej ogólne cechy uważał za samą kwintesencyę rzeczy. Cechy te podług niego posiadają swój samodzielny, nadzmysłowy byt; przedmioty zaś widzialne, doświadczalne są tylko ich odbiciem, jakby słabem echem. Otóż to oddzielenie szczegółowe od ogółu, pojęć od rzeczy i nadanie taki pojęciom, jak dobroć,

piękność, wielkość, prawdziwość i t. p. bytu samoistnego jest wyłącznie dziełem twórczem Platona. Tem sobie wytłumaczył wielki uczeń Sokratesa stosunek zmienności w świecie zewnętrznym, na co położył tak silny nacisk Heraklet, do trwałości, o której tyle mówili eleaci. Z podobnego pojęcia idei płyną odpowiednie zapatrywania Platona i na inne zagadnienia: wiedzy, duszy, cnoty i in.

W poglądach na istotę poznania Platon jest intuicyonistą, gdyż ludzie nie tyle rozumieją, ile raczej odczuwają istnienie jakiegoś elementu, rzeczy, zjawiska. Prawda znowu zawiera się w ideach, ponieważ kto zna idee, ten zna i wartość rzeczy. Dusza u twórcy idealizmu jest czemś pośredniem między światem idei a światem zewnętrznym, jest jakby ich łącznikiem w tem znaczeniu, że dusza ta z jednej strony dzięki wrażeniom zmysłowym zna rzeczy zewnętrzne, a z drugiej — przez swoje pokrewieństwo z ideami posiada ich reminiscencye czyli znajomość. Stąd człowiek przez tak pojętą duszę stanowi pomost między światem trwałym idealnym, a światem zmiennym, zjawiskowym. Podobnież Platon pojęcie Boga łączy z ideami, a mianowicie utożsamia Go z pierwszą ideą dobra, które jest zarazem jednością, inteligencyą, źródłem innych idei. W ten sposób więc „boski Plato“ rozwiązuje na tle idei najważniejsze zagadnienia filozoficzne. Wielkiej też wagi rolę w systemie Platona gra etyka. Dowodem tego jest fakt, że myśliciel ten na czele wszystkich idei postawił ideę dobra oraz takim cnotom jak sprawiedliwość, doskonałość, posłuszeństwo, miłość poświęcił niektóre swoje dzieła.

Z powyższego widzimy, że mimo wielu i to głównych właściwych tylko Platonowi koncepcyj, system jego zawiera w sobie sporą dozę prawdy, ponieważ liczy się z ogólnie interesowanemi zagadnieniami, którym usiłuje dać swoje oryginalne rozwiązanie.

Niedaleko jest od prawdy i drugi wielki system, wytworzony prawie w tym samym czasie przez również wielkiego sokratyka, Arystotelesa, który położył fundament i podstawy pod każdą dyscyplinę, t. j. naukę filozoficzną: on stworzył logikę, metafizykę, estetykę, nauki, które po dzisiejszy dzień

są osią filozofii europejskiej. Niektóre wprawdzie z jego poglądów straciły z czasem swoją wartość naukową, ale przyznać trzeba, że Arystoteles — to jedyny filozof, po którym najwięcej myśli pozostało potomności i który najbardziej utrafił w sedno rzeczy, biorąc pod uwagę główne poglądy i cechy jego filozofii. Dlatego też, pomijając ogólnie znane i przyjęte jego twierdzenia, zwrócimy uwagę na poglądy, które noszą na sobie więcej piętno indywidualne i z ducha czasu wynikające. Właściwością geniuszu Arystotelesa jest systematyczność, przez którą po raz pierwszy jasno oddzielone zostały nauki filozoficzne od szczegółowych, jak również między temi głównemi grupami zaprowadzony został należyty podział, który pchnął je na nowe tory. Drugą cechą Stagiryty jest szerokie, głębokie i zarazem bezstronne spojrzenie na świat i jego elementy oraz zagadnienia, które znalazły u niego przeważnie udatne wytłumaczenie. Że zaś Arystoteles przyjmował cztery pierwiastki, z których się miały składać rzeczy, że Bóg jest tylko pierwszą przyczyną ruchu, choć istotą pierwszą, ale bez innego wpływu na świat, że cały kosmos jest wielką machiną, której centrum ziemia — wszystko to w części było wynikiem stanu wiedzy współczesnej w części intuicyi jego własnej, lecz mniej trafnej.

Wreszcie Arystoteles umiał szczęśliwie połączyć w sobie dedukcyę z indukcyą, twórczość z objektywizmem, co sprawiło, że materya i forma, substancya i zjawisko, pojęcia ogólne a rzeczy i wiele innych kwestyi pozostało w filozofii jako cenna spuścizna po wielkim filozofie. A z wartości samego systemu, jako całości — słusznie twierdzi napół wróg Arystotelesa, Lange — „przyznać musimy, iż system ten (Arystotelesa) jest najdoskonalszym przykładem istotnego przywrócenia jednolitego i zamkniętego na świat poglądu, jaki historya dotąd dała“ [1]). Oddaje tu więc historyk materyalizmu wielką pochwałę twórcy logiki i ma racyę, gdyż system Arystotelesa jest jeden z bardzo niewielu syntez indywidualnych, które odznaczają się w przeprowadzeniu konsekwencyą. Pod tym względem zbliżają się

[1]) Fr. A. Lange. *Historya filozofii materyalistycznej*, tłumaczenie polskie. 1881, str. 76.

do niego jeszcze św. Tomasz z Aquinu i Spinoza. Przystępujemy odrazu do pierwszego z nich, pominąwszy wielu pomniejszych filozofów, syntetyków, aby dać przykłady systemów indywidualnych, choć najgłośniejszych.

Średniowiecze wydało wielkiego myśliciela w osobie św. Tomasza, który, oparłszy się z jednej strony na filozofii Arystotelesowej, a z drugiej na Objawieniu boskiem, stworzył wyjątkowo wykończony i połączony z sobą system, a raczej gmach, jak się niektórzy pisarze-znawcy wyrażają, podobny do wspaniałych i wiecznotrwałych katedr gotyckich. Jasność, przejrzystość i spoistość są prawdziwą ozdobą jego. Wszystkie zagadnienia i przedmioty są tak ujęte i rozwinięte, że każde odpowiednio do swojego znaczenia, wartości, zależności posiada należyte swoje miejsce i tak są w całości potrzebne, że bez nich ta całość byłaby niezupełną. Główne dzieło jego, *Summa theologica*, zawiera w sobie nietylko wszystkie ważniejsze kwestye z teologii i filozofii wogóle, ale i z ich nauk poszczególnych teoretycznych i praktycznych. Otóż ten ogrom materyału z dwu tak obszernych i bogatych w treść dziedzin, jakiemi są filozofia i teologia, św. Tomasz swym geniuszem nietylko opanował i należycie uporządkował, ale i głęboko uzasadnił tak faktami, jak i dyalektyką, której był mistrzem. Nic też dziwnego, że z tylu obszernych tomów to dzieło się składa, co dotąd w filozofii nie miało miejsca, gdyż przedtem znane były przeważnie tylko drobne rozmiarami traktaty i dzieła filozoficzne. Nadto św. Tomasz z Aquinu doskonale pogodził naukę objawinoą z rozumem i z wynikami współczesnej wiedzy przyrodniczej oraz stworzył nową erę w filozofii, nadał jej bowiem znamię wybitnie filozoficzne swoją metodą scholastyczną, ujął myśl w karby i wygimnastykował ją w logice, jak rzadko który z filozofów, a przytem, co najważniejsza, nie zszedł na manowce, jak inni późniejsi jego naśladowcy w formie. To też łatwo tłumaczy jego wziętość w owej epoce i tę zgodę, jaka wtedy panowała w sprawach filozoficznych.

Czasy nowożytne pod tym względem zupełnie inaczej wyglądają. Rozmaitość, powstawanie coraz to nowych poglądów na

świat, życie i człowieka są ich charakterystyczną cechą. Pierwszy system w tym czasie, system oryginalny i zarazem przełomowy daje Dekartes. Metoda ścisła, której się trzymał, wpłynęła decydująco na rodzaj jego filozofii. Z przyzwyczajenia, upodobań i zdolności matematyk domagał się też pewności, oczywistości i dowodliwości matematycznych i od tłumaczenia problemów metafizycznych. To jest podług niego jedynie prawdziwe, co jest widoczne, oczywiste i jasne. Pierwszą rzeczą, która dla Kartezyusza wydała się posiadającą wszelkie warunki jasności, było jego własne myślenie — *cogito ergo sum*. Z niej Dekartes wyprowadził jeszcze dwie idee, a mianowicie ideę rozciągłości i doskonałości, co prawda, bez żadnego prawie związku z sobą, czyli bez wynikliwości logicznej. Pierwszą z nich utożsamił z materyą, a drugą z Bogiem. Idee te są wrodzone człowiekowi, bo mu się narzucają z bezwzględną koniecznością oraz stanowią podstawę rzeczywistości oraz rdzeń filozofii kartezyańskiej. Na nich buduje Kartezyusz dalsze swoje wywody i twierdzenia filozoficzne już to w dziedzinie teoryi poznania, gdzie jest racyonalistą i intuicyonistą zarazem, już w dziedzinie psychologii, gdzie obstaje przy zbytniej luźności połączenia duszy i ciała, już w fizyce, a raczej kosmologii, gdzie rzuca wiele genialnych myśli pod nowoczesną fizykę. Powyższe poglądy Dekarta przez swoje niewykończenie, przez zbytni nacisk na niektóre ich punkty, jak n. p. luźna zależność ciała od duszy, jak nienależycie rozumiana powszechność wątpienia, stały się powodem wielkich ujemnych następstw w dalszym biegu nowożytnej filozofii, datującej się właśnie od Kartezyusza. Z niej to powstały dwa istotowo różne systematy filozoficzne: idealistyczny panteizm z ontologizmem i empiryzm z materyalizmem.

Na czele ostatniego stanął Hobbes, który, krocząc ślady Bakona i biorąc pod uwagę jedynie materyę, doszedł do końcowego materyalizmu, któremu nadał większe wykończenie i zaokrąglenie, jako systemowi filozoficznemu, niż to posiadał dotąd. Hobes odrzuca kategorycznie idee wrodzone, natomiast przyjmuje jako fakt, że wszystkie nowe funkcye psychiczne, poznawcze i uczuciowe powstają z ruchu materyalnego cząsteczek. My-

śli te grubo materyalistyczne rozwija Hobbes z zamiłowaniem dzięki swojemu usposobieniu naturalistycznemu.

Nieco łagodniej, choć głębiej i poważniej oraz oględniej od Hobesa rozwija zasady empiryzmu John Locke. Ten za przedmiot swoich badań wybrał istotę naszego poznania. Długa jego praca nad tym przedmiotem wydała swój owoc, który wywarł duży wpływ na współczesną filozofię. Dzieło jego, noszące tytuł „o rozumie ludzkim" jest rzeczywiście nagromadzeniem bogactwa trafnych spostrzeżeń i myśli, choć dowodzenie i główna tendencya angielskiego filozofa nie osiąga celu, że dusza nasza to *tabula rasa*, jest pozbawiona zupełnie wszelkich idei i zasad, gdyż to zdaje się przeczyć faktom przeciwnym, prowadzi do sensualizmu a nawet materyalizmu. Tu należy uczynić uwagę, że wogóle empiryzm mocno jest związany z duchem angielskiego narodu, a John Locke jest jednym z głównych i pierwszych jego przedstawicieli.

Drugą stronę kartezyanizmu rozwinął najradykalniej, ale i najlogiczniej Spinoza. Filozofia jego przedtawia wzór systemu w całkowitem znaczeniu tego słowa. Nie wiem, czy który z systemów jest bardziej zwarty, bardziej architektoniczny i konsekwentny w przeprowadzeniu jednej idei, jak system Spinozy, ponieważ genialni i najbardziej konsekwentni syntetycy — Arystoteles i św. Tomasz z Akwinu budowali swoją filozofię na kilku ogólnych zasadach, a nie na jednej, jak to właśnie widzimy u Spinozy. Przytem przymioty przedewszystkiem filozoficzne cechują ów system, jak czysta spekulacya dogmatyczna, ścisłość matematyczna, metafizyka i intelektualizm, który tu dochodzi do najwyższego napięcia. Spinozę też można nazwać jednym z niewielu najwięcej zawodowych pod względem formy filozofii. Z jednego pojęcia substancyi wyprowadza zadziwiająco ściśle poglądy na wszystkie najważniejsze zagadnienia bytu, Boga, duszę i martwą naturę. Z tej substancyi, jedynie podług Spinozy istniejącej samodzielnie i utożsamionej z Bogiem, wynikają wszystkie rzeczy w świecie duchowym i fizycznym. Rzeczy te są jakby objawami nazewnątrz Istoty Bożej, jej atrybutami i modusami, wyrażając się językiem Spinozy, tak, że cały świat wypełnia jedynie Bóg,

czyli świat jest Bogiem. Widzimy tu więc czysty panteizm. Ale genialny syntetyk, rozwijając swój system konsekwentnie i ściśle, oparł się na słabym gruncie, bo na pojęciu substancyi, dowolnie i błędnie określonej; zatem cała jego filozofia jest bez podstawy, wisi w powietrzu, do czego przyczynił się jeszcze i sposób wysłowienia, obracający się jedynie w dziedzinie abstrakcyjnych pojęć, z pominięciem zupełnie dowodów konkretnych.

O ile system Spinozy jest niezależny od innych, z wyjątkiem przyjęcia pojęcia substancyi od Kartezyusza, o tyle druga również współczesna synteza filozoficzna Leibnitza stara się być zgodną z wynikami myśli poprzedników i z rzeczywistością. Harmonia, zgodność, wybór najlepszych poglądów przeszłości jest owej syntezy zasadniczą tendencyą. Leibnitz pragnie stworzyć system filozoficzny, któryby zadawalał wszystkich. Lecz na tym gmachu, który można nazwać eklektyzmem, myśliciel ów tworzy swoje dodatki, mające być spoidłem różnych teoryi. Leibnitz wychodzi również, jak Spinoza, z pojęcia substancyi i na niej buduje swoje oryginalne poglądy, ale jej znaczenie zmienia, uważając ją za siłę, która jest powszechnym objawem rzeczy, jest jednością w mnogości. Ta siła zawsze dąży do działania, do urzeczywistnienia się. Przez działanie siła tak pojęta mnoży się, rozdziela, wytwarzając poszczególne siły — monady. Cały świat składa się z nieskończonej liczby wiecznie istniejących monad, które są niemateryalne. Istotę monad stanowi czynność wyobrażania. Każda monada, będąc jednostką, mieści jednak w sobie inne monady, jest małym światem — mikrokosmem. Stąd też poznawszy dobrze jedną monadę, ma się wyobrażenie należyte o całym świecie. Monada jest istotą całkowicie niezależną, w sobie zamkniętą, a więc stałą. Wszystkie zaś razem tworzą hierarchię, różniąc się między sobą stopniem doskonałości i jasności w wyobrażaniu. Na czele hierarchii stoi najdoskonalsza z monad — Bóg, będący samą czynnością. Ducha ludzkiego znowu stanowi ta monada, która posiada świadomość siebie, rozum i wolę. Między wszystkiemi monadami panuje doskonała harmonia, której źródłem jest Bóg. Stąd też wynika ład i porządek w całym świecie.

Tak się przedstawia w najogólniejszych rysach metafizyka

Leibnitza. Ma ona w sobie więcej danych przekonywających, aniżeli synteza filozoficzna Spinozy, gdyż bardziej stoi na konkretnym gruncie i jednocześnie usiłuje pogodzić zasadnicze idee takich myślicieli, jak Platon, Arystoteles, św. Tomasz z Aquinu, Locke, Kartezyusz. Jednak nauka o monadach pozostanie zawsze tylko hipotezą i oryginalnym pomysłem Leibnitza, wynikającym z jego psychiki osobistej; natomiast wiele jego myśli z zakresu teoryi poznania stanowi rzetelny dorobek filozoficzny.

Przechodzimy teraz do filozofa, którego twierdzenia sprawiły nowy przełom w myśli ludzkiej. Tym myślicielem jest Kant. Nie jest on wprawdzie twórcą systemu w rodzaju Platona lub Spinozy, ale jego filozofia, aczkolwiek głównie obracająca się w zakresie teoryi i krytyki poznania, jest tak przedstawioną, że jest zarazem i metafizyką, kosmologią, psychologią i teoryą. Nie dosyć na tem. W kantyźmie jeszcze odnaleźć można dogmatyczny sceptycyzm, subjektywizm i empiryzm, fenomenalizm i transcendentalizm, słowem wszystkie główne kierunki epistemologiczne. Z tego też powodu powstały poważne spory między komentatorami Kanta, który z tych kierunków jest mu bardziej właściwy, gdyż każdy z nich ma za sobą dowody w *Krytyce czystego rozumu* — głównem jego dziele. To wszystko dowodzi, że Kant głęboko i trafnie przyłożył rękę do rzeczywistości, a szczególniej do natury naszego poznania, kiedy zahaczył się o wszystkie te kierunki, które z różnych stron to poznanie ujmują, Ale czy zagadnienie pomyślnie rozwiązał? Zobaczymy. Cała *Krytyka czystego rozumu* jest teoryą i krytyką poznania na wielką skalę. Główny jej problem stanowi stosunek naszego umysłu do rzeczywistości. Dzieło swoje dzieli Kant na trzy części, stosownie do wyróżnionych przezeń trzech władz naszej umysłowości: poznania umysłowego, rozsądku i rozumu. W pierwszej części, nazwanej estetyką, analizując postrzeżenie zmysłowe, porusza zagadnienia kosmologiczne czasu i przestrzeni, które wyprowadza właśnie z istoty zmysłowych wrażeń, przez co już staje się subjektywistą i idealistą. W następnej części podobnie czyni z sądami, kategoryami, nadając im znaczenie immanentne. Kategorye owe są wysoce sztucznie wynalezione i wytworzone

z pomieszania logicznych form sądów z pierwiastkami metafizycznymi. Kant wszakże uważa je za formy konieczne, i powszechne, podług których umysł buduje a raczej stwarza sobie świat. Do tych kategoryi należą ilość, jakość, przyczynowość, konieczność, możliwość, byt i inne. Trzecia wreszcie część krytyki — dyalektyka zawiera wnioski poprzednich części czyli idee Boga, duszy, wieczności, absolutu. Niestety, Kant idee te rozwiązuje negatywnie, jako dla rozumu niedostępne, a twierdzi, że tylko zjawiska, fenomeny są poznawalne, lecz nie „rzeczy w sobie". Kant staje tu po stronie empiryzmu i jednocześnie chce zakmnąć drogę do wszelkiej metafizyki, do świata numerów. Widzimy tu więc nową fazę filozofii kantowskiej, fazę, mającą być według wielu jej znawców rdzeniem i celem kantyzmu. Ale to nowe empiryczne stanowisko Kanta nie zgadza się z całym, nawskróś subjektywnym nastrojem „krytyki czystego rozumu"; jest tu nawet wyraźna niekonsekwencya. Zresztą nie jest ona tylko jedna. Sprzeczności Kant dopuścił się wiele razy.

I dziwną pozostaje rzecz, że Kant wykazuje antynomie wielu zagadnień filozoficznych, a antynomii w swoich twierdzeniach, które zbyt w oczy biją, nie dostrzegł i nie uniknął. A jednak królewiecki mędrzec, przystępując do dzieła nad siłami i granicami rozumu, miał podobno najszczersze chęci zapewnić pewność naszemu poznaniu, postawić je na właściwej drodze, rozstrzygnąć spór między Locke'em i Leibnitzem i zbudować podstawy do prawdziwej filozofii przyszłości. Jakoż istotnie zabrał się do dzieła z talentem i bogatym materyałem, ale w pracy zgubił się sam, wpadł w sieci sceptycyzmu, zamierzonego dzieła nie ukończył, celu nie osiągnął, owszem zostawił więcej wątpliwości, niż pewności. Zasługa jego jedynie polega na tem, że kwestye naszego poznania postawił rzeczowo i trafnie i usiłował je rozwiązać oryginalnie tak, że wszyscy poważni myśliciele muszą się z nim liczyć. Jego zagadnienia o zgodności poznania z rzeczami, o numenach i fenomenach, *a priori i a posteriori* o wrodzonych formach i granicach umysłu, o rzeczach transcendentnych, o spekulacyi, o autonomii woli i rozkaźniku kategorycznym będą zawsze budziły zainteresowanie w umysłach. Słowem, Kant rzucił wiele myśli

głębokich i trafnych, które skierowały całą filozofię na inne tory: od bogatych w koncepcye systematów, opartychc zęsto na fantasmagoryach, na grunt rzeczywisty. Faktem wszakże pozostanie, że Kant inny miał cel, a inny skutek osiągnął: zamiast pewności wiedzy — subjektywizm a nim sceptycyzm. Stąd, o ile jedni uwzględniają stronę pozytywną w Kancie, t. j. liczą się z jego celem i zamiarami pierwszymi, o tyle drudzy wyciągają wnioski ze skutków, a że te są skrajnie indywidualistyczne, więc też tworzą prawdziwie indywidualne, bujne i oryginalne syntezy filozoficzne, które zaiste w swojej fantastyczności prześcigają wszystkie tego rodzaju koncepcye świata. Do ostatniej kategoryi filozofów należą bezwątpienia Fichte, Schelling i Hegel.

Fichte przystępując do budowy swego systemu, miał następujące cele: uzupełnić Kanta, wyprowadzić z jednej zasady — jaźni całą swoją filozofię i pogodzić jaźń, z bytem od niej odrębnym oraz zapewnić wolność naszemu duchowi. Zobaczmy naprzód, jak Fichte pojmuje jaźń, która stanowi istotę jego systemu. Otóż nie jest ona ani substancyą, ani duszą, ale świadomością ustawicznie czynną i wyobrażającą, jest ciągłem formowaniem wewnętrznem jedności. Tę jaźń Fichte identyfikuje z absolutem, z „rzeczą w sobie", z siłą myślenia bezwzględną i nieograniczoną. Gdy więc w ten sposób pojęta jaźń poznaje siebie, tworzy z siebie przedmiot poznania; rozbija się na dwoje: jaźń poznającą i jaźń poznawaną. Ta sama czynność, przez którą dochodzą do poznania siebie, doprowadza mnie do tego, co nie jest moją jaźnią. Bo ja poznając siebie, ograniczam się tylko do swego ja, a przeciwstawiam się temu, co nie jest ja. Ale to „nie ja" nie istniałoby, gdybym ja nie istniał i gdybym go nie wyodrębnił tak, że ono jest całkowicie mojem dziełem. Stąd jaźń, tworząc objekt poznania, tworzy jednocześnie rzeczywistość czyli świat i wszystkie rzeczy; jest więc absolutem, wszystkiem. Z pewnych zaś ograniczeń, jakich w działaniu swojem jaźń, doznaje powstają poszczególne rzeczy i zjawiska oraz indywidua w naturze, a więc czas, przestrzeń, wrażenie, wyobrażenie, zasady logiczne i t. d.

Fichte więc, jak widzimy, osiągnął swój cel. Wyszedłszy z niepohamowanego subjektywizmu Kanta, cały gmach swej

filozofii wywiódł z jednej zasady, z jaźni, która jest podług niego sprawczynią wszelkich bytów i zjawisk i z tej też racyi jest zarazem nieograniczoną, swobodną, autonomiczną w tworzeniu i myśleniu.

Mimo, że krótkie to przedstawienie systemu pierwszego z filozofów-romantyków przypomina bardzo pustą grę słów, można mu jeszcze, oceniając go poważniej, postawić zarzut, sprzeczności w samem założeniu, a mianowicie, jak można siebie tworzyć, kiedy już się wpierw istnieje. Tymczasem z dowodzenia Fichtego jest widocznem twierdzenie, że jaźń, wyprowadzając z siebie „nie-jaźń, tworzy ją, gdyż przed tem ona nie istniała nietylko dla niej, ale w ogóle nie posiadała żadnego bytu. A właśnie sama jaźń w poznawaniu staje się „nie-jaźnią, objektem, więc sama siebie tworzy, co jest absurdem. Nadto Fichte miesza tu wyraźnie porządek logiczny z ontologicznym. Wreszcie należy powiedzieć, że cała filozofia Fichtego ma być obrazem jego osobistego życia, jak się przy wielkiej sile własnej woli wybijał, przełamywał przeszkody i tworzył swój skrajnie idealistyczny system na jaźni zbudowany czyli w jego umyśle.

Myśli Fichtego kontynuował Schelling, najwybitniejszy przedstawiciel filozofii romantyzmu, ale widząc, że filozofia fichteańska nie może zadowolić jego umysłu, począł kroczyć o własnych siłach w budowie nowego systemu. Schelling był w tem szczęśliwem położeniu, że wyobraźnia i intuicya mu dopisywała, to też cała jego filozofia spoczywa nie na zasadach ścisłych logiki i doświadczenia, ale na bogatej wyobraźni filozofa.

Schelling w ciągu swego rozwoju filozoficznego ulegał rozmaitym wpływom innych myślicieli lecz nie ślepo; owszem, biorąc niektóre tylko z ich głównych idei i zasad, przetapiał je w ogniu własnej twórczej myśli i nowe z nich teorye wysnuwał.

Można powiedzieć, że filozofia Schellinga — to rozprowadzone niektóre idee Fichtego, Kanta, Herdera, Böhmego, połączone razem i uzupełnione nowymi własnymi pomysłami, które wiążą tamte i tworzą indywidualny system Schellinga. Ale system ten nigdy nie był wykończony ani skończony, owszem ciągle się rozwijał, stale uzupełniany przez swego twórcę. I gdyby Schelling pożył

jeszcze kilkanaście lat dłużej, to system jego, byłby inny, niż jest. Lecz w swojem życiu Schelling zdążył przebyć zaledwie trzy główne stadya rozwoju swojej filozofii: pierwsze — tak zwany okres filozofii przyrody; drugie — okres filozofii tożsamości i trzecie — okres filozofii pozytywnej. Choć w żadnej z tych trzech zmian nie zrywa z poprzednimi poglądami, ale je uzupełnia, to jednak ciągłe przemiany, jakie spotykamy w filozofii Schellinga świadczą, iż synteza jego filozoficzna była przedewszystkiem wynikiem jego własnych potrzeb i upodobań oraz nastroju epoki współczesnej, nie rezultatem pozytywnych i ścisłych badań nad rzeczywistością. Z tego powodu Schelling słusznie uchodzi za typowego romantyka w filozofii, gdyż ma wiele wspólnego z poetami romantyzmu. Nie będę tu przedstawiał treści tej filozofii, gdyż w sposobie przedstawienia i dowodzenia jest ona podobną do Fichtego, zaznaczę tylko, że źródłem jej jest także jaźń i stosunek do niejaźni, który polega na tożsamości. Na tych trzech wyrazach jaźni, nie — jaźni i tożsamości spoczywa gmach filozofii Schellinga. Łatwo więc zrozumieć, jaka może być wartość owej syntezy świata, będącej wzorem najbardziej fantastycznych pomysłów w dziejach myśli ludzkiej.

Wreszcie trzecim przedstawicielem romantycznej filozofii jest Hegel, racyonalista, genialny dyalektyk z usposobienia i konstytucyi swego umysłu. To jest najwybitniejsza i jedyna cecha jego natury wewnętrznej. Takiej potęgi myślenia i ogromnej śmiałości w wywodach, zdaje się, nie spotykamy w dziejach. Otóż te zdolności dyalektyczne oraz wpływy bezpośrednich swoich poprzedników złożyły się w Heglu na stworzenie podziwu godnej, konsekwentnej w przedstawieniu i jednolitej syntezy filozoficznej, w której filozofia romantyczna znalazła swój kres w nowej postaci. System Hegla — to budowla artystycznie i harmonijnie wykończona. Jedna idea ożywia i panuje w niej we wszystkiem. Z niej wychodzi każda poszczególna część i każdy szczegół i do niej wraca jako do swego celu i źródła. Hegel dzięki swoim popędom konstrukcyjnym przy pomocy dyalektycznej metody zaklął cały świat, wszystkie rzeczy, zjawiska w arcydzieło myśli, nadał im formę i kształt architektoniczny,

mogący zadowolić wszystkie pragnienia duszy. Zasadą i źródłem, z którego Hegel wysnuwa rzeczywistość jest rozum, utożsamiony z bytem, nazywany inaczej absolutem, istotą rzeczy, prawdą. Ten rozum absolutny dąży do rozszerzania się, rozmnażania na szczegóły, więc ustawicznie się porusza i rozwija. Rozwój jego odbywa się podług praw dyalektycznych, które zasadzają się na tem, że pojęcie postawione czyli teza, jest zaprzeczaną (antyteza); następnie znowu łączą się te dwa przeciwne pojęcia w syntezie, które jako wyższa jedność obejmuje w sobie twierdzenie i przeczenie. W ten sposób otrzymane nowe pojęcie w syntezie znowu jest zaprzeczane, powstaje nowa teza i antyteza, a z nich synteza i t. d.

Hegel rozpoczął w taki sposób schodzić od najogólniejszego pojęcia bytu coraz niżej i stworzył świat konkretny, który jest obrazem w szczegółach samego absolutu. Teza, antyteza i synteza panują nietylko w dziedzinie myśli, w świecie podmiotowym, ale i przedmiotowym, są za rasą logiczną i metafizyczną, gdyż logika i metafizyka to jedno, a więc rozum ludzki i przyroda są na jednych prawach oparte, stanowią absolut, Boga. Mamy tu znowu czysty panteizm a zarazem nowy przykład, co właściwości indywidualne filozofa mogą sprawić, jeżeli zupełnie odstąpią od rzeczywistości i doświadczenia i pójdą samowolnie w tworzeniu swoich poglądów, choćby nawet posługiwały się wyłącznie metodą ścisłą, logiczną. W tych wypadkach filozofowanie będzie zawsze budowaniem zamków na lodzie, co widzimy szczególniej na powyższych trzech myślicielach.

Podałem tu syntezy wybitniejszych filozofów, uwydatniając najogólniejsze z ich rysów ogólnych cechy, aby pokazać różnice, jakie zachodzą między systemami ogólnymi i indywidualnymi. Otóż przekonaliśmy się, że każdy system filozoficzny indywidualny jest inny, posiadający swoje odrębne przymioty i to nietylko w kwestyach podrzędnych, ale i zasadniczych. To zaś sprawiają głównie różnice psychiczne u ich twórców jeden n. p. jest więcej dyalektykiem, drugi systematykiem, inny twórcą, inny naturalistą, inny wreszcie trzyma się więcej rzeczywistości. Dalej widzieliśmy w każdym tego rodzaju systemie jakieś braki —

już niewykończenie, już brak konsekwencyi, już zbytnie podkreślanie jednych rzeczy kosztem drugich. Jednak nie należy zapominać o tem, że w syntezach indywidualnych bardzo często znajdujemy genialne pomysły, które czynią przełomy w myśli ludzkiej.

Należałoby jeszcze dla całości scharakteryzować i nowsze systemy filozoficzne, jak pozytywizm Comte'a, woluntaryzm Schopenhauera, ewolucyonizm Spencera, woluntarystyczny realizm Wundta, pragmatyzm Jamesa, ale tego nie czynimy, gdyż nie podobna w artykule na tak małą zamierzonym skalę, omówić ich chociażby w najbardziej ogólnych rysach. Gdy jednak czas i siły pozwolą, to zamierzamy ten szkic rozszerzyć, wiele punktów więcej podkreślić i uwzględnić nowszych filozofów i starszych wybitniejszych, którzy tu zostali pominięci. Tymczasem stwierdzamy, że nowsze systemy i kierunki filozoficzne więcej się liczą z rzeczywistością, z wynikami nauk; choć z dawnymi mistrzami zrywają, posługują się prawie wyłącznie metodą indukcyjną, dedukcyę uważając za zawodną. Przyznać trzeba, że wiele po ich stronie słuszności, że większość dawnych systemów mało albo wcale z empiryą się nie liczyła i przez to stwarzała poglądy, które często nic wspólnego z rzeczywistością nie miały, jak to mieliśmy sposobność się już przekonać. Lecz i nowsze systemy mimo stron dodatnich nie są wolne od błędów, wpadły bowiem w nierównie wielkie krańcowości i antynomie, niż poprzednie. Najpierw negują albo ignorują zupełnie metafizykę i jej zagadnienia wogóle. To jednakże nie przeszkadza im stwarzać negatywnej metafizyki. Zwrócono się od ducha do materyi, od rozumu do zmysłów, od kosmologii do kwestyi poznania. Ale i tu powstały takie teorye, hipotezy i twierdzenia, że zadowolić nikogo nie mogą, zamiast budować burzą, prowadzą do zupełnej negacyi. Doszło dziś nawet do tego, że w pewnych kołach z wszelką metodą naukową i logiczną zerwano. Nie tylko metafizyka, ale i teorya poznania, nie budzi interesu, straciła na wartości. Ich miejsce zajął praktyczny amerykanizm, znany pod nazwą pragmatyzmu. Korzyść decyduje o prawdzie, a rzeczywistość — to jedynie przejawy o potrzeby naszego życia — i nic więcej. Oto stan współczesnej filozofii.

Wreszcie uwaga ogólna. Jeden z głównych przedstawicieli pragmatyzmu W. James nie bez racyi charakteryzuje systemy filozoficzne w ten sposób: „Żadna filozofia nie może być niczem więcej jak tylko ogólnikowym szkicem, obrazem świata w zarysie, pobieżnym rzutem oka z góry... Wszyscy filozofowie bez różnicy pojmują całość świata zależnie od analogii z jakichś jego poszczególnych rysów, które nadewszystko ich zwracają uwagę“[1]). Tą uwagę inicyatora pragmatyzmu można przyjąć w całości i zastosować do systemów ogólnych, jak n. p. monizm, pluralizm, determinizm, ale z zastrzeżeniem, że któryś jednak z tych systemów musi najbardziej odpowiadać rzeczywistości. Co się zaś tyczy systemów indywidualnych, zauważyć należy, że one nie tylko zwracają uwagę na jedną stronę bytu, ale są jeszcze napiętnowane osobistemi właściwościami swoich twórców. Tem się też tłómaczy ich mniejszy walor naukowy. Zdaje się wszakże, że jedną z głównych przyczyn różnic w filozofii są metody różne, jakiemi się myśliciele posługują. Indukcya prawie zawsze prowadzi do kierunków empirycznych, podobnie jak dedukcya sprzyja idealizmowi. Widzi to i W. James, który z tego powodu w swojej filozofii wyzbywa się wszelkiej metody naukowej, badając świat i rzeczy wprost, na wzór prostaczków. Ale czy na tem sprawa wygrana? O tem niech przekona ciekawego treść i rezultaty owej filozofii nowej. Tu już nie spotykamy się z kilku lub kilkunastu systemami, ile z tylu poglądami, ile ludzi — mało powiedziałem, z tylu filozofiami, ile ci ludzie, każdy oddzielnie, ma różnych potrzeb i dążeń w swojem życiu. Oczywista, że tu mowy o filozofii we właściwem znaczeniu być nie może. Filozofia prawdziwa, systemy filozoficzne w ogólnie przyjętem znaczeniu znajdują się tylko tam, gdzie jednoczą się razem treść rzeczywistości z metodą ścisłą, gdyż są to jedyne warunki prawdziwości i trwałości systemów. Im więcej który z nich tym warunkom odpowiada, ten jest bliższy prawdy. Ten tylko system filozoficzny ma przed sobą przyszłość, który rzeczywistość doskonale z metodą naukową pogodzi.

Ks. Józef Michalak.

[1]) W. James, *Filozofia wszechświata*, tł. Witwickiego, str. 7, 8.

Powrót apostaty do ojczyzny.

(1468 r.)

Począwszy od Eugeniusza IV. nawołują papieże królów i ludy do obrony Krzyża. Stwierdzają zgodnie historycy wszystkich obozów, że w przeczuciu niebezpieczeństwa, grożącego ludom Europy, papieże byli czujniejsi od królów i ludów. Oni znają potęgę niebezpieczeństwa nietylko bytowi ludów i państw grożącą, ale nadto godzącą wprost na cywilizacyę ludów chrześcijańskich, stanowiących jedną wielką gminę, węzłem religii związanych narodów: potęgę niwecząca ten żywy łącznik chrześcijan i zatruwającą duszę tak ludów jak i pojedyńczych osobników gminy chrześcijańskiej. Z ludów, które pierwsze usłuchały głosu nawoływania papieskiego, byli Polacy, Węgrzy, wreszcie Albańczycy, a tacy bohaterowie jak Władysław Warneńczyk, Jan Huniady, Jerzy Kastriota mężną obroną krzyża zapewnili sobie i swoim narodom nieśmiertelne imię w dziejach cywilizacyi.

Władysław Warneńczyk podjął dwie wyprawy przeciwko Turkom, pierwszą zwycięską, drugą nieszczęśliwą, zakończoną klęską pod Warną pamiętnego 10 listopada 1444 r.

Królowi towarzyszył w wyprawie nieszczęsnej prócz wielu innych Polaków także Mikołaj z Lipnicy, Małopolanin, subdyakon, prawdopodobnie nie jako rycerz, lecz jako pisarz kancelaryi królewskiej, wraz z bratem Jerzym i obaj dostali się pod Warną do niewoli tureckiej. Rzucono go do Małej Azyi dla łatwiejszego tamże nabycia znajomości języka tureckiego, gdzie

go też groźbą tortur i śmierci zniewolono do porzucenia wiary Chrystusowej. Po obrzezaniu zmuszono apostatę do służby wojskowej i używano go w wojnach przeciwko chrześcijanom. W głębi duszy wyznawał jednak Mikołaj wiarę Chrystusową, powstrzymywał się nawet od rozlewu krwi tak dalece, że jak później zeznawał, nigdy nikogo nie zabił ani okaleczył. Ciężkich dwadzieścia i dwa lat przebywał w niewoli, z goryczą w sercu, współdziałając do rozwielmożnienia się Turków w Europie i Azyi, gdy tu pokonywali potężnego Ussunhassana, tam zaś zdobyli Konstantynopol, wpadali do Węgier, zdobywali Serbię, Peloponez, pokonali Wołochów, zdobyli wreszcie Bośnię i stanęli nad Dunajem, zagrażając Węgrom.

Jeszcze tylko kilka ludów broni się na półwyspie bałkańskim, pomiędzy innymi Albańczycy, pod słynnym swym bohaterem Jerzym Kastryotą. On to usłuchawszy głosu Piusa II, zachęcającego chrześcijan do mężnej obrony, zerwał mir, który miał z Mahometem II., przy pomocy zasiłków papieskich uzbroił Albańczyków, pokonał kilkakrotnie Turków i coraz to nowe nad nimi odnosił tryumfy. Mahomet podążył tam, by Albanię i dzielny lud tameczny na zawsze podbić pod swe panowanie. Na wiosnę 1466 r. wyruszył na czele armii, liczącej dwakroć sto tysięcy wojowników na zdobycie Kroji. W maju dochodzą do Włoch wieści, że Kastriota, także Skanderbegiem zwany, uległ w walce Turkowi. Strach padł na Włochy, na Węgry; donoszono bowiem, że Mahomet drugą, również olbrzymią armią zagraża Węgrom. Były to wieści mylne, ale przyzwyczajony do wieści zwycięskich o Turkach świat wierzył i tym ostatnim.

Znowu wzywa Pius II. książąt i ludy do dania pomocy wiernym, którzy całemi gromadami opuszczali półwysep bałkański, swoje góry i rodzimą ziemię i wsiadłszy na okręty chronili życie ucieczką do portów włoskich. Nie można bez łzy w oku patrzeć na te okręty, przybijające do włoskich portów od albańskich wybrzeży — pisał Paweł II. — okręty pełne biednych ogołoconych ze wszystkiego rodzin, wygnańców z własnych domów i siół, napełniających wybrzeża włoskie, z wyciągnię-

temi do niebios rękoma płaczących i wysyłających skargi do niebios w nieznanej mowie... Sam Skanderbeg zbiegł do Włoch, by w Rzymie szukać pomocy papieskiej, którą też znalazł.

Pomiędzy zbiegami chrześcijanami, wsiadającymi na okręty Germańczyków w albańskich przystaniach, znalazł się także Mikołaj Lipnicki z bratem Jerzym. Pragnąc oswobodzić sumienie od ciężaru występku spełnionego przeciwko wierze, który go przygniatał, całe życie przemyśliwał nad ucieczką od Turków i wreszcie w Albanii, wśród zwycięskiej wojny Mahometa wykonał zamiar. Pozostawiwszy wszystko mienie w obozie wziąwszy trochę gotówki uzbieranej, udał się z bratem na okręt genueński, u wybrzeża stojący i przybył do Ostyi, potem do Rzymu. Tutaj wraz z wieloma innymi nieszczęśliwymi szukał nietylko przytułku i wsparcia u Pawła II, który z hojnością monarszą wspierał zbiegów, ale też szukał przebaczenia i łaski papieskiej z powodu swej apostazyi. Odstępcy bowiem podpadali klątwie większej *latae sententiae*, od której absolucya zastrzeżoną była papieżowi; musieli się poddać procesowi, pokucie, zadośćuczynieniu, musieli wreszcie składać przysięgę, że ani sami nigdy wiary się nie zaprą, ani też nikomu do apostazyi nie dopomogą. Mikołaj Lipnicki nadto jako kleryk był niezdolnym do urzędów kościelnych i podpadł karze *irregularitatis*. Ale on w Rzymie dał się poznać jako pokutnik szczerze żałujący swej apostazyi i papież upoważnił biskupa Orteńskiego, Mikołaja, w kuryi przebywającego, do udzielenia absolucyi Lipnickiemu, po dopełnieniu przez tegoż warunków, tak od ekskomuniki, jakoteż od innych cenzur kościelnych i do dania mu dyspenzy *ab irregularitate*. Co bardziej, poleconego sobie jako bogobojnego i prawego męża, polecił papież restytuować Mikołaja Lipnickiego do stanu, w jakim pozostawał przed wyprawą warneńską, nadto promować go nawet do stopnia dyakona, nadawać mu beneficya kościelne i utwierdzać go w kanonicznie nadanych, chociażby i kanoniach, ale *sine cura*. Brewe papieskie z datą 16 września 1466 r., upoważniające do absolucyi Lipnickiego, ogłosił w *Vetera Monumenta Polo-*

niae (w II tomie Nr. 193) Theiner [1]). Znajdujemy tam w krótkich słowach opowiedziane losy nawróconego odstępcy. Dalsze ego losy znamy z dokumentów jednego z rękopisów dawnej biblioteki Załuskich. Wynika z nich, że losem Lipnickiego, szczerego pokutnika, zajęli się kardynałowie ze słynnym kardynałem Bessarionem na czele. Lipnicki bowiem pragnął po odbyciu pokuty powrócić do ojczyzny, której od dwudziestu kilku lat nie widział, a nie miał środków do odbycia dalekiej podróży. Ułatwiono mu ją polecającym listem otwartym od kardynałów do arcybiskupów, biskupów, proboszczów, do władz świeckich i książąt, przez których kraje podróż miał odbyć, aby nie odmawiali jałmużny nieszczęśliwemu pokutnikowi, który uzyskawszy absolucyę, wraca do dalekiej ojczyzny. Zachęcili kardynałowie wiernych do tej jałmużny nietylko słowy Zbawiciela: coście najmniejszemu w mojem imieniu uczynili mnieście uczynili — lecz i nadaniem odpustu stu dni każdemu, ilekroć przyszedłby z pomocą Mikołajowi Lipnickiemu.

Obrał Lipnicki drogę przez Niemcy. Na dniu 25 października 1467 r. był już w Bucowie u szweryńskiego biskupa Wernera, herbu Dōliwa i prócz jałmużny uzyskał tutaj polecenie biskupa do dyecezan szweryńskich, by jałmużną ułatwiali Polakowi powrót do kraju. Lipnickiego nazywał biskup w tem poleceniu mężem zacnym, wielkiem nieszczęściem strapionym, a duchowieństwu swemu nakazywał przy publikacyi listów polecających Lipnickiego przypomnieć ludowi, by z miłości chrześcijańskiej u dzielali pielgrzymowi pomocy, zachęceni do niej tak indulgencyami, jak i wieczną w niebie nagrodą. Dnia 17 marca 1468 r. mógł już biedny pokutnik po długiej, rok cały trwającej podróży, stawić się przed prymasem polskim, Janem Gruszczyńskim, na dworze biskupim w Iwanowicach. Tutaj przedłożył swoje papiery, okazał także relikwie, któremi go w Rzymie obdarzono: świętej Barbary, Apolonii, Jana Chrzci-

[1]) W rękopisie petersburskim *Raznoj*. F. IV. 105 p. 466 czytamy datę nieco późniejszą, aniżeli ma ją Theiner, a mianowicie: 6 października 1466. Theiner źle zawiązał datę roku; odpowiada ona wypisanemu zresztą w akcie 1466 rokowi, a nie r. 1467, czego dowodem dopisek *anno tertio* —

ciela, Zofii, Jerzego, św. Krzyża i prosił prymasa, by mu ułatwił dalszą podróż do Małopolski. Prymas udzielił wszystkim, którzyby za przyczyną wspomnianych świętych, uciekali się do Zbawiciela w swych potrzebach, czterdzieści dni odpustu, jeżeliby prócz uczczenia relikwii także małą jałmużnę dali Lipnickiemu. Takim sposobem pokutnik, jałmużną wiernych mając sobie ułatwiony powrót, przybył do Krakowa, do swej dyecezyi, gdzie biskup Jan Lütek z Brzezia, herbu Doliwa, kazał wszystkie papiery Lipnickiego spisać, zanim go napowrót przyjął do swej dyecezyi [1]).

Z aktów tych widoczna, kiedy, jaką drogą i przy czyjej pomocy powrócili bracia Lipniccy do ojczyzny. Dowiadujemy się, że papież i kardynałowie ułatwiali penitentom powrót, udzielając im wsparcia, listy polecające, wreszcie klerykom indulgencye; że winę penitenta głoszono publicznie, że on sam opowiadał o niej w kościołach, gdzie relikwie rzymskie ku uczczeniu przez wiernych wystawiał na widok publiczny, że tu zbierał jałmużnę wśród narodów i ludów obcych i tym sposobem dochodził po długiej tułaczce do upragnionego celu, do rodzinnej ziemi. Posłuszne stolicy apostolskiej ludy uważały się za braci, za jedną rodzinę w katolickiej gminie, poczuwały się do obowiązku wspierania pielgrzyma, pokutnika, który wyznawał dawną swą winę, głosił o pokucie i o przebaczeniu przez stolicę apostolską sobie udzielonem. Dokumenty, które kazał spisać biskup krakowski, są przyczynkiem kulturalnym do XV. wieku. Ciekawem jest, że w Polsce nadał byłemu apostacie listy polecające i indulgencye wiernym, jałmużną go wspierającym, prymas Gruszczyński, do którego w pierwszej linii Lipnicki

---

z dniem bowiem 16 września 1466 r. rozpoczął Paweł II. trzeci rok pontyfikatu. Na pp. 426 i 427 wspomnianego rękopisu petersburskiego czytamy inne akta, dotyczące Mikołaja Lipnickiego jak owe polecenie kardynałów, biskupa Wernera, prymasa Gruszczyńskiego, pierwsze dwa z 29 stycznia i 25 października 1467 r. ostatni z 7 marca 1468 r.

[1]) Pomiędzy ważnymi papierami i aktami tegoż biskupa, znajdują się także owe kopie poleceń dla Lipnickiego wydanych w rękopisie wspomnianym petersburskim.

przez kardynałów był polecony, a Gruszczyński, jak wiadomo z powodu sporu o biskupstwo krakowskie, jakoteż z powodu popierania polityki czeskiej króla swego — wcale niemile był w kuryi widziany. O Lipnickim Mikołaju nic później nie słyszymy — apostata w Polsce ówczesnej był osobą ignorowaną; wszakże na podstawie edyktu wieluńskiego uważany był jako: *offensor regiae maiestatis.*

A. Prochaska.

Z korespondencyi ks. Kajsiewicza.[1]

Rzym, dnia 15 *Czerwca* 1847.

Zacna Pani i córko w Chrystusie!

W smutku z opuszczenia Twoich, myśl o radości, jaką będziesz miała, spotykając się z nimi napowrót, myśl też, że kiedyś, prędzej czy później trzeba się będzie rozstać na dobre, tu na ziemi, ale też dla spotkania na dobre w niebie. Czas już zacząć żyć, tą szeroką, jedynie zasadną i nie zawodzącą myślą wieczności. Co do mnie jakkolwiek jeszczem światowy, od lat już wielu myśl mnie ta objęła tak, iż mi ciężki wszelki stosunek, wszelka znajomość, jeżeli nie masz otuchy, że się przeciągnie za grób i skrystalizuje się w wieczności. Ta myśl da i *corraggio* i święte wesele, jakie tu być może na ziemi, jak słońce wśród chmurek przelotnych i dżdżących. A nie sztuka mieć odwagę tam, gdzie się nam podoba, ale sztuka tam i w czem się nie podoba. „Dziękuję ci Boże mój, że się nie gnie na mój krój", ale dlatego właśnie się gnie i układa na krój Boży, a ten pewno lepszy. A więc bądź co bądź!

Gwiazda na którą Pani córka patrzyła, jadąc nad brzegiem morza przy szumie fal jego, „za którą tęskniła", była zapewne Marya, gwiazda morska, wśród żeglugi naszej burzliwej tego żywota. Rozbójnicy się nie nawinęli i dobrze, że się za nimi nie tęskniło — ale są rozbójnicy niewidzialni koło nas, którzy radzi nas obedrzeć z tego trocha towaru duchowego, któryśmy sobie uzbierali. Ach za tymi nie tęsknić (co się nawet nie zechce) ale się strzedz troskliwie ich mamy, wciąż i wszędzie. Niebo neapolitańskie tak piękne i okolice, cóż to

[1]) Od jednej z wybitniejszych naszych rodzin otrzymaliśmy zbiór listów X. Kajsiewicza, z którego wyjątki przytaczamy. *Redakcya.*

będzie w raju! Wezuwiusz taki groźny a palący („furtka piekła“ jak O. Skarga powiada), a cóż to być musi w piekle! — *Non ci vogliam' andar davvero*! — Zatoka neapolitańska tak bezpieczna, ach oby nam śmierć dobra była przystanią bezpieczną do wieczności; o wszystkiem tem Pani zapewne pomyślała, albo pomyśli, obywszy się z tą korą zewnętrzną widoków, jak już sens moralny pięknie z widoków Pompei, tego kościotrupa starej rozpustnicy wyciągnęła. Przypominają mi się tu do rzeczy słowa pobożnego księdza francuskiego, z którym zwiedzałem to miejsce, zwiedzałem wiernie raczej niż oglądałem, bo oczu trudno bezpiecznie puścić i coraz to się dostało w policzek: „*Quelle miséricorde de notre Dieu que nous ne soyons pas nés dans ce temps là*; *nous aurions été pour sûr des porcs et des misérables comme eux*“. Gdzie się obrócić, jest z czego i za co Boga pochwalić! Z Neapolu tak blizko zapewne do nieba, jak z Rzymu — kościółek też jest pod bokiem, a księżyk bardzo pobożny i pięknie Mszę św. odprawia, a częste Błogosławieństwo Najśw. Sakramentu też ma. Proszę mu dać czasem na Mszę św. za mnie. O zdrowie trzeba wszystkimi środkami się starać, Komunię św. tylko w niedzielę przyjmować, ale o tem już sprawa z X. Bianchi, tylko mu szczerze powiedzieć, że Pani po zdrowie przyjechała, którego nie ma, a którego potrzebuje. X. Jełowicki dziękuje za pamięć. Wczoraj (tylko proszę nie żałować) obchodziła M. Makryna huczno św. Bazylego, miała z rana ośm Mszy, między któremi Mgra Pompallier, Biskupa greckiego i Kardynała Piccolomini. To zakonnice Francuski, to nasi klerycy po polsku przyśpiewywali; po obiedzie miała kazanie, potem Benedykcya Najśw. Sakramentu, którą dał Kardynał Franzone. Matka szczęśliwa, jakgdyby się narodziła — trzecią też wczoraj postulantkę oblokła. Nie omieszkam jej Panią polecić. Otóż i wszystko. Błogosławię z całego serca dziatkom i Pani Matce, a córce w Panu także. Opieka Boża a Najświętszej Jego Rodziny niech czuwa zawsze nad nami.

Chętny sługa w Panu

X. Hieronim.

Adres: 58 Viccolo del Mortaro.

Rzym 24 *Lipca* 1847 *r.*

Niech będzie Bóg za wszystko i we wszystkiem pochwalony.

List Pani z 14—18 t. m. X. Alexander przywiózł mi wczoraj do Albano, dziś z miasta odpisuję. Trochę mnie zdziwiło milczenie Pani, alem się domyślał, że mi chce dać dobre wiadomości o przyjeździe męża. Mnieby nie zastał był w mieście, więc dobrze zrobił, że się nie trudził. Proszę go serdecznie pozdrowić, obok ukłonów szanownej naszej Dziekance, Pp. Platerom i reszcie kolonii polskiej. Dziękujemy Najwyższemu i Matce Najświętszej za pokój, jakiego Pani doświadcza — ani wątpię, że w miarę wierności, rosnąć będzie i każde zwycięstwo nad sobą osłabi pokusę i da siłę większą do jej zwyciężenia. Na dobrejś Pani moja drodze. Pokochałaś żywiej Boga, żywiej ufasz Maryi, czujesz opiekę Nieba nad sobą; idź dalej w tym kierunku, a o niczem nie wątp, ani się strachaj próżno. Nic się nie stanie okrom i poza wolą Najopatrzniejszego, Najmiłościwszego Ojca Naszego. Po co Mu wchodzić w drogę, myślami, wspomnieniami, przeczuciami naszemi, czysto ludzkiemi. Ile mi wolno, proszę i polecam zdrowia strzedz, pielęgnować je jak najstaranniej dla miłości Pana Boga. Tego On chce po pani; nie wzdragać się rozerwać i zabawić, myśl wszelką czarną odpychać modlitwą, nawet zabawą.

Życie nasze w ręku Boga — nikt wiedzieć nie może, kogo pierwej powoła; wciąż zadaje kłamstwo rachubom naszym, a my zawsze skłonni podług wrażeń naszych sądzić. Jeżeli jednak ja panią przeżyję, dziatki jej już mi tak drogie będę nosił prawdziwie pod sercem — jeżeli zdaleka nie będę mógł być im słowem, radą użytecznym, nawet pismem; modlitwą codzienną Jezusowi i Maryi uprzykrzać się będę. Ale pani sama z góry za mnie i za dziatki swoje i za tych, którzyby je wychowywali skutecznie byś się modliła. Kto umiera pełniąc wolę Bożą, umiera męczennikiem miłości Jego — takich czyściec albo krótki albo żaden — a i dusz czyścowych Bóg modlitwy z łaski

Swej wysłuchuje. Powiesz pani znowu, że to dla jej pociechy piszę — prawda — ale dla pocieszenia nie pisałbym kłamstwa. A powtarzam, jeżeli to może pocieszyć panią, że mnie stan jej duszy bardzo cieszy i mam nadzieję, że stąd chwała Boża i świętej Jego religii pójdzie. A o to się jedynie troskać, o to dbać, z tego się radować mamy — nie zwracać się na siebie, nie oglądać na innych ludzi, ale weselić się święcie z chwały, jaką Bóg z nas nędznych dostaje. Boć od Niego wszelkie dobro pochodzi, słusznieby do Niego zupełnie i całkowicie wracało. *Corraggio dunque corraggio figlia.*

Sługa nieużyteczny

X. Hieronim.

P. S. Matka Makryna z rzadką czułością zawsze o Pani wspomina — dziś mi rano jeszcze mówiła: „już tej toby i tygrysy nie ukąsiły, taka dobra duszyczka; Pan Jezus bardzo ją kocha mój Ojcze".

Rzym, dnia 29 Lipca 1847 r.

Spółcześnie odbierze Pani list od malarza, który aquarellę skończył i u nas złożył; wcale mu się udała, tylko kaznodzieja za wielki beret na głowę włożył. Będę czekał wiadomości, czy mam ją do Neapolu odesłać, czy też Pani sama wracać tędy będzie i zabierze.

Dzięki Bogu, że się Pani z łóżka podniosła, radząc rozrywkę i zabawę w celach czysto hygienicznych wprost czy pośrednio, nie myśliłem radzić, aby się Pani w świat rzucała. Rozrywka męcząca i nudząca nie byłaby rozrywką, a przeto ni duszy ni zdrowiu nie przydatna, owszem szkodliwa. Chyba, gdyby mąż mimo tego życzył, pomimo przedstawienia i uprzejmej prośby Pani, czego nie przewiduję — a w takim razie Bóg by przyszedł w pomoc. Ogólnie, o ile tylko można, starać się być przyjemną mężowi. Wszak o to Pani chodzi, aby zostać doskonałą chrześcianką, a to droga i to droga konieczna. Przypominam sobie, iż tej zimy spytałem się p. Trzcińskiej, czy coś zrobi, pójdzie a odpowiedziała: Jeżeli Pan mój pozwoli, zechce.

Nie uwierzy Pani, jak ta odpowiedź w XIX w. ujęła mnie. Nie byłbym za despotyzmem mężowskim, ale to pewna, że podług prawa Bożego on głową niewiasty, a niewiasta łagodnością zwycięża, słuchając rozkazuje. Dawniej możeby Pani nie smakowała w takiej apologii wyrazu „Pan", a dziś jestem pewny, że ją zrozumie. *E poi la Madonna faceva cosi. Detto tutto.* X. Alexander miał depeszę *in folio* od mamy z Drezna w odpowiedzi na list jego — odpisze znowu. Dziękuję za pamięć! proszę kłaniać się uprzejmie i mamie i siostrom. Jak s. p. O'Connell wołał *agitation, agitation*, tak ja szepczę *pace, pace.* Pannie Izie zapomniałem powiedzieć, żem napisał do P. Klementyny o niej: *„qu'elle devieudrait une rude Chrètiénne"* — niechże mię nie kompromituje, poprzestając na cnotach, które już posiada, ale drapie się wciąż, jak M. Makryna powiada „ku dalszemu wciąż"! Ale, ale nic nie słyszę o P. Klementynie, jak wyszła ze swego stanu, jak się ma? proszę mi donieść; od kilku dni szczególniej nawijała mi się na pamięć.

Kolonii polskiej, zacząwszy naturalnie od męża, proszę oświadczyć moje uszanowanie. Wyjechali tam Pp. Brzozowscy starzy; młodzi zdążają — polecam Pani bardzo młodego Brzozowskiego, ucznia Overbecka we wszystkiem — napada go czasem melancholia — dobry uczynek będzie, czasem go rozerwać. Oprócz siebie, a przy sobie ma pani takie miłe bawidełka przyrodzonych błazenków, jak stary Rej z Nagłowic się wyraża, proszę ściskać i błazenka i błaźniczkę,. Fruś pewno wyszedł na sensata, a Clunia powolna jak baranek, słodka jak cukierek.

O tutejszych wiadomościach nic nie piszę — naprzód zamało wiem, a potem tyle plotek krąży, że już niczemu się wierzyć nie chce. Rządzi Kard. Ferretti, łaskawy na nas, ale cóż kiedy teraz czasu niema — tak, że straciliśmy na jego wyniesieniu. Za powrotem niech Pani trzyma *Przegląd poznański*, bo tam będzie mogła czytać listy z Rzymu. Miałem list od Stanisława Koźmiana z Genewy, brat jego i bratowa dzięki Bogu wyszli bez szwanku z kontuzyami tylko. Pisze na zabój we

wrześniu na pewno ma mieć pozwolenie do Berlina. P. Łubieński ruszył wczoraj przez Paryż do Warszawy.

Kończę te moje hieroglify, życząc Pani wszelkiej łaski i błogosławieństwa Bożego, a wieczności świętej, której też wszyscy pokornie się spodziewamy za przyczyną dobrej naszej Mamy.

X. Hieronim.

Interlaken 25 Sierpnia 1849 r.

Kochana córko! List Twój z 31-go przed paru dniami otrzymałem. Wracając z pobożnej pielgrzymki do Einsiedeln. Korespondencya, jak widzisz, siłą rzeczy się spóźnia. O gdyby mi Bóg pozwolił w tych smutnych, brzydkich, krwawych i pijanych czasach przysiąść gdzie w kącie, o niczem nie wiedzieć, o wszystkiem zapomnieć, tylko się modlić i pracować. Szczęśliwa śród nieszczęść, że masz taki kącik. Mnie Bóg za karę pędza po świecie, którego nie lubię, a z którego wrażenia i wiadomości odbierają skupienie w modlitwie i usposobienie do pracy. Różne różnym Bóg krzyże zsyła, smutno, ale trzeba cierpliwie znosić. Za dni kilka już stąd ruszam, a za 15-cie muszę wrócić do wielkiego miasta, które sobie tak zbrzydziłem i do tego S. Rocha, gdzie prace moje tak mało owocu przyniosły, a teraz do zrozpaczonych ludzi i ogłupiałych pod nieszczęściami, bez Boga na wiatr strzelać przyjdzie. Gdybym przynajmniej na zimę mógł do cieplejszego klimatu się przenieść — ale i Włochy dziś nie miłe. W konkluzyi *si faccia la volonta di Dio*! Dziękuję Bogu, że ci daje pokój i upodobanie w tak świętych zatrudnieniach koło dzieci twoich. Niech im Bóg błogosławi tym kochanym dziatkom, niech im umiejętność lepszą i zbawienniejszą będzie przeżuta niejako ustami matki. Drugie to karmienie ważniejsze od pierwszego, które się tak łatwo jak pierwsze zastąpić nie da. Tutejsza kolonijka się rozjeżdża. Pp. Tadeuszowie do Paryża, Pp. Piotrowie W., którzy tu od 10 dni zabłądzili, myślą zimować w Dreźnie. Niektórzy wracają do kraju.

Bądźże mi zdrowa i pogodna wciąż, w kapliczce twojej pomódl się często za mnie. Kiedy się oczyma ciała zobaczymy, to Bogu zostawmy. Zresztą po wodach (bo i to może cię ob-

chodzić) jestem zdrów jak dawno nie byłem. Za to X. Alexander nie bardzo dobrze na gardło. Gdzie margrabina się obraca i jak się miewa? Raz jeszcze Bóg z wami.

X. *Hieronim.*

Paryż 7 *Lutego* 1850 *r.*

Niech będzie pochwalona zawsze i we wszystkiem Najświętsza Wola Pańska!

Najukochańsza córko moja w Panu! tem droższa, że zasmucona, droższa w Panu boć i Zbawicielowi milsza, kiedy pod krzyżem, a za Nim krzyż dźwigająca, choćbyś też na moment omdlała pod ciężarem. Dziecko kochane! w przeszłym liście było trochę wesela, a tu smutek; w przeszłym liście mówiłaś mi o bólu głowy fizycznym, a boleść serca — moralna. W przeszłym liście mówiłaś mi, że P. Klementyna zapadła na odrę, słabość mało znaczącą, a oto podobało się Panu Bogu (jak mi P. Czerkonicz donosi) powołać ją do Siebie. Niezbadane drogi Pańskie, ale zawsze miłosierne! Wierzmy i błogosławmy. Ja się spodziewam, że umarła ze skruchą i w łasce Pańskiej, a więc Bóg ją dotknął karą doczesną śmierci ciała, aby duszę na wieczność zachowała. Wiesz moja córko, jakie to było miękkie a lepkie serce i jak jej trudno było żyć na świecie, w takim świecie. Powiesz — a dzieci? Bóg lepiej wie, czy lepiej im było mieć matkę czuwającą nad niemi tutaj, czy z góry. Wola Boża! wola Boża! odwagi i poddania się! nie wzbrania Bóg łez i żalu, tylko wzbrania nieporządnego, zbytecznego, cielesnego żalu. Ale Bóg dziecko Swoje wziął na egzamin, aby się przekonał wiele już postąpiło w miłości Jego — spodziewam się, że zda dobrze i wstydu mnie nie zrobi. Czekać będę częstych raportów i będę na nie odpisywał. Proszę się nie rozchorować, a szczególniej Ciałem Pańskiem nerwy uspokoić. O wszystkiem zresztą później napiszę. O nic się zresztą nie troskaj — o akcye Wielogłowskiego nie łam sobie głowy, zrobisz ile przy zwykłem staraniu da się zrobić. Czekać będę wiadomości, a tymczasem modlić

się za duszę córki mojej nieboszczki i niebogi córki mojej żywej i Mamy waszej i reszty rodziny. Bóg z Tobą.

X. Hieronim.

Rzym 1-go Listopada. Wszystkich Świętych (1850 *r.*).

Kochana córko w Panu! Jeżeli komu to Tobie przypominać trzeba w tych czasach, że kogo Bóg kocha — doświadcza i chłoszcze, że przystępujący do służenia Bogu powinien przygotować duszę swoją na pokusy, nareszcie słowa Zbawiciela: „Kto chce iść za Mną, niech weźmie krzyż swój i idzie za Mną“ — i te inne jeszcze: „Błogosławieni, którzy płaczą — albowiem będą pocieszeni“. Jeżeliś za przykładem Tobiasza grzebała umarłych i nie mogła być przy łożu matki, bądź pewna, że anieli święci cię zastąpili. Świątobliwa matka twoja już tylko żyć chciała dla Boga i dla przygotowania się do nieba, znać, że Bóg dojrzałą i gotową zastał i powołał z tej ziemi. Oto i P. Cezarowa Poniatowska taka młoda i napozór silna osoba poszła do Pana. Kochana córko! zawsze są prawdziwe słowa Boże: „Błogosławieni, którzy umierają w Panu“, ale o jakże dziś głębiej wpadają do dusz naszych mimowolnie pod wrażeniami doczesności żyjących. Mnie się wszystko zdaje, że mamy jeszcze takie brzydkie rzeczy do przebycia, iż Bóg wielką łaskę robi temu, kogo w tych czasach zabiera, a twoja zacna matka, która tak wszystko do serca brała, o ile by jeszcze wycierpieć musiała. Że serce córki boli, nic prostszego, że dobrej córce, dobrej matki żal, żal mocno, nic naturalniejszego. Ale chrześcijanka po łzach naturalnie z Wolą Bożą się zgodzi i pokoju świętego nie straci.

Dzięki Bogu, że i stary książę tak pięknie skończył — czy Xięcia Jerzego przy nim nie było! Mnie tu był zrazu smutek bardzo serce cisnął — tak inaczej teraz Rzym wygląda, alem i do tego się przyzwyczaił i pracuję spokojnie, czekając, co Pani Bóg każe i pokaże. Z Polaków dotychczas przyjechała pani St. Krasińska wdowa i Edward Lubieński z żoną i jeszcze dwiema paniami. Xiężna Odeschalchi jeszcze nie przybyła, Walewscy już podobno nie przyjadą, żona lęka się dla męża i może słu-

sznie, wpływu gadania Rzymian na Ojca Św. i duchownych — choć jeżeli w Nizzy będę, to nie w lepszej atmosferze religijnej, a może i gorzej będzie.

Widziałem dziś Montalembert'a, który tu na dni 10 przybył — dzięki Bogu spokojniejszy, a ze stanem normalnym wróciła jego dawna przyjaźń ku nam — wróciła żywiej, bo nigdy nie była wygasła, tylko preokupacye czasowe były ją trochę osłabiły, a raczej zaciemniły.

O dziatkach nic nie piszesz, więc, zdaje się, zdrowe. Cieszę się, że wśród tych smutków znajdujesz podporę i pociechę w mężu; nigdy nie mógł bardziej na czas przybyć do Drezna. Dziś już się za mamę pomodliłem, jako całą tę oktawę, da Bóg, modlić się będę i ile razy przypomnę sobie, westchnę z serca. Lękam się, czy zdrowie twoje nie ucierpiało. Wypocznij teraz, spodziewam się i nie wątpię, że tego mąż dopilnuje, a proszę go słuchać i nie zużywać zdrowia do reszty, bo nie do ciebie ono samej należy, a nawet najmniej do ciebie. Pan Bóg z tobą kochana córko w Panu, niech cię Bóg pociesza i wzmacnia — mężowi uszanowanie oświadcz, dziatkom przesełam błogosławieństwo — znajomych łaskawych proszę pozdrowić.

Sługa w Panu

X. Hieronim.

Canterêts 9 *Września* 1853 *r.*

Zacna i miła Pani!

Szczerzem się był ucieszył nadzieją ujrzenia Pani mojej — ale nie wiem, czy wskutek wód, czy przeziębienia z nagłego oziębienia powietrza dostałem od 15-tu dni mocnej newralgii, która mi spać w nocy nie daje, a w dzień niezdolnym do jakiegokolwiek zajęcia czyni. Dlategom zwlekał dotychczas odpowiedź, dlatego muszę Panią dziś zasmucić, donosząc, że za trzy dni wyjeżdżam wprost ku Rzymowi. Doświadczyłem już dawniej, że wskutek dawnych ran w głowie, gdy mi się nerwy rozbolą to na miesiące całe. W takiem więc położeniu rzeczy nie podobna mi ku północy jechać i rzucać się w ruchliwe życie paryskie, ale trzeba do cieplejszego i spokojniejszego Rzymu

podążać. Zresztą i tak miałem odrazę wpaść na miesiąc do Paryża, wszakże ciągnęła mnie chęć uściskania moich, tembardziej drogich, że od ludzi opuszczonych braci i powitania kilku mi miłych dusz, ale teraz sam Pan Bóg rozstrzygnął. Mam przeczucie, że wrócę do emigracyi na dłuższą pracę, może i na przyszłą wiosnę, ale daty nie pewien!

Niech Pani będzie pewna, żebym *sermon de charité* na korzyść naszych nie kazał — na biednych obcych to co innego. Kiedy nasi już w żaden sposób utrzymać się dla służenia wyłącznie rodakom nie potrafią, ale wyniosą się do Rzymu, gdzie będziemy razem biedę klepać — albo podejmą się posług parafialnych, przy jakim kościele francuskim, aby choć mniej wolni, mogli jeszcze pewne posługi swoim oddawać. Dziękujemy Bogu, że twardą a więc swoją nas drogą prowadzi i jedyną chce być naszą pociechą, zachętą i nagrodą.

Dzięki Bogu, że Panie niosą korzyść duchowną w rodzinach, które wspierają — i za pociechy, jakie Pani ma w rodzinie i za strony swego spowiednika; wszakże wyrażenie, że słodki jest sam Pan Bóg za zbyteczne i nie pomyślane. Co do stołów gadających, ani wątpię, że to sprawa szatańska; policzek to nielada, temu wiekowi tak zepsutemu, pysznemu, niewiernemu, a płochemu i łatwowiernemu zarazem, ale w tej chwili cokolwiekby się mówiło i pisało przeciw, na nic się nie zda. Dopiero jak szatan z dopuszczenia Bożego potłucze te głupie a harde głowy, to może się opamiętają i upokorzą przed Bogiem i Kościołem Jego. Ja mam przeczucie, że ten karnawał szatański na świecie już blizki, kto go przetrzyma, ujrzy coś lepszego na świecie. Ale, że Kraków tak szaleje, stąd mi wielki ból i wstyd. Lwowowi byłbym się wcale nie dziwił, ale stary Kraków pijany, to smutne dziwo. Żegnam kochaną Panią moją — kiedy i gdzie się zobaczymy, to Bogu miłosiernemu zostawiam; ale proszę wierzyć, że ją zawsze i wszędzie noszę w sercu i przed Bogiem, jako córkę duszy mojej i jako taką codziennie wiernie Bogu polecam. Cokolwiek i czy co sny znaczą, proszę mnie na jawie jaknajczęściej i najusilniej Panu Jezusowi Ukrzyżowanemu polecać. Mam sobie od dusz świątobliwych zapowiedziane,

wiele cierpień, trudów i prześladowań w życiu. Dalekim od wypraszania się od tego, ale, że ciało słabe, choć duch skory, potrzebuję pomocy, abym te dary Ukrzyżowanego Pana mojego na dobro moje a nie na szkodę duszy obrócił. Bóg z Wami i Matka Jego Najświętsza, dziatki czule pozdrawiam.

X. Hieronim.

Rżym 5 Lipca 1858 r.

Moja biedna i dobra **Córko!**

Powiadano mi, że jakaś cywilizowana żydówka warszawska skarżyła się przed Drem Wolffem długo po francusku, że cierpi. A on nie wierząc temu, spokojnie grał w karty — dopiero, gdy zawołała *aj-waj* rzucił grę i pobiegł ją ratować, bo już nie wątpił, że prawdziwie cierpi. Otóż moja Pani nie wątpię, żeś głęboko w serce ugodzona, boś cały list napisała po polsku i dobrą polszczyzną, co ci się już oddawna nie zdarzyło. Obiecałem ci, że Bóg posłuszeństwo nagrodzi i prawda — główna i zupełna nagroda dopiero w wieczności, aleś już i na ziemi nagrodzona. Zachowałaś się sama od niebezpiecznych stosunków, od pokalania; dzieciom a szczególniej córce przekazujesz dobry przykład — nie dałaś powodu do mnóstwa grzechów bliźnim twoim, wskutek posądzeń, szemrania, obmowy itd.

Masz kochające i lepkie serce, chciałabyś kochać i być kochaną a czule. A wierzaj mi, że niełatwo żyć w takich uczuciach bez uszczerbku miłości Bogu należnej. Pan Jezus chce serce twoje dla siebie zachować, a ty jak niemądre dziecko smucisz się, że nie masz jakiego bałwanka uczuć swoich. Zawstydź się i nawróć bardzo prędko. Otoś przygotowana do przejścia do wyższego stopnia znajomości i miłości Twego Jezusa. Jakżebym rad teraz był z tobą — ale ja na lato się nie ruszę, chyba gdzie w okolicę; jeżeliś teraz już wolna i wskutek postanowienia córki, czemubyś na przyszłą zimę do Rzymu nie przyjechała. Wierzaj mi, że atmosfera paryska nie jest korzystną do rozwinięcia się duchowego — wiele robi, kto tam nie traci. Przybądź córko, przybądź do miasta męczenników, do stolicy prastarej, zobaczysz jakie piękne rzeczy odkryjesz, jakich

jeszcze nie znasz. Vincenzo otrzymał już swoje pieniądze wraz z listem bardzo uprzejmym od p. Alexandra; nie posiadał się od szczęścia i wraz do kąpiel pojechał. Napisz do mnie, napisz jeszcze szczerzej; odkryj całkiem ranę serca twego, list zniszczę. Bóg z tobą, moja poczciwa, dawna córko i siostro — niech się Matka Najświętsza tobą zaopiekuje i Pan Jezus do Serca przyciśnie.

Bóg z Tobą

X. Hieronim.

J. M. J. *Rzym 25 Października* 1859.

Wóla Boża.

Serdeczna Córko w Panu!

Teraz bardziej niż kiedy, gdy złe coraz bardziej rozkiełznane, jest czas expiacyi i dlatego Bóg na tych, którzy Mu jakokolwiek służą, wkłada tyle krzyżów i krzyżyków, ile ich tylko oni wsparci łaską Jego unieść mogą, aby ich samych oczyścił i drugim był miłosierniejszy. Miej to wciąż przed oczyma duszy, dziecko moje i wszelkie boleści, uciski i przykrości, zawody etc., zbieraj jak Oblubienica Kantyku w pęczek myrry i noś go z wielką miłością na piersiach t. j. w sercu. Tak tylko utrzymasz się w spokoju, dostąpisz coraz większego oczyszczenia ducha, coraz więcej się zbliżysz do Zbawiciela. Wiesz, że droga Jego Krzyżowa — innej do Boga niema.

Na świecie musi dojść do przesilenia, jeżeli Bóg stanowczo się nie wda przed paroksyzmem — będzie on krwawy, ludzie szczególniej duchowni ucierpią, ale Kościół zyska. Wszakże dobry Boże ile świętokradztw!

Gdyby stąd Francuzi wyszli, zapewne Ojciec Św. tu siły swoje skoncentruje, choćby też miał odsłonić prowincye nad Adryatykiem, których bronić ma interes Neapol. Układa się tu rodzaj straży bezpieczeństwa z przychylnych Papieżowi właścicieli — jest już ich 1000. Żandarmerya dotychczas wierna się pokazała. To wystarczy, jeżeli Bóg zechce zachować; jeżeli zechce dotknąć — nic nie wystarczy.

Dziwneby się pokazały drogi Pańskie, gdybyś po raz drugi

otworzyła mi drogę do Galicyi. Ale trzeba zaczekać, abyś mogła osobiście za tem pochodzić. Główne osoby są: Gołuchowski i Hübner; 1-szy jako minister i że popierał moją prośbę zeszłego roku, której, zdaje się, skręcił głowę generał Kempen były minister policyi. Sądzę, że Gołuchowski zdania nie zmienił, a od ministra policyi najwięcej w tych czasach zależy. Trzeba by się dowiedzieć, jakie mogą mieć zarzuty, aby módz odpowiedzieć. Trzeba będzie powiedzieć, że bylebym mógł przekazać kościół tamtejszy, na którego z braci moich lub zdobyć się na własny, chętniebym tam i osiadł, szczególniej, gdyby mi pozwolili zabrać ze sobą lub sprowadzić później jednego z braci rzymskich (nie paryskich — bo tych stanowisko zapewne stanowi główną trudność i stosunki jeszcze nie wyjaśnione z Rosyą; inaczej, o ile znam siebie, lękam się, iżby mnie rychło opanowała tęsknota za moimi, z którymi się lat 20 przeżyło. Te uwagi zapamiętaj, gdybyś nagle wyjechała do Wiednia; w każdym razie, mogłabyś choć stamtąd zażądać objaśnień. Tymczasem X. Semeneńko postara się widzieć pana Bach, którego poznał w Wiedniu, bo jego zrozumienie rzeczy i usposobienie ważne w tej sprawie. Pożądane też, aby dobre stosunki się ustaliły między Paryżem a Wiedniem. Tymczasem módl się moje dziecko, aby ci Bóg pobłogosławił i trzymaj się w pokoju i sile chrześcijańskiej, jaką daje pokorna wiadomość własnej słabości, obok ufności nieograniczonej w nieograniczonem miłosierdziu Bożem. O gdyby mi też miły Jezus dał popracować nad duszą... odsadzoną już od złudzeń ziemskich, możnaby z tego coś pięknego zrobić.

Bóg z Tobą

X. Hieronim.

J. M. J. *Rzym* 12 *Listopada* 1859.

Wola Boża.

Moja Pani Córko!

Pokazuje się, żeśmy obaj postarzeli i utyli — rysy matczyne teraz więcej wystąpiły na wierzch, a więc i podobieństwo do sióstr większe, ale mniejsza o twarz, która przechodzi, mówmy

o duszy, która trwa na wieki. Co do pańszczyzny światowej, którą musisz odrabiać dla panny córki, na to niema innego lekarstwa, jak cierpliwość i czas — trzeba tylko nosić to jarzmo *comme une oeuvre peinale*, a nie pokazując tego na zewnątrz! Zmiany zaś miejsca, projektów, zawody itd. nie powinny wpływać na ducha, podobnie jak w drodze, gdzie się zatrzymamy, roztasujemy się i robimy swoje. Pielgrzymką i podróżą życie nasze, przestanki tylko dłuższe i rzadsze, albo krótsze i częstsze. Radzę ci niezmiernie ćwiczyć się w zdaniu się pełnem wiary i miłości na wolę Boga wszechmądrą i wszechdobrą zawsze, choć jej nieraz nie rozumiemy i w skutkach bezpośrednich, przykra ona naszej naturze. Wierzaj mi, że to jest droga i tajemnica postępu zasadnego i pokoju duszy. Kochać wszystko dlatego, że Bóg tak rozporządza, albo nawet dopuszcza tylko, to kochać prawdziwie Boga, dla Niego Samego. Co do czytania duchownego wybieraj Żywoty świętych niewiast, obszerniej napisane. Ja czytam teraz „*Le Chrétien intérieur*“ *par Mr. de Bérnière*. Wyborne dzieło, ale go wiele na raz czytać nie można. Jest to w rodzaju „Walki duchownej“. Co do mojego sprowadzenia do Galicyi możesz już prywatnie przygotować rzecz i wolałbym, aby mi sam p. Gołuchowski (doniósł) w jaki sposób mam prośbę podać. Nie spieszę się zaś, bo przez zimę wskutek Kongresu sądzę, że stanowisko Austryi wobec Francyi i Rosyi coraz się więcej wyjaśni, odcieniuje. Im się więcej od Rosyi oddali, tem łatwiej mi będzie pozwolenie dostać — a im lepiej będzie z Francyą, tem łatwiej mi się uda przenieść rektorstwo na X-dza Semeneńkę, bo bylebym to ostatnie mógł przeprowadzić, chętnie na czas nieograniczony osiądę w Galicyi. „Mądrej głowie — dość na słowie“, *ainsi sonder et préparez le terrain*. O gdybym mógł Miesiąc Maryi kazać tam! W każdym razie niech tylko o mnie jednym na teraz będzie mowa, ale trzeba wiedzieć, czy mam o czasowy pobyt, czy o stały prosić. A póki nie będę miał pozwolenia na osiedlenie się, nie mogę starać się o zrzeczenie się rektorstwa św. Klaudyusza.

Proszę mnie przypomnieć Xdzu Caron i oświadczyć mu moje uszanowanie a polecić modlitwom.

Bóg z Tobą Pani córko, aby pod słońcem łaski Pan Jezus doskonale się odfotografował na duszy Twojej — większejbyś dostąpiła łaski od św. Weroniki, która tylko otrzymała wizerunek skrwawionej twarzy Zbawiciela na chuście.

Wierny sługa ku zbawieniu

X. Hieronim.

Rzym 9 Października 1869 r.
Via Paolina Nr. 30.

Zacna i łaskawa Pani!

Tracę nadzieję, by się udało zrobić interes z tym panem. Jeżeli to ten sam pan C., o którego sprawie ciężko gorszącej przypadkiem w *Czasie* wyczytałem. Mój Boże starzec 66-letni!

Chciałem wszakże podziękować Pani mojej za dobrą jej wolę, zachód i pamięć o moich imieninach, a niewątpliwie i modlitwę. Niestety nie sprawdziła się nadzieja Pani, by Garibaldi nie mógł szkodzić — nie on, to jego syn, to jego porucznicy. Wszystko to komedya nieprawości i jeden Bóg może tylko zaradzić. Widoczna dziś jak na dłoni, że ludność Rzymu i państeweczka papieskiego zadowolona ze swego losu i nie chce „słodyczy" piemontskich, ale co to znaczy? sekciarstwo całego świata, a głodne włoskie w szczególności, chce Rzym złupić i Papieża mieć jeńcem albo tułaczem, a radeby, aby całkiem go nie było. W Bogu samym, powtarzam, nadzieja, cokolwiek Bóg na miasto swoje dopuści, to pewna, że rewolucya we Włoszech bokami już robi, a z włoskiej jedności zostanie tylko jedność zniszczenia i bankructwa. Ale i w Galicyi u was źle idzie, spleśniały liberalizm wiedeński, liberalizm masońsko-żydowski u was popłaca. Cud będzie, jeżeli wybiegacie się od knuta moskiewskiego.

Dziękuję Bogu, że pani Wąsowicz dobrą śmierć miała. Miała też czas poznać złudzenia światowe i obżałować je. Pokój jej duszy. Dziękuję za pamięć panu Alfredowi, synowej, córce; wnuczce mały obrazek posyłam.

Piękna nam teraz młodzież z kraju przybywa, wyraźnie powołań więcej i mocniejsze od dawniejszych. Obok korespon-

dencyi z tylu już domami Zgromadzenia, cały czas muszę jej poświęcać. Seminaryum też polskie (do kształcenia Xięży świeckich) rozwija się powoli. Wszystkoby prędzej szło, ale zawadza brak tej nieszczęsnej a niezbędnej mamony. Ale Bóg podoba sobie budować dzieła Swoje na niepodobieństwach ludzkich.

Bóg z wami zacna Pani, proszę Go pokornie, aby wam we wszystkiem błogosławił i nagrodził wam na wieki dobre serce wasze i dla mnie i dla innych.

Sługa i brat w Panu

X. Hieronim Kajsiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Propedeutyka lekarska. *Dr. A. Wrzosek.* Warszawa 1913. str. 220.

Dr. med. Adam Wrzosek, profesor patologii ogólnej i doświadczalnej w Uniwersytecie Jagiellońskim, wykładający od lat kilku na wymienionym Uniwersytecie propedeutykę lekarską, tak, jak ongi czynili Józef Jakubowski i Fryderyk Skobel, zebrał w formie podręcznika treść swoich wykładów ustnych, zaznaczając jednak na wstępie, że książka nie jest dosłownem powtórzeniem wykładów ustnych i że autorowi więcej chodzi o wartość pedagogiczną dzieła, niż o jego zalety literackie. Z tego też stanowiska, przez samego autora podkreślonego, należy ocenić tę interesującą książkę, poświęconą pamięci Chałubińskiego, Mianowskiego i Szokalskiego, a tchnącą na każdym kroku głęboką miłością ojczyzny i szczerą chęcią wykształcenia medyków pod względem zawodowym i społecznym na dobrych lekarzy i dobrych ludzi. Ale, skoro książka pojawiła się już na półkach księgarskich i czytaną być może także przez nie-lekarzy, staje się czemś większem niż ścisły podręcznik wykładowy i z tego też powodu pod ogólniejszym kątem widzenia ocenioną być musi.

Społeczeństwo nowoczesne, skłonne do encyklopedycznego krytycyzmu, szukać będzie mimowoli w tej książce odpowiedzi na pytanie, jakim lekarz być ma i samowolnie rozstrzygać zagadnienie, o ile lekarz rzeczywiście takim jest, jakim być ma. A gdy się z prawdziwie natchnionych słów autora dowie, że lekarz musi być dobrze wy-

chowanym człowiekiem, uczonym badaczem, światłym filozofem i czułym dobroczyńcą, może czasem wśród analizy stosunku swojego do lekarza zapomnieć o obowiązkach własnych, a winy swoje tłómaczyć wyszukaną wadą lekarza. Autor sądzi (str. 24), że bodaj najważniejszym powodem narzekania lekarzów na wyzysk ze strony publiczności jest ten, iż młodzież nie zdaje sobie sprawy z obowiązków lekarza. Tymczasem wiele powag, zajmujących się sprawami etyki i deontologii lekarskiej widzi od lat wielu przyczynę rozdźwięku między stanem lekarskim a społeczeństwem w braku należytej oceny pracy lekarskiej, żmudnej a poświęceń pełnej, przez tych, którzy tę pracę traktują ze stanowiska zwykłego handlu zamiennego i kupieckiego targu. Posłannictwo lekarskie podobnem jest nieco do posłannictwa kapłańskiego, a oba stany mają prawo wymagać za swoją pracę i poświęcenie należytej czci i szacunku. Stąd też pożądanemby było, aby w następnych wydaniach pięknego dzieła autor zechciał, prócz szlachetnie zarysowanych konturów idealnego posłannictwa dobroczyńcy, podkreślić także honor sztandaru stanu lekarskiego, którego każdy medyk i lekarz nietylko własnymi przymiotami winien być godnym chorążym, lecz także śmiałym wobec wrogich nieraz napaści obrońcą. Przepięknym, nieraz tkliwym nawet idealizmem tchnąca hodegetyka autora, która nawet po kamienistej drodze (str. 38) każe zbliżać się do celów wspólnego dobra, nie straci niczego na swojej dotychczasowej wartości, gdy przeplecioną będzie gdzieniegdzie realniejszym szkicem prawdy życiowej, która idealnemu lekarzowi łatwiej pozwoli znaleźć równowagę wśród walki z rzeczywistością, a czytelnikom nie-lekarzom przypomni obopólny obowiązek solidarnego spełniania czynów obywatelskich, na wspólnym ołtarzu złożonych.

Aby zostać dobrym lekarzem, spełnić należy, zdaniem autora, cztery rzeczy, a mianowicie: przejąć się ideałem lekarza, nabrać wiary w osiągnięcie tego ideału, poznać drogę do celu prowadzącą i z drogi tej nie zbaczać. Te cztery wytyczne kierują też właściwym planem autora, który prowadzi medyka przez wszystkie etapy nauk lekarskich, od studyów przygotowawczych przyrodniczych i biologicznych aż do pracy klinicznej i szpitalnej, objaśniając mu znaczenie i związek poszczególnych gałęzi wiedzy, oraz zabawiając swój wykład szeregiem cennych dat historycznych. Ale nie poprzestając na otwieraniu przed oczyma widza coraz to nowszych horyzontów, stara się przy każdej sposobności podkreślić wartość innych czynni-

ków, jakimi są doskonalenie władz duszy, rozwijanie woli i pracowitości, kształcenie charakteru, wyrabianie fizycznej wytrwałości, oraz unikanie przyczyn, rujnujących zdrowie cielesne i duchowe. Tak szeroko zakreślony program nadał suchemu tematowi, któryby łatwo mógł się stać schematycznem objaśnieniem spisu wykładów i górniejszego polotu i głębszego podłoża. Ale zarazem poprowadzić musiał autora na ścieżki, głęboko wnikające w różne tajniki nowoczesnego życia społecznego i zmusił go do poruszenia tak doniosłych spraw, jak ateizm, partyjność polityczna, emancypacya kobiet, a nawet kwestyę prostytucyi. I z tych znowu powodów stała się książka, pisana właściwie dla medyków, interesującą także dla szerszych warstw, które z ciekawością szukać będą na kilku kartkach dwu ostatnich wykładów odpowiedniego rozwiązania zawiłych i rozbieżnych zagadnień, a znajdą je oczywiście tylko w tej mierze, na jaką pozwalały i rozmiary wykładów i cel samej książki. Trudność w treściwem rozwikłaniu pytań, o których pisano i pisze się ciągle tomy, poznał sam autor i starał się bezstronnie przedstawiać stan rzeczy w formie krótkich uwag, popartych cytatami filozofów i badaczy. Mówiąc, że nauka nie jest przeciwieństwem wiary, ostrzega przed religijną nietolerancyą; krytykując przedwczesne wstąpienie młodzieży do stronnictw politycznych i ich życia, nie zabrania jednak, aby młodzież przekonywała się z gazet i wieców o probierzu wartości stronnictw; omawiając sprawę równouprawnienia niewiast z mężczyznami, cytuje zdania zarówno zwolenników jak i przeciwników tegoż, a studentkom wylicza zarówno ich wady, jak i ich zalety; dotykając wreszcie kwestyi rozpusty fizycznej i moralnej, wypowiada walkę prostytucyi, lecz zarazem żałuje istoty, które się stały ofiarą ciemnoty, nędzy i uwiedzenia.

Ocenę wartości tych różnych zagadnień i sposobu, w jaki zostały rozwiązane, możnaby napisać tak długą, jak wielką jest sama książka, a wypaść ona może różnorodnie, zależnie od osobistych przekonań oceniającego. Zwolennicy emancypacyi i uświadamiania politycznego działa mogliby wytoczyć ku obronie swoich pojęć, przeciwnicy zaś wały sypaliby ochronne dla zasad utartych; między działem a wałem znaleźć się może w pewnych chwilach obustronnie ostrzeliwaną książka, która wśród chaosu polemicznych zagadnień i wiru walk życiowych nie tyle ostrym konturem węglowego szkicu, ile raczej miękką farbą pastelu skreślić pragnie obraz idealnego lekarza, czystego na ciele i na duszy.

Większa część rozdziałów książki prof. Wrzoska, poświęconych rozpatrywaniu sposobów, w jaki się nauk lekarskich uczyć należy, nie może stanowić przedmiotu oceny szerszych warstw czytelników. Jest to rzeczą profesorów wszechnicy wybierać te środki, które za najlepsze uważają, a rzeczą uczniów mądrze z tych środków korzystać. Ale ponieważ te rozdziały przeplatane są uwagami ogólniejszej natury i doniosłych sięgają kwestyj społecznych, podpaść także muszą pod analizę ogółu. Weźmijmy n. p. kwestyę wyjazdu za granicę i studyowania podręczników, pisanych w językach obcych. Przypuśćmy, że kochający ojciec, który syna pragnie wykształcić na najlepszego lekarza, w propedeutyce szukać zechce rozwiązania dylematu, czy ma syna wysłać na studya za granicę, czy też pozostawić go w kraju, a w tym ostatnim wypadku, czy za ciężko nieraz zarobiony grosz kupować mu książki polskie, czy także w obcych pisane językach? Na str. 170 propedeutyki znajdzie radę, aby chociaż na jedno półrocze zmieniać uniwersytet, albowiem „zwiedzenie obcych krajów i poznawanie instytucyj społecznych przyczynić się może do rozszerzenia widnokręgu umysłowego". Na str. atoli 71 znajdzie uwagę, że „używanie podręczników obcych utrudnia postęp nauki przez brak, należytego mianownictwa", oraz „wpaja nieraz fałszywe przekonanie, jakoby tylko inne narody pracowały nad rozwojem medycyny". Mimowoli zapyta sam siebie, w jakim języku syn słuchać będzie wykładów na uniwersytecie obcym i dojdzie do wniosku, że może przecie porównanie podręczników swoich z obcymi może stać się rodzajem szkoły przygotowawczej do tego rozszerzenia widnokręgu umysłowego. Sądzę, że używanie podręczników polskich, o ile w danym przedmiocie istnieją, powinny być osią nauki polskiego medyka, lecz, że mądre porównywanie tychże z obcymi przyczynić się tylko może do rozwinięcia zakresu wiedzy, choćby już z tego powodu, że, jak sam autor propedeutyki twierdzi, nauka języków obcych konieczną jest dla każdego lekarza, który „chce stać na wysokości poziomu naukowego", a nadto staje się „niezłą metodą kształcenia woli". Nie sądzę również, aby o wszystkich uczonych dało się powiedzieć, iż „zaczęli pracować każdy dla swego tylko narodu", ignorując wyniki badań innych narodów, a gdyby nawet tak czasem było, to bądźmy my właśnie tem wyżsi, że kochając to, co swoje, sprawiedliwie ocenimy to, co obce. Wiedzmy nawet od lat młodych, że nas czasem ignorują i kto nas ignoruje, a to zdwoi w nas zapał, aby czy to dorobkiem ściśle naukowym, czy też nawet cennemi nieraz

bardzo spostrzeżeniami ze zwykłej praktyki codziennej przyczyniać się w miarę możności do rozwoju nauki lekarskiej polskiej i wymuszenia wśród obcych szacunku, jaki się dla niej należy.

Dr. J. Zanietowski.

Fjordy. Fragment z dziennika. *Wojciech Rostworowski.* Warszawa. 1914. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i Spółka. str. 78 in 8-o.

Szczupła książka, w której więcej „Flirtów" jak „Fjordów". Nie potrzebował też Autor jechać po wrażenia aż do Norwegii, z dziennika bowiem widać jasno, iż mógłby je równie dobrze, a zapewne i musi często zbierać w kołach znajomych, wśród zręcznej szermierki słów, gdzie bronią iskra dowcipu, błysk bystry przelotnego spojrzenia, a całym puklerzem pióra i koronki wachlarza, lub cienka, przejrzysta porcelana filiżanki z angielską herbatą.

Jadącemu „w kraj tych cichych sennych fjordów z uczuciem pielgrzyma — po święte myśli i szkaplerze święte"(!), roztęsknionemu za norweskiemi oczami, za któremi goni „by w nich choć raz spojrzeć, na chwilę chociaż się w nich skąpać i wziąć z ich niezmąconej dziwnej głębi ten kawał duszy, który się w nich, jak światło przegląda" — wystarcza przelotna amerykańska „biała mewa" — „niesłychanie zharmonizowana w stylu, wykończona w szczegółach, świeża poranną świeżością... wykąpana w młodości i w *bulné*" i t. d. — wystarcza, by zapomniał i o pisanych, w chwili wejścia do *irritingroom'u* białej *miss*, notatek„ i o cudach otaczającej przyrody, wreszcie nawet i o upragnionych a goniących świeżo norweskich oczach!...

Na dalszych stronach dziennika zmieniają się przedmioty wrażeń; same urojenia, jednak zasadniczo pozostają niezmienne. Od czasu do czasu wszakże zatrzymuje czytelnika i dziwi miłą niespodzianką myśl świeża, szlachetna, prosta i serdecznie rodzima, wywołana raczej biegnącą za odległym krajem ojczystym tęsknicą, niż widokiem dziwów zaczarowanych mórz i lądów północy — jakby znające to pióro, co się z taką tu twórczością ślizgało po wierzchu skoro zechce, zdoła sięgnąć i głębiej. I tu przychodzi na myśl to, co powiedział kiedyś podobno jakiś sławny gastronom, iż dobry kucharz potrafi nawet ze sieczki zrobić smaczne *lours-d'oeuvre*. Dając we „Fjordach" dowód pisarskiej zręczności, winien z kolei Autor podać nam i solidną literacką strawę. Czekamy więc na nią. *J. T.*

Dzieciom ludu polskiego na Zachodzie Niemiec. *Mateusz Umiński.* Poznań 1911.

Treść pracy omawianej rozpada się na dwa wielkie działy. W pierwszej części przedstawia autor stosunki polskiego wychodźctwa na zachodzie Niemiec. To część opisowa. W drugiej, której można dać miano programowej, przedstawia autor plan akcyi celem ratowania tego odłamu naszego wychodźctwa od wynarodowienia.

Zacznijmy od części pierwszej.

Naprzód zarzut autora pod adresem Galicyi i Królestwa. Polacy w tych zaborach przez intenzywniejszą pracę na polu ekonomicznem i socyalnem mógliby powoli zatrzymać część wychodźców od emigracyi. Autor nie rozbiera bliżej tego zarzutu, poprzestaje na szkicowem jego sformułowaniu. Zarzut ten jednak przynajmniej co do Galicyi, której stosunki ekonomiczne są nam lepiej znane, musimy uznać za słuszny. Nie chcemy bliżej tego uzasadniać, bo to stoi w luźnym tylko związku z głównym tematem.

Autor stara się wykazać, że ludność polska pod zaborem pruskim nie może tego dokazać. Stworzenie tam polskiego wielkiego przemysłu jest niemożliwe, a przynajmniej bardzo trudne.

Przeszkadza temu przedewszystkiem położenie geograficzne. Brak węgla kamiennego i innych minerałów wyklucza wytworzenie górnictwa i hutnictwa. Przemysł środków spożywczych mógłby się wytworzyć tylko na podstawie produkcyi rolnej.

Nadto rozwojowi przemysłu stoją na przeszkodzie rozliczne tamy.

Niemi są zamknięcie granicami celnemi na wschodzie i południu, warunki polityczne i konkurencya z potężnym, wszelkimi środkami popieranym przemysłem niemieckim.

Wreszcie brak wyszkolonych robotników, brak kierowników przemysłowych. A dla pozostałych poza tymi, którzyby mogli znaleść zajęcie w przemyśle, brak miejsca na roli wskutek polityki osadniczej rządu pruskiego. Dąży ona do tego, by ścieśnić podstawy bytu narodowego, zastąpić lud polski kolonistami niemieckimi, a ludność polską wypchać na zachód, gdzie utonie w morzu germańskiem.

Tam otoczona jest ta ludność proletaryatem niemieckim, pozbawiona wpływu polskiej inteligencyi, wskutek tego pozostawiona sama sobie wytwarza jakieś inne dążenia, inne ideały, niż ogół pruski na wschodzie. To stwarza rozdźwięk i odrywa wychodźctwo od pnia ojczystego. A społeczeństwo polskie pozostałe na ziemi ojców nie przy-

gotowało wychodźców na drogę, nie postarało się o skoncentrowanie ruchu emigracyjnego w jedno koryto, nie interesuje się losem i przyszłością nie tylko wychodźców amerykańskich, ale nawet i przebywających na zachodzie Niemiec.

Dzieci polskich wychodźców na zachodzie Niemiec żyją w opłakanych warunkach hygienicznych a nie lepszych narodowych. Na brak uświadomienia dzieci wpływa przedewszystkiem brak jego u rodziców. Dalszym powodem jest, że wychodźcy, to przeważnie robotnicy, nie mający sił ni czasu, by poświęcić go po pracy dzieciom. Dalej wpływa na to rozszerzenie wychodźctwa.

Natomiast dzieci są przeważnie w szkole, przy zabawach n. p. narażone na wpływy obce niemieckie.

Ale gdyby przez poprawę bytu nasi wychodźcy mogli więcej czasu poświęcić rodzinie, gdy wzrośnie w przyszłości narodowe poczucie, gdyby nawet udało się na zachodzie skoncentrować naszych wychodźców w jedno wielkie środowisko, to i te warunki nie polepszą sytuacyi. Zwarte ześrodkowanie zmusza rodziców do przekazywania dzieciom zewnętrznych właściwości narodowych: na wychodźctwie natomiast zawsze mogą oddziaływać obce wpływy.

Jeśliby zaś zbankrutowała nawet hakatystyczna polityka, to pomimo wzrostu uświadomienia narodowego zmaleją przeciwieństwa między ludnością polską i niemiecką. To zaś zmniejszy napięcie siły narodowej. Dalej przytem zmniejszy się napływ wychodźców, gdyż swoboda osadnictwa i wogóle stosunków w kraju pozwoli większej ilości ludzi znaleźć na miejscu warsztat do pracy. Ustanie zatem prąd odświeżający u wychodźców poczucie narodowe.

W następnym rozdziale, bardzo obszernym na podstawie żmudnych obliczeń zawierających przytem ostrą krytykę oficyalnej statystyki, dochodzi autor do wyniku, że na Zachodzie Niemiec przebywało w r. 1905 wraz z mieszańcami przeszło 383 tysięcy, z tego zajętych w przemyśle przeszło 283 tysięcy, a pracą rolną przeszło 99 tysięcy. Dzieci polskich w wieku szkolnym liczył autor około 50.000.

Niepodobna nam w krótkiem streszczeniu przedstawić wszystkich konstrukcyi statystycznych autora, ani wdawać się w ocenę metody: przyjmujemy cyfry przez niego ustalone jako podstawę dalszych jego wywodów. Ustaliwszy tak cyfry dzieci polskich na wychodźtwie przystępuje autor do przedstawienia sposobów, by podtrzymywać i pogłębić w nich ducha narodowego.

Plan swój przedstawia autor w następujący sposób:

1. oświata, reforma socyalna, organizacay;
2. lokalna koncentracya.
3. czasowe przesiedlenie dzieci do kraju;
4. propaganda łączności z macierzą i powrotu do kraju.
5. bezpośrednia praca przeciwwychodźcza.

Czasowo przesiedlać do kraju możnaby dzieci w wieku szkolnym t. j. od 6 do 14 roku życia.

Wyjazd do krewnych lub znajomych w kraju na czas wakacyi lub też umieszczanie po domach inteligencyi nie może dać wybitniejszych wyników. Korzystać mogłaby z tego tylko mała ilość dzieci, a i pod względem wychowawczo narodowym nie rokuje owoców zbyt obfitych. O wiele lepszym środkiem byłyby kolonie wakacyjne i to ze względów politycznych głównie w Galicyi. Z koloniami mogłyby się łączyć szkoły gospodarstwa domowego, techniczne zakłady zawodowe.

Za pilniejsze jednak i ważniejsze uważa autor kolonie wakacyjne dla młodzieży szkolnej.

Koszta urządzenia kolonii wynosiłyby kilkanaście milionów marek, koszta roczne 1800.000 m. Autor pociesza się, że dochody z gospodarstwa i t. p. mogłyby część kosztów rocznych pokryć, ale i w tym wypadku trzebaby rocznie 500.000 — 750.000 m.

A skąd zebrać takie fundusze.

Autor projektuje stowarzyszenie, mające objąć Prusy Zachodnie. W. Ks. Poznańskie, Śląsk pruski i Zachód Niemiec, a więc wyłącznie tylko Polaków z Rzeszy niemieckiej. To towarzystwo musiałoby się zająć propagandą, słowem i pismem i zbieraniem składek, naturalnie realizacyą na tej podstawie celów towarzystwa.

Członkami towarzystwa byliby: prezesi wszystkich polskich towarzystw z wyjątkiem politycznych inne jednostki odpowiednio ukwalifikowane, reprezentanci prasy, lekarze i pedagodzy.

Ci członkowie działaliby propagandą w obwodzie organizacyi, którym przewodniczą.

Członkowie łączyliby się w organizacye parafialne i powiatowe pod przewodnictwem patronów, na czele stałby zarząd główny.

Każde towarzystwo reprezentowane w towarzystwie kolonii wakacyjnych miałoby obowiązek zbierać składki na każdem swem zebraniu, nawet po zabawach urządzanych na inne dobroczynne cele. Samych składek w ten sposób zebranych tylko wśród Polaków pod zaborem pruskim szacuje autor na 4.800.000 Marek rocznie.

Cyfra to okazała i z takim funduszem możnaby już dużo zdziałać

i możnaby przystąpić przy pomocy kredytu do akcyi zakładania kolonii wakacyjnych. Ale rozważyć należy następujące pytanie:

1) czy da się rzeczywiście kwotę taką rocznie zebrać?

2) czy nie ucierpią na tem inne potrzeby społeczeństwa ważniejsze?

3) konsekwencyą tego pytania będzie poddanie ocenie wartości celów kolonii wakacyjnych w porównaniu z innemi potrzebami, które można przeprowadzić tylko w drodze samopomocy społeczeństwa?

Społeczeństwo polskie, jak wykazują sprawozdania licznych towarzystw dobroczynnych, oświatowych i t. p. jest bardzo ofiarne w stosunku do swego położenia finansowego. Może ta ofiarność nie zawsze płynie z głębszych pobudek, może nieraz odgrywa tu rolę miłość własna, próżność i t. p. motywy natury powierzchownej, ale uczy doświadczenie, że akcya składkowa zorganizowana i przeprowadzona ze znajomością psychologii społeczeństwa może zawsze rokować powodzenie.

Autor bierze za podstawę cyfrę 1200.000 Polaków wyżej lat 14 czyli przyjmuje uzbierane drogą składek 4800.000 marek, wypadałoby po 4 marki rocznie na głowę. Zapomniał jednak autor, że nie wszystkie osoby w wieku 14—20 lat, w wieku zatem właściwie jeszcze dziecięcym mają wogóle do rozporządzenia jakiekolwiek fundusze: a często zaś płyną one tylko z dochodów ich rodziców czy innych najbliższych, na których składki autor obok tego osobno liczy. Ale ostatecznie można przyjąć, że każda z osób powyżej 14 lat liczących może złożyć przeciętnie po 4 m. rocznie. Ale pamiętać należy, że na inne cele społeczne każdy Polak ma również obowiązek łożyć i suma takich świadczeń z pewnością dosięgnie kwoty również 4 m. rocznie. Ciężar zaś 8 m. na rok, rocznie przekroczy u niejednego jego finansową możność. Tego wynikiem będzie albo odebranie ofiarności na inne cele narodowe, albo fiasko akcyi w sprawie kolonii wakacyjnych. Jeżeli bierze się za podstawę organizacyi towarzystwa polskie istniejące, to obawiać by się należało, że działalność ich pierwotna może osłabnąć przez zajęcie się propagandą na rzecz kolonii wakacyjnych, ilość członków zmniejszyć się wskutek obawy ciężarów zwiększonych przez składki na kolonie. A więc straciłyby i składki na kolonie i cele towarzystw, z pewnością godne uwagi.

W tym stanie rzeczy zauważyć trzeba wartość narodową kolonii wakacyjnych. Bez wątpienia organizacya kolonii pomyślana przez

autora przedstawia dla sprawy narodowej wartość pierwszorzędną. Ale koszta przeważają. Należałoby zatem żądania ograniczyć i zadowolnić się czemś mniejszem. Czy raczej nie byłoby wskazane tylko dzieci starsze w wieku od lat 10 — 14 wziąć pod uwagę przy wysyłaniu na kolonie wakacyjne i to w ten sposób, by każde dziecko tylko przez jedne wakacye mogło korzystać z kolonii? Wpływ takiego pobytu raz w życiu przez dwa miesiące pod mądrem kierownictwem na wrażliwy umysł starszego już dziecka byłby wielki. Przy odpowiedniej organizacyi możnaby zapewnić ciągłość tego wpływu w ten sposób, by co roku pewna ilość dzieci z jednego środowiska mogła wyjechać. W ten sposób corocznie dzieci wracające z kolonii wnosiłyby ożywczy prąd między swych towarzyszów i tym, którzy już korzystali z kolonii, odświeżałyby wspomnienia, inne przygotowałyby do przyszłych wakacyi. A corocznie przy takiej organizacyi możnaby wysłać może najwyżej 10.000 dzieci; zmniejszyłoby to koszta bardzo znacznie.

Trzeba też pamiętać, że dla sprawy narodowej przedstawia większą wartość praca w kraju, wśród tych, którzy zrośnięci z ziemią ojców. Bez ziemi własnej, bez stałych siedzib, bez tradycyi z ziemią ojczystą zrośniętych naród przestanie być narodem. Cóż dla narodu za korzyść krzewić ducha narodowego choćby wśród milionów wychodźców, gdy ziemię ojczystą, warsztaty pracy w kraju obcy z pod nóg będzie wyrywał. A pod zaborem pruskim pracy na miejscu, obrony praw narodowych szczególnie potrzeba wobec znanej polityki rządu i naporu hakatystów.

Tem jednak nie chciałbym obrócić w niwecz pięknej inicyatywy autora. *Et haec facienda et illa non ommittenda.* Chciałem tylko zwrócić uwagę na pewne trudności, jakieby smutna rzeczywistość mogła nasunąć przy wprowadzeniu w czyn tak szeroko zakreślonego programu. Kończę życzeniem, by myśl rzucona przez autora nie poszła na marneby się przyoblekła w czyn czy w formie przezeń zaproponowanej czy może w innej, może lepszej, może więcej celowej.

Dr. A. Bielecki.

Towarzystwo i stowarzyszenie rolnicze. *Adam Krzyżanowski.* Kraków, 1911.

Na całość wydaną pod powyższym tytułem złożyły się trzy prace dawniejszymi czasy ogłoszone osobno, a obecnie z pewnemi zmianami zebrane razem. Związek między niemi nie jest tylko zewnętrzny, for-

malny, lecz widać w nich pewną ciągłość wspólnych idei, uzasadniającą sprowadzenie ich do wspólnego mianownika — połączenie ich pod jednym tytułem.

Rdzeniem właściwym, osią, około której się obraca całość, jest druga z ogłoszonych rozpraw „Związki rolników". Rozprawa pierwsza „Umiejętność zrzeszania się" to studyum społeczne, stanowiące wstęp do lepszego zrozumienia części drugiej. Ma ono znaczenie, natury ogólno-społecznej, a zastosować wyniki, do jakich autor dochodzi, można nie tylko do zrzeszeń rolniczych.

To samo piętno ogólne nosi trzecia praca tego zbioru o subwencyach; wynika ona logicznie z pracy drugiej a omawia zasadniczo pytanie, wyłaniające się ze studyum o związkach rolników. Stoi zatem do pracy drugiej w stosunku części do całości.

W pierwszej pracy zaczyna autor od wykazania, że walka o byt nie toczy się między jednostkami, lecz między grupami społecznemi. Wynik tej walki zależy od uzdolnienia jednostek, wchodzących w skład grup do społecznego współdziałania.

Znamieniem życia gospodarczego w obecnej dobie jest zrzeszanie się. Powstają towarzystwa akcyjne, spółki wytwórcze, spożywcze, kredytowe, związki zawodowe.

Idea zrzeszania się uzupełnia i zmienia zasady koncentracyi kapitału. Obok tego odgrywa doniosłą rolę w walce o emancypacyę czwartego stanu.

Znaczenia asocyacyi nie zapoznaje nauka i sprawą tą zajmuje się. Uważa asocyacyę za środek zdolny do rozwiązania kwestyi społecznej, a przynajmniej za dźwignię pokoju społecznego, środek łagodzenia przeciwieństw.

Socyalna demokracya zmieniła swe zapatrywanie na asocyacyę i doszła do przekonania, że związki zawodowe i stowarzyszenia spożywcze mogą przyczynić się do urzeczywistnienia ideałów socyalistycznych.

Doniosłość idei zrzeszania się uznają i rządy państw w swej polityce.

Polacy pozostali w asocyacyi w tyle za innymi. Możnaby przypuszczać, że brak zmysłu do asocyacyi pochodzi z braku wykształcenia, powodującego niezrozumienie korzyści wspólnej pracy, a to wykształcenia i ogólnego i zawodowego. Lecz dzieje pracy współdzielczej za granicą wykazują, że wykształcenie nie jest jedyną sprężyną powodzenia stowarzyszeń. Czynnikami ważnymi dla powodzenia

asocyacyi jest poczucie solidarności, wpływ idei altruistycznych, chęć współdziałania w imię dobra publicznego.

Dążenie do męskiej, bezpośredniej, a natychmiastowej korzyści jest sprzeczne z powodzeniem kooperacyi i w własnym, dobrze zrozumianym interesie. Przewaga dążeń do osobistej korzyści przekształca jej istotę, zmienia pierwotny cel, może doprowadzić do wytworzenia z niej spółki kapitalistów. Stąd stowarzyszenia winny unikać składania przez członków większych udziałów, albo w statutach swych zawierać postanowienie, że większe udziały nie dają członkom większego wpływu, n. p. większej ilości głosów. Nadto niepodzielność funduszu rezerwowego, zwłaszcza odpowiedzialność członków, zapewniająca powodzenie, odpowiadają celom społecznym stowarzyszeń, wyłaniają jego pierwiastki natury społecznej.

Dalszym czynnikiem koniecznym w asocyacyi jest wzajemne zaufanie: zaufanie stowarzyszonych do siebie i do tych, których postawili na czele stowarzyszenia. Brak zaufania do zarządu, wydziału i t. p. organów naczelnych stowarzyszenia jest jedyną przyczyną niezadawalniającego stosunku między stowarzyszonymi a organami naczelnymi stowarzyszenia. Wchodzą tu nieraz w grę osobiste ambicye, krytyka nieuzasadniona i niekompetentna, brak poczucia karności. Niema nieraz należytego unormowania w wykonywaniu Zarządu kolegialnie, niewłaściwy stosunek do udziałów stowarzyszenia. Częsty u Polaków pociąg do frazesów i ogólników nic nie mówiących, powoduje rozbieżność dyskusyi w ciałach obradujących, bez dojścia do konkretnych rezultatów.

Polacy w Poznańskiem i pod berłem rosyjskiem doszli do lepszych rezultatów w asocyacyi. W Galicyi dążenia polityczne usunęły sprawy gospodarcze na drugi plan.

W pracy społecznej rozstrzyga nie uzdolnienie jednostek, lecz poziom ogółu. Indywidualizm nie sprzeciwia się asocyacyi: przykładem Anglia, gdzie obok indywidualizmu zrzeszenia stoją bardzo wysoko.

Mówiąc o związkach rolników, odróżnia autor trzy kategorye: związki zawodowe, gospodarcze i stanowe.

Związki zawodowe mają za zadanie przedewszystkiem działalność wychowawczą i informacyjną.

Zadanie to spełniają związki rolników w różnorodny sposób. Urządzenie wystaw, odczytów, wycieczek, wydawanie pism, prowadzenie kursów rolniczych, utrzymywanie instruktorów rolniczych,

urządzanie konkursów, pola doświadczalne, nauka dopełniająca rolnictwo, opieka nad szkołami rolniczemi, porada w sprawach techniki rolnej, poparcie ruchu kooperacyjnego, biura wywiadowcze dla celów handlowo-rolniczych, oto środki, jakimi w różnych krajach przedewszystkiem w Anglii i w Niemczech posługują się towarzystwa rolnicze. Obok związków ogólno-rolniczych powstają z biegiem czasu stowarzyszenia specyalne: leśne, rybackie, mleczarskie i t. p.

Działalność związków zawodowych oddaje przedewszystkiem usługi członkom. Inni korzystają tylko pośrednio. Tu trzeba też odróżnić działalność wychowawczą od innych prac. Działalność wychowawcza przynosi członkom korzyści gospodarcze tylko pośrednie.

W ostatnich czasach nastąpił pewien zwrot w działalności związków zawodowych. Z porzuceniem doktryn liberalnych w dziedzinie polityki ekonomicznej wzrasta ingerencya państwa w życie gospodarcze. Stąd wiele zadań, które miały związki rolnicze, objęło państwo i wykonywa je często z pomocą związków rolniczych. Stąd są one organami administracyi agrarnej państwa.

Początkowo do towarzystw rolniczych włościanie prawie nie należeli i dla braku zrozumienia idei zrzeszenia się i dla braku przygotowania. Państwo wkraczając w stosunki gospodarcze, postanowiło popierać włościaństwo i punkt ciężkości przesunął się na korzyść średniej i małej własności, zwłaszcza, że ceny zboża zaczęły spadać, a ceny produktów zwierzęcych iść w górę. Z tą chwilą zachwiała się przewaga wielkich gospodarstw, opartych głównie na produkcyi zboża na rzecz mniejszych, gdzie przeważała produkcya zwierzęca. Ta ewolucya powoduje ograniczenie działalności towarzystw rolniczych, a wzmożenie się współdzielczości. Widoczne to szczególnie w Anglii. W kraju tym, gdzie powstało najpierw to towarzystwo rolnicze, walczy ono z deficytem, natomiast zaś kooperatywa rolnicza rozwija się bardzo pomyślnie. Natomiast niemieckie towarzystwo rolnicze, które jest zarazem związkiem gospodarczym, rozwija się bardzo dobrze. Przemiana stosunków spowodowała, że towarzystwa rolnicze starają się oddziaływać na pomyślne dla interesów rolniczych ukształtowanie stosunku administracyi i polityki, stają się zatem związkami dla obrony interesów zawodowych.

Ta obrona da się prowadzić tylko przez związki; jednostka bowiem, choćby najsilniejsza, nie zdoła wywrzeć wpływu. Natomiast wpływ związku, za którym stoją szeregi stowarzyszonych, zaważy na szali. Wpływ mogą wywierać związki rolnicze przez swój stosunek

do członków ciał ustawodawczych, przygotowywanie dla nich materyałów, przedkładanie opinii władzom państwowym, agitacyj w prasie i t. p. Obecnie związki rolnicze specyalizują się w tej obronie interesów, a inne zadania swe traktują jako tylko uboczne.

Autor przestrzega przed radykalną obroną wyłącznie tylko interesów rolniczych: wskazuje, że powinno ono być umiarkowane względami ogólnego dobra.

Związki zawodowe zajmują się też sprawami robotników rolnych i w tem spełniają działalność społeczną.

Są wreszcie częste czynności administracyi agrarnej i to zarówno związki dobrowolne, jak też i przymusowe n. p. pruskie izby rolnicze.

Związki gospodarcze rolników dążą do przysporzenia bezpośrednich pieniężnych korzyści członkom, a dla niestowarzyszonych dają korzyści tylko pośrednie n. p. przez regulowanie cen, produkcyi itp. Są zwykle związkami dobrowolnymi. Cele ich mogą być różnolite.

Autor wyróżnia następujące główne typy, zaznaczając wielokrotnie jednakie cele; wyróżnione w przytoczonych przez niego kategoryach mogą się łączyć w jednym związku i w różny sposób konkurować lub też mogą powstawać związki poza ramy przezeń zakreślone wychodzące.

Są spółki parcelacyjne i dzierżawne, spółki kredytowe, stowarzyszenia spożywcze, spółki ubezpieczeniowe, wytwórcze i bankowe, to wszystko w różnych odmianach i o różnolitej organizacyi. Wreszcie spotyka się spólność gospodarczą. Jestto zwykle spólność gospodarowania przy zachowaniu indywidualnej własności. Spólność ta zwykle obejmuje tylko pewne kategorye gospodarcze, jak n. p. warzywnictwo, plantacye łozy, sady, szparagarnie i t. p. Są też stowarzyszenia konsumentów, prowadzące społem gospodarstwo produkcyjne. Zakłada się też spółki, mające ujednostajnić sposób gospodarowania, jakoto wytwarzanie tych samych odmian zboża, jednolity sposób karmienia bydła. Dzieje się to zwykle w związku ze stowarzyszeniem wytwórczem, n. p. zbożowem, mleczarskiem.

Oprócz stowarzyszeń kredytowych, spożywczych i mleczarskich wszystkie inne przechodzą dopiero okres prób. Nawet wymienione trzy grupy nie są organizacyami doskonałemi.

Przedewszystkiem są one za mało rozpowszechnione. Dalej brak łączności między stowarzyszeniami spożywczemi; nie są one połączone

w związki. Taka organizacya zdoła dopiero wyprzeć pośrednictwo między producentem a konsumentem.

W trzecim dziale rozprawy o związkach rolniczych, omawia autor związki stanowe. Ogranicza się do kilku uwag ze względu na to, że w rolnictwie niema przeciwieństw wielkich między poszczególnymi stanami, stąd zrzeszenia rolnicze mają przeważnie charakter mięszany. U nas specyalnie pewne spółzawodnictwo między zrzeszeniami ma raczej tło polityczne.

Trzecia z omawianych prac ma za przedmiot subwencye.

Wielu uważa samopomoc za jedyne źródło dochodów zrzeszeń i odrzuca wszelkie subwencye. Drugą ostateczność wypowiada opinia, żądająca hojnego szafowania subwencyami. Tak radykalne stawianie kwestyi czy w tę czy w ową stronę nie ma uzasadnienia. Autor wykazuje na historyi zrzeszeń, że zarówno dobrze prosperowały stowarzyszenia i oparte wyłącznie na samopomocy i subwencyonowane; natomiast mogą stały wykazywać rozwój zarówno stowarzyszenia przyjmujące subwencye, jakoteż i idące o własnych wyłącznie siłach.

Subwencyą w znaczeniu formalnem są fundusze władz publicznych nie zużywane we własnym zarządzie, lecz powierzane innym czynnikom.

Merytorycznie jest subwencyą ta pomoc władz publicznych, która jest bezpośredniem materyalnem świadczeniem na korzyść pewnej jednostki fizycznej czy osoby prawniczej w odróżnieniu od urządzeń użyteczności ogólnej i w odróżnieniu od bezpośrednich materyalnych świadczeń władz publicznych dostępnych wszystkim. Obojętne, czy władze rozdzielają te subwencye same czy za pośrednictwem towarzystw rolniczych.

Autor w dłuższym wywodzie historycznym wykazuje, że powodem hojności władz w subwencyonowaniu szczególnie rolnictwa jest ewolucya w stosunkach gospodarczych, przemiana w sposobie gospodarowania. Wzrost asocyacyi, dążenie do wyrównania różnic majątkowych wpływają na politykę państwa w tej dziedzinie i względy polityczne. Polityka handlowa nie jest tu bez wpływu jak n. p. przy zawarciu traktatów z przesileniem bałkańskiem. W parze z rozwojem zasady subwencyonowania idzie rozrost towarzystw rolniczych, ale zarazem przesunięcie ich agend. Towarzystwa rolnicze, otrzymując subwencye, zmuszone są dbać o prowadzenie tych zadań, na które otrzymują zasiłki, a i wezwanie innych gałęzi agend.

Jedynem uzasadnieniem subwencyi jest umiejętność jej wy-

zyskania. Pomoc w formie subwencyi może stworzyć warunki korzystnego działania, nie zastąpi jednak szereg jednostek. Subwencya pomnażająca twórczość ekonomiczną jest uzasadniona: jeźli zaś subwencyonowani licząc na tę pomoc, nie dokładają pracy ze swej strony, brak racyi bytu subwencyi. Autor tedy stawia inne pytanie, na które chce dać odpowiedź: nie czy, lecz jak subwencyonować.

Przedewszystkiem autor stawia tezę, że domniemanie przemawia za samopomocą, a potrzebę subwencyi trzeba w danym wypadku dopiero stwierdzić. Pierwsze pytanie, czy subwencya może osiągnąć cel, a to w danych warunkach naturalnych i ekonomicznych, Dalej baczyć należy, by wysokość jej była odpowiednia do celu. Stąd raczej mniej celów subwencyonowania, a większa wydatność zasiłków. Te momenty określa autor mianem gwarancyi przedmiotowych. Subwencye przeważnie są niepotrzebne dla właścicieli większych majątków, a warunkowo służyć mają przeważnie ludności włościańskiej. Dalej autor wykazuje, że subwencya nie ma być dobroczynnością, więc ma służyć nie tam, gdzie jest najniższy stopień kultury, lecz tym, którzy, doprowadziwszy sami swe gospodarstwa do pewnego rozwoju, mogą przy subwencyi dawać rękojmię dalszego postępu. Natomiast pomoc publiczna zbyteczna tam, gdzie inicyatywa i praca indywidualna wystarcza. Subwencye należy dawać związkom raczej, niż osobom prywatnym Najwięcej uzasadnienia przyznaje autor subwencyom na cele pouczające, one bowiem działać mogą najszerzej. Z subwencyi na cele bezpośrednio wytwórcze przyznaje autor wyższość subwencyom jednorazowym nad trwałemi, zwrotnym nad bezwzrotnemi.

Na uwagę zasługują wywody autora co do zapomóg w razie klęsk elementarnych.

Występuje autor przeciw szerzeniu pojęcia klęski. Niekorzyści, powtarzające się, to nie klęska elementarna. Każde gospodarstwo posiada mnogość działów i niema roku, któryby był równie pomyślnym dla wszystkich. Zyski w jednym roku zrównoważą straty innych. A powtarzające się niekorzyści są czemś normalnem i w kalkulacyi muszą być przewidziane. Stąd autor uważa akcyę zapomogową w razie tak pojętych klęsk elementarnych za chybioną. Inna rzecz w razach klęsk rzeczywiście wyjątkowych, które, jak wykazuje statystyka, są izadkie.

Kończy autor rozpatrzeniem pytania, komu należy powierzyć rozdzielanie subwencyi. Autor jest stanowczym zwolennikiem, by

na obszarze kraju koronnego była tylko jedna organizacya rolnicza, którejby to zadanie powierzono. Jako wzór stawia organizacyę przymusową wszystkich rolników, pruskie Izby rolnicze. Ale autor licząc się z warunkami, oświadcza przytem, że konieczne jest, by pozostał jakiś organ centralny rolniczy, jeden na całą Galicyę, oparty na ustawie sejmowej. Obok niego mogą istnieć zrzeszenia rolnicze, dotąd istniejące, pobierać subwencye na cele specyalne, pewne zaś umniejszenie ich zadań wyszłoby na dobre pogłębienia ich działalności. Wobec mnogości zadań potrzeba specyalizacyi organów je spełniających.

Oto treść najogólniejsza prac omawianych. Uwydatniliśmy tylko to, co ma charakter wskazań lub wniosków ogólnych, pominęliśmy zaś zupełnie cały materyał faktyczny, na którym autor buduje swe wywody. A ten materyał sam dla siebie ma wartość pierwszorzędną, zasługując na dokładne zgłębienie. *Dr Adam Bielecki.*

Anomizm Jana M. Guyau wobec powszechnych, i niezmiennych praw i zasad porządku moralnego. Pozytywno-krytyczna rozprawa o podstawie moralności. *Ks. Jan Bączek M. S. T.* prof. Rz.-K. Duchownej Akademii w Petersburgu. Włocławek. Skład główny w księgarniach Gebethnera i Wolffa w Warszawie 1914, 8-ka str. 190.

Jan Marya Guyau (1854—1888), pasierb i uczeń znanego filozofa Alfreda Fouillée, a gorący zwolennik światopoglądu ewolucyonistycznego, obok innych prac treści filozoficznej napisał w r. 1885: *Esquisse d'une morale sans obligation ni sanction*. Dzieło to zostało spolszczone i wydane staraniem Towarzystwa Kultury Polskiej [1]) p. t.: *Moralność bez powinności i sankcyi* (Warszawa, 1910, str. 261). Po ukazaniu się tego polskiego tłomaczenia doczekało się ono gruntownej krytyki ze strony ks. Jana Bączka, profesora Rz.-Kat. Duchownej Akademii, w szeregu artykułów, zatytułowanych: *Anomizm J. M. Guyau*, a drukowanych w Ateneum Kapłańskiem (r. 1912 listopad, grudzień, 1913 luty, marzec, kwiecień, czerwiec). Obecnie ta rozprawa pozytywno-krytyczna o podstawie moralności została wydana w osobnej książce pod powyższym tytułem, lecz w znacznie rozszerzonej postaci, nie wspominając bowiem o drobniejszych uzupełnieniach, autor jej dla większego pożytku czytelnika dodał nowe

[1]) W Królestwie Polskiem, obecnie już przez rząd zamkniętego.

obszerne uwagi o sumieniu, zaczerpnięte z dzieł Chollet'a, Willems'a i innych, z uwzględnieniem najnowszych poglądów moralistów liberalnych. Dzieli się ona na cztery części. W pierwszej części historycznej krytyk nasz uczynił rzut oka na całe dzieje etyki i podał charakterystykę ogólnej działalności pisarskiej J. M. Guyau; w drugiej części pozytywnej rozprawia pokrótce o istocie porządku moralnego i jego poznaniu, o normie moralności, załączając przytem bibliografię etyki głównie chrześcijańskiej; trzecia część krytyczna, najobszerniejsza i najważniejsza, zawiera streszczenie anomizmu Guyau, oraz krytykę fundamentalnej tezy i niektórych ważniejszych punktów tej moralności; czwartą wreszcie część analityczną obejmują dość szeroko rozwinięte pojęcia o sumieniu według wspomnianych powyżej autorów.

Na czem polega nowa teorya etyczna, nazwana przez samego twórcę anomizmem („bezprawiem")? Sprowadza się ona ostatecznie do życia, które jest niejako alfą i omegą wszelkiej działalności. Życie jest bowiem przyczyną wszystkich ruchów ludzkich, począwszy od pierwszego drgnięcia zarodka w łonie matki aż do ostatniego tchnienia starca. Jest on i zarazem celem ogólnym wszelkich czynności, rozpatrywanych jednak z innego punktu widzenia, gdyż ostateczną i jedyną przyrodzoną sprężyną wszelkiej działalności nie jest ani dobro, ani obowiązek, ani szczęście, lecz głuche, ślepe instynkty i odruchy życiowe, które dopiero stopniowo po pewnym rozwoju stają się świadomymi. W ten sposób cele poszczególne są niczem innem, jak zwykłemi przyczynami, które doszły do samowiedzy; w ten też sposób stały cel działania musiał być pierwotnie przyczyną ruchów mniej lub więcej bezwiednych, instynktowych. Stąd zaś wypływa wniosek, że cel, który faktycznie określa wszelkie działanie świadome, jest także przyczyną, wytwarzającą wszelkie działanie bezwiedne, nieświadome, a tym celem ogólnym, a jednocześnie i przyczyną powszechną działalności jest samo życie, życie najbardziej natężone oraz najbardziej w swych formach rozmaite. Dlatego normą moralności całej jest życie, dlatego też naczelną zasadą tej etyki jest wzrost i rozwój życia, dlatego też tego rodzaju etyka będzie nauką, której przedmiotem są wszelkie środki zachowania i spotęgowania życia, bo oto, co głosi filozof tej nowej moralnej teoryi: „Człowiek, jeśli chce być moralnym, bo może i nie chcieć, jako zupełnie nieobowiązany, ma starać się o jak największą rozlewność życia, o jak najszerzej pojętą jego ekspansyę w najróżno-

rodniejszej działalności, możliwej i dostępnej dla ludzkości". Życie zaś pod względem fizyologicznym jest przedewszystkiem odżywianiem, którem się utrzymuje i zachowuje, a nadto rozwija i potęguje się. Skutkiem bowiem odżywiania się przez każdą zdrową istotę żyjącą powstaje nadmiar sił, który może wyładowywać się w płodności czyli rozlewności życia (*fécondité de la vie*). Ta płodność życiowa jest wieloraka: oprócz płodności płciowej może być płodność umysłu, płodność woli, płodność uczucia, stosownie do wyładowywania, udzielania na zewnątrz, albo myśli, albo energii, albo uczuć. Z takiejto płodności każdej jednostki mogą się rodzić uczynki dobre, miłosierne, słowem może powstać życie społeczne.

Już w samem motywowaniu tej kardynalnej tezy filozof anomizmu zamiast obiecanej indukcyi, opartej na faktach pozytywnych, daje nam uogólnienie intuicyjne, przekraczające zawartość przesłanek. Zasadnicze bowiem twierdzenie jego, że życie jest przyczyną powszechną i zarazem celem ogólnym wszelkiej działalności, nie opiera się bynajmniej na rozmaitych pobudkach czynów jako na licznych faktach pozytywnych, ale jest wnioskiem z jednego tylko pożądania, pragnienia. Przytem ten jedyny fakt pożądania ludzkiego bez głębszego udowodnienia, bo na mocy analogii czysto zewnętrznej, wynikającej z podobieństwa organizmów, został rozciągnięty na wszystkie jestestwa żyjące. Niesłusznie również celowa dążność istot świadomych utożsamiona została z przyczynowością mechaniczną, bo rzekomy na to dowód, że „stały cel działania musiał być pierwotnie stałą przyczyną ruchów mniej lub więcej bezwiednych", prowadziłby także do wniosku, że wszystkie umiejętności ludzkie i całą działalność człowieka należałoby utożsamić ze ślepym instynktem, który je wyprzedził w okresie niemowlęctwa, wypadałoby też zaprzeczyć moralność i wszystko wogóle nazwać życiem [1]). Nadto sam fakt pożądania nie został ściśle określony pod względem moralnym, a tylko sprowadzony do prostego objawu życia i dlatego zamiast moralności, mamy przed sobą biologię, lub jak sam Guyau się wyraża „szerzej pojętą hygienę" i dlatego zamiast obiecanego pozytywnego analizowania moralności istniejącej jesteśmy świadkami

[1] Dr. Bujakowski w Przegl. filoz. 1912, z. IV str. 599 czyni także następujący zarzut: „Uznając cele za przyczyny, które doszły do świadomości, tworzy na tej podstawie równanie: cel działania = przyczyna działania, równanie fałszywe, bo przyczyny świadome nie są tożsame z przyczynami wogóle, które sam przecież dzieli na świadome i nieświadome".

jej burzenia i „budowania“ nowej teoryi metafizycznej. Już jeden z byłych jego zwolenników dr. Aslan zauważył, że takie pojęcie życia jest metafizyczne, a krytyk nasz zwraca uwagę, że twórca nowej etyki nie chciał uznać celów zewnętrznych, utożsamiając celowość świadomą z koniecznością przyczynowości mechanicznej i pojęciem życia zastępując pojęcie Boga, tego ostatecznego celu wszystkich stworzeń, bez którego nie podobna tworzyć żadnego systemu moralności.

Wobec życia, posiadającego pierwszorzędne znaczenie w tej nowej teoryi, przyjemność czyli rozkosz, która w niektórych dawniejszych systemach etycznych zajmowała naczelne miejsce, otrzymuje zaledwie drugorzędne stanowisko, bo nie jest ona pierwszą i ostateczną funkcyą życiową, lecz tylko towarzyszy każdej natężonej czynności i połączona jest z każdem spotęgowaniem życia. Stąd też najpierwsza zasada moralności: „wzmagaj nieustannie natężenie swego życia“ będzie miała za młodszą towarzyszkę drugą regułę: „potęguj nieustannie natężenie swojej przyjemności“.

Chociaż w teoryi przypada w udziale przyjemności podrzędna rola wobec życia, w praktyce jednak gra ona nieznacznie rolę najważniejszą, bo decydującą nawet o samej zasadzie życia. Ten wypadek zdarza się wtenczas, gdy Guyau, wpadając w sprzeczność z poprzednio wygłoszoną teoryą o przyjemności, twierdzi, że świadomość i uczucie rozkoszy daje całą wartość życiu do tego stopnia, że kiedy życie więcej obiecuje goryczy niż dobra, nieszczęścia, niż rozkoszy, choćby ta gorycz była tylko chwilową, człowiek może rezygnować z życia przez samobójstwo, które jest usprawiedliwione nawet w tym wypadku, kiedy pochodzi z pobudek bardzo nizkich. Nielogiczność ujawnia się i w tem, że na początku dzieła zaprzecza dążenia celowego woli człowieka do dobra, do szczęścia, a w końcu swej książki stwierdza, jakby przez zapomnienie, że „wola z natury zdaje się dążyć do szczęścia“, że „człowiek nie może pozbawić siebie przyrodzonego prawa do ostatecznej szczęśliwości“. Przeciwko tym błędom już Mallock, ks. Morawski i inni wykazywali, że moralność musi iść w parze ze szczęściem człowieka, że moralność jest zasadniczo pierwszą w stosunku do szczęścia i dlatego w wypadku kolizyi szczęście musi ustąpić na korzyść wymagań sprawiedliwości. Autor zaś omawianej przez nas rozprawy krytyczno-pozytywnej, opierając się na licznych dowodach i cytatach, wyczerpująco udawadnia, że tem najwyższem dobrem moralnem jest Bóg i że osiągnięcie tego dobra

przez zgodność naszych uczynków z zasadami porządku moralnego zapewnia nam jednocześnie doskonałe szczęście, najwyższą przyjemność, rozkosz.

Jeżeli życie gra w tym systemie etycznym pierwszorzędną rolę, jeżeli przyjemność-rozkosz mało co mniejsze posiada stanowisko, to jakież ma znaczenie obowiązek czyli powinność? Sam tytuł dzieła: Moralność bez powinności i sankcyi jak najwyraźniej oświadcza, że niema w niem miejsca dla obowiązku. Zamiast obowiązku w pojęciu Kanta i w pojęciu ogólnie przyjętem istnieć mogą tylko jego równoważniki. Pierwszym równoważnikiem, odnoszącym się do płodności woli, jest następujące twierdzenie: „módz działać, to znaczy być obowiązanym do działania", to jest, innemi słowy, świadomość pewnej mocy wewnętrznej, połączonej z pożądaniem przejawienia się na zewnątrz tej mocy, jako nadmiaru życiowych sił. Za drugi równoważnik, łączący się z płodnością umysłu, należy uważać „ideę-siłę", co oznacza potrzebę uzupełnienia naszych pojęć przez wprowadzenie ich w czyn, bo czynność można pojmować jako dalszy ciąg pojęcia. Trzecim równoważnikiem obowiązku, mającym znowu stosunek z płodnością uczucia, jest „zlewanie się uczuciowości i bardziej towarzyski charakter rozkoszy wyższych", gdzie bowiem istnieje jednomyślność uczuć, tam panuje również jednozgodność w postępowaniu i tam też przyjemności wyższego rodzaju przyjmują charakter bardziej społeczny. Jako czwarty równoważnik można uznać „rozkosz z ryzyka i walki", która może być także silną pobudką do działalności. Piątym, ostatnim równoważnikiem obowiązku będzie „hipoteza metafizyczna", która ma uzupełnić moralność faktów, gdzie ta ostatnia nie wystarcza, a która jest bardzo relatywną, względną, bo zależną od rozmaitych indywidualności ludzkich, temperamentów, upodobań i t. p.

Ale i ta teorya o powinności, a raczej o równoważnikach obowiązku nie może się ostać wobec krytyki naukowej. Równoważniki bowiem tego rodzaju nie obowiązują ostatecznie do niczego, a gdybyśmy chcieli stosować się do nich w życiu, bez poddania ich kierownictwu wyższych zasad i reguł moralnych, doczekalibyśmy się bardzo smutnych następstw, nawet zgubnych i strasznych przestępstw moralnych. Można się zgodzić, że poczucie własnej wewnętrznej mocy (dotyczy to pierwszego równoważnika, choć w pewnym stopniu i innych równoważników) może być bodźcem, nawet silnym do działania, ale trzeba zarazem uznać w każdym człowieku jeszcze inną

świadomość, czyli wewnętrzne poczucie obowiązku, że powinniśmy, że obowiązani jesteśmy dobro czynić, a złego unikać. Możemy także przyznać, że życie rozwija w człowieku popęd do działania i im bardziej będzie natężone, spotęgowane życie, tem więcej człowiek będzie zdolny spełnić uczynków nawet dobrych, ale jednocześnie trzeba stwierdzić, że popęd życiowy wraz z działalnością to dopiero strona fizyczna, tło i materyał do postępowania moralnego, a nie sama moralność, a tembardziej nie zasługa moralna. Nie jest trudno przekonać się, że człowiek, jako istota doskonalsza od zwierząt, podlega nietylko niższemu fizycznemu, ale i wyższemu, moralnemu porządkowi, którego jest świadom przez swój rozum i do którego stosuje się przez swą wolę i że istnieje twórca, prawodawca tego porządku moralnego, t. j. Bóg, bez którego żadnej etyki nie podobna ugruntować i żadnego obowiązku uzasadnić. Toteż jak Kant dla uratowania swej etyki autonomicznej i nakazu kategorycznego zmuszony był przyjąć postulaty praktycznego rozumu: wolną wolę, nieśmiertelność duszy i Boga, podobnież Guyau dla ocalenia swej moralności bez powinności i sankcyi szuka deski zbawienia w „hipotezie metafizycznej", która jest bardzo zmienną, bo zależną od pojmowania i upodobania poszczególnych jednostek ludzkich, a której zadaniem ma być zastępstwo moralności pozytywnej, gdzie się okaże tej ostatniej niedostateczność...

Wprawdzie stosownie do brzmienia trzeciego równoważnika obowiązku pewne wyższe uczucia i przyjemności stają się coraz bardziej towarzyskiemi, społecznemi, charakter jednak całej moralności, według zdania samego jej twórcy, jest zasadniczo, bezpośrednio indywidualistyczny, a dopiero pośrednio społeczny, a nie odwrotnie. Nie można bowiem osobnikowi jako głównej pobudki do działania nakazywać dobro lub szczęście społeczeństwa, które niejednokrotnie może sprzeciwiać się szczęściu jednostki ludzkiej, tembardziej, że bezinteresowność nie może być stwierdzona jako fakt i istnienie jej było często przedmiotem sporu.

Jeżeli zaś to ostatnie twierdzenie o zasadniczym charakterze moralności mamy uznawać za prawdziwe w całej rozciągłości, to byłoby złudzeniem naiwnem ze strony Guyau spodziewać się, że pomimo to wszystko taka egoistyczna etyka zdolna byłaby wytworzyć etykę społeczną, co już spostrzegł spowinowacony z nim A. Fouillée. Kto za najwyższą normę stawia wzrost, rozwój, rozlewność życia, ten nie zawsze może liczyć na wykonanie reguły następującej:

„winieneś być istotą towarzyską", bo z powyższej pierwszej zasady może również rozwinąć się kierunek antyspołeczny, jak n. p. u Nietsche'go. „Bądź co bądź widzimy stąd, pisze nasz krytyk, zasada natężenia życia może służyć za punkt wyjścia do teoryi wprost sobie przeciwnych. Nietsche i Guyau, myśliwiec dziki i człowiek uspołeczniony, skrajny egoista lub hedonista i litościwy filantrop mogą znaleźć w niej swój początek i usprawiedliwienie. Można wybrać teoryę Guyau'a zamiast teoryi Nietsche'go, ale temu ostatniemu nie można odmówić prawa do wyprowadzenia swej nauki z zasady natężenia życia".

Idźmy dalej. Jak w tym nowym systemie etycznym wykluczony jest obowiązek we właściwem tego słowa znaczeniu, podobnież i sankcya, czyli zewnętrzna kara lub nagroda za złe lub dobre uczynki, nie odgrywa w nim należnej roli, co najwidoczniej okazuje się z samego tytułu tej moralności bez powinności i sankcyi. Wobec tego nie może być tu mowy ani o sankcyi naturalnej, ani o sankcyi wewnętrznej, ani o sankcyi religijnej, pozaziemskiej. Co najwyżej możnaby uznać sankcyę społeczną i braterską; zadaniem sankcyi społecznej byłoby tylko zabezpieczanie się na przyszłość przed występkami i poprawa zbrodniarzy; natomiast sankcya braterstwa polegałaby na nagradzaniu czynów dobrych przez współdziałanie i na karaniu złych uczynków przez odmowę tegoż współdziałania ze strony współbraci.

Takie pojęcie sankcyi moralnej spotkało surową krytykę, bo oto jaki sąd wygłasza dr. Z. Bujakowski (*Przegl. Filozof.* 1912, str. 549): „Znacznie gorzej przedstawia się druga połowa pracy o moralności bez sankcyi, która wbrew intencyom autora dowodzi niemożliwości moralności bez sankcyi". Znamiennym jest również fakt, że nowsi liberalni teoretycy francuscy, jak Lévy-Brühl, Durkheim, Bayet, uznają nie tylko obowiązek, ale i sankcyę moralną, pojmując je jako nieodłączne, istotne części etyki. Bezpodstawnem jest naprzód odrzucenie sankcyi naturalnej, przyrodzonej. Przytoczone przez Guyau zarzuty: „Jeżeli ktoś zbytnio wychylając się ze szczytu wieży, będzie utrzymywał, że gwałci prawo ciążenia, to niebawem je potwierdzi, rozbijając się na bruku ulicy. Niestrawność żarłoka lub nietrzeźwość pijaka nie mają charakteru jakiejś kary moralnej, wymierzonej przez naturę, lecz świadczą jedynie, że spożyte ilości potraw lub alkoholu są dla danych osobników zbyt wielkie, „szkodliwe" bynajmniej niczego nie dowodzą przeciw sankcyi naturalnej, gdyż

zawierają jawne, oczywiste pomięszanie porządku fizycznego z moralnym. Błędem jest także odrzucać sankcyę wewnętrzną, bo, chociaż jest prawdą, że urzeczywistnieniu czynów moralnych towarzyszy ze strony naszej fizycznej istoty poparcie lub przeszkoda, nie trzeba jednak zapominać, że źródłem tego poparcia lub przeszkody jest sam rozum nasz, który ocenia dany czyn jako dobry lub zły pod względem moralnym i stosownie do tego sprawcą jest zadowolenia wewnętrznego lub wyrzutów sumienia. Żądanie znowu ze strony Guyau, aby w moralności sankcyi nie zawierało się nic zmysłowego, jest sprzecznem z naturą ludzką, ponieważ istota nasza jest jednocześnie i rozumną i zmysłową i wyższe władze umysłowe złączone są z niższemi zmysłowemi w jednej osobie ludzkiej. Na mylnem też pojęciu Boga i kary, na nieuzasadnionych uprzedzeniach materyalistów i ateistów opierają się zarzuty przeciw sankcyi religijnej, pozaziemskiej, które nasz krytyk prostuje i obala, a przytem szczegółowo broni istnienia piekła i wiecznych kar.

Wystąpienie Guyau'a w tej formie: „należy unikać kierownictwa sumieniem albo myślą, jako prawdziwej plagi", posłużyło za powód ks. prof. Bączkowi do wzięcia w obronę sumienia w ostatniej części analitycznej, gdzie w kilku rozdziałach umieścił bardzo cenne i dość obszerne uwagi o sumieniu psychologicznem i moralnem, o czynnikach rozumowych i uczuciowych sumienia moralnego, o analizie czynu i źródłach sumienia moralnego, o własnościach, fałszywych uroszczeniach i chorobach sumienia. Przy tej sposobności daje należytą odprawę nowszym autorom etyki liberalnej, jak Lévy-Brühl, Durkheim, Bayet, którzy przypisują nadmierne znaczenie sumienia, uznając je za najwyższe prawo, przyznając mu przedewszystkiem siłę obowiązującą i uważając je za jedyną sankcyę moralną.

Oto w ogólnych zarysach anomizm Jana M. Guyau, a lepiej teorya bezprawia, która zasadniczo nie uznaje żadnych praw moralnych i dlatego ściśle ani nie nakazuje dobrych, ani też nie zakazuje złych uczynków. W ten oto sposób przedstawia się umysłowi naszemu moralność bez powinności i sankcyi, bo istotnie nie uczy ona o żadnym obowiązku w prawdziwem tego słowa znaczeniu, ani też o jakiejkolwiek nagrodzie lub karze za dobre lub złe czyny nasze, bo nie zawiera w sobie nic kategorycznego, a jest tylko radą warunkową tej treści: „jeżeli dążysz do celu najwyższego natężenia życia, czyń to i to". Tak więc okazuje się w całej swej nagości nazwana przez

samego twórcę „moralność pozytywna", „moralność faktów", „moralność naukowa", „rozszerzona hygiena życia"... *Sapienti sat*!

System ten moralny według zdania autora naszej rozprawy jest to postępowy epikureizm, albo utylitaryzm, naturalizm, spinozyzm; darwinizm zaś, ewolucyonizm i pozytywizm, to potrójne jego źródło. Od etyki, panującej w Anglii z wybitnym jej kierunkiem społecznym, tem się różni, że jest zasadniczo indywidualistyczna, gdyż za punkt wyjścia obiera jednostkę, a nie społeczeństwo. Zgadza się jednak w szczególności ze Spencerem, że pobudką, celem postępowania jest życie najbardziej natężone, choć w inny sposób pojmuje stosunek życia jednostki do życia społeczeństwa. Od Spinozy znowu prawdopodobnie zaczerpnął naturalistyczne pojmowanie moralności, jako fizycznej rozlewności życia. A. Fouillée dostarczył mu idei czynnych (*idées forces*), które odbijają się najwyraźniejszem echem w drugim równoważniku obowiązku, przyznającym inteligencyi specyalną moc, pobudzającą do urzeczywistnienia idei. Guyau pragnął stworzyć moralność pozytywną, ale pragnienia nie spełnił, bo, układając swą teoryę moralną, nie cofnął się przed istotnie abstrakcyjnymi pomysłami, a pogardzał metafizyką tylko wtedy, kiedy mu była niedogodną. Nie był jednak na tyle ślepym i fanatycznym, żeby nie poznać się na niedostateczności metody i nauki pozytywnej, co też było powodem, że zwrócił się ku idealizmowi, ku metafizyce w swej etyce, przyznając jednak spekulacyi metafizycznej jedynie wartość hypotetyczną, relatywną. Jego równoważniki obowiązku posiadają pewne dodatnie znaczenie, choć rolę, jaką im przypisał, należy uważać za przesadzoną i chybioną, ponieważ żadną miarą nie są w stanie zastąpić ścisłego obowiązku. Zaznaczyć też i podnieść należy styl piękny, wyobraźnię poetycką, erudycyę niepospolitą, chwilową szczerość i oryginalność. Ale z drugiej strony Guyau jest bardziej poetą, aniżeli głębokim filozofem, gdyż brak ścisłych i naukowych dowodów zastępuje intuicyą, poetycznem zabarwieniem przedmiotu, wytwornym stylem, co może zgubny wpływ wywierać na czytelników inteligentnych, lecz powierzchownych i bezkrytycznych, tem gorszy i bardziej demoralizujący, że przez swoje równoważniki obowiązku i odrzucenie sankcyi moralnej podkopał znaczenie daleko ważniejszych pobudek, zasad i praw obowiązujących, a wypływających z powszechnego i niezmiennego porządku moralnego i pochodzących od jego twórcy, Boga. Z tego powodu ta nowa teorya etyczna napotkała na liczne ostre krytyki i zasłużone potępienie.

Już połączony z nim węzłem rodzinnym A. Fouillée wystąpił przeciwko jego jednostronnej ilościowej etyce, nie troszczącej się zbytnio o jakościową normę moralności, jakoteż przeciwko jego pojęciu życia, przeciwko jego anomizmowi. Wspomniany dr. Aslan początkowo hołdował jego teoryi, a potem odwrócił się od niej jako metafizycznej. Co gorsza, bo Akademia Francuska, która przedtem uwieńczyła nagrodą jego rozprawę o *Epikureizmie*, w kilka lat później przez usta jednego ze swych przedstawicieli Ad. Franck'a nie zawahała się przed wydaniem ostrej krytyki na oryginalne jego pomysły etyczne. Jeszcze surowszy wypadnie wydać sąd, jeżeli zechcemy porównać jego system moralny z filozofią i nauką moralną chrześcijańską. Wprawdzie pisał, że „pragnie Boga z całego serca", ale w rzeczywistości nie „chciał mu złożyć ofiary z całego życia" i pozostał wrogiem chrześcijaństwa, choć musiał uznać wyższość nauki chrześcijańskiej nad wszelkie inne moralności (uczynki miłosierne, Chrystus-apostoł miłości, cnoty litości, miłosierdzia etc.). Nie starał się nabyć, nie mówiąc głębokiej, nawet średniej znajomości nauki wiary i moralności chrześcijańskiej, co się jaskrawo uwydatnia w rozmaitych jego pojęciach mylnych i zarzutach fałszywych przeciw główniejszym prawdom chrześcijańskim. Stąd nic dziwnego, że jego teorya moralna nie może się równać z etyką chrześcijańską, nie jest zdolna tak kształcić i wychowywać jednostki i całego społeczeństwa, jak tego dokonywa chrześcijaństwo od dwudziestu stuleci, a przeciwnie ma wszelkie dane do burzenia porządku moralnego, do zepsucia obyczajów dobrych, do rodzenia występków, do rozsiewania demoralizacyi wśród swoich czytelników, co ks. prof. Bączek w wielu miejscach swej pracy uwydatniał i w następujących dosadnych, krótkich słowach wypowiedział: „Kto stawia tak ogólną zasadę, jak wzrost i rozwój życia, a odrywa przytem człowieka od Boga i obdziera etykę ze wszystkich jej praw i faktów psychologicznych, ten pozwala tem samem budować każdemu na takiej zasadzie własne i niezależne pomysły, a w praktyce musi być przygotowany na największe niespodzianki rozluźnienia moralnego; idealizowanie życia w kierunku jakiegokolwiek ładu moralnego, naprzykład społecznego, będzie wtedy wisiało w powietrzu i ściśle rozumowo wykazać się nie da" (str. 72).

Tego rodzaju są wyniki moralności krytyki bez powinności i sankcyi, taki rezultat przedstawia rozprawa pozytywno-krytyczna ks. prof. J. Bączka o anomiźmie J. M. Guyau. Łatwo się przekonać, że krytyka ta nie jest powierzchowną, ale szczegółową, dokładną,

gruntowną, iż tworzy prawdziwe studyum naukowe w całem tego słowa znaczeniu. Dzieło to głęboko pomyślane nie tylko jest krytycznem, ale zarazem pozytywnem, bo obok wykazania fałszu lub prawdy omawianej teoryi, znajdujemy w niem wiele kwestyi pozytywnie przedstawionych, (jak n. p. o istocie porządku moralnego i jego poznaniu), a nadto przy zbijaniu błędnych poglądów natrafiamy niejednokrotnie na obronę prawdziwej nauki o moralności. Z tej racyi uważny czytelnik może dobrze poznać tak istotę anomizmu i jego wartość naukową, jakoteż główniejsze prawdy filozofii moralności chrześcijańskiej. Choć bardzo często spotykamy się z wykazywaniem fałszywych rozumowań i rażących sprzeczności, nie spostrzegamy jednak w tej uczonej pracy uprzedzenia, jednostronności i wycieczek charakteru osobistego; owszem obok ujemnych stron tej nowej moralności zaznaczone są i jej dodatnie przymioty. Przytem cała rzecz przeprowadzona jest w sposób jasny i zrozumiały dla wykształconego czytelnika, a napisana stylem dość gładkim, potoczystym, zajmującym. Widoczna jest też erudycya krytyka, ujawniająca się w tem, że zabrał się do swej pracy z całym aparatem potrzebnej ku temu wiedzy; sumienność, opierająca się na wynikach krytycznych swoich poprzedników, którzy już oceniali wartość naukową tej etyki, a nadto własna spostrzegawczość krytyczna w wielu uwagach, przedstawiających ją w nowem świetle zwłaszcza wobec nauki chrześcijańskiej. Wydaje się nam jednak, że uwag treści pozytywnej jest trochę za wiele, skutkiem czego cierpi na tem charakter krytyczny tego dzieła; prawda, że rozprawa jest pozytywno-krytyczną, a zarazem popularno-naukową; być może, że autor zamierzył przeciwdziałać temu zgubnemu wpływowi, jaki może wywierać moralność bez powinności i sankcyi na czytelników powierzchownych, bezkrytycznych, przez wskazanie prawdziwych zasad etycznych; w każdym bądź razie można to było uskutecznić zwięźlej i krócej. Czasem można zauważyć rozwlekłość, a zwłaszcza zbyt częste i długie szafowanie cytatami; nadto część analityczna zdaje się być luźnie związaną z poprzedzającą całością. Pomimo tych drobnych usterek, całość przedstawia się dodatnio i dlatego tą poważną pracą ks. profesor J. B. położył zasługę dla naszej literatury, niezbyt bogatą w dzieła etyczne według światopoglądu filozofii chrześcijańskiej, tem większą, że wobec zgubnego wpływu, jaki może mieć polski przekład o moralności bez powinności i sankcyi J. M. Guyau tego rodzaju rozprawa pozytywno-krytyczna okazała się potrzebną i na

czasie. Dlatego też może być czytaną z wielkim pożytkiem przez każdego inteligenta i wykształconego katolika, pragnącego iść z postępem wiedzy, a tembardziej przez kapłana, któremu dostarczy nieocenioną broń do ręki przeciw niebezpiecznym i szkodliwym dla nauki chrześcijańskiej poglądom tej moralności bez powinności i sankcyi.

Brunon Lipiński.

Studya nąd [wierszem i zwrotką poezyi polskiej ludowej. *Helena Windakiewiczowa.* Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny Spółki wydawniczej polskiej 1913. Osobne odbicie z T. LII. Rozpr. Wydz. filol. Akad. Um. w Krakowie. Str. 97.

Praca P. Windakiewiczowej jest jedną z bardzo nielicznych u nas do tego czasu prac, usiłujących zbadać zjawisko i istotę formy literackiej bez wycieczek estetycznych, które bądź co bądź wprowadzają do pracy naukowej element subjektywny, jeżeli nieunikniony to zawsze bardzo mało pożądany, o ile praca ma dawać realne wyniki. Cel swej pracy zaraz na wstępie określa autorka zupełnie zdecydowanie powiadamiając nas, że zamiarem jej jest: „ustalenie typów wiersza w zakresie poezyi ludowej, zestawienie jej form wierszowych, usystemizować pieśni przez wskazanie grup, dla których dana forma jest typiczną, ewentualnie, gdzie jest użyta masowo", (str. 1), obok rozpatrzenia własności muzycznych pieśni i stosunku melopei do tekstu.

Założenie zaś swe przeprowadza, dzieląc pracę na dwie części, pierwszą, ogólną i drugą, szczegółową.

W części pierwszej zajmuje się strukturą wiersza w ogólności, w drugiej rozmaitymi jego rodzajami. Tak więc omawia nasamprzód wiersz nierytmiczny, rozpadający się wedle jej podziału na: *a*) wiersz zdaniowy, nie posiadający stałych grup zgłoskowych lub też akcentów, z długością zależną od wyrażonej myśli i melodyą psalmodyczną; *b*) wiersz z odcinkiem trzyzgłoskowym, z rytmem i ilością zgłosek niczem niekrępowaną i wreszcie *c*) wiersz sylabiczny t. j. liczący zgłoski dokładnie, ze stałym odcinkiem trzyzgłoskowym jednak jeszcze bez podziału na grupy. Ten ostatni rodzaj wiersza prowadzi już do wiersza rytmicznego, który cechuje stała liczba zgłosek, stałe przestanki śródwierszowe, rym, albo assonancya, akcenta stałe w końcu wiersza lub

przed przestankiem, albo też akcenta ruchome przy stałym podziale na grupy muzyczno-rytmiczne. Wiersz ten przedstawia dwa zasadnicze typy; w pierwszym zgłoski wiersza dzielone są na grupy równozgłoskowe, które się szeregują koło akcentu ruchomego, logicznego; w drugim akcent jest umiejscowiony stale w wierszach dłuższych przed średniówką, w krótszych na końcu wiersza. Te dwa wiersze reprezentują więc zarazem zasadnicze typy pauz śródwierszowych w wierszu ludowym.

Poszczególne wiersze łączą się w większe grupy (zwrotki) w różny sposób. Pierwszym jest parison, czyli rym występujący w prozaicznych przemówieniach weselnych, który prowadzi do 2) tyrad rymowanych na jedną samogłoskę; trzecim jest concatenatio, czyli rym powtarzający się na początku wiersza następnego, przeniesiony z końca wiersza poprzedzającego. Rymy, łączące wiersze występują w rozmaitej doskonałości, od assonancyi aż do rymu trzyzgłoskowego, przeważnie parzyste, z wyjątkiem rymu t. zw. conée i rymu w zwrotkach pięcio i sześciowierszowych, oraz rymu refrenowego.

Po tych ogólnych uwagach nad wierszem ludowym przechodzi do szczegółowego omówienia 7-dmiu specyalnych rodzaji wiersza, których poszczególne formy są właściwe jedne pieśniom obrzędowym, drugie pieśniom tanecznym. Pierwsze cechuje wiersz i melodya zdaniowo-psalmodyczna, drugie rytmiczno-taneczna. Formą pośrednią między nimi jest grupa używająca wiersza sylabicznego z akcentami ruchomemi a stałemi grupami sylabicznemi, występująca w obu wymienionych rodzajach pieśni a obok tego w legendach i opowieściach świeckich. Do wierszy tych należy nasamprzód 8-wiec, rozpadający się na trzy zasadnicze formy, z których pierwsza bez zdecydowanego rytmu i druga ze średniówką, dzielącą wiersz na dwie równe części, są typowe dla pieśni obrzędowych, niektórych opowieści i legend, trzecia zaś z akcentem padającym na przedostatniej zgłosce wiersza dla pieśni tanecznych i subtelniejszych erotyków; po 2-e wiersz 7-owy i 9-owy, dość rzadki w opowiadaniach; po 3-e 12-owy, jako typowy wiersz taneczny małopolski, po 4-e wiersz 10-wy, którego forma pierwsza, ze średniówką po 6-tej zgłosce jest właściwą pieśniom obrzędowym, 2-a ze średniówką po 4-tej pieśniom opowiadającym, a 3-cia ze średniówką rozdzielającą wiersz na dwie równe połowy przyśpiewkom tanecznym (chodzonemu); po 5-e wiersz 11-owy, którego forma pierwsza wybitnie popularna o dwu przestankach śródwierszowych panuje w pieśni weselnej i pasterskiej, druga zaś o jednej średniówce zdradza pochodzenie literackie

przez pieśń kościelną; po 6-e wiersz 13-owy, nie nasz literacki bohaterski, ale ludowy z dwiema średniówkami, a jeżeli z jedną to po 10-ej zgłosce, występujący w pieśni weselno-obrzędowej i wreszcie po 7-e wiersz 14-owy, którego forma pierwsza wzorowana na 12-owem, dzieląca wiersz średniówką na połowę, występuje w pieśni tanecznej, druga zaś ze średniówką po 8-ej zgłosce, z często towarzyszącą jej drugą po 4-ej zdradza pochodzenie literackie.

Studyum swe zamyka p. Wind. uwagami nad zwrotką pięciowierszową, występującą najczęściej w erotykach, a omawiając przy poszczególnych formach wierszowych także ich stronę muzyczną daje nam dziełko, z którego pomocą przynajmniej w części można sobie zdać sprawę, nie w pięknych, ale nic nie mówiących ogólnikach, lecz w zdaniach mających naukową wartość na czem polegała rewolucyjność Mickiewicza, który w 1822 r. swemi „Balladami i Romansami" odnawiał nietylko treść ale i formę poezyi polskiej.

L. K.

Z piśmiennictw obcych.

La Vocation de Frank Guiseley. Traduit de l'anglais par T. de Wyzewa. *Robert-Hugh Benson.* Librairie Perrin et Cie. 1912.

Autor, sam konwertyta, przedstawia nam dziwne dzieje duszy i życia młodego człowieka z najwyższych sfer angielskich, który przeszedłszy na katolicyzm, naraża się na gniew ojca, rzuca studya uniwersyteckie w Cambridge i staje się „gentleman trimardeur", żyjącym z dnia na dzień z pracy rąk. W tem koczowniczem życiu spotyka parę ludzi, eks-majora, który za fałszywą grę w karty stracił w wojsku stopień, a uczciwe miejsce w życiu — i towarzyszkę jego, młodą kobietę, którą eks-major za żonę swoją podaje. To spotkanie decyduje o dalszych losach Franka Guiseley. Postanawia ratować duszę towarzyszki majora, Gertie i dlatego dzieli ich życie tak długo, póki zamierzonego celu nie osiągnie. Pozwala majorowi rzucić na siebie podejrzenie o spełnioną przez tego kradzież — przyjmuje na siebie tę winę i odsiaduje dwa tygodnie kary w więzieniu. Ten fakt sprawia, że narzeczona jego, piękna córka pastora, Jenny, zwraca mu słowo, a w dalszym ciągu wychodzi za mąż za jego ojca, starego lorda Talgarth. Frank wiedzie dalej swoje ubogie, ciężkie życie — aż w końcu udaje mu się nakłonić

Gertie, by powróciła do rodziców, gotowych jej przebaczyć. Sam ją do nich odprowadza, z zaoszczędzonych pieniędzy kupuje dla Gertie ubranie, konieczne dla niej do wejścia w nowe, a raczej dawne stosunki. Sam, nędznie odziany, idzie tylko za nią, nie tracąc jej z oczu, aż otwo rzyły się dla niej drzwi rodzicielskiego domu.

W powrotnej drodze do Londynu dowiaduje się, że ojciec jego, lord Talgarth i brat starszy, dziedzic majoratu, zginęli obaj w wypadku automobilowym. Frank staje się więc głową rodu i właścicielem olbrzymiego majątku. Ale zadanie jego nieskończone. Uważa za obowiązek wrócić do ubogiego mieszkania, które dzielił dotąd z majorem Trusteott, aby mu powiedzieć, że odwiózł Gertie do rodzicielskiego domu. Rozwścieklony major rzuca się na niego — prawie umierającego wydobywają z jego rąk.

Tak kończy się młode życie Franka. Umiera, przebaczając zabójcy, przyjąwszy Boga swego do serca. Gorący żal otacza jego łoże śmierci — pokój odchodzącej duszy udziela się otoczeniu, które czuje, że kończy się rzecz smutna i piękna, a zaczyna się inna, piękniejsza jeszcze a radosna.

Oto treść książki najpobieżniejsza.

Jakie budzi refleksye w umyśle czytelnika?

Obok niezaprzeczonej podniosłości duchowej, uderza nas rodzaj dziwnej dysharmonii, którą wytłomaczyć sobie można odrębnym ustrojem duszy angielskiej i szukaniem dróg, które byłyby zapewne jaśniej zakreślone dla jednostki, urodzonej i wychowanej na łonie katolicyzmu. Frank rzuca się w wir i męty koczowniczego życia bezsilnie zaznaczonej potrzeby i konieczności. Wszak mógł zarabiać na życie, uniezależniając się od anglikańskiej rodziny, na inny sposób. Dalej fakt, iż młody człowiek, wychowany w ścisłych zasadach honoru, pozwala się oskarżyć o kradzież i odsiaduje karę więzienną, jest zaledwie prawdopodobny, a bardzo niedostatecznie uzasadniony. Wszak zasłużone uwięzienie majora byłoby równocześnie uwolnieniem Gertie od hańbiącego stosunku i daniem sposobności Frankowi do wpływu nad nią i oddania jej rodzicom. Na koniec — czytelnik zostaje z niespokojnem w duszy pytaniem. Czy wzniosła ofiara Franka, oddanie młodego życia, na prawdę uratowało duszę Gertie? Nie mamy żadnej pewności, że dziewczyna ta podniosła się na prawdę i zupełnie z upadku. Powróciła do rodziców nakłoniona i zniewolona przez Franka — niezdolna nawet w części pojąć i odczuć jego poświęcenia się dla jej duszy. Poświęcenie to nawet na tyle jej nie uszlachetniło, że odziana z pracy Franka w lepsze su-

knie wstydzi się jego ubogiej, zniszczonej odzieży i każe mu iść za sobą. Wreszcie, kreśląc jej sylwetkę, mówi nam autor, że Gertie miała w sobie żądzę wrażeń, że wolała odnosić zło, sromotnie być bitą i poniewieraną — niż nie mieć żadnych. Czy w obec tego ostoi się w spokojnem, cichem życiu rodzicielskiego domu? Czy niezmierna ofiara Franka nie okaże się daremną? Czy życie jego, oddane szerzeniu katolickiej prawdy i ideałów, z tak zwiększoną możnością działania, nie byłoby lepiej, owocniej użytem?

Pytań takich nasuwa się moc — ale samo ich powstawanie dowodzi, że najnowsza powieść Bensona sięga głęboko w duszę. Jest ona wyrazem wielkiej tęsknoty serca do prawdy, do czystości i podniosłości życia. Czyni z wiary oś życia — wykazuje istnienie tak intenzywnego życia wewnętrznego, że zanurzona w niem dusza nie ma już oczu, ni czucia na warunki zewnętrzne. Pochłania ją jedna myśl, jedno umiłowanie niezmiernej, wiekuistej prawdy. To sprawia, że Frank, żyjąc wśród otoczenia, które nie jest w stanie nawet w części zrozumieć jego ustroju duchowego, jest jakby odgraniczonym od świata zewnętrznego potęgą, wytworzoną przez jego świat wewnętrzny.

Książka Bensona wykazuje zarazem grawitacyę duszy angielskiej ku katolicyzmowi — dusza to religijna, a panujące wyznanie, utkane z form, zbyt mało daje pokarmu gorętszego jednostkom, które też coraz częściej zwracają się w stronę katolicyzmu.

Helena Skolimowska.

Fontes Rerum Transilvánicarum. T. II. Epistolae et Acta Iesuitarum 1575—1588. *Dr. Andreas Veress.* Budapest 1913 in 8-o VIII+316. T. III. Antonii Possevini Transilvania 1584. Budapest 1913 in 8-o p. XXIV—297.

Wydawnictwo *Źródeł Siedmiogrodzkich* po dwuletniej przerwie znacznie postąpiło naprzód. Znajdujemy tu w II tomie ciąg dalszy korespondencyi łacińskiej i włoskiej Jezuitów w Siedmiogrodzie, którzy w tym czasie (od 1580), oprócz kollegium ze szkołami w Koloszwarze, mieli także rezydencyę w Białogrodzie i dom misyjny w Waradynie. Należały te domy do prowincyi zakonnej polskiej. Pracowali w nich (1584—1589) z pomiędzy Polaków: Jakób Wujek, Mateusz Struś, Sebastyan Szadek, Jakób Mostowski, Jan Brzozowski, Szymon Pułtuski, Piotr Szydłowski, Jakób Kaliski, Jan Psarski, Stanisław Janicki, Paweł Wojciechowicz, Szymon Doma-

sławski, Bartłomiej Tembor, Stanisław Zabielski, Jakób Korytowski, Jan Iłżecki, Stanisław Radzimski i Jan Krakowiński, prócz tego Baltazar Gerolci Ślązak i Mikołaj Kurticz Słowak. Z tego więc względu, jako ziomkowie, niosący pochodnię wiary i oświaty na dalekim Wschodzie, zasługują na wspomnienie nasze tem bardziej, że wielu z nich przyswoiło sobie już dostatecznie język węgierski, podobnie jak Marcin Undo Węgier, Maksym Milanesi Włoch i Jan Olav Szwed język polski.

Główną jednak rolę z pomiędzy Polaków odgrywał tu O. Wujek, rektor kollegium koloszwarskiego 1579—1584. W styczniu 1584 zdał on zarząd kollegium w ręce O. Ferdynanda Capeciusza Neapolitańczyka, sam zaś 27 lutego, żegnany szczerym żalem i płaczem wszystkich mieszkańców tego miasta, wybierał się w drogę do Polski. Za rządów jego następcy wielka katastrofa nawiedziła siedmiogrodzkie domy. W czasie morowego powietrza, w lipcu i sierpniu 1586, zmarło tamże razem z O. Capeciuszem 30 z pomiędzy członków zakonnych, w tem 10 Polaków. Zabolał nad tą stratą król Stefan Batory, jak świadczy jego list, pisany w Grodnie 29 sierpnia 1586 do Klaudyusza Akwawiwy. Na życzenie króla posłano znów O. Wujka do Siedmiogrodu. Stanął tam z wiosną 1587 w charakterze wiceprowincyała. Zabrał się czem prędzej do dzieła, popłacił długi, jakie od r. 1584 ciążyły na seminaryum koloszwarskiem, obsadził zakonne domy nowymi przełożonymi a katedry szkolne profesorami, sprowadzonymi nie tylko z Polski, ale nawet z Włoch, Hiszpanii i Niemiec; prócz swego przełożeństwa, zajmował się także edukacyą małoletniego księcia Zygmunta Batorego, bo taką była wola zmarłego króla Stefana. Tymczasem na Sejmie w Koloszwarze, w listopadzie 1587, różnowiercy wszystkie wytężyli siły, ażeby Jezuitów wydalić z Siedmiogrodu. Domagali się tego u księcia w imieniu całego senatu, lecz on kazał im o tej sprawie zamilczeć; zresztą dla pewnych politycznych powodów, najbardziej zaś ze względu na pamięć zmarłego króla Stefana i brata jego, zmarłego księcia Krzysztofa, odstąpili na razie od swoich żądań. Dopiero w następnym roku przeprowadzili zamiary swoje. Rządy kraju sprawował Jan Géczy, kalwinista z Dalmacyi, w imieniu małoletniego księcia Zygmunta. Przemożna partya kalwińsko-aryańska, nie lękając się już nikogo, na sejmie Meggies 21 grudnia 1588 naparła na 16-letniego księcia, ażeby Jezuitów, jako bałwochwalców papizmu i przewrotnych nauczycieli młodzieży, wypędził z księstwa. Oparł się temu książę i odmówił podpisu na

dekret. Wtedy partya różnowiercza zwróciła się do gubernatora Géczego i, pozyskawszy poparcie jego i wojska, wznieciła tumult. Przeląkł się książę i zapomniał o tem, że w liście do Akwawiwy, z Koloszwaru 19 listopada 1587 uroczyście obiecał, że jak poprzednio król Stefan Batory, tak i on przyjacielem i obrońcą zakonu pozostanie nadal. Pomimo przedstawienia i mocnego protestu, jaki założył O. Wujek na sejmie w Meggies tudzież przedstawiciele katolickiej partyi, podpisał banicyjny dekret 25 grudnia 1588. Żałował tego później, tłumaczył się przed papieżem Sykstusem V i Klaud. Akwawiwą, że to przymuszony uczynił. W siedm lat niespełna potem przywrócił na nowo w Siedmiogrodzie zakon.

Tom III obejmuje komentarz O. Antoniego Possewina o Siedmiogrodzie, podpisany w Ołomuńcu 12 kwietnia 1583 i dedykowany papieżowi Grzegorzowi XIII. W pięciu księgach a 57 niedługich rozdziałach skreślił tu O. Possevino po włosku geografię i historyę Siedmiogrodu od najdawniejszych czasów aż do r. 1584. Najwięcej jednak miejsca, bo całą trzecią księgę aż do piątej włącznie, poświęcił politycznym i religijnym stosunkom siedmiogrodzkim od czasu reformacyi w połowie XVI wieku. Ten historyczny komentarz poprzedził profesor Veress biografią O. Possewina, napisaną po francusku przez O. Jana Dorigny S. J. w Paryżu 1712, a ogłoszoną po włosku przez O. Mikołaja Ghezzi S. J. w Wenecyi 1759; całość zaś przyozdobił 47 illustracyami, między któremi figuruje postać O. Possewina, Grzegorza XIII, Ferdynanda I, Maksymiliana II, Rudolfa II, Stefana, Krzysztofa i Zygmunta Batorych, Solimana II, oraz mapy Siedmiogrodu z lat 1550, 1552, 1556 i 1595. Do tomu II i III dołączony jest spis osób i miejscowości, co ułatwia badaczowi odszukanie odpowiednich rzeczy. W pierwszym tomie nagłówki przy pojedynczych listach i niektóre objaśnienia do tekstu były wyłącznie po węgiersku ze szkodą książki, zato w drugim tomie widzimy to wszystko już po łacinie. Żałować jednak potrzeba, że w żadnym tomie nie podano *errata* na końcu, których przecie jest mnóstwo. Rozumiem dobrze, że *errata* mogą się znaleźć i w najlepszem dziele, czy to wskutek mylnego odczytania autografów, czy wskutek pomyłek drukarskich, wszelako do wydawcy należy uwidocznić na końcu tego rodzaju *errores typi*, podług znanego adagium: *error corrigitur, dum deprehenditur*.

Ks. J. Sygański.

Lexikon der Pädagogik. Im Verein von Fachmännern und unter besonderer Mitwirkung von Hofrat Prof. Dr. Otto Willmann. Herausgegeben von *Ernst M. Roloff*, Lateinschuldirektor a D. In 5 Bänden; Lex.-8°. II Band. Freiburg, Wien 1913. XII + 1344 Spalten. Bunkram-Einband 16.80 Kr.

Rok prawie temu, jak pojawił się pierwszy tom nowego, oddawna, zwłaszcza przez katolików oczekiwanego, leksykonu pedagogii. Krytyka przyjęła go bardzo przychylnie i dobrze. Przyznano powszechnie, że chodzi tu o nader wiele obiecujące dzieło, które śmiało stanąć może obok podobnych mu dzieł, jakiemi są n. p. „*Encyklopädisches Handbuch der Pädagogik*" Rein'a, „*Pädagogische Encyklopädie*" Loosa.

Nadzieje, jakie tom pierwszy rokował, nie zawiodły i w tomie drugim; zaufanie, jakie na podstawie tomu pierwszego powzięto do tomów dalszych, tom drugi wzmocnił i utrwalił. Dodany przez nakładcę prospekt podaje na razie blizko 50 nader pochlebnych głosów krytyki, pomiędzy którymi znajduje się wiele z obozu niekatolickiego.

Tom drugi leksykonu Roloffa pedagogii zawiera w sobie 328 ustępów, dających pewne i rzeczowo-fachowe pouczenie i to często w rzeczach, których wyjaśnienia daremnie szukalibyśmy w innych tego rodzaju dziełach. Pokazało się n. p., że tom, o którym mówimy, zawiera około 35 nazwisk z historyi pedagogii, których niema w dziesięciotomowem dziele Reina. Nie znajdziemy bowiem u tego ostatniego n. p. Galura, Gersona, Girarda, A. Grubera, Jaisa, Kellera, Kolpinga i innych, zasługujących przecież choćby na wzmiankę w leksykonie pedagogii.

U Roloffa znajdujemy wiele ustępów, omawiających kwestye pedagogiczne, a opierające się o dziedzinę światopoglądu jak n. p. „*Glaube und Wissen*", „*Gnade und Erziehung*". Już to samo świadczy o wartości powyższego leksykonu i nakłada na katolików obowiązek dzieło to poprzeć! I nic dziwnego, że liczba współpracowników wzrosła o cały zastęp sił nowych, dzielnych specyalistów na poszczególnych polach, ludzi nie stojących poza obrębem dzisiejszego stanowiska pedagogicznych badań i poglądów. Wystarczy choćby n. p. przeglądnąć ustępy jak: „*Geschlechtliche Aufklärung*", „*Geschlechtliche Verirrungen*", „*Geschlechtliche Erziehung*", wszystko to są rzeczy znakomitego pióra J. Hoffmanna, autora cennej książki p. t.: „*Die Erziehung der Jugend in den Entwickelungsjahren*".

Jeżeli, pominąwszy niektóre drobnostki, uwzględnimy zalety

tego leksykonu, opartego na fundamencie chrześcijańskiego światopoglądu, a więc mistrzowską koncentracyę i świetnie obmyślaną dyspozycyę olbrzymiego materyału, dalej wewnętrzną jedność i silną spoistość — rzecz tak pożądana wobec nowoczesnego rozbicia pojęć i szeroko rozlanej niejasności w zasadniczych kwestyach, wreszcie naukową formę i gruntowność, objektywność, tolerancyę dla innych zapatrywań, innemi słowy ducha prawdziwej naukowości, to przyznać musimy, że leksykon Roloffa jest bez przesady najlepszym z dotychczasowych, przewodnikiem i doradcą na polu całej pedagogii. W przyszłej literaturze wyryje ona z pewnością ślady bardzo głębokie.

X. Chmura T. J.

Z nowszej literatury biblistycznej.

1. **Commentarius in Psalmos** auctore J. Knabenbauer, S. J. *(Cursus Scripturae sacrae,* V T II 2: VI + 492. Paris 1912. Lethellieux, Fr. 20·—).
2. **Die Esdrasbücher der Septuaginta,** ihr gegenseitiges Verhältnis untersucht von Dr. Bernhard Walde *(Biblische Studien)* XVIII 4: XIV + 164. Freiburg u. Wien 1913. Herder K. 6).
3. **Samaria und Peräa bei Flavius Josephus** von Dr. Leo Haefeli *(Biblische Studien* XVIII 5 : X + 120. Freiburg und Wien 1913. Herder. K. 4·20).

1. W pokaźnym już szeregu tomów wielkiego „*Cursus Scripturae sacrae*“ odczuwaliśmy dotkliwie brak komentarza do psalmów. Pojawił się wreszcie, niemal już w „jedenastą godzinę“. Bo wnet po wykończeniu tego tomu śmierć wydarła pióro z ręki niezmordowanego autora, O. Knabenbauera. Praca ta jest pięknem zakończeniem pracowitego jego żywota: Opatrzność zrządziła, że „*Cursus*“ nie został pozbawiony pracy z taką niecierpliwością oczekiwanej, jak komentarz do psalmów, zwłaszcza skoro miał być dziełem właśnie Knabenbauera. Lecz nie tylko ze względu na „*Cursus*“ dobrze się stało, że komentarz przecież przyszedł. Chodziło bowiem koniecznie o nowy komentarz, któryby tak pod względem wymagań ściśle naukowych jakoteż pod względem praktycznej użyteczności przewyższył te, któreśmy dotąd mieli. I zdaje się, że ś. p. autor jakby odgadł życzenia wielu i zostawił nam komentarz przedewszystkiem zwięzły, przejrzysty, treściwy. Za naukowość ręczy chyba samo imię autora

i świetna tradycya „*Cursus Scripturae sacrae*"; widać ją zresztą na każdej stronie. Komentarz jest wprawdzie objaśnieniem łacińskiego tekstu psalmów, zgodnie z założeniem i planem całego wydawnictwa (rzecz trochę dziwna, że tekst *Wulgaty* zaopatrzył autor „obelusami" i „asteryskami" z wydania psałterza w Migne PL), ale inne teksty są w komentarzu obszernie, wedle potrzeby uwzględnione, bez znanych wszelako, tak nieraz arbitralnych, prób konjekturalnej krytyki tekstu: z pośród wielu nieraz możliwości autor wybiera tę, która najlepiej odpowiada wymaganiom hermeneutyki. Kto ciekaw bliższych krytycznych szczegółów, tego autor słusznie odsyła do nowszej literatury: komentarz zyskuje przez to bardzo na pożądanej użyteczności. Metoda egzegetyczna polega na tem, że na czele stoi bardzo trafne streszczenie psalmu, by czytelnikowi umożliwić oryentowanie się w toku myśli, po niem idzie nadzwyczaj szczęśliwy komentarz, parafrazujący wybornie wyrażenia, śledzący dokładnie kontakt i ciągłość myśli, wypełniający tak liczne w psalmach luki i skoki myślne. Do sensu literalnego (bo wyszukiwanie innych sensów autor zostawia najsłuszniej czytelnikowi) dociera komentarz nie przez gąszcze „naukowych ekskursów", lecz drogą prostą; poprzez owe gąszcze przedzierał się komentator sam, zanim przystąpił do napisania komentarza i nie zmusza czytelnika, by drogę tę odbywał z nim po raz drugi. Podług mnie jest to największą zaletą tego komentarza jako takiego: dotychczasowe komentarze do psalmów były przeważnie tego rodzaju, że mogły raczej zrazić do psalmów aniżeli ich zrozumienie otworzyć. Naturalnie bez trudu i ten komentarz sensu psalmu także nie otworzy, ale rzecz tę niezmiernie ułatwia. Rzecz jasna, że o szczegółach można mieć inne zdanie aniżeli nasz autor. Przytoczę dla przykładu tylko stanowisko autora do słynnego „*ego* (*hodie*) *genui te*" w psalmach mesyańskich 2 i 109: tam (ps. 2) „*genui*" *tamquam filium te agnovi, nominavi, feci*, w ps. 109 zaś „*genui*" autor pojmuje o odwiecznem rodzeniu Mesyasza z Boga-Ojca i powołuje się dla poparcia takiego pojmowania na — ps. 2 (?). Przy psalmach, których tematem jest sławny problem o retrybucyi, jak n. p. ps. 48, trzebaby może podnieść ten moment i oświetlić stanowisko psalmisty. Wogóle zagadnienia ogólniejszej natury, związane z psalmami, nie znalazły w tym komentarzu odpowiedzi. Mam tu na myśli komentarz, któryby można nazwać przeciwstawieniem do dziełka H. Gunkel'a „*Die Psalmen*" (Göttingen 1911): takiego nam trzeba, ale taki widocznie nie leżał w intencyi zmarłego autora. — Z krótkiego wstępu,

jakim autor poprzedził komentarz, ze szczerem zadowoleniem wypisuje godne Knabenbauera słowa pod adresem poszukiwaczy *metrum* w psalmach, względnie tych, co na podstawie jakiegoś „*metrum*" „poprawiają" tekst hebrajski: „*Cum varios illorum conatus perquirerem, quibus psalmos ad certa metra adducere tentabant, plura etiamnum esse incerta, multa satis dubia deprehendi; quare tutius iudicavi nihil de metro singulis psalmis adscribere. Vidi enim... viros illos doctos haud raro inter se dissidere*" (str. 5-6). *Estne doctrina de metro... adeo certa et inconcussa?*" (str. 7). Chcąc w krótkości powiedzieć wszystko o komentarzu O. Knabenbauera, twierdzę, że choć komentarz ten nie spełnia wszystkich zadań, jakieby powinien spełnić nowoczesny katolicki komentarz do psalmów, to jest on przecież niewątpliwie jednym z najlepszych środków do zrozumienia psałterza na gruncie naukowym, głównie dzięki swej treściwości, trzeźwej przedmiotowości i zwięzłości.

2. „*Biblische Studien*" rozwijają się bardzo pomyślnie i stają się zwolna jakiemś *rendez-vous* zwłaszcza młodszych biblistów katolickich, którzy idąc za rzuconem niedawno hasłem, zamiast tracić czas i siły na teoretycznych roztrząsaniach i niepłodnych apryorycznych polemikach dorzucają cegiełki swych badań szczegółowych i pozytywnych pod budowę gmachu katolickiej „kwestyi biblijnej": gruntowne, źródłowe, krytyczne i objektywne zbadanie tekstu biblijnego, poznanie jego znaczenia prawdziwego, zaznajomienie się z historyą litery Pisma św. i jej wykładania: oto są zadania, których rozwiązanie doprowadzić może do celu. Jednem z tych zadań zajął się dr. Walde. Chodzi mu o zbadanie pochodzenia t. zw. *ksiąg Esdraszowych* w LXX, ich wzajemnego stosunku do siebie i do hebrajskich wzorów, w szczególności o apokryficzną t. zw. 3 *księgę Esdrasza*, która w greckim Starym Testamencie (LXX) znalazła miejsce pomiędzy kanonicznemi księgami, przed księgą kanoniczną Esdrasza i figuruje tam jako Ἔσδρας α'. Skąd pochodzi ten Ἔσδρας α' (= 3. *Esdr.* apokryf.)? Nowsze badania chciały wykazać, że 'E.a' jest uzupełnieniem „Kroniki" z pierwotnej LXX, dzisiejszy zaś tekst grecki ksiąg *Paral-Esdr-Neh* jest dziełem Theodotion'a, nie LXX. W gruncie rzeczy chodzi tu o tekst masoretycki, którego wartość przedstawi się lepiej lub gorzej, zależnie od tego, czy grecki przekład E. a' jest starszy od LXX lub nie. Dr. Walde polemizuje z temi dwiema tezami bardzo poważnie i dochodzi do wniosków: 3 *Esdr.* nie może pochodzić od kanonicznego przekładu *Paral-Esdr-Neh*,

choć przyznaje, że przekład ten wpływał na 3 *Esdr.* i na odwrót; 3 *Esdr.*, jest późniejszy od *Par-Esdr-Neh* i jest przełożony wprost z oryginału; kanoniczny przekład Par-Esdr-Neh nie jest dziełem Theodotion'a. Dalej: 3 *Esdr.* mógłby być fragmentem LXX innej recenzyi *Par-Esdr-Neh*, ale tak nie jest, bo pokazuje się po zbadaniu jego stosunku do *IM*, że jest on raczej tendencyjnym utworem, napisanym nie bez wpływów tekstu semickiego i LXX w 2 połowie II w. prz. Chr. w Egipcie — słusznie przez Kościół do apokryfów zaliczony. Jest to studyum nadzwyczaj sumienne, mozolne i dokładne, świadczące o dużym zmyśle krytycznym autora i gruntownej metodzie naukowej, a mogące posłużyć za wzór przy opracowaniu podobnych zagadnień krytycznych, których w *St. Test.* jest jeszcze dużo.

3. Dzieła Józefa Flawiusza budzą ciągle jeszcze żywe zainteresowanie wśród biblistów. Nic dziwnego. Wszak zawierają one tyle szczegółów z dziedziny historyi, archeologii i geografii *St. Test.*, że zbadanie ich wartości dla egzegezy ksiąg św. przynajmniej ponętnem się przedstawia. Geograficzne daty w dziełach J. Fl., dotyczące Judei i Galilei już znalazły swoich krytyków. Haefeli zajmuje się trudniejszem zadaniem zbadania dat tych w odniesieniu do Samaryi i Perei. Praca ta przekracza jednak rozmiary zwyczajnego zestawienia dat geograficznych, lecz kreśli żywy obraz stosunków kulturalnych, jakie z biegiem wieków zaistniały w tych ciekawych pod wieloma względami krainach. Autor przytacza i notuje skrzętnie zdobycze najnowszych poszukiwań geograficznych i archeologicznych na podstawie dotyczącej bogatej literatury. W ten sposób stworzył wygodny niejako podręcznik dla tych, którzyby badania te kontynuować chcieli, gdyż nie potrzebują już przeszukiwać licznych studyów, dotąd nad temi materyami poczynionych. Szkoda tylko, że pilna ta praca nie otrzymała alfabetycznego spisu obfitego materyału, jaki w niej został obrobiony: byłaby zyskała conajmniej podwójnie na użyteczności.

X. Jan Korzonkiewicz.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

W sprawie nauk przyrodniczych w polskich szkołach średnich. *Dr. Zygmunt Rozen.* Stron 45. Cena: 60 hal. Kraków 1913.

Autor występuje ze śmiałym ale wielkiej doniosłości projektem, który może oddać krajoznawstwu polskiemu i wogóle nauce polskiej wielkie usługi. Jest to pomysł utworzenia centrali, któraby zaopatrywała wszystkie szkoły w okazy i przybory do nauk przyrodniczych. Pomysł to bardzo szczęśliwy. Trzeba, żeby sfery miarodajne zajęły się nim żywo, gdyż prócz naukowych korzyści projekt ten dąży również do

stworzenia pewnej gałęzi przemysłu krajowego a temsamem do zatrzymania w kraju znaczniejszych kapitałów, które obecnie prawie wyłącznie wędrują do Niemiec. *U.*

Zbiory przyrodnicze Towarzystwa Przyjaciół Nauk przez *Dr. F. Chłapowskiego* stron I — V. wyd. II. 1913 r. Poznań.

Podręcznik ten uddaje wielką usługę społeczeństwu polskiemu. Zbiory bowiem przyrodnicze nieopisane mają wprawdzie pierwszorzędne znaczenie ale tylko dla specyalistów, opracowane zaś zwłaszcza tak znakomicie, jak uczynił Dr. Chłapowski, stają się własnością ogółu. Każdy przejeżdżający przez Poznań powinien znaleźć czas na zwiedzenie tych zbiorów, a przed ich zwiedzeniem przeglądnąć tę książeczkę, to będzie połączone nawet z przyjemnością, gdyż niema w niej suchego tylko wyliczania okazów dzisiejszych i paleolitycznych, lecz zarazem podanie, gdzie i przez kogo znalezione, oraz krótka ale śliczna charakterystyka odpowiednich epok geologicznych tak z punktu geologicznego jako też paleontologicznego. *U.*

Za wsich małyszysia Błagaja. (Za wszystkich modlisz się, Łaskawa") 31 nauka na miesiąc maj. Ks. Julian Dzerowicz. Żółkwia 1914. Str. 267.

Pod piękną stylową kartą tytułową daje autor cykl nauk majowych. Nie pierwszy to zbiór podobnych kazań autora, przed paru laty cytowaliśmy na tem miejscu podobne wydawnictwo p. t. „Carycia maja". Widać, że nabożeństwo majowe zdobywa sobie coraz większą popularność w Cerkwi unickiej. Nauki swoje ułożył autor w dwie grupy: w kilkunastu naukach przechodzi on różne stany, które mogą najbardziej liczyć na wstawiennictwo Matki Najśw., a w drugiej grupie nauk przytacza pobudki do ufności w Maryi. Wykład bardzo popularny, swoisty, miły, owiany rodzimą poezyą. Układ oryginalny; myśl zastosowana bardzo do współczesności. Razi nas tylko jakby uganianie się za popularnością w cytowaniu autorów świeckich, o których możeby lepiej zamilczeć na ambonie kościelnej (Franko), i przesada w patryotyźmie ukraińskim. Dość powiedzieć, że kozaków zaporoskich czyni autor ruskimi „Joannitami", rycerzami — mnichami.

Wielbi również patryotę ukraińskiego, mimo że i uwielbia ich pobożność ku Matce Bożej... bo był zagorzały schyzmatyk. Czy nie za wiele czci dla awanturników i przytem schyzmatyków w ustach katolickiego kapłana? Takiego Wiszewskiego lud po kazaniu ks. Dzerowicza gotów uważać za jakiegoś świętego katolickiego, a był to jeden z najzawziętszych wrogów wiary katolickiej. Przynajmniej pochwały należało opatrzyć jakiemiś zastrzeżeniami. *J. U.*

Z wędrówki po Indyach. Napisał dr. *Jan Hupka.* Kraków 1913 in 8-o str. 287.

Indye! mimowoli, jako wspomnienie jeszcze z ław szkolnych, jawi się przed nami starożytne Delhi, — indyjska Mekka: Benares, — cacko architektury: Tadż Mahal, — i strzelisty Kutab Minar. Przeto z gorączkowym prawie pośpiechem bierzemy do ręki dzieło, będące owocem bezpośrednich wrażeń i przeżyć z podróży po dalekim, a niezmiernie ciekawym kraju dla swej prawiekowej historyi i cywilizacyi. Zaraz w pierwszym rozdziale wprowadza nas autor do Bombaju, zaznajamia z urządzeniem tamtejszych hoteli, z dzielnicą Europejczyków i Czarnych, z Persami, z sektą Dżajnów, ze skalnemi świątyniami Hindusów i t. d.

W następnych rozdziałach zwiedzamy kolejno Radżputanę, Agrę, Delhi i Gwalior, Benares, Kalkutę i Dardżiling, Madras i Tutikorin, a w końcu uroczy Ceylon, wszędzie zaznajamiając się z ich historyą, zabytkami sztuki, zwłaszcza architektonicznej, z ruchem ulicznym, z urządzeniami społecznemi i politycznemi a wreszcie z objawami życia religijnego najróżnodniejszych sekt. Naturalnie owe szkice „jako owoc pobieżnych studyów, przelotnych spostrzeżeń i wrażeń z krótkiej stosunkowo podróży, nie mają, — jak sam autor wyznaje, (str. 281). — pretensyi do dokładności", nacechowana swobodą i szczęściem tak w sposobie opowiadania, jak i w doborze treści, rozbraja czytelnika wobec drobniejszych usterek stylowych, (wartość, wartał!?) lub „przydługiego" gawędziarstwa.

Pod względem wydawniczym książka niniejsza również miłe sprawia wrażenie; składa się na nie korekta dość poprawna, piękny papier i 16 cynkotypij na kredowym papierze. *J. K.*

Ludwik Perroy, Kalwarya. Przełożyła Elżbieta Mieroszewska, in 8-o str. 166. Brody—Lwów 1914. Nakładem księgarni F. Westa.

Wdzięczność należy się sz. tłómaczce za przyswojenie polskiej ascetycznej literaturze znakomitego dziełka O. L. Perroy T. J. p. t. *La montée du Calvaire.* (Paris VI. + Cassette 10. Lib. de Lethielleux). Autor w przedstawieniu rzeczy trzyma się przeważnie, że się tak wyrażę, metody kontemplacyjnej; wobec czego raz po raz krótkiemi wprawdzie słowy, ale pełnemi barw i wyrazistości, kreśli mistrzowski, fascynujący obraz, tętniący ruchem i życiem. Ową plastyczność uwypukla jeszcze nader umiejętnie zużytkowanie danych historycznych i topograficznych o Męce Boskiego Zbawcy. Ale obraz to tylko przygotowanie do wysnucia myśli, do rozpalenia uczucia; nie na tem też tylko kończy się wielkość autora. Umie on także stworzony przez siebie obraz blaskiem niepowszednich myśli objaśnić, potrafi w czytelniku najtkliwsze odczucie rozbudzić i usposobić go do wysnucia wniosków praktycznych, aktualnych, mających kierować jego życiem etycznem. Wobec takiej metody całość sprawia wrażenie bezustannej serdecznej rozmowy z Bogiem, pozbawionej jednakże czułostkowości i „słodkiej nudy". Dziełko rozpada się na trzy części: w pierwszej z nich, złożonej, jak i inne, z kilku mniejszych rozdziałów, rozpamiętywa autor „narzędzie męczeństwa" P. Jezusa, w następnej wnika w „męczarnie Boskiego Serca", w ostatniej nareszcie wpatruje się we „wizerunek Pana".

Tłómaczenie, ogółem biorąc, odznacza się poprawnością; gallicyzmów nie zauważyliśmy; tu i ówdzie może pożądaną byłaby większa rytmika, a nawet dobór oraz poprawna, polska interpunkcya.

Sądzimy więc, że omawiana książka stanie się wiernym przyjacielem dusz pobożnych jako podręcznik do czytania duchownego lub do punktów rozmyślań o Męce Pańskiej. *J. K.*

Jamontt. Lew Tołstoj ôdczyt 1914. Cena 35 kop. Str. VIII+51+XIII.

W krótkim szkicu rozstrząsa autor znaczenie Tostoja dla współczesnego życia. Trafnie zauważa, że nie był ani genialnym artystą, ani filozofem, ani reformatorem chrystyanizmu. Wedle p. Jamontta wielkość Tołstoja polegała na tem, że był najlepszem, najzupełniejszem uosobieniem geniuszu narodu swego. Wszystkie rażące sprzeczności wygłaszane przez filozofa z Jasnej Polany mają swe źródło z jednej strony w t. zw. pryncypialności rosyjskiej z drugiej w apatyi; stąd płynie ta ogromna wrażliwość moralna jak i „niesprzeciwianie się złemu".

Nam, wychowanym w tradycyach zachodniej Europy, grozi od lat niedawnych przejęcie się prądami rosyjskimi. Książeczka p. Jamontta, obok prac prof. Zdziechowskiego i Wł. Jabłonowskiego ostrzega nas i oryentuje w tych tajnikach rosyjskiej duszy. *F. B.*

Wśród braci Słoweńców — Szkic społeczno literacki. *Tad. Dalewski.* Str. 35.

Broszurka ta, gdyby miała podtytuł „wspomnienia z wycieczki na Zjazd katolicki w Lublanie", właściwiejby się nam przedstawiła. Treść jej interesująca szczególnie dla uczestników tembardziej, że dołączono fotografię grupy polskich uczestników Zjazdu.

W całej pracy widać dużo dobrej woli i skupienia, może aż nadto autor nagromadził szczegółów, chcąc dać wierny obraz wypadków. Widać refleksyę i skupienie. Autor porównuje nasze stosunki z tem, co go otacza i pragnie wszystko, co dobre, przeszczepić na polską ziemię. Ma dużo zapału i nadzieję niezachwianą, że się to uda, ale rozumie, że potrzeba pracy i dużo pracy, jeśli się chce dojść do dodatnich rezultatów.

Tak cały szkic przewija się jak humorystyczna nić, czasami nawet dobrze uchwycona. Autor umie się wczuć w swoje otoczenie i dlatego szkic ten będzie stanowił miłą pamiątkę dla uczestników zjazdu i wogóle dla szerokich kół młodzieży.

Jeśli autor popracuje poważnie nad wyrobieniem stylu i unikaniu drobnych usterek, które tu i ówdzie się napotyka, to można się spodziewać, że talent jego przysporzy nam niejedną jeszcze pracę. *T. B.*

„Sąd nad Polską". Wizya — Tadeusz Dalewski. Kraków 1914.

Autor jest członkiem polskiego związku katolickiej młodzieży rękodzielniczej w Krakowie.

Wizya to sądu bożego nad grzesznym narodem polskim. Dla wielu zbrodni, zdrad i przewinień, skazany naród na „straszną

niewolę — po wszystkie wieki, aż do skończenia świata". Ale Marya, królowa Korony polskiej poruszona prośbami św. Stanisława Kostki, „wiernego syna tej biednej, nieszczęśliwej Polski", błaga Syna o zmiłowanie.

Więc choć zapada wyrok niewoli, — to niewola ta nie będzie wieczną, bo przyjdzie dzień, w którym wolno będzie jarzmo niewoli zrzucić z siebie.

Ładnem jest to wprowadzenie świętego młodzieniaszka Stanisława, który wyprasza ratunek dla umiłowanego swego narodu — piękną myśl odrodzenia Polski przez młodzieńców, bo „jak młodzieniaszek uprosił nam — brzmi koniec wyroku bożego — boże zmiłowanie, przez młodzieńców zaświta nam wolności jutrzenka złota". Pracą nad maluczkimi odbudujemy Polskę.

Rzecz napisana udatnie, pełna miłości dla św. Stanisława. Może sąd boży trochę nadto po ludzku pojęty, ale język poprawny, lekki, pełen ciepła, a że to pisał młodzieniec, więc całość tem milsze czyni wrażenie.

Retkinia. — Rys historyczno-społeczny. *Ks. Paweł i Leonard Załuscy.* Włocławek 1914 str. 254, cena 1 rb.

Monografia wsi Retkini dzieli się na dwie części. W pierwszej mniejszej przedstawiają autorzy na tle ustroju społecznego dzieje kasztelanii pabianickiej do której należała Retkinia za czasów Rzplt. i poważniejsze stosunki ekonomiczne i społeczne, z drobnemi notatkami folklorystycznemi. W drugiej części mniejszej mamy pamiętnik ks. Pawła Załuskiego, który współdziałał przy założeniu oddzielnej parafii w Retkini i dotychczas był jej proboszczem. Ciekawy ten pamiętnik obejmuje nie tylko dzieje budowy kościoła ale wszystkie ważniejsze wypadki we wsi. Może jest nieco zbytecznie drobiazgowy, ale dowiadujemy się przez to nie tylko o Kółku rolniczem, Kasie pożyczkowej, sklepie udziałowym i Domu ludowym, ale także o prywatnych stosunkach zacnego duszpasterza ze swymi parafianami. W końcu pozwala sobie sprawozdawca zauważyć jeden błąd drukarski na samej karcie tytułowej: powinno być „Załuskowie" nie „Załuscy". *F. B.*

Walter Scott i lord Byron w odniesieniu do polskiej poezyi romantycznej. *S. Windakiewicz.* Kraków 1914 str. 254, 3 Kor.

Znamy piękne i głębokie ustępy prof. Windakiewicza o Skardze drukowane w Przeglądzie Powszechnym w r. 1912, które obok innych prac n. p. o Reju, o Poezyi Romantycznej mogą nas upewnić, że autor ich filologiem dla filologii wcale nie jest. Najnowsza jego książka pokazuje nam tylko pierwszy stopień tej nadzwyczaj sumiennej pracy jakiej się prof. Windakiewicz podejmuje, gdy chce wniknąć w tajniki twórczości poety. Mamy tu krótko ujęte wyniki kilkuletnich badań, które wykazują jakie motywy poezyi Scotta i Byrona przyjęły się u nas i jaki był ich wpływ na rozwój romantyzmu. Scott wprost zaciężył nad powieścią historyczną, rozwijającą się w kraju; prof. Windakiewicz ograniczył się tylko do poezyi. Wykazuje, jak pobudzająco oddziałał pan z Abbotsfordu na twórczość Mickiewicza, podobnie jak Byron na Słowackiego. Ustępy o „Panu Tadeuszu" (str. 28 — 46) i o „Beniowskim" (str. 216 — 235) należą do najciekawszych; pozatem autor zajmuje się poetami niższego lotu tak na emigracyi, jak i w kraju.

Omawiana książka daje podstawę silną do dalszej pracy nad ujęciem czynników, stwarzających wielki nasz ruch romantyczny, nie skrystalizowany dotychczas w umiejętnej syntezie. *F. B.*

La Religion Assyro-Babylonienne Conferences donnees a l' Institut de Paris. *Paul Dhorme.* Paris 1910 str X, 319.

O. Kugler pojął zupełnie inaczej religię assyro-babilońską niż O. Dhorme. Praca O. Kuglera zapełni dotkliwą lukę w literaturze naszej katolickej, bo dopiero ona da nam pogląd na rozwój pojęć religijnych w Babilonie. Dzieło jednak O. Dhorme'a ma skromniejszy plan, mianowicie: chce dać nam pogląd na religię ludów assyro-babilońskich — nie chodzi mu o genetyczny rozwój tych pojęć, ale o zapoznanie nas z najważniejszemi formami życia religijnego w Babilonii. W kilku zwięzłych odczytach pod t.: Źródła pojęcia bóstwa — bogowie — bogowie i państwo — bogowie i królowie — bogowie i ludzie — prawo moralne — modlitwa i ofiara — kapłaństwo dał zgrabnie cały obfity ten materyał. Zaznacza z góry, że pominął zupełnie mitologię, magię i wróżbiarstwo, które — zdaniem jego — drugorzędną dopiero grają rolę w formowaniu się poglądów religijnych. Chodzi O. Dhorme głównie o moment psychologiczny, mianowicie: jaki stosunek zachodzi między bogiem a czło-

wiekiem i jakie są uczucia i dążenia religijne człowieka.

Książka O. Dhorme nie ma pretensyi być oryginalną, ale jednak zachowuje ona swoją wartość nawet wobec olbrzymiej pracy Jastrowa o religii babilońskiej. Odczyty te są oryginalne, urozmaicone mnóstwem wyjątków z literatury babilońskiej. Liczne i doskonałe skorowidze bardzo ułatwiają oryentacyę w tej książce. Dla każdego, pragnącego poznać Wschód, będzie ta książka stanowić nawet miłą i interesującą lekturę — oraz będzie drogowskazem, jak zrozumieć, że religia ta babilońska, tak obciążona zabobonnemi praktykami, jednak umiała jeszcze utrzymać w duszy babilońskiej dużo prawdziwej pobożności ku Bogu — ujawnia się to najbardziej w modlitwie i ofiarach. Ale też równocześnie czytelnik może poznać, jaka głęboka przepaść oddziela Babilończyków od tak blizko z nimi spokrewnionych Izraelitów na punkcie religijnym.

Ks. S. Michalski C. M.

Zu Füssen des Meisters. Kurze Betrachtung für vielbeschäftigte Priester. Freiburg in Breisgau Herdersche Verlagshandlung.

Autorowi będą wdzięczni kapłani, bardzo zajęci i nierozporządzający czasem. Chcąc utrzymać w sobie ducha apostolskiego muszę i oni oddawać się rozmyślaniu prawd bożych — lecz zajęcia nie pozwalają im poświęcić na to rozmyśanie tyle czasu ileby chcieli — tylko wprost szukać muszą, by wynaleźć jakąś chwilę przynajmniej na skupienie przed Bogiem. Rozumie to autor i takim to kapłanom na ich chwilę poddaje do rozważania myśli które mimo swej jędrności i krótkości odpowiedziały ich potrzebom duszy — i zachowały ją na wysokim poziomie apostolskiego posłannictwa. Nie są to systematyczne rozmyślania dłuższe lub krótsze na temat z życia Boskiego Mistrza. Wybrał z tego życia Jezusowego autor takie sceny i takie prawdy, które właśnie odpowiadają najbardziej potrzebom kapłana, które prócz spekulatywnej prawdy zawierają bezpośrednie wskazówki, wzór, przykład dla postępowania jego w trudnych i rozlicznych i skomplikowanych obowiązkach zawodowych. Jezus w każdej życia okoliczności okazuje się Mistrzem, u którego stóp wiele się nauczą umocnią ducha i podniosą, zagrzeją serce do pracy dla jego chwały.

Die Mission auf der Kanzel und im Verein. *Anton Huonder S. J.* Zwei Bändchen. Zweite und dritte Auflage Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung.

W ostatnich czasach wzmógł się ruch misyjny w Niemczech, objawem jego było także zajęcie się misyami zagranicznemi i odpowiednie rezolucye na ostatnich wiecach katolików niemeckich. Ruch ten stworzył też potrzebę odpowiedniej literatury popularnej. Księża zajmujący się pracą pasterską w kościele w związkach, mający nieraz przemawiać o misyach i agitować na rzecz ruchu misyjnego, oglądali się za podręcznikiem, któryby im pozwolił łatwo przygotować się do takich występów. Taki podręcznik daje im ks. Huonder w niniejszem dziełku. Zebrał on w niem cały szereg rozmaitych przemówień, tak swoich jak i dostarczonych mu przez innych księży swych współbraci i wydał pod wspólnym tytułem. Omawiają one misye katolickie z różnego punktu widzenia, a swym rozkładem jasnym ułatwia oryentacyę w danym temacie... Jak bardzo pożądaną była tego rodzaju publikacya, okazuje się z tego, że w roku rozkupiono pierwszy nakład — a obecnie pokazuje się wydanie drugie i trzecie razem. *L. R.*

Im Dienste der Himmelskönigin Vorträge und Skizzen für Marianische Kongregationen. Gesammelt *von Peter Sinthern.* Freiburg in Breisgau. Herdersche Verlagshandlung

Jak O. Huonder przysłużył się ruchowi misyjnemu wydając Die Mission auf der Kanzel, tak O. Sinthern oddaje wielką przysługę ruchowi Kongregacyi maryańskch, publikując niniejszą książeczkę. Jest ona właściwie przedrukiem rozmaitych wykładów z przedmowami o Kongregacyi Maryańskiej, które pokazały się w organie prezesów kongregacyi „*Praesides-Korrespondenz*". Zebrane razem w jednym tomie są pożądaną pomocą dla moderatorów, którzy w niej znajdą cenne wskazówki i wyjaśnienia ducha, celów, metody działania i wogóle życia tych stowarzyszeń. Wkrótce obiecuje autor nową seryę podobnych wykładów jeszcze niewydanych nigdzie. *L. R.*

Gdzie prawda? II. Listy przyjacielskie o najżywotniejszych sprawach religii, historyi i kultury. Napisał *Prawdomir*. Poznań 1914.

Dziełko to, o którego I-szym tomie pisaliśmy przed dwoma laty, zawiera szereg nauk apologetycznych, ujętych w formę listów, w których autor w sposób prosty, ale jędrny i przekonywujący odpiera zarzuty, stawiane często katolikom z powodu ich wierzeń, praktyk lub pewnych wydarzeń z historyi Kościoła. Z treści i sposobu traktowania przedmiotu widać, że autor miał na oku przedewszystkiem potrzeby ludności katolickiej, będącej w ciągłej styczności z protestantami, stąd dziełko to znakomicie się nadaje do biliotek ludowych zwłaszcza w Poznańskiem i na Śląsku. Na końcu dziełka podany dość obszerny spis literatury apologetycznej w językach: polskim, ruskim, rosyjskim i niemieckim z podaniem wszędzie ceny i miejsca wydania. Styl wogóle poprawny, zewnętrzna forma niezwykle przejrzysta.

N. N.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pogrom radykalnego bloku przy wyborach we Włoszech.

Polityka antykościelna była dotychczas u rządu włoskiego tradycyjną. Nie można się dziwić temu, bo na złodzieju czapka gore. Zagrabiwszy państwo kościelne, nie mógł nigdy być spokojny o posiadnie swych łupów i aby je zatrzymać przy sobie, starał się usilnie jak najwięcej szkodzić Watykanowi. Toteż stałą jego metodą było podtrzymywanie partyi, które się wrogo odnoszą do Kościoła i religii. Żywioły masońskie i partye radykalne były benjaminkiem rządu włoskiego. Opiekował się nimi, popierał je, przymróżał oczy na ich wybryki, dozwalał im róść w siłę. I one rosły na łasce rządu i tak wyrosły, że aż go przerosły i stały się dla niego niebezpieczne. Utrzymywano je, pozwalano na hece przeciw papieżowi, a oto one zwracają się w dalszym ciągu przeciw królestwu. Agitacya socyalistyczna i radykalna, zaprawiona sosem masońskim, podminowała cały ustrój Włoch. Wiedziano o tem już dość dawno, ale nie umiano się do niej zabrać. Było zresztą niepodobieństwem zabierać się do walczenia z wywrotem, nie przyjąwszy do pomocy katolików.

Ale oto zaszły w ostatnim czasie dwa fakty, które rządowi i partyom umiarkowanym, na których się on opiera, wprost narzucały przymus szukać poparcia u katolików. Pierwszy — to

udział i znaczenie katolików w wyborach do parlamentu, drugi — to strejk generalny, który był prawdziwą rewolucyą przeciw obecnej konstytucyi.

Rozszerzone prawo wyborcze, dopuszczając do urny większą ilość osób, dało przedewszystkiem katolikom możność większego wpływu na wybory. Skorzystali oni z tego i pod dyrektywą hr. Gentili'ego weszli w bliższy kontakt z bardziej umiarkowanymi żywiołami i przeprowadzili większość kandydatów umiarkowanych, na których w następstwie rząd mógł się oprzeć. Konstatowano to w Izbie, wyznawano głośno — że rząd tylko katolikom zawdzięcza swoje zachowanie. Gdyby nie ich pomoc, rząd musiałby upaść, a partye skrajnej lewicy i anarchia wzięłaby była górę. Wskutek tego rząd i partye narodowe, przestały traktować katolików jako antykonstytucyjnych i poczęły coraz przychylniej się do nich odnosić i szukać u nich pomocy.

Drugim faktem to przebieg ostatniego strejku. Urządzili socyaliści strejk, który odrazu przeobraził się w najformalniejszą rewolucyę. Sami już socyalistyczni przewódcy nie mieli siły jej zapobiedz. Jak straszny, niszczący huragan przeciągła ona nad krajem, grożąc zupełną ruiną. Ustała komunikacya kolejowa, poprzerywane druty telegraficzne i telefoniczne oddzieliły od siebie miasta i prowincye, uniemożliwiły konieczną wymianę myśli i nie powzwoliły na szybką oryentacyę. W tym stanie dokonywały się rzeczy nie do uwierzenia. Zdzierano znaki rządowe z gmachów publicznych, rabowano kościoły, zarówno jak i składy rządowe, a zrabowane palono. Na ulicach stawały barykady, wrzała walka, lała się krew — rewolucyoniści walczyli z wojskiem zabierali do niewoli oficerów. W Romanii w ciągu jednej doby obalono rząd, a zaprowadzono sławny ład republikański. Wprawdzie nowe miniaturowe republiki miały czas trwania miniaturowy, i że rząd zdołał dość wcześnie opanować rewolucyę, jednakowoż pokazała ona, jak niezdrowa jest atmosfera w całych Włoszech, jak przesycona elektrycznością anarchii, jak cała konstytucya królestwa spoczywa na czynnym wulkanie. Oto i drugi powód, który zmuszał żywioły umiarkowane i katolickie połączyć się razem przeciw obopólnemu wrogo-

wi, przeciw dotychczasowej potędze radykalnego bloku, kierowanej przez masoneryę.

Więc kiedy przyszły wybory do rad prowincyonalnych i gminnych, zmierzyły się ze sobą dwie potęgi; blok, w którym rej wodziła masonerya i katolicy z żywiołami umiarkowanymi. Walka była zacięta — blok wytężył wszystkie siły, aby utrzymać się przy władzy, przy dotychczasowym stanie posiadania. Wielkie dzienniki, stojące na usługach masoneryi, widmem kwestyi rzymskiej straszyły ludność, przepowiadając rozbicie jedności włoskiej i upadek Włoch — na wypadek, gdyby miała z wyborów wyjść rzymska lista katolicka. Ale wysiłki, alarmy, przepowiednie, biadania nie robiły wrażenia. Zbyt świeżo tkwiła w pamięci wymowa faktów. Sojusz między narodowcami a katolikami utrzymał się i wynik tego był dla bloku fatalny! O wyborach pisała, niemal oficyalny organ masoneryi, *Idea democratica*" — jako o „godzinie klęski".

Wielkie filary, arcykapłani masońscy, poupadali. Upadł w Rzymie osławiony burmistrz Rzymu żyd Natan — upadli jego doradzcy, asesorowie. Na 80 członków Rady miejskiej pozostało blokowi tylko miejsc 16. Resztę zdobyli katolicy z nacyonalistami. A jak poszło w Rzymie, tak też w całym szeregu miast i prowincyi. W niektórych tylko miastach pozostał jeszcze u steru blok radykalny jak n. p. w Rawennie, Medyolanie, wskazując, jakie tam rozmiary przybrał ferment wywrotowy. Niebezpieczeństwo wywrotu całkiem jeszcze nie jest zażegnane, ale połączenie się katolików i nacyonalistów wydało znakomite owoce. Obecne stanowisko katolików dowiodło raz jeszcze, jaka w nich leży siła i że bez nich, bez ich współdziałania Włochy się nie ostoją. Każą też przypuszczać, że idea współdziałania umocni się i przygotuje drogę do dalszych zwycięstw nad wrogiem religii i wszelkiego porządku społecznego.

Mord w Serajewie. Morderstwo, dokonane na osobie austryackiego następcy tronu, wstrząsnęło całym cywilizowanym światem i wywołało wszędzie uczucia grozy i oburzenia dla sprawców,

zaś żywego współczucia dla ofiary. Niedojrzałe młokosy, podżegane szaloną propagandą i kierowane ukrytą ręką z zewnątrz, podjęły się spełnienia z całą premedytacyą, z całym cynizmem na wszystko zdecydowanych bandytów. Padł Franciszek Ferdynand — padła jego ukochana żona która go nie chciała ani na krok odstąpić. Niewinne dzieci nagle pozostały sierotami bez ojca i matki. Sędziwy cesarz musi patrzeć na nową ofiarę zbrodniczej ręki — a ród Habsburgów i tak już pełen tragicznych wypadków rodzinnych, zapisuje w swych kronikach nową: okropny koniec pełnego nadziei następcy tronu i jego małżonki. Z tragedyą rodzinną, wstrząsającą do głębi grozą swego tragizmu, łączy się także wstrząśnienie i wielkie naprężenie stosunków politycznych. Na tle wypadków w Serajewie widzi się dopiero, do jakiego stopnia doszło zmaganie się dwóch idei w południowej Słowiańszczyźnie, idei t. z. wielkoserbskiej złączenia się wszystkich Serbów, Chorwatów i Słoweńców pod samodzielnem królestwem serbskiem i idei zjednoczenia południowych Słowian w Austryi pod panowaniem Habsburgów. Przedstawicielem tej ostatniej był zamordowany arcyksiążę, który wedle szeroko rozpostartego przekonania żywił plany utworzenia z południowych Słowian królestwa, będącego w związku federacyjnym z Austryą. Jeszcze wprzód, nim doszedł do władzy, obudziło to lęk u zwolenników idei wielkoserbskiej i sprowadziło katastrofę. Fanatycy wielkiej Serbii nie chcieli nawet dopuścić do próby urzeczywistnienia planów arcyksięcia. Nie chcemy już mówić o innych, dalszych falach, jakie ten zgon wywołał w stosunkach międzynarodowych, jak pangermanizm czy też panslawizm chce go wykorzystać do swych celów. Co przecież nie zdaje się ulegać wątpliwości, to także jego wyznaniowy, religijny charakter. Wiadomo było powszechnie, że Franciszek Ferdynand, zarówno jak jego żona, byli szczerymi i głęboko religijnymi katolikami. I z tem się wcale nie taili. W życiu prywatnem, w kółku rodzinnem spełnienie praktyk religijnych było pierwszym i najważniejszym jego obowiązkiem. Widywano go często u Stołu Pańskiego, a do zwyczajów rodzinnych należało, by w każdy pierwszy piątek miesiąca cała rodzina wspólnie przystępowała do Ko-

munii św. ku czci Bożego Serca. Nie uważał sobie za ujmę brać udział w pielgrzymkach. Często w wolnych chwilach, oraz w chwilach, gdy jakaś troska go trapiła, zapraszał także swą rodzinę, by z nim udawała się do kaplicy Serca Jezusowego, którą wybudował w cichem ustroniu swych konopisztowskich posiadłości. Ten głęboki nastrój religijny całego domu arcyksięcia — jego głębokie przekonanie katolickie, któremu z całą męską konsekwencyą dawał wyraz w swem życiu prywatnem i w swych występach publicznych, jego sympatye i blizkie stosunki z partyą chrześcijańsko-społeczną były kamieniem obrazy dla umysłów liberalnych i drażniły międzynarodową organizacyę, której zadaniem stopniowo przeprowadzać odchrześcijanienie Europy. Dotychczas Austrya pozostała jedynem mocarstwem katolickiem, które jako tako wymykało się z pod wpływów internacyonalnej masoneryi. Zachodziła obawa, że pod rządami zdecydowanego a energicznego katolika katolicyzm wzmocni się, nabierze świadomości swych sił — i nawet rozpocznie walkę zaczepną z destrukcyjnymi prądami, nurtującymi w państwie. Były pisma, które w mordzie serajewskim wprost dopatrywały się ręki masońskiej. Zapewne, że nie wypadł on niezgodnie z linią ich życzeń, ale dotychczas brak nam pozytywnych dowodów, aby na ich barki złożyć ohydę tego czynu. Że masonerya do spełnienia takich podłości jest zdolna, tego nie zaprzeczy nikt, kto tylko zna historyę działalności sekty,—ale dopiero jaśniejsze dokumenty w późniejszym czasie mogą ustalić udział masoneryi w zbrodni serajewskiej. Na razie pozytywnych danych jeszcze brak.

Co innego, że w samym konflikcie panserbizmu z pankroatyzmem wielką rolę gra element religijny. Między Serbami i Kroatami różnica językowa minimalna, ale za to oddziela ich od siebie różnica religijna i ta przepaść, jaką ona wytwarza—różnica kultury. Serb jest prawosławnym, wychowankiem bizantynizmu, z całą jego czczością wnętrzną a kultem zewnętrznej formy, z tą fanatyczną religijnością, która umie się łączyć z największą dzikością obyczajów. Chorwat zaś jest katolikiem i choć jako taki, pod tureckiem panowaniem ograniczony do *rai*, ludu prostego, pozostawał w najgorszych materyalnie warunkach kulturalnych

jednak przez swój katolicyzm stoi w duchowem wyrobieniu bez porównania wyżej od Serba i ulega wpływom katolickiej kultury zachodniej. To jest ta głęboka różnica, która więcej niż cokolwiek innego oddziela ich od siebie i, jak dotychczas, stawia niezwyciężoną zaporę do zjednoczenia w jeden organizm narodowy. Katoliccy Chorwaci zawsze będą lgnąć do katolickiej Austryi, która opiekowała się katolikami na Bałkanie — mimo że ta łączność i wierność Austryi nie była im zapłacona należycie. Im większa jest siła atrakcyjna austryacka, tem trudniej Serbii będzie urzeczywistnić swe ideały wielkoserbskie. Rozumieją to dobrze żywioły serbskie i dlatego ostrze ich miecza skierowało się przeciw temu, który swoimi względami dla Słowian południowych a szczególniej swą szczerą i głęboką religijnością zdobył sobie ich sympatyę i gorące przywiązanie. Franciszek Ferdynand padł dlatego, że jako szczery katolik i miał już za sobą katolickich Słowian południowych i całą swą zdecydowaną postawą obiecywał w przyszłości, gdy obejmie rządy — silniej niż dotychczas poprzeć katolicyzm w południowych krajach i w ten sposób postawić lepszą tamę propagandzie panserbskiej.

Tylko wyrachowanie bizantyńskie zawiodło. Widmo zamordowanego bandycką ręką uwielbianego arcyksięcia odłączyła południowe plemiona słowiańskie jeszcze bardziej. Żałobne honory oddawane wszędzie zwłokom zamordowanych w ich drodze pogrzebnej — niekłamana żałoba po nim, wreszcie ten żywiołowy wybuch nienawiści do prawosławnych Serbów, zamieszkałych na terytoryum austryackiem, są dowodem, że sprawa zjednoczenia narodowego odroczona na czas nieograniczony.

Maurycy Barrès w obronie spraw katolickich.

Na czoło obrońców katolicyzmu we Francyi wysunął się w ostatnich latach słynny akademik i deputowany z Paryża Maurycy Barrès. Nazwisko jego dawno znane w świecie naukowym i literackim, obecnie występuje także w świecie politycznym. Okazuje się, że ten człowiek pióra jest także mężem czynu, który umie chcieć i przeprowadzać energicznie to, co uzna za dobre i wskazane. Uznał za takie obronę

katolicyzmu w swej ojczyźnie, więc przeciw rządowi, przeciw parlamentowi, przeciw całemu przemożnemu prądowi antyreligijnemu podjął walkę o jego zachowanie i prowadzi ją z nieustraszoną odwagą i niezmniejszającą się energią, a dodajmy, z tą wielką umiejętnością, na jaką się mógł zdobyć tylko człowiek tej co on miary.

Zapewne, że Kościół francuski posiada w tych złych dla siebie czasach wielu i dzielnych obrońców. Bronią go piórem ludzie wielcy talentem pisarskim i głęboką nauką, bronią go słowem z ambony potężni mowcy — z katedr uniwersyteckich ludzie o zasłużonej sławie naukowej — bronią w życiu działacze społeczni, formujący w rozlicznych organizacyach świadome swej powinności zszeregowania katolickie — bronią liczne szkoły prywatne, całe zastępy dusz niewinnych i świętych zanoszą za niego modły. Taka obrona i bezwarunkowo potrzebna i przynosi owoce, zwłaszcza wzmaga wewnętrzne siły katolicyzmu. Jednakowoż brak było katolicyzmowi skutecznej obrony w parlamencie tam, gdzie się decyduje o jego losach, a raczej o jego zagładzie. Byli i w parlamencie katolicy i to w dość poważnej liczbie, ale akcya ich na tym terenie z góry skazana na niepłodność przed tak zdeprawowanem, tak fanatycznem audytorium, jakiego widok przedstawia parlament francuski.

Wszelkie występy w obronie Kościoła, religii, wiary, choćby najsłuszniejsze, najrozumniejsze, choćby druzgocące przeciwnika, nie osiągają celu. Większość jest tak zajadła, że wszelkie odezwanie się w imię praw Kościoła i religii wywołuje tylko wybuchy nienawiści i spełnia rolę czerwonej chusty torreadorów we walkach byków. Chcąc z takimi ludźmi coś mówić, trzeba ich najpierw oswoić. Trzeba jakiegoś genialnego pogromcy zwierząt, któryby umiał się do nich zbliżyć, znał ich psychologię i spłoszone stado oswoił ze sobą, ze swoją myślą i zapanował nad niemi. I taki znalazł się w Barrès'ie. Barrès zna swoich — i umie się do nich zabrać. On wie, że spór zasadniczy z takim składem parlamentu jak były ostatnie, jest daremny i tą drogą daleko nie zajdzie. Nie trzeba się spierać o prawa Kościoła i religii, bo te Izba francuska zdecydowana jest tylko niszczyć i deptać. Trzeba tylko ratować po-

woli to, co się da, co najkonieczniejsze, co nie cierpi zwłoki, a ratować na razie nie w imię praw Kościoła, ale dla jakichś innych względów, dla takich względów, któreby nie raziły, nie rozjuszały przeciwników. Trzeba do nich przemawiać w imię haseł, które mogłyby znaleźć oddźwięk i w ich sercach, poruszyć choćby dumę rasową, interes narodowy i interes nawet własny. Tą drogą postanowił Barrès iść i jak dotąd, idzie nie bez rezultatu.

Słynną stała się jego kampania w obronie zagrożonych kościołów i kaplic zwłaszcza po wsiach. Donosił już o niej *Przegląd*, umieszczając omówienie jego nadzwyczaj zajmującej książki: *La grande pitié des églises de France*, w której opowiada koleje swojej kampanii — metody postępowania, swoje przeprawy z rozmaitemi osobistościami, przygody w parlamencie, wreszcie rezultat swych występów, swoje porażki i swoje względne sukcesy. Przedziwna zaprawdę książka! Ile w niej życia, ile serca, umiłowania bronionej sprawy, ile sprytu, umiejącego wyzyskiwać sytuacye, by tylko ją naprzód ruszyć. Zdaje się, że to opowiadania proste, od niechcenia, w kółku przyjaciół, a jednak otwierają one całe bogactwo genialnego umysłu, walczącego więcej niż z głupotą, bo z prostackim uporem zarozumiałych sekciarzy, którzy się uważają za kompetentnych sędziów do wydawania nieodwołalnych wyroków w sprawach, których nie rozumieją i które nienawidzą. Wszystko do tej walki użyte z przedziwną znajomością ludzkiego serca. Jakiś wysoki idealizm i podniosłość uczucia łączy się w niej z praktycznością obrotnego, przewidującego finansisty i polityka, powaga moralna z przyjacielską wyrozumiałością, dosadne karcenie z uznaniem i głębokiemi słowami pochwały, wzniosłość patrzącego w przyszłość wieszcza z doskonałym humorem gawędziarza, bezlitosne drwiny z ciasnoty umysłowej fanatyków, z jakiemś dziecięcem niemal zaufaniem w ich zdrowy rozsądek. Wszystkie strony duszy w niej drgają — nawet najsprzeczniejsze — ale poruszane ręką genialnego artysty drgają tak zgodnie, że muszą kojąco działać nawet na zdziczałe, rozszalałe nienawiścią religijną dusze deputowanych francuskich. I rzeczywiście sam Barres ma niejednokrotnie sposobność konstatować pożądaną zmianę opinii na ko-

rzyść zagrożonych kościołów. „Na pierwszej rozprawie o kościołach 16 stycznia 1911 r. w najlepsze bawili się żarcikami z Boga chrześcijańskiego, któremu postawili wniosek, żeby użył swej wszechmocności i sobie sam reparował walące się kościoły — ale teraz (na drugiej rozprawie 25 listop. 1912 r.) śmiali się na całe gardło wszyscy, ale już z p. Beauquier[1]).

„Moja mowa przyniosła przecież jakąś korzyść. Jeśli kościoły walą się dalej, to jeden z najcięższych spadających z nich głazów upadł na nos nieszczęśliwego p. Beauquier. Nierozumne i płaskie odezwania się wychodzą już z mody w Izbie. Poczynają się już niecierpliwić na ignorancyę tego zespołu wierzeń, uczuć, przykazań, rytów, który stanowi religię, a który wiąże wierzącego z tajemniczą Wszechmocą, od jakiej się czuje zależny. Najzacieklejsi rumienią się, kiedy kogoś z ich towarzyszy przyłapie się na gorącym uczynku fanatyzmu sekciarskiego. Rumienią się za niego, wypierają się go — mało mówię — ubijają go tak, jak włamywacze robią z tym, kto zraniony z ich towarzystwa pozostaje, nie mogąc z nimi uciekać".

Kampania o zachowanie kościołów jeszcze nie jest skończona, jeszcze nie jest wszystko po myśli p. Barrèsa, jeszcze nie wszystkie kościoły mają zabezpieczone utrzymanie, ale opinia Francyi już prawie zdobyta — i ona jest za zachowaniem kościołów wszystkich i rząd i władze miejskie liczyć się z nią muszą.

Obok obrony kościołów, Barrès podjął się obrony zakonów.

---

[1]) Fanatyczny ten sekciarz wynalazł dowcip przytoczony przez Barrès'a. Ale kiedy i na drugiej rozprawie, dając upust swej prostackiej nienawiści, ciągle przerywał Barrés'owi w jego mowie, wywołał niesmak w Izbie, któremu dał wyraz socyalista paryski Sembat, w swem prostem oświadczeniu, że zgadza się z wywodami Barrés'a i nawet gotów stanąć z nim przed kościołem pod warunkiem, by go nie zmuszano wejść do środka. „Ja nie jestem — powiada — taki, jak Beauquier, który zwraca się do P. Boga z pretensyami o cuda". Na to Beauquier: „Przecież powinien Bóg jaki cud zrobić dla walących się kościołów — byłoby to bardziej interesujące, aniżeli uzdrawianie piszczeli". Wtedy dowcipny Sembat zaczął wśród wybuchów śmiechu żartować sobie z p. Beauquier: „Oh Beauquier! Beauquier! — mówił z politowaniem — gdybyś pan był jakimś monumentem, to p. Maurycy Barrès wystąpiłby zaraz z wnioskiem, żeby pana także konserwować [dla pewnej patyny archaicznej którą na panu widać".

I znów, jak w sprawie kościołów, zdając sobie sprawę z bezcelowości zasadniczej obrony zakonów — obiera punkt widzenia utylitarny... uderza w stronę interesów narodowych, interesów i wpływów Francyi na dalekim Wschodzie. Dawna Francya przez liczne kolonie własnych misyonarzy, przez hojne ofiary na zakładanie i utrzymanie misyi, przez polityczną opiekę nad misyonarzami w rozmaitych krajach, stanęła na czele narodów dbałych o misye — ale też za to miała poważanie i wpływ kulturalny i polityczny na owe ziemie. Obecnie, po zniesieniu zakonów we Francyi, misye francuskie gwałtownie upadają, ale za upadkiem misyi postępuje też gwałtowny upadek wpływów francuskich na całej linii. Sprawę tę poruszono już w parlamencie w zeszłym roku i to nie bez wrażenia. Zabierali w niej głos w Izbie: Jerzy G. Leygues, Dyonizy Cochin, Franciszek Deloncle — przy budżecie spraw zagranicznych Ludwik Marin. Wielkie dzienniki *Echo de Paris*, *Temps*, *Croix*, urządziły o niej ankietę — wreszcie ciało konsularne podniosło alarmujący głos w tej sprawie. Barrès nie chciał pozwolić aby sprawa upadła — postanowił prowadzić ją dalej. Aby się lepiej przygotować do występów parlamentarnych, zaraz po wyborach wyjechał na Wschód, chcąc na miejscu zbadać stosunki i naocznie się przypatrzeć upadkowi wpływów francuskich. Z początkiem lipca był już z powrotem, a 10-tego miesiąca niezmordowany bojownik rozpoczął swoją kampanię wykładem, który miał wobec licznego zebrania komitetu oryentalnego. Komitet ten składa się z osób o rozmaitych przekonaniach a należących do rozmaitych partyj politycznych. Jego celem jest popieranie na Wschodzie interesów francuskich w najszerszem słowa tego znaczeniu. Na posiedzeniu 10 lipca prezydował dawny prezydent ministrów L. Barthou, a obecnych było kilku biskupów, szereg wybitnych polityków francuskich i deputowanych do parlamentu i t. d. Zagaił posiedzenie prezydent Barthou, który krótko naszkicował zadanie, jakiego się podjął Barrès dla obrony interesów francuskich i zachęcając zebranych do poparcia jego usiłowań bez względu na różnice polityczne, udzielił głosu p. Barrès'owi. Przemówienie Barrèsa jest jakby zarysem akcyi w obronie zakonów misyjnych, którą rozpoczyna. Opowiada on swe wrażenia

z podróży po Wschodzie, po Syryi i Palestynie, nad Eufratem. Wszędzie witały go życzliwe twarze starszych i dzieci, nad domkami widział fruwające trójbarwne chorągwie francuskie, a uszy dookoła, wśród mieszaniny narodowości, łowiły słowa francuskiej mowy, drgały w takt francuskiej marsylianki. Wszędzie słyszało się, aż do znudzenia powtarzane słowa: „każdy ma dwie ojczyzny, swoją jedną a potem Francyę". Ta ogólna sympatya, która na Wschodzie otacza Francuza, która we Francyi każe upatrywać drugą ojczyznę, to dzieło — Barrès wyznaje śmiało — ofiar i poświęceń bohaterskich tych cichych pracowników, a niezmordowanych bojowników, którzy się zwą: Kapucynami, Dominikanami, Franciszkanami, Karmelitami Assumpcyonistami, Marystami, Łazarzystami i t. d., Oni to szafując hojnie dobrodziejstwami rozumu i serca ludy tamtejsze podbijali dla Francyi. — Ale oto i tragizm ich dzieła.

Wśród wyrazów podziwu i uznania, jakie Barrès składa owym najlepszym żołnierzom Francyi, słyszy ich głos: Podziwiasz Pan dzieło, a oto ono już skazane na zagładę — mówią mu zakonnicy i zakonnice francuskie. Prawo z roku 1901, rozwiązujące stowarzyszenie religijne we Francyi, uniemożliwiło werbowanie nowych sił misyjnych. Wymierają starzy zakonnicy, a z Francyi nie przybywają nowi. Ich miejsce zajmują przybysze innych narodowości: z Belgii, Holandyi, Hiszpanii, Austryi a przedewszystkiem Niemcy. „Oto sytuacya — woła Barrès — na która musimy tak długo, tak bez znużenia a głośno wskazywać, iżby głos nasz rozniosły wszystkie echa opinii publicznej. Personal francuski zakonów nauczających i dobroczynnych na Wschodzie gwałtownie się zmniejsza, a prawo z 1901 stawia te zakony w niemożebności rekrutowania swych członków na naszej ziemi. Czy mają te zakłady nauki i dobroczynności upaść? Nie! — one trwać będą. Ale założone za pieniądze i staraniem obywateli francuskich, na chwałę i korzyść naszego narodu — przestaną być francuskimi. Tam, gdzie biło serce francuskie, tam gdzie powiewała trójbarwna chorągiew, usadowią się inni, nasi rywale — i będą pracować dla swoich widoków, przeciw nam, używając narzędzi któreśmy im ukuli"... Na tę sytuacyę lekarstwa innego Barrès nie widzi, jak zezwolenie

na nowicyaty we Francyi. „Droga jest jasna, jeśli chcemy dojść do celu, trzeba uzyskać wolność otwierania nowicyatów zakonnych we Francyi, aby umożliwić rekrutowanie tej armii francuskich wychowawców".

Oto i cały plan kampanii Barrèsa. Odwołaniem się do zagrożonych interesów narodu, okrzykiem alarmu na widok ginącego *prestige'u* Francyi na Wschodzie, będzie poruszał opinię francuską na korzyść wypędzonych zakonów, które wprost nieocenione usługi oddały Francyi. Ich brak przez żadne instytucye świeckie zastąpić się nie da. —

Ta droga oportunizmu w danych warunkach jedynie może jeszcze prowadzić do celu. Na te propozycye mogą się zgodzić nawet zawzięci antyklerykalni fanatycy w parlamencie. Na razie chodzi nie o zasady, ale o fakt; o stworzenie nowicyatów we Francyi.

W rzeczywistości Barrès doświadczył już, że pod tem hasłem agitacya ma widoki powodzenia. W Konstantynopolu pozyskał już dla swojej idei całe towarzystwo francuskie, które z okazyi jego odjazdu do Europy urządziło dla niego bankiet. Korzystając ze sposobności, zaraz przy bankiecie wygłasza mowę w tym duchu, proponując, żeby wszyscy podpisali prośbę do parlamentu i rządu o pozwolenie otwarcia nowicyatów zakonnych tych zgromadzeń, które się zajmują kształceniem i dziełami dobroczynności. I całe towarzystwo zebrane na bankiecie, nawet przedstawiciele rządu francuskiego i ulegający jego poglądom, przekonani słowami Barrès'a — podpisują jednomyślnie petycyę.

Początek zrobiony w Konstantynopolu i życzliwe przyjęcie w Komitecie Oryentalnym, każą przypuszczać, że Francya nie zamknie uszu na krzyk alarmujący podniesiony przez odważnego akademika — i pozwoli otworzyć domy dla werbowania nowych zastępów misyonarzy, tych najdzielniejszych żołnierzy Francyi — ale żołnierzy bądź co bądź Chrystusowych, którzy na pierwszem miejscu będą dbać o Chrystusa i na placówkach misyjnych i we Francyi samej, będą mogli naprawiać złe, co nagromadziła niewiara i bezbożność lekkomyślnego narodu.

X. L. Rudnicki.

III. Polski Zjazd balneologiczny połączony ze Zjazdem turystycznym.

Polskie Tow. balneologiczne w Krakowie święciło w dniach 4, 5 i 6 maja b. r. dziesięciolecie swojego istnienia nie szumnym obchodem lecz realnym faktem zwołania Zjazdu.

Zjazd ten połączony ze Zjazdem turystycznym, rozpoczął się dnia 4 maja w Krakowie. Po nabożeństwie w kościele św. Mikołaja zebrali się uczestnicy w sali domu lekarskiego przy ul. Radziwiłłowskiej. Nadto przybyli delegaci: Wydziału krajowego Dr. Bernadzikowski, Akademii Umiejętności Prof. Marchlewski, Wydziału lekarskiego Uniw. Jagiell. Prof. Ciechanowski, Związku kraj. lekarzy Dr. Damski, Tow. lek. krak. Dr. Wojciechowski, kraj. Związku zdrojowego Dr. Łobaczewski, Izby lekarskiej zach.-galic. Dr. Schöngut, Tow. technicznego krak. prezes Józef Horoszkiewicz, Tow. krajoznawczego z Warszawy Dr. Wisznicki.

Wśród uczestników znajdują się między innymi: Dr. Kmietowicz, burmistrz Krynicy, Dr. Biesiadzki i Dr. Meyer z Krynicy, Dr. Wojtkowski, Dr. Praschil i Dr. Łobaczewski ze Lwowa; Dr. Kaden, właściciel Rabki; Dr. Turzański; dyr. zarządu Teodorowicz ze Szczawnicy i Dr. Mędrkiewicz z Królestwa Polskiego. W Zjeździe brali udział liczni członkowie Tow. balneologicznego z Krakowa, między innymi Prof. Dr. Jaworski, Prof. Bujwid, Prof. Piltz, Prof. Domański.

Uczestników i delegatów powitał prezes polskiego Tow. balneologicznego Dr. Cercha:

Wielce Szanowni Panowie i Koledzy!

III. polski Zjazd balneologiczny w Krakowie, to wielkie i uroczyste święto, które święci polskie Tow. balneologiczne. Danem mu jest witać w prastarym grodzie grono Sz. Panów i Kolegów ze wszystkich dzielnic Polski, która choć politycznie na 3 podzielona części, duchem i kulturą zawsze stoi jednak nierozerwana. Witam Was Sz. Panowie i za to, że nie szczędząc trudu i czasu pospieszyliście na nasze wezwanie, i za to, że pragniecie żywem słowem przyczynić się do rzucenia nowych cegiełek do budowy gmachu polskiego zdrojownictwa i za to, że możemy serdecznie uściskać dłoń waszą braterską i pogwarzyć w wolnych od zawieszonej pracy chwilach i o tem

co stanowi nasz dorobek duchowy i rękojmię lepszej przyszłości i o tem, co nas boli, i za to, że zebrani razem do wspólnej dalszej pracy wytrwałej wzajemnie zachęcać się, a ból wspólnie łagodzić i znosić mężnie będziemy.

Za to wszystko składam Wam imieniem polskiego Tow. balneologicznego z głębi serca najgorętszą podziękę. Równem uczuciem witam im. Tow. przedstawicieli najwyższych instytucyi naukowych, delegatów, przedstawicieli prasy i serdecznie wszystkim dziękuję, że raczyli obecnością swoją zaszczycić i uświetnić nasz Zjazd.

Dwadzieścia lat dobiega od czasu, gdy na wystawie krajowej we Lwowie rzucono pierwszą myśl organizacyi balneologicznej i twórcy tej myśli zdawali sobie dokładnie sprawę tak z tego, że zdrojowiska nasze, te skarby i źródła dobrobytu krajowego, mało doznają opieki, że są kopciuszkiem zapomnianym i zapoznanym, jak również, że organizacya t. j. łączenie się do wspólnej pracy ludzi, którym sprawa zdrojownictwa leży na sercu, pobudzi ogół inteligencyi do większego zainteresowania się naszemi zdrojowiskami. Dziesięć lat upłynąć jeszcze miało, aż myśl rzucona w realne oblekła się szaty, szczupła garstka lekarzy zdrojowych zakłada w Krakowie „Polskie Tow. balneologiczne". Dziś prawie kończy się okres dziesięcioletni pracy Towarzystwa. Chwilę tę święcimy III. Zjazdem, który chcemy uważać za dzień złożenia rachunku za czas ubiegły i projektu bilansu na przyszłe lata. Co się tyczy przeszłości, to powiedzieć musimy, że praca była żmudna bardzo, warunki jej trudne, nie wiele poparcia i zachęty; mimo to dzięki energii Wydziału i prezesów, dzięki ofiarności Wydziału, Towarzystwo rozwijało się, spełniało zadania określone statutem. Od czasu założenia Tow. zaczęto żywiej zajmować się sprawami zdrojownictwa, z jego też łona niewątpliwie wyszła na II. Zjeździe w 1909 roku myśl utworzenia nowej organizacyi t. j. „Związku zdrojowisk i uzdrowisk", organizacyi, któraby zakreślała szersze horyzonty i pracowała w kierunku ekonomicznego podniesienia zdrojowisk, a to przez powołanie do pracy nie tylko lekarzy, ale wszystkich, których ze zdrojowiskami łączy jakikolwiek stosunek.

Pomijam inne zasługi — o których wspomni krótko sekr. Tow. zdając krótką sprawę z 10-letniej działalności Tow. Praca cicha była i jest, bez rozgłosu, bez samochwalstw, ale trwała i wytrwała, bezinteresowna, a nawet ofiarna. Co dopr s złości, mamy nadzieję,

że wsparci pracą wspólną patrzeć w nią spokojnie możemy. O potrzebie i korzyści Zjazdów w tem gronie chyba mówić zbyteczna, liczne to zebranie jest tego dowodem, że zjazdy takie są potrzebne i wielce pożyteczne. Pięknie tę rzecz przedstawił b. prezes Jan hr. Potocki w swem przemówieniu na otwarcie II. Zjazdu balneologicznego, które Sz. Panowie znajdziecie w sprawozdaniu drukowanem w III. tomie Pamiętnika naszego, który macie w rękach.

Choć szczęśliwym czuję się nad wyraz, że danem mi jest z tego miejsca do Szan. Panów przemawiać, to wolałbym był zaiste być prostym szeregowcem, niż brać miejsce z woli Wydziału po ś. p. niezapomnianym naszym prezesie Prof. Pareńskim, którego zabrała z pośród nas niespodziewanie śmierć nieubłagana. Zginął, jak dzielny żołnierz na stanowisku, padł ofiarą swego zawodu, spiesząc z pomocą ciężko choremu. Nie czas na wyliczanie Jego zasług. Tow. straciło w Nim prezesa dzielnego, który energią, pracą, wiedzą, szerokimi stosunkami, a wreszcie ofiarnością i dziwnie miłem obejściem zaskarbił sobie zaufanie i miłość kolegów w Wydziale. Praca nie zawsze wdzięczna szła ochoczo, prezes sam pracując gorliwie potrafił do niej nas zachęcić, wogóle niósł on wysoko sztandar godności Tow., które z jego inicyatywy ponosząc ofiary, pozbyło się trosk finansowych i właśnie w chwili, gdy praca żywym zaczynała iść tempem, opuścił nas ten, co zwykł był stawać nam na przedzie. Za to pamięć Jego czcimy i czcić ją głęboko zawsze będziemy. Szan. Zgrom. uczciło ją przez powstanie, co zaznaczonem będzie w protokóle Zjazdu. Lecz to za małe żniwo dla śmierci, robi nowy wyłom, zabierając z pośród nas nestora polskiej balneologii, długoletniego kierownika zakładu leczniczego w Sławucie Dra Henryka Dobrzyckiego, członka honorowego naszego Towarz., pracowitego, ruchliwego, najlepszego znawcę zdrojowisk i uzdrowisk, gorącego ich orędownika. Piórem i czynem popierał sprawy zdrojownictwa polskiego, a wybrany prezesem wydziału zdrojowisk w Warsz. Tow. Hygienicz. wielkie na tem polu położył zasługi. Cześć pamięci dzielnego lekarza-obywatela.

Sz. Panowie! Tow. balneologiczne czuć się będzie szczęśliwem, jeżeli III. Zjazd balneologiczny pracą swą przyczyni się do postępu w dziedzinie polskiego zdrojownictwa, wynagrodzonem hojnie, jeżeli wrażenia, jakie Sz. Pan. odniesiecie z czasu pobytu na Zjeździe, odpowiedzą choć w części pragnieniom Komitetu.

Ogłaszam III. polski Zjazd baln. za otwarty i życzę mu im. Komitetu gospod. i polskiego Tow. balneologicznego z serca obfitego plonu i skutecznych wyników pracy.

Imieniem krajowego Związku turystycznego przemówił wiceprezes Dr. Schneider.

„Wielce Szanowni Panowie i mili goście!

W zastępstwie nieobecnego prezesa K. Z. T. p. posła Federowicza przypadł mi w udziale zaszczytny obowiązek przywitania Szanownych Panów i dania wyrazu szczerej radości naszej, iż Panowie raczyli przyjąć nasze wezwanie i tak licznie stawiliście się — zgodnie do owocnej — daj Boże — pracy.

Jako lekarza i wiceprezesa K. Z. T. oba działy obrad i prac Panów będą bardzo obchodziły, obrady nasze mają służyć za wytyczną dla dalszego rozwoju krajowej balneologii i mają być próbą sił organizacyjnych na polu turystyki i popierania ruchu obcych.

Niechaj mi wolno będzie wyrazić szczere życzenie, aby usiłowania nasze — w obu tych działach roboty społecznej — uwieńczone zostały najlepszymi wynikami i stanowiły cegiełkę w budowie drogiego nam wspólnego dzieła budowy, nowego gmachu narodowej siły".

Prof. Marchlewski przemówił im. Akademii Umiejętności.

Imieniem Wydziału krajowego przemawiał poseł Bernadzikowski, zaznaczając, że zarząd kraju popiera ruch Towarzystwa balneologicznego i Związku turyst. i popiera instytucye te moralnie i materyalnie.

Prof. Ciechanowski powitał Zjazd imieniem Wydziału lekarskiego, życząc obradom powodzenia. Imieniem Tow. lekarskiego krakowskiego przemówił Dr. Wojciechowski, imieniem Izby lekarskiej zachodnio-galicyjskiej Dr. Schöngut, imieniem Izby wschodnio-galicyjskiej Dr. Mikołajski, im. Związku kraj. lek. Dr. Damski, im. Tow. techn. r. dw. Horoszkiewicz:

„Imieniem krak. Tow. techn. miło mi powitać dzisiaj jaknajserdeczniej III. polski Zjazd balneologiczny, połączony ze Zjazdem turystycznym — i życzyć obradom i działalności obydwu tak pożytecznych Towarzystw, jak najlepszych wyników. Tak zdrojowiska, jak i ruch turystyczny grają w życiu społecznem rolę wybitną. Biorąc pod uwagę znaczenie pierwszych i to, że drugi, t. j. ruch turystyczny jest w znacznej mierze od nich zawisłym, VI. Zjazd techników pol-

skich, odbyty w Krakowie we wrześniu r. 1912, zajął się szczerze omówieniem tego, czego brak naszym zdrojowiskom, aby uposażone od natury bogato, mogły stanąć na równej wysokości, jak zdrojowiska leżące po za granicami kraju.

Nie moją rzeczą poruszać tu ten cały szereg przyczyn, który w jednym lub drugim kierunku tamuje rozwój naszych zdrojowisk. Ograniczę się tylko do tych zarządzeń i urządzeń, które Zjazd techników pomiędzy innemi uważał za niecierpiące zwłoki, a mianowicie są to: należyta kanalizacya, przeprowadzenie planu regulacyjnego, urządzenia i utrzymywania dróg i chodników w sposób nowoczesny i stała, a na wysokości zadania stojąca opieka hydrotechniczna i lekarska nad zdrojami w celu ich należytego wyzyskania. Te postulaty stawiał Zjazd Techników jako nieodzowne i najpilniejsze.

Światłe wasze obrady zechcą stwierdzić, czy nasze wnioski mogą i powinny być wykonanymi. Wiemy, że Was najlepsze chęci tu sprowadziły. Oby te najlepsze chęci służenia krajowi były Waszym sternikiem, były regulatorem Waszych uchwał i ich przeprowadzenia: Szczęść Boże!"

W imieniu krajoznawczego Tow. w Warszawie powitał Zjazd Dr. Wisznicki, imieniem Związku zdrojowisk Dr. Łobaczewski ze Lwowa, Dr. Zanietowski powitał Zjazd im. Centralnego Związku balneologicznego we Wiedniu.

Odczytano następnie listy i telegramy od: Warszawskiego Tow. Hygien., Warsz. Tow. lekarskiego, Lwowskiego Tow. lekarskiego, Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, hr. Potockiego, Dra Jaworskiego z Warszawy, Prof. Wicherkiewicza, Dra Krzyżanowskiego, Związku Centralnego Balneologów we Wiedniu, Dra Czopa, Prof. Gluzińskiego, Dra Chłapowskiego z Poznania i Redakcyi „Nowin lekaskich".

Następnie obrano honorowych prezesów Zjazdu. Zostali nimi: Prof. Marchlewski, Prof. Jaworski, Dr. Bernadzikowski, hr. Jan Potocki z Rymanowa, Prof. Gluziński ze Lwowa, Dr. Jaworski z Warszawy, Dr. Paderewski z Warszawy, Dr. Chełchowski z Warszawy, Dr. Pawiński, poseł Jan K. Federowicz. Z Poznańskiego radca Dr. Chłapowski i z Sarajewa Prof. Dr. Korczyński.

Rzeczywistymi prezesami Zjazdu zostali Dr. Mikołajski (Lwów), Dr. Biesiadzki (Krynica), Dr. Wisznicki (Warszawa), Dr. L. Schneider (Kraków), Dr. Kaden (Rabka). Na sekretarzy powołano: Dra Wojtkowskiego (Lwów), Dra Turzańskiego (Iwonicz) i dyr. Teodorowicza (Szczawnica).

Po zakończeniu oficyalnej części Zjazdu, z której sprawozdanie skreślonem zostało w Nrze 3 *Przeglądu zdrojowo-kąpielowego i Przewodnika turystycznego*, odczytał sekretarz polskiego Tow. balneologicznego, Dr. Zanietowski zarys dziejów dziesięcioletnich tegoż Towarzystwa.

Szereg odczytów naukowych rozpoczęły referaty Prof. Jaworskiego i Prof. Marchlewskiego.

Prof. Jaworski w świetnym odczycie ocenił istotę leczenia zdrojowego i zszeregował w pewien system przyczyny, które sprawiają, iż skutki tego leczenia nie zawsze odpowiadają sumie danych czynników terapeutycznych. Ponieważ przecenia się nieraz wartość samych wód mineralnych, a niedocenia się nieraz znaczenie innych czynników fizycznych, przeto już dawno zagranicą zaczęto zakładać po zdrojowiskach sanatorya dla poszczególnych chorób i grup chorobowych. W tym kierunku powinno również zdaniem prelegenta rozwinąć się także u nas leczenie zdrojowe, a postępowo urządzone sanatorya w każdem zdrojowisku powinny skojarzyć leczenie wodą mineralną z wszystkiemi innemi metodami klinicznemi i fizyoterapeutycznemi. Tylko kombinacya wszystkich środków klimatycznych, terenowych, dyetetycznych i klinicznych może być rękojmią dobrych skutków postępowego leczenia i obroną przed dezercyą pacyentów, którzy niejednokrotnie opuszczają zdrojowiska, aby się udać do specyalnych lecznic.

W dyskusyi nad powyższym referatem przemawiali pp. Turzański, Wąsowicz, Kmietowicz, Blassberg, Lang, Mikołajski i Zanietowski. Niektórzy z mowców kładli nacisk na wielkie koszta, połączone z leczeniem sanatoryalnem, niektórzy nawet podnosili ujemne strony leczenia sanatoryalnego w zdrojowiskach. — Zarówno mowcy, jak i wszyscy obecni z wielką jednak wdzięcznością i gorącą aklamacyą powitali cenne uwagi prelegenta i jednogłośnie wniosek Dra Zanietowskiego, aby sprawy czysto deontologiczne, stojące w związku z referatem omówić po odnośnym specyalnym odczycie Dra Mikołajskiego, oraz wniosek Dra Mikołajskiego,

aby rozpatrzenie praktycznych postulatów, wynikających z referatu, przekazać Wydziałowi polskiego Tow. balneologicznego.

Drugim z kolei prelegentem był Prof. Marchlewski. W świetnym wykładzie omówił po kolei teorye fluorescencyi, wzrostu tkanek i rozwoju roślin, oraz znaczenie światła dla reakcyi chemicznych organizmu i dla celów leczniczych. Następnie wyjaśniał znaczenie „*Vitamin*" i podkreślił doniosłe wskazania dyetetyczne, jakie medycyna winna czerpać z doświadczeń chemii biologicznej. Teorye Funka i Abderhaldena, znaczenie surowych materyałów odżywczych, wpływ ciał witaminowych, zawartych w łuskach ryżu na epidemicznie szerzącą się chorobę „beri-beri", wreszcie zasady wyzyskania ciał, zawartych w mleku, owocach i ziarnach, dla leczenia organizmów, cierpiących na brak witaminów, w dostępny a gruntowny sposób zostały przez prelegenta przedstawione słuchaczom. Żywa dyskusya, która wywiązała się po wykładzie, dowodem była najlepszym wielkiego zainteresowania słuchaczy, a w niektórych odłamach prasy podkreślono nawet, że „dyskusya ta toczyła się żywo około poglądów, przeobrażających rewolucyjnie dotychczasowe zapatrywania".

Tego samego dnia o godz. 3 popoł. w dalszym ciągu przystąpiono do obrad. P. M. Wisznicki, reprezentant Tow. krajoznawczego z Warszawy, wygłosił referat p. t. „Wartość społeczna wycieczek po kraju". Prelegent zaznaczył, że wycieczki krajoznawcze, urządzane przez polskie Tow. krajoznawcze wpływają ogromnie korzystnie na podniesienie kulturalne szerszych warstw społeczeństwa, wpływają dodatnio na zdrowie uczestników, zbliżają ich wzajem do siebie i wzmagają miłość poznanej ojczyzny. Przez tego rodzaju wycieczki krajoznawcze Tow. zyskało wielki rozgłos i popularność, świadczy o tem liczba członków, ostatnio 5800; Towarzystwo liczy 28 oddziałów niezmiernie czynnych, rozrzuconych po całym kraju. Przez 7 lat swego istnienia Towarzystwo zorganizowało mnóstwo wycieczek, w których ogółem brało udział 32.220 osób z Królestwa Polskiego. Dla ułatwienia turystyki Tow. krajoznawcze wydało przed czterema laty książkę „*Metodę wycieczek w Królestwie Polskiem*" która doskonale i pożytecznie informuje o właściwościach kraju, jest niezrównanym przewodnikiem historycznym, archeologicznym, architektonicznym, geograficznym i t. d. Prelegent zaznaczył, że wycieczki krajoznawcze są jednym z najważniejszych środków pedagogicznych, przeto szkolnictwo winno skwapliwie zająć się tu

rystyką krajoznawczą. Prelegent wspomina wycieczki po Galicyi, gdzie spotkał się z uprzejmością i opieką.

Nad referatem wywiązała się obszerna dyskusya, w której Dr. Schneider wspomniał, iż kraj. Związek turystyczny postanowił nawiązać ściślejsze stosunki z polskiem Tow. krajoznawczem w Warszawie, wspomniał również o staraniach kraj. Związku turystycznego o ułatwieniu turystyki wzajemnej między Królestwem a Galicyą przez zapobieżenie szykanom paszportowym. Dr. Turzański wskazał na wielkie znaczenie zdrowotne wycieczek. Dyr. Teodorowicz wskazał na konieczność urządzania wycieczek gromadnych na szerszą skalę po Polsce i popularyzacyę tego ruchu. Następnie Dr. Zanietowski podziękował za barwny odczyt miłego gościa z Warszawy i zapewnił o serdecznych uczuciach mieszkańców Krakowa dla Warszawy i polskiego Tow. krajoznawczego, które to zapewnienie zgromadzenie przyjęło gorącym aplauzem.

Z kolei przemawiał p. I. Mędrkiewicz. Prelegent przedstawił wartość naszych zdrojowisk i uzdrowisk, które w porównaniu z zagranicą nie tylko wytrzymują konkurencyę pod względem dobroci wód mineralnych i klimatu, ale niejednokrotnie je przewyższają, zwłaszcza szczawy i wody gorzkie. — Z prowincyj dawnej Polski Galicya jest najbogatszą pod względem wód mineralnych; i miejsca nasze klimatyczne mają doskonałe, nieraz świetne warunki, brak jednak należytych urządzeń, a złe środki komunikacyjne, jakoteż nieusprawiedliwiona nieufność naszego społeczeństwa do naszych wód tamują ich rozwój tak bardzo upragniony. Na koniec prelegent wskazał na piękno kraju, zwłaszcza miejsc klimatycznych i zdrojowisk, a także wskazał na pożytek reklamowania naszych zdrojowisk w językach obcych.

Powołując się na pewne ustępy odczytu prelegenta poruszyli pp. Turzański i Łobaczewski sprawę wody morszyńskiej. Uchwalony pod tym względem wniosek brzmi jak następuje:

„Zjazd zwraca się do Tow. lekarskiego we Lwowie, aby przez odpowiednią inwestycyę, polegającą na założeniu filtru i wodociągu ze zdroju Bonifacego do Zakładu w Morszynie umożliwił kuracyuszom używanie na miejscu wody ze rzeczonego źródła".

O znaczeniu „Esperanta" dla podniesienia ruchu turystycznego mówił w dyskusyi Dr. Mikołajski, a o wydawnictwach odnośnych Związku turystycznego w języku esperanckim Dr. Schneider.

Ze względu na spóźnioną porę, oraz na zwyczajowe prawa gościnności, które nakazują dawać pierwszeństwo prelegentom obcym lub zdala przybyłym, poprzestał Dr. Zanietowski na zademonstrowaniu swojej pierwszej ściennej mapy zdrojowisk polskich, oraz ich porównawczego zestawienia ze zdrojowiskami Europy, a zrezygnował natomiast z dłuższego przedstawienia treści swoich odczytów, tembardziej, że one są wydrukowane już w *Pamiętniku* i rozdane uczestnikom Zjazdu.

Fachowy odczyt, który niezmiernie zajmował uczestników Zjazdu wygłosił docent Uniw. Jagiellońskiego Dr. Sеńkowski p. t.: „Analizy wód krajowych z uwzględnieniem jonizacyi i hydrolizy składników". W dyskusyi nad tym odczytem zabrał między innymi głos Dr. Zanietowski, który podziękował prelegentowi nietylko za interesujący odczyt, lecz za żmudne obliczenia analityczne wykonane przez prelegenta, które po części już się ukazały drukiem w pracy Dra Zanietowskiego: „*O systemizacyi naszych uzdrowisk*", oraz w opracowanym przez niego dziale wód galicyjskich dla balneografii ziem Austyi.

Następnie wygłosił Dr. Pelczar wielce zajmujący i starannie opracowany, a licznemi tabelami opatrzony odczyt o „*Dyetetyce w leczeniu chorób przemiany materyi*".

Inż. Suchanek zaś referował o „*Zdrojowiskach a turystyce w Beskidach zachodnich*". „Beskid" oddział Tow. tatrzańskiego ma może ze związków sportowych największą łączność z Tow. balneologicznem. Oddział ten przez uprawianie turystyki przyczynił się do odkrycia około 20 źródeł mineralnych w Beskidzie zachodnim, które do dziś dnia nie są eksploatowane. Mowca kończy apelem, by Tow. balneologiczne popierało działanie oddziału Tow. tatrzańskiego „Beskid".

Obrady zakończył fachowy referat Dra Langa o „*Leczeniu gruźlicy i zołzów u dzieci*". Prelegent przedłożył szereg sposobów leczenia gruźlicy u dzieci, wypróbowanych doświadczeniami własnemi i innych.

Wieczorem o godz. 8 odbył się bankiet, wydany na cześć uczestników Zjazdu przez Tow. balneol. i kraj. Zw. turyst. Na bankiecie wzniesiono szereg toastów, który rozpoczął się toastem wiceprezesa Dra Pelczara na cześć gości w ręce najstarszego z obecnych, Prof. Domańskiego, oraz toastem Dra Zanietowskiego na cześć naj-

starszych dostojnością Instytucyi naszych, t. j. Akademii Umiejętności i Uniwersytetu. — Przemawiali następnie: Prof. Ciechanowski, Prof. Marchlewski, Dr. Schneider, Dr. Wąsowicz, Dr. Frączkiewicz, Dr. Łobaczewski i wielu innych.

Następne posiedzenie Zjazdu rozpoczęło się od odczytu Doc. Dra Latkowskiego p. t.: *„Z dziedziny postępów balneologii i balneoterapii"*. Prelegent w interesującym referacie przedstawił lecznicze działanie soli mineralnych (głównie wapniowych), oraz uzasadnił wskazania do ich stosowania w dyetetyce i w lecznictwie pod postacią wód mineralnych. W dyskusyi po odczycie zabierali głos pp. Pelczar, Lang i Turzański.

Dr. Mikołajski w referacie *„O deontologii lekarzy zdrojowych"* przedstawił przyjęty przez obie Izby lekarskie projekt deontologii i umotywował każdy z punktów przyjętego projektu, który też po dłuższej dyskusyi z nielicznemi zmianami został przez Zjazd obu Izbom do ostatecznej aprobaty przedłożony. Uchwalony na posiedzeniu obu Izb lekarskich, odbytem podczas Zjazdu w dniu 5 maja 1914 r. przyczynek do kodeksu deontologii podany został w całości w Nrze 3 *Przeglądu zdroj.-kąp.*

W zastępstwie Dra Lewickiego odczytał Dr. Praschil referat p. t. *„Czy można wydawać kąpiele lecznicze w zdrojowiskach bez ordynacyi lekarskiej?"* W dyskusyi zabierali głos pp. Cercha, Lang, Zanietowski, Pelczar, i Mayer, poczem uchwalono rezolucyę, przedstawioną w referacie, przekazać Wydziałowi polskiego Tow. balneologicznego do rozpatrzenia.

Na ostatniem posiedzeniu Zjazdu uchwalono wniosek Dra Zanietowskiego, aby w myśl regulaminu Zjazdów nad dniem i miejscem następnego Zjazdu zastanowił się Wydział polskiego Tow. balneologicznego, oraz, aby w miarę możności uwzględnił postulaty Dra Mayera odnoszące się do zaproszenia przemysłowców i balneotechników, oraz do ustalenia tematu referatów przez sam Wydział.

Zjazd zakończyły przemowy p. Wiśnickiego i Dra Schneidra jako prezesów czynnych, oraz Dra Zanietowskiego, jako sekretarza Towarzystwa. Ten ostatni przeprosił uczestników za ewentualne niedokładności, jakie mogły się zakraść do przygotowań lub samego przebiegu Zjazdu nie z winy Komitetu gospodarczego, a życząc owocnych skutków wspólnej pracy, pożegnał uczestników słowami:

„Do widzenia na polu wspólnej pracy". — Zjazd zamknął wreszcie prezes Dr. Cercha następną przemową:

Wielce Szan. Panowie i Koledzy. Mili nasi goście!

Jak sen jaki złoty przeszły chwile wspólnej naszej pracy. Przyznać każdy nieuprzedzony musi, że Zjazd cel zamierzony osiągnął. Choć nie liczny, do czego kiedyś drogą wytrwałej pracy dojdziemy, „*quia exemplum alios docet et animat*", ale złożony był z zastępu gorliwych i wytrwałych pracowników. Obrady zjazdu poważne, rzeczowe, podane prawie zawsze w wytwornej formie, poruszające najżywotniejsze zagadnienia, tak w zakresach nauki lekarskiej, mających wybitny wpływ na kierunek lecznictwa zdrojowego i klimatycznego, jak sprawy praktyczne, wielkiej dla zdrojowisk, turystyki i lekarzy zdrojowych doniosłości, znalazły tu w odczytach i referatach wyraz i umotywowanie, a ożywiona dyskusya i gorące oklaskiwanie prelegentów były świadectwem aktualności spraw omawianych. Żywimy nadzieję, że myśli te rzucone na glebę umysłu i serc naszych, na przyjęcie tego posiewu przygotowanych, powinny zakwitnąć obfitym kwieciem pracy naszej i wydać płon zdrowy na pokarm posilny dla zdrojownictwa polskiego, które się nim zasilając, powinno nabierać coraz więcej sił i sprawności ku zadowoleniu wszystkich tych, którzy w naszych polskich zdrojowiskach pragną widzieć kiedyś olbrzymów.

Za prace Wasze Sz. Panowie Tow. balneologiczne serdecznie Wam dziękuje i prosi usilnie, abyście nadal tej Waszej pracy mu nie odmawiali. Samo zaś składa w Wasze ręce przyrzeczenie, że dorobku naszego Zjazdu strzedz będzie święcie, myśli i wnioski Wasze, w czyn wprowadzić się gorliwie pragnąc, nie opuści najmniejszej ku temu sposobności. Dziękuję wszystkim P. T. Prelegentom, Przedstawicielom Instytucyj naukowych, Delegatom towarzystw, Prasie lekarskiej i Prasie wogóle, że Zjazdem się zainteresowały i obecnością swoją Zjazd zaszczycić raczyły. Ze smutkiem żegnam Was mili nasi goście, wybaczcie, jeżeli z naszej strony były jakie usterki, nie patrzcie, cośmy Wam dali, lecz na to, jakim sercem podane. Gdy jutro Phoeb na złocistym swym rydwanie na sklepienie polskiego nieba wyjedzie, a salę tę dziś gwarną, pełną, tęskliwy spokój ogarnie, pamiętajcie, że gdziekolwiek będziecie, to samo co i nam słońce przyświeca, temi samemi bądźmy ożywieni pragnieniami, do tych samych

dążmy ideałów, pracujmy każdy z osobna w cichości a wytrwale, pomni zdania, że „*gutta lapidem cavat non vi sed saepe cadendo*“, a małe te pojedyncze dawki „vitaminy“ pracy każdego z nas wytworzyć zdołają z czasem taką potężną dozę siły żywotnej, która wystarczy do odrodzenia, do prawdziwego zmartwychwstania. Żegnajcie nam słowami „do widzenia“. Jedźcie i bądźcie szczęśliwi“.

Dr. J. Zanietowski.

Konkursy Akademii Umiejętności.

Zarząd Akademii Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs na 5 stypendyów po 5000 koron rocznie z fundacyi im. ś. p. **Wiktora Osławskiego.** Podania należy wnosić do Zarządu Akademii najpóźniej do dnia 29 **czerwca** 1914 **roku**. Warunki obowiązujące kandydatów wymienione są w art. VI i VII aktu fundacyjnego, których odnośne ustępy podaje się do informacyi kandydatów:

Art. VI: „O nadanie stypendyum z niniejszej fundacyi ubiegać się mogą jedynie ci docenci Uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie i Politechniki we Lwowie, nauczyciele lub zastępcy nauczycieli w gimnazyum lub w szkole realnej w kraju lub zagranicą, którzy są narodowości polskiej, władają należycie mową polską, nie przekroczyli 40 lat życia i ukończywszy uniwersytet lub politechnikę w kraju lub zagranicą ze stopniem akademickim, zamierzają się kształcić na profesorów dla wyższych Zakładów naukowych o polskim języku wykładowym w kraju, to jest dla polskich Uniwersytetów we Lwowie i w Krakowie i dla polskiej Politechniki we Lwowie, a to bez względu na ich pochodzenie, poddaństwo lub wyznanie, z jedynem wyłączeniem osób prawosławnego wyznania.

„Ubiegający się o stypendyum z fundacyi kandydat winien w podaniu wniesionem w terminie do Akademii Umiejętności w Krakowie dowodnie wykazać za pomocą metryki urodzenia, świadectw szkolnych i innych urzędowych aktów, że posiada wszystkie powyż wyszczególnione warunki.

„Następnie kandydat przedłożyć ma swe prace naukowe i szczegółowy program, według którego i gdzie zamierza kształcić się dalej.

Miejscem dalszego kształcenia nie może być miasto, w którem kandydat jest docentem, nauczycielem lub zastępcą nauczyciela. Przedmiotem studyów może być każda gałąź wiedzy ludzkiej z wyjątkiem nauk teologicznych. Uczęszczaniu na Uniwersytety zagraniczne równają się także inne szkoły główne, jak n. p. w Paryżu Szkoła centralna, Szkoła normalna i wyższa Szkoła górnicza, z których opatrzeni dyplomem, wielkie mogą oddać usługi krajowi. Z europejskich Uniwersytetów wyłącza się jedynie Uniwersytet we Fryburgu w Szwajcaryi. Uczeń, tam przebywający, nie może pobierać stypendyum z fundacyi ś. p. Osławskiego".

Art. VII, ustęp 1 i 2: „Stypendya wypłaci się z góry w półrocznych ratach. Wszakże ten sam kandydat może następnie otrzymać stypendyum roczne po raz drugi i trzeci, jeżeli w końcu roku szkolnego, na który stypendyum otrzymał, mianowicie w miesiącu czerwcu złoży Komitetowi szczegółowe sprawozdanie ze swych czynności i udowodni, że wykonał w wielkiej części przedłożony swój program. Od uznania Komitetu, który w razie potrzeby zasięgnie zdania referentów, zależeć będzie pozostawienie kandydata na rok drugi i trzeci przy stypendyum.

„W razie większej liczby kompetentów pierwszeństwo mają ci, którzy pobierali to stypendyum, a na przedłużenie go zasługują; po nich ci, których wykształcenie jest rzeczą pożądaną ze względu na wakującą lub zawakować mającą katedrę; po tych poświęcający się studyom nauk doświadczalnych, które wymagają pracy w laboratoryach".

Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs na stypendyum im. ś. p. **Zenona Pileckiego** w kwocie 2.400 K.

Kandydatem może być według woli ś. p. Zenona Pileckiego tylko, rodowity Polak, katolik, obrządku rzymskiego lub grecko-unickiego, który ukończył kurs nauk uniwersyteckich ze stopniem doktora lub też na jednym z uniwersytetów rosyjskich ze stopniem naukowym kandydata i pragnie udać się za granicę, celem dopełnienia studyów w obranym zawodzie naukowym. Kandydat powinien władać biegle językiem ojczystym i ma we własnym interesie postarać się o wszelkie dowody świadczące nie tylko o jego uzdolnieniu, wytrwałej pracowitości i zamiłowaniu w naukach, lecz także o jego moralności i poczuciu narodowem. Pomiędzy kandydatami, zarówno pod każdym względem zasługującymi na otrzymanie stypendyum, pierwszeństwo

dane będzie kandydatowi, pochodzącemu z prowincyj zostających pod panowaniem rosyjskiem.

Tym razem o stypendyum to ubiegać się mogą kandydaci, którzy poświęcają się naukom matematyczno-przyrodniczym.

Podania wnosić należy do Akademii Umiejętności w Krakowie po dzień 10 czerwca 1914 i dołączyć do nich następujące załączniki:

1) Dowody, że kandydat według warunków powyżej określonych ma prawo ubiegać się o powyższe stypendyum.

2) Dokładny program studyów, które w ciągu roku zamierza odbywać.

Stypendyum powyższe wypłaci kasa Akademii Umiejętności w dwóch równych ratach półrocznych, a mianowicie pierwszą ratę dnia 10 października 1914, drugą zaś dnia 1 kwietnia 1915. Wypłata drugiej raty zależeć będzie jednak od uchwały komitetu stypendyjnego, któremu stypendysta po upływie pierwszego półrocza złoży wyczerpujące sprawozdanie z odbytych studyów.

1. **Konkurs z zapisu ś. p. jenerała Oktawiusza Augustynowicza:**

„Dzieje zniesienia zależności poddańczej i uwłaszczenia włościan w krajach, które niegdyś w skład byłej Rzeczypospolitej Polskiej wchodziły, poprzedzone historycznym poglądem na wytworzenie się klasy włościańskiej w dawnej Polsce, jej rozwój i stopniowy upadek, z uwzględnieniem wszelkich objawów tak w literaturze naszej, jak i samem społeczeństwie, mających na celu polepszenie losu tej klasy“.

Temat powyższy rozdziela się na następujących pięć części:

1) Dzieje ludności włościańskiej w dawnej Polsce Piastowskiej, mianowicie w Wielkopolsce, Małopolsce, na Mazowszu, Kujawach i na Śląsku;

2) Dzieje ludności włościańskiej na Rusi i Litwie;

3) Dzieje zniesienia zależności poddańczej w krajach byłej Rzeczypospolitej, przyłączonych do Cesarstwa rosyjskiego, z uwzględnieniem także Inflant i Kurlandyi;

4) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Królestwa pruskiego, mianowicie w Prusach Królewskich i w W. Ks. Poznańskiem; wreszcie

5) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Cesarstwa austryackiego.

W części czwartej i piątej należy uwzględnić także Śląsk jako integralną część Polski Piastowskiej.

W części pierwszej i drugiej, obejmującej historyę ludności wieśniaczej w dawnej Polsce, winny być dokładnie wyjaśnione fakty, z których wywiązała się zależność poddańcza, oraz stosunek wieśniaka do gruntu przezeń posiadanego, jaki istniał pierwiastkowo. Literaturę, odnoszącą się do kwestyi rozwiązania i uregulowania stosunków włościańskich, należy uwzględnić w trzech ostatnich częściach.

Temat powyższy może być opracowany bądź w całości, bądź też każda część osobno. Jednolite opracowania bądź całego tematu, bądź też pierwszych dwóch, lub trzech ostatnich części razem, przedewszystkiem zaś pierwszych dwóch razem, będą miały pierwszeństwo do nagrody przed równie dobremi opracowaniami osobnemi pojedynczych części.

Za najlepsze opracowania uznane będą tylko takie, które nie tylko celować będą między innemi pracami nadesłanemi, ale nadto będą odpowiadały dzisiejszym wymaganiom nauki.

Nagrody ustanawia się, jak następuje:

a) za część 1 i 2-gą po 2.000 koron;
b) za część 3-cią 3.200 koron;
c) za część 4-tą 2.400 koron;
d) za część 5-tą 2.800 koron.

Nagrodzone opracowania winny być ogłoszone drukiem. Na ten cel przeznacza się fundusz 2.600 koron; gdyby ten fundusz nie wystarczył na pokrycie kosztów druku, autorowie winni pokryć nadwyżkę ze swego, w stosunku do objętości swoich prac.

Opracowania należy nadsyłać do Akademii Umiejętności najdalej do 31-go grudnia 1914. (Nr. Dz. pod. 60/10, 35/12, 61/13, 474/14).

2. Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem **konkurs im. Juliana Ursyna Niemcewicza** na trzy następujące tematy:

1) „*Historya ustroju Królestwa Kongresowego* (1815—1830)".

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1914 roku.

2) „*Historya obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w końcu XVI i na początku XVII w. w obrębie obranego terytoryum (co najmniej województwa Rzeczypospolitej)*".

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1914 roku.

3) „*Monografia z dziejów Litwy albo Rusi w epoce aż do Unii lubelskiej*".

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1914 roku.

Nagrody mogą być podzielone na dwie, niekoniecznie równe części. (Nr. Dz. podaw. 2944/03, 120/08, 391/09, 63/10, 36/12, 65/13, 47514).

3) W celu uczczenia 60-letniego Jubileuszu Najjaśniejszego Cesarza Franciszka Józefa Akademia Umiejętności w Krakowie rozpisuje niniejszem konkurs na napisanie **„Historyi Galicyi w okresie lat 1848—1908"**.

Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1915.

Nagroda wynosi 1.200 koron; objętość dzieła conajmniej 20 arkuszy druku.

Akademia Umiejętności zastrzega sobie prawo własności nagrodzonego rękopisu. Po wydrukowaniu autor otrzyma jako honorarium — oprócz nagrody — dalsze 1.200 koron.

Autor winien zwrócić przedewszystkiem uwagę na rozwój wewnętrznych stosunków Galicyi i wszechstronnie przedstawić wszystko, co w tym kierunku w czasie 60-letniego okresu do skutku przyszło.

Uczeni, zamierzający podjąć się tej pracy, mogą po bliższe informacye zgłaszać się do Sekretaryatu Generalnego Akademii (Nr. Dz. p. 338/08, 37/12 i 66/13, 476/14).

4. Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem **konkurs z fun. Ks. Adama Jakubowskiego** na następujące dwa tematy:

1) „*Historya ustroju Księstwa Warszawskiego*".

2) „*Monografia jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porozbiorowej*".

Nagroda wynosi 1.400 koron i może być podzielona na dwie niekoniecznie równe części.

Termin konkursu 31 grudnia 1915 (Nr. Dz. pod. 121/08, 392/09, 64/10, 38/12, 67/13, 477/14).

5. Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem **konkurs im. Czerwińskiego** na napisanie „*Historyi sztuki w Polsce*". Warunki konkursu są następujące:

1. Historya sztuki w Polsce ma uwzględnić wszystkie Ziemie dawnej Polski łącznie z Litwą i Rusią.

2. Powinna objąć czas od przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę aż po koniec stylu empire.

3. Ma być syntezą dotychczasowych badań na tem polu; samodzielnych rezultatów się nie wymaga, są jednak pożądane.

4. Układ i rozmiary dzieła pozostawia się autorowi.

5. Fotografii ani rysunków autor nie jest obowiązany dołączyć do rękopisu.

6. Do konkursu dopuszczone mogą być prace zbiorowe, ewentualnie przez kilku autorów wykonane, jednakże jednolitej redakcyi.

7. Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1915 r.

Nagroda wynosi 1.000 rubli.

(Nr. Dz. p. 2828/04, 119/08, 390/09, 558/10, 39/12, 68/13, 478/14).

6. Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem **konkurs im. Mikołaja Kopernika** na temat:

„Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych dzielnic Ziem Polskich, albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonii zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska, z klimatem rodzimym“.

Nagroda wynosi 1.200 koron.

Termin konkursu 31 grudnia 1914. (Nr. Dz. pod. 388 07, 98 08, 410/09, 64/13, 479/14).

Autor pracy uwieńczonej nagrodą zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku od wypłacenia mu nagrody pracy uwieńczonej drukiem nie ogłosił, natenczas uczynić to może sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii.

Zarówno autor, jak i Akademia, składają po cztery egzemplarze wydrukowanej pracy Gminie miasta Krakowa.

7. Akademia Umiejętnoci ogłasza **konkurs im. Lindego.**

Do konkursu tego dopuszcza się prace z zakresu języka polskiego, a mianowicie: prace leksykograficzne, z zakresu gramatyki, historyi języka i dyalektologii polskiej, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi, mogące w jakibądź sposób służyć za dopełnienie Słownika Lindego. Prace te mogą być według aktu fundacyi drukowane lub też w rękopisie nadesłane do Akademii; powinny odznaczać się metodą ściśle naukową i każda ma stanowić zaokrągloną i skończoną całość.

Nagroda 675 Rubli w kuponach nom. wart. (po odciągnięciu 5% na podatek).

Termin konkursu upływa 31 grudnia 1915. (Nr. Dz. pod. 62/13).

8. Zarząd Akademii Umiejętności ogłasza na mocy statutu fundacyi ś. p. **Dra Michała Zieleniewskiego,** zatwierdzonego przez c. k. Namiestnictwo we Lwowie reskryptem z dnia 25 stycznia 1913 Nr. XIII *b* 86/1, dwa konkursy:

Konkurs pierwszy z terminem po koniec roku 1920 na uzupełnienie *„Słownika bibliograficzno-balneologicznego polskich zakładów zdrojowo-kąpielowych"*, wydanego przez ś. p. Dra Michała Zieleniewskiego w r. 1891. Rękopisy należy nadsyłać do Kancelaryi Akademii Umiejętności najpóźniej do 31 grudnia 1920 roku.

Autor obowiązany jest dostarczyć zupełnie wykonanego rękopisu i niema prawa żądać zaliczek; po przyjęciu uzupełnienia „Słownika" otrzyma autor honoraryum wedle arkusza w wysokości przez Akademię ustanowionej.

Konkurs drugi na pracę poświęconą ściśle naukowemu badaniu i opisowi wód mineralnych polskich, a to na temat dowolnie przez autora obrany, byleby tylko autor ubiegający się o nagrodę przedłożył ją w właściwym czasie Akademii Umiejętności, a to bądź w druku, bądź w rękopisie.

Przedmiotem prac, mogących ubiegać się o nagrodę, będzie naukowe zbadanie i opis nie pojedynczych źródeł naszych wód mineralnych. ale całych działów wód lekarskich polskich i ich działania leczniczego, jakoto: szczaw, wód siarczanych, żelazistych, uzdrowisk klimatycznych i t. d.

Prace na konkurs niniejszy należy nadsyłać do Kancelaryi Akademii najpóźniej do 31 grudnia 1914 r. (Nr. Dz. pod 205/13, 480/14).

9. Akademia Umiejętności ogłasza niniejszem konkurs **im. Dra Władysława Kretkowskiego** na rozwiązanie następującego zadania:

„Znaleźć zastrzeżenia konieczne, dostateczne, różne między sobą i *w najmniejszej liczbie*, aby m równań różniczkowych pomiędzy n zmiennemi były całkowalnemi przez p całek. Równania są kształtu:

$$\sum_{l=1}^{l=n} Z_{k,l}\, dz_l = 0 \quad (k = 1, 2, \ldots, m).$$

gdzie z_l $(l = 1, 2, \ldots, n)$ są zmiennemi, zaś $Z_{k,l}$ $(k = 1, 2, \ldots, m;$ $l = 1, 2, \ldots, n)$ *są funkcyami* zmiennych powyższych. Znalezienie liczby najmniejszej jest koniecznym warunkiem otrzymania nagrody".

Nagroda wynosi 1.500 koron.
Termin konkursu 31 grudnia 1915. (Nr. Dz. p. 481/14).

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności w Krakowie bezimiennie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres, a opatrzonej tem samem godłem.

Według § 18. Regulaminu Akademii wypłata wszelkich konkursowych nagród następuje dopiero po ogłoszeniu drukiem uwieńczonej nagrodą.

Druk ukończono dnia 8-go sierpnia 1914

Na półwiecze kapłaństwa
Ks. Biskupa Pelczara.

W miesięcu obecnym upływa lat 50, jak biskup przemyski X. Dr. J. Pelczar, otrzymawszy święcenia kapłańskie, rozpoczął swą zbożną apostolską pracę. Chwilę tę uroczyście obchodzić będzie dyecezya przemyska podniosłemi nabożeństwami we wszystkich kościołach oraz odpowiedniemi zebraniami, które w miarę możności i stosunków lokalnych zarządzić będzie można. Oczywiście ona przedewszystkiem powołana jest do tego obchodu, bo ona na pierwszem miejscu, najbezpośredniej odczuwa nad sobą błogosławieństwo jego rządów — nie mniej jednak obchód ten donośnem echem rozejdzie się po całej Polsce i wszędzie wywoła najserdeczniejsze uczucia i najgorętsze życzenia dla dostojnego jubilata.

Jego osoba nie należy tylko do jednej dyecezyi, nie jest tylko wielkością prowincyonalną, ale należy do całego kraju, do całego narodu, który miłością i troską obejmuje, a swemi pracami i zasługami nie przestaje wspierać i ubogacać. Pięćdziesiąt lat upłynęło—to kawał czasu nie mały. Ale zapewne miło dostojnemu jubilatowi spoglądnąć nań wstecz, bo te lata niezmarnowane — pełne niewyczerpującej się pracy, brzemienne zasługą, a także i pięknym owocem na roli Chrystusowej.

Non recuso laborem — mówił dostojny jubilat, opuszczając swe stanowisko na uniwersytecie krakowskim, by objąć rządy dyecezyą— i słowa te, powtórzone za wielkim biskupem św. Marci-

nem z Tours, były dewizą jego życia — tych lat 50 kapłaństwa. Praca — praca skrzętna, mrówcza, nieustanna cechowała go zawsze i ona stanowi klucz do rozwiązania tajemnicy jego obszernej działalności. Nie szła ona w jednym kierunku, nie zacieśniała się w jakiejś specyalności, ale rozszerzała się niemal z biegiem lat. Kaznodzieja i kierownik dusz, profesor i działacz praktyczny, mowca i pisarz płodny — a na każdem z tych pól pracy zdobywa sobie miejsce w pierwszych szeregach i pozostawia trwałe owoce.

I co w całej działalności i pracach uderza, to podniosłość ducha, nadprzyrodzoność zamiarów i gorliwość apostolska, która leży na ich spodzie, która je wywoływała, przenikała, rozszerzała i która nadawała im trwałość i błogosławieństwo boże sprowadzała.

Kazania jego i przemowy, z któremi lubił przy nadarzającej się okazyi występować, to nie występy popisowe — to poryw serca, wylew duszy, która z pełności swojej czuje potrzebę rozdawać wszystkim, która chce wyjść z siebie a wlać się w serca swej braci. On chciał przelać na innych swą bogatą wiedzę, którą mu nagromadziła sumienna praca, obserwacya, doświadczenie, i ten interes, jaki żywił dla każdego powstającego w społeczeństwie zagadnienia. Chciał przelać swoje ciepło, swe uczucia— ukochanie Boga, Kościoła, jego instytucyi — przywiązanie do narodu i społeczeństwa i jego świętości, historyi, doli i niedoli, jakiem pałało jego serce! I nie dość mu było krzewić je ustnie wśród słuchających jego słów — on utrwalał je drukiem, żeby choć w tej ukróconej książkowej formie budziło w najszerszych kołach naszego narodu echa tych uczuć, które tryskały z żywego jego słowa.

Na katedrze, która mu przypadła w udziale zaraz w pierwszych latach kapłaństwa, nie umiał pojąć swego posłannictwa inaczej, jak w duchu szerokiego apostolstwa. W przedmiot naukowy wykładu wlewał tyle serca, tyle umiłowania ideałów bożych, tyle entuzyazmu i interesu życiowego, że oderwany i martwy, ożywał na jego godzinach, jako życie wchodził do dusz i przeistaczał je na jakąś modłę wysoką, boską, wytwarza-

jąc kapłanów nietylko szerokiej wiedzy, ale o wysokiem napięciu duchowem, kapłanów według Serca Bożego. Ile pod tym względem społeczeństwo zawdzięcza dostojnemu jubilatowi, ten tylko rozumie, kto pojmuje całą doniosłość potrzeby, aby społeczeństwo przedewszystkiem posiadło dobrych, godnych i dorastających do swego zadania kapłanów.

I tu leży może najdonioślejsza zasługa jubilata, ta właśnie troska o wyrobienie odpowiadających swemu posłannictwu kapłanów. Podyktowana jego stanowiskiem, jego wypielęgnowana sercem, umocniona długą stycznością z seminarzystami, z klerykami, przetrwała wszystkie lata, uwydatniła się w prześlicznych dziełach dla kapłanów przeznaczonych i jest jedną z najpiękniejszych ozdób jego działalności całej.

Ale nietylko o kapłanów dbał dostojny jubilat, jemu chodziło o podniesienie całego poziomu religijnego w społeczeństwie, o szerzenie katolickiego uświadomienia, katolickiego przywiązania do Kościoła i Stolicy świętej, a nawet o wskazanie dróg wyższej doskonałości dla tych, którzy chcą lub mogą się starać o wyższe życie duchowne. W tym też duchu wydaje cały szereg prac większych, a o ich trwałości, potrzebie, praktyczności świadczy fakt, że takie *„Życie duchowne"* wydawano 7 razy.

Tę pracę dla chwały bożej, podjętą na katedrze i ambonie, słowem i piórem, radą i czynem, pracę ustawiczną i niezmordowaną poświęciło niejako powołanie Go do zarządu dyecezyi i konsekracya biskupia.

Podejmowane przedtem więcej z dobrej woli, z potrzeby serca, by jak najwięcej dla Boga zdziałać, stały się one obowiązkiem — *Episcopum oportet esse* — obowiązkiem, ale drogim, bo idącym po linii potrzeb serca. Toteż można powiedzieć, że w dyecezyi, zresztą wcale nie zacofanej, odrazu dał się odczuć jakby nagły przypływ, wybitny poryw naprzód, jak tylko ujął rządy jej w swe ręce dostojny jubilat. Nie było żadnej kwestyi, żadnej sprawy związanej z chwałą bożą i interesem Kościoła i dusz, którejby nie dostrzegło jego oko — do której rozwiązania nie przyłożyłaby się jego ręka. Bądź to dawał inicyatywę, bądź też sprawę dobrą, podjętą przez innych, jakby

swoją, popierał całą siłą swej powagi i swego wpływu. O wszystko się troszczył, o duchowieństwo, lud, szkoły, kościoły, stowarzyszenia, bractwa, sodalicye, organizacyę katolicką, akcyę społeczną, ustawicznie prąc do niej wszelkiemi siłami a wszystko opierając o jeden fundament, którym jest Chrystus, którego znajomość płynie z niezliczonych misyi, rekolekcyi, katechizacyi, kazań, konferencyi a zjednoczenie się z Nim z częstej komunii św.

Niepodobna wchodzić w szczegóły, ale czyn taki jak, nie bójmy się użyć tego słowa, wskrzeszenie z martwych po 180 latach śmiertelnego pogrzebania synodu i odprawienie go przy uczestnictwie olbrzymiej liczby księży dyecezyalnych — jego akta, ogłoszone drukiem, dają dowód jak głęboko a wszechstronnie objął umysłem i sercem obowiązki swe pasterskie — *sollicitudo ecclesiarum.* W bieżącym roku jubileuszowym ma się odbyć synod już po raz wtóry. Wspaniały zaiste obchód półwiecza kapłańskiego zawodu jubilata!

I drugi jeszcze szczegół. Ks. biskup Suffragan Fischer w liście do dyecezyi o obchodzie jubileuszowym zaznacza, że jubilat usuwa się od głośnych owacyi, a zarazem prosi, żeby wydatki, które miały iść na uczczenie jego osoby, skierować na budowanie kościołów, kaplic, domów bożych tam, gdzie ich jeszcze brak odczuwać się daje. Zapewne trudno wymyśleć sposób zgodniejszy z charakterem i nastrojem duszy tego, który o sobie może mówić: *Zelus domus tuae comedit me.*

Do życzeń, które dostojnemu Jubilatowi wysłał Ojciec Św. które mu składa naród, dołącza też i redakcya swoje.

Ks. L. Rudnicki.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

NA PÓŁWIECZE KAPŁAŃSTWA KS. BISKUPA PELCZARA. *Przez Ks. L. Rudnickiego T. J.* 1*

CHARAKTER ŚW. PAWŁA. *Przez ks. Leonarda Lipkego T. J.* 1

Z LISTU ŚW. PAWŁA DO ŻYDÓW. *Przez Eksc. Arcybisk. ks. Fr. A. Symona* 11

STANISŁAW BRZOZOWSKI W ŚWIETLE SWEGO PAMIĘTNIKA *Przez Dra Zygmunta Gutka* 25

ISTOTA I RODZAJE SYSTEMÓW FILOZOFICZNYCH. *Przez Ks. Józefa Michalaka* 32, 323

KRÓLOWIE KAZIMIERZ I MACIEJ KORWIN. *Przez A. Próchaskę* 53, 287

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe" POCZĄTEK DZIEŁA. *Przez Maryę Czeską* 85

W SPRAWIE LEKTURY AUTORÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH. Przez *M. Wrońskiego* 157

DYALOG MINUCYUSZA FELIXA P. T. „OCTAVIUS". Przez *Błażeja Blajera T. J.* 174

WSPÓŁCZESNA JAMAIKA. Przez *Ks. M. Skibniewskiego T. J.* 212

OSTATNIE DNI ŚW. TOMASZA APOSTOŁA. Przez *J. Eksc. Arcyb. Zaleskiego* delegata Ap. w Indyach 224

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe". PÓJDŹ ZA MNĄ MARYO. Przez *Maryę Czeską.* 251

KULTURKAMPF W ŚWIETLE NOWYCH STUDYÓW. Przez *Dr. K. Krotoskiego.* 264

POWRÓT APOSTATY DO OJCZYZNY 1468 R. Przez *A. Próchaskę* 344

Z KORESPONDENCYI KS. KAJSIEWICZA 350

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

MASONIA, JEJ ISTOTA ZASADY, DĄŻNOŚCI, POCZĄTKI, ROZWÓJ ORGANIZACYA, CEREMONIAŁ I DZIAŁANIE. Ks. Biskup Dr. J. Sebestyan Pelczar. (*Ks. K. Konopka T. J.*) 99

Strona

Z WIELKOPOLSKIEJ NIWY POWIEŚCIOWEJ. *(M. Szyjkowski.)* 101
ROZBIÓR KRYTYCZNY ŹRÓDEŁ DO ŻYWOTA ŚW. FRANCISZKA Z ASYŻU I DO LITERATURY FRANCISZKAŃSKIEJ. Ezuebiusz Stateczny O. F. M. *(J. K.)*. 109
KSIĘGI PRZYJĘĆ DO PRAWA MIEJSKIEGO W KRAKOWIE, 1392—1506. KAZ. KARCZMARCZYK. *(Ks. Jan Sygański T. J.)*. 114
PROPEDEUTYKA LEKARSKA. Dr. A. Wrzosek. *(Dr. J. Zanietowski)*. 366
FJORDY. Wojciech Rostworowski. *(J. T.)* 370
DZIECIOM LUDU POLSKIEGO NA ZACHODZIE NIEMIEC. Mateusz Umiński. *(Dr. A. Bielecki)*. 371
TOWARZYSTWO I STOWARZYSZENIE ROLNICZE. Adam Krzyżanowski. *(Dr. Adam Bielecki)*. 375
ANOMIZM JANA M. GUYAU W OBEC POWSZECHNYCH I NIEZMIENNYCH ZASAD PORZĄDKU MORALNEGO. Ks. Jan Bączek M. S. *(Brunon Lipiński)*. . . 382
STUDYA NAD WIERSZEM I ZWROTKĄ PORZYI POLSKIEJ LUDOWEJ. Helena Windakiewiczowa. *(L. K.)* 393

Z piśmiennictw obcych.

THE CATHOLIC ENCYKLOPEDIA VOL. XII. *(Teresa Wodzicka)*. 116
VETERIS TESTAMENTI CHRONOLOGIA. Antonius Deimel S. J. *(Ks. Michalski C. M.)* 124
LA FORMATION SOCIALE DE L'ANGLAIS MODERNE. Paul Descamps *(H. Skolimowska)*. 126
LA VOCATION DE FRANK GUISELEY. Robert-Hugh Benson. *(Helena Skolimowska)*. 395
FONTES RERUM TRANSILVANICARUM. Dr. Andreas Veress. *(Ks. J. Sygański T. J.)* 397
LEXICON DER PÄDAGOGIK. Ernst M. Roloff. *(Ks. Chmura T. J.)* 400
Z nowszej literatury biblistycznej: COMMENTARIUS IN PSALMOS. J. Knabenbauer S. J. 401
DIE ESDRASBÜCHER DER SEPTUAGINTA. Dr. Bernhard Walde. 401
SAMARIA UND PERÄA BEI FLAVIUS JOSEPHUS. Dr. Leo Haefeli. *(Ks. Jan Korzonkiewicz)*. 401

Zapiski bibliograficzne.

TRACTATUS CAUSAM M. J. HUS E PARTE CATHOLICA ILLUSTRANTES. Dr. J. Sedlák. *(F. B.)*. 128
ŻYCIE DOMOWE MIESZCZAŃSTWA WARSZAWSKIEGO W WIEKACH DAWNYCH. Al. Kraushar. *(F. B.)*. 128
SPRAWOZDANIE „POLONII". Tow. pol. młodz. katol. Uniw. Jag. w Krakowie. *(F. B.)* 129
MYŚL J. J. ROUSSEAU W POLSCE W XVIII WIEKU. M. Szyjkowski. *(F. B.)*. . . 129
TRĘBACZ NA RATUSZU. Zofia Zielewiczówna. *(Al.)* 129
DIE KATHOLISCHE ANSTALTSERZIEHUNG IN THEORIE U. PRAXIS. Johann Nep. Eckinger S. J. *(S. P.)* 130
FÜGUNG UND FÜHRUNG. Alban Stolz *(R.)* 130
WYBÓR PISM. Ks. Skarga — Januszowski. 131
WYBÓR ŻYWOTÓW ŚWIĘTYCH STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU. Januszowski . 131
ŻYWOTY ŚW. APOSTOŁÓW I EWANGIELISTÓW. Januszowski. 131
ŻYWOTY ŚWIĘTYCH POLSKICH. Januszowski. 131
WYBÓR PISM. Zygmunt Krasiński—Januszowski. 131
WYBÓR PISM. Hugo Kołłątaj—Rymar. 131
PAMIĘTNIKI WŁOŚCIANINA, OD PAŃSZCZYZNY DO DNI DZISIEJSZYCH. Jan Słomka—Dr. Fr. Bujak. 131
WSPOMNIENIE CHŁOPA POWSTAŃCA Z R. 1863. Ign. Drygas. 131
Z LAT KRWAWEJ WALKI. 131
ZEMSTA—HEŁM—JACY. Gorczyński Adam. 131

Strona

Posłuszeństwo. Józef Korzeniowski 131
Ludzie dobrzy na jednym wózku do sądu jeżdżą. J. Dzierzkowski . . . 131
„Bóg się rodzi". *(J. Pł.)* 131
Krasiński a chwila dziejowa. Bronisław Dembiński. *(J. K.)* 132
W sprawie nauk przyrodniczych w polskich szkołach średnich. Dr. Zygmunt Rozen. *(U.)* 404
Zbiory przyrodnicze Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Dr. F. Chłapowski. *(U.)* 405
Za wsich małyszysia Błagaja. Ks. Julian Dzerowicz. *(J. U.)* 405
Z wędrówki po Indyach. Dr. Jan Hupka. *(J. K.)* 405
Ludwik Perroy, Kalwarya. Elżbieta Mieroszewska. *(J. K.)* 406
J. Jamontt. Lew Tołstoj. *(F. B.)* 406
Wśród Braci Słowieńców. Tad. Dalewski. *(F. B.)* 406
Sąd nad Polską. Tad Dalewski. *(D.)* 406
Retkinia. Ks. Paweł i Leonard Załuscy. *(F. B.)* 407
Walter Scott i lord Byron w odniesieniu do polskiej poezyi romantycznej. S. Windakiewicz. *(F. B.)* 407
La Religion Assyro-Babylonienne, Conferences donnees a l'Institut de Paris. Paul Dhorme. *(Ks. S. Michalski C. M.)* 407
Zu Füssen des Meisters. *(L. R.)* 408
Die Mission auf der Kanzel und im Verein. Anton Huonder S. J. *(L. R.)* 408
Im Dienste der Himmelskönigin. Peter Sinthers. *(L. R.)* 408
Gdzie prawda? Prawdomir. *(N. N.)* 409

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Zjazd sodalicyi maryańskiej we Lwowie. — Konkordat Serbii. Przez *Ks. L. Rudnickiego T. J.* 133
Jubileusz Towarzystwa numizmatycznego. Przez *Dr. M. Gumowskiego* . . 142
Z galeryi zapomnianych malarzy polskich. Przez *Aleksandra Hajdeckiego* 146
Odpowiedź na recenzyę. *(St. Zachorowski. — A. Kłodziński. — Redakcya).* 152

SIERPIEŃ-WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Pogrom radykalnego bloku przy wyborach we Włoszech. — Mord w Serajewie. — Maurycy Barrès w obronie spraw katolickich. Przez *Ks. L. Rudnickiego T. J.* 410
III. Polski Zjazd balneologiczny połączony ze Zjazdem turystycznym . 422
Konkursy Akademii Umiejętności 433